

MICHAEL CAPUZZO

Klub koneserów zbrodni

Prolog

Profiler i ksiądz

Hudson, stan Wisconsin, grudzień 2004 roku

Profiler* nie zamierzał podawać księdzu ręki. Nie mógł tego zrobić, jeżeli chciał go dopaść. A w takich sytuacjach zawsze szedł na spotkanie, żeby dopaść rozmówcę. Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji — nawet po przejściu na emeryturę.

Ksiądz wparował do pokoju, powiewając sutanną. Z uśmiechem na ustach uściśnął dłonie kilku znajomym. Przed nim truchtał asystent, którego obecność, jak odnotował w myślach profiler, miała sprawić wrażenie, że ksiądz jest ważną postacią. Był to postawny mężczyzna, a czarny ubiór nadawał mu władczy wygląd. Brodatą, młodzieńczą twarz rozjaśniał serdeczny śródziemnomorski uśmiech. Trupioblady profiler wyglądał przy nim jak cień człowieka. Po każdym papierosie — a palił trzy na godzinę — zanosił się straszliwym kaszlem. Był również ateistą o dość szyderczym i cynicznym stosunku do wiary. Ale to akurat nie miało w tej chwili znaczenia.

Chłodny stosunek do księdza wynikał przede wszystkim z przekonania, że postępowanie zgodne z ogólnie przyjętymi normami moralnymi jest sprawą honoru, obowiązkiem każdego porządnego człowieka. Istniał

* Specjalista od tworzenia profili psychologicznych przestępców (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

7

jeszcze bardziej przyziemny powód tego dystansu: profiler nie zamierzał pozwolić psychopacie na przejęcie kontroli nad spotkaniem. Uważał, że życie składa się z nieustannych wyborów: między dobrem i złem, dominacją i podporządkowaniem się, prawdą i fałszem — a on rozwiązań pośrednich nie uznawał. Nie tolerował ludzi, którzy przekraczali granice zwykłej przyzwoitości. Przysporzyło mu to wielu wrogów, ale to akurat napawało go dumą. „Człowiek nie powinien przeproszać za to, że ma rację”, mówił. Sługa boży wyciągnął do chudego mężczyznydużą, pulchną dłoń. Komendant policji i dwóch oficerów śledczych czekali z zainteresowaniem na reakcję profilerera. Ten zmarszczył z odrazą orli nos, zupełnie jakby ktoś chciał mu wręczyć psią kupę. Szybko cofnął rękę i odwrócił się. Z zadowoleniem dostrzegł na twarzy księdza przelotny niepokój, jednak niemal natychmiast powróciła na nią maska opanowania, którą ten bezduszny człowiek nosił niczym eleganckie ubranie.

Wszystko sprowadzało się do zdobycia przewagi nad przeciwnikiem. Profiler pouczył wcześniej komendanta, w jaki sposób powinien go przedstawić księdzu. Nie miał wymienić nazwiska ani stopnia służbowego, tylko powiedzieć: „a to jest ekspert od morderstw z innego miasta”. Dopiero kiedy przedstawiono go w ten sposób, profiler uściśnął dłoń księdza z wiktoriańską kurtuazją, jak na dżentelmena starej daty przystało. Następnie usiadł w kącie, skrzyżował nogi, wykrzywił usta w lekkim uśmiechu i w milczeniu przysłuchiwał się pytaniom, które śledczy zadawali księdzu. Policja ani trochę nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki od owego popołudnia, kiedy miastem — gdzie od stulecia nie zdarzyło się nic równie makabrycznego — wstrząsnęła wieść o dokonanym w biały dzień morderstwie, którego ofiarami padło dwóch szanowanych obywateli. Na liście podejrzanych umieszczono jedenaście osób, ale przez następne dwa lata nikogo nie aresztowano. Profiler zapoznał się z aktami śledztwa i po trzech godzinach konsultacji z policjantami zawęził listę podejrzanych do jednej osoby. „Mordercą jest ksiądz”, oświadczył. „Zdaję sobie oczywiście sprawę, że wolelibyście innego kandydata, nie zmienia to jednak faktu, że to on”. Zdjęcie chudego profileru wydrukowano na pierwszej stronie lokalnej gazety. W artykule zacytowano jego wypowiedź, że „w zasadzie nie ma wątpliwości” co do rychłego zakończenia śledztwa w sprawie tajemniczego

8

morderstwa. „Na miejscu sprawcy nie kupowałbym zielonych bananów”, zażartował.

Policjanci nie wiedzieli, czego się spodziewać, kiedy przystąpili do prezentacji tej sprawy w filadelfijskim klubie towarzyskim skupiającym najslawniejszych żyjących detektywów. Nie czuli się pewnie w otoczeniu francuskich flag, boazerii z orzechowca i żyrandoli. Ich wystąpieniu przysłuchiwali się między innymi: korpulentny, brodaty mężczyzna z wielką głową, sypiący żartami jak z rękawa, zwany Wielkim Inkwizytorem, szczupły, przysadzisty, łysiejący rzeźbiarz z siwą bródką, który nosił się wyłącznie na czarno i rozmawiał z umarłymi, oraz wymizerowany profiler o twarzy Edgara Allana Poego. A także blisko setka wybitnych detektywów, w tym agent FBI, który był pierwowzorem filmowego adwersarza Hannibala Lectera, ludzie odpowiedzialni za śledztwa w sprawie zabójstwa Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga oraz wielu innych. Detektywi wykazali wstępne zainteresowanie sprawą i — być może — stworzeniem zespołu, który miałby się jej dokładniej przyjrzeć. Koniec

końców z samolotu wysiadła tylko jedna osoba: wymizerowany profiler. Obserwował teraz, jak ksiądz z godnością i spokojem odpowiada na pytania policjantów. Kapłan siedział wyprostowany z łokciami opartymi na stole i złączonymi na wysokości brody palcami. W pewnym momencie policjanci zapytali o jego kontakty z chłopcami. Ksiądz odchylił się do tyłu, jakby uraziła go sama sugestia, że mógłby dopuścić się tego rodzaju czynów. Śledczy naciskali. Wypytywali o nazwiska, daty. W końcu przyznał, że uprawiał seks z nastolatkami, ale natychmiast zapewnił rozmówców, że niewłaściwie interpretują całą sytuację. Nie napastował chłopców, a jedynie zajmował się ich wychowaniem seksualnym.

Zapadła cisza. Policjant zerknął na siedzącego w kącie profilera i zapytał, czy ma jakieś pytania. Szczupły mężczyzna nachylił się, zdjął okulary i wbił wzrok w księdza.

— Chciałbym przede wszystkim powiedzieć, że gdybym to ja prowadził śledztwo, nie miałbyś na sobie tego kostiumu.

Słowo „kostium” wypowiedział takim tonem, jakby mówił o czymś odrażającym.

9

— Jestem księdzem dwadzieścia cztery godziny na dobę — zaprote-
stował kapłan.

Profiler posłał mu lodowate spojrzenie i skrzywił się z jeszcze większym obrzydzeniem.

— W tej chwili nie reprezentujesz Kościoła rzymskokatolickiego. Jeżeli cokolwiek sobą reprezentujesz, to wyłącznie upadek człowieka.

Ksiądz zbladł i zamilkł. Policjanci wrócili do pytań o chłopców. Mężczyzna obstawał przy edukacyjnej naturze kontaktów. Owszem, najpierw podawał im alkohol, ponieważ wstydzili się nagości. Później ich pobudzał — ale nie doprowadzał do orgazmu. Uczył ich odpowiedzialnego korzystania z seksualności. Nie jest grzechem mieć wzwód, grzechem jest posunąć się dalej.

— Bzdura! Jesteś zbrodźcą! — krzyknął chudy mężczyzna. Policjanci nakazali księdzu zdjęcie sutanny. Pomysł ten podsunął im wcześniej profiler: „postępując z tego rodzaju psychopatą, należy za wszelką cenę wyprowadzić go z równowagi”. I rzeczywiście — ksiądz, pozbawiony sutanny oraz znajdującego się pod nią podkoszulka, jakby zmalął. Policjanci porównali tatuaż na jego ramieniu z tym, który opisał jeden ze świadków. Były identyczne.

Kiedy ksiądz włożył z powrotem bieliznę, a następnie sutannę, profiler podniósł się z krzesła. Podeszedł do księdza, nie odrywając od niego lodowatego, świdrującego spojrzenia. W końcu kapłan spuścił wzrok i odwrócił głowę. Chwilę później serce drgnęło profilerowi z radości, choć przez cały czas zachowywał kamienną twarz. Ksiądz płakał! „Łza nienawiści spływała mu powoli po policzku”, opowiadał później. „Doprawdy piękny widok”.

Stali oddaleni od siebie o niecałe pół metra: przedstawiciel prawa i przedstawiciel Boga. Kiedy łza zniknęła w gęstej brodzie, ksiądz przetarł policzek dłonią, po czym podniósł pełen odrazy wzrok na profilera.

— Niech... to... diabli! — wyszczał.

Szczupły mężczyzna nie potrafił się dłużej powstrzymać i uśmiechnął się szeroko. „Czy miałem satysfakcję, kiedy ten duchowny bluźnił? Oczywiście. Wiedziałem, że przyskrzyliłem skurwiela”.

10

Głos krwi

U zarania świata ludzkość utraciła całą nadzieję. Zawsze jednak mogła oprzeć się na trójcy:

Wódz, Wojownik, Szaman.

Król, Rycerz, Mag.

Opowieści o takich postaciach pozwalają nam przetrwać. Powtarzamy je sobie przy ogniskach, wplatamy w tkaniny i zaklinamy w muzykę. Wzbijają się unoszone oddechem bogów i wirują w spirali DNA. Edward O. Wilson, biolog z Uniwersytetu Harvarda, nazywa takie opowieści „głosem gatunków”, fundamentalnymi historiami kształtowanymi przez „reguły epigenetyczne natury ludzkiej (...), wrodzone prawidłowości rozwoju umysłu”^{**}.

Nie istnieje — poza Biblią — mocniej zakorzeniony w kulturze Zachodu tekst niż, spisana po raz pierwszy ponad osiem wieków temu, opowieść o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Gdzieś między rokiem 1129 a 1151 benedyktyński mnich z Oksfordu na polecenie swojego biskupa przetłumaczył na łacinę cykl starożytnych celtyckich przepowiedni zatytułowanych *Prophetiae Merlini* („Przepowiednie Merlina”). Kolejnym jego dziełem była *Historia Regum Britanniae* („Historia królów Brytanii”), której fragmenty zaczerpnął z najstarszych walijskich tekstów: Czerwonej księgi z Hergest i Białej księgi z Rhydderch. Właśnie w nich pojawiają się pierwsze historyczne wzmianki o królu Arturze i rycerzach Okrągłe-

go Stołu.

Na początku tej powtarzanej przez stulecia opowieści świat leży w gruzach. Zboża usychają, martwe są nawet drzewa, „udręczone kości wymarłej rasy, nieznanymi człowiekowi monstrów”, jak woła poeta Madison Cawein. Ranny król leży złożony niemocą w zamku. Żeby odmienić losy państwa, potrzebuje pomocy dwóch mężów obdarzonych wielkimi, niezwykłymi zdolnościami, jakich sam nie posiada.

* E.O. Wilson, Jedność wiedzy, tłum. J. Mikos, Poznań 2002, s. 309, 339.

11

Naukowcy nie potrafią wyjaśnić, skąd u Homo sapiens bierze się potrzeba, by zaczerpnąć kolejny oddech i po raz kolejny opowiedzieć tę historię.

Filozofowie powiadają, że pierwotnym źródłem tej opowieści jest odwieczna ludzka potrzeba szukania istoty — by przywołać słowa Josepha Campbella — „obietnicy od zarania dziejów obleczonej Tajemnicą”. W ujęciu proroków sprowadzałyby się to do stwierdzenia, że droga do ła-
ski Bożej wiedzie przez liczne próby. Z kolei człowiek czynu doszedłby zapewne do wniosku, że z tysięcy lat nieustannych prób, błędów i nabywania mądrości można wyciągnąć jeden praktyczny wniosek: kiedy świat się wali i wymaga odnowy, należy znaleźć trzech odpowiednich ludzi.

Część pierwsza

Sala morderstw

Rozdział I

Koneserzy zbrodni

W wielkiej sali unosił się przyjemny aromat kielbasy z wieprzowiny i kaczk. Ubrani na czarno kelnerzy wnosili tace z deserem waniliowym. Biesiadnicy siedzieli przy stołach rozstawionych między kominkami i prowadzili uprzejme rozmowy w kilku językach. Nad ich głowami połyskiwały osiemnastowieczne żyrandole. Kiedy postawiono przed nimi dymiące dzbanki wybornej kolumbijskiej kawy, na środku pomieszczenia zmaterializował się obraz przedstawiający zwłoki młodego, niezwykle przystojnego mężczyzny.

Szare, zimowe światło wpadało ukosem do sali. Minęło południe, słońce odplynęło za miasto i wszystkie detale zdjęcia rzuconego na duży ekran były znakomicie widoczne. Zaschnięta krew zlepiała kosmyki jasnych włosów leżącego na plecach mężczyzny w coś w rodzaju korony, a odarte ze skóry kości policzkowe zostały zgniecione na miazgę. Policyj-

ny fotograf zrobił to zdjęcie nocą w mrocznym zaułku na tyłach restauracji, niemniej błysk flesza wydobył z ciemności młodzieńczą twarz. Z mroku odległej w czasie nocy, która zapadła gdzieś na południu Stanów Zjednoczonych, spoglądały na zebranych puste, szeroko otwarte oczy.

Było tuż po pierwszej, a członkom Towarzystwa Vidocqa podano akurat piątą i ostatnie danie.

— O Boże — szepnęła młoda, krótko ostrzyżona kobieta w czerwonej sukience. Otarła usta serwetką, przeprosiła sąsiadów i z dłonią przyciśniętą do ust wybiegła z sali. William Fleisher, rostry, brodaty mężczyzna

14

we wspaniałym niebieskim garniturze i uszytej na zamówienie koszuli z wyhaftowanymi inicjałami WLF pokręcił z niesmakiem wielką głową.

— Musimy uważniej selekcjonować gości — stwierdził.

Richard Walter, którego zapadnięte policzki ginęły w cieniu, spojrział gniewnie za oddalającą się postacią.

— Nieźle nogi — wyszeptał do niego Frank Bender, jedyny mężczyzna na sali, który zamiast garnituru miał na sobie obcisły czarny T-shirt i dżinsy.

Fleisher pokręcił ze zdumieniem głową. Jak to się stało, że los złączył go z parą równie ekscentrycznych, humorzastych geniuszy? Jego koledzy byli znakomitymi kryminologami. Bili na głowę wszystkich, z którymi zetknął się podczas trzydziestoletniej służby w FBI.

Nikt nie potrafił przestudiować morderstwa w równie chłodny, analityczny sposób, jak wysoki, zgryźliwy Richard Walter. W środowiskach przestępczych nadano mu przezwisko Anglik, które zawdzięczał nieco szczekliwemu akcentowi. Walter miał za sobą dwadzieścia lat badań nad najbardziej agresywnymi psychopatami osadzonymi w największym zakładzie karnym na świecie, w Jackson w stanie Michigan, oraz w jednym z najcięższych amerykańskich więzień, znajdującym się w starym, neoromańskim zamku w miejscowości Marquette nad Jeziorem Górnym. Grozę wśród skazańców budził jego przeszywający, zwany „spojrzeniem z Marquette”, wzrok, którym znad okrągłych okularów w czarnej oprawie zdawał się wwiercać prosto w ich dusze. Walter zaglądał pod maski przywdziewane przez zbrodniarzy i z nieosiągalną dla innych swobodą poruszał się po mrocznych zakątkach ich umysłów. W wolnym czasie dorabiał jako konsultant detektywistyczny. Należał do wąskiego grona amerykańskich kryminologów, którzy w latach siedemdziesiątych

i osiemdziesiątych XX wieku opracowali nowoczesne metody tworzenia profili psychologicznych przestępców, pozwalające na podjęcie walki z seryjnymi mordercami.

W Scotland Yardzie, gdzie pomagał wyjaśniać najbardziej brutalne zabójstwa, ku jego przerażeniu zwano go „inkarnacją Sherlocka Holmesa”. „Richard wygląda jak Basil Rathbone z Psa Baskerville'ów z 1939”, stwierdził Fleisher. „Mówi tak, jak on i myśli tak, jak on”. „Kiedy ludzie wyjeżdżają

15
z Sherlockiem”, skomentował Walter, „zachowuję się tak, jakby ktoś przy mnie pierdnął: odwracam wzrok i udaję, że nie słyszałem”.

Frank Bender był najsłynniejszym żyjącym plastykiem sądowym, może nawet najlepszym w historii. Jako były bokser miał wysportowane, muskularne ciało, poza tym rzednące włosy, niewielką bródkę i wąsy oraz przenikliwe orzechowe oczy. Na spotkanie Towarzystwa przyszedł w koszuli z długim rękawem zakrywającej tatuaże będące pamiątką z czasów służby w marynarce wojennej. Bender dorastał w niebezpiecznych północnych dzielnicach Filadelfii, gdzie ściany domów były usiane dziurami po kulach. Skończył tylko szkołę średnią. Był bezpośrednim, wiodącym szczęśliwe życie seksoholikiem i jasnowidzem, choć akurat tym ostatnim darem nie zamierzał się chwalić na sali pełnej policjantów. Oni podziwiali go za umiejętność uszczęśliwiania jednocześnie żony i sześciu, siedmiu kochanek oraz identyfikowania najbardziej poszukiwanych seryjnych morderców za pomocą szkicownika i skalpela.

„Frank, w XVII wieku spaliliby cię na stosie. Teraz jakiś facet może cię co najwyżej zastrzelić w ciemnym zaułku”, lubił go drażnić Walter.

Wysoki, melancholijnie usposobiony Walter, człowiek o dedukcyjnym umyśle, oraz nerwowy, kierujący się intuicją Bender tworzyli nierozłączną parę detektywów i wspólnie rozwiązywali najpoważniejsze sprawy. Ten całkowicie unikalny duet — profiler i artysta — nie miał sobie równych w odkrywaniu największych sekretów żywych i umarłych. Pod warunkiem, że potrafili dostatecznie długo wytrzymać w swoim towarzystwie. Bender rozmawiał z umarłymi, Walter gardził spirytualizmem. Artysta miał na koncie setki miłosnych podbojów, profiler był rozwiedziony i wzdrygał się na najmniejszy dotyk mężczyzny, kobiety, dziecka, psa lub kota. Bender był najbardziej chaotycznym detektywem na świecie, Walter najbardziej zdyscyplinowanym.

Ich znajomość trwała przede wszystkim dzięki Williamowi Lynno-

wi Fleisherowi. Przyjaciele twierdzili, że to on „jest sternikiem całej trójki”. Elegancko ubrany, postawny mężczyzna, w przeszłości filadelfijski policjant i agent FBI, zastępca szefa Urzędu Celnego obejmującego jurysdykcją trzy stany, a także światowej klasy specjalista w prowadzeniu przesłuchań oraz badań wykrywaczem kłamstw. Miał obsesję na punkcie

16
prawdy i na własną rękę zgłębił historię metod wykrywania kłamstw. Za pomocą wariografu próbował zaglądać w ludzkie umysły. W istocie kierowało nim wyłącznie pragnienie dania ludziom szansy na odkupienie — zarówno przestępcom, których psychofizjologiczne reakcje pobudzały igłę wariografu, jak i nieszczęsnym ofiarom, które cierpiały w zapomnieniu. Podwładni Fleishera twierdzili, że ich szef przytył pięćdziesiąt kilogramów, aby zrobić w klatce piersiowej miejsce dla ogromnego serca.

Bender i Walter tworzyli najbardziej zadziwiającą parę detektywów, z jaką Fleisher kiedykolwiek się spotkał. Kiedy tylko swoje niezwykle umiejętności i wybuchowe temperamenty potrafili zaprzęgnąć do walki z mordercami, a nie ze sobą nawzajem (wtedy przypominali ludzi walczących z własnymi cieniami), tworzyli jedną perfekcyjną istotę, zespolenie rozumu z objawieniem. Korpulentny agent Urzędu Celnego grał rolę nadzorca. Pilnował, aby ich współpraca układała się możliwie najlepiej i przynosiła jak najwięcej korzyści.

Tamtego dnia rano spotkali się w pracowni Bendera, gdzie przed laty poznali się podczas rozwiązywania sprawy osławionego, wyjątkowo okrutnego płatnego mordercy pracującego dla mafii. Połączyła ich wówczas osobliwa zażyłość, która miała doprowadzić do powstania klubu towarzyskiego dla detektywów.

Fleisher z Banderem popijali akurat w kuchni kawę, kiedy do pracowni wszedł Walter. Miał taką minę, jakby czuł smród „kocich sików albo czegoś równie paskudnego”.

— Richard! — krzyknął Bender, potrząsając energicznie dłońią Waltera. Musiał się pilnować, aby go nie wyściskać. Profiler tego nie lubił. — Chodź, pokażę ci mój nowy obraz.

Był to ogromny, utrzymany w jasnej tonacji portret olejny jednej z licznych przyjaciółek Bendera. Namalowany gęstą jak lukier farbą, miał dwa i pół metra wysokości i przedstawiał nagą kobietę widzianą od przodu. Z jej lewego sutka zwisało przyczepione do płótna mosiężne kółko.

— Chrissie ma śliczną dupcię — powiedział cicho Bender. Uśmiech-

nał się, jakby na widok aktu odżyło jakieś miłe wspomnienie.

Walter stał przed obrazem i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę z zadartym nosem i wykrzywioną twarzą

17

— To jest bezwstydne, Frank — stwierdził w końcu. — Po prostu bezwstydne.

Bender zawył z uciechy, jakby usłyszał najwspanialszy komplement.

Walter przyglądał mu się z niesmakiem.

— Frank, na litość boską, dobiegasz sześćdziesiątki, a zachowujesz się jak piętnastoletni boliwijski niewolnik seksualny! Używasz seksu jako leku na depresję. Próbowałem ci już to kiedyś wytłumaczyć: w tym wieku nie można prowadzić życia rockmana. Organizm tego nie wytrzyma. Pewnego dnia światła rampy zgasną i zapadnie ciemność.

— Napiłbym się kawy, najlepiej czarnej — zmienił temat Walter. — Nie jestem wybredny, piję każdą, byle nie odgrzewaną.

Później tego dnia, po przyjeździe na spotkanie Towarzystwa, przywitali się serdecznie z Fleisherem. Całą trójkę wyraźnie rozpierała energia, która zdawała się udzielać pozostałym. Smutne zazwyczaj oczy Fleishera rozbłysły, gdy z dumą przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych na sali. Specjaliści w zakresie nauk sądowych z całego świata przybywali od rana do Sali Kawowej i Pokoju Zapisów na pierwszym piętrze budynku na rogu Second Street i Walnut Street w Filadelfii. Przed laty mieściła się tam Karczma Miejska, w której koloniści rozprawiali o polityce, handlu i żegludze oraz czytali gazety, między innymi „Pennsylvania Gazette” Benjamina Franklina. Do uszu Fleishera docierał ożywczy szum rozmów witających się po dłuższej przerwie przyjaciół, kolegów i rywali. Przyglądając się detektywom z siedemnastu stanów Ameryki Północnej oraz jedenastu innych państw, miał poczucie, że uczestniczy w wyjątkowym zdarzeniu. Na sali siedzieli wyłącznie eksperci w swoich dziedzinach.

Należał do nich agent FBI Robert Ressler, wysoki, siwowłosy mężczyzna, który w swojej długiej karierze miał do czynienia z Charlesem Mansonem, Johnem Wayneem Gacym i większą liczbą „seryjnych morderców” (to on wymyślił ten termin) niż ktokolwiek inny w historii. Przyjmował właśnie gratulacje, oraz sporą ilość docinków, w związku z premierą Milczenia owiec, nowego filmu o Hannibalu „Kanibalu” Lecterze. Pojawiającą się w filmie postać agenta FBI Jacka Crawforda wzorowano częściowo właśnie na nim. Ressler trzymał się cały czas blisko Richarda Waltera. W spo-

rządaniu profili psychologicznych byli najlepsi na świecie.

18

Wszyscy obecni na sali patologowie byli mistrzami w swoim fachu.

Doktor Hal Fillinger z Filadelfii dowiódł na przykład, że zbiegły z więzienia Ira Einhorn — zwany Jednorożcem — zamordował swoją dziewczynę Holly Maddux. Fillinger przyjechał na spotkanie wielkim białym cadillakiem z tablicami rejestracyjnymi, na których kazał umieścić napis: Zabójczy Hal. Obok niego siedział doktor Richard Froede z Arizony, który przeprowadził sekcję zwłok agenta CIA Williama Buckleya, porwanego przez islamskich dżihadystów, a następnie torturowanego, zamordowanego i porzuconego na poboczu drogi w Bejrucie. W grupie filadelfijskich policjantów znajdował się Frank Friel, były kapitan wydziału zabójstw, który schwytał mordercę mafijnego bossa Philipa „Człowieka Kurczaka” Testy. (Bruce Springsteen unieśmiertnił go w piosence Atlantic City: „kropnęli Człowieka Kurczaka wczoraj wieczorem w Filadelfii”). Fleisher dostrzegł słynnych oficerów śledczych, którzy rozpracowywali zabójstwa Johna Kennedyego i Martina Luthera Kinga, oraz swojego znajomego z CIA, kierującego tajnymi operacjami w Afganistanie. Obok siedziała jego koleżanka, młoda jasnowłosa agentka, która nawet na tej sali nie odważyła się odsłonić twarzy. Przy „stole francuskim” zajęli miejsca agenci Interpolu z Lyonu oraz szef paryskiej Brigade de la Sûreté, francuskiego odpowiednika FBI. Sûreté, założona w 1811 roku przez Vidocq’a, była pierwszą państwową agencją śledczą, na której później wzorowano FBI i Scotland Yard. Na pierwszym piętrze Karczmy Miejskiej znajdowała się historyczna Długa Sala, wąskie pomieszczenie o długości trzynastu metrów i wysoko zawieszonym suficie. Była to pierwsza sala balowa, jaką zbudowano w Nowym Świecie. Generał George Washington świętował na niej wybór na urząd prezydenta, czemu towarzyszył huk armat i brzęk roztrząskiwanych kieliszków z maderą. Jak na współczesne standardy skromnie urządzone, została pomalowana na białoczerwono, na ścianach umieszczono ochronne listwy oraz kinkiety ze świecami. Tego dnia wystrój miał odtwarzać atmosferę paryskiego mieszkania przy Rue Cloche-Perce 12, gdzie w roku 1833 Eugène François Vidocq założył pierwszą w historii agencję detektywistyczną — Le Bureau des Renseignements (Biuro Informacji). Dopiero siedemnaście lat później powstała Agencja Pinkertona w Stanach Zjednoczonych. Mieszkanie przy Rue Cloche-Perce było

19

pierwszym w historii pomieszczeniem zaprojektowanym specjalnie w ten sposób, aby grupa ludzi mogła w nim prowadzić systematyczną analizę morderstw.

Wykonane z brązu popiersie Eugène'a François Vidocq'a stało na dębowym cokole w północnym kącie Długiej Sali, tuż przy oknie wychodzącym na rzekę Delaware. Szeroka, zuchwała twarz skrywała się w cieniu rzuconym przez grube zielone kotary. Powyżej wisiały skrzyżowane flagi francuska i amerykańska. W pokoju przy Rue Cloche-Perce 12, w migoczącym świetle syczących lamp gazowych, Vidocq i jego pracownicy tworzyli drobiazgowe archiwa umożliwiające identyfikowanie zbrodniarzy na podstawie śladów zostawionych na miejscu przestępstwa. Nikt przed nimi nie przykładął tak wielkiej wagi do analizy potencjalnych motywów zbrodni oraz modus operandi sprawców. Sporządzali gipsowe odlewy śladów butów i próbowali wykonywać pierwsze analizy balistyczne. Na ścianach zawiesili obrazy przedstawiające ćwiartowanie Roberta-Francois Damiensa, ścięcie Jana Chrzyciela i torturowanie François Ravaillica. Vidocq dobrał sobie pracowników spośród ludzi podobnych do niego, czyli byłych kryminalistów. Wychodził z założenia, że nikt lepiej od nich nie zrozumie umysłu przestępcy. Vidocq i jego ludzie zostali pierwszymi nowoczesnymi kryminologami.

Wszyscy uczestnicy lunchu siedzący przy długich stołach mieli wpięte w kłapy czerwono-niebiesko-białe odznaki. Les Couleurs, barwy narodowe Francji, stanowiły świadectwo przynależności do Towarzystwa Vidocq'a. Maksymalna liczba członków wynosiła osiemdziesiąt dwa, tyle bowiem lat żył francuski detektyw. Ograniczenie to czyniło Towarzystwo Vidocq'a najbardziej ekskluzywnym klubem na świecie. Mogli do niego należeć — niezależnie od rasy, płci, wieku lub narodowości — tylko najlepsi detektywi i specjaliści od medycyny sądowej. Mówiono, że nigdy wcześniej w jednym pomieszczeniu nie przebywało tylu znakomitych śledczych. „Policja żadnego państwa nie dysponuje takimi zasobami talentów”, twierdził Fleisher. „New York Times” określił Towarzystwo Vidocq'a mianem spadkobierców Holmesa. „Klub nie jest gromadą niedoszłych Sherlocków Holmesów naśladowujących sumiennie mistrza z Baker Street”, napisano w gazecie, „ani dobrodusznych pomagierów gromadzących

20

dane i przygotowujących wstępne analizy dla innych detektywów. Członkowie tej grupy dysponują łącznie kilkusetletnim doświadczeniem w wal-

ce z przestępczością".

Misja Towarzystwa Vidocqa była prosta. Jak wynika ze statystyk, co trzecie morderstwo popełniane w Stanach Zjednoczonych pozostaje niewyjaśnione. Sytuacja ta jest źródłem cierpień dla ogromnej liczby ludzi, z czego nie zdają sobie sprawy ani dziennikarze, skupiający się na sensacyjnych aspektach zbrodni, ani zwykli Amerykanie, którzy wiedzę na ten temat czerpią wyłącznie z telewizji. Tymczasem morderstwo jest plagą, która zabiła już ponad milion osób — więcej niż wojny, w których Stany Zjednoczone uczestniczyły w XX wieku. Policjanci są przepracowani, wydziały kryminalistyki niedofinansowane, a system sprawiedliwości zdaje się dbać bardziej o prawa przestępców niż o prawa ofiar. W świecie, który zapomniał o swoich bohaterach, członkowie Towarzystwa Vidocqa zobowiązali się — składając dwunastowieczną przysięgę rycerską — ścigać morderców, karać winnych oraz otaczać opieką rodziny ofiar, wspierać je i mścić się za ich krzywdy. Woleli pracować pro bono, niż odbijać piłeczki golfowe na Florydzie czy w Arizonie. Spotykali się w trzeci czwartek każdego miesiąca. Osiemdziesiąt dwie osoby ślubowały sprawować tę misję do końca życia, a po śmierci ich czerwono-niebiesko-białą odznakę przekazywano kolejnemu detektywowi.

Do siedziby Towarzystwa Vidocqa, mieszczącej się w starej wiktoriańskiej kamienicy na Locust Street w Filadelfii, sływała z całego świata rzeka próśb od policjantów i ofiar liczących na audiencję w niedostępnej dla postronnych sali w dawnej Karczmie Miejskiej. Kongresmeni pragnący rozwiązać zagadkę morderstwa, do którego doszło w jego rodzinie. Agent federalny z Waszyngtonu potrzebujący wsparcia w poszukiwaniach mordercy koleżanki zastrzelonej w biały dzień podczas joggingu. Młody policjant z małego miasteczka w stanie Tennessee, bezsilny w starciu z seryjnym zabójcą, milionerem w podeszłym wieku, który przeprowadzał się ze stanu do stanu, mordując kolejne żony.

Towarzystwo Vidocqa zajmowało się tylko tymi morderstwami, których ofiarami padały osoby praworządne, a od momentu popełnienia zbrodni minęły co najmniej dwa lata — wtedy bowiem sprawa oficjalnie

21

uzyskiwała status „nierozwiązanej*^o”. „Pomagamy policji tylko wtedy, gdy zostaniemy o to poproszeni. Działamy zakulisowo, unikając rozgłosu. Naszym celem jest przywracanie sprawiedliwości”, wyjaśniał Fleisher. Podczas prezentacji sprawy wymagano obecności funkcjonariuszy lokalnej

policji, agentów stanowych lub federalnych albo prokuratorów prowadzących sprawę, gdyż rodziny ofiar, pragnące pomścić swoich bliskich, zachowywały się niekiedy zbyt emocjonalnie. W rzadkich przypadkach — gdy w grę wchodziły podejrzenia o korupcję organów ścigania — audiencję u Towarzystwa mógł uzyskać zwykły obywatel. Właśnie taka sytuacja zdarzyła się tamtego popołudnia: zwykły obywatel stanął przed ludźmi, którzy byli dla niego ostatnią deską ratunku.

O pierwszej po południu Fleisher podszedł do mównicy i przywitał zebranych. Jeszcze przed lunchem wszyscy powtórzyli za nim przysięgę, trzymając dłonie na sercach. Następnie przedstawił pastora, który zwrócił się do Boga o błogosławieństwo. Po modlitwie Fleisher rozluźnił atmosferę, stwierdzając żartobliwie, że dzięki comiesięcznym spotkaniom „może oddawać się swojemu największemu hobby, czyli jedzeniu lunchu”. Zaraz potem poważniejszym tonem przypomniał zebranych, że ich zadaniem jest reprezentowanie umarłych, którzy nie mają już głosu. Spełniali święte posłannictwo.

Metoda działania, którą Fleisher, Bender i Walter przejęli od swoich dziewiętnastowiecznych mistrzów, wydawała się wręcz banalna: zapelnienie się salę detektywami i każe im rozwiązywać zagadki niewyjaśnionych morderstw. Od zatrudnionych przez Vidocq'a kryminalistów członkowie Towarzystwa różnili się jedynie poziomem wyrafinowania i dostępem do najnowocześniejszych narzędzi medycyny sądowej.

Z kuchni wybiegli kelnerzy; zebrali resztę sztućców i talerzy, zgarnęli okruchy z białych obrusów, a kiedy nalano kawę, w Długiej Sali odżył duch dziewiętnastowiecznej Sali Morderstw.

Dziesięć po pierwszej Fleisher przedstawił Antoinę LeHavre'az Luizjany. Na mównicy stanął pulchny mężczyzna po czterdziestce o ciemnych

* Tzw. co *Id case*, czyli nierozwiązana sprawa, w której nie prowadzi się już oficjalnego śledztwa. Może ono zostać wznowione, jeśli np. pojawią się nowe dowody.

22

włosach i manierach dżentelmena, ubrany w sportową marynarkę. Z jego oczu bił smutek. Na ekranie wyświetlił zdjęcie swojego przyjaciela, który padł ofiarą brutalnego morderstwa. Na sali wyczuwało się napięcie — po raz pierwszy zwykły człowiek przedstawiał samodzielnie sprawę przed Towarzystwem Vidocq'a.

LeHavre podziękował zebranych za zaproszenie.

— Wiem, że lepiej niż ktokolwiek zrozumiecie, przez co przeszedłem —

powiedział. — Nie mogłem dłużej tego znieść. Zostałem z tym problemem zupełnie sam.

Członkowie Towarzystwa zdawali sobie doskonale sprawę, że Sala Morderstw była miejscem, które zwykły człowiek powinien omijać szerokim łukiem, do którego nie powinien przychodzić bez wyraźnej potrzeby. Ludzie wiodący szczęśliwe życie nie wiedzieli nawet o jej istnieniu. Tylko ci pogrążeni w cierpieniu potrafili znaleźć do niej drogę. Zebrani widzieli już wcześniej ludzi podobnych do LeHavre'a — żywe trupy pogrążone w letargu z powodu nierozwiązanej sprawy zamordowanego przyjaciela lub ukochanego, ludzi gotowych doczołgać się na koniec świata, aby tylko naprawić straszliwą niesprawiedliwość. Zebrani dostrzegali wszakże coś jeszcze, z czym również mieli wcześniej do czynienia. Po spożyciu czterech ciepłych dań Antoine LeHavre był gotów na deser — zemstę podaną na zimno.

Rozdział 2

Człowiek, któremu morderstwo uszło na sucho

Morderca pozostał bezkarny — z tym właśnie LeHavre nie potrafił się pogodzić. Nie zaprzętał już sobie nawet głowy skorumpowanymi policjantami, choć oczywiście miał nadzieję, że również ich dosięgnie w końcu kara. Nie denerwował go ślepy lekarz sądowy. Świadek, który niczego nie widział. Obojętny i głupi prokurator okręgowy. Przebaczył wszystkim, nawet płatnemu zabójcy, który znał jego adres, a na samym końcu nieopierzonemu prawnikowi, który radził: daj sobie spokój, nie wygrasz z tak potężnymi graczami. Opuść, Antoine. Wiesz przecież, jak to wszystko działa. Na litość boską, naprawdę sądzisz, że zdołasz pokonać mafię? Prawnik miał oczywiście rację, niemniej Antoine nie mógł zawieść Paula Bernarda Allaina.

Wizja zakrwawionej twarzy Allaina wciąż nawiedzała go w snach. Najlepszy przyjaciel LeHavre'a został zakatowany na jego oczach. Nie zamierzał pozwolić, aby Paul odszedł w zapomnienie. Człowiek, któremu morderstwo uszło na sucho, musi w końcu ponieść karę.

Mimo osobistego stosunku do sprawy, Antoineem LeHavre'em nie kierowała żądza zemsty, a jedynie pragnienie postawienia mordercy przed sądem. Prezentacji sprawy zamierzał dokonać w sposób rzeczowy i bezpośredni. Zaczął od podziękowań za możliwość wystąpienia przed tak szacownym gronem detektywów, szczególnie że był zwykłym obywatelem. „Proszę się nie przejmować, rozwiążemy tę sprawę”, zareagował na

te słowa Fleisher.

24

Obecni na sali taktownie umilkli, kiedy LeHavre zajął miejsce na mównicy. Wysokie okna tłumiły odgłosy miasta do poziomu ledwie słyszalnego szumu. Turyści zmierzający do Independence Hall, miejsca podpisania Deklaracji Niepodległości, mijali obojętnie starą karczmę z cegły na rogu Second Street i Walnut Street. Karczma Miejska, niegdyś najokazalsza budowla Nowego Świata, była teraz reliktem zamierzchłej, oświeceniowej przeszłości. Kiedy Fleisher po raz pierwszy stanął na podłodze z szerokich desek, natychmiast wyczuł magiczną atmosferę tego miejsca. Jako miłośnik historii wiedział, że Thomas Jefferson, John Adams, George Washington i Benjamin Franklin jadali tu co wieczór posiłki podczas konwencji konstytucyjnej w 1787 roku, smakując „pokarm dla Rozumu i duszy”. Pierwszy sekretny rytuał masoński w Ameryce Północnej odprawiono właśnie w tej sali.

Kiedy LeHavre zaczął przedstawiać sprawę, myśli Fleishera popłynęły ku ozdobionemu okrągłym zwieńczeniem oknu, z którego dawniej roztaczał się, dziś przysłonięty przez wyższy budynek, widok na Nowy Świat. Nad oknem umieszczono masońskie oko opatrności oraz błogosławieństwo dla nowych kolonii, którym była sentencja *Annuit coeptis*. „Bóg spojrział życzliwie na nasze przedsięwzięcie”. Fleisher zaczął się modlić w myślach, aby Bóg nadal patrzył na nich przychylnym okiem.

LeHavre był meblarzem z Luizjany, jednym z liderów lokalnej społeczności. Siedem lat wcześniej, w połowie czerwca, zabrał dziesięcioro pracowników — w tym Allaina, kierownika biura, a zarazem przyjaciela — na wieczorny mecz drugiej ligi bejsbolu. Po zakończeniu wszyscy udali się do baru. Allain się upił i, co do niego niepodobne, wszczął burdę. LeHavre widział, jak ochroniarz wyprowadza Allaina przez boczne drzwi na dwór. Później wydarzenia potoczyły się z surrealistyczną prędkością. Kiedy LeHavre odnalazł wreszcie Allaina, był świadkiem samego końca szarpaniny; dwóch ochroniarzy pobiło chłopaka do nieprzytomności. LeHavre nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Allain nie miał wrogów. Był młodym, żonatym mężczyzną, ojcem dwójki dzieci. Chodził do kościoła. Ani policja, ani kilku prywatnych detektywów nie potrafili wyjaśnić brutalności zajścia. LeHavre podejrzewał, że doszło po prostu do tragicznego w skutkach nieporozumienia: Allain nie miał zbyt dużego doświadczenia

25

z alkoholem i zapewne zrobił coś głupiego. Bramkarzy poniosło i go zabiłi. Podejrzewał, że policja i prokuratura torpedują dochodzenie na prośbę właścicieli barów, których związki z mafią były tajemnicą poliszynela. LeHavre przedstawił sprawę w ten sam sposób, w jaki zrobił to siedem lat wcześniej przed policjantami, którzy słuchali go wtedy z udawanym zainteresowaniem. Drugie zdjęcie było jeszcze bardziej makabryczne: przedstawiało zmasakrowany bok głowy Allaina, z której wypływał, jak się zdawało, płyn mózgowo-rdzeniowy. Na sali rozległy się szepty. Fleisher wstrzymał oddech i poczuł, jak ogarnia go znajome uczucie. Patrząc na zwłoki młodych ludzi, zawsze mimo woli przypominał sobie o marzeniach i zawiedzionych nadziejach własnej młodości.

Towarzystwo Vidocq'a zdobyło sławę dzięki twórczemu podejściu do metod śledczych. Na sygnał Fleishera z sali posypały się pytania.

— Czy przeprowadzono testy DNA? — zaczął Fleisher.

— Nie — odparł LeHavre. — Próbkę krwi i włosów zaginęły, zanim ktokolwiek zdążył poddać je analizie.

— Co pan rozumie przez „zaginęły”? — spytał oficer wywiadu marynarki.

— W magazynie znajduje się potwierdzenie przyjęcia próbek, ale nie ma po nich śladu. Prokurator okręgowy nie chciał zbadać tej sprawy.

— A zastanawialiście się nad ekshumacją zwłok? — wtrącił Bender.

— Tak — skinął głową LeHavre. Oczekiwał właśnie na zgodę odpowiednich organów.

Z sali dobiegł szelest przewracanych kartek. Detektywi przeglądali akta policyjne i raport lekarza sądowego. Agent FBI Ressler nachylił się i wyszeptał coś do ucha Zabójczemu Halowi, siwowłosemu pryncypałowi filadelfijskich patologów. Zabójczy Hal skinął głową. Walter i Bender naradzali się między sobą.

Walter wspominał później, że na sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Kiedy rozlano resztę kawy, ku LeHavre'owi popłynęła druga fala pytań od odontologów i lekarzy sądowych, ekspertów od materiałów wybuchowych i broni palnej, agentów FBI, Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, urzędu podatkowego, antropologów sądowych, specjalistów od morderstw rytualnych i psychiatrów.

26

— Czy bramkarze i Allain znali się wcześniej? — dociekał detektyw z wydziału zabójstw nowojorskiej policji.

— Nie — pokręcił głową LeHavre.

Podczas bójki ciało Allaina uderzyło o drzwi baru, obryzgując je krwią.

— Czy te drzwi nadal istnieją? Czy pobrano z nich próbki do analizy?

— Nie — odparł LeHavre. Drzwi przemaalowano, a próbek, o ile mu wiadomo, nie pobrano.

— Czy ma pan jakikolwiek dowód na związki baru z mafią?

Nie miał, ale w środowisku lokalnych przedsiębiorców wszyscy o nich wiedzieli.

— Jak długo znał pan ofiarę?

— Odkąd przyjąłem go do pracy dziewięć lat temu.

— Czy tamtej nocy pił pan z nim alkohol?

— Nie. Siedziałem przy stoliku z innymi znajomymi i pracownikami.

— Jak dobrze się znaliście?

— Był jednym z najlepszych pracowników. Ubiegał się o pracę w mojej firmie, mimo że nie miał wyższego wykształcenia. Normalnie zatrudniamy ludzi, którzy skończyli zarządzanie na uniwersytetach Vanderbilt i Tulane, niemniej Paul okazał się jednym z najbardziej kompetentnych kierowników, jacy u mnie pracowali. Niezwykle bystry i oddany pracy. Urodzony przywódca.

Detektywi maglowali LeHavre'a przez następne pół godziny. Mimo gradu pytań mężczyzna nie przejawiał zmęczenia, wręcz ożył. Bez wątplenia dostrzegł szczerość zainteresowania członków Towarzystwa. Zapewne miał wrażenie, jakby wielki ciężar spadał mu z serca. W ciągu kilkudziesięciu minut zmienił się nie do poznania: zniknęła apatyczna rezygnacja, twarz się rozjaśniła, odpowiadał coraz bardziej szczegółowo i z energią. Przez wiele lat prowadził śledztwo zupełnie sam, wbrew policji najwidoczniej pragnącej ukręcić sprawie łeb. W pewnej chwili przerwał udzielanie odpowiedzi i ponownie podziękował detektywom.

— Muszę przyznać, że po tylu latach samotnych zmagani jestem poruszony państwa zainteresowaniem i wsparciem.

Podobne odczucia miało wiele osób, którym pomogło Towarzystwo Vidocqa, tyle że przedstawiciele organów porządku publicznego rzadko

27

się nimi dzielili. Siedzący dokładnie naprzeciwko LeHavre'a Fleisher cały się rozpromienił.

Około drugiej z sali zaczęło dobiegać szuranie krzesel. Fleisher zerknął znacząco na zegarek, podniósł wzrok i dał znak LeHavre'owi, że spo-

tkanie dobiegło końca.

Członkowie Towarzystwa kierowali różnymi agencjami, prowadzili własne dochodzenia albo musieli zdążyć na samoloty. Jeżeli określona sprawa ich szczególnie zafrapowała i chcieli stworzyć „grupę roboczą”, aby przeprowadzić dokładniejsze śledztwo, kontaktowali się z zainteresowanymi stronami później.

Fleisher podszedł do mównicy.

— Dziękuję wam za przybycie — zwrócił się do zebranych. — Mam nadzieję, że podsunęliśmy panu LeHavre'owi kilka nowych tropów i zbliżyliśmy go do rozwiązania, które pozwoli zatriumfować sprawiedliwości. Jak wiecie, pan LeHavre nie otrzymuje żadnej oficjalnej pomocy ze strony służb porządku publicznego, więc gdyby ktokolwiek miał ochotę zaangażować się w tę sprawę, proszę o kontakt.

Uśmiechnął się szeroko.

— Tymczasem — zwrócił się do LeHavre'a — w dowód uznania za odwagę wystąpienia przed naszym gronem chcielibyśmy podarować panu to najbardziej podstawowe narzędzie dedukcji.

Fleisher otworzył małe drewniane pudełko i wyjął z niego szkło powiększające z drewnianą rączką. Soczewka mignęła na ułamek sekundy, oświetlona wpadającymi przez okno promieniami słońca. Fleisher włożył lupę z powrotem do etui.

Wszyscy zaczęli podnosić się z miejsc.

— Zaczekajcie! — powstrzymał ich. — Frank chciałby jeszcze coś powiedzieć.

Bender podniósł się z miejsca. Czerń koszuli uwydatniała łysinę i siwą brodkę. Wszyscy usiedli z lekkim zniecierpliwieniem, choć dobrze wiedzieli, że wystąpienie Franka nie potrwa długo. O ile jego partner, Richard Walter, lubił przemawiać rozwlekłym, naukowym stylem, o tyle Bender raczej nie przebierał w słowach, wierny obyczajom filadelfijskich przedmieść. Muskularny artysta opuścił głowę; jego oczy zniknęły

28
w cieniu rzucanym przez masywne czoło. Uniósł rękę i wycelował palec prosto w LeHavre'a.

— Wiem, kto zabił Allaina — oświadczył spokojnie. — Ty. Na mój rozum to ty jesteś mordercą.

Na sali podniosła się wrzawa. Fleisher wstał i poprosił o spokój. LeHavre zbladł, ale nie odezwał się ani słowem. Oczy wszystkich zwróciły

się na Waltera, tyczkowatego mężczyznę w niebieskim garniturze, który wyszedł na środek sali i poprosił o ciszę.

— Panie i panowie — powiedział. — Mogę się co prawda mylić, niemniej jednak ostatni raz przydarzyło mi się to w 1949 roku.

Na sali rozległy się chichoty. Walter odwrócił się i spojrzał na LeHavre'a.

— Mojemu porywczemu przyjacielowi zdarza się wyciągać pochopne, niepoparte faktami wnioski, ale tym razem Frank Bender ma absolutną rację. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jesteś pan psychopata.

Profiler zdjął okulary, odstaniając małe niebieskie oczy, wpatrujące się złowrogo w LeHavre'a.

Walter spokojnie scharakteryzował mężczyznę jako klasyczny przykład człowieka, który najpierw utrzymywał kontakty seksualne z pracownikiem, a następnie go zamordował. LeHavre stał za mównicą z kamienną twarzą. Milczał.

— Pierwsze, co zwróciło moją uwagę — ciągnął Walter — to nieco rozdęte ego naszego gościa. W jego głosie wychwyciłem skrywaną pod płaszczkiem męskości zniewieściałość, a ten drobiazg skłonił mnie od razu do spojrzenia na niego z innej strony i dostrzeżenia jego prawdziwej natury. Na podkreślenie tych słów Walter uniósł lewą brew.

— Przyglądając się zdjęciom ofiary, młodego, bardzo przystojnego mężczyzny, zrozumiałem naturę przyjaźni, jaka ich łączyła, przynajmniej przez jakiś czas. Mieliśmy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem związku młodego, urodziwego mężczyzny i starszego, ale mniej atrakcyjnego szefa. Związku, w który wkradła się zazdrość. Nie zapominajmy wszakże, że szef ma nad pracownikiem władzę, jako że decyduje o jego zarobkach. Walter uniósł głowę i spojrzał na żyrandol, jakby szukał tam natchnienia.

29

— Jeżeli przeanalizujemy takie relacje — podjął — napotkamy wiele sytuacji, w których osoba stojąca niżej w hierarchii nie ma odwagi przeciwstawić się partnerowi. Rzadko się zdarza, aby mógł z tego powstać trwały związek, zwłaszcza w świecie homoseksualnym. Niemal zawsze prędzej czy później młodszy z partnerów dopuszcza się zdrady, oszukuje lub zaczyna szukać nowego towarzysza. Spotyka go za to kara oparta na następującym rozumowaniu: „Skoro nie może być mój, nie pozwolę, aby związał się z innym”.

— To jakieś bzdury — stwierdził cicho LeHavre, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Podniósł notatki, z których korzystał podczas prezentacji, i zaczął się wycofywać w kierunku drzwi.

— Trudno przede wszystkim zrozumieć, dlaczego bramkarze mieliby zabić Allaina — kontynuował Walter. — Po co? Bramkarze nie zabijają ludzi, tylko wyrzucają ich na ulicę. Pan LeHavre chciał zaspokoić pragnienie władzy i kontroli, dlatego od lat podsuwa policji fałszywe tropy. Uważa się za przebieglejszego od wszystkich.

Walter uśmiechnął się.

— Ryzykowna gra „złap mnie, jeśli potrafisz” sprawiała mu przyjemność. Byliśmy dziś świadkami aroganckiej i próżnej próby zabłyśnięcia przed salą pełną policjantów.

— Pierwsza zasada mówi, że morderstwo trwa, dopóki morderca nie postanowi inaczej... a pan próbuje przedłużyć przyjemność z zabicia tego człowieka, wykorzystując nasz czas. A jednak poniósł pan klęskę. Morderstwo doskonale miało zrekompensować porażki w innych dziedzinach. Jest pan może przebiegły, ale na pewno nie mądrzejszy od nas.

LeHavre odwrócił się w drzwiach.

— Nie ma pan żadnych dowodów — powiedział. — Absolutnie żadnych. Skontaktuje się z panem mój prawnik.

Walter spojrział na niego znad okularów.

— Musiało to być dla pana źródłem satysfakcji przez te wszystkie lata.

— Biedak nie zabrał nawet szkła powiększającego — zauważył później Fleisher, kiedy opuszczał salę w towarzystwie kolegów. — No i co? Mówiłem wam przecież, że sprawa zasługuje na uwagę — dodał, wykrzywia-

30

jąc brodatą twarz w uśmiechu. Bender wyszczerzył zęby, a Walter zerknął gniewnie na kolegów.

— Kolejny lunch i jeszcze jeden wykryty morderca — stwierdził Bender. Fleisher przyznał, że czuł się nieswojo, słuchając zarzutów stawianych przez Waltera LeHavre'owi.

— Trudno byłoby udowodnić twoją tezę — powiedział.

— Nie byłbym tego pewien, Bill — odparł Walter. — Pozbawiliśmy go przyjemności, jaką obiecywał sobie po dzisiejszym wystąpieniu. Pragnienie dominacji nie zostało zaspokojone, a jeśli nie potrafi zrekompensować go wspomnieniami, zamorduje ponownie.

Rozdział 3

Rycerze barowego stolika

Po lunchu członkowie Towarzystwa Vidocqa opuścili osiemnastowieczną karczmę i rozbiegli się wąskimi, brukowanymi uliczkami, aby zdążyć na samoloty do Arizony, Anglii, Egiptu, Francji i jeszcze bardziej odległych zakątków świata. Fleisher, Bender i Walter udali się z kolei do pobliskiego baru. „Zostanie wykryta zbrodnia, oto moje zdanie”, pisał Chaucer w *Opowieściach kanterberyjskich**. „W rzeczywistości świat jest bardziej skomplikowany”, zwykł mawiać Walter.

— Bzdury opowiadasz! — gorączkował się Fleisher. Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach odwrócili głowy. — LeHavre jest niewinny, dopóki nie udowodnimy mu morderstwa. A samymi przeczuciami policji nie przekonasz.

Brodata twarz potężnie zbudowanego mężczyzny poczerwieniała z emocji. W potyczkach słownych, na przykład podczas przesłuchań, górę brał jego wybuchowy, zmienny temperament. Fleisher przerażał, rozczulał, bawił. Bywał lojalnym przyjacielem, drażniącym sceptykiem, oszustem, prowokatorem — w poszukiwaniu prawdy był gotów na wykorzystanie każdej dostępnej taktyki.

O tym, która sprawa ostatecznie trafi na forum Towarzystwa Vidocqa, decydowali założyciele po konsultacjach z zarządem. W skład tego

* G. Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie*, tłum. H. Pręczkowska, Wrocław 1963, s. 278.

32

ostatniego wchodził: zastępca prokuratora okręgowego, oficer wywiadu marynarki, dyrektor ds. bezpieczeństwa Sun Oil Company, agent Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, oficer śledczy z filadelfijskiego wydziału zabójstw oraz profesor anglistyki, szekspirolog i specjalista od literackiej analizy alarmów bombowych i listów pozostawianych przez samobójców. Fleisher pełnił podwójną funkcję przewodniczącego i prezesa zarządu. Z ogromną wprawą od ćwierćwiecza prowadził Towarzystwo przez meandry stanowej biurokracji. Bez jego aprobaty żadna sprawa nie mogła zostać zaprezentowana na comiesięcznym lunchu.

Łysiejąca głowa Bendera poczerwieniała, zupełnie jak wtedy, gdy starzy policjanci wyjadacze kwestionowali prawomocność wniosków, do których dochodził na podstawie wizji.

— Bill, ja po prostu wiem, że LeHavre jest zabójcą — przekonywał. —

Po prostu to wiem. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? W starej stocznicy? Jakiś facet wstał i zaczął przemawiać, a ja powiedziałem: „Gość jest rosyjskim szpiegiem. Czuję to”. I miałem rację!

Fleisher przewrócił oczami. Walter przyglądał się rzeźbiarzowi przez okulary w rogowej oprawie, jakby zobaczył osobnika nieznanego gatunku.

— Możesz mieć akurat rację, Frank, ale nie powinieneś wypowiadać się o czymś, na czym się do końca nie znasz. Rozumujesz w sposób nieustrukturyzowany. Przypominasz bąka puszczonego w wannie!

Szczupły mężczyzna parsknął, widząc purpurowiejącego Bendera. Fleisher zaśmiał się i pokręcił głową. „Zdumiewające, że pozostajemy przyjaciółmi, mimo wszystkich różnic, które w innych warunkach w każdej chwili mogłyby doprowadzić do rozpadu znajomości”, pomyślał. Z połączenia dedukcji Waltera oraz intuicji Bendera z jego zdolnościami przywódczymi i śledczymi zrodził się triumwirat Wielkich Detektywów. Razem dysponowali zdolnościami niedostępnymi w zasadzie dla żadnego człowieka.

„Richard to nasz Sherlock Holmes”, opowiadał Fleisher głosem wyrażającym autentyczny podziw. „Nie znam nikogo, kto dorównywałby mu zdolnością dedukcyjnego myślenia. Jeśli chodzi o Franka, to Bóg jeden wie, w jaki sposób dochodzi do swoich wniosków. Ja z kolei jestem grubym

33

żydowskim dzieciakiem, który za młodu naczytał się obrazkowych kryminałów i wymarzył sobie, że pewnego dnia zostanie detektywem”.

Fleisher uważał za całkowicie naturalny fakt, że postać pierwszego wielkiego amerykańskiego detektywa narodziła się w Filadelfii, zaledwie kilka mil od miejsca, w którym właśnie siedzieli — w kamienicy przy Spring Garden Street, gdzie w 1841 roku Edgar Allan Poe napisał pierwsze w historii opowiadanie detektywistyczne — Zabójstwo przy rue Morgue — z pierwszym fikcyjnym detektywem C. Augustem Dupinem.

Poe stworzył nowy typ bohatera. Twierdził, że wzorował się na życiu Vidocq'a, którego pamiętniki (napisane rzekomo we współpracy z zaprzyjaźnionym z nim Balzakiem) uzyskały w 1829 roku status bestsellera po obu stronach Atlantyku. C. August Dupin był mrocznym ekscentrykiem i mistrzem dedukcji potrafiącym przechytrzyć policję. Dupina charakteryzowała „osobliwsza zdolność analityczna (...). Zdawało się, iż wykazywanie jej (...) sprawiało mu jakąś żywą rozkosz (...). Chełpił się przede mną głosem, w którym odzywał się poszmer radosnego śmiechu, iż więk-

szość ludzi miewa dla niego w swych piersiach okienka, i miał zwyczaj stwierdzać prawdziwość swoich słów bezpośrednimi zdumiewającymi dowodami". Była to literacka charakterystyka Vidocq'a, a postać Dupina stała się inspiracją do stworzenia Sherlocka Holmesa i wszystkich późniejszych literackich detektywów.

Dupin był archetypem, który znalazł ucieleśnienie w osobie Richarda Waltera.

„Tylko najwyższej klasy morderca mógłby przechytrzyć mnie, Franka i Billa”, twierdził Walter. „Jeżeli sprowadzi nas do parteru, będziemy walczyć na kolanach. Jeżeli przyciśnie nas do ziemi, okręcimy się na jajach — a jaja mamy ze stali”.

Tym razem Fleisher spojrzął gniewnie na przyjaciół.

— Dochodzenie w sprawie tego morderstwa nieprzypadkowo już wiele lat temu utknęło w martwym punkcie. Z górki to mają bohaterowie seriali telewizyjnych. W realnym świecie potrzebna jest współpraca rodziny

* E.A. Poe, *Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze*, tłum. S. Wyrzykowski, Poznań 2010, s. 346.

34

ofiary, zaangażowanie policji i korzystna sytuacja polityczna — wyliczał na palcach kolejne czynniki. — Poza tym jeszcze błyskotliwy detektyw. No i szczęście. W tym wypadku spełniony został jeden warunek z pięciu. Walter spojrzął niechętnie na Fleishera. Profiler i agent federalny darzyli się wielkim szacunkiem, dzieliły ich jednak zasadnicze różnice filozoficzne. Walter uważał Fleishera za znakomitego funkcjonariusza agencji federalnej, ale człowieka o naiwnym poglądzie na naturę zła. Fleisher podziwiał u Waltera analityczne podejście do zła, niemniej jego makiaweliczny stosunek do ludzkiej natury kłócił się z właściwą Fleisherowi wielkoduszością i nadzieją na odkupienie dla wszystkich ludzi.

„Cały Fleisher”, pomyślał Walter, słysząc analizę przyjaciela. „Stereotypowy do bólu”.

Walter zerknął na Bendera. Artysta wyglądał, jakby zdążył już zapomnieć o sprawie LeHavre'a i odpłynął myślami gdzie indziej. Trzymając w dłoni filiżankę espresso, skierował orzechowe oczy w kąt sali, z którego dobiegał śmiech młodych kobiet. Fleisher zerknął w tamtą stronę.

— Gdyby kiedykolwiek przestało mnie to podniecać, zastrzel mnie, proszę — zażartował.

Wyrwany z zadumy Bender zachichotał.

Walter kierował się w życiu rygorystycznym, przestarzałym kodeksem honorowym, a Bendera uważał za swoje przeciwieństwo — człowieka niespecjalnie przejmującego się zdaniem innych i obdarzonego przebiegłością graniczącą z socjopatią. Razem dostrzegali aspekty spraw, które uchodziły uwagi innych detektywów, również Fleishera. Choć przyjaźń między całą trójką narodziła się dzięki szalonemu Benderowi — czarodziejowi obdarzonemu zdolnością widzenia przeszłości i przyszłości — Walter miał nieustannie poczucie, że artysta robi wszystko, aby ich poróżnić. Bender był narcyzem i manipulatorem, nawet jego nazwisko pasowało do charakteru* — naginał reguły i czas, granice śmierci i małżeńskiego łoża. „Frank to intrygant”, tłumaczył Walter. „Według niego nasze motto brzmi: «Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — czyli za mnie!»”.

Bender — od ang. czasownika to bend — przechylać, naginać.

35

Mimo to we trzech współdecydowali o działalności Towarzystwa Vidocqa. Żadna sprawa nie trafiła na klubową wokandę bez zgody Bendera, Waltera lub Fleishera. Nie mogli jednak zapominać, że nie są w stanie rozwiązać każdego przypadku. Nie dysponowali formalnymi możliwościami przesłuchiwania świadków i podejrzanych, aresztowania lub prowadzenia śledztwa. Towarzystwo Vidocqa miało jedynie służyć radą policji i ofiarom przestępstw, jeżeli tego rodzaju wsparcie było potrzebne. „Odnosimy sukces, jeśli pomożemy posunąć sprawę do przodu”, powtarzał Fleisher. Na początku chcieli po prostu stworzyć klub dla detektywów i mieć z tego frajdę.

Jeszcze zanim dopili kawę, Walter i Bender doszli do wniosku, że Antoineowi LeHavre'owi — jeżeli rzeczywiście to on dopuścił się zbrodni — morderstwo mimo wszystko ujdzie na sucho. Przynajmniej z ich strony nic mu nie groziło.

Część druga

Czterej chłopcy

Rozdział 4

A małe chłopię prowadzić ich będzie

W sobotę 23 lutego 1957 roku zimny deszcz bił w pustą wiejską drogę na północnym skraju Filadelfii. Porastające pobliskie pole chwasty i powoje przesłaniały stare, tekturowe pudło leżące za rzędem drzew. W pudle spoczywał mały, drobny, niebieskooki chłopiec. Był nagi, rączki miał ułożone wzdłuż tułowia niczym jakiś zapomniany egipski królewicz. Za sarkofag

posłużyło mu firmowe pudło domu towarowego J.C. Penney wykonane z tektury falistej, długie na metr i szerokie na czterdzieści pięć centymetrów. Widniał na nim napis: „OSTROŻNIE! NIE RZUCAĆ!”. Ktoś rzeczywiście zadbał o zachowanie wszelkich środków ostrożności.

Chłopiec został umyty i owinięty w szorstki koc z tradycyjnym wzorem plemienia Nawaho, zupełnie jakby ktoś przygotował go do przejścia w zaświaty. Miał niedbale przystrzyżone włosy i starannie obcięte paznokcie. Padł ofiarą pradawnego rytuału mającego pozbawić go niewinności i piękna w serii najstraszliwszych tortur; odrażającego połączenia miłości i czułości ze zdradą, męczarniami i przerażeniem, zwieńczonymi grozą zadawanego mordy, który sam w sobie musiał być niezwykłym przeżyciem dla zabójcy lub zabójców.

W rytuale tym, mylonym często z praktykami satanistycznymi, nie oddawano czci ani Bogu, ani diabłu. W malowniczej wschodniej Pensylwanii połowy lat pięćdziesiątych XX wieku, czyli za czasów prezydenta Dwighta Eisenhowera, nikt nie potrafił pojąć sensu tak makabrycznego

38

mordu. Całą powierzchnię drobnego ciała pokrywały stłuczenia i głębokie nacięcia.

Chłopiec miał zaledwie dziewięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, mimo to nie zmieścił się w tekturowej trumnie i jego ciało zostało lekko zgięte. Spod uchylonego wieka wyzierała głowa, a martwe oczy wpatrywały się w niebo. Krety drążyły tunele pod dzikimi trawami, które wyrosły wokół pudła. Myszy i owady gromadziły się w pobliskich zaroślach, zwabione zapachem krwi.

Chłopiec leżał niecałe pięć metrów od jezdni, ale przez długi czas nikt go nie zauważył. Na wąskiej, jednopasmowej drodze panował spokój. Przylegające do niej pole było jedną z ostatnich zielonych plam na mapie miasta. Otaczały je szpitale, posterunki policji i tysiące domów tworzących przedmieścia Filadelfii. Niezabudowane tereny prawie się nie zmieniły od czasów, gdy wokół gospody Fox Chase słychać było tętent koni kolonistów, a spuszczone ze smyczy ogary osaczały zwierzynę. Od czasu do czasu jakiś samochód przejeżdżał drogą na południe, między spowitymi mgłą lasami i polami, zmierzając w stronę Verree. Gdy zniknął w oddali, na drodze ponownie zapadała cisza.

Ktoś rozmyślnie wybrał dla chłopca tak mało uczęszczane miejsce.

Mimo dość wysokiej jak na luty temperatury, zaciął lodowaty deszcz.

Dookoła panował spokój, jakby przyroda na coś wyczekiwała. W ciągu kilku lat na pole nie spadło wiele śniegu, zbliżał się jednak czas potężnych burz. W powietrzu wyczuwało się już nadchodzące zmiany klimatyczne, wywołane trzydziestoletnim cyklem oceanicznym, które miały uczynić z lat sześćdziesiątych najbardziej śnieżną dekadę XX wieku.

W zimnym powietrzu ciało rozkładało się bardzo powoli. Nie zostało jeszcze naruszone przez zwierzęta. Chmury przepływały po niebie, a słońce wysuszyło oczy i twarzyczkę chłopca. Przyszła noc. Na południu zabłysnął Orion-myśliwy. Jasno świecił Jowisz. Nad polem zapadła ciemność i cisza. Usta chłopca były białe niczym tarcza księżycy unoszącego się na morzu gwiazd zimowego nieba. Wzeszło słońce, ale nawet ono nie ogrzało dziecka. Leżało nieruchomo, a jedyną zmianą był proces spływania ściąganej siłą grawitacji krwi w niższe partie ciała.

39

Tamtej soboty mieszkańcy Filadelfii wsiedli do samochodów i pojechali na północ do miejskiego parku leżącego na terenie, który tak urzekł ornitologa i przyrodnika Johna Audubona ponad sto lat wcześniej. Jakiś ksiądz skręcił do Przymuliska Dobrego Pasterza dla „wykolejonych dziewcząt”, stojącego pośrodku pustego pola po przeciwległej stronie drogi. Po południu tą samą drogą jechał na rowerze John Stachowiak, zmierzając na trening koszykówki w katolickim gimnazjum. Zatrzymał się, zostawił rower przy rosnących wzdłuż drogi drzewach i wszedł na pole.

Był spięty, ale jednocześnie podekscytowany. Osiemnastoletni Stachowiak, syn polskich imigrantów słabo mówiących po angielsku, trudnił się traperstwem. W poprzednich latach rozstawiał w lesie i na polu dzięwności pułapek na piżmaki. Mieszkał w pobliżu, więc mógł łatwo sprawdzić, czy coś się w nie złapało. Jednak tamtego roku ich nie zastał, mimo że sezon na piżmaki miał się ku końcowi. Zaprzestał kłusownictwa, odkąd jego starszy brat znalazł w pobliskim lesie człowieka, który powiesił się na gałęzi. Błady, dyndający w powietrzu trup prześladował go w snach, podobnie jak wystraszone twarze rodziców, kiedy ich dom odwiedził policjant, aby przesłuchać brata w sprawie samobójcy. Uciekinierzy zza Żelaznej Kurtyny żyli w ciągłym strachu, jakby nadal obawiali się Stalina i NKWD.

Gęste zarośla ciągnące się wzdłuż drzew przy drodze stanowiły znakomitą kryjówkę dla małych zwierząt. W pewnym momencie nastolatek stanął jak wryty. Dwie z jego pułapek zostały nastawione! Kto się nimi

bawił? Przypomniawszy sobie o samobójcy i przeszły mu ciarki po plecach. Już miał zawrócić, kiedy zauważył w plątaninie powojów prostokątne pudło. Ludzie często zostawiali na polu niepotrzebne rzeczy. Ciekawe, co jest w środku, pomyślał. Chwycił pudło z jednej strony i spróbował je unieść, ale było za ciężkie i musiał je położyć z powrotem na ziemi. Obszedł je dokoła, wpatrując się uważnie w uchylone wieko. Stachowiak zrezygnował z treningu koszykówki i wrócił prosto do domu, obiecując sobie, że nie powie bratu, rodzicom ani nikomu innemu o tym, co zobaczył. Nie chciał, aby do ich domu wrócili policjanci i ponownie wystraszyli rodzinę. Dwa dni później, w poniedziałkowe popołudnie 25 lutego, Frank Guthrum, student pierwszego roku na Uniwersytecie LaSalle wracał do domu

40 z zajęć. Zatrzymał samochód przy drzewach na polu. Guthrum miał dwadzieścia kilka lat, a ponieważ był starszy od większości kolegów, nie bardzo potrafił się przystosować do akademickiego życia. Dwa tygodnie wcześniej, 11 lutego, przejeżdżając tą samą drogą, musiał ostro przyhamować, aby nie przejechać przebiegającego przed maską królika. Coś go wtedy podkusiło, aby pobiec za nim w zarośla. Stracił zwierzę z oczu, natknął się jednak na dwie stalowe pułapki i postanowił je nastawić. Kiedy dwa tygodnie później wrócił w to samo miejsce kwadrans po trzeciej, wciąż było wystarczająco widno.

Ku jego rozczarowaniu stalowe szczęki były puste. Niecałe pięć metrów od drogi, w miejscu przecięcia ścieżek, natknął się w zaroślach na osobliwe długie tekturowe pudło. Guthrum nachylił się i zobaczył małą główkę — była zupełnie biała, jakby wykonano ją z porcelany. W pudełku znajdowała się chudziutka postać.

Lalka. Duża lalka. Dostrzegł pokrywające główkę siniaki oraz przycięte blond włosy. To nie lalka.

Gunthrum wszedł do auta i pojechał szybko do domu. Wieczorem opowiedział o wszystkim bratu, który był księdzem, postanowił jednak nie dzwonić na policję. Nie chciał zostać zamieszany w żadną sprawę, ponieważ policja i tak miała go już na oku. Dopiero co oskarżono go o podglądactwo. Rzekomo udawał, że goni po lesie za królikami, a tak naprawdę miał podglądać „wykolejone dziewczęta” w Przytulisku Dobrego Pasterza. Kolejne przesłuchanie mogło mu tylko zaszkodzić.

Następnego dnia rano, we wtorek 26 lutego, w drodze na uczelnię Guthrum usłyszał w radiu, że policja poszukuje niejakiej Mary Jane Bar-

ker, która prawdopodobnie została porwana. Czteroletnia dziewczynka zniknęła w Bellmawr w stanie New Jersey, czyli w mieście leżącym po przeciwnej stronie rzeki. Na uczelni skonsultował się z dwoma opiekunami i ponownie porozmawiał z bratem. Ksiądz powiedział: „Sam dobrze wiesz, co powinieneś zrobić”. O dziesiątej dziesięć rano Guthrum zadzwonił na policję.

Filadelfijski wydział policji mieścił się w kamiennym gmachu miejskiego ratusza zbudowanego w stylu drugiego cesarstwa francuskiego. Nad wejściem prowadzącym do części sądowej widniała płaskorzeźba

41

przedstawiająca Mojżesza. Mimo staroświeckiego wyglądu siedziby filadelfijska policja była jedną z najnowocześniejszych jednostek w Stanach Zjednoczonych. Patrole jeździły czerwonymi chevroletami rocznik 1955 z drewnianymi wykończeniami, jednymi z pierwszych niezwykle wytrzymałych radiowozów zaprojektowanych specjalnie na potrzeby policji.

Zaraz po odebraniu zgłoszenia Guthruma sierżant Charles Gargani z wydziału zabójstw nadał wiadomość do wszystkich radiowozów: „Odszukać tekturowe pudło w zagajniku przy Susquehanna Road, naprzeciwko przytuliska dla samotnych młodych matek. W środku mogą znajdować się ludzkie zwłoki lub lalka...”.

Policjant Sam Weinstein z irytacją wysiadł z radiowozu prosto w zimny deszcz i ruszył przez błotniste pole. Był pewien, że niczego ciekawego nie znajdzie. Weinstein, barczysty mężczyzna o kwadratowej głowie i szerokim nosie, miał trzydzieści lat, żonę i dwójkę dzieci. Choć w policji był żółtodziobem, zdążył wyrobić sobie w wydziale opinię porywczego twardziela. Podczas drugiej wojny światowej uczestniczył w walkach na Pacyfiku. Jego ojciec został zamordowany jeszcze przed narodzinami Sama, a matka zmarła, ledwie nauczył się chodzić. Zaopiekowali się nim wujostwo mieszkający w jednej z południowych dzielnic Filadelfii. Byli luteranami, ale spełnili prośbę matki i wychowali go w wierze żydowskiej. Weinstein był opryskliwy, co nie podobało się nikomu poza jego kumplami.

Przed sobą dostrzegł funkcjonariusza Elmera Palmera, również żółtodzioba. Zawołał coś miłego na powitanie, ale Palmer ze zboląłą twarzą stał w milczeniu obok przekrzywionego pudła.

Weinstein zajrzał do środka i zachwiał się na nogach. Sceny cierpienia i śmierci były dla niego chlebem powszednim, ale nigdy jeszcze nie wi-

dział zamordowanego dziecka. Mało który filadelfijski policjant w latach pięćdziesiątych XX wieku miał za sobą takie doświadczenie. Mordowano dorosłych, a sprawcami byli zazwyczaj znajomi ofiar — zazdrośni małżonkowie albo byli partnerzy. Od czasu do czasu znajdowano na polach trupy starych, śmierzących ginem włóczęgów.

Do coraz liczniejszego wianuszka ludzi otaczających ciało dołączyło w końcu dwóch odzianych w ciemne płaszcze i kapelusze policjantów

42
z wydziału zabójstw oraz doktor Joseph Spelman, główny lekarz sądowy Filadelfii. Na miejsce zjeżdżali kolejni oficerowie śledczy i policjanci. Kapitan rozkazał przetrząsnąć pole w poszukiwaniu dowodów. Pięć metrów od ciała znaleziono niebieski męski kaszkiet w rozmiarze M.

Przyjechała karetka. Weinstein zaofiarował się, że wyjmie chłopca z pudła.

— Rany i stłuczenia widoczne na całym ciele — ocenił doktor Spelman. Stłuczenia zbyt rozległe, a rany zbyt głębokie, aby dzieciak mógł się ich nabawić, spadając z roweru.

Siniaki pokrywające głowę wyglądały jak odciski palców dorosłego, który próbował przytrzymać główkę dziecka podczas strzyżenia. Dziecko padło bez wątplenia ofiarą przemocy, niemniej lekarz oświadczył, że dopiero sekcja pozwoli na ustalenie przyczyny śmierci.

Weinstein trzymał dziecko, instynktownie próbując osłonić je przed deszczem. Poczul wzbierający w nim gniew. W oczach Palmera dostrzegł tę samą wściekłość: „Ktokolwiek to zrobił, powinien się smażyć w piekle”. Weinstein nie potrafił zrozumieć, jak można dopuścić się takiego czynu. Nikt nie potrafił sobie tego wyobrazić. Śledczy snuli przypuszczenia, że matka lub ojciec — jacyś biedni i doprowadzeni do ostateczności ludzie — stracili nad sobą panowanie podczas kąpieli. Potem zamierzali urządzić dziecku skromny pogrzeb, bo na lepszy nie było ich stać, ale ktoś im przeszkodził. Martwy chłopiec symbolizował nowy świat, którego policjanci nie potrafili pojąć.

Przestępcy się zmieniali. Wszystko się zmieniało. Miesiąc wcześniej Pat Boone śpiewał na inauguracji prezydenta Eisenhowera, a za kilka tygodni tysiące fanów miały się zebrać w Filadelfii na koncercie Elvisa Presleya. Stary porządek umierał i rodził się nowy. W styczniu tamtego roku w Los Angeles zmarł Humphrey Bogart, ikona tradycyjnej męskości. W tym samym tygodniu firma Wham-O wyprodukowała pierwsze frisbee, ku

rozrywce nowego, wyzwolonego pokolenia. W społeczeństwie wzbierały potężne prądy, a ludzie mieli poczucie, że świat wywraca się do góry nogami. Wolność i autentyczność stały się hasłami nadchodzącej Ery Wodnika. Rozprawiano się z dotychczasowymi niesprawiedliwościami, rozbijano bariery, dopuszczano do głosu skrywane głęboko pragnienia.

43

Również zabójcy korzystali z nowej swobody, poszukując głębszych i prawdziwszych poziomów tożsamości.

Policjant spojrział w niebieskie oczy chłopca. Były nieruchome i odbijało się w nich jego własne spojrzenie. Ogarnął go smutek, jednak w głowie pojawiały mu się myśli, których nie potrafił wytłumaczyć. „Zobaczyłem w tych oczach niewyobrażalny ból i przerażenie”, opowiadał później. Mała twarzyczka zdawała się krzyknąć: „Dlaczego do tego doszło? Dlaczego ktoś mi to zrobił?”

Spojrzenia Weinsteina i Palmera ponownie się spotkały. Wyrażały to samo: „Złapiemy skurwiela, choćby nie wiem co”.

Kim jednak był morderca? Policja musiała znaleźć odpowiedzi na wiele trudnych pytań. Weinstein był człowiekiem dumnym i nie było mu łatwo przyznać przed samym sobą, że nie potrafi czegoś wytłumaczyć. Przeszło mu przez myśl, że być może nigdy nie pozna odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania, że nie zdoła znaleźć sprawcy. Ogarnęła go rezygnacja.

Trzasnęły drzwi karetki. Weinstein patrzył w szare lutowe niebo i padający na pole deszcz.

Rozdział 5

Policjanci i złodzieje

Chłopiec włożył pięciocentówkę do chromowanego otworu i westchnął z zachwytem, kiedy szklane drzwiczki otworzyły się, odsłaniając kawałek ciasta. Jego ojciec zakręcił korbą ozdobnej „maszyny do napojów”, a z głowy delfina, wyrzeźbionej na wzór fontanny z Pompejów, wytrysnęła kawa. Obiad z ojcem w Horn and Hardart w Filadelfii, pierwszej restauracji typu fast food w Stanach Zjednoczonych, był dla niego sporym wydarzeniem. „Fajny ten automat”, pomyślał. Urządzenie było olśniewającym osiągnięciem współczesnej techniki. Robiło na nim równie duże wrażenie jak radio tranzystorowe i elektroniczny zegarek ojca. Automat — szklany pałac wypełniony makaronem z klopsikami i serem — był inspiracją dla znanej piosenki Irvinga Berlina Let's Get Another Cup of Coffee. Oj-

ciec chłopca gwizdał ją w czasie Wielkiego Kryzysu, a teraz była tematem muzycznym programu telewizyjnego Father Knows Best.

William (Billy) Fleisher przez cały tydzień nie mógł się doczekać weekendu. W każdą sobotę 1957 roku szedł rano z mamą na zakupy, a pozostałą część dnia spędzał z ojcem. Wsiadali do wielkiego buicka sedana rocznik 1953 i jechali odebrać wczesne wydanie niedzielnych gazet. Jego ojciec, doktor Herbert Fleisher, po powrocie z wojny i zakończeniu służby w marynarce wojennej otworzył gabinet dentystyczny w Nash Building. Ten obdarzonym błyskotliwym umysłem, wysoki, ciemnowłosy, przystojny mężczyzna mógłby uchodzić za sobowtóra Roberta Taylora, którego Billy widział w roli Lancelota w Rycerzach Okrągłego Stołu z 1953 roku,

45
u boku Avy Gardner jako Ginewry. „Bulletin” określił Herberta Fleishera mianem najlepiej ubranego mężczyzny w Filadelfii. Niemal wszyscy czytali „Bulletin” i wszyscy szanowali Herberta Fleishera. Billy chciał zostać kimś takim.

Jego ojciec siedział naprzeciwko, jak zwykle w szelkach i getrach, zaczytany w niedzielnym wydaniu „Bulletinu”, a Billy jadł swoją ulubioną smażoną wołowinę ze szpinakiem. Ojciec mierzył metr dziewięćdziesiąt, Billy metr sześćdziesiąt. Miał jeszcze urosnąć czternaście centymetrów.

— Nie zachowuj się jak wieśniak — skarcił go mężczyzna.

Billy skulił się ze wstydu. Uwielbiał słuchać ojca, kiedy ten opowiadał o swoich przyjaciółach. Prawnikach. Politykach. Artystach. Graczach obstawiających gonitwy na wyścigach konnych. Bukmacherach. Hazardzistach. Klub nocny Celebrity Room, w którym się z nimi spotykał, należał do jego dobrej znajomej, a jednocześnie pacjentki, pięknej tancerki rewiowej Lilian Reis, „Tygrysicy Lii”. Tygrysica Lii spotykała się ze znanym gangsterem Ralphem Juniorem Staino, szefem słynnego gangu K&A (od nazw filadelfijskich dzielnic Kensington i Allegheny), najbardziej sztywnej grupy włamywaczy w kraju. Skoki na sklepy jubilerskie urządzali w garniturach i pod krawatami.

Tygrysica Lii została oskarżona o zorganizowanie napadu, w wyniku którego potentat węglowy John B. Rich z Pottsville stracił 478 tysięcy dolarów, ale ostatecznie ją uniewinniono, kiedy główni świadkowie oskarżenia utonęli lub zginęli w eksplozjach samochodów. Ojciec Billy ego mawiał, że miała ładne zęby.

— Ale z ciebie niedorajda — powiedział ojciec.

Matka Billy'ego, Esther, często przypominała, w jaki sposób jego ojciec zareagował na wiadomość o kolejnej ciąży żony. „Masz syna i córkę, co byś chciał tym razem?”, pytali go stali bywalcy klubu Celebrity Room. Herbert Fleisher odpowiedział: „Owczarka niemieckiego”.

W porównaniu ze starszym rodzeństwem, Ellisem i Glorią, Billy wyglądał jak wybrakowany model. Ellis przypominał ojca: był wysoki, przystojny i inteligentny. „Najwyraźniej wdałeś się w moją babkę”, powiedział Billy'emu ojciec. Jego prababcia miała równo półtora metra wzrostu.

46

Ojciec miał rację. Był śmieciem. „Przynosisz mi wstyd”, słyszał co chwila. Billy kiepsko się uczył i regularnie wdawał się w pyskówki i bójki. W niczym nie przypominał innych dzieci: nie kibicował drużynie bejsbolowej Philadelphia Phillies, nie czytał podręczników, nie oglądał telewizji. Nienawidził familijnego serialu komediowego Leave It to Beaver, a ojciec nie zabierał go do kościoła. Każdą wolną chwilę Billy poświęcał na czytanie czasopism detektywistycznych.

W sobotnie poranki, przed wyjściem z matką na targ, bawił się z kuzynami Markiem i Glennem. „Po jakimś czasie zaczynaliśmy się tłuc. Potem wychodziliśmy na dwór, rzucaliśmy petardy na werandy domów, strzelaliśmy zapałkami w mrowisko i robiliśmy inne tego rodzaju numery”. Kuzyni byli jego jedynymi przyjaciółmi. „Nawet gdybym jadł pięciocentówki i srał dwudziestopięciocentówkami, i tak nikt by mnie nie lubił”, myślał. Po zapadnięciu zmroku wsiedali z ojcem do jego buicka. Jechali przez miasto, mijając pogrążone w całkowitym mroku zaułki i częściowo oświetlone domy. Kiedy Billy był młodszy, matka straszyla go: „Jak będziesz rozrabiać, przyjdzie Seymour Levin i cię zabierze”.

Seymour Levin był grubym, pryszczatym chłopakiem w okularach, którego wszyscy się bali, mimo że nie mieszkał już w okolicy. 9 stycznia 1949 roku szesnastoletni Levin poszedł z dwunastoletnim Ellisem Simonsem do kina na Noc w operze. Po filmie zaprosił kolegę do domu, żeby pobawić się „małym chemikiem”. Ellis rzucił okiem na zestaw i powiedział: „Mam w domu lepsze próbówki”. Seymour był bardzo dumny ze swojej zabawki, więc chłopcy zaczęli się bić. Seymour przyniósł z kuchni nóż, kazał się Ellisowi rozebrać, zgwałcił go, a następnie zadał mu ponad pięćdziesiąt ciosów w serce, twarz, plecy i resztę ciała. Związał ręce i nogi ofiary sznurem do suszenia bielizny, przeciągnął ciało przez dom, podwórko i porzucił je za garażem.

Seymour w każdej chwili mógł wyjść z więzienia.

Policjanci mówili, że w ciele Ellisa nie została ani jedna kropla krwi.

Matka odnosiła się do Billy ego chłodno, ale nie z takim dystansem jak ojciec.

47

Pewnej soboty zostawiła go samego na targowisku Penn Fruit Company i weszła między kramy. Billy słyszał mrozące krew w żyłach opowieści o dzieciach zostawionych bez opieki na targu. Bohaterem najbardziej znanej był Steven Damman, którego matka zostawiła z laską lukrecji w sklepie spożywczym na Long Island i kazała mu pilnować braciszka. Kiedy wróciła, w sklepie znajdował się tylko wózek z niemowlęciem — Steven i laska lukrecji zniknęli. Nigdy więcej ich nie widziano.

Billy się nie bał. Był starszy niż Damman i potrafiłby się obronić, poza tym uwielbiał chodzić z matką na targ. Rozkoszując się zapachami rozłożonych na straganach jabłek, gruszek, pomarańczy i ziemniaków, tracił zupełnie głowę. Otaczające go aromaty uważał za najwspanialsze na świecie, ponieważ przypominały mu dziadka Sola, największego hurtownika ziemniaków i cebuli w Filadelfii. Dziadek był najlepszym przyjacielem Billy ego, a jego dom oazą miłości i bezpieczeństwa.

Sol tak naprawdę nazywał się Solomon Tredwell, ale wszyscy mówili na niego Uśmiechnięty Jim, Król Ziemniaków. Sol był człowiekiem przyjaźnie usposobionym do innych, a przezwisko Uśmiechnięty Jim przejął od przystojnego policjanta, który patrolował konno parki Filadelfii. Miał nadzieję, że popularność policjanta przeniesie się na niego i jego firmę. „Dziadek bardzo mnie kochał i uwielbiał policję”, wspominał Billy. „Żaden policjant nie wyszedł nigdy z jego magazynu bez prezentu w postaci dwuipółkilogramowego worka ziemniaków”.

W pewnej chwili Billy zauważył plakat przyklejony do muru nieopodal wejścia do sklepu. Z daleka wyglądał na potrójny portret. Zaintrygowany podszedł bliżej i zamarł z przerażenia.

Martwymi oczami wpatrywała się w niego upiorna, pomarszczona twarz. Błada twarz nieżywego chłopca. Po obu stronach umieszczono również ujęcia z profilu — boki głowy były w równym stopniu poranione i posiniaczone. Niemniej najbardziej poruszyły Billy'ego nieruchome, pozbawione życia oczy.

Widoczne na zdjęciu powieki wydawały się połamane i kruche jak skrzydła motyla. „KOMENDA POLICJI W FILADELFII POSZUKUJE IN-

FORMACJI". Poniżej napisano, że dwa tygodnie wcześniej w zaroślach przy gospodarstwie Fox Chase znaleziono ciało brutalnie zamordowanego, 48

niezidentyfikowanego dziecka. Policja prosiła o kontakt każdego, kto dysponowałby jakimikolwiek informacjami na temat chłopca lub mordercy. „POWIADOM NIEZWŁOCZNIE WYDZIAŁ ZABÓJSTW MIESZCZĄCY SIĘ W RATUSZU MIEJSKIM, O DOWOLNEJ PORZE DNIA LUB NOCY, OSOBIŚCIE ALBO TELEFONICZNIE (NUMER 6-9700)".

Billyemu wydawało się, że lewe oko chłopca rozbłysło na moment na żółto.

Nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka. Nie miał okazji wysłuchać odmawianej przez rabinów modlitwy do Błogosławionego Sędzię Prawdy, mówiącej, że ludzie są śmiertelni, a ponieważ nie potrafią zrozumieć wyroków boskich, mogą im się jedynie podporządkować. Ojciec nie przygotował go na taką chwilę; na niewiele by się to zresztą zdało. Każdy inaczej przeżywa śmierć, a ta, która spotkała chłopca z plakatu, przekraczała pojmowanie nie tylko dziecka, ale i dorosłych z połowy XX wieku. W przejrzystej toni martwego oka dostrzegł przeblysł najmroczniejszego znanego ludzkości zła.

Chłopiec spoczywał na zimnym metalowym stole w miejskiej kostnicy.

Na zewnątrz pozbawionego okien pomieszczenia panowała ciemna, mroźna noc, ale tutaj spowijało go jasne światło lamp. Lekarz sądowy zanotował wyniki pomiarów: 96 centymetrów wzrostu i 13,5 kilograma wagi. Kruszyńska.

Bill Kelly przygotował atrament, wałki i czyste kartki białego papieru. Jako funkcjonariusz odpowiedzialny w filadelfijskim wydziale zabójstw za pobieranie odcisków palców, wchodził w skład nieskończenie długiego łańcuszka osób, które zajmowały się każdym zgonem. Normalnie potrafił zachować beznamiętny spokój podczas dotykania ciała zmarłego, ale ten chłopiec wyglądał jak jego czteroletni syn. Małe stopki mieściły się w dłoni Kelly'ego. Mężczyzna pochylił głowę i poprosił cicho o wsparcie Najświętszą Panią.

Dwudziestodwuletni Kelly był wysokim Irlandczykiem o lśniących niebieskich oczach i spojrzeniu przepelnionym raczej współczuciem niż wesołością. Jako pobożny katolik wierzył, że dzieci są darem Boga. Sam miał dwójkę, a trzecie w drodze. Razem z żoną Ruth Ann chcieli

mieć tyle dzieci, na ile pozwoli im Wszchemogący. Aby wykarmić powiększającą się rodzinę, dorabiał jako fotograf na ślubach; odpoczywał wtedy psychicznie między jednym a drugim badaniem zwłok.

Po uważniejszych oględzinach Kelly stwierdził, że chłopiec jest mocno wychudzony. Wilton Krogman, antropolog z Uniwersytetu Pensylwanii, jeden z największych na świecie autorytetów w dziedzinie anatomii, nazwany przez FBI Kościanym Detektywem, zbadał chłopca z pomocą młodego asystenta Billa Bassa (który w przyszłości miał założyć w Tennessee Farmę Zwłok, służącą badaniom nad procesami rozkładu ciała). Krogman obliczył, że chłopiec ma wzrost typowy dla niespełna czteroletniego dziecka, natomiast wagę dwulatka. A zatem był głodzony albo niedożywiony. Zdjęcie rentgenowskie "nóg pokazało zwyrodnienia kości długich wynikające z zahamowania wzrostu. Chłopiec miał kłopoty zdrowotne co najmniej od roku.

Żał ścisnął Kelly emu serce, kiedy smarował atramentem drobne rączki i nóżki, a następnie przyciskał je do czystego papieru. Wierzył w Boga, ale skoro Wszchemogący miał poruszać skrzydłami każdego najmniejszego wróbelka, co chciał osiągnąć, sprowadzając na chłopca tak tragiczną śmierć?

Oczami wytrawnego policjanta Kelly dostrzegał inne rzeczy. Makabryczne nacięcia i siniaki na głowie i na ciele. Cienka skóra na jednej dłoni i stopie pomarszczyła się od długotrwałego kontaktu z wodą, co zwano „syndromem praczki”. Wąską główką wyglądała na ściśniętą, jakby ktoś próbował rozgnieść przejrzały melon. Kelly, jako policyjny urzędnik, wolał nie zastanawiać się nad takimi sprawami, jednak w głębi serca czuł, że ma przed sobą ofiarę zła — niepodważalny dowód na istnienie diabła. Pocieszenie znalazł w modlitwie. Wiedział, że chłopiec na tym świecie nie będzie już cierpieć. Poszedł do nieba, a Kelly mógł pomóc w zbawieniu duszy dziecka, odkrywając jego tożsamość. Nazwisko ofiary byłoby niezwykle cenną wskazówką prowadzącą do osoby mordercy, który powinien odpowiedzieć za swój czyn za życia i po śmierci. Tym miał się zająć ktoś inny, niemniej Kelly nigdy wcześniej nie miał poczucia, że jego praca jest tak ważna.

50

Tego samego wieczora Remington Bristow, ciemnowłosy mężczyzna o pobrużdżonej twarzy, syn grabarza z Oregonu, siedział w domu i paląc lucky strikea, przeglądał wielkie plachty „Bulletinu”. Na jednej ze stron

natrafił na nagłówek: „FOX CHASE. W KARTONOWYM PUDLE ZNALEZIONO CIAŁO CHŁOPCA”. Kiedy przeczytał artykuł, żal ścisnął mu serce. Jego druga córka, Rita, wyrosła na wspaniałą, zdrową dziewczynkę, ale pierwsza, Annie Laurie, zmarła dwanaście lat wcześniej — padła ofiarą zespołu nagłej śmierci łóżeczkowej. Żyła tylko trzy miesiące. Pochowano ją w Kalifornii, a Bristow nie przestał za nią tęsknić. Po lekturze artykułu doszedł do wniosku, że sprawa chłopca powinna zostać szybko rozwiązana. Zrozpaczony rodzic lub opiekun zgłosi się na policję, kiedy tylko wiadomość o znalezieniu zwłok przekażą wieczorne wydania gazet oraz wiadomości telewizyjne i radiowe. Bristow pracował w biurze lekarza sądowego. Tego dnia miał dyżur od dwunastej w nocy do ósmej rano. Chłopiec z pewnością zostanie zidentyfikowany, zanim przyjdzie do pracy.

Bristow zjawił się o północy w kostnicy i ze zdumieniem odkrył, że nikt nie zgłosił się po ciało. Przydzielano go do spraw zmarłych, których nazwiska zaczynały się na litery z końca alfabetu, w tym „U”. Teraz miał się zająć chłopcem, którego zaklasyfikowano do kategorii „Unknown” — „Nieznany”.

Główny inspektor John Kelly zdawał sobie sprawę, że Filadelfia cieszy się złą sławą jako miejsce głośnych przypadków zgonów dzieci, choć doszło do nich przed wieloma laty. Policja spartaczyła wtedy śledztwo dotyczące pierwszego porwania dziecka w Ameryce, najgłośniejszego przestępstwa w tamtych czasach — i skutki nadal odbijały się jej czkawką. W lipcu 1874 roku dwóch mężczyzn podjechało wozem pod dom, w którym mieszkał czteroletni Inianowłosy Charley Ross i zwabiło go cukierkami. Chłopiec zniknął. Christian Ross pobiegł na posterunek policji, ale sierżant poradził, żeby się nie denerwował, ponieważ chłopiec padł najpewniej ofiarą zwykłego „pijackiego wygłupu”. Porywacze zażądali dwudziestu tysięcy dolarów. Przysłali dwadzieścia trzy rojące się od błędów listy, grożąc zabięciem chłopca: „bedziesz musiał płacić za nim my go zwrucimy, płacić kupe

51
pieniędzy...”. Idąc za radą policji, ojciec nie odpowiadał na wiadomości. Mały Charley przepadł bez śladu. Sprawę porwania relacjonowały szczegółowo najpopularniejsze gazety w hrabstwie, a od tego czasu rodzice zaczęli ostrzegać dzieci: „Nigdy nie bierz cukierków od obcych”.

„Pogrążona w głębokiej żałobie” rodzina Rossów poświęciła następne sześćdziesiąt lat i ogromne sumy pieniędzy na poszukiwania chłop-

ca. Na darmo.

Teraz gazety prześcigały się w wymyślnych nagłówkach obwieszczających porażki policji — „dziecko w kartonie wciąż nn”; „pomyłony z lalką” „kim jest chłopiec? policja w kropce” — a główny inspektor Kelly za wszelką cenę chciał zidentyfikować ofiarę i ukarać mordercę. Wszczął największe śledztwo w sprawie śmierci dziecka w trzechsetletniej historii miasta.

Do wydziałów policji we wszystkich czterdziestu ośmiu stanach wysłano pilny dalekopis. Zwrócono się o pomoc do FBI. Amerykańskie Towarzystwo Medyczne rozesłało do wszystkich chirurgów opisy pooperacyjnych blizn znalezionych w pachwinie chłopca, prosząc o kontakt lekarza, który przypominałby sobie przeprowadzenie tego rodzaju zabiegu. Bez skutku.

Policjanci z wydziału zabójstw ubrali chłopca w garnitur, należący wcześniej do synka jednego z oficerów śledczych, i ułożyli go w pozycji siedzącej, aby policyjni fotografowie i fotoreporterzy mogli zrobić zdjęcia. Ustalono, że pudło pochodzi ze sklepu J.C. Penney w Upper Darby w Pensylwanii. Przesłuchano jedenaście z dwunastu osób, które kupiły ten model. Śledztwo wykazało również, że niebieski kaszkiet znaleziony nieopodal ciała uszyła krawcowa z południowej dzielnicy Filadelfii; policja odszukała wszystkich mężczyzn, którzy nabyli u niej takie nakrycie głowy. Koc ozdobiony indiańskimi wzorami mógł pochodzić z jednego z trzech zakładów włókienniczych, ale w tej sprawie nic konkretnego nie ustalono. Kelly'ego wysłano do wszystkich szpitali w okolicy, gdzie miał porównać pobrane wcześniej odciski palców z rejestrami noworodków. Również ten trop okazał się ślełą uliczką.

Przez kilka dni śledztwo nie posuwało się do przodu. W końcu główny inspektor zarządził największą mobilizację sił policyjnych w historii

52
miasta; wezwano nawet rekrutów z akademii, aby przeczesali dwadzieścia kilometrów kwadratowych terenu wokół pola, na którym znaleziono ciało. Trzystu mężczyzn przyniosło na komisariat kilka ton potencjalnych dowodów, w tym martwego kota owiniętego w starą koszulę. Zapukano do drzwi trzystu okolicznych domów. Przesłuchano ponad sześćset osób, które w nich mieszkały, a także wszystkie siedemset siedemdziesiąt trzy białe rodziny, które w poprzednim miesiącu przeprowadziły się do Filadelfii. Żadne z tych działań nie przyniosło choćby strzępu użytecznej in-

formacji. Zupełnie nic.

Policjanci z Long Island w Nowym Jorku przyjechali do Filadelfii, aby sprawdzić, czy ofiarą nie jest uprowadzony w 1955 roku Steven Damman. Po zniknięciu chłopca życie jego matki, Marilyn, zupełnie się rozpadło. Mąż się z nią rozwiódł, rzucił karierę w lotnictwie i wrócił do łowa, gdzie został farmerem. Nie potrafił wybaczyć żonie, że zostawiła dziecko na dziesięć minut bez opieki. Damman był w podobnym wieku jak niezidentyfikowany chłopiec, ważył tyle samo, miał blond włosy i małą bliznę na brodzie. Okazało się jednak, że nerki chłopca z Filadelfii były wyraźnie większe, poza tym Damman miał dużego piega na prawej łydce. Ofiarą nie był więc Steven.

Jakiś żołnierz z piechoty morskiej twierdził, że chłopiec jest jego zaginionym braciszkiem, jednym z osiemnaściorga rodzeństwa. Ustalono, że cała osiemnastka żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Pałające żądzą zemsty były żony oraz byli mężowie przysięgali, że ofiara to ich dziecko zamordowane przez nikczemnego „eksa”. Teściowe oskarżały zięciów. Do policji napłynęły setki listów opisujących mroczne aspekty życia amerykańskich rodzin („Wiem na pewno, że siostra urodziła nieślubne dziecko, a to taka osoba, która potrafiłaby je zabić”). Sprawdzone wszystkie tropy. I znowu nic.

Nadzieja śledczych odżyła, po tym jak obejrzeni zdjęcie węgierskich uchodźców, którzy w 1956 roku uciekli do Ameryki przed interwencją wojsk radzieckich. Jeden z chłopców ze zdjęcia wyglądał identycznie jak ofiara z Filadelfii. Czyż Krogman nie wskazywał na prawdopodobne europejskie korzenie ofiary, o których świadczyć miały wąska twarz i wysokie czoło? Po wyczerpujących poszukiwaniach filadelfijska policja odnalazła

53
małego uchodźcę z Węgier. Bawił się beztrąsko w ogrodzie przed domem w Karolinie Północnej.

Uwagę oficerów śledczych zwróciła następnie rodzina Dudleyów. Para wędrująca po Stanach Zjednoczonych z cyrkiem Big Top przyznała się do zagłodzenia na śmierć sześciorga z dziesięciorga swoich dzieci. Dwa ciała porzucili beztrąsko w graniczącym z Nowym Orleanem jeziorze Pontchartrain, a pozostałe wzdłuż szosy w Wirginii Zachodniej i w kopalni w Lakeland na Florydzie. Podczas rozmowy z niepozieranym mężczyzną i jego nieszczęsną żoną policjanci z trudem panowali nad odruchami współczucia — musieli sobie nieustannie przypominać, że mają przed

sobą parę zwyrodnialców. Tak, przejeżdżali przez Pensylwanię w lutym 1957 roku. Nie, chłopiec w kostnicy nie był ich synem. Kolejny ślepy zaułek.

Uspokajające wspomnienie aromatu ziemniaków zniknęło. Billy stał jak sparaliżowany, wpatrując się w szeroko otwarte oczy martwego dziecka. Potworna, trupio żółta twarz przypominała poobijaną tykwę z wydrążonymi otworami. Serce waliło Billy emu jak młotem, dłonie miał mokre od potu.

Oczy chłopca były studnią, a Billy spadał coraz głębiej w ciemną otchłań. W pobliżu nie było nikogo, kto by go złapał.

Dłoń matki na ramieniu uwolniła go spod uroku. W ciszy lutowego popołudnia wrócili buickiem do domu. Nie opowiedział jej ani o tym, co zobaczył, ani o swoich odczuciach, jednak tamtego dnia coś się w nim zmieniło. W rozmowach z rodzicami jego język stał się bardziej cięty, zaczęły w nim pobrzmiwać zgorzkniałość i sarkazm. Nawiązał kilka przyjaźni, ale w odróżnieniu od innych grupek, skupiających ludzi uprawiających jakiś sport lub próbujących sił w aktorstwie, jego paczka składała się z osób, które interesował wyłącznie alkohol i seks. „Byłem wykształconym Żydem, który skumpłował się z Włochami — prawdziwymi twardełami z robotniczych rodzin”. Zaczął pić i palić. Nie urósł, mimo to toczył coraz brutalniejsze bójki ze starszymi chłopakami.

Był jednym z najmniejszych dzieciaków w okolicy, najszybszym, żylastym, złośliwym i zadziornym draniem, któremu wydawało się, że

54

pozjadał wszystkie rozумы. Przestało go bawić niszczenie mrowisk. Jako piętnastolatek wycelował wiatrówkę w tyłek innego chłopaka i pociągnął za spust. Kula musnęła pośladek i chłopak zakwiczał jak zarzynana świnia. Ubaw po pachy! Billy zarykiwał się ze śmiechu.

Z upływem lat gniew narastał w nim coraz bardziej.

Policjanci zachodzili do dwupoziomowego domu z pięcioma sypialniami, aby porozmawiać z jego ojcem. Mieli dość ciągłego wyciągania najmłodszego syna dentystry z tarapatów, a teraz doszła jeszcze ta historia z wiatrówką. Jak coś podobnego mogło się zdarzyć w tak spokojnej dzielnicy, w tak porządnej rodzinie?

Billy nadal pokładał się ze śmiechu.

— To była tylko wiatrówka — powtarzał, szczerząc zęby. — Zgadza się, strzeliłem mu w dupę. Wielkie rzeczy! Chciałem go tylko zadrasnąć.

Ale policjantom nie było do śmiechu. Billy był „tylko dzieckiem”, ale na wybryki kilkunastoletnich chuliganów nie patrzono już przez palce, jak to czyniły poprzednie pokolenia kierujące się zasadą: „chłopcy już tacy są”.

Dyrektor FBI J. Edgar Hoover uznał nową plagę przestępczości nieletnich za ogólnokrajowy problem, do którego doprowadził kryzys rodziny spowodowany zawirowaniami wojennymi i ogólnym upadkiem moralności. Według starszego pokolenia tradycyjnym wartościom zagrażały muzyka rockowa, materializm oraz filmy w rodzaju Buntownika bez powodu. Badanie przeprowadzone przez Roper Organization pokazało, że Amerykanie uznawali przestępczość nieletnich za bardziej szkodliwą niż testy broni atomowej, segregacja rasowa w szkołach czy korupcja polityków. Coś bardzo niedobrego działo się z synami nowej, zamożnej Ameryki. William Heirens, wychowany w bogatej rodzinie na przedmieściach Chicago, już w wieku trzynastu lat zbierał broń palną, rozpoczął studia na prestiżowym Uniwersytecie Chicagowskim, a jako siedemnastolatek został seryjnym mordercą. Na lustrze w domu jednej z trzech ofiar napisał szminką: „Powstrzymajcie mnie, zanim zabiję po raz kolejny!”. Seymour Levin nie był już tradycyjnym postrachem dzielnicy. Psychologowie uznali go za przykład nowego, wyjątkowo zdeprawowanego typu „organicznych psychopatów” — potworów o niezrozumiałej motywacji. Łączył

55
ich jedynie niewygasający resentyment i brak wyrzutów sumienia. Nowe pokolenie przestępców było bardziej brutalne i zdeprawowane od zbirów Ala Capone i najgorszych przestępców lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku.

Billy coraz częściej miał problemy z nauką. Cały wolny czas spędzał w piwnicy, gdzie zaczytywał się w komiksach detektywistycznych. Nauczyciele uznali tę pasję za wyjątkowo niepokojącą. Komiksy detektywistyczne uważano wtedy za podstawowe źródło przestępczości nieletnich. Pogląd ten spopularyzował amerykański psychiatra niemieckiego pochodzenia Fredric Wertham, uczeń Freuda. Opublikowawszy w 1954 roku bestseller *Séduction of the Innocent* („Uwiedzenie niewinnego”) Wertham stanął przed komisją Kongresu, która zajmowała się sprawą cenzury treści w komiksach. Oświadczył przed nią, że komiksy pełne seksu i przemocy zamieniają chłopców w morderców.

Tymczasem Billy ego fascynowali raczej policjanci i złodzieje. Jego

ulubioną książką byli oparci na faktach *The Great Detectives* (Wielcy detektywi"), przygody dwunastu najslynniejszych detektywów w historii. Uwielbiał detektywa Scotland Yardu, „Obrońcę niewinnych" Roberta Fabiana, oraz agenta skarbowego i nemezis Ala Capone, „Nieomylnego" Elmera Lincolna Ireya. Jednocześnie fascynację budziła w nim postać ekstrawaganckiego mistrza kamuflażu z dziewiętnastowiecznego Paryża, Eugène'a François Vidocq'a.

Vidocq, syn piekarza, urodził się 23 lipca 1775 roku w Arras na południu Francji. Zmarł w Paryżu 11 maja 1857 roku, ale mało brakowało, a zostałby zgilotynowany podczas rewolucji francuskiej. Za rządów Napoleona Bonaparte zapracował sobie na miano bohatera praworządnych paryżan, awanturniczego ojca współczesnej kryminologii.

Billy'emu podobało się zwłaszcza to, że Vidocq jako nastolatek był nieustraszonym chuliganem o ksywce *le Vautrin* — Dzik. W wieku trzynastu lat zabił człowieka, jako czternastolatek obrabował rodziców, opuścił dom i wstąpił do armii, z którą ruszył na niekończący się szlak wojenny. Właśnie w czasie służby Vidocq pokonał piętnastu przeciwników w pojedynkach, zabił dwóch z nich i ostatecznie zdezerterował po tym, jak zaatakował oficera. Niespecjalnie się tym przejął. Stał się zabójcą,

56

oszustem i rozbójnikiem. Uciekał z więzień, uwodził kobiety i szpiegował, by w końcu zostać niedoścignionym wzorem dla wszystkich zachodnich detektywów. Billy ego urzekła biografia człowieka, który stał się jednym z najwspanialszych historycznych symboli przemiany i odkupienia. Jako siedemnastolatek Billy nie miał żadnych szans dostać się na studia. Zamierzał zaciągnąć się do wojska, gdzie mógłby bezkarnie wdawać się w bójki, po czym albo trafić do więzienia, albo zostać policjantem. Jego ulubionym programem telewizyjnym był serial *Detektywi*. W kapitana policji Matta Holbrooka wcielał się Robert Taylor — aktor do złudzenia przypominający ojca Billy ego. Matt dowodził trzyosobowym oddziałem walczącym o prawdę i sprawiedliwość w wielkim, anonimowym mieście. Trzej detektywi przez cały czas tropili morderców, złodziei i innych przestępców. Wszyscy gorliwie poszukiwali prawdy — prawdy, w którą mogliby uwierzyć. Byli dobrymi przyjaciółmi.

Rozdział 6

Człowiek, który widział umarłych

Chłopiec zacisnął pięść, napiął biceps i wyprowadził okrężny cios od dołu

prosto w szczękę ojca. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Od piętnastego roku życia podnosił ciężary, marząc o tej chwili. Naprężył mięśnie z myślą, że ojciec już nigdy więcej bezkarnie go nie uderzy. Z ulgą zobaczył, że jego stary się wycofuje. „Teraz możemy się pokochać, jak na ojca i syna przystało”.

Frank dorastał w niebezpiecznej, nadržecznej dzielnicy Filadelfii. Pewnego dnia natknął się w „Bulletinie” na nagłówek artykułu o dziecku znalezionym w pudle niedaleko Fox Chase, zaledwie cztery czy pięć dzielnic na północ od jego domu. Na ulicy zobaczył plakat ze zmarłym chłopcem. Tyle że Frank nie miał głowy do takich spraw, ponieważ całą energię poświęcał na utrzymanie się przy życiu.

Już jako piętnastolatek zapowiadał się na znakomitego artystę. Nauczyciele z zazdrością szeptali o jego talencie. Co interesujące, chłopak miał obsesję na punkcie Normana Rockwella. Zamieszczane na okładkach „Saturday Evening Post” rysunki przedstawiające idylliczne scenki z życia prowincjonalnej Ameryki były dla Franka oknem na świat. Świat leżący dosłownie na wyciągnięcie ręki. Od charakterystycznej siedziby Curtis Publishing Company, wydawcy „Posta”, zlokalizowanej naprzeciwko Ratusza, wystarczyło udać się zaledwie kilka, kilkanaście kilometrów w górę rzeki Delaware. Frank uwielbiał okładki Rockwella. Ojciec w najlepszym garniturze, rozpromieniony na widok matki, która w Święto

58
Dziękczynienia stawia na białym obrusie indyka przed całą rumianą, typowo amerykańską rodziną. Chłopiec, który uciekł z domu, odpoczywa na stołku w barze; pod nogami położył czerwony tobołek na kiju, obok niego siedzi policjant w niebieskim mundurze. Sędziowie bejsbolu przerywają mecz z powodu deszczu.

Frank wolał te pogodne rysunki od obrazków typowych dla własnego życia. Ojciec mechanik wraca z pracy w fabryce, śmierząc maszynami, które reperował. Ojciec schodzi do piwnicy, aby szyc ręcznie wielkie żagle do jachtów bogatych ludzi. Frank leży w nocy w łóżku i wsłuchuje się w odgłosy wystrzałów — słyszy i czuje, jak któryś pocisk wbija się w ceglana ścianę domu. Pijany ojciec go bije. Ojciec go bije, bije, bije.

Przez wszystkie lata wyobrażał sobie, że stawia mu czoła. Z każdym ojcowskim uderzeniem we Franku wzbierał coraz silniejszy gniew. W końcu stwierdził, że dłużej nie wytrzyma. Zaczął podnosić ciężary, starannie planując Cios, który miał naprawić relacje w domu i pozwo-

lić mu wyładować nagromadzony przez lata gniew. Był zdumiony, kiedy plan zadziałał. Ojciec zaczął go szanować, a on miał szansę skupić się na rozwijaniu talentu artystycznego, który mógł okazać się przepustką do lepszego świata.

Frank posiadał niezwykle zdolności, nawet jeśli słabo radził sobie z angielskim czy matematyką. Nie odznaczał się specjalnie giętkim umysłem, ale za to otrzymał w darze zręczne dłonie, którymi potrafił szkicować, malować i rzeźbić otaczające go piękno, oraz oczy, które pozwalały mu to wszystko dostrzec. Rysował od piątego roku życia. Już wtedy wydawało się, że dysponuje szóstym zmysłem, ale nawet jako małe dziecko wiedział, że nie powinien o tym nikomu opowiadać. Czasami miał wrażenie, że dostrzega zdarzenia z przeszłości i przyszłości. Mimo tych talentów, aż kipiał od gniewu.

Niedługo po znokautowaniu ojca Frank, wówczas uczeń drugiej klasy szkoły średniej, zdobył złoty medal na miejskiej wystawie sztuki zorganizowanej w domu towarowym Gimbels. I wtedy zdarzyło się coś niewyobrażalnego — na prace młodego artysty zwrócił uwagę Walter Stuempfig, wybitny dwudziestowieczny malarz, przedstawiciel realizmu, porównywany do Edwarda Hoppera i Starych Mistrzów. Stuempfig zaoferował

59 Frankowi pięć dolarów za obraz i zachęcił go do ubiegania się o stypendium na pensylwańskiej Akademii Sztuk Pięknych. W przeszłości ukończyli ją Thomas Eakins i Mary Cassatt, a Stuempfig wykładał tam od czterdziestu lat. Cała sytuacja jedynie rozdrażniła Franka. Nie zobaczył na oczy przyrzeczonych przez Stuempfiga pięciu dolarów, a po wystawie nie zwrócono mu wszystkich obrazów, więc wpadł w złość i wypiął się na akademię, stypendium i cały artystyczny świat. „Chciałem malować obrazy, ale nie chciałem, aby ktoś je później wieszał na ścianie”. Zaciągnął się do marynarki i na pokładzie statku odkrył, że odziedziczył po ojcu zdolności techniczne. Mimo to obsesyjnie rysował kolegów, którzy pracowali z nim w maszynowni.

Dwa lata później wrócił do domu i będąc bez grosza przy duszy, zatrudnił się jako fotograf w studiu Georgea Farghana na rogu Dziewiętnastej i Arch Street. Szczupły, brązowooki, kędzierzawy blondyn, artysta o zahartowanym ciele boksera wagi lekkiej, robił zdjęcia i sam był modelem. Zasmakował w przyjemnościach życia i intuicyjnie opanował sztukę uwodzenia. Kobiety rzucały mu się w ramiona jedna za drugą.

Pozował do zdjęć do rubryki poświęconej modzie w gazecie „Philadelphia Inquirer”. Na jednej z fotografii, otoczony wianuszkami dziewcząt, wychylał się z okna swojego plymoutha rocznik 1947. W „Reader's Digest” w przebraniu rogatego diabła wypuszczał na scenę uczestniczki konkursu Miss America.

„Zachowywałem się jak dziecko wpuszczone do sklepu z zabawkami”, wspominał. „Poznawałem dziewczyny w barach i innych miejscach. Na okrągło uprawiałem seks. Prawdę mówiąc, nigdy nie musiałem się do tego specjalnie przykładać. Panny i mężatki podrywały mnie równie często, jak ja podrywałem je. Wystarczyło, że obie strony miały ochotę. Wypróbowałem tylne siedzenia bardzo wielu samochodów”.

Jasnowłosey fotograf oferował modelkom pełen wachlarz usług: przygotowanie portfolio, zdjęcia portretowe twarzy i spontaniczny, bezinteresowny seks. Pewnego dnia z nudów spisał na kilku kartkach wszystkie schadzki: imiona, ewentualnie tylko charakterystykę walorów fizycznych. Wyszło mu, że uprawiał seks ze stu sześćdziesięcioma pięcioma kobietami. Miał dwadzieścia sześć lat.

60

Niedługo po sporządzeniu listy jeden z przyjaciół przedstawił go Jan Proctor, siedemnastoletniej, szczupłej, ładnej blondynce — tancerce erotycznej, która uciekła z rodzinnych przedmieść i wiodła samodzielne życie w centrum Filadelfii. Jan miała dziecko, małą Lisę, ale nie wiedziała, kto jest ojcem. Opuszczając dom, ukradła wszystkie pieniądze z portfela ojca i zostawiła Lisę pod opieką rodziców.

Teraz chciała rzucić pracę striptizerki i zostać modelką — potrzebowała portfolio. Była inteligentna i wygadana. Jak się okazało, dorastała w tej samej dzielnicy co Frank: w wybudowanych nad rzeką szeregowych domach robotniczego Kensington.

Frank się zakochał.

Był rok 1968, lato miłości. „Jan była szalona”, wspominał Frank. „I gotowa na wszystko: seks, narkotyki, co tylko można sobie wyobrazić”. Była dość dzika, by zaspokoić jego nienasycony popęd seksualny.

Rok później, podpuszczeni przez przyjaciela, dla żartu pobrali się w Halloween — w idealnym dniu do zalegalizowania związku dwóch tak diabolicznych osobowości. Po ceremonii kościelnej udali się do osławionego Baru 7A w Kensington (miejsca narodzin legendarnego gangu filadelfijskich włamywaczy K&A), oddalonego zaledwie o jedną przeczni-

cę od przyszłego „Pałacu Horrorów” seryjnego mordercy Gary’ego Heidnika. Wesele skończyło się pościgiem policji za pijanymi uczestnikami wokół nagrobków na cmentarzu Laurel Hill. Frank zaprowadził tam gości z sentymentu — kiedyś pomagał wujowi kopać groby. Aby upamiętnić ślub, namalował upiorny gotycki obraz przedstawiający przykościelny budynek otoczony przysypanymi śniegiem nagrobkami.

Po ślubie z Jan musiał się ustatkować. Urodziła im się córka, Vanessa. Kupili zdewastowany budynek, w którym w XIX wieku mieścił się zakład rzeźniczy i skład mięsny. Mimo rodzinnej sielanki Frank nie przestał spotykać się z innymi kobietami, choć znacznie ograniczył liczbę kochanek. „Po ślubie miałem ich znacznie mniej”. Dojrzewał, a zamiast krótkotrwałych schadzek z przypadkowymi kobietami zaczął się regularnie spotykać z kilkoma dobrymi przyjaciółkami. „Wszystkie romanse miałem z dziewczynami i kobietami, z którymi wzajemnie się wspieraliśmy. Skończył się czas jednorazowych przygód. Jan twierdziła, że moje przyjaźnie

61

z kobietami stały się głębsze — dzięki seksowi. Zawsze zachęcała mnie, abym spotykał się z jedną czy dwiema przyjaciółkami. Cieszyło ją, że w ten sposób ma więcej czasu dla siebie. Lubiła, kiedy znikąłem na kilka dni z domu”.

Jan wymagała jedynie, by Frank przyprowadzał kandydatki na kochanki do domu, aby mogła je zaaprobować. „Jan mówiła: «Ta i ta mi się podoba, przyprowadź ją przy najbliższej okazji»”, wspominał Frank. „Nigdy nie umawiałem się z kobietą, której Jan nie zaakceptowała”.

Nie zaprotestowała, gdy Frank przedstawił jej swoją asystentkę Joan, wysoką, młodszą od Jan blondynkę z obfitym biustem. Joan została później również jego księgową oraz impresario, a we wtorkowe wieczory z regularnością szwajcarskiego zegarka uprawiała z Frankiem seks w jego domu. „Jan naprawdę lubiła Joan”, wyjaśniał Frank. „Mówiła: «Może byście tak pojechali na kilka dni nad morze?»”. Sprawiała wrażenie zadowolonej, że udało się znaleźć poukładaną, kompetentną kobietę, która pomagała zaspokajać nienasycone potrzeby artystyczne i seksualne jej męża. Z kolei Joan nie zamierzała podważać roli Jan jako pani domu i żony Franka. Była jednak potwornie zazdrosna o pozostałe, przelotne miłości Franka.

Idylla młodych małżonków szybko się skończyła. Rodzice Jan przyprowadzili sześciolletnią Lisę na werandę Benderów. Wręczyli matce wszystkie

ubrania córki i historię przebytych chorób, po czym oświadczyli: „Sama się nią zajmij. My się rozwodzimy”. W jednej chwili „z imprezowiczki i tancerki erotycznej musiała stać się stuprocentową matką”, opowiadał Frank. „Całe serce włożyła w wychowanie dzieci i kierowanie domem”. Ale skromne dochody pracującego dorywczo fotografa nie starczyły na utrzymanie dwójki dzieci. Benderowie nieustannie byli bez grosza. Frank zapisał się na kursy wieczorowe, żeby reaktywować karierę artystyczną. Uczęszczał na darmowe, finansowane przez Urząd do spraw Kombatantów zajęcia na Akademii Sztuk Pięknych. Uczył się malarstwa i rysunku u cenionego artysty Arthura De Costy. Ten zachęcił go do lekcji rzeźby, co miało mu pomóc w zrozumieniu formy ludzkiego ciała i korzystnie wpłynąć na pozostałe obszary aktywności artystycznej. Frank miał jednak kłopoty z uchwyceniem odpowiednich proporcji

62
twarzy. Akademia nie oferowała wieczorowych kursów anatomii, a ponieważ Frank nie miał pieniędzy na płatne dzienne zajęcia, poprosił o pomoc przyjaciela, Barta Zandla, który w miejskiej kostnicy pobierał odciski palców nieboszczyków. Frank zaproponował, że przygotuje portfolio jednej z ulubionych striptizerek Zandla, jeżeli ten oprowadzi go po kostnicy. Zandel się zgodził.

Frank przybył do dwupiętrowej kostnicy na University Avenue uzbrojony w szkicownik i suwmiarkę. Był podekscytowany, ponieważ jak sam Michał Anioł, miał się uczyć anatomii na prawdziwych ludzkich ciałach — ich skórze, kościach i narządach. Kiedy władze kościelne zakazały Michałowi Aniołowi prowadzenia badań zwłok, wyprosił od przyjaciela klucz do kościelnej kostnicy i zakradał się do niej nocami, uzbrojony w świecę oraz rzeźnicki nóż, by studiować wewnętrzną budowę człowieka. Ledwie Zandel zaczął prowadzić go przez pozbawione okien pomieszczenia wypełnione zimnym powietrzem o mdląco słodkiej woni, Frank zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd. Otaczały go porozkładane na metalowych stołach ciała: nabrzmiałe od chorób, poszarpane od noży i kul, zgniecione w kraksach samochodowych, nadjedzone przez zwierzęta, czy też w inny sposób naruszone przez czas i rozkład. W sali, gdzie przeprowadzano sekcje, zobaczył mężczyznę, któremu pociąg odciął nogi na wysokości ud. Uniósł białe prześcieradło przykrywające zwłoki kobiety i zamarł z szeroko otwartymi ustami. Zamiast ciała znajdowały się tam trzy walizki — ofiara morderstwa została pokrojona na kawałki, które zapakowano

do walizek i rozstawiono wzdłuż autostrady New Jersey Turnpike. Żadna część ciała nie nadawała się do naszkicowania.

W tej samej sali zobaczył wiszący na haku tułów — zdjęto z niego skórę i rozcięto żebra. Zastępca lekarza sądowego włożył dłoń do jamy klatki piersiowej i mrugnawszy w stronę Franka, zaczął nią obracać, jakby czegoś w środku szukał. Frankowi wydawało się, że trafił do jakiegoś koszmaru sennego. „To nie jest odpowiednie miejsce na lekcję anatomii”, pomyślał. A jednak chwilę później zafascynowało go ciało leżące na stole w chłodni. Do palca u nogi przypięto kartkę z numerem 5233. Krępa, biała kobieta po pięćdziesiątce z ufarbowanymi włosami. Nie zdołano jej zidentyfikować. Ciało w stanie zaawansowanego rozkładu znaleziono 16 października 63

1977 roku na polu nieopodal filadelfijskiego lotniska. Miała na sobie garsonkę w jodełkę i białą bluzkę — a w czaszce trzy otwory po kulach. Frank przyglądał jej się uważnie. Pociski roztrzaskały jedną stronę czaszki; ranę oblepiała masa zakrzepłej krwi i włosów. Ani odciski palców, ani listy osób zaginionych nie pomogły w identyfikacji.

Zabójstwo wyglądało na robotę zawodowca. Zandel zaszył rozerwaną skórę.

— Tej sprawy nigdy nie rozwiążemy — powiedział. — Nie wiemy nawet, jak wyglądała, prawda?

Frank widział jednak wyraźnie okrągłą, zapadniętą od starości twarz, wąski nos i usta. W oczach kobiety dostrzegł spokój.

— Ja wiem — wypalił. — Wiem, jak wyglądała.

Słowa te usłyszał doktor Halbert Fillinger, zastępca lekarza sądowego, który wcześniej grzebał w klatce piersiowej zawieszonych na haku zwłok. Sprawa niezidentyfikowanej kobiety przypadła właśnie jemu i to on zaurokował, że jej tożsamości nie sposób ustalić.

— Czy się nie przesłyszałem? Stwierdziłeś, że wiesz, jak wyglądała ta kobieta?

— Zgadza się — przytaknął Frank. — Widzę jej twarz na czaszce.

Fillinger taksował wzrokiem młodego śmiałka.

— Zajmowałeś się kiedyś artystyczną rekonstrukcją twarzy?

Frank pokręcił głową.

— Nie wiem nawet, co to takiego.

— W takim razie musisz spróbować.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Fillinger narzekał, że seriale tele-

wizyjne w rodzaju Quincy M.E. z Jackiem Klugmanem w roli zastępcy głównego lekarza sądowego Los Angeles sprawiają, iż widzowie nabierają mylnych wyobrażeń na temat tempa i łatwości rozwiązywania podobnych spraw. W rzeczywistości wiele śledztw prowadzi donikąd, często właśnie z powodu niemożności ustalenia nazwiska ofiary.

— Jeżeli zdołasz nam pomóc w ustaleniu jej tożsamości, być może uda nam się złapać mordercę. Masz ochotę spróbować?

Frank przytaknął.

— Nie możemy ci zapłacić.

64

— W porządku.

Fillinger poprosił Franka, żeby spróbował pokazać, jak wyglądała zastrzelona kobieta.

— Jeszcze nigdy nie udało mi się niczego wyrzeźbić do końca — wyznał Frank. W akademii studenci wyrzucali nieukończone rzeźby pod koniec każdego zajęcia. — Ale spróbuję.

— To dobrze. Przyjdź w piątek o północy. Będę miał zmianę cmentarną.

Ukończenie rzeźby zajęło Frankowi osiem godzin. W kostnicy zmierzył czaszkę i wykonał ogólny szkic twarzy. W akademii zasięgnął rady nauczyciela rzeźby co do technik potrzebnych do wykonania zadania. Pracując nocami, stworzył z gliny popiersie. Zaczął od kości, później wykonał gipsową formę, pomalował twarz, a na czaszce umieścił perukę z ciemno-blond włosów. „Widziałem dokładnie każdy rys”, wspominał. „Potrafiłem dostrzec, jak forma jednej części twarzy wpływa na pozostałe”. Zaniósł popiersie do kostnicy w piątek po północy.

Filadelfijska policja nigdy wcześniej nie korzystała z gipsowej rekonstrukcji twarzy, niemniej jednak dzieło Franka sfotografowano, a zdjęcie rozesłano do lokalnych mediów. Wydrukowano je również w broszurce z listą osób zaginionych, kolportowanej do wydziałów policji na wschodnim wybrzeżu.

Ciało numer 5233 nadal spoczywało w kostnicy. Nie miał go kto ani opłakać, ani pochować. Jakaś filantropka zaofiarowała się, że odda „biedacze” własne miejsce na cmentarzu, aby nie skończyła w zbiorowej mogile. Pięć miesięcy później oficer śledczy z New Jersey podczas przeglądania raportów o osobach zaginionych zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo niezidentyfikowanej ofiary morderstwa z Filadelfii do kobiety, któ-

rej zaginięcie zgłosiła policja chicagowska.

Anna Mary Duval, lat sześćdziesiąt dwa, opuściła Chicago przez port lotniczy Chicago O'Hare 15 października. Jej krewni nie znali celu podróży. Władze szybko potwierdziły, że zwłoki numer 5233 znalezione przy filadelfijskim lotnisku rzeczywiście należą do kobiety, która wsiadła na pokład samolotu w Chicago. Policja nie zdołała ustalić, kto sprowadził ją do

65
Miasta Braterskiej Miłości, gdzie nie miała żadnych znajomych, ani kto i dlaczego ją zamordował. Niemniej jednak w końcu ją zidentyfikowano — dzięki artystycznej wizji Bendera.

Fillinger był pod ogromnym wrażeniem wyczynu młodego rzeźbiarza.

Policja od lat korzystała ze szkiców wykonywanych przez artystów, ale bez większych sukcesów. Tymczasem w wyobraźni chłopaka, który skończył ledwie szkołę średnią i nie znał terminu „medycyna sądowa”, zrodziło się trójwymiarowe odwzorowanie głowy ofiary. Bender miał dar, którego ani on, ani nikt inny nie potrafił do końca wyjaśnić.

Dokonał pierwszej identyfikacji i od razu zrobiło się o nim głośno.

Po kilku dniach zaczęły do niego spływać listy z wydziałów policji w całym kraju: wszyscy chcieli zamówić popiersia niezidentyfikowanych ofiar morderstw.

Miał wrodzony talent. Żona była z niego niezwykle dumna. Nowe zajęcie przynosiło im dochód, ale w domu — w którym mieszkały przecież dwie małe dziewczynki — dochodziło co rusz do makabrycznych sytuacji. Głowy wystawały z pudełek po butach i chłodziarek na piwo. Najgorszy był przeraźliwy odór gotowanych czaszek, który natychmiast rodził myśli o padlinożernych żukach. Kiedyś robaki zaczęły wypełzać z piekarnika ich starej kuchni. Jan otworzyła drzwiczki i zobaczyła czaszkę jakiegoś marynarza z rosyjskiego statku Corinthus. Frank uznał, że pół godziny grzania wysuszy ją na tyle, aby mógł zacząć oblepiać ją gliną. „Frank!”, wrzasnęła Jan. „Zabierz z piekarnika tę pieprzoną czaszkę i wynoś się do matki”. Uwielbiał opowiadać tę anegdotkę.

Jan również nie słyszała wcześniej o artystycznej rekonstrukcji twarzy na potrzeby medycyny sądowej. Wystraszona nowym powołaniem męża, poszła do biblioteki, aby dowiedzieć się czegoś na ten temat. Z dumą odkryła, że słynni europejscy rzeźbiarze zajmowali się dokładnie tym samym. Napisała „plastyka sądowa” na karteczce papieru i przykleiła ją do lodówki.

Rozdział 7

Cienie mrocznego rycerza

Na wschodnich krańcach Gór Kaskadowych, dwieście czterdzieści kilometrów od Seattle, leży miasto wciśnięte między dwie rzeki i strome, prastare zbocza. Nad rzeką rozciągają się sady jabłoniowe oraz winnice. Suchy, słoneczny klimat tamtych okolic przypomina francuski region Bordeaux. W roku naznaczonym rekordowo obfitymi zbiorami jabłek odmiany Granny Smith do miasta zszedł z gór wielki mężczyzna, niosąc na rękach dziecko skąpane we krwi.

Była jesień, w powietrzu unosił się zapach palonego drewna i dojrzewających jabłek. Mężczyzna szedł wzdłuż równo przyciętych trawników przy Eleventh Street. Chłopiec płakał i szarpał mężczyznę za koszulę, próbując wyrwać się z jego objęć. Mógł mieć dziesięć lat, ale szerokie ramiona trzymały go w mocnym uścisku, jakby niosły kosz świeżo zerwanych owoców. Mężczyzna niespodziewanie zatrzymał się, uśmiechnął i mocno przycisnął dziecko do piersi. Chłopiec zamilkł i przestał się ruszać.

Pucułowały dziesięcioletni Richard Walter siedział na fotelu wspinającego się powoli na wzgórze Dodge'a rocznik 1965. Prowadziła jego matka, Viola. Wracła z synem ze szkoły do domu. W pewnej chwili zwolniła i zatrzymała się przy krawężniku, gdzie stał mężczyzna.

Na widok samochodu mężczyzna zaczął płakać.

— Niech pan wsiada — rozkazała. — Zawiozę was do szpitala.

Mężczyzna z zakłopotaniem skinął głową i wraz z zakrwawionym dzieckiem włądował się na tylne siedzenie.

67

Naciskając pedał gazu, Viola spojrzała we wsteczne lusterko.

— Powiedz, co się stało, Sonny. Co ci zrobił? Skrzywdził cię?

Chłopiec jęknął.

— No śmiało. Przy mnie nie musisz się bać.

— Tatuś mnie zbił — załkał chłopiec.

„Ciekawe”, pomyślał Richard. Siedział tyłem do kierunku jazdy i przyglądał się mężczyźnie i chłopcu z takim skupieniem i uwagą, jakby obserwował mrówki w formikarium. Dojechali do szpitala. Chłopca zaniesiono natychmiast do izby przyjęć, tymczasem Viola zdała relację lokalnemu szeryfowi. Mężczyzna chwilę wcześniej niepostrzeżenie opuścił budynek.

— Synu — zwrócił się szeryf do Richarda. — Chodź, pomożesz mi go znaleźć. No, ruszaj.

„Super”, pomyślał Richard. Wsiadli do radiowozu i ruszyli na poszukiwania. Richard pomógł szeryfowi zidentyfikować mężczyznę, którego zaraz potem aresztowano. Później śledził przebieg procesu w gazetach. Okazało się, że człowiek ów tak mocno wykręcał swojemu synowi rękę, że obie złamał. Później próbował jeszcze połamać chłopcu nogi, ale mu się to nie udało. Mężczyzna był sadystą: torturowanie dziecka sprawiało mu przyjemność.

Wtedy Richard po raz pierwszy pomógł w ujęciu psychopaty. „Ale odjazd”, myślał. Było to odrażające, ale i fascynujące zarazem.

Przez całe wcześniejsze życie towarzyszyło mu poczucie wyobcowania. Miał słaby kontakt z surowym ojcem, Irwinem, Amerykaninem niemieckiego pochodzenia, który przez trzydzieści pięć lat pracował jako kierownik warsztatu wymiany opon. Jego jedyne z czwórki rodzeństwa — miał dwie siostry i brata, który został kierowcą ciężarówki — nie ciągnęło do sportu, miał za to słuch absolutny — znakomicie grał na fortepianie i potrafił śpiewać anielskim głosem. Zamiast na festyn z okazji dożynek wolałby pójść do opery na Traviatę.

Dopiero dzięki matce poznał mroczny, operowy świat skryty za fasadą sennego, typowo amerykańskiego miasteczka. Viola Walter była gospodynią domową, wspaniałą, niepowtarzalną, inteligentną kobietą. Sąsiedzi szli z problemami do niej, a nie na policję. Pewnego wieczoru po kolacji do Violi zadzwoniła młoda kobieta. Jej mąż siedział w fotelu, ale zamiast

68

gazety położył sobie na kolanach naładowany pistolet. Groził, że się zastrzeli. Z godziny na godzinę mówił coraz bardziej podniesionym głosem. — Mogłaby pani przyjść? — błagała przerażona kobieta.

Viola Walter wpadła do salonu, wyrwała mężczyźnie naładowany pistolet z ręki i krzyknęła: „Do diaska, postradał pan zupełnie rozum?”.

Przez następne pół godziny rugała go za brak wyobraźni i wystraszenie kochającej żony. „Świat jest piękny, życie cenne; czas, by pan to wreszcie zauważył”, pouczała go. Bezdzielne wówczas małżeństwo dochowało się potomstwa. Wiele lat później na pogrzebie mężczyzny jego dzieci i wnuki dziękowały Violi. Zdołała zapobiec jeszcze kilku samobójstwom.

Richard zainteresował się przestępczością i zdał na psychologię na Stanowym Uniwersytecie w Michigan. Okazał się świetnym studentem, który ustanowił rekord szkoły, kończąc jedenaście kursów w jednym semestrze — o siedem więcej niż statystyczny student — ze znakomitą śred-

nią ocen 3.8/4. „Człowiek powinien stawiać sobie wyzwania”, uzasadniał to osiągnięcie z nutką zarozumiałości w głosie. Na zajęciach poświęconych Szekspirowi odkrył w sobie dar pozwalający mu zagłębiać w mroczne zakamarki duszy. Spierał się z wykładowcą, twierdząc, że targany wątpliwościami Hamlet zwlekał z pomszczeniem ojca, ponieważ był rozdarty, sceptycznym człowiekiem nowych czasów. „Hamlet zachowuje się jak genialny psychopata: udaje głupca, ale mimo biernej postawy kontroluje wszystkie wydarzenia dramatu, aż do finałowej zemsty. Na jego miejscu postąpiłbym identycznie!”.

W 1975 roku został na krótko psychologiem klinicznym w prestiżowym Cedars-Sinai Medical Center, później pracował przez jakiś czas w kostnicy hrabstwa Los Angeles. Jego szefem był Thomas Noguchi, który przeprowadził sekcję zwłok Marilyn Monroe, Roberta F. Kennedy'ego, Sharon Tate, Janis Joplin i Johna Belushiego.

Aby poradzić sobie psychicznie z uczestnictwem w setkach sekcji zwłok i otworzyć się na potworności związane ze śmiercią i morderstwami, musiał opanować sztukę sprawowania całkowitej kontroli nad emocjami. Pewnego ranka Richard otrzymał telefonicznie informację o śmierci ojca. Odłożył słuchawkę, ubrał się, zawiązał krawat, wyszedł z domu i stał się punktualnie na zebranie pracowników kostnicy. Tak się złożyło, że

69 akurat tego dnia jedna z koleżanek zapytała podczas przerwy, czym zajmuje się jego ojciec. „Mój ojciec nie żyje”, odparł z całkowitym spokojem Walter. „Tak mi przykro. Kiedy zmarł?”, spytała zaskoczona. „Dziś rano, mniej więcej dwie godziny temu”. Zebranie dobiegło końca. Walter wrócił do laboratorium. Tego wieczora spojrzął w lustro — był wstrząśnięty chłodem, który zobaczył we własnych oczach. Nie odczuwał nic. „Mocno się tym przestraszyłem”, wspominał.

Zrozumiał wtedy coś, co w późniejszych latach mieli mu wbijać do głowy ludzie, od których uczył się sztuki prowadzenia śledztwa. „Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem”, pisał Fryderyk Nietzsche. „Gdy zaś długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie”.

Aby nie zapomnieć, że świat jest pełen piękna, Walter zaczął namiętnie kolekcjonować dzieła sztuki — wspaniałe bibeloty z Chin i dziewiętnastowiecznej Francji. Niemniej jednak makabryczna rzeczywistość kostnicy już go wciągnęła. Postanowił zrezygnować z bardziej prestiżowej kariery

psychologa klinicznego i został psychologiem więziennym. „Snobizm odgrywa ważną rolę w świecie psychologów, a na więzienne posady trafiają rzekomo ci najgłupszy i najbardziej leniwi”, tłumaczył. „Nie wiem, czy to prawda. Ja po prostu postanowiłem robić to, na co miałem ochotę i co zaspokajało moje potrzeby. Na pewno nie sprawiłoby mi przyjemności wysłuchiwanie bajan neurotycznych gospodyń domowych na temat potrzeb seksualnych ich kotów”.

W maju 1978 roku wyjechał na mroźny Półwysep Górny w stanie Michigan, gdzie miał pracować jako psycholog w starym więzieniu w Marquette nad Jeziorem Górnym. Zakład mieścił się w potężnej, wzniesionej w romańskim stylu budowli, której kamienne mury miały półtora metra grubości. Trafiali tam najbardziej agresywni przestępcy z całego Michigan.

W zimie dzień trwał zaledwie osiem godzin, a ziemię pokrywała czterometrowa warstwa śniegu. Mieszkańcy spędzali wolny czas w nadbrzeżnej restauracji, zajadając się pasztecikami z mięsem i obserwując frachtowce

* F. Nietzsche, Poza dobrem i złem, tłum. S. Wyrzykowski, Kraków 2010, s. 78.

70

przedzierające się przez zmarznięte wody jeziora. Walter miał poczucie, że znalazł się w najbardziej ponurym, wymarłym miejscu na Ziemi.

Naczelnik więzienia wręczył mu plan zajęć terapeutycznych. Każdego dnia miał przeprowadzać sesje z sześcioma więźniami. Mordercami, gwałcicielami, pedofilami i sadystami. Przed laty za swoje zbrodnie trafili do więzienia, ale dopiero za przestępstwa popełnione już za kratkami — atak z nożem na strażnika, wydłubanie współwięźniowi oka łyżeczką, wszczęcie buntu — wysłano ich do tego najcięższego ze wszystkich zakładu karnego.

Przeważnie byli to psychopaci, znacznie przebieglejsi od prawników z Wall Street. Starali się go oczarować, zwieść lub zastraszyć. Próbowali mu wmówić, że przeżyli nawrócenie religijne. Grozili, że go uduszą, wytną mu serce i na nie naszczają, że zjedzą jego nerki. Próbowali go zaszokować.

Jak choćby mężczyzna, który przyszył swoim dzieciom powieki do brwi, po czym oddał mocz na ich twarze. Albo pedofile, którzy mieli na koncie setki ofiar. Platon powiedział, że istnieje tylko kilka sposobów czynienia dobra, ale nieskończenie wiele czynienia zła. Walter poznał każdy z nich. Wysłuchiwał ich z kamienną twarzą. Miał ocenić, którzy więźniowie są nieuleczalnymi potworami stanowiącymi zagrożenie dla siebie oraz

społeczeństwa, a którzy mają w sobie resztki dobra dające nadzieję na poprawę. Nie mógł sobie pozwolić na pomyłki — w grę wchodziło ludzkie życie. Codziennie toczył z więźniami pojedynki psychologiczne.

Niektórzy byli inteligentni, robili pozytywne wrażenie, pochodzili z dobrych rodzin i mieli wysoki iloraz inteligencji. Inni byli wytatuowanymi monstrami i już na sam ich widok człowiekowi przechodziły ciarki po plecach. Mówił im: „Postawmy sprawę jasno. Siedzisz w więzieniu, ponieważ twoi sąsiedzi nie chcą, żebyś włamywał im się do domu i gwałcił ich kota”.

Pracował w niewielkim, prostokątnym pokoju o betonowych ścianach, wyposażonym w zniszczone biurko, starą metalową szafę na dokumenty oraz drewniane krzesło przeznaczone dla pacjentów. W gabinecie wisiał jeden obraz przedstawiający kwiat. Okno wychodziło na port służący do przeladunku rudy żelaza. Była to jedna z najzimniejszych,

71

najbardziej zaśnieżonych i najmniej słonecznych miejscowości w Stanach Zjednoczonych.

— Jak dla mnie idealne miejsce — stwierdził.

— Cóż za koszmarna posada — nie mógł się nadziwić jego przyjaciel. — Naprawdę mieszkałeś wcześniej w Los Angeles?

— Tego mi właśnie potrzeba.

Nie mógł sobie wyobrazić lepszego laboratorium do badania zła.

Rozdział 8

Strażnicy miasta

Salę w budynku First Fédéral Bank przy Castor Avenue i Cottman Avenue w północnowschodniej Filadelfii wypełniał tłum miejscowych i przybyłych z New Jersey żydowskich policjantów.

Agent federalny William Fleisher, jeden z najbardziej prominentnych Żydów w szeregach filadelfijskiej policji, przedstawił kolegów, którzy mieli tego wieczoru zaprezentować kilka nierozwiązanych śledztw w sprawie morderstw. Rzecz miała miejsce na comiesięcznym spotkaniu Shomrim — po hebrajsku „strażników” — ogólnokrajowego stowarzyszenia żydowskich policjantów. Wyrażana w tak zorganizowany sposób jedność miała praktyczne podłoże: na komendach wciąż używano w odniesieniu do nich pogardliwego określenia kike. Jako przewodniczący filadelfijskiej sekcji Shomrim, Fleisher walczył z dyskryminacją funkcjonariuszy, których plemiennie nastawione środowisko policyjne pomijało przy awansach tylko

dlatego, że należeli do rodu Abrahama.

Fleisher był zastępcą dyrektora Urzędu Celnego w Filadelfii, jednego z najbardziej wpływowych agentów federalnych w środkowej części Wschodniego Wybrzeża. Do jego kompetencji należało zwalczanie przestępczości i przemytu narkotyków w portach i na lotniskach oraz na morskich i lądowych granicach trzech stanów. Zarządzał budżetem wynoszącym osiem milionów dolarów, setką urzędników oraz sześćdziesięcioma pięcioma agentami specjalnymi w oddziałach w Filadelfii, Pittsburghu, Harrisburgu (stolicy Pensylwanii), Wilmington w stanie Delaware oraz

73

agentami terenowymi w New Jersey. W strukturze służb federalnych zajmował pozycję równorzędną pułkownikowi.

W 1984 roku — kiedy doszło do opisywanego tu spotkania Shomrim — Fleisher był już legendarną postacią, która na trwałe zapisała się w historii służb federalnych. Po dwóch latach spędzonych w armii („najbardziej opatrnościowy błąd, jaki popełniłem w życiu”) — gdzie bezwzględny młodszy chorąży John Baylin zrobił z niego mężczyznę — wrócił do domu i zdobył tytuł magistra socjologii na filadelfijskim Temple University. Liczył, że zrobi wrażenie na ojcu, absolwencie tej uczelni — na próżno. Po ukończeniu studiów poszedł za głosem serca i wstąpił do policji. Nie zaimponował ojcu również i tym, mimo że w przyszłości miał zostać jednym z najlepszych funkcjonariuszy w Filadelfii.

Po trzech latach patrolowania ulic i służby na stanowisku kaprała dostał się do FBI, został agentem specjalnym i zyskał opinię nieustraszonego pogromcy mafii w Bostonie, Detroit, Filadelfii i Nowym Jorku. Wspecjalizował się w prowadzeniu badań wykrywaczem kłamstw i w przesłuchiwaniu podejrzanych. Stworzył gigantyczną siatkę informatorów, w skład której wchodziłi alfonsi, dziwki, politycy i odźwierni. Z każdego potrafił wydobyć potrzebne informacje. Podczas przesłuchań zmieniał osobowość niczym kameleon: grał dobrego wujka, bezwzględnego śledczego, wiernego przyjaciela, mądrego rabina, wesołka. Zdarzyło mu się popłynąć z tajną misją na rejs po Karaibach — jako zawodowy komik. Wsadził załogę za kratki za przemyt.

Fleisher przeniósł się z FBI do Urzędu Celnego, ponieważ agenci mieli tam więcej swobody, a razem z żoną, która była wtedy w ciąży z ich pierwszym dzieckiem, chcieli zamieszkać w rodzinnych stronach. Po trzyletniej służbie w Waszyngtonie Fleisher mógł wrócić do domu dzięki awanso-

wi na ważne stanowisko zastępcy agenta specjalnego kierującego filadelfijskim oddziałem Urzędu. Zamieszkali pod Filadelfią, w Cherry Hill w stanie New Jersey, w jednopiętrowym domu z pięcioma sypialniami. W niektóre wtorki Fleisher występował jako komik w hotelu Holiday Inn. Wydawało się, że wszystko układa się po jego myśli.

Fleisher w miarę powiększania się zakresu jego odpowiedzialności nabierał coraz słuszniejszej postury. Ten niegdyś szczupły agent FBI w wieku 74

pięćdziesięciu lat przemienił się w korpulentnego mężczyznę, który przesiadywał głównie za biurkiem. Miał metr siedemdziesiąt cztery, ważył sto trzysta kilo, ubierał się w eleganckie włoskie garnitury i zapuścił brodę godną starotestamentowego proroka. Lubił ekstrawagancję: w kieszonkę koszuli z wyhaftowanymi literami WLF wtykał złote pióro Montblanc, na małym palcu nosił pierścionek (na wzór znajomych Żydów, bohaterów z czasów dzieciństwa), miał nieposkromiony apetyt i słynął z ciętego języka. Tusza Fleishera niepokoiła jego lekarza i żonę, tymczasem sam zainteresowany żałował tylko, że brzuszysko nie pozwala mu nosić przy pasie, na kowbojską modłę, oficerskiego pistoletu Smith & Wesson kaliber .38, jak to miał w zwyczaju czynić za młodu, gdy był aroganckim agentem FBI — dwadzieścia lat i czterdzieści pięć kilogramów wcześniej.

Nie zapomniał o marzeniach z czasów młodości. Wciąż czerpał inspirację z komiksów i seriali telewizyjnych o detektywach — współczesnych błędnych rycerzach. Lubił z tego żartować, ale całkiem poważnie twierdził co innego: „Nie zamierzałem zostać urzędnikiem rządowym. Zawsze miałem nadzieję, że poświęcę życie na walkę ze złem”.

Na myśl, że musi zrezygnować z części marzeń, ogarniał go głęboki smutek. Istniało niebezpieczeństwo, że nagły przyływ negatywnych uczuć sparaliżuje go podczas akcji w terenie.

W 1968 roku, jeszcze jako młodziutki, nieopierzony policjant patrolujący ulice niebezpiecznych dzielnic zachodniej Filadelfii — mieszkańcy wyśmiewali się z jego drobnej budowy, delikatności rysów i żydowskiego pochodzenia — odpowiedział na wezwanie dyspozytorni: na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Drugiej i Market Street z okna na pierwszym piętrze wypadło małe dziecko. Zawiózł chłopca radiowozem na pogotowie. Lekarz reanimował go długo i na pozór bezskutecznie. W końcu z ust malucha wydobył się krzyk. Lekarz uśmiechnął się i stwierdził: „Wyjdzie z tego”.

Tak się rzeczywiście stało, mimo to Fleisher zaczął zanosić się niekontrol-

lowanym płaczem. Partner wyprowadził go ze szpitala. „Myślałem już, że umrze”, wyszochał uszczęśliwiony Fleisher.

Billy łkał nad ciałem zamordowanego dziecka, a także po aresztowaniu pracującego dla mafii płatnego mordercy. Rozpłakał się, gdy inni biali policjanci nazwali swojego kolegę „czarnuchem”. Nakrzyczał na nich,

75
że to przecież porządny człowiek. Wrażliwy policjant o dziecinnej twarzy utrzymywał, że przeczytał Biblię, Torę oraz Koran, a słyszał, że staroindyjskie Upaniszady zawierają podobne przesłanie — i ze świętych ksiąg wynika niezbita, że walka o sprawiedliwość rozgrywa się w sercu, a każda dusza jest cenna. „Wielkie religie nauczają”, mówił przez łzy, „że strata jednej duszy dotyka nas wszystkich”.

Ludzie zaczęli szeptać za jego plecami. Beksa. Społecznik. Mięczak. „Być może jestem niskim, grubym żydowskim policjantem”, odgryzał się później krytykom, „ale przynajmniej jestem najtwardszym niskim, grubym żydowskim policjantem, jakiego spotkaliście”.

W sali wypełnionej po brzegi policjantami panował gwar. Fleisher wstał. Był jednym z nich. Jego domu broniła przed złem zawieszona w drzwiach mezusa wypełniona oślepiającym światłem jedyne Boga. Koledzy go uwielbiali. Nie przeszkadzało im, że po szkoleniu z obsługi wykrywacza kłamstw, które zorganizował dla saudyjskich policjantów, wyściskał funkcjonariuszy z Rijadu, mówiąc przez łzy: „Przeczytałem Koran i zrozumiałem, że nic nas nie dzieli. Wierzymy w tego samego Boga”. Kolegom nie przeszkadzało również, że Fleisher uważał się jednocześnie za żyda i chrześcijanina. Jego żona była katoliczką, a portret Jezusa zawiesili nad kominkiem tuż obok romantycznego zdjęcia przedstawiającego parę łabędzi na jeziorze. Kiedy znajomi pytali go o to osobliwe zestawienie, odpowiadał: „To był pomysł Michelle. Ja nazywam to zdjęcie «Dwa łabędzie szykujące się do ruchanka»”. „Bill!”, wołała wtedy zgorszona żona. „A jeżeli chodzi o Jezusa, to był pierwszy porządny człowiek w historii”, dodawał.

Taki był właśnie Fleisher. Nietuzinkowa postać. Równiacha. Wariat, który miał odwagę kochać świat.

— Panie i panowie — zwrócił się do członków Shomrim. — Większość z was poznała już Hala Fillingera, znakomitego lekarza sądowego z Filadelfii, z kolei dla wielu będzie to pierwsza okazja, aby spotkać Franka Bendera, genialnego artystę, o którym zrobiło się głośno, odkąd zaczął pomagać w śledztwach prowadzonych przez filadelfijską policję.

— Dzień, w którym Fillinger poznał się na talencie Bendera, kiedy ten przyszedł pewnego dnia do miejskiej kostnicy — ciągnął — będzie dla

76

medycyny sądowej zdarzeniem równie doniosłym, co dla Hollywoodu odkrycie Lany Turner w drogerii Schwaba.

Zaledwie kilka minut wcześniej Fleisher miał okazję po raz pierwszy uścisnąć dłoń Benderowi. Energia i optymizm artysty od pierwszej chwili zrobiły na nim ogromne wrażenie. Teraz, prezentując zdjęcia z dokonaniami rzeźbiarza, nie mógł się nadziwić jego nadzwyczajnemu talentowi. Zaprezentował popiersie Anny Duval, pierwszej osoby, którą zidentyfikowano dzięki Benderowi. Po chwili zebrany ukazała się twarz Lindy Keyes, której szkielet znaleziono na wzgórzu w Slatington w Pensylwanii. Zdjęcie wykonanej przez Bendera rekonstrukcji głowy opublikowała gazeta „Morning Call” z Allentown. Mężczyzna z oddalonego o czterysta kilometrów Salisbury rozpoznał na nim swoją córkę Lindę, która zaginęła dwa lata wcześniej. Kolejne popiersie doprowadziło do rozwiązania zagadki morderstwa na North Leithgow Street w Filadelfii — ulicy, na której dorastał Bender. Do zbrodni doszło zaledwie kilka przecznic od jego domu. Bendera w największym stopniu poruszyła sprawa młodej czarnej kobiety, której szkielet znaleziono na północy Filadelfii w lasku przylegającym do szkolnego boiska futbolowego. Została zgwałcona i zamordowana mniej więcej rok wcześniej. Bender, zainspirowany znaną obok szkieletu bluzką z falbankami marki Ship'n'Shore, wyrzeźbił lekko uniesioną głowę, jakby kobieta była pogrążona w marzeniach o ucieczce z ponurej dzielnicy. Kiedy popiersie „Pełnej nadziei”, jak ją nazwał, zostało wystawione w filadelfijskim Mitter Museum, pewna dziewczyna rozpoznała w niej swoją ciotkę, Rosellę Atkinson, która zniknęła jakiś czas temu, pozostawwszy dwuletnią córeczkę. Do muzeum sprowadzono matkę Roselli, która wybuchła płaczem, ledwie spojrzała na gipsową twarz. „czekała na CÓRKĘ, znalazła ją w muzeum”, głosił nagłówek w „Philadelphia Inquirer”.

Po wystąpieniu Bendera podszedł do niego Fleisher i szczerze mu pogratulował. Umówili się na lunch. Bender liczył na zdobycie nowych zleceń dzięki znajomości z jednym z najbardziej wpływowych funkcjonariuszy federalnych organów ścigania na środkowowschodnim wybrzeżu. Z kolei Fleisher otwarcie wyrażał podziw dla artysty i jego paranormalnych

zdolności, które wykorzystywał w walce z przestępczością. „Doświadczony oficer śledczy nie powinien tego oczywiście mówić na głos”, tłumaczył później, „ale jego talent chyba rzeczywiście wykracza poza pojmowanie nauki i umysłu. Frank jest tajną bronią organów ścigania”.

Pierwszy lunch przerodził się w cotygodniowy rytuał. Między agentem federalnym z przedmieść i artystą z libertyńskiego centrum zrodziła się niezwykle silna więź. Wspomnienie cierpień, których każdy z nich zaznał z ręki ojca, rozbudziło w obu głód sprawiedliwości. Fleishera do szału doprowadzała myśl o ofiarach gwałtu lub morderstwa, którym najpierw krzywdę wyrządził przestępca, a następnie państwo. Bender wpadał w furję, gdy słyszał o policjantach odpuszczających sobie śledztwa, w które on pozostawał emocjonalnie zaangażowany. Z taką sytuacją miał do czynienia w przypadku młodej kobiety, której szkielet znaleziono w opuszczonej gorzelni w hrabstwie Bucks w Pensylwanii. Wśród jej kości spoczywały maleńkie kostki nienarodzonego dziecka. Bender wyrzeźbił twarz kobiety, na własną rękę przeprowadził śledztwo, nabrał pewności, że kobieta została zamordowana i że potrafi wskazać mordercę — zabrakło jednak woli sprawczej odpowiednich władz.

Fleisher i Bender, posilając się kanapkami i popijając kawę, doszli do oczywistego wniosku: zwykli ludzie cierpią, a kryminaliści wygrywają. Ktoś powinien coś z tym zrobić. Dlaczego właśnie nie oni?

Rozdział 9

Chłód przeszłości

Zwalisty mężczyzna przemierzał spękany chodnik w takim tempie, że przypominał stukilową rakietę. Elegancka biała koszula przesiąkła potem, poły marynarki łopotwały na wietrze, odsłaniając walthera PPK kaliber .380. Powietrze cuchnęło śmieciami i uryną, a za jego ciężkimi czarnymi półbutami ciągnął się smród roztopionej smoły. Chociaż z trudem łapał powietrze, parł bez wytchnienia do przodu niczym wielki byk. Temperatura przekraczała 30°C. Był to najgorętszy miesiąc w historii Filadelfii. William Fleisher po raz setny zadawał sobie w myślach pytanie, co też przywiodło go do najnędniejszej dzielnicy miasta, dlaczego opuścił chłodne, spokojne korytarze budynku Urzędu Celnego i dotarł na sam koniec South Street — skąpanego w skwarze siedliska chaosu.

Minął starego pijaczka, trzech bezdomnych siedzących w cieniu na spłaszczonym kartonie i wychudzone psy wyjadające resztki ze sterty śmieci. Przestępcy, podobnie jak reszta ludzkości, pochowali się przed

upałem i czekali na nadejście zmroku. Fleisher był uzbrojony i cały czas miał się na baczności. W okolicy grasował sadystyczny morderca, który zdążył już zadźgać cztery kobiety w wieku od dwudziestu ośmiu do siedemdziesięciu czterech lat. Ich ciała zmasakrował w sposób przywodzący na myśl Kubę Rozpruwacza — rozciął im brzuchy. Latem 1986 roku słowa „seryjny morderca” nabrały w Stanach Zjednoczonych nowego, przerażającego znaczenia. Filadelfijczycy rozglądali się nerwowo, mijając ciemne zaułki.

79

W odległości trzech kilometrów od budynku Urzędu Celnego natknął się na schowaną w półmroku dziewiętnastowieczną witrynę sklepową. W XIX wieku w budynku mieścił się sklep mięsny, w którym zaopatrywali się mieszkańcy zamożnej dzielnicy; obecnie w jego cieniu dochodziło do potajemnych spotkań handlarzy i narkomanów, którzy chronili się tam przed wilgotnym, zimnym powietrzem ciągnącym od rzeki. Szyby wystawy zaklejono płachtami starych, wypłowiałych od słońca gazet. Kto podszedł bliżej do zielonych drzwi, zauważył dwie małe tabliczki, „perły obowiązkowe”-głosiła pierwsza. „zgaś papierosa, bucu”-ostrzegwała druga. W środku panował całkowity mrok i absolutna cisza, jedynie z przewodu wentylacyjnego wypływała powoli strużka pary — oddech grobowca. W tamtym czasie całe miasto przenikał smród piętnastu gór śmieci, które narosły podczas strajku służb komunalnych, nie mógł się on jednak równać z odorem wydobywającym się ze zrujnowanego budynku przy Dwudziestej Trzeciej i South Street.

Fleisher zapukał. Zielone drzwi uchyliły się i młoda blondynka wpuściła Fleischera do środka. Była od niego wyższa, obdarzona sporym biustem i odziana w biały T-shirt sięgający do połowy ud — i nic więcej. Fleisher uśmiechnął się szeroko. Humor od razu mu się poprawił. Za plecami kobiety kryło się przestronne, pozbawione okien pomieszczenie z wysokim sufitem i betonową podłogą. Zwykły przechodzień nigdy by się nie domyślił, co kryje wewnątrz budynku. Na ścianach pogrążonego w mroku pomieszczenia — jedynym źródłem światła był rząd świetlików w suficie — wisiały prymitywne drewniane półki, na których stały rzeźby ludzkich głów. Obok nich znajdowała się piękna orzechowa gablotka z pistoletem z brązu w kształcie penisa. Przymocowana do niej tabliczka informowała: SEX PISTOLET, KTÓRY PODBIŁ ZACHÓD.

Fleisher zachichotał.

— Sekspistolet? Sądziłem, że w tym wieku Frank strzela wyłącznie ślepakami.

— Nie spał przez całą noc — poinformowała chłodno dziewczyna, prowadząc go przez stalowe drzwi do pracowni. — Kiedy wpadnie w trans, nic nie jest w stanie go powstrzymać.

80

Pracownia była zagracona aktami młodych kobiet, drabinami, stosami cegieł i erotycznymi pocztówkami z Paryża. Na półkach leżały gipsowe głowy: tu czaszka roztrzaskana kluczem do odkręcania kół samochodowych, tu usta wykrzywione w uszinkowanym przerażeniu, tam łysina i psychopatyczne spojrzenie mordercy całej rodziny, gdzie indziej czarny niewolnik, którego kości wykopano z grobu. Fleisher trafił do unikalnej galerii morderców i ofiar morderstw. Wprawilo go to w ponury nastrój. Z prowizorycznej kuchni urządzonej w kącie dolatywał odrażający smród. Frank Bender stał bosy na betonowej podłodze, bez koszuli. Mieszał zawartość wielkiego stalowego garnka. Obok na relingu wisiały chochle, łyżki oraz para stalowych kajdanek. Nad aluminiowym stołem kuchennym przybito do ściany kalendarz z lat pięćdziesiątych z rysunkami Normana Rockwella.

— Bill! — zawołał Frank przenikliwym głosem człowieka upojonego życiem. Miał nienaturalnie błyszczące oczy. Z dalszych części budynku dobiegały kobiece głosy.

— Co gotujesz? — zainteresował się Fleisher, podchodząc do kuchenki. Smród był trudny do wytrzymania.

— Lepiej nie pytaj — odparł Bender, wyszczerzając zęby. Szybko przykrył garnek pokrywką, ale Fleisher zdążył rozpoznać woń.

— Miarka się przebrała. Nie zaproszę cię więcej na składkowy obiad. Bender nie znosił chrząszczy żywiących się ludzkim mięsem. Wygotowywał rozkładające się głowy, zalewając je wodą, do której dodawał pół szklanki wybielacza i szczyptę boraksu.

— Zdarza mi się przyrządzać w tym garnku znakomitego kurczaka — wyznał. To on głównie zajmował się w domu gotowaniem, a większość potraw powstawała właśnie w tym naczyniu. — Jan i Joan nie mogą znieść myśli, że obgotowuję w nim głowy.

Fleisher wzniosł oczy do nieba.

— Może zjemy lunch na mieście?

Rozdział 10

Na procesie zabójcy

Bar Day by Day wypełniał hałaśliwy tłum. Do narożnych szyb docierała odrobina promieni sierpniowego słońca, które zdołały prześlizgnąć się między drapaczami chmur. Na dworze pijacy i narkomani drzemali w drzwiach kościoła. Przy stoliku w tylnej części sali Fleisher pochylał się nad cheeseburgerem, a Bender rozgrzebywał widelcem sałatkę i zerkał pożądliwie na Wendy, dwudziestokilkuletnią kelnerkę o bladej skórze i ciemnych włosach. Oczy Bendera błyszczały pośrodku jego łysiejącej głowy niczym para kryształków. Od jakiegoś czasu próbował namówić dziewczynę na rozbieraną sesję fotograficzną. Wpadła kiedyś do jego pracowni na kieliszek wina, ale nie chciała zrzucić ciuszków.

— Porusza się jak bogini seksu — zauważył, odprowadzając ją wzrokiem.

— Mój Boże, nie rozumiem, jak ci to uchodzi na sucho.

— Jan woli, żebym miał na boku kilka dziewczyn — wyjaśnił Frank. — Żebym się jej przez cały dzień nie wałęsał po domu. To Joan jest zazdrośna o inne.

Fleisher pokręcił głową.

— Nie potrafię tego pojąć.

Fleisher był od trzydziestu lat mężem Michelle i jego zamiłowania miały całkowicie konwencjonalny charakter: poza dziewiętnastowiecznymi powieściami detektywistycznymi lubił wyrafinowaną kuchnię, podróże z żoną i rozpuszczanie wnuków. Przekomarzał się z Michelle z równym

82

entuzjazmem, jak w czasach, gdy dopiero zaczynał się do niej zalecać.

W pewnym sensie nigdy nie przestał tego robić.

Bender również przez cały czas kochał żonę i wyrażał się o niej z ogromną czułością. Po ślubie przestał po prostu sypiać z przypadkowymi kobietami. Wszystkie kochanki były jego bliskimi przyjaciółkami.

— Można zatem powiedzieć, że przestałeś strzelać na prawo i lewo — uśmiechnął się znacząco Fleisher. — Zależy ci na trwałych związkach, mam rację?

— Tak właśnie.

Fleisher wybuchnął śmiechem.

— Frank, gdybyś należał do mojej rodziny, wziąłbym strzelbę i pogonił cię tak samo, jak to uczynił twój teść. Choć wiem, że w swoim fachu nie masz sobie równych.

Bender nachylił się do przodu.

— Posłuchaj, Bill — powiedział, zniżając konfidencjonalnie głos. — Policja ściga legendarnego płatnego mordercę. Poprosili mnie, żebym został „oczami” zespołu. Twierdzą, że mam zdolność patrzenia na twarze w sposób niedostępny dla kóregokolwiek z nich.

— Gratulacje. Rozumiem, że to dla ciebie duża szansa.

Bender się skrzywił.

— Mam wykonać szkice i popiersie pokazujące efekty starzenia się, żeby wiedzieli, jakiej twarzy powinni szukać. Szeryf odebrał ode mnie przysięgę i noszę teraz broń. Zostałem wyraźnie ostrzeżony, że udział w tym śledztwie naraża mnie na niebezpieczeństwo.

Fleisher otworzył ze zdumienia oczy.

— No wiem, wiem. Nie widziałem gościa z bliska, ale jest do mnie podobny. Ten sam wzrost, wiek, budowa ciała. Też jest artystą. Trochę to przerażające. Jakbym miał sobowtóra, złego brata bliźniaka.

Fleisher zmarszczył brwi. Bender wypił łyk kawy.

— Normalnie nikogo się nie boję — podjął — ale widziałem go raz przez teleobiektyw. Miał takie stalowe spojrzenie. Wie, kim jestem i że stanowią dla niego zagrożenie. Mam wrażenie, że chciałby mnie zabić. Nazywa się Hans Vorhauer. Podobnie jak ja ma niemieckie korzenie. Zabijanie to u niego tradycja rodzinna — ojciec był oficerem SS. Poza tym

83
facet jest geniuszem. Ma najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich więźniów w historii stanu Pensylwania.

Fleisher niemal podskoczył na krześle.

— Hans Vorhauer! Przecież ja go doskonale znam. W latach siedemdziesiątych ścigałem go po całym Wschodnim Wybrzeżu za morderstwo mojego znajomego, który miał zeznawać jako świadek.

Vorhauer był jednym z najbardziej poszukiwanych i niebezpiecznych zbiegów w całych Stanach Zjednoczonych. Agenci federalni oskarżyli go podczas przesłuchania o zabicie na zlecenie siedemnastu osób. „Nieprawda”, roześmiał się bezczelnie Vorhauer. „Zabiłem trzydzieści trzy osoby”. Vorhauer był genialnym strategiem, mistrzem kamuflażu, rusznikarzem, handlarzem narkotyków, rabusiem i płatnym mordercą pracującym dla rodzin mafijnych ze Wschodniego Wybrzeża. Nieustannie wymykał się policji. Jako chemik samouk prowadził jedną z największych fabryk met-amfetaminy na Wschodnim Wybrzeżu. Pod koniec lat siedemdziesiątych

został aresztowany i skazany za posiadanie narkotyków oraz rozboje z bronią. Skazano go na dwadzieścia lat pobytu w więzieniu Graterford pod Filadelfią, największym mamrze o zaostrzonym rygorze w Pensylwanii. W więzieniu zachowywał się wzorowo i w nagrodę został kierownikiem tamtejszego sklepiku.

17 listopada 1983 roku Vorhauer zorganizował spektakularną ucieczkę z Graterford, którą gazety określiły mianem „stolarskiego hokus-pokus”. Wydostał się z więzienia w zamaskowanej komorze szafy, którą wykonał dla klienta z zewnątrz. W sosnowym meblu — pomalowanym bejca na kolor dębu, aby nikt nie zwrócił uwagi na duży ciężar — ukrył się również morderca Robert Thomas Nauss, sadystyczny wódz gangu motocyklowego Warlocks — Czarowników, który udusił i pokroił na kawałki swoją dziewczynę. Dwie niezidentyfikowane osoby wywoziły szafę furgonetką. Mordercy przepadli bez śladu. Policja przypuszczała, że kiedy odzyskali wolność, ich drogi się rozeszły. Obu uważano za niezwykle niebezpiecznych, a policjani psychologowie twierdzili, że bez wątpienia zabiją ponownie. Schwytała Vorhauera i Naussa policja potraktowała absolutnie priorytetowo. Niestety śledztwo toczyło się wyjątkowo niemrawo i dopiero po wielu latach nastąpił przełom. Kobiecie, która była

84
kiedyś sąsiadką Vorhauera, wydawało się, że spotkała go w pobliżu mieszkania jego żony. Nie była pewna, poprzednio bowiem widziała go piętnaście lat wcześniej. Śledczy nie mogli zweryfikować tego tropu, ponieważ zdjęcia Vorhauera, którymi dysponowali, były jeszcze starsze. Nikt nie wiedział, jak zbieg zmienił się w ciągu tych siedemnastu lat i czy rzeczywiście przebywa w Filadelfii, dopóki Bender nie wypatrył go podczas policyjnej obserwacji. Teraz poproszono go o wykonanie szkiców i popiersia przedstawiających aktualny wygląd przestępcy. Było to pierwsze federalne śledztwo, w którym uczestniczył; pierwsza sprawa wagi ogólnokrajowej. Od jej wyniku zależała jego dalsza kariera zawodowa, a być może również życie.

— Widziałem go z daleka, obraz był wyjątkowo nieostry — tłumaczył z ponurą miną. — Cały czas brakuje mi jakiegoś elementu, aby stworzyć portret. Muszę go lepiej poznać, aby szkice i popiersie oddawały nie tylko wygląd, ale i osobowość.

Szeroka twarz Fleishera poczerwieniała. Wspomnienie płatnego zabójcy prześladowało go od ponad dekady.

— Pomogę ci złapać drania. Ma najzimniejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałem.

Rozdział 11

Śmierć tancerki

Fleisher zapukał do drzwi mieszkania w nowojorskim Queens i odsunął się na bok, zajmując miejsce obok innych agentów. Lokal należał do starego boksera, który dorabiał do emerytury, wykonując drobne zlecenia dla mafii.

Otworzył drzwi w bieliźnie. Żona gotowała coś w kuchni. Agenci chcieli porozmawiać na temat zamordowanego informatora, jednego z ludzi Fleishera, który musiał być głupi jak but, ponieważ powiedział mafii, że rozmawia z FBI.

— Mogę włożyć spodnie? — spytał bokser.

— Jasne — przytaknęli agenci.

— Pójdę z nim — powiedział Fleisher.

W sypialni bokser zakładał spodnie, stojąc na wyciągnięcie ręki od opartej o ścianę strzelby. Fleisher oparł dłoń na służbowej trzydziestce ósemce, którą nosił po gangstersku nad kroczem. Przybrał postawę mówiącą: „Może jestem kurduplem i Żydem, ale tylko spróbuj zrobić coś głupiego”.

— Słyszałem, że masz ochotę mi przyrznać — zwrócił się do boksera. — Weź strzelbę i załatwmy sprawę tu i teraz, mano a mano.

Gangster cofnął się z szacunkiem.

— Ależ nie, panie Fleisher. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Fleisher z charakteru przypominał Włochów — był człowiekiem uczuciowym i lekko narwanym. Włosi i ludzie ulicy go lubili. Właśnie

86

dlatego Jim Scanlon wezwał go pewnego poranka 1971 roku do siedziby FBI w Bostonie.

— Chciałbym, żebyś przyjrzał się sprawie morderstwa takiej jednej tancerki z Naparzalni — powiedział, kiedy usiedli. Naparzalnią policja nazywała bostońską dzielnicę czerwonych latarni.

Fleisher miał informatorów wśród dziwek, bramkarzy i kelnerów. „Cieszę się tam powszechnym uwielbieniem”, miał się pochwalić jednemu ze starszych agentów, co w nieunikniony sposób sprowokowało pytanie:

„A ile cię to kosztuje?” Tak się jednak składało, że Fleisher potrafił wyciągnąć informacje od każdego. Nie wydawał ani centa z tysiąca dolarów,

które otrzymywał z pieniędzy podatników na kupowanie informatorów. Urzekający uśmiech harcerzyka i przebiegłość bukmachera sprawiały, że ludzie otwierali się przed nim, a on wyciskał z nich wszystko, co chciał.

— Chodzi o niejaką Vicki Harbin. Miała koło pięćdziesiątki i pracowała jako tancerka w Klubie 222— referował Scanlon. — Znalaziono ją w pokoju w hotelu Avery. Leżała na podłodze obok drzwi. Ktoś zadźgał ją na śmierć.

Fleisher zmrużył oczy.

— Kobieta z pięcioma krzyżkami na karku, która wciąż tańczy na murze, naciąga klientów na drinki i używa życia w hotelu Avery — powiedział, kręcąc ze smutkiem głową. Hotel mieścił się w wąskim, dziesięciopiętrowym budynku. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku cieszył się przyzwoitą opinią, potem zszedł na psy i zamienił się w Hiltona dla dziwek. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych Tommy Carr i jego orkiestra grali Goodbye to Paris w Cameo Bar, a wodewilowi komicy Jackie Gleason i Art Carney pomieszkiwali w hotelu Avery, który oferował wtedy najtańsze pokoje w dzielnicy teatralnej. Zatrzymywali się tam artyści występujący w Bostonie. Nawet w tamtych czasach pokoje pachniały seksem. Mówiono: „O drugiej w nocy w Avery zadzwonił dzwonek i wszyscy wrócili do swoich pokoi”. Wiosną 1971 roku hotel otaczały dziesiątki variétés z rozneglizowanymi panienkami, salonów masażu i księgarni z publikacjami dla dorosłych. „Avery miał klimat podupadłego lokalu rodem z powieści Raymonda Chandlera”, napisał pewien dziennikarz.

— Niezadowolony klient?

87

— Nie, Vicki nie była prostytutką. Pracowała jako tancerka. No wiesz, ciało się trochę sypało, ale należała do tych, co zostają w biznesie do końca. Pod zwłokami znaleźli dwa dolary. Tyle dawała napiwku hotelowemu boyowi za przyniesienie kubelka lodu, kiedy wracała z pracy.

W brązowych oczach Fleishera błysnęło współczucie.

— Każdy ma jakieś marzenia.

— Dostała nożem prosto w serce. Robota zawodowca.

— To oczywiście straszne, że zginęła, ale cóż w tym morderstwie niezwykłego? — zdziwił się Fleisher. — Jeśli to nie był przypadek handlu kobietami, sprawą powinien zająć się bostoński wydział zabójstw.

Scanlon pokręcił głową.

— I tak było, dopóki na scenę nie wkroczył niejaki Orange Harbin...

— Orange?

— Tak właśnie. Pan Orange Harbin, mąż Vicki i chyba porządny gość. Przyszedł w zeszłym tygodniu na komendę i poinformował oficera dyżurnego, że jego żona została zamordowana na zlecenie Berniego Browna, gangstera z Baltimore.

Fleisher uniósł brwi.

— Szalonego Berniego Browna?

Scanlon skinął głową.

— Facet ma na koncie wszystkie możliwe przestępstwa — powiedział Fleisher. — Morderstwo. Wymuszenie. Przekręty. Jak na kogoś, kto nie ma włoskich korzeni, Szalony Bernie osiągnął chyba szczyt gangsterskiej kariery. Nie jest jakoś specjalnie nadziany, ale transferuje pieniądze do kogoś wyżej postawionego, płaci uliczny podatek. Podejrzewam, że jest Żydem.

— To w tej chwili mało istotne. Ci z Baltimore twierdzą, że Vicki zeznawała przeciwko Brownowi przed federalną ławą przysięgłych — wyjaśnił Scanlon.

— Morderstwo federalnego świadka — gwizdnął z wrażenia Fleisher. — Widzę, że Brown preferuje radykalne metody uciszania kobiet. Podejrzewam, że nadal opuszcza niedzielne próby chóru. I nie używa nici dentystrycznej przed myciem zębów.

88

Scanlon siedział nieporuszony. Fleisher miał słabość: wydawało mu się, że jest zabawny. Między innymi dlatego pozyskał tylu informatorów. Kiepski żart lub nieudana gra słów rozluźniały atmosferę skuteczniej niż wyrafinowane poczucie humoru.

— Policja sprowadza do sądu kolejnych świadków i nieustannie miesza mu szyki — powiedział Scanlon. — Bernie jest królem barów z dziewczynami, które przez cały wieczór wiszą na klientach, ale nie idą później z nimi do domu. Mają tylko naciągać ich na kupowanie rozwodnionego ginu. Ława przysięgłych próbuje rozbić imperium Szalonego Berniego, a on likwiduje kolejnych świadków.

— Zabił więcej niż jedną osobę?

— Pogadaj z chłopakami z Baltimore. Przed Harbin zlecił zabicie innego świadka, gościa w jakiś sposób związanego z tymi barami. Podłożyli mu pod siedzenie buicka bombę na tyle dużą, że skasowałaby i jego, i samochód. Nie chcieli zabijać żony, więc wykombinowali, że skoro fa-

cet pracuje w nocy, to usiądzie za kierownicą, włączy światła i — bum! — polecą na księżyc. Nie wpadli na to, że jego żona, która też pracuje w nocy, wstanie następnego dnia wyjątkowo wcześnie rano i zawiezie samochód na przegląd. Mechanik włączył światła i b u m...

— Zabili mechanika?

— Nie, uruchomił się tylko zapalnik. Sam ładunek prawdopodobnie zawilgł. Wybuch brzmiał jak petarda, rozerwał siedzenie i poparzył dupę mechanikowi, który prawie zesrał się ze strachu. Miał szczęście.

— A zatem Vicki Harbin wiedziała, że dni Szalonego Berniego są policzone, dlatego spakowała manatki, uciekła do Bostonu i rozpoczęła nowe życie w hotelu Avery?

— Zgadza się. Pytanie, kto ruszył jej śladem. Znalezienie odpowiedzi będzie cię słono kosztować.

— Bez przesady — powiedział Fleisher. Obiecał pociągnąć za język swoich informatorów. — Potrafię ich zbajerować. Lubią mnie. Wszyscy mnie lubią.

Wyszczrzył zęby.

— Nie zdarzyło się, żebyś za coś płacił w Naparzalni.

89

Fleisher pojechał do hotelu Bradford na Tremont Street. Ten neoklasy-cystyczny budynek z czerwonej cegły zbudowany w latach dwudziestych XX wieku znajdował się niegdyś „w sercu miasta”. W latach czterdziestych na jego dachu i poniżej, w największej bostońskiej sali balowej, przygry-wały big-bandy. Obecnie Bradford był przystanią dla dziwek i leżał w sa-mym centrum piekła na ziemi.

Fleisher dowiedział się od agentów FBI z Baltimore, że Brown wysłał do Bostonu swojego przybocznego, Jacka Sugarmana. Ten żołnierz pie-choty morskiej, weteran drugiej wojny światowej, pochodził z hrabstwa Delaware w Pensylwanii. Zaraz po powrocie z frontu został prawą ręką jakiegoś gangstera. Według informatorów Sugarman miał tylko odszu-kać Harbin i wskazać ją właściwemu zabójcy, niejakiemu Hansowi Vor-hauerowi, o którym Fleisher nigdy wcześniej nie słyszał. FBI z Baltimore określiło go mianem najlepszego w branży człowieka od mokrej roboty. Kiedy odebrał przysłany przez nich faks, ciarki przeszły mu po plecach na widok lodowatego spojrzenia mordercy.

Hotel Bradford był ponurym bliźniakiem pobliskiego Avery. Fleisher uznał, że Sugarman najpewniej zatrzyma się właśnie tam — jeżeli rzeczy-

wiecie przyjechał do Bostonu. „Nie zamieszkałby w tym samym hotelu, co ofiara, a Bradford jest w pobliżu Naparzalni”, rozumował. „Pełno tam dziwek, alfonsów i wszelakich szubrawców”.

— Cześć, Bill. Czego potrzebujesz? — zagadnął przy windach Paul, kierownik hotelu, wysoki, tysięjący mężczyzna o przygarbionej sylwetce.

— Muszę przejrzeć księgę gości — wyjaśnił Fleisher, ściskając dłoń mężczyzny.

— Znowu szukasz jakichś dziwek?

Skinął głową, ale kierownik hotelu już się odwrócił i dziarskim krokiem ruszył w dół po schodach, wiodąc Fleishera w głąb ciemnego korytarza. Dobrze się znali. W przeszłości pomógł Fleisherowi w śledztwach związanych z handlem kobietami. Na mocy specjalnej ustawy przewożenie przez granice stanów kobiet przeznaczonych do prostytucji uznawano za przestępstwo międzystanowe lub federalne. Poza wykroczeniami podatkowymi był to ulubiony paragraf, który FBI wykorzystywało do 90

przymykania gangsterów. Luckyego Luciano i Ala Capone aresztowano właśnie na podstawie zarzutów dotyczących „białego niewolnictwa”.

Kiedy indziej Fleisher pokazał Paulowi kilka fotografii i zapytał: „Widziałeś kiedyś te kobiety? Dostałem cynk, że to dziwki, które przyjechały z Minneapolis”. Aby policja nie mogła namierzyć kobiet zmuszanych do prostytucji w ich rodzinnych miastach, wożono je od miasta do miasta, niczym wędrowną trupę teatralną— Chicago, Minneapolis, Nowy Jork, Boston, Baltimore, Nowy Orlean. „Zatrzymały się u mnie. Chodź, zaprowadzę cię”, powiedział Paul. Wjechali windą na czwarte piętro i przeszli długim korytarzem. Kierownik zaczął walić w drzwi i krzyczeć: „Wynocha z mojego hotelu, kurwy jedne!”.

Teraz zaprowadził Fleishera do małego, zakurzonego pokoju i postawił przed nim na stole trzy długie tekturowe pudła. W środku znajdowały się karty o wymiarach 7,5 na 12,5 cm z formularzami rejestracyjnymi, podzielone na kupki spięte gumkami recepturkami. Fleisher przejrzał rejestr gości z poprzedniego miesiąca. Pracował szybko i niecierpliwie. Na karcie z rezerwacją pokoju na trzy noce, wypełnionej trzy tygodnie przed morderstwem, pojawił się nabazgrany podpis: Jack Sugarman. Dwa tygodnie przed morderstwem, kolejne trzy noce: Jack Sugarman. Tydzień przed morderstwem, jedna noc: Jack Sugarman.

„Mam cię!”, pomyślał. „Namierzyłem Sugarmana. Za pierwszym ra-

zem przyjeżdża z Baltimore, aby przyobserwować Vicki, zobaczyć, czym się zajmuje. Za drugim notuje jej godziny pracy i przyzwyczajenia. Trzecia wizyta jest krótka — pokazuje ją Vorhauerowi". Znalezienie miejsca pobytu Vorhauera byłoby znacznie trudniejsze — był poszukiwanym zbiegiem i mistrzem przebieranek. Z całą pewnością posługiwał się fałszywym nazwiskiem.

Wieczorem tego samego dnia Fleisher zajrzał do mrocznej, zadmionej nory zwanej Caribe Lounge — najsłynniejszego klubu striptizowego w Naparzalni. Na małej scenie tańczyła rudowłosa dziewczyna, a wianuszek mężczyzn obserwował ją przez kłęby papierosowego dymu. W normalnych okolicznościach ruda od czasu do czasu odsuwałaby na bok stringi i stanik — pełny striptiz był w Bostonie zakazany — ale

91
nie w obecności policjanta. George Tecci, właściciel i kierownik w jednej osobie, zatrzymał Fleishera w drzwiach.

— Czego tu szukasz? — spytał, wykrzywiając pogardliwie usta.

Fleisher wyjął portfel i pokazał odznakę.

— FBI. Szukam Kopciuszka.

— W jakiej sprawie?

— Chcę z nią porozmawiać na temat morderstwa Vicki Harbin, która tańczyła w 222.

Pokazał Tecciemu zdjęcie: przedstawiało brunetkę o okrągłej, podstarzałej twarzy. Kiedy kierownik prowadził go schodami w dół do garderoby, minęła ich poruszająca się z kocią gracją wysoka blondynka z dużym biustem. Musiała mieć dwadzieścia kilka lat i — w szpilkach — grubo ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Fleisher nigdy nie widział seksowniejszej kobiety. Kiedy przyjrzał się jej twarzy, uznał, że jest również jedną z najładniejszych.

— Kopciuszek, ten gość chce z tobą pogadać — powiedział Tecci. Uśmiechnęła się. Miała wysokie i delikatnie zarysowane kości policzkowe oraz olśniewający uśmiech. Z wielkich, niebieskich oczu strzelały iskry. Fleisher wyjął zdjęcie z teczki.

— Czy to prawda, że byłaś znajomą Vicki Harbin?

Uśmiech zniknął Kopciuszkowi z twarzy. Wprowadziła go do swojej garderoby.

— O niczym nie wiem.

Usiedli pod otoczonym lampkami lustrem. Dzieliła ich tak niewielka

odległość, że Fleisher czuł zapach jej potu. Obdarzył ją swoim najcieplejszym uśmiechem. Dziewczyna była zniewalająco piękna i urocza. Polubiła go — wyczuwał to mimo zuchwałego spojrzenia. Niemal stykali się nogami. Nogi też miała niewiarygodne. Przyjrzał jej się dokładnie w przyćmionym świetle i poczuł, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Jabłko Adama wielkości dorodnego czempiona. Łapy jak u zawodowego boksera. „Wystarczy sobie wyobrazić takiego babochłopa i człowiek budzi się równie skutecznie jak po mocnej kawie”, pomyślał.

Kiedy ostatni raz widziała Harbin?

Nie drgnęła jej nawet powieka.

92

— O niczym nie wiem.

Czy Harbin obawiała się Berniego Browna?

— O niczym nie wiem.

Czy widziała któregoś z tych mężczyzn? Wyjął przefaksowane zdjęcia Sugarmana i Vorhauera.

— O niczym nie wiem.

Odpowiedzi brzmiały jak mantra skierowana do pustego wszechświata. Fleisher miał świadomość, że rozmowa będzie trudna. Według jego informatorów mężem Kopciuszka był pracujący dla Berniego Browna Bobby Urbin. Był odźwiernym gangstera w Baltimore i „robił za szulera dla mafiosów w Bostonie”, wspominał Fleisher. Razem z Kopciuszkiem podróżowali od miasta do miasta.

— O niczym nie wiesz, ale zaraz się czegoś dowiesz. Pozwól, że pokażę ci, co zrobili z twoją koleżanką.

Wyjął z teczki zdjęcie ze zbliżeniem zadanych nożem ran na ciele Harbin.

Kopciuszek zduśił okrzyk, przyciskając dłoń do ust. Do wielkich niebieskich oczu napłynęły łzy.

— Próbuję znaleźć mordercę Vicki. Oto moje nazwisko i numer telefonu. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała pomóc.

Nie odezwała się, kiedy wręczył jej wizytówkę i wyszedł.

Trzeba jakoś zmotywować Kopciuszka i jej męża, pomyślał, wsiadając do samochodu.

Tego samego dnia o dziesiątej wieczorem pojechał do Klubu 222.

W drzwiach zatrzymał go bramkarz, przysadzisty mężczyzna wysoki na jakieś metr sześćdziesiąt i niemal tak samo szeroki. Miał nalaną twarz,

okulary w grubych oprawkach i włosy ufarbowane na nieco zbyt ciemny kolor. Z mięsistych ust zwisał papieros, z tylnej kieszeni spodni wystawała metalowa pałka. Jedno z brązowych oczu latało na wszystkie strony niczym trzmiel pod szklanką.

— Zezowaty Benny — przywitał się Fleisher. Uścisnęli sobie serdecznie dłonie. — Prowadzę sprawę morderstwa Vicki Harbin i szukam tych gości. Podetknął bramkarzowi pod nos zdjęcie Sugarmana i Vorhauera. Zezowaty Benny wskazał skinieniem głowy na podobiznę Sugarmana.

93

— Ten u nas był.

Sugarman wyszedł z 222 z prostytutką, opowiadał Benny. Zabrał ją do Bradforda i zapłacił czekiem bez pokrycia.

— Znasz Bobby'ego Urbina?

Zezowaty Benny prychnął.

— Jasne, wciąż tu przychodzi.

Fleisher nigdy nie widział męża Kopciuszka i nie dysponował jego podobizną. Umówił się z Zezowatym Bennym, że usiądzie z drinkiem przy stoliku, Benny stanie za barem, a kiedy Bobby Urbin się zjawi, bramkarz zapali papierosa. I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu, a do klubu wszedł Urbin. Akurat w tym samym momencie jednemu z klientów przy barze urwał się film i wokół zatłoczyli się ciekawscy. Zezowaty Benny wmieszał się w tłum i poklepał Urbina po ramieniu.

— FBI — przedstawił się Fleisher, który zaszedł go z drugiej strony. — Chcę ci zadać kilka pytań.

Wyprowadził go z klubu i kazał wsiąść do samochodu. Usiedli z tyłu i Fleisher zaczął ciągnąć Urbina za język, a Urbin, jak rasowa męska dziwka, położył dłoń na wewnętrznej stronie jego uda. „Pozwolę mu na to, żeby wyciągnąć z niego potrzebne informacje”, pomyślał rozbawiony sytuacją Fleisher. „On też mnie lubi. Wszyscy mnie lubią”. Ale Urbin nie chciał rozmawiać na temat morderstwa Vicki Harbin. Fleisher musiał go puścić. Poirytowany wrócił do siedziby FBI i zadzwonił do Franka Mulvee'ego, przydzielonego do sprawy oficera śledczego z Bostonu. Poinformował go, że Urbin dysponuje informacjami na temat morderstwa oraz przechowuje w mieszkaniu marihuanę (o tym ostatnim dowiedział się od informatora na ulicy).

Następnego poranka policja wkroczyła do mieszkania Urbina. Kopciuszek i Urbin byli w domu. Mulvee zadzwonił do Fleishera, który przy-

jechał na miejsce i próbował namówić Urbina do współpracy.

— O niczym nie wiesz, tak? — mówił. — Nie wierzę w to ani ja, ani policja. Co w takim razie powiesz na badanie wariografem?

— Och, Bobby, poddaj się testowi — wtrąciła się Kopciuszek. Policjanci zawieźli Urbina do prywatnego specjalisty od wykrywania kłamstw. Ten założył Urbinowi rękaw do mierzenia ciśnienia, przykleił mu do
94

klatki piersiowej oraz brzucha przewody pneumografu i założył czujniki elektryczne na koniuszki palców. Urbin odpowiedział na kilka pytań, po czym zdart z siebie wszystkie kable i wybiegł z biura. Dysponowali tylko jednym odczytem, który wyraźnie wskazywał na kłamstwo.

Fleisherowi kręciło się w głowie. Zlokalizował naprowadzacza, Sugarmana, jednak nikt nie widział rzeczywistego zabójcy, czyli Vorhauera. Ten pozostawał nieuchwytny jak duch. Tymczasem ludzie Browna czmychali z Bostonu niczym szczury z tonącego statku. Policja nie mogła znaleźć Urbina. Fleisher nie zdołał namówić do zeznań znajomych Harbin. W końcu zdobył nazwisko tancerki, która bardzo dobrze znała Vicki. Terri Emanuel była cudowną dziewczyną o miedzianej skórze, pół Filipinką, pół Cajunką; do niedawna także pół mężczyzną, pół kobietą, która urodą dorównywała Kopciuszkowi. Fleisher uznał ją za potencjalnie najbardziej wartościowego świadka.

Tamtego wieczora Fleisher siedział akurat w barze z dwoma znajomymi, szeryfem federalnym Mikiem Assadem i jego bratem Eddiem, bostońskim gliniarzem, kiedy obok ich stolika przeszła niezwykle zgrabna kobieta. Trzej panowie zagwizdali i wstrzymali na chwilę oddechy, napawając się widokiem w milczeniu.

— Jeżeli uważacie, że o n a ma czym oddychać — odezwał się Fleisher — powinniście byli zobaczyć laskę, którą przesłuchiwałem wczoraj wieczorem w Caribe. Nazywa się Kopciuszek.

— Ładne imię — stwierdził Mike.

— Ta dziewczyna wygląda przy niej jak nauczycielka, mimo że Kopciuszek jest facetem.

Mike i Eddie jęknęli.

— Ciekawy zbieg okoliczności — powiedział Eddie. — Mieliśmy dziś wezwanie, jeszcze przed świtem. Kobieta, która zginęła w tajemniczych okolicznościach, też była trans.

— Jak się nazywała?

— Terri Emanuel.

— Chryste! — krzyknął Fleisher. — Zamierzałem ją przesłuchać.

Wycisnąwszy z Eddiego szczegóły morderstwa, Fleisher zostawił kolegów i z automatu telefonicznego zadzwonił do Mulvee'ego. Umówili się na 95

spotkanie w głównej siedzibie bostońskiej policji. O drugiej w nocy znaleźli w raporcie adres, pod którym znaleziono ciało Emanuel. Mieszkała w kamienicy z facetem o nazwisku Art Nettles.

O trzeciej w nocy zapukali do drzwi ich mieszkania. Nettles wpuścił ich bez oporów do środka. Art okazał się brunetką, „pół mężczyzną, pół kobietą. Zmiana płci wciąż trwała”, wspominał Fleisher. „Miała cycki, ale nie usunęła sobie jeszcze siusiaka”. Terri była jej współlokatorką, spała na sofie. Art rozsiadła się na sofie, rozchylając szlafrok i prezentując dumnie nowe piersi. Ucieszyła się, że ktoś chce z nią porozmawiać o śmierci Terri.

Dwóch napakowanych Włochów wystraszyło Art i Terri w jednym z klubów; chcieli, żeby poszły z nimi do domu. Na szczęście udało im się wykręcić i bezpiecznie wrócić do mieszkania. W środku nocy obudził je dzwonek domofonu. Art wpuściła dzwoniącego. Przez szparę w drzwiach zobaczyła tych samych dwóch Włochów, którzy natychmiast wepchnęli się do środka. Jeden uderzył Art pięścią w szczękę, a drugi złapał Terri, która jak zawsze spała nago na sofie. Zawinęli ją w koc i uciekli. Art zachowała na tyle przytomności umysłu, żeby uruchomić alarm przeciwpożarowy. Kiedy zawyła syrena, zbiry porzuciły Terri i uciekły. Dziewczyny położyły się spać, uznawszy, że sprawa się na tym skończyła. Przed południem następnego dnia zadzwoniła znajoma tancerka z Chicago i zapytała Art: „Wszystko w porządku z Terri? Śniła mi się. Wyczułam zapach kwiatów. Nic jej nie jest?”. Art podeszła do sofy, żeby obudzić Terri. Dziewczyna nie żyła. Lekarz sądowy nie potrafił określić przyczyny zgonu.

— To jakiś patałach — zauważył Mulvee.

— Mój Boże — westchnął Fleisher. Miał poczucie, że Bernie Brown próbuje zlikwidować wszystkich świadków, którzy mogą mu zagrozić.

Problem w tym, że nie mógł tego udowodnić. Kolejny ślepy zaułek.

Tej nocy zadzwoniła do niego Kopciuszek. Chciała porozmawiać. Tak, Vicki Harbin wiedziała, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Cały czas miała duszę na ramieniu. Tydzień przed jej śmiercią zdarzyło się coś przerażającego. Tańczyła akurat na scenie, kiedy zauważyła wśród widzów

wielką, paskudną, pokiereszowaną gębę Jacka Sugarmana, człowieka, który podczas drugiej wojny światowej otrzymał Krzyż Marynarki za to, że
96

pewnej nocy na Guadalcanal zabił stu trzydziestu dwóch japońskich żołnierzy. Od tego czasu ktoś zdążył mu przemodelować twarz kijem bejsbolowym, a teraz siedział w boksie na widowni i wodził za nią pożądanym spojrzeniem. Obok niego dostrzegła najlepszego płatnego mordercę Berniego Browna, Hansa Vorhauera. Znała ich obu. Twarz Vorhauera była całkowicie pozbawiona wyrazu. Wilcze spojrzenie utkwił w jakimś punkcie za jej plecami i wydawał się w ogóle nie zwracać na nią uwagi. Scanlon wiedział, że Fleisher poruszył niebo i ziemię, niemniej śledztwo zaczęło posuwać się do przodu dopiero po zeznaniach złożonych przez Kopciuszka.

W lecie 1971 roku FBI przeniosło Fleishera do Detroit i przestał zajmować się tą sprawą.

Bender spoglądał na Fleishera znad kubka z kawą.

— Cholera, to musiało być frustrujące. Ależ bym chciał zobaczyć tego Kopciuszka. Udało wam się wtedy złapać Vorhauera?

Fleisher pokręcił z niezadowoleniem głową.

— Nie. Uganialiśmy się za nim po całym Bostonie. Widziano go w wielu barach, ale zawsze nam się wymykał. Stacjonowałem już w Detroit, kiedy zadzwonił do mnie agent, z którym pracowałem wcześniej w Baltimore. „Zgadnij, co się stało”, powiedział. „Dorwaliśmy Vorhauera”. FBI dostało cynk, że Vorhauer, Najbardziej Poszukiwany Zbieg w Stanach Zjednoczonych, ukrywa się w podmiejskiej posiadłości Sugarmana w Baltimore. Pod dom podeszło sześciu uzbrojonych po zęby agentów FBI i policjantów. Sugarman otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Przy stole w kuchni siedział rudowłosa mężczyzna w średnim wieku. Tuż obok niego leżała teczka z brązowej skóry. Żaden z agentów nie rozpoznał Vorhauera. Kazali mu się wylegitymować. Z prawa jazdy i numeru ubezpieczenia wynikało, że jest to niejaki Joe Smith; miał również przy sobie wystawione na to nazwisko karty kredytowe i kartę członkowską jakiegoś klubu. Na końcu w jego portfelu znaleziono złożone w kostkę potwierdzenie przekazu pieniężnego Western Union do matki, zamieszkałej w Hannau w Niemczech Barbary Vorhauer. Niewiele brakowało, aby i tym razem im się wymknął. Agenci aresztowali Vorhauera, a Sugarmana zabrali do

97

Bostonu na przesłuchanie. Ten natychmiast zaczął współpracować, aby uniknąć zarzutów o ukrywanie zbiega.

Według Sugarmana Bernie Brown zapłacił Vorhauerowi pięć tysięcy dolarów za zabicie Harbin. Vorhauer obserwował przez jakiś czas tancerkę, a kiedy po wieczornym występie w klubie wróciła do pokoju, zapukał do jej drzwi. Pomyślała zapewne, że to boy hotelowy z kubelkiem lodu. Vorhauer wpadł do środka. Później powiedział Sugarmanowi, że zadał jej trzy ciosy nożem w serce.

Agenci na szczęście aresztowali płatnego zabójcę, zanim zdążył dotknąć leżącej obok niego brązowej teczki. Z bocznej ścianki wystawała lufa pistoletu z tłumikiem kaliber .22; spust znajdował się przy ręczce. Vorhauer zabrał kiedyś Sugarmana do sklepu spożywczego w Baltimore. „Patrz” — powiedział i przeszedł między półkami, strzelając do pudełek z płatkami śniadaniowymi — paf! paf! paf! Wyszedł ze sklepu z teczką w ręce spokojnie, jakby był pracownikiem banku udającym się na lunch. Nikt w sklepie nic nie zauważył. Zdaniem Sugarmana Vorhauer był genialnym rusznikarzem, który produkował najlepszą na świecie czarnorynkową broń.

— Vorhauer to potwór — stwierdził Bender. Obejrzał się przez ramię, jakby w obawie, że morderca stoi za jego plecami. — Tak go oceniam. Geniusz i zarazem psychopata. Te informacje naprawdę pomogą mi w wyrzeźbieniu popiersia.

Poprawił się nerwowo na krześle. Fleisher kręcił ze smutkiem głową.

— Z aresztowania nic nie wyniknęło. Nie został oskarżony o morderstwo. Brakowało dowodów i musieli go wypuścić. Każdy z nas ma za sobą jakąś sprawę, którą chciałby poprowadzić jeszcze raz — lepiej. W moim przypadku byłoby to śledztwo w sprawie Vorhauera.

Zapadła cisza.

— I jeszcze jedno — odezwał się po chwili Fleisher. — Uganialiśmy się za nim miesiącami, a najdziwniejsze, co ustaliliśmy, to że lubi chodzić do barów dla gejów i transwestytów.

Twarz Bendera pojaśniała.

98

— Nie był gejem — wyjaśnił Fleisher. — Po prostu do mokrej roboty zatrudniał pogrążonych w depresji homoseksualistów. Niektórzy z nich cieszyli się, że mogą dołożyć jakiemuś hetero.

Bender uśmiechał się do siebie, jakby w ogóle nie słuchał Fleishera.

Odpłynął myślami gdzie indziej. Fleisher miał poczucie, że równie dobrze mógłby podjąć próbę nawiązania kontaktu wzrokowego z Drogą Mleczną.

— Frank, wróć na Ziemię.

Wendy ponownie pojawiła się w ich sali.

Fleisher uśmiechnął się i potrząsnął głową, jakby próbował odgonić muchę. Często się zastanawiał, jak to jest być Frankiem Banderem. Jakie to uczucie być detektywem trawionym obsesją na punkcie seksu i śmierci? Czy Frank słyszał głosy, które podpowiadały mu, co robić?

Wendy przyniosła rachunek. Bender zaczął z nią flirtować głosem słodkim jak miód. Niepokój w jednej chwili zniknął z jego twarzy. Fleisher dopił kawę i wybuchnął śmiechem.

— Frank, sam masz na koncie niejedną ofiarę.

Bender uśmiechnął się pod nosem. Wyobraźnia przeniosła go w znajome regiony. Myślał o brunetkach — o brunetkach i blondynkach.

Rozdział 12

Detektyw Fizjonomista

W pracowni panował niezwykły spokój. Z oddali dobiegał odgłos przypominający fale rozbijające się o brzeg, był to jednak po prostu nieprzerwany szum samochodów przejeżdżających autostradą. Przez zakurzone świetliki z trudem przebijał się brzask. Z cienia wyłoniła się paskudna twarz Vorhauera, oświetlona promieniami Gwiazdy Porannej. Fizjonomia była na wpół ukształtowana, groteskowo wykrzywiona, jakby rozpięta na stalowym szkielecie bryła gliny cierpiała straszliwe katusze. Przypominała Banderowi uwięzionego w skale, wrywającego się ku wolności niewolnika Michała Anioła. Bender spuścił wzrok na kubek kawy i podniósł go z powrotem.

— Cholera jasna — zaklął. Uderzył dłonią w glinę. Miał ochotę cisnąć rzeźbą o ścianę. Czego w niej brakowało?

Bender wykonał piętnaście szkiców twarzy Vorhauera, rozpoczął też pracę nad popiersiem. Starał się zdobyć jak najwięcej informacji na temat płatnego zabójcy, jak to miał w zwyczaju przy okazji każdego zlecenia. Przestudiował akta policyjne, artykuły w gazetach, kartotekę w kostnicy; analizował zdjęcie sprzed trzynastu lat. Doprowadzał do szewskiej pasji policjantów, bombardując ich nieustannie pytaniami. Według oficjalnej wersji Vorhauer był postacią jednowymiarową: absolutnym wcieleniem zła. Koniec, kropka. Ale to nie wystarczało do stworzenia trójwymiarowej rzeźby odwzorowującej realną jednostkę. Bender nie potrafił do koń-

ca przeniknąć tajemnicy mistrza kamuflażu.

100

Miał okazję zobaczyć Vorhauera na własne oczy i było to przeżycie, z którym nie mogła się równać żadna relacja pośrednia. Morderca był „zimny jak stal, zimny, zimny, zimny”, opowiadał. „Jego oczy mówiły wyraźnie, że życzy mi śmierci”. Bender cały czas poszukiwał brakującego składnika, klucza do duszy Vorhauera — jeżeli morderca w ogóle ją posiadał. Tymczasem na wynik jego pracy czekali policjanci. Nie mogli znaleźć mordercy, ponieważ nie wiedzieli, jak wygląda.

„Być może powinienem zacząć myśleć jak płatny zabójca?”, zastanawiał się Bender, popijając zimną kawę. Stał przed nieukończonym popiersiem i próbował zgłębić tajemnicę oczu bezlitosnego mordercy. I wtedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Przysadzisty mężczyzna średniego wzrostu z rozczochranymi siwymi włosami otaczającymi okrągłą twarz zmierzył wzrokiem Bendera, uśmiechając się z politowaniem. Był to Paul Schneider, oficer śledczy z hrabstwa Delaware powołany na stanowisko szeryfa federalnego. Schneider był jednym z najlepszych detektywów, z którymi Bender miał okazję współpracować — inteligentnym twardzielem, który nigdy się nie poddawał. „Gdyby w serialach telewizyjnych chcieli pokazywać prawdziwych śledczych, nie powinni zatrudniać tych przystojniaków, ale gości pokroju Paula Schneidera”, twierdził Bender. Schneider nie był zwykłym szeryfem — dowodził oddziałem próbującym złapać Vorhauera.

Uśmiechnięta twarz Schneidera kontrastowała z mrokiem pracowni.

— Widziałem go, na sto procent go widziałem! Vorhauera.

— Żartujesz!

Bender dostał wypieków na twarzy, oczy rozbłysły mu z podniecenia.

Po dziewięciu miesiącach jałowych poszukiwań mordercy-ducha nareszcie nastąpił przełom.

Schneider potrząsnął głową.

— Godzinę temu na Wellington Street, przecznicę od domu jego żony.

Wsiadał do samochodu z jakimś mężczyzną.

Bender spoglądał teraz nieobecny, zamglony wzrokiem, zupełnie jakby ktoś nagle odłączył zasilanie jego oczu. Vorhauera poszukiwały tysiące policjantów i informatorów oraz najlepsi łowcy nagród. Dotąd nie widział go nikt poza Benderem. Za pierwszym razem stał na zatłoczonym

101

chodniku przed apteką. Miał na głowie czapkę bejsbolową i okulary przeciwsłoneczne. Palił papierosa. W jakiś sposób wyczuł obecność Bendera, który w zaparkowanym przecznicy dalej samochodzie unosił właśnie aparat fotograficzny. Vorhauer patrzył przez moment prosto w teleobiektyw. Przez zaciętą, wykrzywioną twarz przebiegł drwiący uśmiech; zaraz potem mężczyzna zniknął. Jego obraz ledwie zdążył się utrwalić na kliszy — rozmazana sylwetka, której nie udało się nawet zamienić na szkic, a w zasadzie kilka promieni światła i cień. Śledztwo przypominało polowanie na ducha lub oczekiwanie pod figurą świętego, aż zaczną ronić krwawe łzy.

Strachu najadł się dopiero za drugim razem. Ze Schneiderem podjechali w przebraniu śmieciarzy pod dom Barbary Vorhauer na Wellington Street. Policja podejrzewała, że Vorhauer ukrywa się u żony, filadelfijskiej pielęgniarki. Bender zachowywał wszelkie środki ostrożności — Vorhauer nie zawahałby się zastrzelić każdego, kto wszedłby mu w drogę — i przebrany za pracownika zakładu oczyszczania miasta zajmował siedzenie pasażera w śmieciarce. Pod dywanikiem na podłodze leżała naładowana strzelba. Schneider zatrzymał się na tyłach budynku. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, Bender z pochyloną głową wrzucił worki ze śmieciami do zgniatarki, dopiero później szybkim ruchem wyjął aparat fotograficzny z kieszeni kombinezону i zaczął fotografować budynek. Kiedy skierował obiektyw na zasłonięte okno na pierwszym piętrze, oblał go zimny pot. Żaluzje były rozchylone, jakby ktoś przez nie wyglądał. Ogarnęło go poczucie, że stoi zupełnie nagi, całkowicie bezbronny, sparaliżowany strachem. Serce waliło mu jak młotem. Czekał na wystrzał i ciemność, czekającą na każdego u kresu życia. Mijały kolejne chwile i nic się nie działo. Później, kiedy uświadomił sobie, że zawdzięczał życie kaprynowi mordercy, ponownie poczuł ucisk w żołądku.

A może przez okno wyglądała podejrzliwa pielęgniarka? Vorhauer wydawał się równie realny jak śmierć i nierealny jak duch.

Bender otrząsnął się z myśli, wzięł do ręki pastele i podszedł do sztalugi.

— Namalujmy go dokładnie, żeby twoi ludzie wiedzieli, kogo szukają. Trzeba w końcu przyskrzynić drania.

102

Schneider skinął głową i stanął za plecami Bendera. Ręka artysty poruszała się szybko nad białą płachtą papieru, szkicując wąską ulicę i samo-

chód niemal równocześnie z opisującymi je słowami Schneidera.

— Obserwowaliśmy jego żonę, mając nadzieję, że wyjdzie z jej mieszkania — opowiadał śledczy. — Zobaczyłem, jak wsiada do zaparkowanego samochodu po prawej stronie ulicy...

— Jak wyglądał? — dopytywał się Bender. Serce zabiło mu mocniej. Miał poczucie, że wreszcie osaczają zwierzynę.

— Wrednie — odparł Schneider.

Bender kiwał niecierpliwie głową.

— Przejeżdżając koło nich, dostrzegłem tylko kawałek twarzy kierowcy, samo ucho — relacjonował szeryf federalny. — Kątem oka zobaczyłem Vorhauera. Zacięta, szczupła, ospowata twarz, rudobrązowe włosy. Na głowie miał bejsbolówkę.

— Jakiego koloru?

— Niebieską.

W chwilę później szkic przedstawiał człowieka opisanego przez Schneidera. Bender odwrócił się i spojrzał na śledczego.

— Miał świadomość waszej obecności?

— W żadnym razie, kolego — obruszył się szeryf federalny, jakby pytanie go uraziło. — Mamy w tych sprawach pewne doświadczenie.

Bender zmarszczył krzaczaste brwi, mrużąc oczy. Wiedział, że Vorhauer ma najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich osób, które przewinęły się przez zakłady karne Pensylwanii.

— Ludzie pokroju Vorhauera są obdarzeni szóstym zmysłem — powiedział niezwykle spokojnym, wyważonym tonem. — Potrafią wyczuć, kiedy ktoś ich obserwuje.

Schneider wzruszył ramionami.

— Jestem pewien, że nas nie widział.

— Co zrobiliście? — spytał Bender, czerwony z podniecenia.

— Nic — skrzywił się Schneider.

— Jak to nic?

Twarz artysty nabrała barwy dojrzałej śliwki.

103

— Nie mieliśmy wyboru — powiedział Schneider, spuszcżając wzrok. — Nawet by się nie zawahał. Zastrzeliłby mnie na miejscu. Musimy wybrać odpowiednie miejsce i czas.

Ramię Bendera opadło na sztalugę. Schneider i pozostali śledczy zawsze odczuwali przed Vorhauerem wielki respekt. „To niezwykle czło-

wiek", powtarzał Schneider. „Absolutnie niezwykły”. Schneider nie potrafił przejść do porządku dziennego nad faktem, że genialny płatny zabójca i znakomity stolarz po ucieczce z więzienia zaczął studiować chemię na uniwersytecie i zbudował linię do produkcji metamfetaminy mogącą automatycznie wytwarzać narkotyki, gdy on znajdował się gdzie indziej — nie musiał dzięki temu obawiać się aresztowania ani wybuchu. Nawet policjanci obawiali się brutalności Vorhauera, który w przeszłości dzięki niezwykłym umiejętnościom strzeleckim wiele razy wymykał się z zasadzek.

— Głowa do góry. Jak moglibyśmy przegrać, skoro Detektyw Fizjonomista jest po naszej stronie? — stwierdził Schneider, przywołując przezwisko, którym ochrzcił kiedyś Bendera.

Bender uśmiechnął się pogodnie, ale jego oczy zdradzały, że ponownie odpłynął myślami gdzie indziej. Wsłuchiwał się w głos, któremu ufał najbardziej, „dobiegający z wnętrza”. Inni nazywali go intuicją, ale Bender słyszał w nim jednoznaczne podpowiedzi, których nie dałby mu żaden policjant ani których nie znalazłby w aktach sądowych. Teraz, późno wieczorem, już po wyjściu Schneidera, głos przekazał mu trzy nowe spostrzeżenia, które Bender uznał za absolutnie prawdziwe i warte ponownej wycieczki pod sztalugę. Po pierwsze: Vorhauer wiedział, że szeryf federalny przygląda mu się z niewielkiej odległości. Po drugie: mistrz kamuflażu natychmiast zmienił w związku z tym wygląd zewnętrzny. Po trzecie: przefarbował włosy na blond.

— Blond? — zdziwił się Tom Rappone, szef filadelfijskiego biura szeryfów federalnych, zerkając na Bendera, kiedy ten następnego popołudnia wręczył mu gotowy czarno-biały portret Vorhauera i wyjaśnił, że nie chciał marnować czasu na mieszanie pastel. Wykonany węglem rysunek przedstawiał blondyna.

104

— Tak wygląda w tej chwili Vorhauer — stwierdził Bender. — Jeżeli złapiecie go w ciągu najbliższych dwóch tygodni, będzie miał włosy rozjaśnione na blond.

— Blond — powtórzył Rappone, a pod ciemnymi, przyglądającymi się badawczo rozmówcy oczami przemknął ponury uśmiech. Bender co rusz zdumiewał jego ludzi niesablonowymi pomysłami i przewidywaniami, ale to przebijało wszystkie. Płatny zabójca mafii ucharakteryzowany na modelu z reklamówki farby do włosów.

— Vorhauer jest aryjczykiem dumnym ze swojego niemieckiego pochodzenia — tłumaczył Bender. — Ma odpowiednią karnację. Jest również artystą, wyjątkowo kreatywnym artystą.

Rappone milczał, jakby spodziewał się dalszych wyjaśnień. Bender poczerwieniał na twarzy. Wcale się nie peszył, gdy kwestionowano jego wizję — zdarzało mu się wręcz wpadać w gniew. Później czasami wychodziło na jego.

— Fleisher wspomniał, że kiedy był agentem FBI w Bostonie, Vorhauer zaglądał często do barów dla gejów i transseksualistów. On sam nie jest gejem, ale szukał tam pomocników. Problem w tym, że wygląda na stu-procentowego hetero. Przeфарbowanie włosów na blond pomoże mu wmieszać się między tych wszystkich trans. Uwierz mi, Tom, utlenił sobie włosy. Rappone wzruszył ramionami i skserował portret dla swoich ludzi.

Kiedy Schneider zobaczył dzieło Bendera, uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Frank, my ci ufamy, ale zastępca prokuratora okręgowego uznał twój portret za żart. Wielu chłopaków sądzi, że ci odbiło.

Bender uśmiechnął się z zażenowaniem. Tym wyrazem twarzy zdołał zbałamucić wiele porządnych kobiet w różnym wieku.

Przez następny tydzień Bender nadal pracował nad popiersiem Vorhauera. Pewnego dnia w jego przestronnej pracowni rozległ się telefon. Rappone dzwonił z informacją, że prowadzona od dawna obserwacja Barbary Vorhauer w końcu przyniosła skutek. Kobieta doprowadziła policjantów wprost do męża.

— Żartujesz! Opowiadaj wszystko! — wykrzyknął Bender pełnym entuzjazmu głosem dziecka.

105

Barbara, pracująca na nocnych zmianach w Szpitalu Ortopedycznym, wychodziła z pracy wczesnym rankiem. Niekiedy, zamiast do domu, ruszała w innym kierunku, poruszając się krętą, pozornie przypadkową trasą. Wyszkolona przez Hansa, przez wiele miesięcy uwalniała się w ten sposób od śledzących ją policjantów.

W końcu pewnego dnia zdołali jej nie zgubić, choć raz po raz zawracała o sto osiemdziesiąt stopni i wjeżdżała w ślepe uliczki. W końcu zatrzymała się na parkingu restauracji Penrose Diner. Wysiadła z samochodu i zniknęła w środku. Po chwili wyłoniła się z restauracji i przeszła na drugą stronę ulicy do Quality Inn, jedenastopiętrowego budynku w kształcie walca. Na schadzce z żoną Hans Vorhauer wybrał okrągły hotel z wido-

kiem na wszystkie strony.

Rappone wysłał ludzi w nieoznakowanej furgonetce na hotelowy parking, aby poczekać tam na Vorhauera. Mijały godziny, a czterech uzbrojonych po zęby szeryfów federalnych nie spuszczało oka z głównego wyjścia. Nie mogli opuścić furgonetki, nawet gdyby któryś musiał pójść do toalety. Jakikolwiek podejrzanе zachowanie mogło spłoszyć Vorhauera. Obserwacja trwała przez całą noc. Następnego dnia rano Rappone wezwał posiłki. O dziesiątej rano Vorhauer i jego żona wyszli z hotelu i zostali natychmiast otoczeni przez szeryfów federalnych. Płatny zabójca poddał się, unosząc ręce. Miał na sobie jasną marynarkę, kapelusz i okulary przeciwsłoneczne. Kiedy zdjął okrycie głowy, oczom wszystkich ukazała się całkowicie zmieniona fryzura: krótko przycięte, utlenione włosy.

— Dobra robota, Detektywie Fizjonomisto. Nie mam pojęcia, jak to robisz — powiedział Schneider, kiedy zajrzał do pracowni, aby pogratulować partnerowi. — Wiele osób powinno cię przeprosić.

— Tobie też należą się gratulacje — odparł Bender. — Jesteś najlepszym oficerem śledczym, z jakim współpracowałem.

— Wyskoczyłbyś na piwo?

— Przykro mi, mam głowę do pomalowania.

Schneider skierował wzrok na popiersie mężczyzny. Skądś znał tę twarz.

106

— Mężczyzna z Pola Kukurydzy — wyjaśnił Bender, wskazując na niezidentyfikowanego białego mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat, którego ciało zostało znalezione przez farmera orzącego pole w pensylwańskim hrabstwie Lancaster. W trakcie kilku tygodni ich kontaktów w związku ze sprawą Vorhauera Schneider obserwował postępy prac: od czaszki, przez glinianą formę, do gipsowego odlewu. Białe popiersie miało w sobie coś heroicznego; przedstawiało przystojnego, długowłosego mężczyznę o silnie zarysowanej żuchwie i szlachetnym nosie. Mężczyzna z Pola Kukurydzy wyglądał jak Tezeusz szykujący się do starcia z Minotaurem.

— Skoro złapaliście Vorhauera, może uda wam się ustalić tożsamość tego delikwenta — powiedział Bender, wskazując głową na popiersie.

Schneider delikatnie się uśmiechnął.

— Nic o nim nie wiesz, prawda?

— Nic a nic.

Usta śledczego wykrzywiły się w lekkim grymasie niezadowolenia.

— Rozumiem. Policja poszukuje w całych Stanach kilkudziesięciu tysięcy zaginionych osób, a ty oczekujesz, że wyciągnę z kapelusza dane konkretnego człowieka? Nie jestem czarodziejem. Chyba sam się za kogoś takiego nie uważasz, prawda?

Artyście rozbłyły oczy.

— Nie, sukces można osiągnąć tylko pracą zespołową.

Po drodze do domu Schneider wstąpił na komendę w Upper Darby, aby odebrać zaległą korespondencję. Nie zaglądał tam od kilku tygodni. Kiedy nie pomagał akurat szeryfom federalnym, pracował jako zwykły oficer śledczy. Ze względu na prowadzone od lat śledztwo dotyczące gangu motocyklowego Warlocks — a przy okazji niejakiego Naussa, człowieka, który uciekł z więzienia z Vorhauerem — Schneider stał się ważną postacią oddziału ścigającego obu morderców. W wydziale miał opinię specjalisty od gangów motocyklowych. Ledwie wszedł na komendę, jeden z oficerów poprosił go, aby spojrzeć na zdjęcie pewnego człowieka. Oficer dowiedział się właśnie od swojego informatora, że zaginiony mężczyzna na

107
zdjęciu nazywał się Edward Meyers, został zabity przez członków gangu motocyklowego i pochowany na jakimś wzgórzu w Pensylwanii.

— To on. Znasz go może?

Schneider otworzył ze zdumienia usta. Na zdjęciu znajdował się Mężczyzna z Pola Kukurydzy.

— Nie, ale kwadrans temu widziałem jego popiersie w pracowni Fran-ka Bendera.

Nie zważając na uśmiechy i docinki kolegów, Schneider wrócił do pracowni artysty. Razem porównali zdjęcie i popiersie. Podobieństwo było uderzające. Policja potwierdziła to później, porównując zdjęcia rentgenowskie szczęki Edwarda Meyersa z zębami denata.

— Jesteśmy na fali, Detektywie Fizjonomisto — stwierdził Schneider. Nauss wymykał mu się od wielu lat. W tym czasie w jego rodzinnych stronach krwawe rządy sprawował gang motocyklowy. Schneider dostrzegł swoją szansę. — Musimy złapać Naussa.

— Bułka z masłem, partnerze — oświadczył promieniejący dumą Bender, błyskając srebrnym zębem.

Bender i Schneider byli niezwykle podekscytowani perspektywą przy-skrzynienia mordercy — Roberta Thomasa Naussa, współnika Vorhauera.

Entuzjazmu nie ostudził nawet fakt, że Nauss po ucieczce z więzienia zapadł się pod ziemię i nie widziano go od kilku lat; policja nie dysponowała również wiarygodnymi informacjami na temat miejsca jego pobytu ani jego wyglądu. Jednym słowem, poruszali się całkowicie po omacku.

A jednak wiedzieli, że dopną swego. Problem w tym, że nie mogli zdradzić źródła tego przekonania innym policjantom. Sukces przepowiedziało im medium.

Była nim Penny Wright, niemal całkowicie niewidoma kobieta, która w przeszłości pomagała Schneiderowi przy wielu śledztwach. Kiedy kilka tygodni wcześniej szeryf federalny zaprowadził do niej Bendera, kobieta przepowiedziała, że kolejnego zbiega schwytają w budynku z wielką kolumną. Po aresztowaniu Vorhauera w Quality Inn, Schneider i Bender uświadomili sobie, że nietypowa bryła hotelu pozwalała go nazwać wielką kolumną. Podbudowani trafnością przepowiedni, przypomnieli sobie słowa Wright, że po tym aresztowaniu złapią zbiega z problemami

108
żołądkowymi. Schneidera aż nosiło z podniecenia. „Nauss został w młodości postrzelony w brzuch przez innego członka gangu Warlocks”, powiedział. „Założę się, że do dziś żołądek daje mu się we znaki”.

Bender był podobnego zdania. Schneider coraz bardziej cenił sobie współpracę z Detektywem Fizjonomistą. Od dziesięciu lat ścigał zbiegłych więźniów, teraz jednak miał poczucie, że nawet ci najbardziej poszukiwani znajdują się niemal na widelcu — ich tajemnice przenikał osobiście roziskrzonymi oczami Frank Bender.

— Pan Nauss musi być owym Człowiekiem z Problemami Żołądkowymi — stwierdził Schneider.

Bender wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Bez wątpienia.

Rozdział 13

Człowiek z Problemami Żołądkowymi

Po północy Bender sprowadził Joan do wymalowanego na biało pokoju znajdującego się poniżej poziomu pracowni. Tańczyli i pili wódkę z przezroczytych kieliszków. Na dworze między budynkami i ponad leniwym nurtem rzeki zawodził wiatr. Obejrzeni Blue Velvet. Benderowi zawsze podobał się mroczny, a jednocześnie uroczy portret Filadelfii, który David Lynch stworzył w swoim filmie. Po seansie miał poczucie, że wizja reżysera wdrukowała mu się w umysł. „Filadelfia to niesamowicie piękne mia-

sto", pisał Lynch. „Fabryki, smog, tory kolejowe, restauracyjki, dziwaczne postacie, ciemne noce (...), tak wiele lęku i zbrodni, że na chwilę otworzyły się wrota do innego świata. Gdy myślę o Filadelfii, słyszę zawodzenie wiatru i mam wrażenie, że otacza mnie mrok". Seans dał Benderowi zastrzyk energii, ale na niewiele się to zdało.

Joan jeszcze w nocy wróciła do domu w New Jersey, gdzie czekał na nią mąż i dwoje dzieci. Bender położył się do łóżka z Jan i zapadł w krótki, niespokojny sen. O poranku promienie słońca, wpadające przez brudne świetliki, oświetliły pracownię bladym, nierównym światłem. Był lipiec, upalne lato 1987 roku. Czuł się bezsilny. Opuściła go wena twórcza. Nazywał ją Harmonią Form, cudowną łaską pozwalającą mu wyczytać kształt ust zmarłego z wyglądu jego oczu i nosa. Bender wprowadzał się w coś w rodzaju transu, niesłusznie interpretowanego przez innych jako aroganckie przypisywanie sobie atrybutów boskości. W rzeczywistości osiągał wtedy stan całkowitej pokory wobec nieuniknionego porządku

110
rzeczy. „Harmonia przenika wszystko: sztukę, muzykę, formę. Czasami potrafię wyczuć, jak coś wygląda lub powinno wyglądać", tłumaczył. Czasami mu się to nie udawało i był wtedy jak narkoman na głodzie.

Popiersie sadystycznego mordercy Roberta Thomasa Naussa, wyrzeźbione bez owej iskry, było najzwyklejszą bryłą martwej gliny, Belzebubem z brązowego błota. Morderca nie chciał odsłonić przed Benderem swego prawdziwego ja, kpił sobie z niego w tej psychologicznej próbie sił. Bender miał zawsze wrażenie, jakby otaczały go duchy osób, które rzeźbił, a Nauss okazał się jeszcze przebieglejszy i okrutniejszy od Vorhauera. Bender wpatrywał się w chłodne oczy gangstera, kiedy rozległ się dzwonek telefonu, płosząc koty ukrywające się w ciemnych kątach pracowni.

— Frank Bender — przedstawił się wyraźnym, zdecydowanym głosem stanowiącym całkowite przeciwieństwo chaosu, w jaki osuwał się podczas pracy. Mężczyzna przedstawił się jako Bob Leschorn, główny inspektor biura szeryfa federalnego w McLean w stanie Wirginia. Przemawiał spokojnie i rzeczowo, a w jego głosie pobrzmiwała charakterystyczna dla osób zajmujących wysokie stanowiska władczość wymieszana z niecierpliwością.

— Dowiedziałem się o znakomitej robocie, którą wykonałeś przy śledztwach w sprawie Vorhauera i Naussa. Potrzebujemy twojej pomocy, Frank,

w pewnej niezwykle ważnej i delikatnej sprawie. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy byłbyś zainteresowany.

— Jasne! Chętnie pomogę.

Oddech Bendera nieco przyspieszył. Jako fotograf nie mógł liczyć na stałe zlecenia i bez przerwy miał kłopoty finansowe — potrzebował tej roboty. Współpracą przy kolejnym śledztwie federalnym sprawiłby ogromną przyjemność Jan. Tym razem zaproszenie przyszło z samej góry.

— Znakomicie. Ale wszystko po kolei. Nie mogę zreferować sprawy przez telefon. Musimy zachować pełną dyskrecję. Chodzi o niezwykle groźnego zbiega z listy Dziesięciu Najbardziej Poszukiwanych. Zostaniesz przywieziony do mojego biura. Tymczasem, Frank, nie mów nikomu o naszej rozmowie. Ani znajomym z policji, ani z FBI, ani nawet szeryfom federalnym.

111

— Oczywiście.

— Nie chcemy, aby ktokolwiek się dowiedział, nawet twoja żona. Jan nie interesowały szczegóły pracy Bendera, a on nie lubił nikomu opowiadać o śledztwach, w których uczestniczył — nawet Joan. Będzie tylko musiał przykryć lub schować nowe popiersie, aby nie zobaczył go nikt postronny.

— Rozumiem — odpowiedział.

Trzy dni później szeryfowie federalni Tom Conti i Steve Quinn podjechali rano pod jego pracownię czarnym sedanem z przyciemnionymi szybami. Samochód z ogromną prędkością ruszył na południe autostradą międzystanową numer 95. Szeryfowie poinformowali Bendera, że wiozą go na lotnisko, gdzie spotka się z głównym inspektorem, który przyleci specjalnie z Wirginii. O której, dokładnie nie wiadomo — powiedziano im tylko, że „po południu”. Kiedy szeryfowie, próbując znaleźć samolot z szefem, krążyli wokół lotniska, Bender doszedł do wniosku, że Leschorn wystawił ich na próbę, a przy okazji przedsięwziął dodatkowe środki ostrożności. Na przyłot samolotu czekali dwie godziny.

Leschorn był wysokim, siwiejącym pięćdziesięcioletkiem w niezwykle eleganckim garniturze. Zabrał ich do lotniskowej restauracji i wybrał stół w tylnym kącie sali. Kiedy kelner zniknął z zamówieniem, Leschorn nachylił się w stronę Bendera i cichym głosem zaczął referować sprawę. Jego ludzie obserwowali uważnie wejście do restauracji. Leschorn wyjaśnił, że szukają Alphonsea „Małego Alliego” Pérsico, drugiego w hierarchii

człowieka w kolumbijskiej rodzinie mafijnej działającej na terenie Nowego Jorku. Pársico miał pięćdziesiąt siedem lat i wraz z cieszącym się jeszcze gorszą sławą bratem, Carmineem „Wężem” Pársico, zamierzał objąć funkcję ojca chrzestnego jednej z pięciu największych rodzin mafijnych w Stanach Zjednoczonych. Bracia Pársico zyskiwali na znaczeniu i budzili postrach jako ludzie od mokrej roboty. Nominalnie byli spadkobiercami legendarnego, nieżyjącego bossa Josepha Colombo, ale co chwila trafiali za kratki. Mały Allie odsiedział szesnaście lat za morderstwo w Sing Sing, więzieniu o zaostrozonym rygorze w Ossining w stanie Nowy Jork. Mówił się, że wziął na siebie winę za przestępstwo popełnione przez brata. Kiedy w 1980 roku aresztowano go za wymuszenie i lichwiarstwo, wyszedł za 112

kaucją i zapadł się pod ziemię, unikając w ten sposób kolejnych dwudziestu lat więzienia. Od siedmiu lat był poszukiwany przez policję.

Pársico ukrywał się tak skutecznie, że FBI postanowiło pozbyć się jego sprawy i podrzuciło ją szeryfom federalnym. Mimo ogromnych sum pieniędzy wydanych na analizę fałszywych dokumentów i fikcyjnych tożsamości przybieranych przez mafiosa, FBI nie było nawet pewne, czy Mały Allie jeszcze żyje. „Przez ostatnich siedem lat żywiliśmy się praktycznie samymi anonimowymi donosami”, wyjaśniał rzecznik FBI. „Tropy prowadziły w najróżniejsze miejsca na całym świecie. Miał przebywać w Miami, Honolulu, Japonii, Ameryce Południowej. Sprawdziliśmy wiele śladów, ale nic z tego nie wyniknęło”.

Leschorn podkreślił, że muszą działać szybko i w całkowitej tajemnicy. Nawet wśród szeryfów federalnych Pársico miał status Człowieka, którego Nazwiska Nie Wolno Wypowiadać. Szeryfowie mieli zwyczaj mówić o nim, wyłącznie używając kryptonimu.

— Schwywanie tego człowieka to nasz priorytet — wyjaśnił Leschorn. — W poszukiwaniu włożyliśmy wiele wysiłku.

Bender uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że szeryfowie federalni lubią rywalizować z FBI w głośnych śledztwach, aby potwierdzić swój status najlepszych na świecie organów ścigania. Uważają się za prawdziwych stróżów prawa, niedocenianych w porównaniu z pretensjonalnymi szpanerami z FBI.

Leschorn położył na stole dwa małe, wykonane w więzieniu zdjęcia Pársica. Portrety o rozmiarach 7,5 na 12,5 centymetra przedstawiały gangstera z profilu oraz patrzącego prosto w obiektyw aparatu. Wykonano je

niemal dwanaście lat wcześniej. Podobnie jak w przypadku Vorhauera i Naussa, nie istniały żadne aktualne zdjęcia poszukiwanego.

— Co się stało z jego twarzą? — spytał Bender. Cały lewy policzek wyglądał, jakby jego właściciel przespał się na poduszce wypełnionej kamieniami i gwoździami. Pas blizn kończył się przy dolnej, niemal sonej wardze.

— Wdał się w bójkę w Sing Sing i ktoś oblał mu twarz kwasem — wyjaśnił Leschorn.

Podejrzewano, że mógł sobie zrobić operację plastyczną.

— Niewiele tego macie — stwierdził Bender.

113

— Wziąłbyś takie zlecenie?

Leschorn chciał dostać popiersie w ciągu dziesięciu dni.

Bender pomyślał, że projekt będzie wymagał niecodziennego połączenia sztuki, nauki i wróżenia z fusów, które przypominały próby odgadnięcia zmian wyglądu wywołanych procesami starzenia się. Właśnie w ten sposób udało się złapać Vorhauera i tę samą strategię zamierzał obecnie wykorzystać do stworzenia portretu Naussa.

— Oczywiście.

Uśmiechnął się szeroko, a jego twarz przybrała charakterystyczny uszczęśliwiony, nieco obłądny wyraz świadczący o tym, że jego wyobrażenia już rozpałała się do czerwoności. Satysfakcję sprawiały mu jedynie najtrudniejsze zlecenia, dające nadzieję, że w razie powodzenia zostanie okrzyknięty bohaterem.

— Muszę wiedzieć o nim wszystko, co tylko możliwe.

Agenci federalni nie potrafili dostarczyć zbyt wielu informacji. Na zdjęciach sprzed dwunastu lat Persico był szczupłym, czterdziestopięcioletnim mężczyzną o wyglądzie playboya. Miał oliwkową karnację, ciemne włosy i wąsy. Pił i palił jak smok; największą sympatią darzył szkocką whisky. Miał żonę, ale spotykał się z wieloma kobietami.

Przez wiele lat jego dziewczyną była Mary Bari, olśniewająco piękna, niewysoka brunetka. Poznali się, gdy ona miała piętnaście lat, a on dobiegał czterdziestki. W tamtych czasach nowojorska mafia przeżywała swoje najlepsze lata i Persico obsypywał Mary diamentami, otulał futrami, zabierał ją do Las Vegas, gdzie jeździli białym rolls-royceem w asyście uzbrojonego ochroniarza. Kiedy w 1984 roku zaczął się ukrywać, załatwił jej posadę kelnerki w prowadzonym przez mafię Wimpy Boys Social Club w Brooklynie, aby miała stałe źródło dochodów i była blisko rodziny.

Na rozmowę kwalifikacyjną przyszła wystrojona, jak na dziewczynę gangstera przystało: w bluzce bez rękawów, szpilkach, spódnicy z paskiem z wężowej skóry, obwieszona perłami. Powitał ją Greg Scarpa junior, syn szefa rodziny. Scarpa przytrzymał ją mocno w serdecznym uścisku, gdy tymczasem jego ojciec, Greg „Kostucha” Scarpa, zbliżył się z przyjazną miną, jakby też chciał dać jej buziaka. W ostatniej chwili wyciągnął pistolet i wpakował jej trzy kulki w głowę. Ciało porzucili na ulicy dwie

114

przecznice od klubu. Krążyła plotka, że chciała zdradzić FBI kryjówkę Pérsica. „Mój Boże”, powiedział później Bender, kiedy usłyszał tę historię. „Przy tym gościu Vorhauer sprawia wrażenie prawdziwego dżentelmena”. Szeryfowie sądzili, że Pérsico żyje i mieszka na Florydzie lub w Connecticut. Wielu gangsterów ukrywało się w tych stanach.

Bender przystąpił do pracy, a szeryfowie raz po raz przewozili go samolotem z Filadelfii do Nowego Jorku, skąd koordynowano poszukiwania. Przedsięwzięto takie środki bezpieczeństwa, że ani ochrona, ani pilot nie mogli obejrzeć zawartości pudła z włókna szklanego, które Bender pewnego dnia przypiął pasem do sąsiedniego fotela. Popiersie skończył w ciągu dziesięciu dni. Przedstawił mafiosa jako podstarzałego mężczyznę o pomarszczonej twarzy, z wąsami i ufarbowanymi na ciemno włosami. Objęty programem ochrony świadków były gangster, który widział Pérsica kilka lat wcześniej, obejrzał rzeźbę i ocenił ją pozytywnie.

Cztery miesiące później, w poniedziałek 9 listopada 1987 roku, około piątej po południu, jeden z szeryfów pokazał zdjęcie popiersia Pérsica dozorczyńni budynku w West Hartford w stanie Connecticut. Był to jeden ze stu pięćdziesięciu adresów, które zamierzał skontrolować. Spośród tysięcy mężczyzn wybrano stu pięćdziesięciu mieszkańców Connecticut, którzy posiadali prawo jazdy zawierające informację o podobnym wieku, wzroście i zbliżonej dacie urodzenia jak Pérsico oraz których nazwisko kończyło się na samogłoskę. Nieopodal w samochodzie czekało siedmiu uzbrojonych po zęby szeryfów.

Najpierw pokazał kobiecie zdjęcie Pérsica wykonane przed dwunastoma laty. Pokręciła głową. „Nigdy go nie widziałam”. Następnie fotografię popiersia stworzonego przez Bendera. „Och, ten człowiek mieszka u mnie na piętrze. Nazywa się John Longo. Właśnie do mnie dzwonił. Prosił, żebym przyszła, bo zepsuł mu się piekarnik. Przyrządza sos i kuchenka przestała działać. Wydawał się zmartwiony z tego powodu”.

Szeryf tylko się uśmiechnął. „Proszę się nie martwić, naprawimy kuchenkę”. Falanga agentów federalnych podeszła pod drzwi mieszkania. Persico znany był z tego, że nosił przy sobie broń, był niezwykle niebezpieczny i podróżował z ochroniarzami. Otworzył drzwi. Był sam — zirytowany, że nie może przyrządzić sosu do spaghetti.

115

Szeryf pokazał odznakę. Podstarzały mafioso skulił się, oszpecona twarz stężała. Poddał się bez walki. Mieszkanie było wynajęte na nazwisko jakiejś kobiety, ale nie jego żony. Szeryfowie znaleźli siedem tysięcy trzysta dolarów w gotówce. Nowojorska mafia przysyłała mu pieniądze. Persico miał pomóc rodzinie Colombo w przezwyciężeniu kryzysu, w jakim się znalazła.

Mały Allie wymykał się szeryfom przez siedem lat, wiodąc bezbarwne życie. Kiedyś mało brakowało, a wpadłby w Kalifornii. Od tego czasu postanowił się nie wychylać. W Connecticut całymi dniami przesiadywał w mieszkaniu, gotował, oglądał seriale w telewizji i czytał gazety.

Jeden z nowojorskich szeryfów twierdził, że słynący z zamięłowania do wystawnego życia gangster zostałby złapany o wiele wcześniej, gdyby nadal spełniał te same co dawniej zachcianki, chodził na gonitwy konne, pił whisky i zadawał się z mnóstwem pańienek. Tymczasem, kontynuował szeryf, „z tego, co udało nam się ustalić, żył skromnie i oddawał się głównie lekturze gazet. Zupełnie jakby siedział w więzieniu”.

Rok wcześniej jego brata skazano na sto lat pozbawienia wolności za wymuszenie okupu. Do postawienia zarzutów doprowadziła szeroko zakrojona operacja służb federalnych, dzięki której aresztowano ośmiu bossów rządzących amerykańską mafią za pośrednictwem „Komisji”. Dzięki Benderowi Mały Allie miał do niech dołączyć.

O sukcesie rzeźbiarza napisały nawet zagraniczne gazety. Szeryfowie nie mogli wyjść z podziwu, że pociągła twarz Persica, jego ufarbowane na ciemno włosy i wąsy wyglądały identycznie jak postać z popiersia Bendera. „Ta sprawa spędzała nam sen z powiek”, powiedział agencji United Press International szef brooklyńskiego biura szeryfów federalnych, Michael Pizzi. „Okazało się, że popiersie wiernie przedstawia poszukiwanego”. Inny szeryf ujął to tak: „Trafiliśmy na żyłą złota”. „Persico wpadł, bo zabrakło mu tymianku”, żartowała nowojorska gazeta „Daily News”.

— Mały Allie Persico? — spytał Bill Fleisher, drapiąc się po brodzie. — A co byś chciał o nim wiedzieć?!

Benderowi zakazano dzielenia się informacjami o śledztwie do czasu ujęcia gangstera. Trzy tygodnie później świętował sukces podczas jednego

116

z regularnych lunchów z Fleisherem. Był w radosnym nastroju, ponieważ po raz kolejny przewidział nieprzewidywalne zmiany, jakie na twarzy mordercy odcisnął czas. Popiersie ochrzczone przez niego mianem Człowieka z Blizną należało do dzieł, z których był szczególnie dumny. Fleisher kiwał swoją wielką głową. Miał poczucie, że z Benderem łączy go jakaś niewidzialna, kosmiczna więź.

— Kiedy pracowałem w FBI, przydzielono mnie do nowojorskiego oddziału zajmującego się rodziną Colombo. Próbowaliśmy dorwać Małego Alliego. Pojechaliśmy na jego farmę w północnej części stanu Nowy Jork i aresztowaliśmy go na podstawie zarzutu o złamaniu przepisów dotyczących przechowywania alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych. Znaleźliśmy strzelbę, na którą nie miał pozwolenia. Zjawiliśmy się skoro świt, facet strasznie śmierdział. Chyba nie zdążył umyć zębów. Wyglądało też, że nie spał całą noc. Przesłuchiwałem go w pobliskim budynku policji stanowej. Był typowym gangsterem, jakich pełno było w tamtych czasach w Brooklynie — typ szorstkiego czarusia. Niby dżentelmen, ale wystarczyło, że ktoś na niego krzywo spojrzeł, a był gotów wpakować mu kulkę w łeb.

Bender wybuchnął śmiechem. Fleisher uniósł szklankę z mrożoną herbatą.

— Nie mam pojęcia, jak to robisz, Frank. Jesteś niezwykle cennym nabytkiem naszych organów ścigania. Mały Allie był grubą rybą. Pamiętam, że miał kłopoty żołądkowe. Wrzody...

— Mały Allie? — nachylił się gwałtownie Bender.

— Tak.

Bender otworzył szeroko usta i oczy. Jedna z niewielu informacji o Persicu, które przekazali mu szeryfowie, dotyczyła właśnie problemów żołądkowych mafiosa. Mały Allie musiał unikać niektórych potraw.

— Mój Boże, Penny Wright trafiła w dziesiątkę.

Bender opowiedział Fleisherowi o wróżce, do której zaprowadził go Paul Schneider, oraz jej przepowiedni, że następnym po Vorhauerze kryminalistą schwytanym przez szeryfów będzie człowiek z problemami żołądkowymi. Schneider miał nadzieję, że mówiła o Naussie, który

jego zdaniem nabawił się problemów żołądkowych w wyniku postrzału w brzuch.

— A chodziło o Małego Alliego — wyszeptał Bender, spoglądając w bok nieobecny wzrokiem. Wypowiadał kolejne słowa, jakby miały moc przepowiedni. — Mały Allie Pérsico to Człowiek z Problemami Żołądkowymi.

Naussa będą musieli złapać bez pomocy sił nadprzyrodzonych.

Rozdział 14

Na tropie Czarownika

Zanim Robert Thomas Nauss uciekł z więzienia w sosnowej szafie, niczym Odyseusz przedostający się podstępem za mury Troi w drewnianym koniu, więcej łączyło go z potworami niż antycznymi herosami. Był wówczas szczupłym młodzieńcem z brodą, upodabniającą go do wizerunków Jezusa, oraz jasnobrązowymi oczami płonącymi jak u jeźdźca Apokalipsy. Mieszkańcy hrabstwa Delaware w stanie Pensylwania trzęśli się ze strachu, kiedy Bobby Nauss wchodził do baru z innymi członkami gangu motocyklowego Warlocks — Czarowników, obwieszonymi łańcuchami i ubranymi w czarne skórzane ubrania. Policja podejrzewała, że jego pozbawione człowieczeństwa spojrzenie było ostatnią rzeczą, którą zobaczyło przed śmiercią kilka ładnych dziewczyn zaginionych na bagnach w Tinicum. Nauss został skazany za zamordowanie jednej osoby (dwóch innych zabójstw mu nie udowodniono) oraz gwałt, rabunek i handel narkotykami.

Wieczorem 11 grudnia 1971 roku przywódca Czarowników poszedł na randkę ze swoją dziewczyną, Elizabeth Landy, dwudziestoletnią, jasnowłosą miss Filadelfii. W domu jednego z członków gangu wybuchła między nimi kłótnia. Nauss próbował udusić Elizabeth, ale dziewczyna zamknęła się w łazience. Po jakimś czasie pogodzili się i poszli do łóżka. Nauss zatłukł ją tam na śmierć kijem bejsbolowym. Ciało powiesił w garażu i pokazał je kolegom z gangu. „Nie będzie mi już zwracała głowy”, przechwalał się. Nauss odciął jej dłonie i stopy, a ciało posypał wapnem,

119

aby przyspieszyć proces rozkładu. Pochował ją w płytkim grobie gdzieś pod Pine Barrens w stanie New Jersey. Później został pierwszym człowiekiem w historii stanu Pensylwania skazanym za morderstwo pierwszego stopnia pomimo braku ciała ofiary. Zwłok Elizabeth Landy nigdy nie znaleziono. Nauss zbiegł z więzienia Grateford z Vorhauerem i od tego cza-

su nikt go nie widział

Bender zrobił krok do tyłu i spojrzął na projekt popiersia Naussa przedstawiający jego młodzieńczą twarz zmienioną przez czas oraz długotrwały stres. Od aresztowania Vorhauera upłynął niecały miesiąc i szeryfowie federalni czekali teraz na efekty pracy rzeźbiarza — bez tego nie wiedzieli, jak wygląda człowiek, którego zamierzali schwytać. Jan miała nadzieję, że jej mąż i tym razem w cudowny sposób przewidzi wygląd zbiega, co sprawi, że otrzyma kolejne ważne zlecenia i obiecaną podwyżkę. Tymczasem Bender nie wiedział o Naussie prawie nic — w każdym razie mniej niż o Vorhauerze. Tego ostatniego przynajmniej widziano kilka razy, dzięki czemu dysponował przynajmniej szczątkowymi informacjami, na których oparł wstępne szkice. W przypadku Naussa nie istniały żadne dodatkowe punkty zaczepienia. Ostatnie zdjęcia, którymi dysponowała policja, pochodziły sprzed niemal dziesięciu lat, kiedy przyjmowano go do więzienia. W 1977 roku był szczupły, umięśniony, mierzył sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów i nosił brodę. Na szerokich ramionach miał wytatuowaną niebieską papugę, czaszkę i sztylet, swastykę i rysunek z napisem: „Born to Lose”.

Bender przyjrzał się dokładnie więziennej fotografii, następnie przeniósł wzrok z powrotem na popiersie. Zamiast groźnego gangstera przedstawiała zwykłego trzydziestopięcioletka w koszuli z kołnierzykiem przypinanym guzikami. Nowy Nauss był gładko ogolony i miał krótkie, ciemne włosy przycięte nad uszami. Morderca przeistoczył się w młodego Clarka Kenta, alter ego Supermana. Bender zamierzał przedstawić członka gangu motocyklowego jako przysadzistego zbira w średnim wieku, tymczasem pod jego palcami narodził się typowy mieszkaniec amerykańskich przedmieść.

Bender nerwowo przygryzł dolną wargę. Stworzył rzeźbę, kierując się podszeptem swojej muzy — harmonia istoty i proporcji twarzy wydawała

120

się idealna. W wyobraźni słyszał już rechot szeryfów federalnych. Płatnego zabójcę pracującego dla mafii przedstawił jako blondyna, a teraz z mordercy należącego do gangu motocyklowego zrobił Pana Porządnickiego, schludnego rotarianina, elegancika? Już widział twarze wykrzywione w grymasie niedowierzania. „Gdzie niby mamy go aresztować? Na śniadaniu w izbie handlowej? W klubie golfowym?”.

Intucja podpowiadała jednak Benderowi, że i tym razem się nie myli.

Z zasady nie podważał własnych przeczuć; równie dobrze księżyc mógłby kwestionować realność rzucanej przez siebie poświaty albo rzeka istnienie brzegów, między którymi przepływa. Był artystą, który widział martwych ludzi. Urodził się z tym darem, niemniej cechowała go pokora właściwa perfekcjonistom oraz duma typowa dla rzemieślników. Wielokrotnie sprawdzał założenia, na których opierał swoje prace, i zawsze chętnie uwzględniał nowe informacje.

Po dziesiątej przeszedł do mieszkalnej części pracowni, aby posprzątać i przebrać się w czystą koszulę. Tej nocy prawie nie spał. Rozebrany do pasa — niczym nieokrzesany, wytatuowany Jan Chrzciciel — obracał w dłoniach głowę sadystycznego mordercy i mieszał wodę z gliną dla potrzeb oczyszczającego rytuału urządzonego na cześć ofiary. Teraz musiał odetchnąć świeżym powietrzem. „Miasto jest pełne pięknych kobiet i nowych możliwości”, pomyślał.

Stanął przed lustrem tuż obok głowy Bogini Płodności swojego autorstwa i przyczesał rzednące blond włosy. Zarzucił na ramiona płaszcz i wyszedł z pracowni. Było jasne jesienne przedpołudnie, dochodziła dwunasta. Bender podążył za wąskim cieniem rzucanym na popękany chodnik przez jego własną sylwetkę.

Osiemnaście przecznic dalej wszedł przez szerokie drzwi do wielkiego holu wystylizowanego na starożytny Egipt. W narożnikach sali stały kolumny w kolorze piasku podtrzymujące balkon, z sufitu zwisał żyrandol, którym zachwycali się wszyscy prezydenci od Calvina Coolidgea. W wybudowanym w 1925 roku hotelu Benjamin Franklin — pieczołowicie nazywanym Benem, odkąd uroczco się zestarzał niczym ukochany wujek abnegat — popełniono kilka zbrodni, niemniej jeszcze nigdy nie zgromadziło się w nim kilkuset prywatnych detektywów, specjalistów od analizy

121
krwi, lekarzy sądowych, a nawet hipnotyzerów. Trwał kongres prestiżowej Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych.

Bender przeszedł szybko przez hol, nie zastanawiając się nawet, jak wielką pogardę żywi dla organizacji, która poprosiła go o wygłoszenie odczytu na kongresie, ale nie zamierzała go przyjąć w swoje szeregi, ponieważ nie miał tytułu naukowego. W pewnej chwili stanęła przed nim energiczna, uśmiechnięta kobieta i przywitała się z nim głośno, w sposób typowy dla mieszkańców Oklahomy. W Hollywood obsadzano by ją w rolach matek stawiających na rodzinnym stole świeżo upieczone ciasto,

ale łagodność bijąca z oczu schowanych za dużymi, okrągłymi okularami w rogowej oprawie była zwodnicza. Betty Pat Gatliff cieszyła się w środowisku opinią wybitnej specjalistki i uchodziła za jedną z pionierek plastyki sądowej. To ona wykonała rekonstrukcję twarzy faraona Tutanchamona opublikowaną przez magazyn „Life”. Razem z legendarnym antropologiem Clydeem Snowem odtworzyła czaszki siedmiu niezidentyfikowanych ofiar seryjnego mordercy Johna Waynea Gacy ego.

Bender i Gatliff poznali się przez Wiltona „Kościanego Detektywa” Krogmana, który pracował kiedyś z Eliotem Nessem, a później szkolił najlepszych specjalistów od tak zwanego „szkieletowego dowodu tożsamości”. Wiele lat po śledztwie dotyczącym morderstwa Chłopca w Pudełku Krogman zapoznał Bendera z opracowywanymi od XIX wieku tabelami grubości skóry twarzy. Na egzemplarzu swojej książki zatytułowanej Szkielet człowieka w medycynie sądowej napisał dedykację: „Dla Franka Bendera, współtowarzysza podróży po krainie medycyny sądowej”.

Bender i Betty uścisnęli się serdecznie i usiedli przy stoliku w kącie hotelowej restauracji. Ludzie należący do ich profesji nie lubili zmuszać przypadkowych osób do wysłuchiwania makabrycznych opowieści.

Bender opisał sprawę Naussa.

— Betty, potrzebuję twojej pomocy — powiedział, rozkładając ręce. — Mam za mało informacji o poszukiwanym.

Gatliff opowiadała mu akurat o trudnościach, jakie napotkała podczas rekonstrukcji czaszki ofiary morderstwa na Florydzie — brakowało całej szczęki! — kiedy do stolika podszedł wysoki, wychudły mężczyzna w niebieskim garniturze.

122

— Betty! — zawołał, wydmuchując z ust mentolowy dym.

— Richard! — przywitała go serdecznie Gatliff. — Frank, pozwól, że przedstawię ci mojego dobrego przyjaciela, Richarda Waltera. Richard jest psychologiem sądowym. Opracowuje profile przestępców.

Bender nie mógł oderwać wzroku od pociągłej, wyniszczonej twarzy.

Mężczyzna zachowywał się z dystynkcją godną staroświeckiego dżentelmena, ale małe niebieskie oczy skrzyły się ironią. Nie widział równie przdziwnej postaci, odkąd natrafił na Upadek domu Usherów w telewizji.

Walter zmierzył chłodnym wzrokiem niewysokiego człowieka siedzącego przy stole w towarzystwie Betty. Mimo niewielkiego wzrostu miał muskularną budowę ciała, nosił obcisły czarny T-shirt i uśmiechał się wy-

zywająco — twarz Jamesa Deana, który nawdychał się gazu rozweselającego. Profiler zsunął duże czarne okulary na czubek nosa.

— Mój drogi chłopcze, twój strój jest doprawdy zbyt elegancki, jak na taką okazję — zauważył z nieskrywaną ironią w głosie.

Bender ryknął śmiechem. Człowiek, który rozpoczyna znajomość od takich słów, musi być geniuszem.

— Przysiądziesz się? — spytał z typowym dla siebie zapalem, bardziej naturalnym dla dwunastolatka niż dojrzałego mężczyzny. — Rozmawiamy o śledztwach.

Walter uśmiechnął się z wyższością i zsunął okulary jeszcze bliżej czubka orlego nosa.

— Mam nadzieję, że twoje zdolności przewyższają ogładę — stwierdził. Bender zaśmiał się jeszcze głośniejszym, wyraźnie znakomicie się bawił.

Gatliff wyszczerzyła zęby. Klienci restauracji odwrócili głowy w ich stronę.

Walter oblał się rumieńcem. „Seriale telewizyjne wyrządziły niedźwiedzią przysługę klasycznej medycynie sądowej”, pomyślał. „Wszyscy zaczęli się nią nagle interesować”. Chciał porozmawiać z Betty, a nie z jakimś obcym człowiekiem, który wyraźnie nie należał do Akademii. „Zareagowałem w typowy dla siebie sposób. Skrytą wrogością i sarkazmem. Ale Frank przyczepił się do mnie jak rzep do psiego ogona. W żaden sposób nie mogłem się go pozbyć. Do tego śmiał się z moich dowcipów. Czy można nie nawidzić kogoś, kto śmieje się z twoich dowcipów?”, wspominał później.

— Nad czym pracujesz, Rich?

123

Walter aż się zjeżył. Nikt nie zwracał się do niego w ten sposób.

— Należę do zespołu sporządzającego profil Kuby Rozpruwacza. Z okazji stulecia morderstw — wyjaśnił, siadając. Zapalił papierosa, zgasił płomień zapalniczki, potrząsając nią gwałtownie, po czym usadowił się wygodnie i zaciągnął się dymem.

— Wyniki zaprezentujemy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Londynie — kontynuował, unosząc z zadowoleniem brew. — Nigdy wcześniej nie analizowałem tej sprawy, ale tożsamość Kuby Rozpruwacza wydaje się dość oczywista. Policja wpadła na właściwy trop na samym początku śledztwa, ale nie potrafiła go uzasadnić.

Zafascynowany Bender nie odrywał wzroku od szczupłego mężczyzny. Pochylił głowę i otwarcie opowiedział o problemach, które napotkał, pracując nad popiersiem Naussa.

— Nie wiem o nim wystarczająco dużo, aby mieć pewność, że poprawnie sporządziłem wizerunek — stwierdził.

— Opowiedz mi o tym morderstwie — poprosił Walter.

Bender wyjaśnił, że Nauss wyrzekł się swoich korzeni i zamiast wieść życie typowego przedstawiciela klasy średniej, został przywódcą niebezpiecznego gangu motocyklowego Warlocks. Bender opisał również szczegółowo zabójstwo Elizabeth Landy.

— Problem w tym, że za mało o nim wiem, aby wymyślić, jak może dziś wyglądać. Fotografie mają dziesięć lat, a ja nie znam ani jego osobowości, ani nawyków. Ma żonę czy żyje samotnie? Wciąż jest szczupły czy lekko przytył? Jak się odżywia? Czy się gimnastykuje?

Walter uniósł brew. Sprawa go zaintrygowała.

— Już teraz mogę ci o nim sporo opowiedzieć. Znam setki podobnych spraw, wiele z nich dotyczyło gangów motocyklowych. To typ niezwykle agresywnego macho z wybujałym ego. Przywiązuje ogromną wagę do swojego wizerunku. W okrutny sposób obszedł się z ciałem ofiary — zupełnie jakby wyrzucał śmieci. I w grę nie wchodziły żadne fantazje, motywy seksualne, satanistyczne czy inne tego typu głupoty. Zrobił to, aby podkreślić swoją władzę. Znudził się dziewczyną i chciał zamknąć ten rozdział życia.

Oczy Bendera rozbłysły.

124

— Rich, a nie moglibyśmy razem popracować nad tą sprawą?

Walter zmarszczył brwi. Nie odrywając wzroku od Bendera, odchylił się na krześle, jakby chciał odsunąć się na bezpieczną odległość. Zaciągnął się papierosem i milczał.

Bender nachylił się do przodu i zaczął coraz szybciej mówić podnieconym głosem.

— Może byś pogadał dziś z szeryfami, co Rich? Umówię spotkanie.

— Przykro mi, ale to niemożliwe, drogi chłopcze. Powinieneś wiedzieć, że pod żadnym pozorem nie zrezygnuję z libacji w hotelowym barze.

Bender ponownie się zaśmiał. Walter po raz kolejny głęboko wciągnął do płuc dym i pograżył się w myślach. „To doprawdy niezwykła postać, naprawdę niezwykła. Bystry, ale niekonwencjonalny. Gdzie u licha leży klucz do jego osobowości? W sumie nieważne, i tak go przecież nigdy więcej nie zobaczę”.

O szóstej rano następnego dnia Walter przebudził się gwałtownie

w hotelowym pokoju. Dzwonił telefon.

— Cześć, Rich! — zawołał Bender takim głosem, jakby zdążył już wypić pięć kubków kawy.

„Mój Boże! W co ja się wpakowałem?“, pomyślał Walter. Usiadł na krańcu łóżka i sięgnął po papierosa.

— Szeryfowie chcą z tobą pogadać jeszcze dziś.

Walter spotkał się na śniadaniu w restauracji Downhome z Benderem i Tomem Rappone, szefem filadelfijskiego oddziału szeryfów federalnych zajmującego się poszukiwaniem zbiegłych więźniów. Tematem rozmowy była sprawa Naussa. Bender postanowił rozbawić ponurego profilerę.

— Musisz spróbować scrapple, Rich. To klasyczny pensylwański przysmak. Jestem pewien, że go polubisz.

— A co to jest?

— Mięso — wyjaśnił rzeźbiarz, uśmiechając się szeroko.

Walter spojrzał na intensywnie woniejący brązowy pasztet ze skrawków wieprzowiny, skrzywił się i odsunął talerz daleko od siebie. Bender wydał z siebie rechot, jaki można zazwyczaj usłyszeć raczej na szkolnym dziedzińcu. Walter szybko upił łyk czarnej kawy, zaciągnął się papierosem

125

i utkwiał beznamiętne spojrzenie w rozbrykanym klaunie, który próbował wdrzeć się do jego życia.

— Nie przepadam za takimi potrawami.

O czwartej po południu Walter spotkał się ponownie z Benderem w sali konferencyjnej biura szeryfów federalnych przy Szóstej i Market Street. Towarzyszyli im Rappone i dwóch innych funkcjonariuszy.

— Proszę mówić — zachęcił go Rappone.

Walter spojrzał na zapisaną żółtą stroną notatnika i odkaszlnął.

— Wykonałem pobieżną analizę morderstwa popełnionego przez Naussa — zaczął. — Nauss czuł się nieswojo w gangu motocyklowym. Z jednej strony był jednym z przywódców, a z drugiej chciał „awansować” na mafiosa. Jego rodzice należeli do klasy średniej, więc będzie zapewne nieco bardziej przebiegły i pomysłowy od przeciętnego rzezimieszka ze Wschodniego Wybrzeża. W miarę upływu lat zacznie przywiązywać większą wagę do wyglądu fizycznego, dzięki czemu otworzą się przed nim nowe możliwości.

Walter zerknął do notatnika.

— Frank Bender ma rację. Będzie wyglądał schludnie i znajdzie sobie

mieszkanie na przedmieściach. Ożeni się z kobietą, która mu się całkowicie podporządkuje i nie będzie miała pojęcia o jego przeszłości. Zamieni się w normalnego obywatela.

Bender rozpromienił się niczym ojciec nowo narodzonego dziecka.

— Rich ma rację. Moim zdaniem Nauss pozbędzie się zarostu, długich włosów i zamieszka z dala od centrum miasta. W końcu pochodzi z dobrej rodziny. Powinien wrócić do korzeni.

Szeryfowie wymienili pełne wątpliwości spojrzenia. Jeden z nich przypomniał, że według ich informacji Nauss wrócił do środowiska gangu motocyklowego. Kiedy otrzymali cynk, że gangster ukrywa się w górach Pocono, założyli tam na kilka tygodni posterunek obserwacyjny. Inny trop zaprowadził ich do jednego z zachodnich stanów i do punktu sprzedaży części motocyklowych, ale również w tym wypadku nie natrafiono na ślad Naussa.

Dennis Matulewicz, jeden z wyższych rangą agentów, miał sceptyczną minę.

126

— Niespecjalnie mi to do niego pasuje. Kto raz należał do gangu motocyklowego, nie stanie się nagle innym człowiekiem.

Walter odkaszlnął.

— Frank ma rację, twierdząc, że Nauss ukrywa się na przedmieściach, a ja chyba nawet wiem gdzie.

Rappone nachylił się do przodu. Głos niemal uwiązł mu w gardle.

— Skąd może pan coś takiego wiedzieć?

Walter zadzwonił tamtego poranka do więzienia w Jackson, największego zakładu karnego na świecie, w którym przetrzymywano pięć tysięcy sześciuset skazanych. Zbudowany w 1934 roku kompleks, zwany potocznie Jacktown, był jednym z najbardziej osławionych i niebezpiecznych więzień w Stanach Zjednoczonych. W buntach, które wybuchły tam w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych, kilkudziesięciu więźniów i strażników odniosło rany, a jeden nawet zginął. Walter pracował tam od niedawna jako psycholog. Przygotowywał opinie o najbardziej zdegenerowanych przestępcach w Pensylwanii.

Rano rozmawiał przez telefon z więźniem, który należał kiedyś do gangu motocyklowego Naussa. Kiedy teraz o tym opowiedział, w pokoju zapadło milczenie.

— Żaden z nich nie puściłby pary z ust — stwierdził w końcu jeden

z szeryfów.

Walter skinął głową.

— Owszem, to prawda, że członkowie gangów motocyklowych tworzą zazwyczaj zamknięte subkultury i słuchają jedynie osób mających nad nimi bezpośrednią władzę. Skutkiem jest niezwykła lojalność wobec grupy i patologiczne od niej uzależnienie. Ludzie ci żyją według niestęchanie wyśrubowanych standardów i zasad.

Walter zrobił efektowną przerwę.

— Niemniej jednak te cechy osobowościowe można wykorzystać przeciwko nim.

Szeryfowie czekali w milczeniu na dalszy ciąg.

— Powiedziałem mu, że Nauss zastrzelił człowieka na oczach dziecka — kontynuował Walter. — A prawdziwy macho nie strzela do ludzi w obecności ich dzieci. Postępując w ten sposób, Nauss złamał niepisany kodeks i nie zasługuje już na miano członka gangu motocyklowego, jest złym człowiekiem, bo dopuścił się paskudnych czynów i nie zachowuje się jak na faceta przystało. Zanegowałem męskość Naussa, aby przekonać więźnia do zawieszenia lojalności wobec dawnego kompana.

127

Na twarzy Waltera pojawił się chłodny uśmiezek.

— Dla ważnych informacji zdarza mi się zaprzedać duszę. Tym razem zdołałem się dowiedzieć, że Nauss mieszka w Michigan.

Walter pokazał zebrany kilka fotografii Naussa. Wskazał, że gangster zawsze ubierał się w koszulę z wzorem umieszczonym wyłącznie po jednej stronie.

— To wszystko wynika z określonego typu osobowości. W jego świecie istnieje tylko czern i biel, nie ma odcieni szarości. Jestem pewien, że kiedy go złapiecie w Michigan, będzie jechał czarnym cadillakiem.

Rappone wyglądał na zdezorientowanego.

— Skąd pan to wie?

— Rozumiem niedowierzenie — powiedział Walter — ale już w przeszłości zdradzał słabość do cadillaków. To ekskluzywny samochód, a on chce sporządnieć i zdobyć zaufanie otoczenia. Ludzie o nieelastycznych osobowościach lubią czarne samochody. W poprzednim wcieleniu, jako zabójca, jeździłby białym lub czarnym, ale teraz wybierze czarny. Takie auto jest czytelnym komunikatem wysyłanym otoczeniu, symbolizuje jednocześnie czystość i zło.

Twarze osób siedzących przy stole zastygły w podziw.

Uśmiech na twarzy Bendera stał się jeszcze szerszy. Szeryfowie postanowili pokazać wykonane przez niego popiersie w programie telewizyjnym Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki. Bender pomyślał, że musi skorzystać z pomocy Waltera również w przyszłości.

— To nie są czary — tłumaczył później Walter, kiedy opuścili budynek. — Wszystko sprowadza się do rachunku prawdopodobieństwa, a ja mam ogromne doświadczenie.

— Rich, potrafisz czytać w umysłach więźniów równie dobrze, jak ja w głowach kobiet! — wykrzyknął Bender.

Walter sprawiał wrażenie zagniewanego, gdy śmiech Bendera rozniósł się po szarym kanionie Market Street.

128

W lutym 1988 roku popiersie Bendera pojawiło się w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki. Nauss miał ciemne włosy i był gładko ogolony. Pod wskazany w programie numer zadzwoniło kilkadziesiąt osób ze wschodnich i środkowozachodnich stanów, ale żaden trop nie doprowadził do schwytania Naussa.

Zbiegły z więzienia morderca — jeżeli wciąż żył — pozostawał na wolności.

Rozdział 15

Błądny rycerz z przypadku

Richard Walter siedział w pomalowanym na biało domu w Lansing w stanie Michigan, popijając wino i słuchając opery w otoczeniu zabytkowych mebli i bibelotów. Szczególną sympatią darzył naturalnej wielkości samuraja stojącego z zaciętą miną i uniesionym mieczem. Walter rozmyślał właśnie o rozmowie, którą tego dnia odbył z pewnym seryjnym mordercą, kiedy zadzwonił telefon.

Niewiele wcześniej Walter dostał awans i przeniósł się z położonego na odludziu więzienia nad Jeziorem Górnym do zakładu karnego Southern Michigan Prison w Jackson. Wyposażony w nowoczesne urządzenia budynek dawał mu niezwykłą władzę nad więźniami. Za pomocą zdalnego przełącznika mógł pozbawiać ich ciepłej wody w prysznicach lub nakazać karmienie tak zwanym „więziennym chlebem” — wszystkie posiłki miksowano, a z powstałej masy wypiekano twarde, mdłe bochenki w kształcie cegieł. „Albo nauczysz się kontrolować samego siebie, albo kontrolować będę cię ja”, mówił więźniom. Lubił władzę, ponieważ miał poczucie, że

wprowadzała ład w świecie pogrążonym w chaosie. Właśnie z tego powodu na dźwięk znajomego głosu, który rozległ się w słuchawce, ogarnęła go irytacja. Okrzyk niemal rozsadził mu ucho. Zupełnie jakby usłyszał tandetnego sprzedawcę samochodów.

— Rich!

Wzniósł oczy do nieba. Mimo że darzył rzeźbiarza sympatią, nie lubił, kiedy ktoś w tak bezceremonialny sposób się z nim spoufalał. Poza tym

130 akurat w tamtej chwili nie miał ochoty na kontakt z drugim człowiekiem.

Postanowił szybko spławić Bendera.

— Rich, zadzwonił do mnie producent Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki. Chce, żebym przygotował dla nich postarzony wizerunek Johna Lista, najbardziej poszukiwanego mordercy w Stanach.

— Moje gratulacje, Frank. Jestem pewien, że znakomicie sobie poradzisz.

— Ten cały List był wiceprezesem banku. Zamordował w New Jersey całą swoją rodzinę. Policja szuka go od osiemnastu lat!

— Rozumiem.

— Popułnił najgłośniejszą zbrodnię w historii New Jersey od czasu porwania dziecka Linderbergha w 1922 roku.

— W 1932.

— Tak, tak.

Zapadło niezręczne milczenie. Zupełnie jakby czekali na opuszczenie mostu zwodzonego. Bender postanowił przepłynąć fosę wpływ.

— Rich, tak sobie pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc. Przygotowałbyś profil psychologiczny. Powiedziałem o tym producentowi Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki. Nie ma nic przeciwko twojemu udziałowi. Walter nadal milczał. Rozejrzał się po pokoju. Muzyka, książki, klasyczny wystrój biblioteki — od wielu lat jego jedyni towarzysze. Siadał samotnie z butelką wina, rozglądał się z czułością po mieszkaniu. Wyczuwał niemal namacalną obecność ludzi, do których wszystkie te przedmioty należały w przeszłości. Traktował te duchy jak przyjaciół i rodzinę. Lubiał mieszkać sam. „Ani trochę nie brakuje mi innych ludzi”, twierdził. Chociaż w towarzystwie lubił uchodzić za osobę czarującą, a zupełnie obcym osobom z lubością opowiadał makabryczne historie jakby żywcem wyjęte z opowiadań Edgara Allana Poe, głębsze relacje nawiązywał tylko z nielicznymi. Nie miał wielu znajomych nawet wśród ko-

legów z sił porządkowych. Praca pochłaniała go całkowicie. Był jednym z pięciu najlepszych na świecie profilerów. Pogodził się z wyrzeczeniami, których wymagało osiągnięcie tej pozycji. Fascynowały go sprawy, o których istnieniu zwykli ludzie nie powinni w ogóle wiedzieć. Patrzył na świat ze świadomością wszystkich jego mrocznych stron. Ta sama

131
postawa uczyniła z Machiavellego i Dostojewskiego nieśmiertelnych geniuszy i była powodem ich zgorzknienia.

Tymczasem Bender próbował zbudować między nimi relację opartą na zażyłości spopularyzowanej przez filmy i książki o policjantach. Walter instynktownie się przed tym bronił. „Nawet lubię Franka”, powtarzał sobie w myślach, ale jednocześnie dochodził do wniosku, że normalni ludzie w kontaktach z innymi nie wpadają w tak ekstatyczne stany, chyba że próbują wcisnąć im jakiś kit. Wieloletnie obcowanie z przestępcami i tchórzami kazało mu widzieć w tym narzędzie uwodzenia i wykorzystywania innych.

— A może przyjechałbyś do Filadelfii, co, Rich? Jest wiosna, pogodę mamy tu zupełnie przyjemną. Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki zapłacą ci za hotel i wyżywienie, będziesz mieszkał niedaleko mojej pracowni.

— To nie jest takie proste — stwierdził chłodno Walter.

— Naprawdę chciałbym złapać tego gościa. FBI od kilkudziesięciu lat nie ma pojęcia, gdzie się ukrywa, a teraz szukają go na podstawie komputerowych rekonstrukcji twarzy. Nie wierzą w moje metody, czyli tradycyjne rekonstrukcje wykonywane przez artystę poszukującego indywidualnych cech osobowościowych mordercy. Chciałbym wiedzieć, co się działo w głowie Lista, kiedy zabijał swoją rodzinę, kim jest teraz. Chcę go rozgryźć.

Odpowiedzią było milczenie.

— FBI najadłoby się wstydu, gdyby udało nam się go złapać.

Walter wybuchnął śmiechem.

— Nareszcie powiedziałeś coś do rzeczy.

Jedynym jasno oświetlonym punktem pograżonej w ciemnościach pracowni był prowizoryczny stół kuchenny. Leżał na nim stos wycinków prasowych — równie pożółkłych i pomarszczonych jak wychudła twarz człowieka, który czytał je przez duże, okrągłe okulary. „New York Times”, „Star-Ledger”, „Philadelphia Inquirer” — praktycznie wszystkie amery-

kańskie gazety oraz stacje telewizyjne relacjonowały makabryczną histo-
132

rię, która przejmowała ludzi równie wielką grozą, jak serial na podstawie prozy Stephena Kinga.

9 listopada 1971 roku John Emil List, były wiceprezes banku i nauczyciel w szkółce niedzielnej w zamieszkanej przez klasę średnią miejscowości Westfield w stanie New Jersey, zamordował żonę, trójkę dzieci i własną matkę. Pedantyczny zabójca zostawił po sobie rozświetloną rezydencję o nazwie Wietrzny Pagórek, uprzejmy liścik z przeprosinami skierowany do teściowej, zestawienie potencjalnych klientów dla szefa z firmy ubezpieczeniowej oraz adresowaną do pastora prośbę o usunięcie go z listy parafian. Narzekając na pyrkający tłumik, wyjechał starym chevroletem impala na pograżoną w ciszy ulicę i odjechał w deszczową listopadową noc. Walter zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie. Lewą ręką schwytał się za prawe ramię, zaciągnął się i pochylił w zadumie głowę. Wycinki przeglądał już od godziny. Kiedy wcześniej rano przyleciał do Filadelfii z Lansing, Bender próbował go serdecznie wyściskać albo przynajmniej poklepać po plecach. Walterowi udało się ograniczyć powitanie do mocnego uścisku dłoni.

Pracował w spartańskich warunkach. Zażył sobie jedynie popielniczki i czarnej kawy. Bender zaofiarował, że sam ją zaparzy, ale Walter prychnął tylko: „Chyba nie na tej kuchence, drogi chłopcze?”. Dostał więc kubek kawy na wynos z pobliskiego baru oraz plik wycinków z gazet, gdy tymczasem Bender wyszedł do miasta pouganiać się za spódniczkami. Dopiero po kilku minutach profiler przyzwyczaił się do atmosfery zdewastowanej pracowni. Odniośł wrażenie, że Bender uważa się za męski odpowiednik czarodziejki Kirke, która zamieniała gości w niewolników. W końcu Walter zdołał zamknąć umysł na dźwięki i zapachy docierające z otoczenia i skupić się na mordercy oraz jego pięciu ofiarach. Wyobrażał sobie kolejno każde zabójstwo, aż cała potworność sytuacji zredukowała się w jego umyśle do serii przeprowadzonych z wyrachowaniem czynów. Osiemnaście lat wcześniej List popełnił zbrodnię. Walter uznał mord za misternie zaplanowane przedstawienie mające na celu ukrycie prawdziwych motywów Lista, a także zatarcie śladów późniejszej ucieczki. Musiał tylko wniknąć w umysł mordercy i odgadnąć miejsce jego kryjówki. Rozpoczął się śmiertelnie niebezpieczny pojedynek

rozgrywany na wyjętym z czasoprzestrzennej ramy obszarze dwóch umysłów.

Zabójcy zawsze popełniają błędy. Jakże przytrafiły się Listowi? Policjanci zawsze przegapiają jakiś szczegół. Czego nie zauważyły FBI i policja?

Walter od ponad dekady współpracował jako niezależny detektyw przy najtrudniejszych sprawach dotyczących najbardziej zdegenerowanych morderców na świecie. Poświęcał na to swój „wolny czas”; stałą pracą zapewniał mu Wydział Resocjalizacji stanu Michigan.

Rozdział 16

Morderstwo doskonałe

Wczesnym rankiem 9 listopada 1971 roku John List stał przy oknie w swoim gabinecie na parterze rezydencji Wietrzny Pagórek i obserwował oddalającą się furgonetkę mleczarza. Chwilę wcześniej Herbert Arbast wszedł, jak co dzień, przez otwarte drzwi do dwupiętrowego domu i zajrzał do kuchni, gdzie na drzwiach lodówki zwykle wisiało przyklejone przez Helen zamówienie: sześć litrów mleka, masło, jaja — wszystko dwa razy w tygodniu. Tego ranka znalazł jedynie lakoniczną instrukcję od Johna z prośbą o wstrzymanie dostaw do odwołania. „Wyjeżdżamy na wakacje”, wyjaśniała napisana starannym pismem notka. „Na jakiś czas” miała zniknąć cała rodzina: John i jego żona Helen, córka Patty, najstarsza z rodzeństwa, długonoga, przypominająca urodą matkę, utalentowana aktorsko blondynka, synowie Fred i John junior oraz Alma, osiemdziesięciopięcioletnia matka Johna.

Czterdziestosześcioletni John List był wysokim, patykowatym mężczyzną o wymizerowanej twarzy, rzędzących ciemnych włosach i wydatnej, kościstej szczęce. Z wykształcenia księgowy, przed laty pełnił funkcję wiceprezesa banku. Prowadził zajęcia w szkółce niedzielnej przy luteranśkim kościele. Był bardzo inteligentnym i pedantycznym człowiekiem.

Na biurku w gabinecie spoczywały dwa starannie wyczyszczone, lśniące od oliwy pistolety: mały kolt automat kaliber .22, który należał kiedyś do jego ojca, oraz wyprodukowany w 1912 roku klasyczny steyr automat, pamiętka z frontu. Steyrów używano już podczas pierwszej wojny światowej,

135

a naziści wyposażyli go dodatkowo w magazynek na dziewięćmilimetrowe naboje. W każdym pistolecie znajdowało się osiem pocisków.

Kiedy mleczarz odjechał, pobrząkując pustymi butelkami, List wstąpił

chał się w dźwięki typowe dla każdego poranka. Najpierw dobiegł go delikatny odgłos stóp schodzącej do kuchni Helen. Po chwili usłyszał szum ognia i brzęk stawianego na gazie czajnika. John odczekał kilka minut, po czym wziął do ręki steyra. Żona siedziała przy kuchennym stole. Jak codziennie rano jadła tost i piła kawę. Miała na sobie atlasową koszulę nocną i szlafrok. Zamyślonym wzrokiem wpatrywała się w ponure, szare niebo za oknem. Nie usłyszała żadnego dźwięku. Zdążyła tylko lekko obrócić głowę, gdy wyczuła czyjąś obecność za plecami, ale nie zobaczyła ani męża, ani kuli, która wystrzelona z odległości czterdziestu pięciu centymetrów, trafiła ją w lewą stronę głowy. Upadła na wyłożoną linoleum podłogę. W gardle utkwiał jej ostatni kęs tostu.

Walter wyczytał, że List wystrzelił kilkakrotnie w ścianę. Jedna z kul odbiła się od kaloryfera. Dzieci niczego nie usłyszały, ponieważ wyszły już do szkoły. Jeżeli przez grube na trzydzieści centymetrów mury Wietrznego Pagórka wydostał się na zewnątrz jakikolwiek dźwięk, zniknął w szumie chłodnego listopadowego wiatru. John List zaczął realizować plan, który policjanci nazywali morderstwem doskonałym. Zostawił ciało żony i wszedł na prowadzące na piętro schody.

Przytulne mieszkanie matki, w którym spędzała większość wieczorów na lekturze Biblii, znajdowało się na drugim piętrze. Almę, wysoką, siwowłosą kobietę, zastał w niewielkiej kuchni. Otworzył drzwi bez pukania. Stała przy tosterze, trzymając w ręku talerzyk z masłem. „Co to był za hałas?”, spytała. Bez słowa uniósł steyra i zastrzelił ją z niewielkiej odległości. Kula wbiła się w czaszkę tuż nad lewym okiem. Umarła, upadając na wykafelkowaną podłogę.

Walter uniósł brew, czytając zamieszczony w jednej z gazet opis dalszych poczynąń Lista. Morderca wyciągnął ciało matki na wąski korytarz, gruchocząc jej przy tym kolana, nakrył je chodnikiem. Twarz zasłonił ścierką do naczyń.

Zszedł na dół, przeciągnął ciało żony przez główny korytarz do sali balowej i położył twarzą do dołu na śpiworze pod ozdobną witrażową

136
kopułą. Prostopadle do ciała żony rozłożył w jednej linii dwa dodatkowe śpiwory, tak że powstała z nich litera T. Ciało Helen przykrył ręcznikiem kąpielowym, a jej twarz ścierką.

Następnie udał się do pokoju żony i rozsmarował pokrywającą jego rękę krew na wszystkich prześcieradłach. Zwymiotował. Wziął prysznic

i się ogolił. Założył czysty garnitur i krawat, przyczesał włosy, wyczyścił paznokcie i zszedł majestatycznym krokiem na parter, jakby rozpoczynał zwyczajny dzień. Miał jeszcze wiele do zrobienia.

Zadzwoił do biura w firmie State Mutual Life, dla której sprzedawał ubezpieczenia. Na automatycznej sekretarce zostawił wiadomość. Odwołał spotkanie, które miał odbyć o dziesiątej rano. Wyjaśnił, że jedzie z rodziną do Karoliny Północnej, aby spędzić trochę czasu z ciężko chorą teściową. Następnie napisał usprawiedliwienia dla dzieci — szesnastoletniej Patricii chodzącej do szkoły średniej oraz gimnazjalistów: piętnastoletniego Johna juniora i trzynastoletniego Fredericka, zapowiadając ich kilkudniową nieobecność spowodowaną niespodziewanym wyjazdem w sprawach rodzinnych. Wyszedł na dwór i zabrał się do grabienia liści. Czekał na powrót dzieci ze szkoły. Dzień był pochmurny, temperatura spadła niemal do zera, co nigdy wcześniej nie zdarzyło się w Westfield o tej porze roku. Sąsiadka Lista wspominała później, że zdziwiła się, widząc go odzianego w ciemny płaszcz i grabiącego pedantycznie trawnik. Kiedy się zmęczył, wrócił do domu. Zrobił sobie kanapkę i zjadł ją przy stole w kuchni, gdzie wcześniej zastrzelił żonę.

Uwagę Waltera przykuł niezmacony spokój, z jakim List wykonywał kolejne czynności. Człowiek ten miał wyraźnie obsesję na punkcie efektywności. Wszystko musiało się potoczyć zgodnie z planem.

Niedługo po południu List odebrał ze szkoły córkę. Poczuli się źle i poprosiła o zwolnienie z lekcji. Nie miała siły, aby udać się po szkole do firmy ubezpieczeniowej, gdzie dorabiała do kieszonkowego. Kiedy Patty zbierała podręczniki z tylnego siedzenia samochodu, List pospieszył do domu i ukrył się za drzwiami w kuchni. Ledwie weszła do środka, strzelił jej w tył głowy. Przeciągnął ją do sali balowej. Na podłodze powstał dwunastometrowy ślad z krwi, równoległy do tego, który pozostawiło ciało żony. List ułożył córkę na śpiworze. Jej twarz przykrył ścierką.

137

Umył się i przebrał w czysty garnitur, po czym o pierwszej po południu pojechał do miasta, aby załatwić kilka spraw. Na poczcie poprosił o niedostarczanie korespondencji do domu przez następnych trzydzieści dni. W oddziale banku Suburban Trust wypłacił ponad dwa tysiące dolarów w bonach oszczędnościowych, opróżniając tym samym do końca konto matki. Alma nie zdawała sobie sprawy, że jej syn już wcześniej wybrał dwieście tysięcy dolarów, pozostawione jej w spadku przez męża. Na ko-

niec listem ekspresowym wysłał do siebie na Hillside Avenue klucz owinięty w czystą kartkę papieru.

Mniej więcej o trzeciej po południu Fred, trzynastoletni syn Lista, zadzwonił do ojca z firmy ubezpieczeniowej, w której również pracował po szkole. „Czy coś się stało z Patty? Nie przyszła po szkole”, spytał. Chciał wrócić do domu. List odebrał go z biura, przywiózł do Wietrznego Pa-górka i wbiegł do domu po pistolet, który zostawił na stole w kuchni. Strzelił Fredowi w tył głowy, zanim ten zdążył zdjąć płaszcz. Mężczyzna ułożył ciało syna na śpiworze obok siostry. Twarz Freddiego przykrył małą ścierką.

O czwartej po południu John junior, dobrze zbudowany piętnasto-latek, przyjechał przed czasem z treningu piłki nożnej. Zdążył uskoczyć i złapać za rękę ojca przyczajonego za drzwiami z pistoletem. Kule prze-dziurawiły kuchenną szafkę, framugę okna w jadalni i sufit. List rzucił się w pogoń za synem. Trafił chłopca w plecy, kark i głowę. Dzieciak w koń-cu upadł, łamiąc sobie szczękę. Walter wiedział, że nie ma na świecie bar-dziej narcystycznej, egoistycznej i obdarzonej większą wolą życia istoty niż piętnastoletni chłopak. John junior nie zamierzał się poddać: leżąc na podłodze w salonie, próbował rozpaczliwie odczłochać się jak najdalej od ojca. List stanął nad nim i wpakował w najstarszego syna osiem kul — jedną po drugiej. Dziewiąta trafiła chłopca w oko, a dziesiąta w serce. Do-piero wtedy znieruchomiał.

List uniósł rękę żony i ułożył ją na ramieniu Freddiego. Było późne popołudnie. Słabnące promienie słońca przenikały przez witraże kopu-ły wieńczącej salę balową, oświetlając ją tysiącem kolorów. List ukląkł przy żonie i dzieciach, aby odmówić modlitwę za ich dusze. „Wieczny i miłosierny Boże Wszechmogący, błagamy Cię, wspomóż nas, których

138

przywołujesz do siebie z grzesznego i zepsutego świata, którzy nie odcho-dzimy w niebyt, ale przez śmierć wkraczamy w życie wieczne...”

Walter przyjrzał się dokładnie ziarnistej fotografii przedstawiającej salę balową. „Natura księgowego kazała mu uszeregować ciała dzieci według starszeństwa”, pomyślał.

Lista czekał pracowity wieczór. Miał do wykonania kilka telefonów i szereg spraw do załatwienia.

O siódmej wykręcił numer luterańskiego pastora i jednocześnie swoje-go przyjaciela Eugenea Rehwickla. Przeprosił, że nie będzie mógł uczest-

niczyć w zajęciach szkółki niedzielnej w najbliższym tygodniu. Dyrektora kółka teatralnego w szkole średniej poinformował, że Patty niestety opuści kilka najbliższych prób, co uniemożliwi jej przygotowanie się do roli w Tramwaju zwanym pożądaniem. Na papierze firmowym, który został mu po nieudanym przedsięwzięciu biznesowym o nazwie „John E. List, Doradca Zawodowy”, napisał list do Evy Morris, schorowanej teściowej mieszkającej w Karolinie Północnej, którą miał rzekomo zamiar odwiedzić.

Szanowna pani Morris,
czytając ten list, wie już pani z pewnością, co przydarzyło się Helen i dzieciom. Jest mi niezmiernie przykro, że do tego doszło, ale z różnych powodów nie potrafiłem znaleźć innego wyjścia z sytuacji.

Nie potrafiłem utrzymać rodziny, a nie mogłem pozwolić, aby żyli w ubóstwie. Mam ponadto pewność, że zmarli jako chrześcijanie. Nie mógłbym zagwarantować, że byłoby tak również w przyszłości, kiedy dzieci stałyby się dorosłe. Pastor Rehwinkel będzie miał z pewnością na ten temat trochę więcej do powiedzenia.

Z najszczerzszymi wyrazami współczucia

John E. List

Walter wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w wyblakłe litery artykułu. Morderca napisał podobne listy do bratowej i ciotki: „Czytając ten list, wiesz już z pewnością, co przydarzyło się matce i reszcie rodziny. ... Z najszczerzszymi kondolencjami...”. Mężczyzna poświęcił cały wieczór na wyjaśnianie powodów swego czynu w listach do członków rodziny

139

i pastora, niemniej podstawowa przyczyna znalazła się już w pierwszym liście do teściowej. Jakiś czas wcześniej stracił pracę w banku i trawiony poczuciem porażki, spędzał całe dnie w miejskiej bibliotece. Najbliższych zapewniał, że szuka w tym czasie nowej pracy. Choć w końcu zdobył posadę sprzedawcy ubezpieczeń, finanse rodziny znajdowały się w opłakanym stanie. Lista paraliżował strach przed bankructwem, wyprowadzką z Wietrznego Pagórka i koniecznością utrzymania dzieci z zasiłku. Jeszcze bardziej ciążył mu lęk, że pójdą do piekła. Helen nie chodziła do kościoła, a córka i synowie mieli coraz bardziej obojętny stosunek do Boga. Patty, z racji zamiłowania do aktorstwa, prawdopodobnie prowadziła się w sposób niemoralny, sprzeczny z wartościami, jakimi powinien się kierować porządny chrześcijanin. „Tak w skrócie wyglądała sytuacja naszej rodziny”, pisał do pastora. „Gdybyśmy musieli się zmierzyć tylko z jed-

nym problemem, być może zdołalibyśmy go przewyciężyć, ale nagromadzenie utrapień okazało się nie do zniesienia. Teraz przynajmniej wiem, że wszyscy poszli do nieba. W przyszłości sprawy mogłyby wyglądać zupełnie inaczej. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem źle..., ale akurat ty jako jedyny, nie akceptując mojego czynu, przynajmniej częściowo zrozumiesz, dlaczego musiałem tak postąpić".

W dalszej części podał powód, dla którego musiał zabić również matkę: „Wiedząc, że i ona jest chrześcijanką, za najważniejsze uznałem uwolnienie jej od niedoli, która ją czekała.... Aby wybawić ją od nieopisanych cierpień, uznałem, że najlepiej będzie uwolnić ją z tego padolu łez. Pierwotnie chciałem załatwić sprawę 1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych — uznałem, że właśnie tego dnia powinni pójść do nieba — ale przygotowania do podróży się przedłużyły".

W liście do pastora morderca poruszył jeszcze jeden wątek: „Ktoś mógłby uznać, że zachowałem się jak tchórz, strzelając wszystkim w tył głowy, ale nie chciałem, aby którekolwiek z nich choćby w ostatniej sekundzie życia wiedziało, że to ja uczyniłem. John cierpiał najwięcej, ponieważ walczył. Proszę, módl się za mnie. Będę tego potrzebował niezależnie od poczynań policji. Teraz chcę tylko pojednać się z Bogiem, a tego mogę być pewien, ponieważ Chrystus zmarł na krzyżu również za mnie. PS Matka 140

leży na korytarzu na poddaszu (2. piętro). Była za ciężka, żeby ją znieść na dół. John".

Napisał również list do Burtona Goldsteina ze State Mutual Life, dziękując za wsparcie i załączając listę czterech „potencjalnych klientów, którzy wydają się najbardziej obiecujący. Paul Greenberg mógłby ich po mnie przejąć". Wszystkie listy, dwa pistolety i kopertę z niewykorzystanym pociskiem umieścił w szufladach szafy na dokumenty opatrzonych napisami: „pastor rehwinkel", „burton goldstein i wspólnicy", „broń i amunicja". Do blatu biurka przykleił następującą instrukcję:

Do osoby, która to przeczyta:

1. Proszę powiadomić odpowiednie władze.
2. Klucz do biurka znajduje się w liście zaadresowanym na moje nazwisko.
3. Klucze do szuflad są w biurku.

Walter przeczytał wszystkie pisma, w których List wyjaśniał powody swojego czynu. Rzadko się zdarzało, aby morderca zostawiał tak obszerną dokumentację. „A wszystko to gówna prawda", pomyślał Walter.

Profiler miał poczucie, że zna mordercę lepiej, niż on znał siebie samego. Tamtego wieczoru Lista szybko ogarnęło zmęczenie. Miał za sobą długi dzień. Przygotował lekką kolację i po raz kolejny zjadł posiłek przy stole, przy którym rano zamordował żonę. Następnie umył naczynia i postawił je na ociekaczu. Noc spędził w pokoju bilardowym w piwnicy, tuż pod ciałami zamordowanych. Choć żadne źródło o tym nie wspominało, Walter był gotów się założyć, że List zapadł w wyjątkowo mocny sen. Przed zamknięciem powiek stwierdził zapewne: „To był wspaniały dzień”. Rano spakował do walizki ubrania na dwa dni oraz komplet map z klubu motocyklowego. Uprzątnął dom, jakby wybierał się na wakacje. Ustawił termostat instalacji grzewczej, tak by temperatura we wnętrzu wynosiła dziesięć stopni. Przy tylnym wejściu zostawił w równym rzędzie trzy plastikowe torby wypchane zakrwawionymi gazetami i ubraniami. Zapalił światło we wszystkich pokojach z wyjątkiem przerobionej na krytą sali balowej. Na koniec włączył radio i ustawił je na jedynej stacji, 141

której pozwalał słuchać dzieciom. Dom wypełniły dźwięki nieszkodliwej dla duszy muzyki klasycznej. List wsiadł do samochodu i odjechał. Dziesięć dni po morderstwach policjant wypisujący mandaty za parkowanie przy nowojorskim lotnisku JFK znalazł starą impalę, ale porzucony samochód nie wzbudził niczyich podejrzeń. List tak precyzyjnie zaplanował morderstwa, że przez miesiąc nikt nie zdawał sobie sprawy z makabrycznych zdarzeń, które rozegrały się w Wietrznym Pagórku. Dopiero siódmego grudnia policja znalazła ciała pięciu ofiar. Gazety trąbiły o „morderstwie stulecia”, a Lista natychmiast zaliczono do grona najstraszliwszych morderców XX wieku. Media szczegółowo relacjonowały śledztwo.

Walter upił łyk zimnej czarnej kawy i przetaił oczy. Artykuły opisywały szeroko zakrojone poszukiwania, które wykraczały nawet poza terytorium Stanów Zjednoczonych, ale zakończyły się kompromitacją policji. „Nic dziwnego, że nie zdołali go złapać”, pomyślał Walter. „Nie wiedzieli, gdzie szukać”.

FBI wydało ponad milion dolarów na weryfikację wszystkich sygnałów nadsyłanych przez ludzi, którzy rzekomo widzieli Lista we wszystkich pięćdziesięciu stanach, w Europie i w Ameryce Południowej. Policja i prokuratura z New Jersey przesłuchiwała kilkudziesięciu potencjalnych świadków. Zgromadzono ponad sto pięćdziesiąt przedmiotów o wartości

dowodowej. Mimo to śledztwo utknęło w martwym punkcie. Aby zagłuszyć poczucie wstydu, policjanci zaczęli uciekać się do czarnego humoru. Przebywający na wakacjach funkcjonariusze przesyłali do swoich komend pocztówki z Florydy, Barbadosu i innych miejsc. „Szkoda, że was tu nie ma. Uściski, John Emil List”, pisali. „Odpoczywam za wszystkie czasy. Jak to dobrze wyjechać wreszcie na wakacje bez dzieci! John E. List”.

Nikt nie miał pojęcia, w jakim kierunku uciekł morderca. Ostatnią znaczącą poszlaką był samochód znaleziony na parkingu przy lotnisku osiemnaście lat wcześniej. Zdeponowane w policyjnym magazynie zakrwawione ubrania ofiar porosła pleśń i trzeba je było wyrzucić.

Walter oderwał wzrok od pożółkłych wycinków z gazet. Usłyszał głosy: jeden należał do Bendera, dwa pozostałe do kobiet. Choć minęła za ledwie godzina, profiler miał poczucie, jakby zgłębiał sprawę od kilku dni.

142

— Jak ci idzie? — spytał Bender, kiedy chwilę później pojawił się przy stole.

— Przywoicie.

Rzeźbiarzowi rozbłyły oczy.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Walter mógłby wykonać wiele dodatkowych czynności: porozmawiać z policjantami i agentami FBI, którzy przez wiele lat zajmowali się tą sprawą; zapoznać się z aktami, przeczytać niezliczone wywiady, obejrzyć setki zdjęć oraz dowodów, przeanalizować profile psychologiczne Lista. Mógłby ponownie przesłuchać potencjalnych świadków w nadziei, że wspomnienia tamtych wydarzeń nie zatarły się jeszcze w ich pamięci.

Po krótkim zastanowieniu spojrzął Benderowi w oczy i oświadczył, że nie potrzebuje już niczego więcej. Pożółkłe wycinki z gazet dostarczyły mu wszystkich potrzebnych informacji. Szczególnie pomocne okazały się ziarniste fotografie miejsca zbrodni. Walter nie miał zamiaru czytać wszystkiego, co napisano o sprawie, ani rozmawiać z każdym, kto był z nią jakoś związany. Morderca opowiedział Walterowi wszystko, czego ten chciał się dowiedzieć.

— Profil jest gotowy — powiedział. — List uważa się za najbardziej przebiegłego człowieka na świecie. Sądzi, że popełnił zbrodnię doskonałą i wyprowadził wszystkich w pole. A jednak wcale nie tak trudno go rozgryźć.

Niecodzienne wyznania Lista, tysiące słów, w których wyrażał żal,

były wyrafinowanymi, starannie przygotowanymi oszustwami. List prze-
lał litry atramentu, żeby zmylić tych, którzy ruszą za nim w pogoń, ale
nieświadomie pozostawił czytelne wskazówki pozwalające poznać praw-
dę. Krwią i kulami wypisał na kamiennych ścianach Wietrznego Pagór-
ka motywy zbrodni oraz swoje plany na przyszłość.

Rozdział 17

Maska niewidzialnego człowieka

Światło słoneczne i szum samochodów wdzierały się do pogrążonej w mro-
ku pracowni, wlewając życie w zamarte rzędy uśmiechniętych, nagich
blondynek i złowieszczych głów nieżywych ludzi.

— Chodźmy na długi spacer, Rich! Zrobił się taki piękny dzień — za-
wołał Bender. Stał w otwartych drzwiach: niewyraźna ciemna sylwetka
otoczona oślepiającą plamą światła.

— Drogi chłopcze, dla relaksu to ja się zaciągam mentolami. Czy wy-
glądam na miłośnika biegów przelajowych? — odparł rozbawionym gło-
sem Walter, najwyraźniej dumny z tego dowcipu. Wokół wykrzywionych
w uśmiechu ust wykwitły zmarszczki mimiczne.

— No chodźże, Rich!

Chudy mężczyzna podniósł się powoli z krzesła.

— Niech ci będzie. Mały spacer nie zaszkodzi.

Ruszyli South Street. Nietypowa para: niski, głośny, muskularny, wy-
tatuowany mężczyzna zasypujący pytaniami wysokiego, łysiejącego dżen-
telmena o nienagannych manierach ubranego w niebieski garnitur. Bender
chciał poznać przygotowany przez Waltera profil psychologiczny Lista.

— Muszę wiedzieć, jakim był człowiekiem — tłumaczył. — W jakiej
pozie stanąby na rogu tej ulicy? Jaki miałby wyraz twarzy?

Wysoki mężczyzna w garniturze zatrzymał się nagle i, zupełnie jak-
by szykował się do odegrania jakiejś postaci, wykrzywił twarz tak, że po-
wstał podwójny podbródek.

144

— Patrz uważnie. W ten sposób można zobaczyć, które mięśnie twa-
rzy pozostają sprężyste, a które się z wiekiem wydłużają.

Włożył z powrotem okrągłe czarne okulary, a jego twarz przybrała
jeszcze surowszy wygląd niż normalnie.

— Rich, no to jak będzie teraz wyglądała jego twarz? — spytał Ben-
der podniesionym głosem. — Facet ma sześćdziesiąt cztery lata. Kiedy był
po czterdziestce, miał ciemne, lekko rzednące włosy z zakolami. Moim

zdaniem zdążył już niemal zupełnie wyłysieć, zostały mu tylko siwe kępi po bokach.

— Zgadza się — przytaknął Walter. — Te resztki będą wyjątkowo starannie przystrzyżone. W głębi duszy pozostał księgowym i dba o wygląd w sposób profesjonalny.

— Wiemy, że za uchem ma bliznę po usunięciu wyrostka sutkowatego — kontynuował Bender. Wcześniej rozmawiał ze specjalistami od chirurgii twarzowo-czaszkowej z wydziału medycyny Uniwersytetu Pensylwanii, aby dowiedzieć się jak najwięcej o zmianach zachodzących z wiekiem w obrębie kości twarzy, brwi, powiek i skóry. Spędził również kilka dni w Westfield, obserwując na ulicach i w kościele mężczyzn z pokolenia Lista. Notował w pamięci ich twarze, oczy i usta, obwisłe brzuchy i sposób odnoszenia się do żon. Dysponował już wtedy wstępną wersją popiersia. Sfotografował je i wysłał zdjęcie policjantom z Westfield z prośbą o ocenę i sugestie.

Od filadelfijskich chirurgów dowiedział się, że blizna po usunięciu wyrostka sutkowatego powinna w miarę upływu lat zanikać, niemniej jeśli List nie poddał się operacji plastycznej, pozostanie widoczna.

— Według mnie tacy jak on nie robią sobie operacji plastycznych — zauważył. — Nie chodzą też na siłownię i nie uprawiają ćwiczeń fizycznych.

— Masz absolutną rację — przytaknął Walter. — Zawsze odżywił się niezdrowo i to się na pewno nie zmieniło. Ludzie z jego pokolenia nie uprawiają joggingu. Ma wyjątkowo sztywną osobowość. To właśnie ten całkowity, patologiczny brak elastyczności pozwolił mu zamordować rodzinę.

— A więc będzie miał teraz obwisłe policzki, obniżoną żuchwę i generalnie mocno się postarzał.

— Zgadza się.

145

Usiedli nad rzeką w parku pełnym niedzielnych spacerowiczów bawiących się z psami, yuppies oraz bezdomnych. Walter zapalił papierosa. Bender wodził przez chwilę spojrzeniem za wysoką blondynką uganiającą się za czarnym labradorem.

— Myślisz, że jest religijny? Czy to w jakiś sposób wpływa na jego wygląd i zachowanie?

— Religia nie ma tu nic do rzeczy — prychnął Walter. — W imię Boga popełniono mnóstwo straszliwych czynów. W przypadku Lista za maską spokojnego i pobożnego człowieka krył się czystej wody psychopa-

ta opanowany żądzą władzy. Miał dość apodyktycznej żony i matki oraz nieposłusznym bachorów. Pragnął rozpocząć nowe życie, tym razem na własnych warunkach.

Oczy szczupłego mężczyzny błyszczały z emocji.

— List ma typową osobowość człowieka, który niszczy swoją rodzinę. Taki mężczyzna żeni się z silniejszą, starszą kobietą, która nieustannie go krytykuje. Dzięki temu nigdy nie musi brać za siebie odpowiedzialności. To z kolei może się przerodzić w patologię.

— Czyli List jest wariatem.

— Otóż nie. To niesłychanie racjonalny człowiek. W pewnym sensie jest snobem, uważa się za lepszego od innych. Żyje ponad stan i świat zaczyna mu się walić na głowę. Najpierw przez lata przywłaszcza sobie pieniądze matki. Nie dręczą go z tego powodu żadne wyrzuty sumienia. Uważa, że i tak mu się należą w spadku.

Bender wziął głęboki oddech.

— Co zatem popchnęło go do morderstwa?

Walter uśmiechnął się ponuro.

— W rodzinie takiego mężczyzny spotykamy zazwyczaj silną matriarchalną postać, którą mogła być jego matka lub żona, kobietę agresywną, arogancką i podobnie jak on lubiącą życie na odpowiednim poziomie. Kiedy mężczyzna funkcjonujący na co dzień w cieniu takiej osoby zostanie doprowadzony do ostateczności, zaczyna narastać w nim gniew i ujawniają się uzasadnione pretensje. Nie potrafi po męsku stawić czoła wyzwaniom ani przyznać się do porażek; wszystkimu, co złe, winna jest „ta cholerna baba”. Stopniowo traci kontrolę nad życiem, przestaje panować

146
nad emocjami, zamyka się w sobie. Zagrożenie wzrasta, gdy jego córka wkracza w okres dojrzewania. Taki człowiek potrafi sobie wmówić, że morderstwo jest jedynym słusznym rozwiązaniem. List miał poczucie, że rodzina zbyt wiele od niego wymaga.

Walter wyjął z kieszeni marynarki poskładany w kostkę kawałek starej gazety.

— Przyjrzyj się uważnie zwłokom matki, żony i trójki dzieci. Wszystkie twarze przykrył ścierkami czy ręcznikami. Z takim zachowaniem spotkałem się już wielokrotnie. Zabójca nie chce dopuścić, aby ofiary spoglądały na niego z wyrzutem albo były świadkami jego odejścia. To ostatni przejaw wściekłości i poczucia władzy. Cała teatralność i przesadność mordu —

ładuje dziesięć pocisków w najstarszego syna, łamie kolana zamordowanej matce — służą wyładowaniu wściekłości, która popchnęła go do zbrodni. Kiedy się uspokoi, ogarnia go poczucie ulgi i triumfu.

— Czy ta wściekłość będzie jakoś przebijała z jego twarzy? Czy gniew i poczucie winy odcisnęły na niej swoje piętno?

Walter wybuchnął gromkim śmiechem.

— Poczucie winy? Żartujesz? On nie rozumie znaczenia tych słów. Nie odczuwa niczego poza ulgą i triumfem. Morderstwa sprawiły mu radość! Dlatego właśnie spokojnie zadzwonił do pastora i nauczyciela córki, dlatego zjadł lunch i obiad przy tym samym stole, przy którym zamordował rano żonę. Brak poczucia winy pozwoli mu zniknąć i bez żadnych problemów przystosować się do nowego życia. Poranek po morderstwach był dla niego początkiem najzwyczajszego dnia, tyle tylko że obudził się z lekkim sercem.

— Nie wierzysz w brak wyrzutów sumienia? — spytał po chwili Walter. — List prześladował swoje ofiary. Typowe zachowanie dla tego typu osobowościowego. Jak pewnie pamiętasz, tydzień przed morderstwami zapytał dzieci podczas obiadu, w jaki sposób chciałyby umrzeć.

Bender skinął głową. Walter uniósł lewą brew.

— Pozwolisz, że podzielę się z tobą kilkoma hipotezami?

— Jasne.

— Moim zdaniem List zorganizował sobie w miarę wygodne życie, podobne do dawnego. Najpierw wyjechał gdzieś daleko, co dało mu poczucie

147

wolności. Znalazł pracę, zapewne jako nocny recepcjonista w motelu — logiczne zajęcie dla człowieka inteligentnego, choć niespełnionego, dobrego w rachunkach i szukającego pracy, w której nie będzie zwracał na siebie uwagi ani nie zostanie rozpoznany. Dopiero kiedy poczuł się pewniej, odważył się na znalezienie bardziej odpowiedzialnego zajęcia w obrębie wyuczonego zawodu księgowego. Ponownie zaczął uczestniczyć w życiu kościoła luterańskiego, ożenił się, w końcu przeprowadził w miejsce odległe o niecałe pięćset kilometrów od miejsca zbrodni. Nie potrafi znieść odmienności kulturowej. Rodzinne strony dadzą mu poczucie, że panuje nad swoim życiem. Choć zdobędzie pozycję szanowanego obywatela, problemy nie znikną. Nadal będzie żył ponad stan. Nie opuszczą go kłopoty finansowe. List bez problemu dostosuje się do życia typowej podmiejskiej społeczności. Będzie spokojnym, pobożnym człowiekiem odznaczają-

cym się wysoką inteligencją i poważnym wyglądem. Będzie nosił garnitur i krawat. Moim zdaniem, zważywszy na jego przeszłość i sztywność charakteru, nie zdecyduje się na nic nowocześniejszego niż garnitur w prążki. Pod spód zawsze założy białą koszulę i krawat o prostym wzorze, zapewne również w prążki. Jeżeli chodzi o okulary, to wybierze czarne, grube oprawki — na pewno nie druciane. W ten sposób stworzy wizerunek człowieka inteligentnego i z autorytetem. Ożeni się z kobietą, która mu się całkowicie podporządkuje i nie będzie miała pojęcia o jego przeszłości. W oczach innych ludzi będzie po prostu starym dobrym Johnem.

— Wspaniała analiza, Rich.

— Zadajesz znakomite pytania. W tego rodzaju zgadywankach najważniejsze są pytania, a nie odpowiedzi.

Tego wieczora Bender ukończył popiersie Lista. Postarzona głowa miała rozległą łysinę, zapadnięte policzki i usta zaciśnięte w surowym, bezlitosnym grymasie. Popiersie obejmowało również szyję i linię ramion w ciemnym garniturze z białym kołnierzykiem koszuli w stylu oksfordzkim. Bender założył na twarz mordercy parę starych okularów w grubych szylkretowych oprawkach, którą znalazł w pobliskim sklepie ze starociami. Pasowały znakomicie.

*

148

W niedzielę 21 maja 1989 roku w programie Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki wyemitowano materiał o mordercy Johnie Emilu Liście. Zapowiadający materiał John Walsh określił tę sprawę mianem najstraszniejszego niewyjaśnionego morderstwa w historii stanu New Jersey. Program obejrzało ponad dwadzieścia milionów widzów.

Tego wieczora zamieszkała w Denver w stanie Kolorado Wanda Flannery doszła do wniosku, że popiersie Johna Lista przypomina jej byłego sąsiada Boba Clarka, który jakiś czas wcześniej wyprowadził się do Wirginii. Bob Clark również był księgowym pochodzącym z Michigan, za prawym uchem miał bliznę po usuniętym wyrostku sutkowatym, nieustannie cierpiał na brak gotówki i co chwila tracił pracę. Wanda zaniepokoiła się o Delores. Żona Boba była nieśmiałą, ładną kobietą, młodszą od męża o piętnaście lat. Czyżby jej przyjaciółce groziło niebezpieczeństwo? Wanda zadzwoniła na infolinię programu — jako jedna z trzystu osób, które to uczyniły.

Jedenaście dni później agenci FBI zajechali pod parterowy dom w Mid-

lothian w stanie Wirginia, aby zweryfikować trop wskazany przez Wandę Flannery. Delores Clark odkurzała właśnie dywan w salonie. „Boba nie ma w domu”, powiedziała agentom. Był w pracy, w firmie księgowej Maddrea, Joyner, Kirkham & Woody, której biuro znajdowało się w pobliskim Richmond. Dolores obejrzała fotografię popiersia wykonanego przez Bendera. „Rzeczywiście mógłby to być mój mąż”, przyznała drżącym, zapłakany głosem, „ale to przecież niemożliwe. Bob jest najmilszym człowiekiem na świecie”. Był dobrym mężem i sąsiadem, należał do Kościoła luterańskiego. Kobieta nie mogła się otrząsnąć z szoku.

Tego popołudnia Bob Clark został aresztowany w biurze firmy księgowej. Wysoki mężczyzna w muszce i masywnych okularach zmierzał właśnie do kserokopiarki i nie stawiał oporu, kiedy agenci wyprowadzali go w kajdankach. Gwałtownie zaprzeczał, jakoby był Johnem Listem, lecz odciski palców ujawniły jego prawdziwą tożsamość. Osiemnastoletnie poszukiwania mordercy Almy, Helen, Patty, Johna juniora i Freddiego dobiegły końca.

Następnego dnia o zasługach Bendera i Waltera dowiedział się cały kraj. „New York Times” na pierwszej stronie obwieszczał entuzjastycznie 149

aresztowanie „jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi w Stanach Zjednoczonych”. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie podejrzanego Johna Lista i niemal identycznego popiersia autorstwa Bendera. W ten sposób Bender awansował na międzynarodową gwiazdę medycyny sądowej. John Walsh, gospodarz programu Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki, uznał, że popiersie wykonane przez Bendera jest najbardziej błyskotliwym przypadkiem pracy detektywistycznej, z jakim się kiedykolwiek spotkał.

Bender był w siódmym niebie. Zadzwoił do Waltera, aby podzielić się radością ze zwycięstwa.

— Rich, trafiłeś z profilem w dziesiątkę! — zawołał.

Kiedy z sądu i prasy zaczęły napływać kolejne informacje o życiu Lista, nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że scenariusz do niego napisał Walter. List opowiedział, że po dokonaniu morderstwa uciekł na drugi koniec Stanów Zjednoczonych, do stanu Kolorado, gdzie przybrał nazwisko Bob Clark i znalazł pracę jako nocny recepcjonista w motelu. W Denver zaczął powoli organizować sobie życie od nowa: zatrudnił się jako księgowy, ożenił z Delores, która uwierzyła, że jego pierwsza żona zmarła na raka. Wstąpił do Kościoła luterańskiego i zaczął nauczać w szkółce niedzielnej.

Znajomi Boba Clarka opisali go jako sympatycznego, choć małowównego mężczyznę, który zawsze chodził w garniturze i pod krawatem, nosił czarne buty i skarpetki ze wzorem w romby oraz okulary w grubej oprawie. Niedługo przed schwytaniem znalazł pracę w Wirginii, dzięki czemu mógł się przeprowadzić na Wschodnie Wybrzeże. Jego dom w Midlothian leżał niecałe czterysta kilometrów od starej posiadłości w Westfield.

Walter z lekkim dystansem podchodził do zainteresowania, jakie wzbudzał stworzony przez niego profil psychologiczny Lista. „To miłe, choć odrobinę przerażające”, wyznał reporterowi jednej z gazet. „Wszyscy oczywiście pytają: «Jak pan tego dokonał?». Trudno w kilku słowach opisać wieloczynnikowy proces, który do tego doprowadził. To zainteresowanie jest niezwykle inspirujące, ale towarzyszy mu coraz silniejsze oczekiwanie kolejnych sukcesów”.

12 kwietnia 1990 roku — mniej więcej rok po aresztowaniu — List został skazany za pięciokrotne morderstwo pierwszego stopnia. Ponieważ w stanie New Jersey nie obowiązywała wtedy kara śmierci, List otrzymał 150

pięć kolejnych wyroków dożywotniego więzienia — w ten sposób nie miał żadnych szans na zwolnienie warunkowe. Sędzia sądu apelacyjnego William Wertheimer powiedział, że sprawa Lista uświadamia społeczeństwu konieczność obrony podstawowych wartości. „Nazwisko Johna Emila Lista na zawsze pozostanie synonimem takich pojęć, jak egoizm, makabra i zło. Człowiek ten nie odczuwa skruchy i jest pozbawiony honoru. Po osiemnastu latach, pięciu miesiącach i dwudziestu dwóch dniach nadszedł czas, abyśmy ponownie usłyszeli głosy Helen, Almy, Patricii, Fredericka i Johna F. Listów”, napisał w uzasadnieniu wyroku. Bender i Walter byli nim usatysfakcjonowani, chociaż Walter zauważył, że List, niestety, uniknął kary, którą wymierzył swojej rodzinie.

Dla Bendera i Waltera rozpoczynał się wspaniały okres wspólnej walki o sprawiedliwość i odkupienie, czas radości i sukcesów. Artysta i profiler stworzyli nietypowy duet detektywistyczny, otoczony wianuszkami znajomych i wiernych przyjaciół. Stali się braćmi i kumplami od kieliszka, którzy z równym zamięłowaniem przesiadywali do późnych godzin w barach, jak mierzyli się z nierozwiązanymi sprawami. Zdarzały się i trudniejsze chwile. Nie tylko byli sobie bliscy jak bracia, ale i kłócili jak bracia, łącznie ze scysjami, podczas których Bender zarzucał Walterowi przypisywanie sobie wszystkich zasług, a oszołomiony Richard stwierdzał, że Fran-

kowi chyba odbiło i że wyprasza sobie podobne pomówienia.

W środowisku specjalistów od medycyny sądowej mówiono, że Bender i Walter byłiby najskuteczniejszą parą detektywów na świecie, gdyby tylko skoncentrowali się na zmaganiach z psychopatami, walce o zadośćuczynienie dla ofiar i zwalczaniu zła, a nie na zatruwaniu sobie nawzajem życia.

Rozdział 18

Powrót Vidocq'a

Pod koniec lutego 1990 roku Filadelfię nawiedziła fala mrozów. Ciemne niebo spinało rzeki Delaware i Schuylkill niczym wielki łuk z szarego kamienia. Jasne, rozświetlone wnętrza baru na rogu Dwudziestej Pierwszej i Sansom Street zapraszało do wejścia. Fleisher popchnął szklane drzwi i roztarł zmarznięte dłonie. Przy stolikach siedział hałaśliwy tłum, ciepłe powietrze przenikały aromaty zupy i kawy. Tego dnia wypadało święto narodowe. Bender zaprosił go na spotkanie, chciał go bowiem poznać ze swoim kolegą, profilerem Richardem Walterem, który przyjechał do Filadelfii z Michigan, aby pomóc Benderowi w schwytaniu zbiegłego z więzienia Roberta Thomasa Naussa. Fleisher nie mógł się doczekać poznania słynnego Waltera. Liczył również na zastrzyk energii, którego dostarczało mu każde spotkanie z Benderem.

Poranna lektura „Philadelphia Inquirer” wzbudziła jego niepokój. Nawet w gazetach opisywano absurdalne i tragiczne wydarzenia, do których dochodziło w mieście z budzącą grozę częstotliwością. James Wayock, mąż i ojciec czworga dzieci, został zastrzelony — ot, tak sobie — przez czterdziestojednoletniego Benjamin Frazier z ukradzionego pistoletu kaliber .38, kiedy zapukał do jego drzwi z ofertą telewizji kablowej. Frazier wyznał, że po prostu miał ochotę kogoś zabić. Szesnastoletnia Linda Garda zginęła od kuli tuż po wyjściu z kina. Naraziła się tym, że nakrzyczyła na kierowcę samochodu, który niemal ją potracił podczas wykonywania niebezpiecznego manewru. Do mauzoleum dziewiętnastowiecznej

152
rodziny przemysłowców, właścicieli Champion Blower & Forge Company, wrzucono koktajl Mołotowa, a znajdujące się w środku zmumifikowane studwudziestopięcioletnie ciało zmasakrowano młotkiem. Po znalezieniu na miejscu przestępstwa czarnej świecy policja oświadczyła, że zbezczeszczenie zwłok miało podtekst satanistyczny.

Fleisher dostrzegł w tłumie rozpromienioną twarz Bendera. Zaraz po-

tem zobaczył wysokiego, łysiejącego eleganckiego mężczyznę o ziemistej twarzy — ciemny przecinek w niebieskim garniturze. Richard Walter. Fleisherowi przyszło natychmiast do głowy, że ci dwaj są jak Słońce i Księżyc na jednym firmamencie. A jednak nigdy wcześniej nie widział równie niedobrej pary.

Zapraszając go na spotkanie, Bender powiedział: „Musisz poznać mojego przyjaciela Richarda Waltera, psychologa sądowego. Nikt nie rozumie zła lepiej niż on”.

Walter miał bladą, przywidłą twarz angielskiego kamerdynera, ale ku zaskoczeniu Fleishera zmiażdżył mu dłoń w żelaznym uścisku. Znad wykrochmalonego kołnierzyka płynął strumień wyniosłych słów pełnych wyrafinowania godnego Winstona Churchilla. Od niebieskiej marynarki biło smrodem tysięcy papierosów. Tubalny, gruzliczy śmiech Waltera rozszedł się po restauracji.

Bender, ubrany jak zwykle w czarny T-shirt i dżinsy, usiadł między dwoma zasłużonymi detektywami. Przypominał chłopca, który znalazł ciężarówkę pełną słodyczy albo natrafił w pokoju taty na stos numerów "Playboya".

Na miejsce pierwszego spotkania wybrał restaurację Day by Day. Tamtego ranka w lokalu panował wyjątkowy gwar. Ludzie opowiadali sobie plotki i komentowali najnowsze wiadomości — drużyna koszykarska Philadelphia 76ers wygrywała na swoim boisku, a komuniści przegrywali, gdzie tylko się dało. Wymarzone miejsce na spokojną rozmowę o morderstwach i innych makabreskach. Gdyby spotkanie nie wypaliło, miałby okazję do podjęcia kolejnej próby uwiedzenia swojej ulubionej kelnerki. Coś dobrego musiało z tego wyniknąć.

— Richard to najlepszy profiler, z jakim pracowałem — oświadczył z zapalem Bender.

153

— To prawda — przytaknął Walter, krzywiąc się. — Tylko pięć osób na świecie ma pojęcie, jak to się robi. Obawiam się, że Frank nie zna pozostałych czterech.

Fleisher roześmiał się serdecznie. Doskonale się bawił. Nie mógł się wcześniej doczekać, aby zobaczyć na własne oczy współpracę dystyngowanego psychologa i szalonego artysty. Jak każdy gliniarz w Stanach Zjednoczonych był pod ogromnym wrażeniem ich wkładu w schwytanie Johna Lista. Spotkanie w restauracji spełniło wszelkie oczekiwania. Franka już

od jakiegoś czasu uważał za geniusza, a teraz dość szybko zrozumiał, że Richard nie ma sobie równych w rozumieniu umysłu przestępcy".

Sam Fleisher wywarł równie silne wrażenie na Walterze. „Szef Urzędu Celnego okazał się sympatyczny i nadzwyczaj inteligentny. Doskonale pamiętał wszystkie śledztwa, w których uczestniczył".

Do stolika podeszła Wendy. Bender zaczął szkicować jej portret na serwetce, demonstrując swoje zdolności artystyczne.

— Cheeseburger — powiedział Fleisher. — Bez frytek.

Kelnerka zapisała zamówienie. Fleisher uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Zdrowe odżywianie to podstawa.

Walter zamówił filiżankę czarnej kawy. Bender wybrał sałatkę teriyaki, kawę i ciasto wiśniowe.

— Widzę, że dopisuje ci dziś apetyt — zauważył ze śmiertelnie poważną miną Fleisher.

Bender nie odrywał wzroku od zaokrąglonej we wszystkich właściwych miejscach sylwetki kelnerki.

— Tylko na nią popatrz — wyszeptał.

Fleisher stłumił śmiech. Walter wyglądał przez okno, jakby od demonstracji libido Bendera wolął śledzić zachodzące na zewnątrz naturalne procesy korozji. Zanim przyniesiono jedzenie, trzech mężczyźni pograżyli się w swobodnej rozmowie na temat morderstw i chaosu, który zapanował w mieście. Poruszyli między innymi temat śledztwa, w którym każdy z nich w jakiś sposób uczestniczył: chodziło o prowadzone przez biuro szeryfów federalnych poszukiwania zbiegłych morderców Hansa Vorhauera i Roberta Thomasa Naussa.

154

— Bill podzielił się ze mną wynikami swojego śledztwa z czasów, gdy pracował w FBI, dzięki czemu nastąpił przełom w mojej pracy, a to pomogło szeryfom schwycić Vorhauera — mówił Bender. — Z kolei Richard przygotował dla mnie profil psychologiczny Naussa. Nadal uważam, że w końcu go dopadniemy.

Twarz Bendera niespodziewanie poczerwieniała od gniewu.

— Tak to właśnie powinno wyglądać. Tymczasem kiedy pojechałem do Waszyngtonu na spotkanie z agentami FBI w sprawie poszukiwań Lista, odnosili się do mnie niemal wrogo. Nie chcieli zdradzić żadnych informacji. Podejrzewam, że dysponowali profilem psychologicznym Lista,

ale nie zamierzali mi go udostępnić.

Fleisher i Walter przytaknęli.

— Od trzydziestu lat obserwuję, jak ofiary przestępstw stają się ponownie ofiarami, tym razem wymiaru sprawiedliwości — stwierdził ponuro Fleisher, spoglądając w zamyśleniu w jakiś odległy punkt sali.

— Czemu gliniarze tak kiepsko sobie radzą z szukaniem morderców? — dopytywał Bender. Jako artysta o niewielkim doświadczeniu we współpracy z policją, nie potrafił zrozumieć źródła frustrującej sztywności myślenia większości funkcjonariuszy. — Żaden z nich nie potrafi działać nieszablonowo!

— Policja działa według ściśle określonych procedur — westchnął Walter. — Fundamentem procedury śledczej jest skupienie się na dostępnych dowodach i poszlakach, tymczasem czasami równie ważne jest to, czego brakuje. Na przykład — zachichotał, a na jego twarzy zagościł szelmowski uśmiech — gdybym przyszedł na to spotkanie nago, w moim wyglądzie istotny byłby brak ubrania, a nie stare i brzydkie ciało!

Walter znakomicie rozumiał wagę dzielenia się informacjami. Opowiedział towarzyszom o osławionej sprawie Bieliźnianego Mordercy. Kiedyś tuż po wykładzie o typach osobowości morderców, który wygłosił na konferencji w Atlancie, podeszli do niego policjanci ze stanu Georgia z prośbą o pomoc w zagadkowej sprawie. W chaszczach w parku znaleziono halki należące do trzech kobiet — zakrwawione i rozcięte nożem w dolnej, środkowej części. Każda miała monogram „J”. Nie znaleziono ani ciał ofiar, ani śladów szarpaniny. Co mogło się za tym kryć?

155

— Policja przyjrzała się znalezionej bieliźnie i zapytała: „Co też się tu wydarzyło?” — ironizował Walter. — A co niby do cholery miało się tam wydarzyć? Byle półinteligent powinien się domyślić, że popełniono morderstwo. Problem w tym, że do policji przyjmują też ćwierćinteligentów. Rozcięcie i ślady krwi po nakłuciach były oznaką pikeryzmu, wyjaśnił Walter, czyli parafilii, zboczenia polegającego na czerpaniu przyjemności z zadawania innym bólu przez nakłuwanie lub nacinanie ich ciała. Znaleziona bielizna świadczyła dobitnie, że w okolicy grasuje seryjny morderca, który wzorem Teda Bundy ego przechodzi ku jeszcze bardziej makabrycznym formom zachowania, jak nekrofilia czy kanibalizm.

Fleisher oderwał wzrok od cheeseburgera.

— Jak miło, że akurat teraz o tym wspominasz.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Zmierzam do tego, że kilka tygodni później uczestniczyłem w podobnej konferencji w St. Louis. Roy Hazelwood, agent FBI, opisał serię tajemniczych morderstw w Ohio. Policja znalazła ciała kobiet: odarte z halek i rozplątane w górnej części. Walter uniósł brew.

— Tak się składa, że znamy się z Royem od zarania dziejów. Po wykładzie zagadnąłem go: „Słuchaj, chciałbym cię o coś zapytać. Co według ciebie może oznaczać «J» wyszyte na halce?”. Roy rozdziawił usta i stwierdził, że na tę literę zaczynało się imię jednej z ofiar.

W ten sposób udało im się połączyć elementy układanki i doprowadzić do schwytania seryjnego mordercy— kierowcy ciężarówki, który zabijał kobiety w Ohio, a ich halki porzucał w Georgii.

Przy stoliku zjawiała się ponownie Wendy. Zebrała talerze, a wolną ręką naląła kawę.

— A zatem wymiana informacji przynosi wymierne korzyści. Pozwala na kojarzenie faktów i znajdowanie zaskakujących powiązań.

— O to właśnie chodzi! — wykrzyknął podekscytowany Bender. — Już dawno temu wpadliśmy z Billem na pomysł, żeby stworzyć grupę specjalistów od nauk sądowych, którzy mogliby się wymieniać informacjami i omijać wszystkie pieprzone przeszkody biurokratyczne. Działalibyśmy równolegle do policji i po prostu rozwiązywalibyśmy sprawy.

Fleisher stłumił śmiech.

156

— Frank, przecież taka ekipa już istnieje. Batman i Robin. Nie możemy stworzyć samozwańczej grupy obrońców prawa działających z pominięciem organów ścigania. Nie poradzilibyśmy sobie bez ich współpracy i informacji.

— Chcemy za to — Fleisher zwrócił się do Waltera — organizować spotkania podobne do tego i omawiać na nich aktualne śledztwa.

— Niezbyt dobrze się czuję w takich gremiach — skrzywił się Walter. Fleisher chciał jak najszybciej stanąć do walki w imieniu skrzywdzonych, pozbawionych wsparcia ludzi. Nawet jeśli założone przez nich stowarzyszenie detektywów nie podejmie krucjaty przeciw złu, mogłoby przynajmniej stać się klubem towarzyskim zrzeszającym doświadczonych policjantów.

Niemniej w tych planach brakowało jakiegoś kluczowego elementu.

Jako agent specjalny Urzędu Celnego Fleisher dysponował gigantyczną

władzą, ale przypominał podstarzałego króla, który nie ma dość sił, aby dobyć miecza i stawić czoła przeciwnościom losu. Na podjęcie jakichkolwiek realnych działań nie pozwalała Fleisherowi monotonia życia, która przepełniała go bezgranicznym, nieodgadnionym smutkiem.

Restauracja opustoszała. Wendy przyniosła ciasto i dolewkę kawy. Na ulicę za oknem kładły się długie cienie pobliskich wieżowców. Zapadał wieczór, za szybą pojawiły się sylwetki bezdomnych mijających bar niczym zapomniane duchy. Fleisher, Bender i Walter nadal dyskutowali o grasujących na terenie Filadelfii seryjnych mordercach oraz niespotykanym wcześniej poziomie lęku, który dostrzegali na twarzach mieszkańców miasta.

— Raz za razem spotykam przestępców bezwzględniejszych, brutalniejszych i bardziej zdemoralizowanych niż ci, którzy działali w poprzednich dekadach — mówił Walter. — Ludzi, którzy zabijają dla zabawy. Wraz z zapadającym mrokiem coraz bardziej przytłaczał ich ciężar spoczywającej na nich odpowiedzialności. Nastrój optymizmu z początku spotkania gdzieś się ulotnił. Ciszę przerwało dopiero zadane entuzjastycznym głosem pytanie.

— No to jak nazwiemy nasz klub? — zawołał Bender. — Towarzystwo Sherlocka Holmesa?

157

Fleisher uśmiechnął się promiennie. Jego żywiołowy przyjaciel nigdy nie dopuszczał do siebie czarnych myśli na zbyt długo.

— Pomysł dobry, ale zbyt oczywisty. Mam lepszy. Nazwijmy klub Towarzystwem Vidocqa.

Widząc zdezorientowane spojrzenia, wyjaśnił, że Eugène François Vidocq żył w XIX wieku w Paryżu i był największym detektywem w historii.

— Poza tym jest moim idolem — dodał.

Fleisher odkrył zapoznaną postać Vidocqa jako młody kadet w akademii FBI. Francuskiego detektywa należało bez wątpienia uznać za ojca współczesnej kryminologii. W 1811 roku założył tajny oddział detektywów, rekrutujących się głównie spośród byłych przestępców, do których zresztą sam się zaliczał. Napoleon Bonaparte uczynił z jednostki państwową agencję śledczą, Brigade de la Sûreté, prekursorkę FBI i Scotland Yardu. Vidocq jako pierwszy zaczął prowadzić kartoteki z informacjami o przestępcach, danymi balistycznymi, gipsowymi odlewami stóp i próbkami atramentów sympatycznych. Badał przydatność odcisków palców i był mi-

strzem kamuflażu. Oskarżony o inscenizowanie przestępstw w celu zwiększenia statystyk wykrywalności, został wyrzucony z Sûreté i w 1833 roku założył pierwszą prywatną agencję detektywistyczną o nazwie Le Bureau des Renseignements (Biuro Informacyjne). Dopiero siedemnaście lat później Allan Pinkerton stworzył w Chicago Narodową Agencję Detektywistyczną Pinkertona.

Na Fleisherze największe wrażenie zrobiła zwłaszcza historia życia samego Vidocq'a, który przeszedł drogę od świata przestępczego przez odkupienie własnych win do wiary w możliwość odkupienia innych. Główny stróż prawa w Paryżu był wielkim przyjacielem biednych i powtarzał, że nie zamierza aresztować złodzieja, który kradnie chleb, aby nakarmić rodzinę. Właśnie na Vidocqu wzorował się Victor Hugo, tworząc postać Javerta, nieustępliwego detektywa z Nędzników, a także Valjeana, byłego kryminalisty, który przechodzi wewnętrzną przemianę i pragnie wynagrodzić popełnione czyny.

Fleisher oświadczył, że roześle listy do wybranych specjalistów z całego świata, zapraszając ich do wstąpienia do Towarzystwa Vidocq'a.

Bender poczerwieniał z radości.

158

— Wspaniałe spotkanie! — oświadczył przy pożegnaniu z Fleishe-rem. — Mamy już nazwę, z resztą jakoś sobie poradzimy.

Walter nie podzielał entuzjazmu kolegów. Ich ożywionej gadaninie o towarzystwach i klubach oraz walce ze złem przysłuchiwał się z nieprze-niknioną miną i wyszedł jako pierwszy.

„Nie jestem z natury zwierzęciem stadnym”, wspominał, „a Towarzy-stwo Vidocq'a miało być kolejnym klubem miłośników Sherlocka Holme-sa. Cóż za niedorzeczność! Owszem, dobrze się czułem w towarzystwie Franka i Billa, nieźle się dogadywaliśmy, więc z grzeczności siedziałem ci-cho, ale prawdę powiedziawszy, uważałem ten ich pomysł za idiotyzm”.

Część trzecia

Towarzystwo Vidocq'a

Rozdział 19

Stowarzyszenie detektywów

Wybiło południe. Fleisher spojrział na twarze najlepszych tropicieli prze-

stępstw z Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, którzy zasiedli przy długim stole w Klubie Oficerów Marynarki Wojennej. Znaleźli się tu, ponieważ zostali przez niego starannie wyselekcjonowani jako najbardziej utytułowani i nieszablonowi eksperci pracujący dla różnych służb: agenci federalni, filadelfijscy policjanci, specjaliści od wykrywania kłamstw i żydowscy stróże prawa — razem mieli stanowić tron Towarzystwa Vidocqa. Miejsca naprzeciwko Fleishera zajmowali Frank Bender i Richard Walter. Po spotkaniu w restauracji Fleisher rozesał listy do dwudziestu ośmiu znajomych funkcjonariuszy z całego kraju, zapraszając ich do prywatnego klubu detektywistycznego, którego statutowymi celami miały być „konsumpcja dobrego jedzenia i walka z przestępczością”. Dwudziestu sześciu z nich zareagowało błyskawicznie entuzjastycznym „Tak!”.

W sali panowała atmosfera pełna napięcia. Żaden z uczestników nie widział wcześniej tylu znakomych detektywów naraz. Jako prywatne stowarzyszenie nie odpowiadali przed rządem ani jego agencjami. Bender był bardzo podekscytowany.

Nawet Walter, wieczny sceptyk, ubrany jak zwykle w niebieski garnitur, z niekłamany m uznaniem wodził wzrokiem po grupie szanowanych śledczych. „A więc nasza wielka szycha z Urzędu Celnego nie żartowała”, pomyślał.

162

Świeżo powołani członkowie Towarzystwa Vidocqa mieli się tego dnia poznać, ustalić cele stowarzyszenia i reguły działania oraz wybrać swoje władze. .

Fleisher i większość przybyłych znali się jak tyse konie. Niektórzy, na przykład doświadczony agent Urzędu Celnego Joe O’Kane, współpracowali z nim od lat przy rozmaitych sprawach. „Z Billesem Fleisherem i innymi chłopakami przeszliśmy tyle, że starczyłoby na życie dwóch ludzi”, wspominał O’Kane. „Żyjemy na walizkach, śpimy w samochodach, obżeramy się burrito podczas obserwacji podejrzanych, a potrzeby fizjologiczne załatwiamy w łazienkach na stacjach benzynowych. Żadne z nas Jamesy Bondy...”. Inni współpracowali z Fleisherem jeszcze za jego czasów w FBI i filadelfijskiej policji. Ścigali morderców i gangsterów oraz ochraniali najróżniejsze ważne osobistości: od gubernatora Pensylwanii do królowej Anglii.

„To największy idiotyzm, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Nic z tego

nie będzie", zaśmiał się w rozmowie z Fleisherem William Gili, agent specjalny departamentu finansów, przyglądając się grupie filadelfijskich gliniarzy, prawdziwych twardzieli przyzwyczajonych do walki z biurokratycznymi przeszkodami. „Wchodzę w to z dwóch powodów: uwielbiam cię, no i będę miał okazję do zjedzenia dobrego lunchu. Możesz na mnie liczyć”.

Fleisher zaimponował Gillowi tym, że zainicjował kiedyś obyczaj comiesięcznych spotkań wszystkich agentów federalnych działających na terenie Filadelfii — ludzi z FBI, biura szeryfów, DEA (Drug Enforcement Administration — rządowej agencji do spraw walki z narkotykami), departamentu skarbu, Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, urzędu skarbowego i służb specjalnych. Spotkania pozwoliły im się lepiej poznać i wypracować nowe metody współpracy. „Dzięki temu mogłem zadzwonić do kogoś i powiedzieć: Słuchaj, Ben, potrzebuję taki a taki sprzęt albo takiego a takiego człowieka”.

Jedno ze spotkań odbyło się na pokładzie jachtu motorowego na rzece Delaware. DEA skonfiskowało łódź handlarzom narkotyków i wyposażyła ją w najnowocześniejsze urządzenia podsłuchowe. „DEA chciało się popisać. Wszyscy zielenieli z zazdrości”. Gili pożyczył później tę łódź,

aby przyłapać na gorącym uczynku agenta podatkowego, który w zamian za pokaźne łapówki przymykał oko na nieprawidłowości w księgach rachunkowych spółek. Pieniądze przekazywano na motorówce pływającej po Delaware. Urządzenia podsłuchowe DEA nagrały przebieg spotkań. Kapitanem łodzi był agent DEA Steve Churchill, który w przyszłości miał również zostać członkiem Towarzystwa Vidocqa.

„Bill jest mistrzem spraw organizacyjnych. Pamięta nazwiska wszystkich ludzi i tak kieruje spotkaniami, że tworzy się między nimi więź”, twierdził Gill. To samo mówił O’Kane. „Znajduje czas dla każdego: agenta, gliniarza, donosiciela, reportera, dziwki. Dla każdego. Ze wszystkimi umawia się na lunch. Powiedziałem mu nawet, że nie potrafiłbym robić tego, co on, bo nie mam takiego apetytu. Bill Fleisher to najlepszy specjalista na świecie od budowania więzi międzyludzkich”.

Zgromadzeni wokół stołu agenci federalni, koledzy Fleishera, stanowili malowniczą zbieraninę. Łowca nagród, szeryf federalny Dennis Matulewicz, absolwent St. Joseph's University, lubił cytować Hemingwaya: „Nic nie dorówna polowaniu na człowieka. Temu, kto dostatecznie długo

polował na uzbrojonych ludzi, czerpiąc z tego przyjemność, nic nie sprawi później równie wielkiej satysfakcji". Philip Schuyler Deming, czołowy agent Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, mężczyzna o kasztanowych włosach i urodzie hollywoodzkiego gwiazdora, nosił na palcu pierścień waszyngtońskich oficerów Towarzystwa Cyncynatów, który otrzymał w spadku po swoim przodku Aleksandrze Hamiltonie. Edgar Adamson zawierzył swoje życie Chrystusowi, gdy pobierał nauki w seminarium, teraz jednak stacjonował w Waszyngtonie jako zastępca szefa Interpolu.

„Deming nosił się jak arystokrata, ale tak naprawdę był równym gościem i nie miał w sobie nic z fircyka. Tylko siłą można było od niego wyciągnąć, jak ma na drugie imię”, opowiadał agent Urzędu Celnego O’Kane.

Gill, agent specjalny departamentu skarbu, siedział obok swojego dawnego szefa Bena Redmonda. Wspominali pewien letni dzień z 1971 roku, kiedy ich agenci szykowali się w Nowym Jorku do kontrolowanego przyjęcia łapówki od ojca chrzestnego rodziny Colombo, Joe Colomba seniora.

164

Zanim zdolali doprowadzić tę niezwykłą akcję do końca, Colombo został postrzelony na wiecu. Zamachowiec trafił go trzykrotnie w głowę i ojciec chrzestny spędził następne siedem lat życia w śpiączce, z której już się nie wybudził. Joey Galio, jego główny rywal, wygłosił wtedy osławione zdanie: „Zrobili z niego warzywo”.

Siedzący obok siebie funkcjonariusze Urzędu Celnego przypominali członków ulicznego gangu. O’Kane, syn budowniczego młynów z filadelfijskiej dzielnicy Kensington, o istnieniu agentów celnych dowiedział się dopiero wtedy, gdy pięciu z nich skoczyło na niego z pałkami i pistoletami, kiedy wyjeżdżał skonfiskowanym samochodem ze składu celnego. Jako niedoświadczony inspektor kredytowy banku nie wypełnił odpowiednich dokumentów, przez co uznano go za złodzieja. Agentom Burke owi i Murphyemu spodobała się postawa wielkiego Irlandczyka podczas bójki. Kiedy uświadomili sobie pomyłkę i dowiedzieli się, że chłopak jest synem Dutcha O’Kane’a, „pokleпали mnie po plecach, jak największego równiachę na świecie i poradzili, abym złożył podanie o przyjęcie do Urzędu Celnego”. O’Kane pełnił na początku funkcję agenta latającego incognito samolotami. Podobnie jak Frank Dufner, kolejny wielki Irlandczyk, który zamierzał zostać listonoszem — jego dziadek pracował w tym zawo-

dzie przez pięćdziesiąt lat — ale zobaczył plakat z prezydentem Richardem Nixonem werbujący uzbrojonych agentów do ochrony samolotów przed porwaniami. O'Kane i Dufner uwielbiali swoją pracę — latali klasą turystyczną z trzydziestkami ósemkami wepchniętymi za pasek pod marynarką. „Tylko czekaliśmy, aż coś się wydarzy”, wspominał O'Kane. Nie musieli nigdy interweniować poza jednym przypadkiem, kiedy Dufner obezwładnił mężczyznę dobijającego się wściekle do drzwi kabiny pilotów. „Okazało się, że gość był gejem. Jego partner udawał, że zdradza go w toalecie. Facet sprawdzał kolejno wszystkie drzwi”.

W Urzędzie Celnym obaj zostali przeszkoleni przez słynnych inspektorów zwanych Czterdziestoma Złodziejami, którzy pełnili nocami służbę w filadelfijskich dokach, gdzie roztrzaskiwali pałkami butelki z wódką przemywane pod długimi płaszczami przez robotników portowych. „Goście nie wylewali za kołnierz i byli moimi bohaterami”, wspominał O'Kane. „Pili przy barze z dwóch szklanek jednocześnie, a kto do

165

nich podszedł, mógł oberwać w mordę. Prawdziwi twardziele o złotych sercach, głównie Irlandczycy, czasami Włosi, sporadycznie Niemcy plus kilku charakternych Żydów”.

Do tej ostatniej grupy należał właśnie Fleisher, dobrze wychowany absolwent uniwersytetu, który dzięki ciężkiej pracy przezwyciężył ograniczenia związane z pochodzeniem. Wśród mężczyzn siedzących przy stole nie obowiązywał system kastowy. Liczyły się osiągnięcia, obowiązywały typowo męski stoicyzm i skromność. „O pewnych sprawach się nie mówi. Gili odznaczył się podczas misji bombowych w Wietnamie, ale nie przypominam sobie, aby komukolwiek o tym opowiadał. O przeszłości chłopaków można było się dowiedzieć tylko mimochodem”, opowiadał O'Kane. A wszyscy zgromadzeni na sali ludzie osiągnęli w życiu naprawdę wiele. Szanowany prokurator Kenneth Freeman, również jeden z owych „charakternych Żydów”, jako młody chłopak wdawał się w bójki z policją. Później poszedł na prawo i namówił Fleishera do wstąpienia do akademii FBI. Kolejny żydowski twardziel, Dave Warren, agent specjalny Urzędu Celnego, pomógł w transferze Fleishera z FBI i był teraz jego szefem. Nieco dalej siedział człowiek, którego Fleisher poznał jeszcze za czasów służby w filadelfijskiej policji, w której obaj odbierali pierwsze szlify. Niski, skłonny do żartów lekarz sądowy Halbert Fillinger, który na miejsce zbrodni zajeżdżał zawsze jednym ze swoich zabytkowych wozów

strażackich, akurat tego dnia przybył do klubu czerwonym thunderbirdem z napisem na tablicach rejestracyjnych: Zabójczy Hal. Przy stole siedział również szef wydziału zabójstw Frank Friel, legendarny oficer śledczy mający na koncie cztery tysiące spraw. „Frank jest najlepszym specjalistą od prowadzenia śledztw w sprawach morderstw, jakiego znam”, twierdził Fleisher.

Filadelfijscy policjanci byli w zasadzie jedną rodziną — jak mafia. Nie należeli do niej jedynie Walter i Bender. Wielu z obecnych współpracowało wcześniej z Banderem, ale Waltera znali tylko z opowieści. Genialny psycholog sądowy ze Środkowego Zachodu wydawał się znakomitą przeciwwagą dla temperamentu Bendara. Ludzie, którzy odpowiedzieli na zaproszenie Fleishera, siedzieli teraz roześmiani i spoglądali po sobie oczami roziskrzonymi od entuzjazmu lub ironii. Wydawali się nienaturalnymi

166

bytami, lustrzanymi odbiciami Fleishera. Hałaśliwi, oryginalni — wszystkim zdarzało się łamać zasady obowiązujące w środowisku.

Fleishera łączyło z nimi osobliwe pokrewieństwo. „Zawsze miałem słabość do różnej maści ekscentryków”, wyjaśnił. Słabość tę odziedziczył po ojcu, który lubił towarzystwo gangsterów, włamywaczy, tancerek i najróżniejszych typów z pogranicza świata przestępczego.

Jeszcze przed podaniem lunchu Fleisher zabrał głos. Przedstawił współzałożycieli Towarzystwa, nakreślił sylwetkę francuskiego awanturnika i opisał jego osiągnięcia.

Agent specjalny Dufner zachichotał, gdy jego były partner z Urzędu Celnego wymieniał dokonania Vidocqa. „A więc to od niego wziął pomysł na tę sztuczkę”, pomyślał. W zimie 1980 roku prowadzili śledztwo w sprawie kradzieży ogromnej ilości telewizorów i mikrofalówek. Fleisher znalazł odcisk stopy na śniegu. W pobliskim sklepie kupił gips modelarski i wykonał odlew. „Chłopaki w biurze się z niego nabijali: No, tym razem to naprawdę przesadziłeś. Bawisz się w Perry ego Masona? — mówili. Później aresztowaliśmy około dwudziestu podejrzanych i jeden z nich wpadł, ponieważ jego tenisówki marki Converse pasowały do śladów. Fleisher należał do ludzi, którzy wiedzą wszystko. Pomyślałem wtedy: Był agentem FBI, policjantem w Filadelfii — mogę się od niego niejednego nauczyć”, opowiadał Dufner.

Stróże prawa zgromadzeni przy długim stole szybko uzgodnili reguły funkcjonowania bractwa. Wybrali prezesa — Fleishera — oraz jego

zastępcę. Podobna struktura organizacyjna obowiązywała w policji w Nowym Jorku, Hongkongu czy Scotland Yardzie.

Mieli się spotykać co kwartał na lunchu w Klubie Oficerskim i omawiać nierozwiązane sprawy morderstw. Nate Gordon, wybitny specjalista w badaniach wykrywczych kłamstw, zaproponował, aby ograniczyć liczbę członków do osiemdziesięciu dwóch osób, oddając w ten sposób cześć Vidocqowi, który żył właśnie tyle lat. Propozycja została szybko przyjęta. Członkostwo miało być „przywilejem” nadawanym dożywotnio najlepszym ekspertom nauk sądowych na świecie. Nie przewidziano możliwości ubiegania się o miejsce w Towarzystwie — tylko aktualni członkowie dysponowali prawem zapraszania nowych osób, nad których

167
kandydaturą musiał głosować na zebraniu zarząd. Wystarczył jeden głos sprzeciwu i kandydat przepadał.

Spotkania Towarzystwa miały odtwarzać elegancką, europejską atmosferę wiktoriańskich klubów towarzyskich dla mężczyzn z klas wyższych, tyle że zamiast brandy podawano kawę i mrożoną herbatę, surowo zakazano palenia cygar, a do klubu mogli wstępować mężczyźni i kobiety wszystkich ras. Czasy się zmieniły i jedynym kryterium stały się kompetencje — członkostwo mógł zapewnić wyłącznie okazały dorobek zawodowy. Miał w ten sposób powstać jeden z najbardziej ekskluzywnych klubów świata.

Towarzystwo Vidocq powstało niejako dla kaprysu. Wcześniej istniało już — głównie w Nowym Jorku i Londynie — kilka podobnych klubów towarzyskich, w których przy posiłkach rozprawiano o przestępstwach. Najsłynniejszym z nich było założone w 1935 roku stowarzyszenie Baker Street Irregulars (Urwisy z Baker Street). Członkowie spotykają się na obiadach w Nowym Jorku i toczą wesołe rozmowy o Sherlocku Holmesie, jakby czas się zatrzymał i wciąż był rok 1895. Wśród uczestników spotkań znaleźli się prezydenci Franklin D. Roosevelt i Harry Truman, pisarze science fiction Isaac Asimov i Neil Gaiman oraz Rex Stout, twórca postaci detektywa Nero Wolfe'a.

Fleisher zapowiedział, że podobnie jak Baker Street Irregulars, Towarzystwo Vidocq będzie miało charakter wyłącznie towarzyski. Umożliwi czynnym lub emerytowanym detektywom utrzymywanie kontaktu z przyjaciółmi, nawiązywanie nowych znajomości i gimnastykowanie umysłu przy okazji analizy fascynujących przypadków. Klub towarzy-

ski dla detektywów.

Fleisher był gotów przyjmować osoby spoza kręgu zawodowych stróżów prawa, jeżeli tylko dysponowały nietypowymi umiejętnościami pomocnymi w rozwiązywaniu spraw kryminalnych.

Ten ostatni punkt niespecjalnie ucieszył Waltera. Nie miał ochoty zadować się z amatorami.

Rozdział 20

Zapuszkowany

Jesienią 1990 roku Bender i Walter lecieli nad pogrążonym w ciemnościach Pacyfikiem z San Francisco do Australii. Rzeźbiarz nie mógł oderwać wzroku od stewardes. Nigdy wcześniej nie leciał tak długo samolotem i teraz wprost rozpieszczała go energia. Dzięki sprawie Johna Lista zyskał status megagwiazdy. O jego genialnych rekonstrukcjach twarzy napisał na pierwszej stronie „New York Times”. Do Australii wybrał się z Walterem i agentem FBI Robertem Resslerem. Przez następny tydzień mieli wygłaszać wykłady w Adelajdzie i Sydney. Bender nigdy wcześniej nie występował przed międzynarodową społecznością specjalistów nauk sądowych, tymczasem w debiucie mieli mu towarzyszyć dwaj najślynniejsi profilerzy na świecie. Jego kariera rozwijała się doprawdy fantastycznie. Podczas długiego lotu Bender przeżywał huśtawkę nastrojów. Kiedy wzbili się na wysokość dziewięciu kilometrów, nie wytrzymał i wyznał Walterowi, że w ciągu dwudziestu lat małżeństwa nigdy nie przeżył tak długiej rozłąki z żoną. Czuł się nieswojo. Dzwonił do niej z lotnisk w Filadelfii, Nowym Jorku i San Francisco, zapewniając o swojej miłości. Tymczasem jego żona niewiele wcześniej zapowiedziała, że zamierza się z nim rozstać. Nie chodziło bynajmniej o żonę numer 2, jak niektórzy z jego znajomych nazywali Joan, ale o tę prawdziwą — Jan, jego życiową opokę. — Jan konsultuje się z prawnikiem w sprawie rozwodu — oświadczył ponuro, wpatrując się w majaczący za oknem czarny ocean.

169

— Jako twój przyjaciel postaram się udać zaskoczenie — stwierdził zgryźliwie Walter.

— No wiem, wiem. Jakoś nigdy nie wierzyłem, że ta chwila rzeczywiście nastąpi. Jan jest najważniejszą osobą w moim życiu. Zawsze miałem kochanki, ale w końcu popełniłem błąd i wdałem się w niewłaściwy romans...

— Tak, jasne — przytaknął Walter. — Rozumiem.

Wydawało się, że Bender nie słyszy ironicznych komentarzy przyjaciela.

— Jan uważa, że sława uderzyła mi do głowy. Cóż poradzę, że moja praca przyciąga uwagę.

Mechanizmy rządzące współczesnymi mediami sprawiały, że Bender zyskał większą sławę niż ta, którą za życia cieszył się Michał Anioł. Tygodnik „People” poprosił go o wyrzeźbienie popiersia jednego z „25 najbardziej interesujących ludzi” 1991 roku — Otziego, myśliwego sprzed 5300 lat, którego zmumifikowane ciało znaleziono w lodowcu we włoskich Alpach na wysokości ponad 3000 m n.p.m. W jego plecach tkwił kamienny grot strzały, w ręku trzymał nóż — Ótzi był prawdopodobnie pierwszą znaną ofiarą morderstwa popełnionego na terenie Europy. Jeszcze zanim fakt ten został potwierdzony przez naukowców, Bender doszedł do wniosku, że Człowiek Lodu miał krótkie włosy, ponieważ „wydawało mu się to naturalne”.

Rzeźby Bendera zaprezentowano w nowojorskiej galerii Sonnabend wraz z pracami Andy’ego Warhola jako element instalacji Ronalda Jonesa zatytułowanej Monster i poświęconej przestępczości. Na podstawie zdjęć młodej Żydówki zamordowanej przez nazistów Bender wyrzeźbił popiersie starej kobiety, którą stałaby się dziewczyna, gdyby przeżyła obóz koncentracyjny. „Miała piękny głos. Śpiewała dla Mengelego. W końcu ją zastrzelili. Praca nad tym projektem była najbardziej poruszającym wydarzeniem w mojej karierze”, wyznał Bender dziennikarzowi agencji Associated Press.

Od tej pory do Bendera dzwonili nie tylko filadelfijscy dziennikarze, ale również „Time”, „Newsweek” i paryski „Match”, producenci filmowi, hollywoodzcy agenci, celebryci, lekarze sądowi, policjanci, siwowłosi

170
prywatni detektywi, modelki, fotografowie, reporterzy, wariaci, szarlata-
ni, agencje kolekcjonerskie oraz zazdrośni mężowie, którzy od dawna blo-
kowali linię telefoniczną na South Street.

Jan zanotowała w swoim dzienniku, że jej mąż nie jest już młodym, po-
strzelonym, skromnym artystą gotowym przemawiać w imieniu zmarłych,
których losem nikt się nie przejmował. Teraz całymi dniami i nocami
prowadził rozmowy z dziennikarzami, ludźmi z Hollywoodu i z telewizji.
„Cały czas gada wyłącznie o sobie”, napisała.

Przesilenie nastąpiło po kilku miesiącach nieprzyjemnych kłótni prze-

rywanych okresami milczenia. Jan miała także dość nieustannego klepania biedy. Po schwytaniu Johna Lista dziennikarz „Timea” napisał, że Frank Bender jest większą gwiazdą od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niemal czterdzieści rekonstrukcji twarzy — którym Bender poświęcił większą część poprzedniego dziesięciolecia — pomogło policji w osiągnięciu spektakularnych sukcesów. Za każdą z nich Bender otrzymywał zaledwie około tysiąca dolarów, czasami trochę więcej, czasami trochę mniej. Zdarzało mu się pracować za darmo. Tymczasem fotografia przynosiła mu coraz słabsze zarobki. Jan zatrudniła się jako testerka perfum w domu towarowym Strawbridge & Clothier; pracowała też na drugim etacie recepcjonistki w kancelarii prawnej. Frank dorabiał, reperując skorodowane łopatki holowników. Nurkował w zanieczyszczonych wodach rzeki Delaware i swoimi niezwykłymi dłońmi wyszukiwał w całkowitych ciemnościach wszystkie skazy na metalowych powierzchniach. Żeby przeżyć, Benderowie wyprzedawali majątek, w tym ostatni motocykl Franka i jego furgonetkę.

Czara goryczy przelała się niedawno, opowiadał Frank. Pewnego ranka Jan zaczęła się na niego wydzierać, kiedy leżał jeszcze w łóżku. „Pieprzysz się z Laurą Shaughnessy?” Krzyki odbiły się echem po całym budynku; musiała je usłyszeć ich córka Vanessa. Frank miał już serdecznie dość wrogiej postawy żony. „Tak”, oświadczył nonszalancko. „A skoro już to ustaliliśmy, pozwolisz mi się wyspać?”

— Zdajesz sobie chyba sprawę — wtrącił spokojnie Walter — że nie powinienes być udzielać takiej odpowiedzi.

— Doprawdy, Sherlocku?

171

Walter posłał mu gniewne spojrzenie.

— Muszę przywrócić Równowagę — oświadczył Bender z taką powagą, jakby chodziło o zaginiony skarb templariuszy. — Naruszyłem Równowagę.

— Utrzymywanie równowagi w twoim wykonaniu przypomina chodzenie po linie — zauważył zdumiony Walter. — Pomijając mieszkańców Dubaju, nie znam nikogo, kto żyłby równocześnie z tyloma kobietami. Przyczyną problemów nie była Joan, czyli Dziewczyna Numer 1. Jan lubiła Joan, a Joan uwielbiała Jan i nie zamierzała podważać jej statusu Jedynej żony.

Jan nie miała nawet pretensji do męża o nieustannie zmieniającą się

galerię młodych kobiet — kelnerek, artystek, fotografek, panien, rozwódek i mężatek — pełniących rolę dziewczyn numer 2 do 5 (liczba zależała od potrzeb Bendera i fazy Księżyca). Zauważyła, że im częściej działalność artystyczna Franka miała związek ze śmiercią, tym większe budziło się w nim pragnienie młodych, apetycznych kobiet. Niemniej to Jan sprawowała władzę w królestwie i tego rodzaju czynniki nie mogły zagrozić jej pozycji.

Bender zdążył się przyzwyczaić do zdumienia, które wzbudzało u niektórych jego życie prywatne. Nie obchodziło go, co inni robią w zaciszu swoich domów ani co myślą o nim. Frank i Jan kilka razy poszli na konsultację do poradni małżeńskiej, kiedy przestawali sobie dawać radę z różnego rodzaju problemami, między innymi finansowymi, nigdy jednak nie poruszyli tematu kochanek Bendera. Zdrady nie uważali za temat wart dyskusji. „Taki układ pasuje i mnie, i Jan. Ona potrzebuje wolności i ja potrzebuję wolności. Nie zamierzam pozwalać, aby mi jakiś psycholog mówił, jak mam żyć. Każdy człowiek przypomina danie jednogarnkowe — jest mieszaniną najróżniejszych składników. Ja na przykład jestem artystą, ale wykształcenie zdobyte na akademii sztuk pięknych w niewielkim stopniu wpływa na to, kim jestem. Talent to kruchy dar. Trzeba uważać, aby go nie stracić”.

Romans z Laurą Shaughnessy różnił się od innych. Poznali się przez rzeźbiarkę, z którą Bender dzielił kiedyś pracownię. Frank zgodził się wykonać portfolio Laury w szytych ręcznie skórzanych strojach. Nie

172
spodziewał się, że pozna uroczą młodą kobietę z długimi rudymi włosami i melodyjnym śmiechem, która zareaguje na jego spojrzenia ze zdwojonym zainteresowaniem. „Laura od razu zrobiła się wilgotna na mój widok”, wspominał. Z relacji Bendera wynikało, że romans był jej pomysłem. Co ma począć mężczyzna, kiedy piękna kobieta sama rzuca mu się w ramiona? Odmówić?

Umówiła się z nim na randkę w miejscu, któremu nie potrafił się oprzeć — w muzeum, gdzie zorganizowano wystawę poświęconą hollywoodzkim efektom specjalnym, między innymi klasycznym rekwizytom z filmów Hitchcocka. Bender zupełnie oszalał na punkcie makiety miasta z Ptaków oraz martwej matki na bujanym fotelu z Psychozy. Nie minęło wiele czasu, a zaczęli ze sobą sypiać. Bender był w siódmym niebie („A kto by nie był?”). Laura zabrała go do domu letniskowego nad brzegiem Atlan-

tyku, niedaleko New Jersey. Przedstawiła go tam swoim przyjaciołom. Kiedy indziej odwiedzili jej przyjaciółkę mieszkającą w Maine. Spędzali upojne chwile przy winie w jednej z restauracji w południowej części Filadelfii, gdzie obok nich w oknie znajdowała się zalepiona dziura po kuli — lokal słynął z tego, że mafia wykonywała tam egzekucje. Bender oddawał się dionizyjskim hulankom w rodzinnej posiadłości Laury w New Jersey, otoczonej murem rezydencji z pięćdziesięciometrowym basenem, ceglаныmi przebieralniami dla kobiet i mężczyzn, polem golfowym oraz zbudowaną nad jeziorem pochylnią dla łodzi. „Miała na sobie futro... piękne, drogie futro. Miała je na sobie, kiedy uprawialiśmy seks w salonie domu jej rodziców. Lubię to robić w różnych miejscach, na przykład na stole kuchennym. Zresztą nie tylko z nią. Lubię spontaniczny seks”.

Bender sądził, że kreatywność i poczucie szczęścia zawdzięcza temu, że zawsze podąża za głosem serca. Według niego artysta, który przestanie odczuwać niepohamowaną żądzę życia, traci kontakt z rzeczywistością. Obawiał się, że w jego przypadku oznaczałoby to utratę zdolności słyszenia umarłych, intuicji, która pozwalała mu osiągać mistrzostwo w rekonstruowaniu twarzy. Bender żył w niezwykle kruchym stanie Równowagi. — Chciałbym, żebyśmy się dobrze rozumieli — przerwał mu Walter. — Pozostaniesz wielkim artystą pod warunkiem, że będziesz nadal sypiał z kim popadnie?

173

— Równowaga odgrywa ważną rolę w mojej pracy.

— Rozumiem.

Laura tym różniła się od poprzednich dziewczyn, że zrobiła się niezwykle zaborcza. „Chciała, żebym zostawił Jan i Joan, nie mówiąc o pozostałych panienkach. Oświadczyła, że nie lubi Jan i Joan”. Tak się złożyło, że Joan również nie przepadała za Laurą. Z kolei Jan dostawała białej gorączki: pojawiła się kobieta, która pragnęła przywłaszczyć sobie jej męża. „A niech go sobie bierze”, przeszło jej w końcu przez myśl. Bender nadal romansował z Laurą, ale urocza młoda kochanka i dopiero co nabyty status gwiazdy wyrzuciły jego świat do góry nogami. Frank miał poczucie, jakby odlatywał bezwładnie w kosmos.

Przez cały lot nad Atlantykiem Bender rozmyślał o kryzysie małżeństwa z Jan, ale zaraz po wylądowaniu w Adelajdzie humor mu się poprawił. Nie stać go było na pokój w hotelu, który zarezerwował dla niego Walter, więc profiler zgodził się go przyjąć do siebie. Frank nie przejął się

w najmniejszym stopniu faktem, że w pokoju nie było ogrzewania. Walter, który przechodził akurat zapalenie płuc, poczuł się rozdrażniony jego zachowaniem bardziej niż zwykle. „Ostatni raz się na coś takiego zgodziłem. Cóż za upierdliwy człowiek! Jego zdaniem bycie nieodpowiedzialnym to zaleta”, myślał.

W Sydney Bender ponownie tryskał optymizmem. Nawet zdaniem Jan wycieczka do Australii mogła korzystnie wpłynąć na jego karierę zawodową. Po sukcesie związanym ze sprawą Lista Bender rozglądał się za poważniejszymi zleceniami od FBI, Interpolu i Scotland Yardu. Do Australii poleciał z Resslerem, profilerem i specjalistą od analizy śladów pozostawionych na miejscu zbrodni, którego od dawna chciał poznać. Bender wystąpił pierwszego dnia konferencji przed prestiżowym gremium — Stowarzyszeniem Lekarzy Policyjnych Australii i Oceanii.

Wykład okazał się wielkim sukcesem, a Bender zrobił znakomite wrażenie na Resslerze, niemniej zaraz potem poinformował Waltera, że wybiera się na plażę Bondi. Profiler przypomniał, że konferencja trwa przez cztery dni. Bender odparł, że nie zamierza wysiadywać w towarzystwie gromady zramolałych dziadków, skoro może pojechać na słynną plażę, gdzie kobiety opalają się topless.

174

Po przybyciu na miejsce stwierdził, że trafił do raju: słońce prażyło, kostiumy kąpielowe były mocno powycinane, a on miał całe trzy dni, aby się pięknie opalić. Co najważniejsze, podróż do Australii nie kosztowała go ani dolara. Zagadywał wszystkich, którzy przechodzili obok niego. Rozmawiał o sieciach chroniących plażowiczów przed rekinami, o zabójczych prądach odpływowych, o pustelniku mieszkającym w kamiennej grocie i biciu rekordu Guinnessa w największej liczbie ludzi pozujących do zdjęcia w kostiumie kąpielowym (na plaży Bondi przed obiektywem stało ioio kobiet w bikini). Bender szybko stał się rozpoznawaną przez wszystkich plażowiczów atrakcją, „słynnym amerykańskim artystą”, „człowiekiem, który schwytał Johna Lista”. Poznał wiele pięknych kobiet. Z optymizmem patrzył w przyszłość.

Trzeciego dnia konferencji wrócił do hotelu, gdzie czekała na niego wiadomość z Filadelfii: „Dzwoniła Jan!!! O czwartej siedem po południu skontaktowało się z nią biuro szeryfów federalnych. Złapali Naussa! Mieszkał na przedmieściach z żoną i dziećmi, które nie miały pojęcia o jego przeszłości”.

Bender, cały w skowronkach, przekazał radosne wieści Walterowi.

— Rich, złapali go w Michigan, tak jak przewidziałeś. Był gładko ogolony, tak jak przewidywałem ja.

— To dobra wiadomość — powiedział Walter.

Bender stwierdził, że musi natychmiast wrócić do Stanów Zjednoczonych. Walter odparł, że go rozumie, i pomyślał: „Całe szczęście, że wyjeżdża. Jeszcze chwila i bym go zamordował”.

W poprzednich dwóch latach telewizja dwukrotnie wyemitowała poświęcony Naussowi odcinek Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki, a o gangsterze wspomniano jeszcze kilka razy przy innych okazjach. Jego wizerunek autorstwa Bendera pokazano również w innych programach, między innymi w Phil Donahue Show. Szeryfowie federalni sprawdzili setki tropów w Kalifornii, Montanie, Teksasie, Arizonie, New Jersey, Delaware, stanie Waszyngton i w całej Pensylwanii. Wreszcie 2 listopada na infolinię zadzwoniła osoba związana z branżą hazardową. Mężczyzna podobny do popiersia zaprezentowanego w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki mieszkał jego zdaniem w stanie Michigan.

175

— Już kilka lat temu mówiłem im, że Nauss zamieszkał w Michigan — prychnął Walter.

Trop prowadził do Luna Pier, miasteczka nad jeziorem Erie, godzinę drogi od Detroit. Trzydziestoośmioletni Nauss przybrał nazwisko współwięźnia, Richarda Ferrera, z którym siedział w jednej celi w Graterford. Wiódł spokojny żywot w Luna Pier u boku nowej żony i trójki małych dzieci. Mieszkali w dużym domu z trzema panoramicznymi oknami wychodzącymi na jezioro.

Szeryfowie zrekonstruowali życie Naussa podczas wszystkich lat, kiedy pozostawał w ukryciu. Rok po ucieczce z więzienia Nauss — uroczy, dżentelmeński, wysportowany trzydziestodwulatek — poznał i poślubił Toni Ruark, trzydziestosiedmioletnią samotną matkę, urzędniczkę z Detroit. „Rick” wmówił jej, że jest sierotą, ma za sobą nieudane małżeństwo, a utrzymuje się z wynajmu czternastu nieruchomości. Twierdził, że razem z pięciorgiem rodzeństwa został osierocony przez ojca, który zginął w wypadku samochodowym. Przeprowadził się do Michigan, ponieważ chciał na nowo rozpocząć życie. Nowi znajomi z Luna Pier tak bardzo mu współczuli, że nie wypytywali o szczegóły.

Jako człowiek wywodzący się z filadelfijskiej wyższej klasy średniej

pozbył się typowej dla motocyklistów brody, ostrzygł się na krótko i z łatwością dostosował do życia spokojnego miasteczka. Rick Ferrer był oddanym mężem i ojcem, który uwielbiał wypływać z rodziną na ryby na swojej ośmiometrowej łodzi. W leżącej na uboczu małej miejscowości pracowało tylko czterech policjantów, którzy uważali Ricka za wyróżniającego się obywatela. „Kiedy go poznała, wydawało jej się, że umarła i poszła do nieba. Taki był dla niej miły”, wspominał ojciec Toni. „Ja sam go bardzo polubiłem”.

Choć Rick nie pracował, dbał o wizerunek luzaka, któremu dobrze się powodzi. Ubierał się w spodnie khaki i flanelowe koszule z długim rękawem (zawsze z długim rękawem, niezależnie od pogody), na głowie nosił czapkę bejsbolową. W swoim pikapie woził skrzynkę na narzędzia, których rzekomo używał do rozmaitych napraw w swoich nieruchomościach. Raz na jakiś czas wyjeżdżał z miasta i wracał z dwoma, trzema tysiącami dolarów z czynszu. Kupił domek letniskowy w Brimley, położony tuż nad 176

brzegiem Jeziora Górnego. Twierdził, że pozbywa się swoich nieruchomości z zyskiem. Wiódł przykładowe życie.

30 października o ósmej wieczorem Rick, Toni i dzieci wracali do domu chevroletem suburban. Po drodze snuli plany na przypadające następnego dnia święto Halloween. Toni jeszcze przed wyjazdem kupiła dla dzieci kostiumy Wojowniczych Żółwi Ninja, ustawiła na ganku wydrążone dynie, zawiesiła w oknie wyciętą z papieru sylwetkę ducha, a na drzewie przed domem porozwieszała dyniowe lampiony. Aż do chwili, gdy ich samochód otoczyła gromada szeryfów federalnych z bronią przygotowaną do strzału, nie miała pojęcia o przeszłości męża.

Szeryfowie skuli potulnego Naussa na oczach jego dzieci. Następnie założyli kajdanki zdeorientowanej Toni. Nie groziło jej oskarżenie — po prostu obawiali się, że zrobi coś głupiego. Sierżant policji stanowej ściągnął z Naussa koszulę — spod szkockiej kraty wyłoniła się sięgająca od ramienia do łokcia charakterystyczna wielka papuga. Tatuaz był dowodem, że aresztowano rzeczywiście Naussa. „Niektóre tatuaże zmodyfikował, ale ten został w pierwotnej postaci. Do papugi musiał mieć sentyment”, opowiadał Dennis Matulewicz z filadelfijskiego biura szeryfów federalnych. Papuga była świadkiem całego jego poprzedniego życia — kierowania najbardziej brutalnym gangiem motocyklowym w Pensylwanii, gwałtu, morderstwa, zbezczeszczenia zwłok i ucieczki z więzienia — w które

nowa rodzina i przyjaciele nigdy by nie uwierzyli.

Nauss spojrział na żonę i dzieci.

— Przepraszam — powiedział. — To już koniec.

„On się zmienił”, utrzymywała Toni Ferrer. „Przynajmniej w porównaniu z tym, co mi o nim opowiedziano. Ani razu nie podniósł na mnie ręki. Nigdy nie bił dzieci”.

Richard Ferrer okazał się całkowicie fikcyjną postacią. Nie był właścicielem nieruchomości. Pieniądze, które przywoził, nie pochodziły z czynszu. Zdaniem jednego z szeryfów z Detroit Nauss był „klasycznym Jekylllem i Hydeem”, który jedną kobietę zamordował, a drugą zwiódł. Toni sądziła, że znalazła wspaniałego męża; faktycznie była to jedynie maska. „Dzieci pytały, kiedy tatuś wróci. Po prostu powiedziałam im prawdę”.

177

W domu Naussa znaleziono dużą ilość gotówki oraz kilka fałszywych dowodów tożsamości. Szeryfowie podejrzewali, że współpracował z Vorhauerem. Prawdopodobnie pomagał w produkcji i dystrybucji narkotyków. W okolicach Detroit funkcjonowało niemal dwieście gangów motocyklowych, które zdaniem policji bez wątplenia pomogły zbiegłemu więźniowi w rozpoczęciu nowego życia. Nieprzypadkowo Luna Pier leżało zaledwie sto siedemdziesiąt pięć kilometrów na południe od Yale, gdzie jeszcze cztery lata wcześniej Vorhauer prowadził fabrykę metamfetaminy (zanim został ponownie schwytany). Kilku świadków widziało Naussa przejeżdżającego na motocyklu nieopodal farmy Vorhauera w czasie, gdy policja robiła nalot na fabrykę.

Naussa, ze skutymi rękami i nogami, przewieziono do Filadelfii wycarterowanym samolotem. Dyrektor biura szeryfów federalnych, Tom Rappone, poprosił Bendera, który zdążył już wrócić z Australii, aby pozował do zdjęcia z Naussem.

Kiedy przed laty fotografował się z Vorhauerem, płatny morderca nie chciał na niego nawet spojrzeć, tymczasem Nauss odnosił się do niego z sympatią. W przyjacielskim geście położył dłoń na ramieniu Bendera.

— To ty zrobiłeś moje popiersie, prawda?

— Tak. Jakie to uczucie przejść w ten sposób do wieczności? — spytał Bender. W towarzystwie uroczego mordercy czuł się zupełnie swobodnie.

— Wolałbym, żeby doszło do tego w bardziej sprzyjających okolicznościach — zaśmiał się Nauss. — Czy to nie ty zagrałeś mojego współnika —

Vorhauera w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki.

— Widziałeś ten odcinek?

Producenci namówili Bendera, aby zagrał płatnego mordercę w rekonstrukcji popełnionych przez niego zbrodni.

— Widziałem. Jesteś od niego przystojniejszy. Gość jest brzydki jak noc, co nie?

Obaj się roześmiali.

Dwa dni później Nauss znalazł się z powrotem w więzieniu Grateford pod Filadelfią, skąd wcześniej uciekł. Miał odsiedzieć wyrok dożywotniego więzienia za zamordowanie w 1977 roku swojej dziewczyny Elizabeth

178
Ann Landy. Za ucieczkę dostał niewielką dodatkową karę siedmiu lat z możliwością wyjścia najwcześniej po trzech i pół. Sędzia hrabstwa Montgomery uzasadnił łagodność wyroku zresocjalizowanym życiem, jakie Nauss wiódł na wolności w Michigan. Vorhauer, współnik Naussa, przebywał w więzieniu stanowym Huntingdon w północnej Pensylwanii, ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Filadelfii. Odsiadywał wyrok czterdziestu lat za napaść z bronią w rękę (z możliwością ubiegania się o zwolnienie po dwudziestu) oraz dodatkowych siedem za ucieczkę.

Profil psychologiczny Waltera idealnie pokrywał się z rzeczywistością.

Przed domem Naussa stał drugi samochód.

— Trafieś, Rich — powiedział Bender.

Było to cadillac.

Rozdział 21

Detektyw od dusz

Na pierwszym piętrze Urzędu Celnego — wzniesionego w czasach Wielkiego Kryzysu okazałego kamiennego budynku ze zwieńczeniem na kształt latarni morskiej, górującego nad miastem niczym kolos rodyjski — za ciężkimi, drewnianymi drzwiami, Fleisher omawiał sprawę chińskich kurtek puchowych, importowanych do Stanów Zjednoczonych przez międzynarodowe lotnisko w Filadelfii. Dostali cynk od Murraya: anoraki „z gęsiego puchu” były w rzeczywistości wypchane pierzem kurzym. Celnicy skonfiskowali kontrabandę, aresztowali kogo trzeba i zamknęli sprawę. Murray był ich najlepszym informatorem.

— Dziękuję mu za pomoc, a on pyta: „Bill, ile towaru tak naprawdę przeglądacie? Tylko szczerze...”. Murray był sprawdzonym informatorem, więc odpowiedziałem: „Jakieś dwa procent. Waszyngton utrzymuje, że

dziesięć, ale nawet się do tego poziomu nie zbliżamy".

Był czerwiec 1991 roku. W burym powietrzu nad rzeką majaczyły tankowce, tuż nad nimi jednak znajdowało się przejrzyste niebo przypominające o bliskości morza.

— Jaki z tej historii morał? — zapytał agent specjalny. — Sześć miesięcy później w ręce naszych ludzi na lotnisku trafia mała złota figurka Buddy. Wiercimy w niej dziurkę i ze środka wysypuje się heroina. W sumie było jej tyle, że na ulicy poszłaby za dwa miliony dolarów. Dzięki informatom w Azji namierzamy nadawcę transportu. To Murray. Aresztujemy go. Fleisher wzruszył ramionami.

180

— Zapewne ryzyko na poziomie dwóch procent go urządziło — dodał. Agenci się zaśmiali. Tworzyli zespół doświadczonych stróżów prawa, któremu powierzano kluczowe śledztwa na całym świecie. To oni prowadzili w San Francisco operację Stalowa Pułapka wymierzoną w korupcję w japońskim przemyśle stalowym oraz operację Floryda związaną z praniem brudnych pieniędzy przez przemytników. Schwytali gangstera „Grubego Vinniego” Teresę, który wcześniej wydał policji Meyera Lanskyego, a gdy trafił pod skrzydła federalnego programu ochrony świadków, zajął się przemytem waranów z Komodo. O’Kane podszył się pod przedsiębiorcę geja zainteresowanego zakupem waranów i nagrał sześćdziesiąt godzin materiału dowodowego. Kiedy indziej agenci zrobili nalot na magazyn w Brooklynie, gdzie aresztowali dwóch Kolumbijczyków i skonfiskowali kokainę o wartości sześćdziesięciu milionów dolarów, którą wwieziono do Stanów przez Baltimore, ukrytą na frachtowcu między podwójnymi ściankami beczek ze środkiem zmiękczającym. „Wykonaliśmy klasyczny test służący do wykrywania kontrabandy w oponach”, żartował Fleisher w rozmowie z przedstawicielami prasy. „Kopnięciu w beczki nie towarzyszył brzęk, ale głuchy odgłos”.

Agenci wykonywali ważną, niebezpieczną, ale i ekscytującą pracę, która wymagała od nich pełnego zaangażowania. Mobilizowało ich przekonanie, że zmieniają rzeczywistość. Innymi słowy, po prostu robili, co do nich należało i specjalnie się nad tym nie zastanawiali.

— Ech, chłopaki, no i po co my to robimy? — spytał Fleisher, machając dłonią z pierścionkiem na małym palcu. Od jakiegoś czasu stał się krytykiem wojny, w której pełnił funkcję czterogwiazdkowego generała — wojny, którą prezydent George H.W. Bush wydał narkotykom. „Mam dość

wysyłania ludzi, aby pracowali jako tajni agenci. To porządne chłopaki, mają rodziny i są moimi przyjaciółmi. Nigdy nie wiadomo, czy w ogóle wrócą do domu. I w imię czego to wszystko? Prohibicja okazała się nieskuteczna, a za jej czasów zginęło więcej agentów Urzędu Celnego niż w jakimkolwiek innym okresie historii". „Mam zaszczyt należeć do grona szanowanych oficerów służb federalnych pokroju George'a Armstronga Custera. Będę walczył do ostatniej kropli krwi", żartował.

181

O absurdalności tej wojny świadczyły same liczby. Służby celne miały możliwość skontrolowania zaledwie trzech procent z trzech milionów kontenerów przybywających co roku do portów w Filadelfii. Na otworzenie tysiąca pięciuset skrzynek wypełniających jeden kontener ośmiu inspektorów musiało poświęcić cały dzień pracy. Tymczasem największy i najbardziej niebezpieczny kolumbijski kartel narkotykowy na świecie uznał duży port położony pośrodku Wschodniego Wybrzeża za idealny kanał przetrzutu cracku do spragnionej narkotyków Ameryki. Przemysłowcy wybrali Filadelfię na swoje centrum dystrybucji.

Dziewięciu podlegających Fleisherowi agentów zajmujących się zwalczaniem przemytu narkotyków miało również ochraniać tuzin terminali portowych w Pittsburghu nad rzekami Ohio, Monongahela i Allegheny, porty w Erie, New Jersey, Delaware oraz lotniska w Pittsburghu, Harrisburgu, Allentown, Wilkes-Barre, Wilmington i Atlantic City.

Fleisher zarządzał tym imperium z kanciapki o białych ścianach i lichej wykładzinie, wyposażonej w stare drewniane biurko, szafkę na dokumenty i dwa krzesła dla gości. „Typowe biuro urzędnika administracji rządowej", twierdził. Swego rodzaju wyrazem protestu było pozostawienie nienaturalnie pustych ścian. Po objęciu zaszczytnej funkcji nie zdecydował się powiesić na nich żadnej z kilkunastu nagród i pochwał, które otrzymał w trakcie wspaniałej kariery. „Nie muszę się już w ten sposób dowartościowywać", wyjaśnił, wzruszając ramionami. W jego biurze wisiały tylko: pisemna pochwała od szefa FBI Williama Webstera i portret mężczyzny o szerokiej twarzy i bezczelnym, aroganckim spojrzeniu, w charakterystycznych dla dziewiętnastowiecznego Paryża szynelu i fularze.

Gdy tylko nie spędzał dnia w terenie, w drodze na lunch pokonywał kilka pięter schodów, aby zajrzeć do gabinetu żony, następnie przejeżdżał służbowym ffordem crown victoria dziesięć przecznic do baru z ostrygami, gdzie stołował się od piętnastu lat. Zamawiał zawsze potrawkę z ostryg ze

śmietaną. To samo danie jadali tam jego ojciec i dziadek. Przynosiła je ta sama kelnerka, z którą przed laty flirtował, gdy oboje byli młodzi. Agent Fleisher był człowiekiem sentymentalnym.

Praca w Urzędzie Celnym okazała się dla Fleishera udręką. Nie potrafił znieść porażek — stawka była zbyt wysoka. Pewnego wieczoru po 182

powrocie do domu napisał dla filadelfijskich dzieci Deklarację Niepodległości od Narkotyków, uznał bowiem, że jeśli dla kogoś w ogóle warto toczyć wojnę z narkotykami, to właśnie dla niewinnych dzieci. Podwładni zastawali go, gdy siedział zamyślony za biurkiem. Popadał w przygnębienie i filozoficzną zadumę. Zastanawiał się nad znikomością szans na zbawienie obiecywane w naukach Jahwe, Buddy, Mahometa i Chrystusa. Miejsce jego własnej książki o technikach przesłuchań, która do tej pory leżała w górnej szufladzie biurka, zajęli Nędznicy Hugo.

Kiedy ogarniał go sentymentalny nastrój, otwierał podniszczony tom i dumiał nad przesłaniem tej dziewiętnastowiecznej powieści, wyrastającej z czasów rewolucji francuskiej, w kontekście aktualnej debaty o zalecanych i wadach karzącej oraz resocjalizacyjnej funkcji służb porządkowych. „To moja ulubiona literacka scena”, mówił. Chodziło o słynny fragment, gdy Jean Valjean — człowiek parający się złodziejstwem, by wyżywić rodzinę — zostaje złapany przez żandarma ze skradzionym koszykiem pełnym srebrnych naczyń i sztuczków wyniesionych z domu starego biskupa Myriela, gdzie nocował. Valjean zostaje zaciągnięty przed oblicze biskupa, ten wszakże zamiast go ukarać, oświadcza, że doszło do nieporozumienia, ponieważ Valjean otrzymał od niego ów koszyk sreber w prezencie — co więcej, zapomniał o lichtarzach. Złodziej stoi jak sparaliżowany mocą przebaczenia, na co biskup mówi: „Pamiętaj, zawsze pamiętaj o tym, że obiecałeś mi z pomocą tego srebra stać się uczciwym człowiekiem. (...) Janie Valjean, mój bracie. Nie jesteś już we władzy zła, jesteś we władzy dobra. Kupuję twoją duszę; odbieram ją czarnym myśłem i duchowi zatracenia, a oddaję Bogu”^{*}.

Podczas lektury tego fragmentu oczy Fleishera zawsze zachodziły łzami. „Coś takiego właśnie mi się marzy. Chciałbym poświęcić życie sprawom, które naprawdę mają znaczenie. Niesieniu ulgi cierpiącym, walce dobra ze złem. Chcę być siłą stojącą po stronie dobra. Chcę odkupywać dusze”.

^{*} W. Hugo, Nędznicy, tom I, tłum. K. Byczewska, Warszawa 1976, s. 136.

Rozdział 22

Artysta śmierci

Nie istniała piękniejsza i miłsza blondynka, nie istniało czystsze doznanie ani noc bardziej ekscytująca od tych, które oferował wtorek: polska wódka, jasna wschodnioeuropejska karnacja, białe światło rozpraszające ciemności.

W każdy wtorek miał randkę z Joan. Przybywała wieczorem do pracowni Franka Bendera, Casanovy z Suwmiarką, Leonarda Umarłych, największego artysty medycyny sądowej, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Spod podłogi pracowni — z piwnicy, ich podziemnej groty — dobiegał wtedy nieustannie śmiech Bendera, przepełnionego żywiołową radością cudzołożnika. Był szczupły i dobrze zbudowany — jak na byłego boksera przystało — miał uśmiech chochlika, orzechowe oczy, z których biło szaleństwo, i metr siedemdziesiąt dwa wzrostu. Jego ramię zdobił tatuaż ze słowem mama, który zrobił sobie podczas służby w marynarce. Blizna na wardze była pamiątką po ciosie butelką podczas bójki w barze. Tuż nad pachwiną miał wytatuowanego motylka, którego chętnie pokazywał co bardziej urodziwym barmankom. W pracowni kładł dłonie na kościach zamordowanych, czekał na wizje, a następnie rzeźbił popiersia niezidentyfikowanych ofiar.

Siedmiu najbardziej poszukiwanych morderców trafiło za kratki. Wiele ofiar pomszczono dzięki niezwykłemu darowi, który pozwalał Frankowi widzieć umarłych. On sam stał się gwiazdą międzynarodowego formatu. Prestiżowy program informacyjny 60 Minutes przygotował o nim materiał

184 filmowy, a miesięcznik „Esquire” nadał mu tytuł „Człowieka miesiąca”.

Policjanci byli pod ogromnym wrażeniem jego nadnaturalnych, jak mogło się wydawać, mocy. Praca zmuszała go niekiedy do uczestniczenia w eks-humacjach, odcinania nieboszczykom głów (zupełnie jakby był pogromcą wampirów), wymykania się mściwym gangsterom i przechodzenia przez kontrolę na lotnisku z głową w walizce. Jak sam twierdził, „musiał jakoś odreagowywać całą tę makabrę”.

Najlepiej szło mu to we wtorki. Wieczorem spotykał się z Joan i aż do środowego poranka „odreagowywał” u jej boku. Wymalowana na oślepiającą biel piwniczka pod pracownią była świątynią, przestrzenią doskonałą. Schodzili tam nago, trzymając się za ręce, po białych drewnianych schodach. Mijali namalowany czarnymi literami napis „café biała auto-

strada". W środku czekały na nich białe ściany, biały bar i białe stołki oraz replika czerwonego chevroleta rocznik 1952 (ukochanego samochodu z czasów dzieciństwa) postawiona na autostradzie namalowanej na barze. Popijali wódkę, słuchali Brubecka, Johnny ego Rottena, bluesa, i co tam im jeszcze wpadło w ręce. Przez całą noc pili, tańczyli i uprawiali seks. Choć Bender dobiegał sześćdziesiątki, trwające do rana bachanalia dawały mu potężniejszy zastrzyk energii niż spokojny sen. „W ten sposób odbudowuję w sobie niewinność”, twierdził. W tym czasie jego żona spała spokojnie w pokoju sąsiadującym z dawną chłodnią na mięso.

Pewnej środy Bender tuż przed świtem wszedł po białych schodach do pogrążonej w mroku pracowni. Miał za sobą wspaniały wieczór. Podszedł do kuchenki i nastawił wodę na kawę. Uniósł pokrywkę wielkiego garnka i zamieszał jego zawartość — głowa wyglądała coraz lepiej. Od tyłu oplotły go ręce Joan.

Bender kierował się w życiu wyłącznie płynącym z wnętrza głosem własnych pragnień. Nie używał zegarka, a każdy z zegarów w pracowni wskazywał inną godzinę. Kalendarz z rysunkami Normana Rockwella miał pięćdziesiąt lat. Od innych dowiadywał się, jaki jest dzień tygodnia. Pewną wskazówką były kolejne schadzki (jak te wtorkowe), ale generalnie Bender unosił się w beczasowym eterze swojej sztuki, „jedyną kochanki, która ma nade mną władzę”, jak napisał kiedyś jeden z jego duchowych mistrzów, Michał Anioł.

185

Siedzieli z Joan pod zwijającym się ze starości kalendarzem Rockwella, kiedy zadzwonił telefon.

Przez zmatowiałe świetliki do pracowni wpadały pierwsze promienie poranka. Bender z trudem dostrzegał rzędy ludzkich głów: kobieta z rozmazaną na ustach czerwoną szminką i błagalnym spojrzeniem; wilcze twarze i puste oczodoły sadystów oraz morderców. Niemy chór potępionych. Kolekcja czaszek robiła ogromne wrażenie i budziła lęk w każdym, kto tam przychodził. Nikt nie potrafił przyswoić jednorazowo takiej dawki makabry. A przecież była to tylko wystawa — detale kolejnych śledztw przepływały przez głowę Bendera. Umarli o zdeformowanych obliczach nawiedzali go w snach, błagając o sprawiedliwość, szepcząc bezgłośnie nazwiska zabójców.

Bender nie odbierał telefonu, zastanawiając się, kto może dzwonić.

Płatny zabójca, który groził mu śmiercią, dał się na jakiś czas udobruchać.

Nie miał też akurat na pieńku z żadnym zazdrosnym mężem. Teść nie uganiał się już za nim ze strzelbą. W jego życiu zagościł względny spokój. Mimo to Bendera ogarnęły złe przeczucia. Nie wiedział tylko, czego konkretnie powinien się obawiać.

Współpracownicy ostrzegli go przed niebezpieczeństwami związanymi z udziałem w śledztwach. Kto zagłębia w otchłań, może zapłacić za to częścią swojego człowieczeństwa. Kto odwróci oczy od bólu i cierpienia — jeżeli jest do tego zdolny — może oszaleć. Policjanci zauważyli, że Bender należy do tej ostatniej kategorii. „Wszyscy chcemy działać na rzecz sprawiedliwości i wszyscy ponosimy porażkę”, twierdził Fleisher. Bender całkowicie się w tej misji zatracił. Wcześniej był zwykłym, beztroskim, uwielbiającym seks artystą i uwodzicielem, którego urokowi nie potrafiła się oprzeć żadna kobieta. Później zaciągnął się na służbę — służbę na rzecz przeznaczenia. Nie zauważał kolejnych pótek w pracowni, nie zwracał uwagi na doniesienia o uprowadzeniach i morderstwach niewinnych ludzi, które przelewały się szerokim strumieniem przez jego miasto — oraz wszystkie inne aglomeracje. Liczby nie miały dla niego żadnego znaczenia. Chciał wykonywać tę pracę, odkąd zobaczył udręczone oczy pierwszej ofiary morderstwa. To właśnie one zawładnęły jego duszą.

186

Telefon zwiastował zmiany. Automatyczną sekretarkę, niegdyś wypełnioną nagraniami pozostawionymi przez kochanki, teraz zapychały wiadomości od policjantów, reporterów, lekarzy sądowych. Wszystkie mówiły o pograżonych w żałobie rodzinach, które szukały pomocy. I w tym właśnie tkwił szkopuł: takie rozmowy sprawiały mu ból. niesprawiedliwość budziła w nim gniew. Wkurzała go. Niemniej jednak budziła również gniew we wszystkich uczestnikach śledztwa. Motywowała ich do dalszej pracy.

Słuchając dzwonka telefonu, obserwowany przez czujne spojrzenia stojących na półkach głów, wiedział, że nigdy nie uwolni się od koszmarów. Niezależnie od tego, z iloma kobietami pójdzie do łóżka. Dopóki świat się nie opamięta, dopóki nie stanie się lepszy, dopóty jemu będzie towarzyszyło to złowróżbne przeczucie.

Sprawy układały się po jego myśli. To tylko złowróżbne przeczucie.

Podniósł słuchawkę.

— Jest piąta rano, bucu — warknął.

Rozdział 23

Sny Morfeusza

Richard Walter spał spokojnie w swoim zabytkowym chińskim łożu. Kiedy kładł się na spoczynek, w głowie szumiało mu od wypitego wina. Przykładając ją do poduszki, powiedział na głos: „Oddaję się w objęcia Morfeusza”. W mitologii greckiej trzech synowie Hypnosa sprowadzali na ludzi sny. Fantasos odpowiadał za te skomplikowane, nierealistyczne, a Fobetor za przerażające koszmary. Morfeusz sęczył ludziom do uszu spokojne sny o bohaterach.

Walter lubił samotność. „Ożeniłem się raz, ale tak dawno temu, że nie ma sensu o tym wspominać. Nie zamierzam popełnić ponownie tego samego błędu. Wprost nienawidzę kotów, psów i dzieci. Żadne dziecko nie powinno znajdować się w pobliżu, kiedy mówię o sprawach zawodowych”. Świadomie wyrzekł się ziemskich przyjemności, aby zostać jednym z pięciu najlepszych na świecie profilerów. Uważał, że dokonał wielkiego poświęcenia, które naznaczyło całe jego późniejsze życie. „Ale to właśnie dzięki tego rodzaju bliznom wyrabiamy sobie charakter, stajemy się sobą”. Przed świtem po ciemku zaparzył kawę. Na dworze panował jeszcze mrok, gdy zadzwonił do Filadelfii.

— Frank?

— Richard! — z drugiej strony słuchawki dobiegł szaleńczy okrzyk.

— Jest środa rano, pamiętasz?

188

— Tak, przetańczyliśmy z Joan całą noc. Słuchaliśmy rocka z lat sześćdziesiątych i piliśmy polską wódkę. Co za wieczór!

— Frank, kurwa, zupełnie ci odbiło? Nie spałeś przez całą noc? Jesteś sam?

— W sumie to nie. Ale Joan niedługo wychodzi — wyjaśnił Frank, po czym zniżył konfidencjonalnie głos. — Mąż Christine ma ją przywieźć z samego rana.

— Poużywałeś sobie wystarczająco przez ostatnią dobę — westchnął Walter. — Zaparz dzbanek kawy. A do czasu mojego przybycia postaraj się słuchać dla odmiany wskazówek płynących z organu odpowiedzialnego za myślenie.

— Rich, stary druhu, zazdrość cię po prostu zżera! — zawył uradowany Bender.

— Nie sędzę — odparł Walter i się rozłączył.

Niebo miało ołowiany kolor. Padał śnieg. „Jest ciemno, zimno, czuję

się źle, a pogoda jest paskudna. Coś potwornego", pomyślał, wydłubując żołędzie z silnika, w którym najwyraźniej zimowała wiewiórka. W drodze na lotnisko wewnątrz samochodu wypełniło się kojącym dymem papierosowym i Walter zaczął odzyskiwać humor. Kłęby dymu niemal zupełnie przesłaniały niebiesko-biało-czerwoną odznakę wpiętą w klapę marynarki, odznakę odwołującą się do tradycji średniowiecznych herbów. Walter kierował się w życiu przekonaniem, że każdy człowiek ma do spełnienia jakieś zadanie — jego polegało na identyfikowaniu, prześladowaniu i eliminowaniu najbardziej zdemoralizowanych psychopatów. Aby osiągnąć w tym biegłość, aby zostać jednym z pięciu najlepszych na świecie profilerów, musiał zrezygnować ze wszystkiego, co mogło mu w tym przeszkadzać — musiał poświęcić się wyłącznie pracy. Zwalczanie zła sprawiało mu satysfakcję, jakiej nie przyniosłoby mu nic innego.

Odnaka zabarwiona na wzór rycerskiego kodeksu honorowego — w kolory chwały i sprawiedliwości, bogów i królów — połyskiwała delikatnie w porannej szarówce. Stary ford pędził autostradą.

Rozdział 24

Sprawy, których nie potrafią odpuścić

W czwartkowe popołudnie 27 września 1990 roku Joe O'Kane ugryzł kęs kurczaka w migdałach, upił tyk kawy, a następnie spojrzął na trzy zmasakrowane ciała z głowami w wypełnionej wodą wannie.

— Smaczne — stwierdził, ocierając brzegi wąsów serwetką. Ostrożnie przesunął fotografię ze zwłokami w stronę osoby, która siedziała obok niego przy stole w Klubie Oficerskim Marynarki Wojennej. — Mam nadzieję, że klub funduje również raphacholin.

Agent federalny OKane był wielki jak dąb i zabójczo ubrany. Był dobrze zbudowanym policjantem irlandzkiego pochodzenia o wyraźnej słabości do eleganckich strojów — miał na sobie uszyty na miarę trzyczęściowy garnitur oraz czarne buty kowbojskie ze skóry aligatora. Do szerokiego paska ze srebrną sprzączką przypiął małą berettę, „pistolet, który zabierał w niedzielę do kościoła". Bujną srebrzystą brodę miał starannie przystrzyżoną, co ostatecznie upodabniało go do Kennyego Rogersa. Okazała postura byłego półzawodowego futbolisty oraz tenorowy głos zapewniały O'Kane'owi zaproszenia na występy na weselach i przyjęciach, na których śpiewał repertuar country. Był człowiekiem gadatliwym, inteligentnym, pewnym siebie i, jak sam twierdził, „nie zwykł wylewać za kołnierz". Do Towarzystwa Vidocq'a wstąpił, ponieważ liczył na dobrą zabawę,

która pozwoli mu zapomnieć o troskach związanych z pracą.

O'Kane osiągnął szczyt kariery w siłach porządkowych. Odgrywał kluczową rolę w tajnych operacjach prowadzonych na całym świecie.

190

Mimo to nigdy nie zapomniał, że wychował się w rodzinie irlandzkich robotników. Korzenie i wykształcenie — choć skromne, bo skończył tylko szkołę średnią — napawały go dumą. Należał do „Mustangów” Urzędu Celnego. Przewisko zainspirowały parsknięcia Horatia Algera, jednego z najlepszych agentów, który twierdził, że „żadnemu z nas nie udało się znaleźć dobrej pracy po studiach”. O'Kane był urodzonym buntownikiem. Zapuścił brodę tylko po to, by wkurzyć przełożonego, który wymagał od podwładnych czegoś dokładnie przeciwnego. Od tego czasu zarost stał się jego znakiem firmowym. Krzepki policjant miał oryginalne zainteresowania — uwielbiał poezję, przeczytał kilka tysięcy powieści, a sam dla przyjemności napisał trzy thrillery. „Najlepiej ujął to Chesterfield. Irlandczycy to lud zabawny ze sporą domieszką szaleństwa, bo wojny toczą wesole, a w ich pieśniach zawsze pobrzmiwa klęska”, powiedział.

Ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę podczas lunchu, to wysłuchiwanie jakiegoś biurokraty w garniturku opętanego wizją stworzenia nowej organizacji na podobieństwo FBI. O'Kane potrzebował rozrywki! Tymczasem to właśnie do niego Fleisher zwrócił się w pierwszej kolejności, kiedy rozpoczął formowanie Towarzystwa.

„Brzmi to interesująco, Bill, ale ja sobie cenię niezależność”, powiedział mu wtedy. „Nie wstąpiłem do Bractwa Policyjnego. Nie wstąpiłem do Synów Irlandii. Tam przychodzą jacyś narwańcy z misją. Mnie to niepotrzebne. Wystarczy, że obiecasz mi dobrą zabawę. Jeżeli na spotkaniach będziemy się objadać i wygłupiać z chłopakami, to się zapiszę. Jeżeli zamierzacie do tego podejść śmiertelnie poważnie, odpadam. Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę ścigam najgorsze ścierwa. Nie zamierzam tego robić dodatkowo w porze lunchu”.

Fleisher obiecał mu dobrą zabawę. „Twierdził, że będziemy się spotykać w eleganckiej sali, jeść lunch i dyskutować o Billym Kidzie, o zbrodniach sprzed stu lat, że sprowadzimy sobie ekspertów od Jesse'ego Jamesa, a nawet zorganizujemy spotkanie poświęcone Meriwetherowi Lewisowi i Williamowi Clarkowi. Powiedziałem: Dobra, wchodzę w to. Wpisz mnie na listę”, wspominał później O'Kane.

Na kolejnym spotkaniu Towarzystwa Vidocq'a doszło do oficjal-

nej prezentacji pierwszej sprawy. Dotyczyła potrójnego morderstwa
191

w Karolinie Północnej; równie drastycznego co bezsensownego. Dokonana w 1972 roku masakra zamożnej rodziny Durhamów w zachodniej części Pasma Błękitnego przez swoje okrucieństwo i irracjonalność kojarzyła się O'Kane'owi z morderstwem opisanym przez Trumana Capotea w książce *Z zimną krwią*.

A podobno posiłek miał upłynąć w miłej atmosferze?

— Oczekujecie, że wskażę mordercę przed deserem? Bardzo zabawne.

— Dla nikogo ta sprawa nie będzie przyjemna — stwierdził Walter, pociągając nosem. — Oczywiście poza mordercą. Z miejsca zbrodni wynika, że popełnił ją człowiek, dla którego liczył się rezultat, sprawne wykonanie zadania. Laicy nie potrafią często pojąć, jak wielką satysfakcję może sprawić spełnienie zbrodni.

Walter stał u szczytu stołu i prezentował nierozwiązaną sprawę kilkudziesięciu zebranych na sali członkom stowarzyszenia. Policja od osiemnastu lat nie potrafiła jej rozwikłać. Waltera poprosił o pomoc Stanowy Urząd Śledczy Karoliny Północnej.

— To niezmiernie ciekawe morderstwo — oświadczył, rozdając zebranych fotografię z miejsca zbrodni oraz resztę dokumentacji. — Splata się w nim kilka wątków.

Fleisher uznał sprawę za wystarczająco przedawnioną i niezwykle ciekawą.

Walter utkwiał wzrok w dokumentach, próbując zebrać myśli.

— Zaczniemy od tego, że profil sprawcy jest dość oczywisty — powiedział. — Należy do kategorii morderców, którzy uważają się za sprytniejszych, niż są w rzeczywistości.

Durhamowie byli spokojną, szanowaną, zamożną rodziną, która zdaniem policji nie miała wrogów. Pięćdziesięcioletni Bryce Durham, jego żona Virginia, lat czterdzieści sześć, i dziewiętnastoletni syn Bobby Joe dwa lata wcześniej przeprowadzili się z Raleigh do Boone, miejscowości w hrabstwie Watauga w górach na zachodnim krańcu Karoliny Północnej, sto pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Asheville. Bryce prowadził salon samochodowy Modern Buick-Pontiac. Byli konserwatywnymi, pobożnymi chrześcijanami.

192

W czwartek 3 lutego 1972 roku Bryce wyszedł o piątej trzydzieści po

południu ze spotkania Klubu Rotariańskiego i wrócił do salonu samochodowego, aby odebrać żonę, która pracowała tam jako sekretarka, oraz syna studiującego na pobliskim Appalachian State University. Po wyjściu z zajęć Bobby Joe przyjechał buickiem sedanem do salonu ojca. Rozpętała się potężna burza śnieżna. Cała trójka wsiadła do należącego do rodziców chevroleta z napędem na cztery koła.

Między szóstą trzydzieści a siódmą SUV powoli wspinał się po oblodzonej drodze na wyłożone cegłami wypłaszczenie na szczycie stromego pagórka. Durhamowie dojechali do domu. Zjedli spokojnie kolację i zasiedli przed telewizorem. Na zewnątrz szalała śnieżycą; dom był ledwo widoczny. Tej nocy nikt przy zdrowych zmysłach nie planował wyjścia na dwór. „Morderca jednak znał doskonale okoliczne drogi, góry oraz lokalizację domu Durhamów, dlatego śnieg mu w niczym nie przeszkadzał”, stwierdził Walter.

Tego wieczoru Troy Hall, zięć Durhamów, oglądał z żoną telewizję w przyczepie mieszkalnej sześć i pół kilometra od domu teściów. O dziesiątej trzydzieści zadzwonił telefon. Troy podniósł słuchawkę. Później opowiadał, że rozległ się w niej ledwo słyszalny głos teściowej. „Pomocy”, błagała szeptem, jakby się obawiała, że ktoś ją usłyszy. „Jacyś ludzie włamali się do domu i dorwali Bobby'ego i Bryce'a". Ledwie wypowiedziała te słowa, połączenie zostało przerwane.

Hall zeznał policji, że w pierwszej chwili uznał telefon za żart. Natychmiast oddzwonił, przekonany, że teściowie mają się znakomicie. Linia była zajęta. Coraz bardziej zaniepokojeni założyli z żoną kurtki i pobiegli do samochodu. Kiedy nie udało im się zapalić silnika, poprosili o podwiezienie sąsiada, prywatnego detektywa Cecila Smalla. Dwadzieścia minut później dotarli w trójkę pod dom Durhamów. Hall kazał żonie zostać w samochodzie, a sam razem ze Smallem — który wyciągnął pistolet — wszedł do środka. Dziesięć minut przed jedenastą mężczyźni znaleźli zwłoki i zadzwonili na policję.

Zrekonstruowano przebieg wydarzeń. Dom został splądrowany. W salonie na stoliku przed telewizorem stały trzy szklanki z napojami i opróżniony do połowy talerz ze skrzydełkami kurczaka. Obok leżały karty do

193
pasjansa Bobby'ego. Na dywanie widniała duża plama krwi. Lekarz sądowy ustalił, że Virginia została uduszona. Wokół szyi wciąż miała owinięty krótki nylonowy sznur. Na szyjach Bryce'a i Bobby'go również znaleziono

zaczerwienienia wskazujące, że próbowano ich udusić, niemniej ostatecznie zginęli przez utopienie. Twarze mieli całe posiniaczone. Z niezakręconego kurka woda wciąż płynęła do wanny, przelewając się przez krawędź. Urządzono szeroko zakrojoną obławę w zasypanych śniegiem górach. Prawie natychmiast znaleziono SU V-a Durhamów. Morderca porzucił go półtora kilometra od domu na zaśnieżonej bocznej drodze, o której istnieniu wiedzieli jedynie okoliczni mieszkańcy. Światła pojazdu były włączone, silnik nadal pracował. Na tylnym siedzeniu leżał worek ze skradzionymi srebrnymi talerzami.

Policja stanowa uznała, że morderstwo popełniono na tle rabunkowym. Niemniej jeżeli tak było, to dlaczego złodziej (lub złodzieje) nie zabrał ze sobą srebrnych talerzy? „I dlaczego na krzesle w salonie zostawiono dwie koperty depozytowe z pieniędzmi przeznaczonymi do wpłacenia w oddziale banku?”, zapytał Walter. Na te pytania policja nie potrafiła odpowiedzieć. Szeryf hrabstwa Watagua przypuszczał, że morderca żywił jakąś urazę do Durhamów, nie słyszano jednak o nikim, kto mógłby czuć do nich niechęć tak wielką, aby popchnęła go do zbrodni.

Od policji oczekiwano szybkiego aresztowania. O makabrycznym morderstwie napisały wszystkie gazety z regionu. Bob Scott, gubernator Karoliny Północnej, wsparł lokalnych przedsiębiorców, którzy wyznaczyli nagrodę za schwytanie sprawcy. Agencja prasowa United Press International podała, że w ostatniej rozmowie z zięciem pani Durham poinformowała go, że: „Włamało się do nas trzech czarnuchów”. Następnego dnia szeryf hrabstwa Watagua powiedział agencji: „Dysponujemy cennymi poszlakami i mamy nadzieję, że sprawcy zostaną niedługo aresztowani. Bez wątplenia bierzemy również pod uwagę obywateli o czarnym kolorze skóry”. Żadnemu Afroamerykaninowi nie postawiono nigdy w tej sprawie zarzutów. Miesiąc później szeryf kazał zgarnąć trzech dwudziestokilkulatków, którzy należeli do szajki włamywaczy. Oskarżono ich o morderstwo pierwszego stopnia na tle rabunkowym, ale wobec braku dowodów zostali szybko wypuszczeni z aresztu.

194

— Byłbym gotów przyznać, że wymiar sprawiedliwości zadziałał prawidłowo — powiedział Walter — w tym sensie, że mimo wszystko nie skazano niewinnych ludzi.

Ostatecznie nikomu nie postawiono zarzutów.

Kiedy Walter skończył prezentację, Fleisher wstał z miejsca i otworzył

dyskusję. Czy włamanie rzeczywiście było powodem, dla którego popełniono morderstwa?

— Nie — odparł Walter. — Było dokładnie na odwrót: cała sprawa została dość niezręcznie upozorowana na włamanie, tymczasem motywem mordercy była kontrola i władza.

— Czy wiadomo coś więcej o zięciu? — padło pytanie z sali.

— Co ciekawe, jego małżeństwo było zupełnie nieudane — odpowiedział Walter. — Durhamowie namawiali córkę, aby zostawiła Halla.

Para rozwiodła się jakiś czas później.

— Policja nigdy nie traktowała go jako podejrzanego — dodał Walter.

— A Cecil Small? — spytał ktoś inny. Czy to nie dziwne, że sąsiad, który okazuje się prywatnym detektywem, jako jedyny spoza rodziny przybywa na miejsce zbrodni?

Walter uniósł brew, doceniając trafność pytania.

— Mnie również wydaje się podejrzany — stwierdził. — Trudno go uznać za osobę do końca wiarygodną. Od trzydziestu lat opowiada na prawo i lewo, że wie, kto naprawdę zabił Kennedy'ego.

Zgromadzeni na sali detektywi parsknęli śmiechem. Choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, Small utrzymywał, że prezydenta zastrzelił pewien Latynos. Walter powiedział, że FBI przesłuchało w tej sprawie Smalla jeszcze w 1967 roku.

Zeznał wtedy, że 22 listopada 1963 roku jechał z żoną pikapem z Dallas w Teksasie, zmierzając do domu w Georgii. Wracali z wakacji, na które zabrali również swojego małego psa. W pewnej chwili znaleźli się w kawalkadzie samochodów wiozących prezydenta Kennedy'ego. Small widział, jak pierwsza dama wstaje. Piesek zaczął szczekać w chwili, gdy prezydent został postrzelony (zawsze ujadał na odgłos wystrzałów). Zaraz potem przed maską ich samochodu przebiegł niski Kubańczyk lub Meksykanin. Trzymał karabin z celownikiem optycznym częściowo ukryty

195

w torbie. Kilka minut później Small podwiózł sympatycznego autostopowicza, Lee Harveya Oswalda, do biblioteki w budynku Texas Book Depository. Jego zdaniem Oswald nie mógł być mordercą.

Z akt FBI wynikało, że po rozmowie ze Smallem agenci nie kontynuowali śledztwa, ponieważ nie pamiętał dokładnie układu ulic i budynków w Dallas, co podważyło wiarygodność jego zeznania.

— To ci dopiero świadek — skomentował jeden z agentów federal-

nych. — Może jeszcze potrafi wskazać miejsce pobytu Elvise.

— Kto w takim razie zabił Durhamów? — zapytał ktoś.

— Mam na ten temat swoją teorię — wyjaśnił z kwaśną miną Walter. — Przekonamy się, czy policja stanowa będzie miała tyle oleju w głowie, aby ją zweryfikować.

O'Kane był wzburzony przebiegiem spotkania. „Zaprezentowano nam makabryczną historię”, wspominał później. Nie pasowała do charakteru stowarzyszenia. On i pozostali oficerowie śledczy byli z natury ludźmi czynu, kiedy więc słyszeli o niewyjaśnionym potrójnym morderstwie, o straszliwej tragedii, w pierwszym odruchu chcieli wyruszyć na poszukiwanie sprawcy. O'Kane był pewien, że Walter zna tożsamość mordercy, ale szacowni członkowie Towarzystwa Vidocq'a mogliby się tego dowiedzieć jedynie dzięki przeprowadzonemu na własną rękę śledztwu.

Walter był rozczarowany, że doświadczony grono detektywów zadało tak niewiele pytań. Przypisał to „naturalnej ostrożności. Ludzie nie mieli jeszcze wprawy w tej metodzie analizy sprawy i w zasadzie tylko mi przytakiwali”.

William Gili, przełożony agentów departamentu skarbu w trzech stacjach, w milczeniu wysłuchał prezentacji. Specjalistyczna wiedza Waltera zrobiła na nim ogromne wrażenie. Jako człowiek, który całą karierę zawodową spędził w wojskowych i cywilnych organach porządku publicznego, zrozumiał nagle, że „prowadzenie dochodzenia w sprawie morderstwa wymaga specjalistycznych umiejętności”, o których on nie ma pojęcia.

„W departamencie skarbu zajmują się głównie przestępstwami gospodarczymi; łapówkami, wymuszeniami i innymi przekrętami finansowymi.

Zajmujemy się śledzeniem przepływów pieniężnych, podobnie jak urząd
196

skarbowy. Nie mam do czynienia z zabójstwami. Nie oglądam na co dzień krwawych obrazków”.

„Na ironię zakrawa fakt”, zauważył posępnie Gili, że „Fleisher zebrał tylu niezwykle utalentowanych ludzi, aby analizować sprawy morderstw, mimo że większość z nas nie zajmowała się nimi zawodowo”. Jako niepoprawny optymista był pewien, że potrafią wnieść coś ciekawego do dyskusji, korzystając z własnego, nawet jeśli odmiennego, doświadczenia. Uznał, że jak w przypadku wszystkich nieszablonowych przedsięwzięć, nie sposób przewidzieć, co powstanie z tego rodzaju ligi specjalistów w różnych dziedzinach, dziecka „genialnego umysłu Billa Fleishera”.

Gili postanowił poddać ów geniusz próbie podczas kolejnego spotkania. Na jego prośbę Towarzystwo Vidocq'a zajęło się sprawą brutalnej egzekucji agentki urzędu skarbowego Heidi A. Berg, zastrzelonej sześć lat wcześniej podczas porannego joggingu w jednym z miast stanu Wirginia. Berg była bystrą, wysportowaną trzydziestolatką ze Środkowego Wschodu. Zginęła w biały dzień. James Rice, agent urzędu skarbowego, któremu Gili powierzył śledztwo w tej sprawie w 1984 roku, przyjechał do Filadelfii, aby zaprezentować ją u boku byłego szefa.

— Każdy ma jakąś sprawę, której nie potrafi odpuścić — stwierdził Fleisher. — Ta sprawa właśnie do takich należy.

Gili rzeczywiście miał do niej osobisty stosunek.

— Nigdy nie zetknąłem się z równie smutnym wydarzeniem — opowiadał. Gili był szefem Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego skarbowki na terenie stanów Pensylwania, Delaware, Maryland i Wirginia.

Jego zadaniem była ochrona pracowników urzędu i prowadzenie dochodzeń w sytuacjach, w których im grożono lub na nich napadano. Sprawa Berg przyprawiła go o palpitację serca.

Wczesnym rankiem 12 sierpnia 1984 roku młoda brunetka ubrana w spodenki i T-shirt biegła przez park nieopodal swojego domu w podmiejskiej dzielnicy Merrifield, miasta położonego piętnaście kilometrów na zachód od Arlington. Heidi Berg była niezwykle sumienną agentką urzędu skarbowego i zapaloną joggerką. Pochodziła z Wisconsin, była pobożną chrześcijanką, wpłacała anonimowo pieniądze na cele dobroczynne

197
i chciała w przyszłości zostać autorką książek dla dzieci. Policja nie mogła uwierzyć, aby miała jakichkolwiek wrogów.

O wpół do siódmej rano, kilka minut po tym, jak wybiegła z domu, ktoś strzelił jej sześciokrotnie w plecy. Przebiegła jeszcze kilka kroków, po czym upadła i skończyła na trawniku przed budynkiem Amerykańskiego Towarzystwa Automobilowego. Jej ciało znalazł przejeżdżający tamtędy kierowca. Zabójca działał w pojedynkę i najwyraźniej, z niewyjaśnionych powodów, właśnie tam się na nią zaczął.

— Została zamordowana przez zawodowca, który wystrzelił w nią cały magazynek — opowiadał zebranym Gili. — Ktoś śmiertelnie nienawidził Heidi Berg.

Gili przydzielił do sprawy agenta Rice'a i ośmiu innych doświadczonych agentów urzędu skarbowego w Wirginii. Rice oddał się śledztwu bez

reszty, poświęcając mu nawet część swoich wakacji.

Od sześciu lat szukano odpowiedzi na podstawowe pytanie: kto pragnął śmierci Heidi Berg? Policja nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Morderstwo nie miało żadnego sensu. Jak ujął to Robert F. Horan, prokurator hrabstwa Fairfax: „Wśród wszystkich, którzy tamtego ranka uprawiali jogging w hrabstwie Fairfax, trudno wskazać wielu równie mało prawdopodobnych kandydatów na ofiary zabójstwa”. Rozważano nawet hipotezę, że zawodowy morderca zabił niewłaściwą osobę.

Gili odrzucał taką ewentualność.

— Istniały tysiące powodów, dla których ktoś mógł pragnąć śmierci Heidi Berg — stwierdził — a każdy z nich ma na sobie nadrukowaną podobiznę George'a Washingtona.

Heidi Berg była zatrudniona w wydziale podatków urzędu skarbowego i zdaniem Gilla wykonywała trudną i niebezpieczną pracę. Faktycznie była nieuzbrojonym poborcą podatkowym. „Jeżeli ktoś miesiąc w miesiąc nie płaci podatku, a z innych dokumentów wynika, że powinien był to zrobić wielokrotnie, poborca podatkowy jedzie w teren, puka do drzwi delikwenta i dokonuje zajęcia mienia”, wyjaśniał Gili. „Wszyscy nienawidzą urzędu skarbowego, a jeżeli ktoś przedstawi się jako poborca podatkowy, ludzie czują do niego jeszcze większą odrazę”. Pod adresem poborców przychodziło wiele pogróżek, zdarzyło się też kilka ataków.

198

— Dlatego oczywiście przyjęliśmy, że morderstwo było powiązane z jej pracą — ciągnął Gili.

Berg niewiele wcześniej pracowała w Bailey's Crossroads w stanie Wirginia, ale ponieważ otrzymała serię poważnie brzmiących pogróżek, miała zostać przeniesiona do Waszyngtonu, gdzie wykonywałaby mniej niebezpieczną pracę, pisząc analizy programów komputerowych.

Ale ten trop okazał się ślepą uliczką.

— W zasadzie wykluczyliśmy, aby zabójstwo miało jakikolwiek związek z wykonywaniem obowiązków zawodowych. Jesteśmy praktycznie pewni, że nie zamordował jej nikt związany z prowadzonymi przez nią postępowaniami.

Dopiero później odkryto pamiętnik Berg z wpisami na temat chłopaka, o którym nie opowiadała przyjaciołom ani rodzinie. Był to wysoko postawiony pracownik FBI, żonaty mężczyzna. Wśród prowadzących śledztwo agentów zapanowało ożywienie, kiedy ustalili, że kule, którymi

zabito Berg, miały — jak relacjonował Gili — „ten sam kaliber, którego używano wtedy w FBI. Trop wyglądał obiecująco. Energicznie zaczęliśmy badać ten wątek”.

Wydział bezpieczeństwa wewnętrznego FBI poddał agenta badaniu wykrywaczem kłamstw, ale wyniki nie były rozstrzygające. Agenci przebadali również wariografem jego żonę i syna, studenta.

— Dochodzenie na jakiś czas zrujnowało gościowi życie — ciągnął Gili. — Miał pecha, że dziewczyna prowadziła dziennik.

Mężczyznę ostatecznie wykluczono z grona podejrzanych. Kolejny ślepy zaulek.

— Śledztwo było wyjątkowo frustrujące — powiedział Gili. — Przydzieliliśmy do niego dziesięciu dobrych agentów i daliśmy im spory budżet. Do niczego nas to nie doprowadziło.

Kto zatem zabił Heidi Berg?

Richard Walter odchrząknął. Gili nachylił się w jego stronę.

— Wszyscy zdają się sądzić, że jeśli dziewczyna była ładna i młoda, to morderstwo musiało mieć podtekst seksualny — zaczął Walter. — Nie widzę przesłanek, które by na to wskazywały. Przebieg zabójstwa pasuje do hipotezy o wściekłym podatniku. Heidi została unieszkodliwiona, 199

usunięta niczym śmieć. Zabójca wyraźnie pragnął uzyskać nad nią władzę, a przecież to właśnie pieniądze są jej wyrazem. Posłużenie się pistoletem świadczy o tym, że morderca chciał zdominować ofiarę. Skoro jednak z grona podejrzanych wykluczono wszystkich podatników związanych z prowadzonymi przez nią postępowaniami, prawdopodobnie była dla mordercy osobą obcą. Nawinęła mu się akurat wtedy, gdy odczuwał potrzebę mordu i miał przy sobie broń. Była to po prostu odmiana zabójstwa, w którym ktoś strzela z jadącego samochodu do przypadkowej osoby. Na sali zapadło milczenie.

— No ale co go do tego popchnęło? — spytał Bender.

Walter wzruszył ramionami.

— Być może kiedyś się do niej przystawiał, a ona go spławiła. Gość nie potrafił albo nie miał odwagi jej zaliczyć, więc zaspokoił pragnienie za pomocą pistoletu. Możliwe, że jest impotentem albo ma jakieś inne zahamowania, które generalnie uniemożliwiają mu zdobywanie dziewczyn. Albo czuł się wyalienowany, chciał kogoś zlikwidować i akurat zobaczył tę atrakcyjną dziewczynę.

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się chłodno.

— Nikt nie lubi sobie wyobrazać takich mężczyzn. Przypominają rekiny krążące po porcie. Dlatego właśnie niebezpiecznie jest w pojedynkę biegać o szóstej rano po parku albo gdzieś na odludziu. Zwłaszcza dotyczy to ładnych dziewczyn.

Gili pobladał. Nie wątpił w trafność analizy Waltera, ale przedstawiony w ten sposób los Heidi Berg wydawał się tragiczny i absurdalny. Pytania, które zadali następnie inni członkowie towarzystwa, nie wniosły wiele do sprawy. Ktoś zapytał, czy sprawdził billingi ofiary.

— Ależ oczywiście — odpowiedział ostro.

Do czego to wszystko zmierzało?

Spotkanie zorganizowane miesiąc później jeszcze bardziej rozczarowało Fleishera.

Rankiem we wtorek 3 lipca 1984 roku Donna Friedman, trzydziesto-trzyletnia kobieta w ósmym miesiącu ciąży, zostawiła dwoje małych dzieci z opiekunką w domu na przedmieściach Filadelfii i udała się na rutynową wizytę u położnika. Termin porodu pani Friedman, żony lekarza, przypadał 200

na drugi tydzień sierpnia. Doktor Robert S. Auerbach miał dla niej same dobre wieści. Dziecko „rozwijalo się prawidłowo. Miała zostać matką zdrowego chłopca. Była z tego powodu bardzo szczęśliwa. Oświadczyła, że płeć dziecka nie ma dla niej znaczenia, ważne, żeby było zdrowe. Całkowicie poświęcała się pozostałej dwójce”, opowiadał później doktor Auerbach. Wychodząc z gabinetu, Friedman powiedziała lekarzowi, że wybierze się jeszcze na zakupy. Ponieważ remontowała właśnie dom, poszła do All-in-one Linens, aby obejrzeć zasłony do sypialni. Następnie udała się do Toys"R"Us po wózek dla nowo narodzonego bratanka. Zamierzała mu go podarować podczas uroczystości obrzezania. Około godziny pierwszej zadzwoniła do brata, ponieważ nie zdołała znaleźć niczego odpowiedniego. On zaproponował, aby poszła do Cramer's Juvenile Furniture na Frankford Avenue — w reklamie tego sklepu widział wózek, który mu się podobał. Kupiła go, płacąc kartą kredytową, i poprosiła sprzedawcę, aby pomógł jej zanieść towar do samochodu. Sprzedawca widział, jak odjechała spod sklepu o wpół do czwartej.

Kiedy do czwartej piętnaście nie wróciła do domu, jej mąż, hematolog Alan Friedman, zaczął się niepokoić. Donna zawsze była punktualna, a tego dnia miała dodatkowo zwolnić wcześniej opiekunkę, która zajmo-

wała się ośmioletnim Scottem i czteroletnim Lee. Alan i Donna wybierali się ponadto do pobliskiej restauracji na rozpoczynające się o szóstej przyjęcie urodzinowe matki doktora Friedmana. Kiedy żona nie zjawiała się do tego czasu, Friedman obdzwonił szpitala i skontaktował się z policją. Policja natychmiast rozpoczęła poszukiwania zaginionej kobiety. Doktor Friedman przez kolejne dwa dni rekonstruował drogę, którą jego żona przebyła feralnego dnia. W czwartek o ósmej dwadzieścia pięć wieczorem policja znalazła należącego do Friedmanów oldsmobile'a cutlassa na Ogontz Avenue, kilka przecznic od centrum handlowego Cheltenham Square. Z bagażnika sączyła się krew. W środku znaleziono zwłoki ciężarnej Donny Friedman. Kobieta została zamordowana dwoma ciosami w czaszkę, a potem, jak wyraziła się policja, „na dokładkę” strzelono jej dwukrotnie w tył głowy.

Fleisher poczuł, że się dławi, słuchając referującego sprawę Franka Diegela, oficera śledczego filadelfijskiego wydziału policji. Fleisher dorastał

201
niedaleko od Friedmanów. Na pogrzebie matki i jej nienarodzonego dziecka ludzie szlochali i zawodzili. Rabin opowiedział wtedy historię mężczyzny, który płakał po śmierci ukochanej. „Dlaczego płaczesz?“, spytał jego przyjaciel. „Twoje łzy nie przywrócą jej do życia”. „Właśnie dlatego”, odparł mężczyzna.

Tydzień po morderstwie gazeta „Philadelphia Daily News” wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które doprowadziłyby do aresztowania i skazania „osoby lub osób odpowiedzialnych za morderstwo Donny Friedman i jej nienarodzonego dziecka”. Rodzina i przyjaciele Friedmanów zaoferowali dodatkowe dziesięć tysięcy dolarów. Diegel wytypował głównego podejrzanego, ale dochodzenie utknęło w martwym punkcie. Nikomu nie wypłacono nagrody. Nikogo nie aresztowano.

Sprawa wywołała ożywioną dyskusję na spotkaniu Towarzystwa Vido-cqa. Zebrani doszli do wniosku, że ciężarną kobietę zamordował główny podejrzany wytypowany przez Diegela, czym zmotywowali go do dalszej pracy.

Mijały kolejne tygodnie i sprawa nie posuwała się do przodu. „Wiadomo, kto ją zabił, ale policja nigdy nie chciała podążyć tym tropem. Z niewiadomych przyczyn śledztwo było torpedowane”, opowiadał sfrustrowany Fleisher.

Fleisher stwierdził, że rozwiązywanie tego rodzaju spraw to syzyfowa praca. Policja bardzo często przesłuchuje mordercę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od popełnienia morderstwa, ale jeżeli nie umieści go od razu w gronie podejrzanych, śledztwo zamiera. Ludzkie wspomnienia się zacieraają. Dowody znikają. Inne sprawy przyciągają uwagę funkcjonariuszy. Kiedy po dwóch latach sprawa zostaje oficjalnie uznana za nierozwiązaną, rzeczy uprzednio trudne okazują się wręcz niemożliwe. „Sprawa z jakiegoś powodu nie została przecież rozwikłana. Trudność polega na tym, żeby sobie z tym poradzić”, wyjaśniał Fleisher. Aby ponownie ruszać śledztwo, potrzebne było wyjątkowe zaangażowanie prokuratora, wydziału policji, a często i rodziny. Na domiar złego Towarzystwo Vidocq'a nie dysponowało uprawnieniami pozwalającymi aresztować lub wzywać ludzi na świadków. Atutem członków Towarzystwa były analityczne

202
zdolności ich umysłów. „Niemal zawsze potrafimy powiedzieć, kto to zrobił, ale znajdowaniem dowodów, aresztowaniami i skazywaniem muszą się zająć powołane do tego instytucje”, mówił Fleisher.

Spotkanie, na którym zaprezentowano sprawę Donny Friedman, nauczyło Williama Gilla pokory. Kiedy on zajmował się ściganiem mafijnych bossów, „wielu obywateli naszego kraju przebywa na wolności, mimo że popełnili kiedyś morderstwo. Takich osób jest znacznie więcej, niż mogłem przypuszczać”. W szeregi Towarzystwa Vidocq'a zaczął się wkradać niepokój. Jaki sens miało założenie klubu towarzyskiego, który odkrywałby prawdę o morderstwach, doprowadzając jednocześnie wszystkich do najwyższej frustracji? Fleisher miał zupełnie inne plany.

Rozdział 25

Rzeźnik z Cleveland

Ku zaskoczeniu Fleishera Towarzystwo Vidocq'a rozrastało się mimo wszystko błyskawicznie i wyrabiało sobie markę u przedstawicieli służb porządkowych oraz u zwykłych obywateli. Na piątym spotkaniu, które odbyło się 18 kwietnia 1991 roku, liczba członków wzrosła ponad dwukrotnie i było ich już sześćdziesięciu dwóch. Wieści o powstaniu klubu towarzysko-detektywistycznego dotarły do mediów. Reporter „New York Timesa” poprosił o zgodę na wzięcie udziału w piątym spotkaniu. „Towarzystwo Vidocq'a”, napisał później, „jest chyba jedynym klubem, w którym prawdziwi detektywi dla własnej przyjemności próbują wyjaśnić realne zbrodnie”.

Do Towarzystwa weszły nowe, jeszcze znamienitsze postacie. Z Paryża do Filadelfii przyleciał szef Brigade de la Sûreté. Zapisał się również agent FBI Daniel Reilly, specjalista od przestępczości zorganizowanej z Long Island. Agent Reilly potrzebował odpoczynku od ścigania „naprawdę paskudnych — nie, proszę napisać: odrażających — kryminalistów”.

Jeden z nowych członków, Charles Rogovin, profesor prawa i kryminolog z Temple University, wiedział co nieco o nierozwiązanych sprawach. W przeszłości zasiadał w komisjach Kongresu badających okoliczności zamachów na Johna F. Kennedy ego i Martina Luthera Kinga. Teraz był gotów wesprzeć zwykłych policjantów, „którzy mieli twarde orzech do zgryzienia. Przerwane śledztwa niezwykle trudno wznowić”. Sens Towarzystwa Vidocq'a polegał, jego zdaniem, na tym, że „kiedy śledczy próbuje

204
usilnie rozwiązać jakąś sprawę, ale kończą mu się pomysły, czasami warto zaprosić kogoś z zewnątrz, aby przyjrzał się jej i powiedział: A może spróbowałbyś pójść w takim a takim kierunku?”.

Rogovin rozejrzał się po sali, z satysfakcją notując na piątym spotkaniu rekordową frekwencję. „Nie przypominamy angielskiego klubu dżentelmenów. Do tego towarzystwa należą wyłącznie profesjonaliści”, zauważył. Tamtego dnia zwyczajową porcję stawy i zbrodni podano w Dickens Inn, małej gospodzie zbudowanej w 1788 roku w stylu kolonialnym, położonej naprzeciwko szerokiego brukowanego bulwaru na South Second Street. Towarzystwo Vidocq'a przeniosło się tam z Klubu Oficerskiego Marynarki Wojennej, którego wewnątrz uznano za niedostatecznie nastrojowe. Niektórzy członkowie wyrażali ponadto obawy, że nie zapewnił ich spotkaniom stosownej prywatności. Dlatego urządzano je odtąd w kame-ralnym angielskim pubie nazwanym na cześć Charlesa Dickensa, który zresztą odwiedził kiedyś Filadelfię. Reporter „New York Timesa”, który natychmiast zwrócił uwagę na ironię związaną z wyborem nowej siedziby, napisał: „Kelnerki ubrane w stroje osiemnastowiecznych barmanek przemękały obok detektywa rozpoczynającego właśnie zdanie od słów: «Zastrzelono ją w niedzielę...»”.

Fleisher z niecierpliwością czekał na pierwsze spotkanie w nowej siedzibie. Wystrój pasował do jego wizji Towarzystwa Vidocq'a, podobnie jak prezentowana tego dnia sprawa. W końcu udało mu się znaleźć klasyczny przypadek morderstwa, nad którym detektywi będą mogli podyskutować przy lekkim posiłku. Chodziło o Szalonego Rzeźnika z Cleveland,

który w latach trzydziestych XX wieku popełnił serię najkoszarniejszych morderstw w historii Stanów Zjednoczonych. Rzeźnik torturował ponad trzydzieścioro mężczyzn i kobiet, podcinał im głowy, rozczłonkował i wytoczył z nich krew. Działalność rozpoczął jeszcze w latach dwudziestych, a kontynuował ją w okresie Wielkiego Kryzysu i później. Od tamtego czasu minęło siedemdziesiąt lat, a morderstw nie wyjaśniono, pomimo zaangażowania kilkuset przedstawicieli prawa, w tym samego Eliota Nessa.

W 1935 roku Ness, człowiek o nieposzlakowanej reputacji zawodowej, otrzymał stanowisko szefa wydziału bezpieczeństwa w Cleveland.

205

W 1931 roku w Chicago jako młody, energiczny agent departamentu skarbu stanął na czele elitarniej jednostki złożonej z ośmiu agentów federalnych. Urządzali naloty na nielegalne bary z alkoholem należące do Al Capone i doprowadzili w końcu do aresztowania gangstera pod zarzutami unikania płacenia podatków i łamania ustawy o prohibicji. Ness i jego chicagowscy agenci byli ludźmi kryształowo uczciwymi; nikt nie mógł ich przekupić. Dlatego właśnie nazywano ich Nietykalnymi.

Z przekazów historycznych wynika, że Ness miał wielkie zasługi w oczyszczaniu Cleveland z korupcji. Na jego celowniku znalazł się hazard i zorganizowana przestępczość, ścigał też policjantów i polityków siedzących w kieszeni mafii. Za jego czasów przestępczość spadła o trzydzieści procent, a Cleveland stało się najbezpieczniejszym miastem w Stanach Zjednoczonych. Wyprzedzając epokę, ograniczył liczbę ofiar wypadków samochodowych, nękał kierowców przekraczających prędkość i prowadzących pod wpływem alkoholu. Udało mu się nawet zmniejszyć przestępczość wśród nieletnich dzięki funkcjonującym na terenie całego miasta drużynom harcerskim.

I wtedy spotkał na swojej drodze nowy typ przestępcy — człowieka niezwykle przebiegłego i makiawelicznego, który nie pozwalał się podejść lub zastraszyć jak Al Capone. Zmorą XX wieku stawali się seryjni mordercy o sadystycznych skłonnościach, znacznie inteligentniejsi od pozostałych przestępców. W ich głowach rodziły się najmroczniejsze, najbardziej wyrafinowane okropieństwa, które potrafili wcielić w życie. Wiedzeni niezaspokojonymi żądzami, torturowali i mordowali przypadkowe osoby, powołując do życia upiorny świat rodem z koszmarów sennych.

Pierwszym człowiekiem, którego w XX wieku zaliczono do tej ponu-

rej kategorii, był pedofil i kanibal z Nowego Jorku, Albert Fish — Wampir z Brooklynu. Kiedy w styczniu 1936 roku Ness obejmował stanowisko w Cleveland, Fish, obłąkany, wąsaty malarz pokojowy o bladej cerze, został stracony na krześle elektrycznym w więzieniu Sing Sing za uduszenie i zjedzenie dziesięcioletniej Grace Budd. Dobroduszny starszy pan wmówił rodzicom dziewczynki, że jest farmerem. Ojcu obiecał pracę, najpierw jednak chciał zabrać dziewczynkę na przyjęcie urodzinowe w domu swojej siostry.

206

Ness nie zdawał sobie sprawy, że akurat sprawa Fisha pozwala wyjątkowo dobrze zrozumieć umysł nowego typu morderców. Oszustwo i podstęp odgrywały równie ważną rolę w zaspokajaniu pragnień sadysty, jak sam makabryczny finał. Sześć lat po porwaniu i zamordowaniu Grace Budd Fish wysłał do jej matki list, w którym chełpił się zbrodnią: „W niedzielę 3 lipca 1928 roku odwiedziłem was (...). Kupiłem miskę sera z truskawkami. Zjedliśmy lunch. Grace usiadła mi na kolanach i mnie pocałowała. Właśnie wtedy postanowiłem ją skonsumować. Wymyśliłem pretekst. Przyjęcie. Zgodziliście się, żeby ze mną poszła. Zabrałem ją do pustego domu w Westchesterze, który już wcześniej sobie upatrzyłem. Kiedy zobaczyła mnie nagiego, rozpłakała się (...) i powiedziała, że naskarzy mamie. Najpierw zdjąłem z niej ubranie. Ależ się wrywała — całego mnie pogryzła i podrapała. Zadusiłem ją, następnie pociąłem na małe kawałeczki, aby móc przenieść mięso do mieszkania. Tam je ugotowałem i zjadłem. Jakże słodka i mięciuteńka była po upieczeniu jej pupcia! Pałaszowałem ją przez dziewięć dni. Nie wyruchałem waszej córki, choć mogłem. Umarła jako dziewica”.

Kiedy Fish, podejrzany o zamordowanie pięciu osób, umierał na krześle elektrycznym, Szalony Rzeźnik robił wszystko, by prześcignąć doktora H.H. Holmesa, który przyznał się do zabicia co najmniej dwudziestu siedmiu osób (a mógł ich zamordować o kilkadziesiąt więcej) w swoim posępnym Zamczysku Śmierci podczas Wystawy Światowej w Chicago w 1893 roku. Wiedziony tymi samymi nienasyconymi żądzami co Holmes, Rzeźnik najwyraźniej zamierzał powtórzyć makabryczne dzieło poprzednika, urządzając krwawe łowy podczas Wystawy Światowej w Cleveland w 1936 roku.

Mordercę charakteryzowały siła, ostrożność oraz budząca grozę potrzeba torturowania i upokarzania ofiar. We wrześniu 1934 roku na

powierzchnię jeziora Erie wypłynęło zmasakrowane ciało — korpus niezidentyfikowanej kobiety w wieku trzydziestu kilku lat; ucięto jej głowę i nogi na wysokości kolan. We wrześniu 1935 roku dwa nagie ciała mężczyzn — pozbawione głów i wykastrowane — znaleziono w Kingsbury Run, miasteczku namiotowym powstałym w czasach Wielkiego Kryzysu, zbudowanym przez włóczęgów na obrzeżach Cleveland w ponurym

207
wąwozie, który przecinała rzeka Cuyahoga i tory kolejowe. Dwudziestoosmioletni Edward Andrassy, młodszy z zamordowanych, był drobnym oszustem i rozwiązłym biseksualistą. Jego ciało zostało umyte i całkowicie wykrwawione. Obu mężczyznom odcięto głowy, kiedy jeszcze żyli. Czwartą ofiarą była prostytutka Florence Polillo. Jej rękę i oba uda znaleziono w wielkim koszu, owinięte sznurkiem niczym szynki.

Morderca działał według jednakowego wzoru: najpierw ucinął ofiarom głowy (co jest czynnością niełatwą i rzadko spotykaną w historii morderstw), a następnie rozczłonkował ciała i pozbawiał je narządów płciowych. Lekarz sądowy stwierdził, że morderca musi być wyjątkowo silnym mężczyzną, a zważywszy na wprawę i precyzję, z jaką dokonywał dekapitacji, także chirurgiem. Jeden z policjantów scharakteryzował go w bardziej dosadny sposób: „Na wolności grasuje szaleniec przepełniony żądzą mordu”.

Na Cleveland padł blady strach. Nagłówki gazet uderzały w coraz bardziej dramatyczne tony, a od człowieka odpowiedzialnego za bezpieczeństwo w mieście domagano się schwytania mordercy. Przypadkowe dekapitacje dokonywane w cieniu nowych drapaczy chmur były fatalną wizytówką dla Cleveland. W 1936 roku trzy miliony odwiedzających przybyły na Wystawę Światową — heroiczne przedsięwzięcie mające ożywić podupadającą gospodarkę miasta, sfinansowane częściowo z budżetu federalnego. Architekci zaprojektowali na nadbrzeżu jeziora Erie lśniące, modernistyczne miasteczko wystawiennicze o powierzchni stu trzydziestu pięciu akrów. Efektownością dorównywało Białemu Miastu z Wystawy Światowej w Chicago. Nazwano je „miastem z kości słoniowej, nowym Bagdadem wzniesionym na pustyni”. Pływacy olimpijscy Johnny Weissmuller, który w przyszłości miał zagrać Tarzana, oraz Esther Williams, która również zrobiła karierę filmową, wystąpili na Aquacade, pływającej scenie. Nad powierzchnią wody unosiły się dźwięki jazzu granego przez orkiestrę Boba Crosby'ego. Cleveland miało znaleźć się w centrum uwa-

gi społeczeństwa amerykańskiego jeszcze w czerwcu, kiedy w mieście odbywała się konwencja Partii Republikańskiej. Nominację uzyskał wtedy nieśmiały gubernator Kansas, Alf London, później zmiądzony w wyborach prezydenckich przez Franklina Delano Roosevelta.

208

Tymczasem Ness, zajęty zwalczaniem korupcji we władzach miasta, niespecjalnie interesował się falą morderstw. Człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo Cleveland pozwalał, by terroryzował je seryjny morderca. Kiedy 5 lipca delegaci opozycyjnej wówczas Partii Republikańskiej zaczęli zjeżdżać do miasta na konwencję, która miała się rozpocząć za trzy dni, przy torach kolejowych w Kingsbury Run znaleziono głowę odciętą od wytatuowanego ciała mężczyzny. Morderca bezczelnie ukrył je w krzakach doskonale widocznych z pobliskiego posterunku policji.

W niedzielne, wrześniowe popołudnie, gdy Bob Feiler, gwiazdor drużyny bejsbolowej Cleveland Indians, uzyskał siedemnaście zbić w meczu przeciwko Philadelphia Athletics, ponad pięć tysięcy gapiów zebranych wokół dołu ze ściekami obserwowało, jak nurek wydobywa na powierzchnię odcięte ręce i nogi ósmej ofiary Rzeźnika.

Burmistrz nakazał Nessowi zajęcie się sprawą. W „Cleveland Press” napisano: „Schwytnie jednego z najpotworniejszych morderców w historii wymaga nadzwyczajnych środków”.

Ness przydzielił do śledztwa dwudziestu detektywów; kilku z nich działało incognito w przebraniu bezdomnych. Poproszono o pomoc Scotland Yard. Nigdy wcześniej policja w Cleveland nie urządziła tak szeroko zakrojonego śledztwa. Przesłuchano dziesięć tysięcy potencjalnych podejrzanych, głównie silnych mężczyzn wykonujących zawód chirurga, lekarza, pielęgniarza bądź rzeźnika. Śledczy Pete Merylo w świetle księżyca przechadzał się w długich kałesonach po slumsach, aby „zwabić” mordercę, który jego zdaniem był homoseksualistą. Żadna z tych strategii nie przyniosła rezultatów. Do 1938 roku Rzeźnik z Cleveland zabił i poćwiartował dwanaścioro mężczyzn i kobiet.

W policyjne sieci zastawione przez Nessa wpadł w końcu poważny kandydat na mordercę, doktor Frank E. Sweeney, chirurg pochodzący ze znanej rodziny, kuzyn szefa lokalnych struktur Partii Demokratycznej. Doktor Sweeney, człowiek wydawałoby się niepozorny i elokwentny, był w rzeczywistości niezrównoważonym psychicznie, agresywnym alkoholikiem, którego porzuciła żona. Jako mężczyzna pokaźnej postu-

ry mógł poradzić sobie z ćwiartowaniem ofiar i transportem zwłok. Podejrzenia policji wzbudził fakt, że wielokrotnie opuszczał szpital w czasie 209

pokrywającym się z szacowanym momentem popełnienia niektórych morderstw. Nawet Ness obawiał się wybuchowej natury doktora Sweeneya, gdy zostawał z nim sam na sam.

Przecucia Nessa potwierdziły się, gdy Leonarde Keeler — również legenda kryminalistyki, wynalazca wykrywacza kłamstw — przybył z Chicago i poddał Sweeneya kilku testom na prawdomówność. Chirurg za każdym razem kłamał. Keeler stwierdził, że Sweeney jest „klasycznym przypadkiem psychopaty”. Szedł w ślady ojca, również alkoholika i skłonnego do przemocy schizofrenika, który ostatnie lata życia spędził w szpitalach psychiatrycznych. „Złapałeś swojego mordercę”, powiedział Keeler Nessowi.

Ness nie wiedział, co począć. Podobno był przekonany, że to Sweeney jest Rzeźnikiem z Cleveland, ale nie wierzył, że zdoła doprowadzić do skazania ustosunkowanego chirurga. Dwa dni później doktor Sweeney na własną prośbę został przyjęty do zakładu dla obłąkanych; resztę życia spędził w szpitalach. Niektórzy dopatrywali się w tym efektów umowy, którą Ness zawarł z jego wpływową rodziną. Morderstwa w Cleveland ustały, ale do podobnych zgonów dochodziło w innych częściach Ohio i w Pensylwanii.

Kariera Nessa legła w gruzach. Jego reputację i tak nadwyrężyły wcześniej oskarżenia o alkoholizm i uganianie się za spódniczkami (co tylko przyspieszyło rozpad jego małżeństwa). Niepowodzenia w ściganiu seryjnego mordercy, który terroryzował całe miasto, uczyniły go łatwym obiektem ataków polityków i prasy. W ten sposób doszło do upadku bohatera. Pewnej mroźnej zimowej nocy 1942 roku Ness został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska po tym, jak za dwadzieścia piąta nad ranem uciekł z miejsca wypadku, spowodowanego po całonocnym piciu i szwendaniu się po klubach. Niedługo potem zostawiła go druga żona, młoda modelka i studentka akademii sztuk pięknych. Ness, niegdyś cudowne dziecko walki z przestępczością, bez powodzenia próbował jeszcze swoich sił w biznesie w Nowym Jorku i Waszyngtonie, w końcu wyjechał do górskiej miejscowości Coudersport w Pensylwanii, gdzie upijał się z trzecią żoną i opowiadał w barach niestworzone historie o Alu Capone, w które mało kto wierzył. Jeden z jego przyjaciół z dawnych lat, dziennikarz

sportowy Oskar Fraley, mocno je podkoloryzował i wydał w zbeletryzowanej biografii Nessa zatytułowanej Nietykalni. Właśnie tej książce Ness zawdzięcza status legendy. Sam nie doczekał publikacji. W maju 1957 roku wrócił do mieszkania ze sklepu monopolowego zaopatrzonej w kolejną butelkę whisky i zmarł na atak serca przy zlewie w kuchni. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Mówiono, że Rzeźnik pozbawił życia jeszcze jedną osobę.

O „makabrycznych” morderstwach w Cleveland napisał reporter „New York Timesa”. W Filadelfii popełniano „tyle przedziwnych morderstw, że dla ofiar zaczyna brakować miejsca w kostnicy, a policjanci z wydziału zabójstw oraz lekarze sądowi marzą, aby choć na chwilę wyrwać się z pracy”. Zdumiewało go, że „podczas przerwy niektórzy z nich lubią słuchać opowieści o poćwiartowanych ofiarach mordercy z Cleveland”.

Aby dodać dramaturgii prezentacji sprawy przed Towarzystwem Vidocq, miało ją zreferować dwóch szanowanych policjantów reprezentujących całkowicie odmienne, konkurencyjne tradycje prowadzenia śledztwa. Kapitan filadelfijskiego wydziału zabójstw Frank Friel był detektywem starej daty i wyznawał rzetelną, dziewiętnastowieczną metodologię, która nakazywała szczegółową analizę miejsca zbrodni i wyczerpującą pracę w terenie. Jako drugi wystąpił profiler Richard Walter, należący do niewielkiej grupy pionierów, którzy odczytywali plamy krwi i wzory powtarzające się na miejscach zbrodni jak test Rorschacha. Niekiedy wydawało się, że potrafią w magiczny sposób zaglądać do umysłów morderców. W prezentacjach doszło do starcia między naturalnymi rywalami — dwiema dumnymi, upartymi osobami, które dziwnym zbiegiem okoliczności łączył szereg nie tylko fizycznych podobieństw: obaj byli wysocy, szczupli, charyzmatyczni i humorem maskowali gwałtowność charakteru.

Kiedy ze stołu zebrano pozostałości lunchu, Friel otworzył dyskusję. Kto był Rzeźnikiem z Cleveland? Uszcęśliwiony Fleisher liczył właśnie na takie zagadki kryminalne. Czy kolegium najwyższej klasy detektywów poradzi sobie lepiej od Eliota Nessa? Czy rozwiąże zagadkę amerykańskiego Kuby Rozpruwacza?

Dyskusja toczyła się wartko. Friel i kilka innych osób utrzymywali, że Ness słusznie skoncentrował wysiłki na poszukiwaniu podejrzanych wśród chirurgów i rzeźników, a więc osób wykonujących zawody wyma-

gające wprawy w rozcinaniu ciała.

— Cechą wyróżniającą napastnika było pozbawianie ofiar głów za życia — stwierdził Friel.

Agent departamentu skarbu Frank Dufner widział w morderstwach dzieło rozwścieczonego studenta.

— Czy w tamtym okresie ktoś oblał egzaminy na medycynie? — dociękał.

Jeden z policjantów zapytał, czy ktokolwiek brał pod uwagę, że morderstw mógł dokonać pracownik zakładu pogrzebowego, na co miałyby wskazywać odsączanie ciał z krwi.

Tak, potwierdził Friel, przesłuchano studentów medycyny i przedsiębiorców pogrzebowych.

— Głów siedmiu z dwunastu ofiar nie znaleziono — kontynuował Dufner. — Czy morderca zachował je jako trofea?

Friel nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Fleisher zapisał w notatniku: „grabarz, rzeźnik, ubojnia”. Kiedy prezentacja dobiegła końca, nabrał przekonania, że mordercą był Sweeney. „Leonarde Keeler wskazał na niego, a to rozstrzyga sprawę. Keeler był jednym z twórców wykrywacza kłamstw i posługiwał się tym urządzeniem po mistrzowsku”.

Kiedy kelnerzy zbierali talerze, głos zabrał Walter.

— Eliot Ness rzeczywiście miał na koncie kilka znaczących dokonań i do pewnego stopnia był bohaterem. Niemniej ta sprawa go przerosła, ponieważ w latach trzydziestych nie wiadano zbyt wiele o seryjnych mordercach. Oczywiście FBI wciąż ma w tej dziedzinie ogromne zaległości — dodał półgłosem, nachylając się w stronę słuchaczy — więc nie powinniśmy zbyt surowo oceniać poczynań Nessa.

Kilka osób zachichotało razem z Walterem.

Po pierwsze, już na początku Ness popełnił błąd, zawężając śledztwo do dużych, silnych mężczyzn oraz zawodów wymagających biegłości w posługiwaniu się nożem.

212

— Nie trzeba być rzeźnikiem, aby pokroić zwłoki na małe kawałeczki, albo przedsiębiorcą pogrzebowym, aby odsączyć je z krwi. Tak naprawdę każdy mógłby sobie z tym zupełnie spokojnie poradzić. Wystarczy chcieć — stwierdził, uśmiechając się gorzko. — Poza tym morderca nie musiał być ani dużym, ani silnym mężczyzną. Jako człowiek skromnej po-

stury mógł posługiwać się inteligencją. Ofiary wystarczyłoby upić, a mógłby z nimi zrobić wszystko, co tylko by chciał.

Po drugie, ciągnął Walter, doktor Sweeney, główny podejrzany Nessa, był kiepskim kandydatem na Rzeźnika właśnie z tych wszystkich powodów, które miały rzekomo przemawiać za jego osobą. Był agresywnym alkoholiczkiem i schizofrenikiem. Nawet jeśli czyniło go to skurwysynem, to nie musiało oznaczać, że był sadystą". Ze stanu, w jakim znajdowano ciała, wynikało jasno, że Rzeźnik z Cleveland był seryjnym mordercą o skłonnościach sadystycznych. Sweeney nie pasował do profilu.

— Istnieje zasadnicza różnica między człowiekiem, który od czasu do czasu zachowuje się agresywnie, jak Sweeney, a kimś, kto działa według określonego systemu, jak Rzeźnik — kontynuował Walter. — Aby sadysta mógł zaspokoić swoje najmroczniejsze żądze, musi wykonać szereg skomplikowanych czynności. Jest dobrze zorganizowany, przebiegły, przygotowuje plan, ale i potrafi go zmienić, gdy coś idzie nie po jego myśli.

Walter uważał, że kandydaturę Sweeney'a dyskwalifikował ponadto fakt, że morderstwa nie ustały po zamknięciu go w szpitalu psychiatrycznym.

— Policja nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, ale we wschodnim Ohio, a nawet w zachodniej Pensylwanii znaleziono ponad dwadzieścia poćwiartowanych ciał noszących wyraźne ślady ręki Rzeźnika — opowiadał Walter. — Morderstwa ustały dopiero w 1950 roku, gdy ów człowiek zmarł śmiercią naturalną, został zabity lub popełnił samobójstwo.

Zważywszy na niewielką wiedzę na temat seryjnych morderców, jaką dysponował Ness, Rzeźnik był maszyną do zabijania, której w zasadzie nikt nie mógł powstrzymać.

— Rzeźnik był sprytniejszy od Nessa i wielokrotnie to udowodnił. Zabójca czerpał seksualną rozkosz z podporządkowywania sobie ofiar, upokarzania ich i budzenia w nich strachu. Ta sama żądza kierowała

213

współczesnymi seryjnymi mordercami w rodzaju Teda Bundy ego czy Johna Waynea Gacy ego. Potrzeby sadysty niemal zawsze mają charakter seksualny i nic nie jest w stanie ich zaspokoić.

Bezdomni stanowili łatwy cel.

— Rzeźnik zwabiał ich do lasu, proponując alkohol, jedzenie, seks czy cokolwiek innego. Ten etap nazwiemy podstępem. Ofiara idzie do lasu i już nie wraca — ta część planu go podnieca. Sadysta czerpie przyjem-

ność nie tylko z tego, że kogoś zarąbie, ale satysfakcję musi mu sprawiać również oprawa, a jednym ze źródeł tej satysfakcji jest fortel. Później następuje moment, po którym nie ma już odwrotu. Rzeźnik odsłania przed ofiarą swoje prawdziwe oblicze. Konstruuje sytuacje, w których za każdym razem może odnosić zwycięstwo.

Podano deser.

— Owszem, zabierał ich głowy w charakterze trofeów, podobnie jak Bundy — podjął Walter.

W swojej kryjówce Bundy masturbował się przy głowach ofiar płci żeńskiej. Co robił z nimi Rzeźnik, tego się nigdy nie dowiemy, niemniej wykrwawianie ciał jest mocnym argumentem wskazującym na perwersyjne skłonności seksualne mordercy.

Kiedy kelnerzy podali kawę, Walter zachęcił członków stowarzyszenia, aby spróbowali sobie wyobrazić rozkosz, jaką morderca musiał odczuwać, kiedy w wodzie odsączał ciała z krwi.

— Woda potęguje rozkosz. Spróbujcie w domu włożyć rękę pod wodę i ścisnąć w niej gąbkę. Kiedy poczujecie, jak woda delikatnie muska włoski na waszych rękach, doświadczycie zmysłowej przyjemności. Takiej przyjemności, jaką odczuwał Rzeźnik. Silnej rozkoszy seksualnej.

Fleisher promieniował radością. Wreszcie spotkanie, które okazało się sukcesem. „Sherlock Holmes był wspaniałym detektywem, ale to postać fikcyjna. My istniejemy naprawdę”, chwalił się reporterowi „New York Timesa”. Towarzystwo Vidocqa przypominało jego zdaniem „kolegium detektywów. Nie znajdzie pan nigdzie grupy skupiającej bardziej przenikliwe umysły”.

Musieli jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Towarzystwo pozostanie klubem dyskusyjnym, w którym morderstwa omawia się dla

214

intelektualnej rozrywki, czy też detektywi otworzą się na rzeczywistość i zaczną rozwiązywać realne sprawy.

„Kiedy rozwikłacie jakiś prawdziwy przypadek?”, wypytywał Fleishera reporter „New York Timesa”.

Fleisher odparł, że sprawa Rzeźnika z Cleveland prawdopodobnie nie zostanie nigdy rozwiązana, niemniej po kilku spotkaniach był pewien, że będziemy rozwiązywać dziewięćdziesiąt procent przypadków, które do nas trafią. Chociaż nawet jeśli wszyscy na sali wiedzą, kto jest mordercą, to nie zawsze wystarcza, aby doprowadzić taką osobę przed oblicze wy-

miaru sprawiedliwości".

„Nie rozwiązaliśmy jeszcze żadnej sprawy, ale niedługo to nastąpi”, dodał.

Kiedy Fleisher zobaczył te słowa na łamach „New York Timesa”, gazety mającej miliony czytelników na całym świecie, pomyślał: „Oby tak się stało”.

„Bez wątpienia nie jest to zabawa amatorów ani klub szalonych miłośników Sherlocka Holmesa”, podsumował reporter.

— Trafnie opisał, kim nie jesteśmy — zażartował Walter. — Tylko kim u licha jesteśmy?

Rozdział 26

Błagania wznoszone do Boga

Na sali przygasły światła i oczom zebranych ukazały się twarze. Mimo dużego powiększenia wydawały się niezwykle młode i drobne. Obrazowi towarzyszyła spokojna muzyka uzupełniona staccato westchnień i jęków widowni. Każda kolejna twarz dziecka wzbudzała szloch, a na długim stole zapalała się świeca. W końcu cała sala pulsowała płomieniami, zupełnie jakby trwał w niej koncert — niemy, podniosły koncert, podczas którego rodzice błagali los lub Boga o jeszcze jeden utwór.

Emerytowany kapitan filadelfijskiej policji Frank Friel siedział na sali balowej hotelu Hilton w San Antonio w Teksasie. Palił papierosa za papierosem i bił się z myślami. W kieszeni jego marynarki spoczywała kartka z przemówieniem; w dłoniach trzymał Księgę Umarłych Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci (National Organization of Parents of Murdered Children, w skrócie PoMC). Otaczali go uczestnicy konferencji, ludzie o twarzach przeoranych żalem lub gniewem i zażawionych oczach przypominających kamienie wystające z nurtu potoku. Był czwartkowy wieczór 11 sierpnia 1991 roku. Friel przybył na doroczny zjazd PoMC. Nigdy wcześniej nie uczestniczył w podobnym zgromadzeniu. Podnosząc się z miejsca, Friel w duchu poprosił Boga o wsparcie. Miał przemówić do sali wypełnionej matkami i ojcami, wujkami i dziadkami zamordowanych dzieci. Bezmiar cierpienia tych ludzi przytłaczał go, nie pozwalając mu skoncentrować się na własnych myślach.

216

Po trzydziestu latach służby Friel sądził, że widział już wszystko. Jako policjant, a później kapitan wydziału zabójstw badał tysiące morderstw. Był jednym z dowódców Grupy Roboczej ds. Przestępczości Zorgani-

zowanej, wspólnego przedsięwzięcia filadelfijskiej policji i FBI. W latach osiemdziesiątych XX wieku zdołali niemal całkowicie wyplenić lokalną mafię. Friel mężnie przeciwstawił się okrutnemu bossowi Nicodemowi Scarfie, który uważał Friela za swoją nemezis. Osobiście prowadził śledztwo w sprawie zamachu bombowego na ojca chrzestnego filadelfijskiej mafii Philipa „Człowieka Kurczaka” Testę. Wybuch nastąpił 15 marca 1981 roku, kiedy Testa włożył klucz do zamka w drzwiach swojego domu przy Porter Street numer 2117 w południowej Filadelfii. W czwartym pod względem liczby ludności mieście Stanów Zjednoczonych Friel uchodził za jednego z najlepszych funkcjonariuszy. Były komisarz policji i burmistrz Frank Rizzo powiedział kiedyś: „W departamencie filadelfijskiej policji nie pełnił nigdy służby oficer śledczy lepszy od Franka Friela”. Odkąd dwa lata wcześniej odszedł na emeryturę, pracował jako konsultant do spraw bezpieczeństwa w Bensalem w hrabstwie Bucks oraz doradzał FBI i pierwszej lidze bejsbolowej w sprawach przestępczości zorganizowanej. Jeździł po kraju i oceniał standardy lokalnych wydziałów policji dla Narodowej Komisji Akredytacyjnej. Wykładał kryminologię na uniwersytetach Temple, St. Joseph i LaSalle.

Zjazd PoMC był nowym doświadczeniem. Stowarzyszenie liczyło sto tysięcy członków, miało filie w większości stanów i w najróżniejszy sposób pomagało poszkodowanym rodzinom. Sama konferencja wydawała się Frielowi surrealistycznym przedsięwzięciem. Na seminariach i w rozmowach kularowych, podczas posiłków i bankietów uczestnicy słuchali rad specjalistów i wymieniali się doświadczeniami, jak poradzić sobie z taką tragedią. Z niedbałymi, nieudolnymi lub skorumpowanymi policjantami i prokuratorami. Z pazerną prasą. Z systemem sądownictwa, który szlachetnie troszczy się o konstytucyjne prawa morderców, ale nie dba o pamięć zamordowanych dzieci ani los ich rodziców. Z odwracającymi się od nich przyjaciółmi, sąsiadami i parafianami. Z ukradkowymi spojrzeciami mówiącymi: „Coś takiego nie zdarza się porządnym dziewczynkom 217

i chłopcom”. Z psychologami, którzy nie umieją wytłumaczyć sensu zła, a przez to nie potrafią ich naprawdę pocieszyć.

Friel zrozumiał straszliwą prawdę, o której nikt nie mówił głośno. Od 1960 roku, kiedy jako osiemnastolatek wstąpił do policji, zamordowanych zostało ponad pięćset tysięcy Amerykanów — to prawie dziesięciokrotnie więcej niż liczba żołnierzy, którzy zginęli podczas wojny w Wietnamie,

i niemal tyle, ile wynosiła liczba amerykańskich ofiar w wojnie secesyjnej i w drugiej wojnie światowej. Była to najpoważniejsza batalia, jaką toczyło społeczeństwo — niestety dysponowało niewystarczającymi siłami. Wydziały policji w dużych miastach były sparaliżowane potokiem nowych śledztw. Funkcjonariusze nie mieli czasu, aby porządnie wykonywać obowiązki, dlatego koncentrowali się na sprawach łatwych do rozwiązania i odpuszczali trudniejsze. Typowy wydział policji był zdaniem Friela całkowicie niewydolną machiną biurokratyczną. Oficerowie śledczy połowę czasu spędzali przy biurkach, wypełniając niepotrzebne dokumenty. „Upokarzające wojny o wpływy różnych jednostek” pochłaniały uwagę policjantów wszystkich szczebli i uniemożliwiały współpracę agentów działających na poziomie miejskim, stanowym i federalnym. W rezultacie „ulice są mniej bezpieczne niż powinny, a śledztwa — niekiedy dotyczące naprawdę poważnych przestępstw — które można byłoby zakończyć, nie są kończone”. Skutek? Trzydzieści procent morderstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych pozostaje niewyjaśnionych. Inaczej mówiąc, za życia jednego pokolenia sto tysięcy Amerykanów popełniło morderstwo zupełnie bezkarnie.

Friel znał doskonale te statystyki, ale ich znaczenie pojął dopiero na konferencji, gdy zobaczył „Ścianę Morderstw”. W głównym holu przygotowano prostą ekspozycję zawierającą fotografie i plakaty przedstawiające historie stu dwudziestu ofiar. Friel przebiegł oczami po twarzach zabitych: nie byli to handlarze narkotyków, członkowie gangów ani opisywane szeroko w prasie ofiary Nocnego Łowcy z Los Angeles lub Zabójczego Clowna z Chicago. Dwudziestotrzyletni student medycyny z Chicago. Trzydziestoczteroletni prawnik z Michigan. Dwie dziewczynki z Minnesoty, które poszły po szkole do sklepu i nie wróciły już do domu. Zwykli amerykańscy chłopcy i zwykłe dziewczyny — ofiary brutalnych morderstw.

218

Friel obserwował rodziców, którzy z pochylonymi głowami podchodzili pośpiesznie do Ściany Morderstw. Zostawiali przy niej liściki i kwiaty, jak to się normalnie robi przy pomnikach żołnierzy poległych na wojnie. Przygnębieni, niewidzialni dla społeczeństwa. Na korytarzach i seminariach powtarzali: „Nie pozwólcie, aby morderca mojego dziecka zabił kogoś jeszcze”. Friel zrozumiał wtedy, że nie podjęto próby oszacowania liczby ludzi, którzy ucierpieli wskutek morderstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych, tych setek tysięcy rozpaczliwie poszukujących ukojenia, mimo

że doskonale zdawali sobie sprawę, że go nigdy nie znajdą. Oni wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy policja wreszcie zamknie śledztwo w sprawie morderstwa ich dziecka. Jakże nienawidzili określenia „zamknięcie śledztwa”, zauważył Friel. Wiedzieli, że ono nigdy nie nastąpi. „odeszła tylko jedna osoba — napisali na ścianie rodzice Jamesa Charlesa Kallagera — ale i tak świat stał się pusty”.

Friel nie pamiętał nic z odczytu, który wygłosił tamtego wieczoru.

W drodze powrotnej do Filadelfii uświadomił sobie, że dane mu było zajrzeć pod powierzchnię zjawiska przestępczości, do tej czeluści, gdzie codzienne cierpienia ofiar osiągały nieludzki, niezrozumiały dla innych poziom.

— To rzeczywista tragedia, z którą zмага się nasz kraj — mówił do Fleishera i pozostałych członków Towarzystwa Vidocq'a podczas jednego z lunchów. — Czy mając świadomość ogromu tych cierpień, można pozostać bezczynnym? W Stanach żyje wiele osób, które potrzebują naszej pomocy.

Wtedy zrozumieli, na czym ma polegać misja Towarzystwa Vidocq'a.

Rozdział 27

Koniec pewnego romansu

Bender, pokryty gipsowym pyłem po całej nocy spędzonej w pracowni, westchnął głęboko i podniósł słuchawkę. Jan jeszcze spała. Joan pomogła mu dokończyć popiersie i teraz sprzątała. Na widok wstającego światła ogarnęło go radosne podniecenie — w takich chwilach miał poczucie, jakby ubywała mu połowa z pięćdziesięciu dwóch lat. Chwilę później słuchawkę wypełniła seksualna energia i dominująca osobowość dwudziesto-kilkuletniej Laury Shaughnessy.

Laura była wściekła, ponieważ nie rozstał się jeszcze z żoną. Próbował dać jej do zrozumienia, że to niemożliwe, a jednocześnie nie doprowadzić do zerwania. Żądała, aby zostawił Jan oraz Joan i w końcu się ustatkował. Próbowała z niego zrobić monogamicznego mężczyznę. Bender zaczął zwracać się do niej per Sierżancie.

Nie przestali się spotykać. Nadal uprawiali seks. „Szkoda byłoby zakończyć taką znajomość”, przekonywał. Jednocześnie wygłaszał opinie w rodzaju: „Nie jestem pewien, czy to wszystko ma sens”. Powoli się od niej oddalał. Jesień 1991 roku przyniosła renesans uczuć do Jan i Joan. Laura wystawiała jego cierpliwość na ciężką próbę. „Była naprawdę uroczą. Spędziliśmy razem wiele wspaniałych chwil, ale miałem poczucie, że

ten związek mnie ogranicza, że odbiera mi wolność. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić", wyjaśnił Bender. Po krótkim zastanowieniu dodał: „Nie byłem gotowy, żeby zostawić dla niej Jan. Nie byłem gotowy, żeby zostawić dla niej Joan. Te dwie kobiety odgrywają w moim życiu niezwykle

ważną rolę. Właśnie w takich chwilach próby człowiek uświadamia sobie, jak wiele znaczą w jego życiu pewni ludzie".

„Im większa przyjemność, tym wyższą cenę trzeba później zapłacić", stwierdził z żalem. Rachunek za dwuletni romans miał przyjść wkrótce.

Laura miała taki głos, jakby chwilę wcześniej płakała.

— Kenny jest załamany — mówiła. — Ciągłe opowiadał o tej swojej Rosjance, Zoi, a teraz dziewczyna zniknęła. Była jego narzeczoną, naprawdę ją kochał. Strasznie mi go żal. To wrażliwy facet i jest teraz w rozsypce.

— Nie tak szybko! — przerwał jej Bender. — Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Laura wyjaśniła, że chwilę wcześniej zadzwonił do niej jeden z jej najlepszych przyjaciół, jeszcze ze szkoły średniej w New Jersey, okulista Kenny Andronico. Powiedział, że jego narzeczoną, Zoja Assur, zaginęła. Dziewczyna mieszkała wcześniej u swojej siostry w New Jersey, a jakiś czas temu przeprowadziła się do niego na Florydę.

Zoja nie dawała znaku życia od dwóch tygodni. Policjanci uspokajali Kenny'ego. Ludzie znikają i po jakimś czasie się odnajdują, mówili. On jednak wiedział, że stało się coś niedobrego. Byli razem od pięciu lat, Zoja dostała od niego piękny naszyjnik i planowali wziąć ślub. Przerazony, że dziewczynę spotkało nieszczęście, Kenny zupełnie się rozkleił podczas rozmowy z Laurą.

— Zoja zaginęła i Kenny prosi o twoją pomoc, Frank... Masz przecież znajomości w Towarzystwie Vidocq'a, w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki i Nierozwiązanych sprawach kryminalnych.

Bender przypomniał sobie nagle, że miał okazję poznać Kenny'ego Andronico. Laura przedstawiła ich sobie poprzedniego lata na dworcu kolejowym w New Jersey. Bender i Laura przyjechali właśnie pociągiem z Filadelfii — zamierzali spędzić romantyczny weekend w jej rodzinnej posiadłości. Na parkingu natknęli się na ociężałego wielkoluda z wąsami w sportowej marynarce. Laura z wielką wylewnością przedstawiła kochankę staremu przyjacielowi, ale Kenny wyraźnie nie podzielał jej entuzjazmu. „Uścisnął mi dłoń i coś tam wymamrotał pod nosem. Wyraźnie był o nią

zazdrosny. Miałem wrażenie, że nie akceptuje naszego związku".

221

Bender westchnął. Chciał pomóc Laurze, ale dobrze pamiętał mroczny, zaborczy charakter Kenny'ego. Przyszła mu również do głowy niepokojąca myśl, że Laura próbuje wplątać go w kłopoty przyjaciela, aby przedłużyć ich związek. Nie potrafił się wszakże oprzeć błagalnemu tonowi jej głosu. Wzruszyła go jej troska o przyjaciela. Lubił Laurę i postanowił jej pomóc. Miał poczucie, że jest jej to winien.

— Zrobię, co w mojej mocy — powiedział. — Powiedz Kenny'emu, żeby do mnie zadzwonił.

Laura serdecznie mu podziękowała. Doktor Andronico nie marnował czasu i zadzwonił jeszcze tamtego wieczoru.

W słuchawce odezwał się śmiały, stanowczy głos.

— Czołem, Frank. Jak się masz, stary?

Bender zamarł. „Ledwie się znaliśmy, a tu nagle zostałem jego kumplem?" Natychmiast zapaliła mu się w głowie czerwona lampka.

— Frank, potrzebuję twojej pomocy — przeszedł do rzeczy Kenny. W jego głosie pojawiła się błagalna nuta. — Moja narzeczona zniknęła. Policja nie ma pojęcia, co się z nią stało, a ja odchodzę od zmysłów. Laura wspominała, że jesteś najlepszym na świecie artystą od rekonstrukcji twarzy i pracujesz z najwybitniejszymi detektywami. Proszę, pomóż mi. Bender zachował spokój.

— Zrobię, co w mojej mocy, Kenny. Znasz kogoś, komu mogłoby zależać na śmierci Zoi?

— Mieszkała kiedyś z siostrą, a w ich rodzinie dochodziło do poważnych konfliktów.

Kenny wyjaśnił, że szwagier Zoi, sierżant w policji stanowej, kiedyś z nią sypiał — pod własnym dachem uprawiał seks z siostrą żony. Kenny wyraził przypuszczenie, że policjant mógł być zamieszany w zniknięcie jego narzeczonej.

— Wiesz coś więcej na jego temat? — wypytywał Bender. — Został przesłuchany? Zrobiono mu badanie wykrywaczem kłamstw?

Owszem, potwierdził Kenny, ale nie wykryto nic podejrzanego.

— Rozumiem. W takim razie proponuję następujący układ. Sam poddasz się badaniu wariografem, a jeśli wszystko będzie w porządku, to ci pomogę.

222

— No co ty! — wybuchnął Kenny. Podniósł głos niemal do krzyku. — Jestem twoim dobrym znajomym!

— Nie jesteś moim dobrym znajomym, Kenny. Jesteś przyjacielem Laury, ale ja cię praktycznie nie znam. Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł, musisz się poddać temu badaniu.

Andronico milczał.

— Współpracuję z dwoma najlepszymi specjalistami od wariografu na świecie, Billem Fleisherem i Nateem Gordonem. Obaj mieszkają w Filadelfii. Obaj, podobnie jak ja, są członkami Towarzystwa Vidocq, grupy detektywów, która pro publico bono analizuje nierozwiązane sprawy kryminalne.

Podyktował Kenny emu numer telefonu Fleishera.

— Zadzwoń do Billa i umów się na spotkanie. Za badanie wykrywaczem kłamstw będziesz musiał zapłacić jakieś czterysta, pięćset dolarów. Chciałbym ponadto, abyś zadzwonił do mojego przyjaciela Richarda Waltera, który zajmuje się tworzeniem profili psychologicznych przestępców. Nie znam nikogo, kto mógłby ci powiedzieć więcej o tym, co mogło się przydarzyć Zoi.

Podał Kenny emu także numer telefonu Waltera.

Andronico wymruczał, że do nich zadzwoni.

— Słuchaj, Kenny... przejdiesz pomyślnie badanie wykrywaczem kłamstw?

— Myślę, że tak.

— Myślisz, że tak?! — wybuchnął Bender. — Na litość boską! Jeśli przejdiesz badanie wariografem, chętnie ci pomogę. W przeciwnym razie, a jeżeli mnie teraz bezczelnie okłamałeś, dowiem się tego od Billa, będę cię ścigał, póki mi starczy tchu.

Wieczorem 28 listopada 1991 roku, w Święto Dziękczynienia, Richard Walter znajdował się w swoim domu. Wrócił właśnie z podróży służbowej do Hongkongu i Sydney. Lada chwila miał wyjść do przyjaciół na świąteczny obiad. Kiedy zadzwonił telefon, stał w holu przed złotym wiktoriańskim lustrem, wiążąc czerwony krawat.

223

Posłał w stronę urzędnika przeciągłe spojrzenie i pomyślał, że jeżeli brzęczenie nie ustanie, może się to dla aparatu skończyć tragicznie. Niezwykle czuły słuch Waltera pomagał mu w śledztwach — słyszał szepty podejrzanych, których nie wychwyciłoby zwykle ucho, a podczas przesłu-

chań potrafił rozpoznać drobne oznaki strachu, na przykład przyspieszony oddech — niemniej jednak z wiekiem coraz więcej dźwięków raniło jego uszy. Nie znosił, gdy osoba, z którą rozmawiał przez telefon, coś przeżuwała. Na odgłos młaśnień towarzyszących żuciu gumy lub rozchrupujących ciastek natychmiast się rozłączał.

Przypadłość ta była podobno efektem przeciążenia sensorycznego, typowego dla osób chłonących jednocześnie ogromne dawki informacji. Zdaniem jego lekarza starzejące się ucho traci niekiedy zdolność do ignorowania irytujących dźwięków.

Walter nie mógł się doczekać, kiedy zasiądzie przy stole z przyjaciółmi, aby uczcić mijający rok butelką chardonnay. Któż miał czelność mu w tym przeszkodzić i poddawać torturom jego uszy? Podniósł słuchawkę. — Tak? — krzyknął.

W pierwszej chwili miał wrażenie, że słyszy jakiegoś telemarketera.

Nie kojarzył przymilnego głosu i miał już odłożyć słuchawkę, gdy zdał sobie sprawę, że rozmówca prosi go o pomoc. To wzbudziło w nim tylko jeszcze silniejszy gniew, a zarazem podejrzliwość.

— Jaki doktor?

— Frank powiedział, że jeśli chcę rozwiązać sprawę zaginięcia narzeczonej i oczyścić się z podejrzeń, powinienem zadzwonić do Richarda Waltera — nie ustępował rozmówca. — Dowiedziałem się, że jest pan jednym z najlepszych profilerów i może mi pan udzielić cennych wskazówek. Dopiero po chwili Walter poskładał w myślach strzępki informacji: dzwonił doktor Kenneth Andronico, okulista z Florydy, którego dziewczyna Zoja Assur zaginęła w New Jersey. Policyjne śledztwo utknęło w martwym punkcie, a doktor prosił o pomoc, ponieważ obawiał się, że doszło do przestępstwa. Jakiś czas wcześniej Bender poinformował Waltera, że może do niego zadzwonić „dobry przyjaciel jednej z jego dziewczyn”. Wyjaśnił, że Kenny to zdeorientowany, zrozpaczony facet, który potrzebuje kilku rad.

224

Frank!

— Czy może mi pan poświęcić chwilę? — błagał Andronico.

Walter skrzywił się z niechęcią. Od pierwszej chwili z jakiegoś powodu czuł niechęć do ośliźlego, manipulatorskiego głosu. Zerknął na zegarek: za pięć siódma. Spóźni się na kolację w dniu Święta Dziękczynienia.

— No dobrze, słucham — powiedział.

Walter słuchał opowieści Andronica — o zaginięciu Zoi, podejrzaniach wobec szwagra oraz o nieudolności policji — z coraz bardziej pochmurną miną. Okulista wcale nie sprawiał wrażenia zdezorientowanego i zrozpaczonego chłopaka. Wcześniej prosił już o pomoc byłego agenta FBI z Florydy, teraz skontaktował się z Benderem i Walterem, chcąc wciągnąć w sprawę Towarzystwo Vidocqa. „To nie ma sensu”, myślał Walter. „Tkwi w tym po uszy i wyjeżdża z jakimiś niestworzonymi teoriami”. Po kilku minutach przerwał monolog okulisty. Podobnie jak Bender, oświadczył, że powinien poddać się badaniu wykrywaczem kłamstw u Richarda Fleishera, przewodniczącego Towarzystwa Vidocqa.

— Młody człowieku, przedstawiłeś mi najróżniejsze podejrzania i najwyraźniej nie możesz usiedzieć spokojnie na miejscu, ale — prawdę powiedziawszy — jako osoba niewiarygodna sam jesteś głównym podejrzanym. Nie zamierzam zajmować się tą sprawą, dopóki nie poddasz się badaniu — oświadczył Walter i odłożył słuchawkę.

W drodze na przyjęcie nie potrafił rozstrzygnąć, kto się bardziej w tej sprawie pogubił: okulista, którego Walter podejrzewał o zamordowanie narzeczonej, czy też jego rozwiązyły współpracownik Bender, który najwyraźniej twórczo rozwijał ideę błędnego rycerza.

„Mówi się, że niektórzy ludzie mają prezydenturę na wyciągnięcie ręki. Wystarczy zaangażować Franka, a człowiek znajdzie się na wyciągnięcie penisa od morderstwa”, pomyślał.

Rozdział 28

Złap mnie, jeśli potrafisz

Doktor Kenneth Andronico, postawny, wąsaty okulista, siedział w pokoiku bez okien i trząsł się jak galareta. Był w lepszym położeniu niż jego naręczona Zoja Assur, którą znaleziono w płytkim grobie w lesie Pine Barrens w stanie New Jersey — ale stanowczo nie miał się czego cieszyć. Wyrazista, szeroka w dolnej części twarz doktora Andronica nabrała żółtawego odcienia w jasnym świetle lamp. Kenny nie chciał spojrzeć w oczy przesłuchującym; jego źrenice krążyły nieustannie, jakby szukały drogi ucieczki. Na to akurat nie mógł liczyć. Na ramionach zawiązano mu opaski, a do czubków palców przymocowano czujniki. Gumowe rurki pneumografu oplatały jego klatkę piersiową i brzuch. Z miejsca, w którym siedział, nie mógł zobaczyć drzwi. W ogóle niewiele widział poza przytłaczającym cieniem rzucanym przez mur dwóch cielsk wybitnych specjalistów od wariografu, Fleishera i Gordona. Pochylali się nad nim, opierając

na stole wielkie dłonie z równo obciętych paznokciami, i spokojnie zadawali kolejne pytania.

Gordon zaczął od standardowej rozgrzewki.

— Jak twoim zdaniem wypadniesz w badaniu wykrywaczem kłamstw?

— Myślę, że poradzę sobie z tą maszynką — odparł Andronico.

Gordon uśmiechnął się pod nosem. „Skąd wytrzasnęliśmy tego delikwenta? No to do dzieła”.

*

226

Helikoptery, psy i ekipy poszukiwawcze od sierpnia przeczesywały każdy centymetr kwadratowy Pine Barrens.

Cztery miesiące później, w grudniu 1991 roku, pewien myśliwy natknął się na zwłoki Zoi Assur w płytkim grobie wykopanym w sosnowym lesie, jednym z zachowanych fragmentów pierwotnej puszczy Wschodniego Wybrzeża. Za sprawą zwierząt i wilgoci nadbrzeżnego piasku, w którym została pogrzebana, z ciała dziewczyny został w zasadzie sam szkielet, niemniej szczątki wystarczyły lekarzowi sądowemu z hrabstwa Ocean do ustalenia przyczyny śmierci. Zoja została trzykrotnie postrzelona w klatkę piersiową. Jedna z kul przeszła serce.

James Churchill, główny oficer śledczy prokuratury hrabstwa Ocean, zawyrokował, że Assur cierpiała na depresję i popełniła samobójstwo nieopodal miejsca, gdzie jej siostra zginęła po upadku z konia siedem lat wcześniej. Fleisher i Gordon ocenili dochodzenie przeprowadzone przez policję jako śmiechu warte.

Wsiedli do samochodu z Joe O'Kane'em i Frankiem Benderem i jako czteroosobowa reprezentacja Towarzystwa Vidocq'a przejechali sto dwadzieścia kilometrów w kierunku zalesionych okolic rzeki Toms w stanie New Jersey, aby na własne oczy obejrzeć miejsce, w którym znaleziono ciało. Mieli nadzieję, że były agent Urzędu Celnego, agent FBI, mistrz obsługi wariografu oraz słynący z intuicji artysta dostrzegą jakąś wskazówkę, która uszła uwagi policji.

„To niewyobrażalne, co udało nam się znaleźć”, wspominał Bender.

Mimo że grób został przeszukany wcześniej przez policję, odkryli w nim fragmenty ubrań Zoi, a nawet kawałek jej paznokcia. Fleishera jeszcze bardziej zaskoczył fakt, że ciało leżało w odległości półtora kilometra od drogi. Osobliwy był również typ broni, z której dziewczyna rzekomo się zastrzeliła, oraz jej lokalizacja względem ciała. Był to ciężki niemiecki

HK P7, ośmiostrzałowy pistolet samopowtarzalny. Znalaziono go osiem metrów od ciała. W torebce.

— No to wszystko jasne — stwierdził ironicznie Fleisher. — Ta drobna dziewczyna, słabowite chucherko, przedziera się przez półtora kilometra gęstych zarośli. Ma przy sobie pistolet, z którego nie potrafiłaby wystrzelić. Aby wdusić spust P7, potrzebny jest nacisk co najmniej pięciu

227

i pół kilograma, a ona musiałaby dodatkowo odwrócić broń do siebie. W żadnym wypadku nie zdołałaby nacisnąć spustu pod tak niewygodnym kątem.

Aby zweryfikować swoje przekonanie, Fleisher poprosił później Jan Bender (która budową ciała przypominała Zoję), aby spróbowała strzelić sobie w pierś z identycznego pistoletu — oczywiście po uprzednim wyjęciu magazynka. Jan, ubrana na wszelki wypadek w kamizelkę kuloodporną, nieudolnie wycelowała P7 w swoją klatkę piersiową i trzymając pistolet obiema rękami, przez kilka minut usiłowała nacisnąć spust. Bez skutku.

Dopiero gdy wycelowała pistolet w ramię, próba się powiodła.

Ze wzrokiem utkwionym w miękkim piasku Pine Barrens Fleisher kontynuował wywód.

— Mamy zatem uwierzyć, że Zoja strzeliła sobie w klatkę piersiową, znalazła siłę, by uczynić to jeszcze dwukrotnie, trafiając tym razem w serce, następnie włożyła pistolet do torebki i odniosła ją na odległość niemal dziewięciu metrów.

— Jeżeli to było samobójstwo — podsumował z uśmiechem — to Gordon jest Elvisem Presleyem.

W drodze powrotnej do Filadelfii Fleisher zrobił przystanek u wróżki, która rzekomo posiadała jakieś informacje na temat tej sprawy. Kiedy byli już w jej kuchni, kobieta zamknęła oczy i wyszeptała, że duch Zoi Assur znajduje się między nimi, ale ze strachu nie chce nic powiedzieć.

— Nie ma powodów do obaw, Zoja, możesz nam zaufać — oświadczył łagodnie Fleisher. Wyciągnął dłoń i wykonał w powietrzu gest, jakby uspokajająco głaskał ducha po ramieniu lub po głowie.

Ale tego wieczoru zaświaty nie były skłonne do współpracy.

Wrócili do samochodu i ruszyli przez skąpane w księżycowej poświacie równiny stanu New Jersey. Bender miał poczucie, że jeszcze nigdy nie bawił się tak dobrze w gronie kolegów z Towarzystwa Vidocq. Dobrze im się pracowało w czwórce. W pewnej chwili O'Kane wybuchnął śmiechem.

— Zdajesz sobie sprawę, Bill, że wspomnienie wieczoru, kiedy popieściłeś ducha, zostanie z tobą na zawsze?

O'Kane najwyraźniej również nie potrafił wyrzucić tego obrazu z pamięci i co chwila powtarzał: „Popieściłeś ducha!”.

228

Chwilę później z czerwonego jak burak Fleishera zrywała boki cała trójka. W końcu śmiechem parsknął on sam.

— A może Bill ją wystraszył?

Kiedy Fleisher i Gordon szykowali się do poddania Kennetha badaniu wariografem, Bender wyprowadził z pomieszczenia Laurę. Dziewczyna była zrozpaczona. „Nie powinnam była cię w to wciągać!”, krzyczała wcześniej w samochodzie. Bender i jego znajomi z Towarzystwa Vidocq'a próbowali udowodnić, że mordercą jest jej dobry przyjaciel. Nie potrafiła uwierzyć, że Kenny byłby zdolny do zabicia narzeczonej.

Widząc, że Fleisher i Gordon panują nad sytuacją, Bender uśmiechnął się szeroko.

— Idziemy z Laurą coś przekąsić — oświadczył.

„Tak to już jest z Frankiem. Próbujemy rozwikłać tajemnicę morderstwa, a on robi sobie przerwę na schadzki”, zaśmiał się Fleisher.

Fleisher i Gordon przystępowali właśnie do przesłuchania człowieka podejrzanego przez nich o popełnienie morderstwa, który wpadł w ich ręce tylko dzięki romansowi Bendera. Fleisher wpatrywał się w nieruchome spojrzenie doktora Andronica. „Kiedy ten człowiek patrzy w lustro, widzi mordercę swojej dziewczyny”, pomyślał Fleisher.

Andronico sprawiał wrażenie zaskakująco pewnego siebie, kiedy podłączali go do wykrywacza kłamstw. Oświadczył, że przyleciał do Filadelfii specjalnie, by poddać się testowi i wykluczyć się z grona podejrzanych. Być może wtedy Towarzystwo Vidocq'a pomoże mu znaleźć mordercę narzeczonej.

„Zgodził się poddać testowi, ponieważ uważa się za dostatecznie przebiegłego, by oszukać zarówno was, jak i maszynę”, ostrzegął wcześniej Fleishera Walter. Po obejrzeniu miejsca zbrodni dokończył profil psychologiczny Andronica. Użycie broni palnej i porzucenie ciała Assur, jakby była odpadkiem, potwierdzało jego przypuszczenia, że ma do czynienia z mordercą spragnionym władzy, charakteryzującym się psychopatycznym poziomem arogancji.

Andronico również nie wierzył w samobójstwo narzeczonej. Podejrze-

wał szwagra Zoi, sierżanta policji stanowej, który miał z nią kiedyś romans.

229

Znaleziony na miejscu zbrodni P7 był jego służbową bronią. Mimo to policja wykluczyła sierżanta z grona podejrzanych, podobnie Towarzystwo Vidocqą było przekonane o jego niewinności.

Walter drwił z podejrzeń rzucanych przez okulistę.

— Łatwo wykazać, że sam miał motyw. Odkrywa, że jego dziewczyna sypia z żonatym mężczyzną. Wpada w szal, zwłaszcza że chodzi o jej szwagra, a schadzki odbywają się w domu jej siostry. Okulista obsesyjnie pragnie kontrolować relacje z innymi. Nie potrafi sobie wyobrazić, że to jego ktoś może rzucić. Kto go w ten sposób znieważy, musi zostać usunięty.

Policja stanowa wykreśliła Andronica z listy podejrzanych. W świetle prawa był niewinny. „W jakim celu zatem się do nas zgłosił? Dlaczego miałby lecieć dwa i pół tysiąca kilometrów i płacić za badanie wykrywcem kłamstw? Aby dowieść swojej niewinności kilku prywatnym detektywom, którzy mogą w rezultacie dojść do całkowicie przeciwnego wniosku?“, pytał Walter. „Uważa się za spryciarza, oto dlaczego. Wyprowadzenie zawodowców w pole sprawi mu przyjemność. Pragnie ekscytacji i poczucia sprawowania kontroli, jakich doświadczył w chwili morderstwa. Prowadzi z nami niebezpieczną grę z gatunku: złap mnie, jeśli potrafisz“. Andronico zgodził się na sfilmowanie badania i zaprezentowanie nagrania Towarzystwu Vidocqą oraz w programie Dana Rathera 48 godzin. Ekipa stacji CBS miała dodatkowo zarejestrować przebieg najbliższego spotkania Towarzystwa, na którym planowano omówienie sprawy samobójstwa lub śmierci Assur oraz ewentualnego udziału okulisty.

Walter był przekonany, że Kenny zabił swoją narzeczoną, podrzucił na miejsce zbrodni broń jej szwagra — aby w ten sposób pozbyć się również jego — i zwiódł policję, czyli zainscenizował morderstwo, wrobił sierżanta, zatarał ślady, a teraz jednym makiawelicznym posunięciem próbował wyprowadzić w pole Towarzystwo Vidocqą i serwis informacyjny stacji CBS. Po kilku minutach od rozpoczęcia badania Andronico przestał panować nad emocjami. Wskazówki wariografu oszalały; Kenny poczerwieniał na twarzy, zaczął szybciej oddychać, nerwowo się rozglądał, dygotał. Po wielkiej, napęczniałej niczym bakłażan twarzy zaczęły spływać strużki potu, jakby znajdował się w saunie.

230

Fleisher i Gordon nie mieli w swojej karierze do czynienia z wieloma

równie dobrymi oszustami. Doktor Andronico doskonale pamiętał, co robił o każdej godzinie dowolnego dnia. „Kiedy jednak zapytaliśmy, gdzie znajdował się w dniu, kiedy zniknęła jego narzeczona, niespodziewanie zrobił się nerwowy i nie potrafił udzielić precyzyjnej odpowiedzi”, opowiadał Gordon.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Zoją?

— Na dzień przed jej śmiercią, w niedzielę wieczorem, 10 sierpnia — odparł doktor Andronico.

Rozmawiali przez telefon. „Obiecał, że przyjedzie po nią w poniedziałek rano”, powiedział „Atlantic City Press” ojciec Andronica. Teraz Kenny utrzymywał, że nie pojechał do New Jersey, i obstawał przy swoim alibi. W niedzielę, kiedy Zoja zniknęła, miał przebywać na Florydzie w nadmorskim domku letniskowym swojego ojca, ponad tysiąc pięćset kilometrów od New Jersey. Ojciec potwierdził jego wersję wydarzeń.

Fleishera to nie przekonało. Przed rozpoczęciem badania sprawdził połączenia lotnicze między Florydą a Filadelfią oraz odległość dzielącą filadelfijskie lotnisko od wybrzeża New Jersey i doszedł do wniosku, że doktor Andronico mógł spokojnie w ciągu jednego dnia popełnić morderstwo i wrócić na Florydę. „To nie dowód, że ją zamordował, ale przynajmniej wiemy, że miał taką możliwość”, powiedział. Fleisher przycisnął zatem doktora w sprawie alibi. Wykresy wariografu wskazywały, że Andronico kłamie. „Dlaczego niewinny człowiek miałby kłamać na temat swojego alibi?”, pytał retorycznie Fleisher.

Fleisher i Gordon przeprowadzili tamtego popołudnia trzy badania wykrywaczem kłamstw. W każdym z nich Andronico uzyskał jednoznacznie negatywny wynik. Jego odpowiedzi dotyczące morderstwa i alibi składały się głównie z kłamstw. Dodatkowo przebadany został także ojciec doktora — on również kłamał w sprawie alibi syna.

„Było to klasyczne oszustwo. Żałuję, że za każdym razem nie mam do czynienia z tak czytelnymi wykresami”, opowiadał później Fleisher.

Wytracony z równowagi Andronico stwierdził nawet w pewnej chwili:

„muszę popracować nad swoją wersją wydarzeń”.

231

Nie przyznał się jednak do morderstwa. Walter uważał, że pokrętny umysł psychopaty musiał odczuwać ekscytację. Wygrywał.

Wyemitowany 17 maja 1992 roku odcinek prowadzonego przez Dana RATHERA programu 48 godzin nosił tytuł Morderstwo na lunch i poświęcony

był Towarzystwu Vidocqa.

Korespondent stacji CBS Richard Schlesinger, opisawszy okoliczności śmierci dwudziestosiedmioletniej Zoi Assur, narzeczonej okulisty, postawił pytania: „Czy było to samobójstwo? A może morderstwo?”. „Spotkanie odbywa się w sali urządzonej w stylu kolonialnym, ale jego tematem jest zbrodnia”, mówił. „Dziś osiemdziesięciu dwóch członków Towarzystwa spróbuje przed podaniem deseru rozwikłać tajemnicę pewnego morderstwa”.

Już przy przystawce zebrani na sali detektywi stwierdzili zgodnie, że śmierć Zoi była „bez wątplenia morderstwem”, niemniej kilka osób oświadczyło, że nie potrafią na razie wskazać ani podejrzanego, ani motywu. Walter, Bender i Fleisher przedstawili swoją hipotezę, która głównym podejrzanym czyniła doktora Andronica. Opisali między innymi wyniki badania wykrywaczem kłamstw. Sam Andronico nie przyjął zaproszenia na spotkanie Towarzystwa.

Schlesinger nie potrafił zrozumieć, co w tym takiego dziwnego.

— Dlaczego człowiek, który zamordował narzeczoną, miałby przybyć na spotkanie z osiemdziesięcioma dwoma ekspertami od kryminalistyki i poprosić ich o zajęcie się sprawą, skoro policja już wcześniej uznała, że dziewczyna popełniła samobójstwo? Dlaczego ktokolwiek miałby zrobić coś tak szalonego?

Fleisher wzruszył ramionami.

— Byłoby to typowe zachowanie psychopatycznego mordercy. Udział w śledztwie pozwala mu podtrzymać poczucie kontroli nad wydarzeniami. W trakcie deseru Dan Rather zapytał z offu: „Czy ten człowiek zamordował swoją narzeczoną? Skonfrontujemy go teraz z wnioskami, do których doszli renomowani detektywi, i damy mu szansę na obronę”.

Ekipa 48 godzin poleciała na Florydę. Schlesinger przeprowadził wywiad z doktorem w jego gabinecie. Ubrany w niebieską marynarkę i żółty

232

krawat Andronico oświadczył, że nikt lepiej od niego nie znał Zoi i „nie kochał jej tak bardzo”. Śmierć narzeczonej była dla niego niewyobrażalną stratą.

Schlesinger zapytał, co sądzi o tym, że detektywi z Towarzystwa Vidocqa uznali go za psychopatycznego mordercę. Andronico spokojnie powtórzył swoje alibi i stwierdził: „Nie muszę się niczego obawiać”.

— Zabił ją pan? — naciskał Schlesinger.

— Nie, nie zabiłem — odparł z całkowitym spokojem Andronico. W lutym Fleisher wysłał dziewięćdziesięciostronicowy list do prokuratora hrabstwa Ocean, w którym zawarł wszystkie wnioski ze śledztwa przeprowadzonego przez Towarzystwo Vidocq. Zachęcał odbiorcę do ponownego przeanalizowania okoliczności śmierci Assur.

„Uważamy, że dotychczasowa rekonstrukcja okoliczności zgonu zawiera tyle niekonsekwencji, że każdy logicznie myślący człowiek powinien wstrzymać się z uznaniem śmierci za samobójczą i ponownie przeanalizować sprawę”, napisał Fleisher w biuletynie „Vidocq Society Journal”.

Prokurator nie odpowiedział.

Zdaniem Fleishera do stycznia 1993 roku — mijał wtedy niemal rok od wysłania przez niego listu — żaden policjant, prokurator ani lekarz sądowy nie wykazał chęci obejrzenia wyników badania wariografem przeprowadzonego przez członków Towarzystwa Vidocq. Nie zbadano również sprzeczności w zeznaniach świadków, którzy potwierdzali alibi doktora, nie obejrzano zarejestrowanych na filmie wypowiedzi Andronica i jego ojca. „Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapoznać się z naszą opinią”. Sprawa morderstwa w New Jersey została zamknięta. Według oficjalnej wersji Assur popełniła samobójstwo. Andronico nigdy nie znalazł się w gronie podejrzanych.

„Nasza rola się skończyła”, powiedział Fleisher. „Jest wiele prawdy w stwierdzeniu, że nie można nikogo uszczęśliwić na siłę”, dodał.

Rozdział 29

Sprawa bosonogiej dziewczyny

Karczma istniała w Filadelfii z przerwami przez dwa stulecia — od czasów gdy miasto wypełniał stukot ciągniętych po bruku dwukołowych powozów. Nad wejściem do ceglanego budynku wisiał skrzypiący na wietrze szyld przedstawiający bochenki chleba i sztukę mięsa. Osiemnastowieczna budowla górowała niegdyś nad największym portem Nowego Świata. John Adams nazwał ją „najwytworniejszą gospodą w Ameryce Północnej”. George Washington, Thomas Jefferson, Benjamin Franklin, James Madison i John Adams stółowali się tam podczas pracy nad Deklaracją Niepodległości i Konstytucją Stanów Zjednoczonych. Obecnie budynek mieścił elegancką, neokolonialną restaurację oraz bar, które wyglądały, jakby czas się w nich zatrzymał. Rzeka turystów przepływała obok nich, zmierzając w stronę Independence Hall, jakby karczma przy Second Street i Walnut Street była zupełnie niewidzialna.

Dwa wieki temu podczas hucznych obchodów z okazji uzyskania niepodległości na oknach gospody namalowano naturalnej wielkości portrety Lafayette'a i generała Washingtona, które podświetlono świecami. Rankiem 30 kwietnia 1992 roku w oknach ukazały się znacznie bardziej przerażające obrazy. Na ekranie stojącym w północnej części sali wyświetlono fotografię zwłok ślicznej, drobnej blondynki. Dwudziestoletnia Deborah Lynn Wilson leżała na plecach u podnóża schodów w jednym z budynków kampusu filadelfijskiego Uniwersytetu Drexela. Studentka ostatniego roku matematyki, była modelka, została brutalnie pobita i uduszona.

234

Minęło siedem lat, a nikomu nie postawiono zarzutów. Detektywi przybyli z Londynu, Paryża, Nowego Jorku i Wirginii mieli przeanalizować wspólnie dziewięć sprawę, której nadano nazwę „Śmierć Deborah Wilson”.

Na podium wszedł sierżant filadelfijskiej policji Robert Snyder, oficer śledczy wydziału zabójstw, czterdziestokilkuletni mężczyzna o złotorudych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Ten cieszący się wielkim poważaniem policjant uczestniczył w śledztwie przez większą część z owych siedmiu lat. Snyder zawsze prowadził głośne sprawy, ale zagadki morderstwa Deborah Wilson nie potrafił rozwikłać. „Człowiekowi zawsze jest przykro, kiedy poniesie porażkę. Zwłaszcza jeśli ofiarą był ktoś bardzo młody, niewinny lub w podeszłym wieku. Tu ofiara należy do tej drugiej kategorii”, powiedział zgromadzonym.

Walter odstawił filiżankę z kawą, podniósł wzrok i zaczął uważnie słuchać. Natychmiast pojął, dlaczego przez siedem lat nie dokonano żadnych aresztowań i dlaczego policja oraz prywatni detektywi nie poradzili sobie ze sprawą. Miejsce zbrodni nie kryło żadnych standardowych wskazówek, które wyszkolony policjant powinien natychmiast zauważyć — na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na motyw finansowy albo seksualny. Brakowało śladów rabunku: ciało Deborah okrywał szary, pikowany w dolnej części płaszcz, który narzuciła na siebie tamtego chłodnego dnia, 30 listopada 1984 roku, tydzień po Święcie Dziękczynienia; zimowych rękawiczek nie zdążyła wyjąć z kieszeni; na ręce miała zegarek. Nie było również widocznych oznak napaści o charakterze seksualnym. Deborah Wilson zmarła w ubraniu — dzinsach i niebieskiej dzianinowej bluzce z długimi rękawami. Brakowało tylko jednej części garderoby — białych tenisówek marki Reebok i skarpetek. Ofiara miała bosc stopy.

Śmierci Deborah Wilson nie dało się wyjaśnić w prosty sposób. Policja mogłaby poczynić postępy w śledztwie pod warunkiem odejścia od rutynowych procedur i uznania faktu, że zbrodnia wykraczała poza ogólnie przyjęte zasady logiki i tradycyjne standardy moralności (a właściwie amoralności).

Nie było to zwykłe morderstwo, lecz makabryczne świadectwo całkowitej degeneracji. Było to morderstwo czasów New Age; morderstwo 235

"pokolenia ja". Nie miało nic wspólnego z zabójstwami typowymi dla czasów sprzed lat sześćdziesiątych XX wieku, które policjanci wspominają dziś niemal z nostalgią: zazdrosny mąż strzela do niewiernej żony; biznesmen ukatrupia współnika, żeby przejąć jego udziały w firmie. Motywację takich morderców można było nawet przy odrobinie dobrej woli zrozumieć. Policjanci zawsze potrafili wytypować sprawcę: partnera, współnika, małżonka lub inną osobę dobrze znaną ofierze.

Morderstwa nowego typu — jak to popełnione bez żadnego powodu na sympatycznej, ładnej dziewczynie — były ucieleśnieniem szaleństwa. Niemniej akurat w tym przypadku jakichkolwiek przejawów szaleństwa trudno się było dopatrzeć. Przeciwnie — emanowały z niego opanowanie, metodyczność, bezduszość, staranność planowania. Dopuszczył się go Amerykanin, przedstawiciel klasy średniej, mający stałą pracę, własny dom i samochód, sporo wolnego czasu i gigantyczną bibliotekę dostarczanych przez media materiałów instruktażowych. Takimi zasobami, pozwalającymi na realizację najskrytszych pragnień, dysponowali dawniej jedynie arystokraci pokroju markiza de Sadea. Deborah zamordował jeden z wielu „zwyczajnych” potworów grasujących po Ameryce pod koniec XX wieku.

De Tocqueville ostrzegał przed postępującym ogłupieniem ogarniającym Stany Zjednoczone, ale na pewno nie miał na myśli czegoś takiego. Nastąpiło umasowienie elitarnych niegdyś form zła.

Nie odrywając wzroku od ekranu, Walter pomyślał: „Młody człowieku, wiem, co ci chodzi po głowie. Byłeś naprawdę niegrzeczny. Nie ukryjesz się przede mną”.

Kiedy Snyder począł referować sprawę, Walter wyczuł, jak przez ludzi zgromadzonych w osiemnastowiecznej sali przebiega dreszcz ekscytacji. Słuchali z niespotykaną wcześniej powagą i skupieniem. Fleisher wiedział, że ich działalności przyglądają się oczy całego świata. Kolejny

wybitny dziennikarz, Lewis Beale, redaktor wynajęty przez „Los Angeles Times”, siedział przy stole Fleishera i cały czas notował. Jakby brakowało im powodów do podenerwowania! Beale specjalizował się w tematyce policyjnej. Przeprowadził wywiady z policjantami z Los Angeles, którzy doradzali reżyserowi Barry emu Levinsonowi przy jego serialu Wydział 236

zabójstw Baltimore i Sidneyowi Lumetowi przy filmie Serpico. W jego ocenie Towarzystwo Vidocqą przypominało wystylizowaną na filmy noir z lat pięćdziesiątych drużynę specjalistów od kryminologii i medycyny sądowej, „którzy dzielą się doświadczeniem i łączą swoje siły intelektualne, aby rozwiązać sprawy, z którymi nikt nie potrafił sobie dotąd poradzić”.

Medialny szum otaczający Towarzystwo Vidocqą wprawiał Fleishera, Waltera i Bendera w najwyższe zdumienie. Współpracę zaproponował im znany agent filmowy, który miał na koncie klasyk kina gangsterskiego Chłopcy z ferajny. Miesiąc wcześniej sobotnie wydanie „Philadelphia Inquirer” okrzyknęło klub mianem „pogromców nierozwiązywalnych spraw”. Tydzień później sobotni numer „Miami Herald” opublikował ten sam artykuł pod zmienionym tytułem „ich przestępstwa są prawdziwe”.

Na członkach Towarzystwa zaczęła niespodziewanie ciążyć presja — musieli wyjaśniać morderstwa, a nie tylko o nich dyskutować. „New York Times” scharakteryzował kontemplacyjny styl funkcjonowania klubu w następujących słowach: „po lunchu rozmowa schodzi na morderstwo”.

Nowe możliwości były nęcące, ale Walter starał się studzić entuzjazm. „Punkt pierwszy: nie założyliśmy stowarzyszenia dla poklasku. Punkt drugi: nie dokonaliśmy jeszcze nic, czym zasłużylibyśmy sobie na uznanie. Punkt trzeci: dziennikarze przedstawiają nas jako bohaterów, aby podnieść nakład gazet. Punkt czwarty: nie zdołaliby tego zrobić, gdyby nie rzeczywiste zapotrzebowanie na bohaterkich detektywów. Nie powinniśmy zatem przywiązywać wagi na naszego wizerunku, ale do faktu, że przestępczość wymknęła się spod kontroli. Ludzie nas potrzebują”.

Po publikacjach w prasie do skrzynki pocztowej Towarzystwa zaczęły napływać strumień korespondencji — listów, paczek, akt sądowych, próśb, lamentów. Jakiś mieszkaniec Los Angeles chciał, żeby towarzystwo zbadało sprawę morderstwa jego ojca sprzed trzydziestu lat. Jeden z kongresmenów prosił o dyskretną pomoc w rozwiązaniu sprawy morderstwa

swojego przyjaciela.

Wszyscy chcieli poświęcić czas na pomoc ofiarom przestępstw, zwłaszcza odkąd wysłuchali relacji Friela z konferencji Narodowego

237

Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci. Fleisher chlubił się w „New York Timesie”, że filadelfijskie „kolegium detektywów” nie ma odpowiednika na całym świecie. Teraz mieli okazję, by tego dowieść. Po powrocie z konferencji w Teksasie Friel postanowił pójść za ciosem. To właśnie on namówił sierżanta Snydera do zaprezentowania sprawy morderstwa Deborah Wilson. Liczył, że „świeże spojrzenie” członków Towarzystwa pozwoli na posunięcie śledztwa naprzód. Friel pracował ze Snyderem w wydziale zabójstw w 1984 roku, kiedy zginęła Deborah Wilson, i chociaż bezpośrednio nie zajmował się tą sprawą, wielokrotnie o niej dyskutowali. Morderstwo studentki wciąż nie dawało mu spokoju.

Friel wiedział, co musi czuć Snyder, zwłaszcza jako policjant zbliżający się do wieku emerytalnego. „Bob to prawdziwa legenda wydziału zabójstw, najwyższej klasy oficer śledczy”, opowiadał. „Ale każdy z nas ma jakąś sprawę, która nie daje mu spokoju”.

Walter z uznaniem przyglądał się wstępującemu na podium Snyderowi. Było coś przełomowego w tym, że jeden z najlepszych oficerów śledczych w mieście zwrócił się do nich o pomoc. Kiedy w wojnie między rodzinami mafijnymi zginął gangster Frankie Flowers, do wytropienia mordercy wydział policji wyznaczył właśnie tego człowieka.

Walter współczuł zapracowanym policjantom oraz — oczywiście — ofierze. Wiedział, że gliniarzy przepęlnia niemy żal i wściekłość, że zadreżcza ich pozostające wciąż bez odpowiedzi pytanie: „Dlaczego?” Nie istniał żaden racjonalny powód, dla którego ktoś miałby zabić Deborah. Nikt nie potrafił doprowadzić śledztwa do końca. „Czas, aby dowiedzieli się wreszcie, co za skurwiel za tym stoi. Przynajmniej tyle mogę zrobić”, pomyślał. Snyder opowiadał o miejscu zbrodni, a Walter popijał czarną kawę i słuchał.

Późnym wieczorem 29 listopada 1984 roku Deborah siedziała w pracowni komputerowej w Randell Hall, najbardziej charakterystycznym budynku kampusu. Wzniesiony w 1901 roku, był gigantycznym labiryntem sal wykładowych i pomieszczeń biurowych, w którym mało kto potrafił odnaleźć drogę.

O godzinie jedenastej w nocy Deborah zadzwoniła do rodziców, któ-

rzy mieszkali w New Jersey po drugiej stronie rzeki. Powiedziała, że musi
238

zostać w pracowni dłużej, aby skończyć zadanie, które miała przygotować na następną rano. Deborah miała talent do matematyki, główniego przedmiotu jej studiów; gorzej radziła sobie z innymi kursami, między innymi z informatyką. Jako obowiązkowa studentka wkładała wiele wysiłku, aby uzupełnić ewentualne braki. Choć podobała się kolegom, nie miała chłopaka. Nie paliła papierosów ani nie piła alkoholu. W szkole średniej była modelką i grała na klarnecie, ale na studiach skoncentrowała się wyłącznie na nauce. Mieszkała w domu z rodzicami i dojeżdżała na zajęcia. Snuła plany na przyszłość. „Chciała zostać inżynierem. Była gotowa poświęcić wiele, żeby to osiągnąć”, opowiadała jej siostra Suzanne Leis. Na zachętę powiesiła sobie w pokoju zdjęcie nowiutkiego mercedesa sedana.

Rodzice często wyrażali zaniepokojenie, że ich bezpośrednia, ufna, nieco naiwna córka przesiaduje do późna w niebezpiecznej dzielnicy zachodniej Filadelfii. Deborah zapewniała, że budynek wydziału politechnicznego jest dobrze chroniony, a kiedy wychodzi z niego w nocy, zawsze prosi strażnika, aby odprowadził ją do samochodu.

Dwie i pół godziny później, o pierwszej trzydzieści w nocy, Deborah raz jeszcze zadzwoniła do domu i poinformowała rodziców, że ukończenie zadania zajmie jej dodatkową godzinę. Mieli się nie martwić, ponieważ w pracowni towarzyszył jej były chłopak, Kurt Rahner. Obiecał, że zaczeka i odprowadzi ją na parking.

W rzeczywistości stało się inaczej — Rahner opuścił pracownię niedługo potem. Wychodząc, poprosił głównego strażnika kampusu o zapewnienie Deborah ochrony w drodze do samochodu. Strażnik przekazał tę prośbę swojemu koledze, Davidowi Dicksonowi, który patrolował teren kampusu od północy do ósmej rano. Pracownia komputerowa znajdowała się na jego terenie.

Kilka minut po pierwszej trzydzieści Deborah została sama — właśnie wtedy morderca zaatakował. Dane z komputera wskazują, że o pierwszej trzydzieści osiem wykonała ostatnią operację. Wyglądało, „jakby ktoś jej przerwał w połowie wykonywanej czynności”, twierdził główny informatyk uniwersytetu, John J. Gould junior. Snyder przedstawił prawdopodobny przebieg zdarzeń: napastnik zaatakował Deborah, pobił ją,

239

zmuszając do uległości, a następnie udusił przedłużaczem. Kabel znaleziono obok komputera; rowki na jego powierzchni pasowały do śladów na szyi Deborah.

Kiedy do trzeciej w nocy Deborah nie wróciła do domu, jej rodzice doszli do wniosku, że postanowiła spędzić noc w pracowni komputerowej. Tymczasem z ustaleń lekarza sądowego wynikało, że w tym czasie dziewczyna już nie żyła. Morderca przeciągnął ją przez korytarze wielkiego, pustego, pogrążonego w ciemnościach budynku, następnie przez drzwi prowadzące na betonową klatkę schodową przylegającą do zewnętrznej ściany. U podnóża zimnych, niemych schodów zmasakrował zwłoki, uderzając w nie dwoma cegłami, metrowej długości deską i metalowym pałką. Wszystkie te przedmioty znaleziono, zakrwawione, obok ciała. O dziewiątej rano dwóch studentów natknęło się na zwłoki na podestie schodów, jedenaście stopni poniżej poziomu ulicy.

W trakcie prezentacji Fleisher rozdał słuchaczom dodatkowe zdjęcia ciała Wilson, plamy krwi znalezionej w pracowni, komputera, z którego korzystała w chwili śmierci, oraz typu tenisówek, które nosiła. Białe reeboki. Białe skarpetki.

Fleisher stanął obok Snydera za podium i otworzył dyskusję.

— Co wiadomo na temat strażnika? — rozpoczął.

— Dickson od początku został uznany za podejrzanego — powiedział Snyder. Wiele wskazywało na jego winę. Podczas przesłuchań nie potrafił określić, gdzie dokładnie przebywał tamtej nocy. Przedstawił jednak alibi: drugiemu strażnikowi powiedział, że rozmawiał w tym czasie przez telefon z dziewczyną i zapomniał odprowadzić Wilson do samochodu. Mamy częściowo negatywny wynik badania wykrywaczem kłamstw, ale sądy nie pozwalają wykorzystywać wyników badania wariografem jako materiału dowodowego.

— Nie było podstaw, żeby go aresztować — przyznał Snyder.

Zebrani zasypali Snydera pytaniami.

— Czy dozorca budynku był tamtej nocy na służbie?

Nie, pokręcił głową Snyder.

— Czy ktokolwiek włamał się tamtej nocy do jakiegoś budynku na terenie kampusu?

240

Nie.

— Próbowaliście wykonać test DNA?

Wszyscy odwrócili się w stronę Halberta Fillingerera, doświadczonego lekarza sądowego z Filadelfii.

— Jeżeli podczas duszenia ofiary morderca ścisnął kabel odpowiednio mocno, mogą się na nim znajdować drobinki jego skóry — wyjaśnił Fillinger. — Można z nich wyodrębnić DNA.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia. W 1984 roku, kiedy Wilson została zamordowana, testów DNA jeszcze nie wykonywano; nawet osiem lat później była to wciąż dość słabo znana metoda badawcza. „Mała szansa, aby cokolwiek w ten sposób uzyskać, ale po tylu latach bezowocnego śledztwa sfrustrowany Snyder gotów jest chwycić się żdźbła”, pisał później reporter „Los Angeles Times”.

Pół godziny później Snyder oparł się zmęczony o mównicę. Dyskusja powoli zamierała. Wyglądało na to, że jedyną korzyścią, jaką wyniesie ze spotkania, będzie darmowy lunch, moralne wsparcie i kilka ciekawych pomysłów.

Niespodziewanie głos zabrał Walter. Lubił włączać się do dyskusji na samym końcu, jakby występował na ostatniej zmianie sztafety. Zmarszczył brwi i poprawił okulary, które zsunęły się po orlim nosie.

— Jeżeli mogę się wtrącić... — zaczął. — Kluczem do rozwiązania zagadki jest brak butów i skarpetek na stopach ofiary.

Snyder skinął głową.

— Zdajemy sobie sprawę, że brak obuwia coś oznacza. Nie wiemy tylko, co.

— Morderstwo nie miało podłoża rabunkowego, a mimo to białe reeboki i białe skarpetki zniknęły. Dlaczego? — spytał retorycznie Walter i nie czekając na odpowiedź, zaczął stawiać kolejne pytania. — Kluczową sprawą jest sens zbrodni. Co zamierzał uzyskać morderca? Skoro atak nie miał podłoża seksualnego, jaką korzyść z niego odniósł? Dowiadujemy się o tym z braku butów i skarpetek. Morderca nie chciał pieniędzy, ponieważ nie zabrał zegarka. Nie chciał dziewczyny przelecieć. Interesowały go jedynie buty. Człowiek ten ma obsesję na punkcie stóp. Jest podofilem. Na sali rozległy się szmery.

241

— Podofile zabijają, aby zaspokoić swoje pragnienia? — zdziwił się jeden z policjantów.

— Tylko niektórzy — przyznał Walter. — Obsesja na punkcie stóp jest parafilią, zaburzeniem preferencji seksualnych. Fetyszysta obawia się

kontakty z żywym partnerem, dlatego używa buta jako substytutu osoby, którą przywołuje sobie akurat w wyobraźni. Drugorzędne albo trzeciorzędne zaspokojenie uzyskuje przez wężanie, dotykanie i pocieranie buta. Może się też nim masturbować.

Słyszając chichoty, Walter pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Podofilia może się wydawać dziwaczna i zabawna, ale przybiera niekiedy niezwykle silną postać i wywiera destrukcyjny wpływ na człowieka. Chińczycy formowali stopy swoich kobiet w taki kształt, aby mężczyźni mogli między nie wkładać penisy. Zmiana tego obyczaju wywołała gwałtowny opór. Cała kultura była spętana fantazjami na punkcie stóp. Walter nakreślił szkicowy profil zbrodni. Zabójca ma obsesję na punkcie kobiecych butów — zbiera je i się przy nich masturbuje. W obecności prawdziwej kobiety najprawdopodobniej nie potrafi nawet utrzymać członka we wzwodzie. „Pożąda wyobrażenia, nie rzeczywistości”. Musiał już wcześniej zwrócić uwagę na Wilson i jej białe reeboki. Prawdopodobnie nikogo wcześniej nie zabił, ale ponieważ kradzież butów przestała mu wystarczać do zaspokojenia fantazji, przeszedł do agresywnych zachowań wobec ich właścicieli.

Nieco na wzór Gwałciciela Dżentelmena żyje w przekonaniu, że kobiety nie potrafią mu się oprzeć. Kiedy próbuje oczarować kobietę, mówi: „Gdzie byłaś przez całe moje życie?”. Jest dużym, potężnie zbudowanym mężczyzną. Przeraża Wilson, wchodząc do pustej pracowni.

— Próbuje zabawić ją rozmową, namawia do seksu, umówienia się z nim na randkę, zadzierzgnięcia jakiejś więzi. Kiedy ona odmawia, prawdopodobnie jej grozi. Mówi: „Tylko dziwka siedzi sama w pracowni tak późno w nocy”; albo coś w tym guście. Stosuje przemoc werbalną, aby ją nastraszyć, tak czy inaczej pragnie tylko jednego. Być może nawet sądzi, że chce ją poderwać, uprawiać z nią seks. Każdy z nas w taki czy inny sposób sam siebie oszukuje. Tak naprawdę pożąda jej butów i skarpetek.

242

Wilson, podobnie jak wiele ofiar takich morderców, odmawia — spokojnie lub zdecydowanie. Być może mówi: „Idź do diabła”. Nie ma to większego znaczenia. Napastnik wpada we wściekłość, która skutkuje atakiem, morderstwem i późniejszym zwałtowaniem zwłok.

— Na poziomie intelektualnym fetyszysta zdaje sobie sprawę, że dziewczyna nie zgodzi się na jego propozycję, ale kiedy słyszy, że ma się odpiąć, czy coś w tym stylu, umysł opętany fantazjami reaguje gwałtownie,

traktując to jak zniewagę. Jego wyobrażenie o sobie jako dominującym mężczyźnie zostało podkopane, a przecież zamierzał uzyskać dokładnie przeciwny rezultat. Wpada w szal. Oto źródło zbrodni.

Zabójca atakuje ją jeszcze w pracowni komputerowej: uderza w twarz, zadaje ciosy w głowę pięściami, a być może również jakimś narzędziem. Dziewczyna jest przerażona. Krzyczy, błaga o litość, więc on ją dusi, aby się uciszyła. Ciągnie jej ciało na podest u podnóża schodów. Miejsce to staje się na chwilę jego mroczną, sekretną kryjówką.

— Zachowanie mordercy ma wyraźny podtekst seksualny — tłumaczył psycholog, odwołując się do wcześniejszych uwag. — W kategoriach Freudowskich schody są waginą, do której się zstępuje. Mamy tu do czynienia ze zmysłowością niezwiązaną ze stosunkiem płciowym. Morderca nie chce przelecieć ofiary — pragnie wyłącznie jej butów. Będzie je później obwąchiwał w domu. Wydarzenia na klatce schodowej są swego rodzaju grą wstępną, która później pomoże mu wydobyć kontekst seksualny z butów, których dokładnie w tym celu potrzebował. Nie interesowały go jej części intymne. Atakuje martwe ciało, wściekły na dziewczynę, że odrzuciła jego fantazję, ale tak naprawdę interesują go tylko jej buty. Generalnie rzecz biorąc, musi ją wyeliminować, aby zabrać z jej ciała to, czego pragnie. Osiągnąwszy cel, odchodzi.

Po zdobyciu butów i skarpetek morderca odczuwa głębokie zadowolenie z pomyślnego rozwiązania sytuacji. Zabił, aby odbudować w sobie poczucie kontroli nad otoczeniem, a tym samym skutecznie odparł atak na swoją dumę i godność. Triumfuje, ponieważ zdobył przedmiot, którego od początku pożądał, czyli właśnie buty.

Walter odwrócił się i spojrzał na sierżanta Snydera.

243

— To, co zobaczyliśmy na miejscu zbrodni, wskazuje również, że morderca jest facetem, który lubi dominację i kontrolę nad innymi. Osobowość macho. Podnosi ciężary, dobrze posługuje się bronią i ma hobby w rodzaju karate.

Walter zdał sobie sprawę, że towarzystwo innych detektywów wywierało na niego zupełnie nieoczekiwany wpływ. Agenci federalni, którym brakowało doświadczenia w prowadzeniu śledztw w sprawie morderstw, "zadawali znakomite pytania, które doprowadzały mnie prosto do rozwiązania". Reporterowi „Los Angeles Times” wyznał: „Siła Towarzystwa nie polega na tym, że jesteśmy zgrają pierdolonych geniuszy. Chodzi o to, że

możemy korzystać nawzajem ze swoich doświadczeń". Zanim uwagi Waltera trafiły na łamy czasopisma, tradycyjnie wymagały przeredagowania. Nie byli „megageniuszami”, ale pracowali jako zespół.

Snyder był zadowolony ze spotkania.

— Pański profil pasuje jak ulał do gościa, którego podejrzewałem od samego początku.

Czyli Dicksona.

Walter uśmiechnął się.

— Proszę sprawdzić akta Dicksona z wojska, przesłuchać jego dziewczyny, byłe żony; sprawdzić, czy pojawi się kwestia butów.

Rozdział 30

Sprawa syna marnotrawnego

Fleisher siedział za biurkiem w swoim gabinecie w Urzędzie Celnym.

Przez okno obserwował żaglówki śmigające po rzece między tankowcami.

Był piękny majowy poranek. Kobiety wyszły na ulice w lekkich strojach, a brązowy płyn w niebieskim tekturowym kubku niemal przypominał w smaku kawę. W biurze panowała luźna atmosfera, jak zawsze, gdy Fleisher ubarwiał wojnę z handlarzami narkotyków amatorskimi występami w roli komika. „Dlaczego Żydzi umierają wcześniej niż ich żony? Bo tego chcą”. „Kręcę żydowski film pornograficzny. Składa się w 10% z seksu i w 90% z poczucia winy”. „Ktoś ukradł mojej żonie kartę kredytową. Nie próbujcie go szukać — wydaje mniej niż ona”.

— Bill — w słuchawce odezwał się głos sekretarki — mam na linii kolejną osobę, która widziała cię w 48 godzinach. Mówi, że obdzwania całe miasto w poszukiwaniu faceta o wyglądzie Raymonda Burra.

Fleisher zachichotał.

— Aż taki spasiony jeszcze nie jestem. Może gdyby zaczekał do jesieni...

Łagodny teksański akcent w słuchawce należał do Jima Dunna, dyrektora firmy marketingowej z hrabstwa Bucks.

— Panie Fleisher, mój syn Scott zaginął w Teksasie i został zamordowany. Od roku prowadzę na własną rękę śledztwo, ale do niczego nie doszedłem. Kiedy zobaczyłem pana w 48 godzinach, przebywaliśmy w Nowym Meksyku, sprawdzając ostatni, beznadziejny trop. Powiedziałem

245

żonie, że skoro Towarzystwo Vidocqa działa akurat na naszym podwórku, w Filadelfii, spróbuję osobiście się z nim skontaktować.

Jim Dunn zrobił pozytywne wrażenie na Fleisherze. Mężczyzna miał

uprzejmy głos, wydawał się bardzo inteligentny i autentycznie zrozpaczony.

— Trzykrotnie zachodziłem do Karczmy Miejskiej. Pytałem o Towarzystwo Vidocqą i brodatego gościa przypominającego z wyglądu Raymonda Burra. W końcu barman coś sobie przypomniał. „A, rzeczywiście. To szef Urzędu Celnego”, powiedział.

— Opowiedz mi dokładnie, Jim, co się przydarzyło twojemu synowi — oświadczył poważnym tonem Fleisher.

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Utrzymywałem ze Scottem bardzo bliskie kontakty. Rozmawialiśmy przez telefon w każdą niedzielę. W ostatnią niedzielę maja nie zadzwonił on, ale jakaś kobieta, której głosu nie rozpoznałem. Spytała, czy jestem ojcem Scotta Dunna. Przedstawiła się jako dziewczyna mojego syna, wyjaśniła, że mieszkają razem. Była zaniepokojona, ponieważ Scott zniknął. Jego sypialnia była pusta. Zniknął materac, ubrania. Nie zostało nic.

— To rzeczywiście podejrzane.

— W sypialni znaleziono ślady krwi. Krwi Scotta. Nie spocznę, póki nie ustalę, co się stało mojemu synowi. Czy mógłbym liczyć na pomoc Towarzystwa Vidocqą?

— Rozumiem. Bez wątplenia doszło do morderstwa. Co ustaliła policja?

— Sprawę prowadzi wydział policji z Lubbock. Na początku Scotta uznano za zaginionego, ale teraz zmienili status śledztwa na morderstwo. Nikogo nie aresztowali. Prokurator okręgowy twierdzi, że nic się nie da zrobić, ponieważ nie znaleziono ani ciała, ani broni. Zgodnie z teksańskim prawem brak ciała uniemożliwia wszczęcie sprawy o morderstwo. Od roku próbuję coś zdziałać.

— A zatem sprawa ma dopiero rok — zastanawiał się głośno Fleisher — i nie znaleziono ciała.

Przerwał, aby wziąć głębszy oddech. Te słowa nigdy nie przychodziły mu łatwo.

246

— Przykro mi, panie Dunn, ale to nie jest sprawa dla Towarzystwa Vidocqą.

Milczenie po drugiej stronie słuchawki wyraźnie świadczyło o zawo-
dzie, który przeżył mężczyzna.

— Po pierwsze, jest zbyt świeża. Zajmujemy się tylko postępowaniami

toczącymi się od minimum dwóch lat. Musi pan dać czas policji, aby wykonała swoją robotę. Gdybyśmy się teraz zaangażowali, mogliby powiedzieć: „Hola, hola, dlaczego wtrącacie się w nasze śledztwo?”. Doradzamy i pomagamy wydziałom policji tylko wtedy, gdy same się do nas zwrócą. Nie zamierzamy nikogo pozbawiać zasług. Nie polujemy na cudze sprawy.

— Rozumiem — powiedział spokojnym głosem Dunn.

— Po drugie, nie znalazł pan nawet ciała. Formalnie rzecz biorąc, nadal mamy do czynienia z zaginięciem. Takie sytuacje zdarzają się bez przerwy. Ludzie po prostu znikają, bo chcą uciec od dotychczasowego życia. Być może pański syn wróci. A może popełnił samobójstwo. Naprawdę trudno powiedzieć.

— Mój syn nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

— No dobrze, zapewne ma pan rację. Ale, po trzecie, nawet jeśli doszło do morderstwa, bez ciała niemożliwe jest doprowadzenie do skazania. W naszym systemie prawnym jest to jedna z podstawowych zasad śledztwa w sprawie o morderstwo. Potrzebne jest corpus delicti. Szkoda, że nie ma pan po swojej stronie prokuratora okręgowego, ponieważ tylko on może wsadzić do więzienia morderców pańskiego syna. Przykro mi, ale nie możemy panu pomóc.

— Panie Fleisher — odparł natychmiast Dunn — czy w takim razie moglibyście mnie po prostu wysłuchać? Być może ktoś z Towarzystwa podsunie nam jakiś pomysł, coś doradzi. Mieszkamy niedaleko i jesteśmy gotowi spotkać się w wybranym przez was miejscu.

— No dobrze, proszę w takim razie przysłać mi dokumentację sprawy, a ja się jej przyjrę.

— Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić — oświadczył zdecydowanie Dunn. — W przyszłym tygodniu wracam do Teksasu, aby kontynuować poszukiwania. Muszę mieć dokumentację ze sobą. To wszystko, co mi pozostało po Scotcie.

247

Dunn zamilkł na dłuższą chwilę.

— Panie Fleisher — powiedział wreszcie — jest pan chyba moją ostatnią szansą.

Właśnie wtedy coś w Fleisherze pękło. „Pojąłem, że Jim Dunn jest porządnym człowiekiem, gotowym na wszystko, byle tylko odnaleźć syna”. Fleisher doskonale rozumiał skomplikowane relacje, jakie mogą łączyć ojców i synów. Tęsknotę, która nie znika nawet po śmierci.

To ojciec go nauczył, że należy mieć otwartą głowę i serce — i zawsze znajdować czas na wysłuchanie porządnego człowieka. Fleisher często rozmyślał o wydarzeniu, które pozwoliło jego ojcu zrozumieć znaczenie tej zasady. W czasach Wielkiego Kryzysu na Temple University nie udzielono mu zgody na podejście do ostatniego egzaminu potrzebnego do ukończenia stomatologii. Zaliczył wszystkie kursy, ale nie miał pieniędzy na zapłacenie ostatniej raty czesnego ani nawet na opłatę za dyplom. W dniu egzaminu udał się do biura rektora uniwersytetu, Charlesa E. Beuryego. Sekretarka wyjaśniła, że rektor wychodzi na spotkanie i nie może go przyjąć. Herbert Fleisher odparł na to: „Proszę mu powiedzieć, że to jest sprawa życia i śmierci”. Rektor zaprosił go do gabinetu. Beury, wysoki absolwent Princeton z rocznika 1903, zerknął na zegarek i oświadczył: „Masz pięć minut, synu. Co się stało?”.

Ojciec Fleishera ze łzami w oczach opowiedział o problemach finansowych oraz braku zgody na przystąpienie do ostatniego egzaminu. Pół godziny później Beury zerknął na zegarek i powiedział: „Zostało ci pięć minut”. Po upływie tego czasu rektor wziął kartkę papieru i napisał list do dziekana szkoły stomatologicznej z poleceniem dopuszczenia Herberta Fleishera do egzaminu końcowego. Chłopak dotarł na miejsce już po zakończeniu egzaminu. Dziekan zarządził w związku z tym egzamin ustny, bardzo trudny. „Ojciec zdał i został znakomitym dentystą”. Kilka lat później pewna gazeta zacytowała wypowiedź Beuryego: „Uniwersytet powinien przekazywać studentom nie tylko podstawową wiedzę, ale również w swoim funkcjonowaniu kierować się standardami, które nauczą młodego mężczyznę lub młodą kobietę dostrzegać w drugiej osobie porządnego człowieka”.

248

Jim Dunn był porządnym człowiekiem. „Spróbuję znaleźć sposób, aby mu pomóc”, pomyślał Fleisher.

— No dobrze, Jim — Fleisher zaczął mówić szybko, rzeczowym tonem, jak zawsze, gdy sprawa była poważna. — Docierają do nas setki próśb. Większości ludzi nie możemy pomóc, ale spróbujemy coś ci przynajmniej doradzić. Zadzwoń do Franka Friela, komendanta policji w Bensalem, nieopodal hrabstwa Bucks. Spotkamy się we trójkę w jego biurze. Dunn zapowiedział, że przyjdzie z żoną, Barbarą. Spotkanie miało się odbyć następnego dnia o ósmej rano.

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, panie Fleisher.

— Frank to legendarna postać w filadelfijskiej policji — kontynuował Fleisher. — Jest członkiem Towarzystwa Vidocqa i jednym z najbardziej przenikliwych umysłów, jakie znam. Nie wiem, czy rzeczywiście zdołamy jakoś pomóc, ale jeżeli komukolwiek miałoby się to udać, to właśnie Frankowi.

Rozdział 31

Mędrzec ze Scotland Yardu

Nocny samolot z Londynu wylądował w Filadelfii. Padał deszcz. Szczupły mężczyzna w płaszczu nie miał radosnej miny. „Pogoda paskudna, jestem wykończony. Po prostu fatalnie. Poza tym skończyły mi się, cholera jasna, papierosy”, mamrotał Walter. Nie mógł ścierpieć widoku ziemistych twarzy podróżnych tłoczących się w ponurej hali. Kiedy przywoływał taksówkę, towarzyszyła mu tylko jedna myśl: „Byle dalej od tej tłuszczy!”. Pozostali pasażerowie bynajmniej nie garnęli się do wymizowanego, sztywnego jak manekin dżentelmena ze lśniącą, aluminiową aktywką. To akurat Waltera niezmiernie cieszyło. „W ten sposób spędzam mniej czasu z głupcami i ignorantami”. Za wszelką cenę chciał uniknąć pytań w rodzaju: „Kto zabił JonBenet Ramsey?” albo „Kim naprawdę był Kuba Rozpruwacz?”

Walter był wyczerpany. Podróż przetrwał dzięki papierosom, winu, cheeseburgerom i środkom uspokajającym, które zażył przed wejściem na pokład. Poza domem źle sypiał, często chorował i był uzależniony od życzliwości obcych ludzi — lekarze sądowi w Londynie przepisali mu jakieś lekarstwo, chłopiec w Stambule nosił za słabowitym Amerykaninem krzesło, ludzie w różnych miejscach wskazywali mu drogę, bo nieustannie się gubił. Teraz musiał odzyskać siły. Taksówkarza poinformował, że potrzebuje: papierosów, dietetycznego napoju gazowanego, środka przeczyszczającego i alkoholu.

250

— Papierosy: koniecznie Kool Menthol Kings. Dietetyczny napój ma mieć kolor czerwony. Środek przeczyszczający musi działać.

Zwalił się na hotelowe łóżko.

Wizyta w Scotland Yardzie niemal go wykończyła. Kiedy niewyspany wygłaszał odczyt przed trzystoma najlepszymi urzędnikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kręciło mu się w głowie. Walter od lat współpracował z londyńską policją. W przyszłości miał pomóc jej w schwytaniu serijnego mordercy, który terroryzował miasto, zabijając homoseksualistów.

Podpowiedział Scotland Yardowi, że zabójca wyrzuca ofiary z okien na wysokich piętrach, ponieważ ludzi jego pokroju bawią złośliwe gry słów, w tym wypadku: „Wróżki* nie latają!”.

W Scotland Yardzie uważano go za guru — guru od wszelkiego rodzaju perwersji, twierdził z rozbawieniem i nie małą dumą. Perwersjami były zespół Miinchhausena, zastępczy zespół Miinchhausena, sadyzm i inne „izmy”, które wydawał się rozumieć tak dobrze, jakby je sam wymyślił. Tymczasem Angole mieli już dość słuchania przy okazji najtrudniejszych śledztw, jacy to ci Amerykanie są mądrzy.

Wodząc wzrokiem po morzu twarzy, dostrzegał zwężone oczy wrogów jego pomysłów — Starej Gwardii, weteranów zaślepionych ortodoksyjną, dziewiętnastowieczną proceduralną metodą szukania sprawców morderstw. Dla nich Walter był heretykiem. Głębia psychologiczna umysłu mordercy przejawia się takim a nie innym ułożeniem ciała ofiary czy ukrytym znaczeniem noża w klatce piersiowej (jeżeli ostrze miało długość piętnastu centymetrów, czyli przeciętny rozmiar penisa, należy szukać sprawcy, który — jak większość wsadzonych za kratki przestępców seksualnych — nie może uzyskać wzvodu). Budził w nich przerażenie. Wciskał im „skrzyżowanie newage'owego bełkotu z czarami”. Teraz miał okazję udowodnić, że jego analizy mają empiryczne podstawy, a nie są tylko wypierdkami mamuta.

Na początek próbował ich rozbawić „historią własnej niedoli”. Po całym dniu pracy w więzieniu w Lansing w stanie Michigan dotarł w końcu

* Angielski rzeczownik fairy (wróżka) bywa także obraźliwym określeniem homoseksualisty.

251

do Detroit, wsiadł wieczorem do samolotu i wylądował rano w Londynie, nie zmrużywszy oka przez całą noc. Na miejscu zgubił drogę w labiryncie terminali i metra, przez co stracił jeszcze więcej czasu. Do biura przybył dopiero o w pół do dwunastej, marząc tylko o porządnym wypoczynku przed wykładem, który miał wygłosić następnego dnia. „O, nie!”, powiedzieli koledzy. „Wykład jest dziś! Zaczynasz lada chwila!”. Stał teraz przed nimi niemalże w stanie katalepsji i prosił o wyrozumiałość.

Historia była prawdziwa, ale słuchaczy nie rozbawił. „Najwyraźniej mieli gdzieś, że nie spałem od trzydziestu godzin”. Jakby tego było mało, wyczuli jego słabość i przystąpili do ataku. Próbie poddał go nawet jeden z jego przyjaciół.

Walter kazał taksówkarzowi zatrzymać się przy sklepie całodobowym. Zgromadził wszystkie potrzebne artykuły i położył je na ladzie. Młoda sprzedawczyni poprosiła o dokument tożsamości — papierosy sprzedaje tylko osobom pełnoletnim. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Moja droga, naprawdę chcesz mnie wylegitymować?! Do diabła, mam sześćdziesiąt lat! Wystarczy spojrzeć na moją twarz!

Wychodząc szybkim krokiem, wymruczał jeszcze: „Następnym razem wybiorę sklep, gdzie zatrudniają sprzedawców z ilorazem inteligencji powyżej siedemdziesięciu”.

Nerwy ukoił dopiero papierosem zapalonym w pokoju hotelu Center City przy Broad Street. Huśtawki nastrojów były konsekwencją nałogu. „Czy stosuję jakieś ćwiczenia? Zaciągam się”, żartował. Albo: „Moją gimnastyką jest kaszel po wypaleniu papierosa”. Nie był z tego dumny, ale nie mógł zaprzeczyć faktom. „Jeżeli nie zapalę przez dłuższy czas, upodabnam się do jastrzębia wypatrującego myszy. Po prostu przestaję tolerować ludzkie słabości”.

Nie zamierzał za to nikogo przeproszać. Była to cena bycia R. Walterem, pogromcą psychopatów działającym na czterech kontynentach. „W starciu z nimi zamieniam się w drapieżcę i przejmuję pełną kontrolę nad sytuacją. Działam z chirurgiczną precyzją. Biologiczne uwarunkowania nałogu nie przeszkadzają mi w pracy, ponieważ zawsze znajduję się w uprzywilejowanej pozycji”, wyjaśniał.

252

Walter miał wielu przyjaciół i niejednego wroga. Niektórzy uczestnicy zjazdu Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych obawiali się siadać obok niego, ponieważ regularnie polemizował z prelegentami i ich ośmieszał. Przyjaciele mówili, że Walter przypomina lśniące ostrze, które jest zbyt ostre, aby nadawało się do codziennego użytku. Walter, podobnie jak w przeszłości Teddy Roosevelt, traktował życie jako egzamin. „Jedną z najważniejszych powinności dojrzewającego człowieka jest zidentyfikowanie tego, za czym będzie się gotów w przyszłości opowiedzieć”, mówił. Walter zaryzykowałby życie, aby obronić zwykłego mężczyznę, kobietę lub dziecko. Podobnie jak Roland czy Zygfryd, bohaterowie starych, zapomnianych opowieści, w razie potrzeby wszedłby samotnie do mrocznej jaskini z obnażonym mieczem.

Tydzień po wizycie Waltera w Scotland Yardzie agent FBI Robert Ressler napisał dla niego dedykację na egzemplarzu swojej nowej książ-

ki Pogromcy potworów: Dwadzieścia lat doświadczeń w tropieniu seryjnych morderców w FBI: „Dla Richarda Waltera, dobrego przyjaciela i kolegi po fachu”.

Na hotelowym aparacie telefonicznym migała czerwona lampka. „Chole-
ra by to wzięła! Kto tym razem zawraca mi głowę?”, pomyślał. Zamierzał
zejść do baru i przez resztę wieczoru ograniczyć konwersacje do udziela-
nia odpowiedzi na jedno pytanie: „Czego pan sobie życzy?”.

Z niechęcią podniósł słuchawkę i odsłuchał dwie wiadomości. Pierw-
szą zostawił Bill Fleisher, który powitał go w Filadelfii i poprosił o pomoc.
— Słuchaj, Richard, mógłbyś zadzwonić do Jima Dunna? To zrozpa-
czony ojciec z hrabstwa Bucks, którego syn zniknął rok temu w zachod-
nim Teksasie. Morderstwo, policja nic nie wskórała. Coś w sam raz dla
ciebie. Jim to porządny gość, zrobiło mi się go żal. Może zdołasz mu ja-
koś pomóc, kiedy wrócisz do miasta.

Krzywiąc się z niezadowolenia, Walter zapisał numer telefonu.

Drugą wiadomość zostawił doktor Richard Shepherd, międzynaro-
dowej sławy patolog z londyńskiego Guy's Hospital, współpracownik
Scotland Yardu, królewski lekarz sądowy. Shepherd — dobry przyjaciel
Waltera, którego wprowadził w świat Scotland Yardu — był wysokim,
253

postawnym pilotem (kiedyś tak bardzo nudził się na chicagowskim zjeź-
dzie Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych, że wynajął mały samo-
lot i przeleciał nad jeziorem Michigan) o pokręconym poczuciu humoru
i niedoścignionych kompetencjach zawodowych. Walter miał nadzieję, że
Richard dzwoni z przeprosinami. Kiedy kończył londyńską prelekcję z po-
czuciem względnego sukcesu — odparł zarzuty krytyków i skutecznie za-
prezentował własny punkt widzenia — Shepherd wywinął mu numer.

Na ekranie w sali wykładowej wyświetlił fotografię jakiegoś miejsca
zbrodni. Pośrodku schludnego salonu średniozamożnej rodziny leżał na
plecach martwy mężczyzna, prawdopodobnie sześćdziesięciokilkuletni.
Miał krótko przycięte szpakowate włosy, wełnianą koszulę i zwykłe ga-
bardynowe spodnie.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na ofiarę ataku serca lub zawału, ale kto
dokładniej przyjrzał się fotografii, dostrzegał rozpięty rozporek — mę-
czyźnie odcięto penis. Co zaskakujące, ubranie wcale nie było mocno po-
plamione krwią. Na zdjęciu nie widać było ani noża, ani penisa. Odcięte
przyrodzenie zniknęło.

Walter pierwszy raz widział to zdjęcie. Nic nie wiedział o sprawie.

— Przekonajmy się, czego potrafi dokonać profiler, jeżeli dysponuje jedynie obrazem z miejsca zbrodni — oświadczył z błyskiem w oku Shepherd. — A zatem, Richard, co się wydarzyło w tym pokoju? Co potrafisz wywnioskować z tego zdjęcia? Kto zamordował tego mężczyznę? Co nim powodowało?

Walter lubił wyzwania. Szybko ocenił wiek i stan ofiary, następnie postawił sobie w myślach zasadnicze pytanie: „W jakich okolicznościach facet może stracić fiuta?”. Pytanie numer dwa: „Ten fiut został za coś ukarany. Co takiego zrobił?”.

Walter rozważył w myślach wszystkie ewentualności. Mężczyzna mógł zostać zamordowany przez porzuconą kochankę lub mściwego męża, niemniej ciało wskazywało na co innego. Gdyby chodziło o porzuconą kochankę, należałoby oczekiwać dodatkowych uszkodzeń ciała, obrażeń twarzy i głowy. Morderca wyładowałby na nim gniew. Tymczasem morderstwo zostało popełnione na chłodno, według przyjętego wcześniej planu.

254

A zatem ofiara nie zginęła z rąk kochanki, ale kochanka. Zniknięcie penisa skojarzyło się Walterowi z morderstwem o podłożu homoseksualnym popełnionym w Kalifornii, gdzie pewien porzucony gej zamordował kochankę, „który miał wielkiego fiuta. Odrąbał mu go i włożył do zamrażalnika. Policja podejrzewała, że nadal znajdował dla niego zastosowanie”. Ale gdyby rzeczywiście chodziło o parę gejów — kontynuował analizę Walter — na ciele ofiary byłoby również widać ślady po uderzeniach. Napastnik dążyłby do osiągnięcia katharsis przez wyładowanie na kochanku gniewu i cierpienia. W tym wypadku morderca wyraźnie zasugerował, że penis nie jest mu do niczego potrzebny. Chciał jedynie pozbawić tego narządu ofiarę; później równie dobrze mógł go wyrzucić do śmieci. Penis nie był wartością samą w sobie. Morderca nie jest zбочeńcem, który schowa fiuta do zamrażalnika, żeby go sobie od czasu do czasu possać jak loda.

A może ten człowiek zupełnie przypadkowo padł ofiarą seryjnego mordercy, który na obcej osobie zrealizował swoje mroczne fantazje? Gdyby jednak chodziło o seryjnego mordercę działającego z pobudek seksualnych, należałoby oczekiwać, że podda ciało ofiary bardziej skomplikowanym zabiegom o charakterze rytualnym, na przykład zada głębokie rany

nożem, pozostawi zwłoki w wykrzywionej, symbolicznej pozie albo zabierze na pamiątkę jakieś jego części.

Po wykluczeniu motywów sadystycznych, Walterowi pozostała władza i gniew. Morderca powodowany pragnieniem władzy zadałby ofierze więcej obrażeń, niż byłoby potrzebne do jej uśmiercenia, poza tym bez wątpienia zamknąłby jej oczy albo wepchnąłby zwłoki do jakiegoś schowka w ostatecznym akcie zemsty, który można podsumować okrzykiem: „Masz za swoje, skurwysynu!”. Tymczasem oczy ofiary pozostawiono otwarte. Ciało leżało na ziemi w takiej pozycji, w jakiej samo ułożyło się po upadku, i nie nosiło oznak innych zabiegów. „Analiza powinna obejmować w równym stopniu to, czego brakuje na miejscu zbrodni, jak to, co można na nim znaleźć. W tym wypadku kluczowe jest to, czego brakuje”. Nic nie pozwalało wyciągnąć wniosku, że morderca wyładował na ofierze gniew.

255

Zabójca miał tylko jeden cel. Wykonał wcześniejszy zamiar i zniknął. Powodował nim gniew, ale nie był to gniew ślepy, lecz chłodny, kontrolowany, przekuty w plan działania.

Sprawność, z jaką dokonano zbrodni, była właśnie jej istotą. Morderca powodowany pragnieniem władzy nie popełnia czynu w gniewie, ale w reakcji na podważenie jego dominującej pozycji. Chłodna sprawność morderstwa nabrała nagle sensu. Sprawca chciał udowodnić ofierze, że ma nad nią władzę.

Walter wyczuwał na sali coraz większe zniecierpliwienie. Wszyscy czekali na jego odpowiedź. „Biorąc pod uwagę to, co widzimy na miejscu zbrodni, oraz to, czego na nim nie ma, w jakie tarapaty mógł się wplątać odcięty fiut?”

Być może mężczyzna został ukarany za złożenie propozycji seksualnej innemu mężczyźnie, który poczuł się urażony podejrzeniem o homoseksualizm. Ale gdyby próbował mu obciągnąć, zaczął go obmacywać albo robić coś w tym stylu, ten drugi po prostu dałby mu w mordę albo sprął na kwaśne jabłko. W salonie panowałby bałagan, tymczasem pomieszczenie wydaje się znajdować w idealnym stanie.

W jakie zatem kłopoty może się wpakować fiut, zwłaszcza fiut sześćdziesięciolatek? Można przyjąć za pewnik, że gdyby dobierał się do człowieka dorosłego, wydarzenia potoczyłyby się w zupełnie inny sposób. Skoro tak, molestował dziecko.

No dobrze, zastanówmy się szybko: molestował dziewczynkę czy chłopca?

Gdyby chodziło o dziewczynkę, jej ojciec jako mężczyzna miałby poczucie, że nie ustrzegłszy córki od defloracji, nie zdołał uchronić dziecka przez złem. W takim wypadku zapewne nie odciąłby winnemu członka, ale raczej zadał kilka gwałtownych ciosów nożem, na przykład w serce. W jego poczynaniach byłoby widać wrogość, gniew, emocje. Intuicja podpowiada, że chodziło tu o chłopca. Jego ojciec znalazł sposób, aby w akcie morderstwa wyrazić symbolicznie potworność czynu popełnionego przez ofiarę. Utożsamiał się z cierpieniem syna i uznał wyrządzoną mu krzywdę za zwyrodniały atak na męskość. To pozwoliło mu znaleźć ujście dla

256
gniewu w chłodnym, powściągliwym akcie: wysłał mężczyznę na drugi świat bez fiuta, jak najgorszego śmiecia.

Po kilkuminutowym milczeniu Walter ponownie zabrał głos.

— Sądzę, że widoczny na fotografii człowiek zgwałcił małego chłopca i został zamordowany przez jego ojca. W wyrażającym pogardę akcie zemsty za krzywdę wyrządzoną synowi, ojciec pozbawił pedofila przyrodzenia. Wbrew temu, co może sugerować zdjęcie, mężczyzna wykrwa-
wił się na śmierć.

Shepherd lekko się uśmiechnął.

— Zgadza się — powiedział.

Ofiara zmusiła dwunastolatka do seksu oralnego. Zabójcą był ojciec chłopca, który pomścił syna. Zebrani na sali Anglicy otworzyli ze zdumienia usta. Amerykanin trafił w dziesiątkę.

Kilka dni później, w pokoju hotelowym w Filadelfii, Walter przypomniał sobie tamto zwycięstwo. „Zdobyłem ich szacunek”.

Spojrzał na zegar. Minęła ledwie dziesiąta, nie było jeszcze za późno.

Z westchnieniem wziął do ręki kartkę z numerem telefonu, który podsyłał mu Fleisher. „Że też poczucie obowiązku nigdy mnie nie opuszcza. Doprawdy bywa to czasami irytujące”.

Poczucie przyzwoitości nakazywało mu również odkładać słuchawkę po pięciu dzwonek. Przy trzecim Jim Dunn odebrał telefon. Walter przedstawił się.

— Specjalizuję się w tworzeniu profili psychologicznych seryjnych morderców, panie Dunn. Z tych strzępków informacji, które przekazał mi Bill Fleisher, wnoszę, że mogę panu pomóc.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki sprawiał wrażenie zszokowanego. Chwilę później w jego głosie Walter wyczuł powściągliwość. Najwyraźniej nie przyjął jeszcze do wiadomości, że jego syn został zamordowany z zimną krwią.

Rozdział 32

Pomyśl o zemście

O ósmej rano Richard Walter i Jim Dunn usiedli w pogrążonym w mroku pokoju Hotelu Hershey, otoczeni kłębami dymu papierosowego. Siedem pięter niżej rozciągała się skąpana w jasnym majowym słońcu Broad Street. Walter zasunął kotary, aby odgradzić się od irytującego światła i hałasu. Siedział wyprostowany na eleganckim krześle. Zamknął oczy. Wyglądał na uosobienie spokoju. Naprzeciwko niego na identycznym krześle siedział Dunn, wysoki, siwowłosy mężczyzna o rozbieganych niebieskich oczach. Rozdzielał ich stolik, na którym Dunn rozłożył notatniki, taśmy i wycinki z gazet — całą dokumentację dotyczącą morderstwa jego syna. Stały tam również dzbanek z kawą przyniesiony przez obsługę hotelową, dwie filiżanki i popielniczka z papierosem, z którego unosiła się cienka smużka dymu zmierzająca w stronę uformowanego już pod sufitem obłoku.

Walter otworzył oczy i unióśł brew.

— Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne, Jim — powiedział. — W jaki sposób mogę ci pomóc? Opowiedz mi wszystko, co wiesz o sprawie.

Walter rozpoznał wcześniej Dunna w hotelowym holu. Umysł detektywa automatycznie włączył tryb dedukcji: elegancki garnitur, lśniąca buty i siwe włosy znamionowały dojrzałego, zamożnego mężczyznę, z którym poprzedniego wieczoru rozmawiał przez telefon. Pobrużdżona, szkocko-irlandzka twarz zdradzała otwartość i zwawość nietypową dla ludzi z miast leżących we wschodniej części kraju — z dużym

258

prawdopodobieństwem należała do self-made mana z górzystych terenów Południa lub prerii Zachodu. Zdecydowanie zbyt eleganckie jak na taką okazję garnitur i krawat bez wątpienia były najlepszymi, jakie ów mężczyzna posiadał. Pełniły funkcję zbroi założonej przez człowieka, który szedł na bitwę z przekonaniem o własnej słabości. Tożsamość Jima Dunna zdradziły ostatecznie jego oczy. „Widziałem to już wielokrotnie. Rodzice zamordowanych dzieci mają spojrzenie psów szkolonych do wykrywania węchem nowotworów”, stwierdził Walter. „Dunn miał ten charaktery-

styczny, przejmujący wzrok pełen jednocześnie wyczekiwania i ledwo zamaskowanego bólu. Wszystkich ludzi, których spotkała podobna tragedia, spowija taki nieuchwytny smutek. Smutek rozumiany uniwersalnie: nie tylko doznanie, ale także stan, w którym człowiek osuwa się w samotność i mrok. Tacy ludzie często się uśmiechają i sprawiają wrażenie radosnych, ale niezmiernie rzadko naprawdę się śmieją".

Walter znał rodziców, których takie brzemie zniszczyło. Profiler nie omieszkał zauważyć, że teczka, którą niósł mężczyzna — podobnie jak on sam, pękata i przeciążona — była brązowa, a nie czarna. Łagodniejszy kolor był pozytywnym znakiem, sugerował bowiem wrażliwość emocjonalną, elastyczność i zdolność do rozwoju (przeciwieństwo sztywności intelektualnej i emocjonalnej). Elastyczność mogła odegrać pozytywną rolę, jeśli była autentyczna — gdyby stanowiła jedynie maskę dla słabości, mogłaby okazać się zgubna.

Walter zaproponował, aby poszli na górę do pokoju, napili się kawy, zapalili i spokojnie porozmawiali. Obserwując w żółtym świetle hotelowych korytarzy wymizerowaną twarz Dunna, jego zapadnięte oczy, Walter przypomniał sobie obawy, które obudziły się w nim poprzedniego dnia. Mężczyzna ogarnięty rozpaczą, użalający się nad własnym losem nie potrafił przyjąć do wiadomości, że jego syn został zamordowany. Walter uśmiechnął się pod nosem. Przypomniał mu się fragment z Króla Henryka Szóstego Szekspira: „Często słyszałam, że żal zmiękcza umysł, czyniąc trwożliwym go i zwyrodniałym. Przestań więc płakać i pomyśl o zemście"*.

* W. Shakespeare, Król Henryk Szósty. Część druga, tłum. M. Słomczyński, Kraków 1987, s. 136.

259

Nie sposób odmówić człowiekowi prawa do żalu, ale trzeba to uczucie odsunąć na boczny tor i znaleźć ujście dla cierpienia. Walter złożył palce pod brodą. Dunn zaczął opowiadać. Surowe zainteresowanie bijące z niebieskich oczu profilerę ustąpiło miejsca łagodności i bezgranicznej cierpliwości. Anioł zemsty przyjmował wiele postaci — w tym wypadku Walter służył za przewoźnika pomagającego rodzicom przepłynąć przez krwawe wody żalości.

Tamtej niedzieli Dunn pracował do późnego wieczora w siedzibie swojej firmy w hrabstwie Bucks w stanie Pensylwania. W pewnej chwili zadzwonił telefon. „To pewnie Scott", pomyślał. Niedzielne telefony od

dwudziestoczeroletniego syna, który jakiś czas wcześniej przeprowadził się do Lubbock w Teksasie, stały się nową tradycją i źródłem radości dla Dunna. To on namówił syna do przeprowadzki. Lubbock było ukochanym miastem jego dzieciństwa, bardziej przyjaznym i szlachetnym niż Wschodnie Wybrzeże. Miejscem, gdzie Scott dostanie szansę na rozpoczęcie życia od nowa.

Scott słabo radził sobie w szkole. Próbował sił w lotnictwie, rzucił studia w college'u w Teksasie, ale później sprawy zaczęły się wreszcie układać po jego myśli. Znalazł dobrą pracę, która sprawiała mu ogromną satysfakcję i w której się znakomicie sprawdzał. Zawsze miał smykałkę do techniki; jako chłopiec potrafił rozłożyć na części dowolne urządzenie, a następnie złożyć je z powrotem. W Lubbock znalazł zatrudnienie w sklepie sprzedającym systemy nagłośnienia do samochodów. Szybko został gwiazdą. Był stereokowbojem zachodniego Teksasu. W okolicy organizowano zawody, w których — na wzór rodeo — „kowboje” rywalizowali o nagrody, pieniądze i prestiż. Zwyciężał ten, kto zmontował nagłośnienie w najkrótszym czasie, a jednocześnie uzyskał najwyższą jakość dźwięku. Scott zdystansował konkurentów. Wymyślił sposób na utrzymanie jakości dźwięku przy najwyższych rejestrach głośności przez chłodzenie aparatury nagłaśniającej lodem. Zbierał kolejne puchary. Jako atletycznie zbudowany, wysoki, przystojny blondyn występował również w reklamach telewizyjnych sklepu jako Człowiek z Lodu. Do sklepu przychodziły kobiety, które chciały się z nim umówić. Swoją samochód — camaro rocznik 1987, który nazwał Żółtym Grzmotem — wyposażył 260

w najwyższej jakości sprzęt nagłaśniający i z łomotem muzyki szalał po drogach ciągnących się przez prerie Teksasu. Poinformował ojca, że na Święto Dziękczynienia przyjedzie do domu z Jessicą, inteligentną, uroczą studentką Stanowego Uniwersytetu w Missisipi. Zamierzał jej się wkrótce oświadczyć.

W słuchawce zamiast Scotta rozległ się bezbarwny, zimny głos, którego Dunn nigdy wcześniej nie słyszał.

Kobieta nazywała się Leisha Hamilton. „Czy rozmawiam z ojcem Scotta Dunna?”, spytała. Wyjaśniła, że jest dziewczyną Scotta, mieszkają razem. Nazwisko Jima znalazła na rachunku telefonicznym. Scott zniknął cztery dni wcześniej, a ona zaczęła się niepokoić.

Dunn nie wiedział, co o tym myśleć.

— Jedyna dziewczyna, o jakiej Scott kiedykolwiek wspomniał, miała na imię Jessica.

Scott się wyprowadził, kontynuowała Hamilton. Zabrał wszystkie ubrania i po prostu rozpląnął się w powietrzu. Zniknęło nawet ich łóżko. Zostawił tylko samochód, który wciąż stał zaparkowany przed sklepem. Kiedy Dunn usłyszał to wszystko, przeszedł go dreszcz.

— Wiedziałem, że stało się coś strasznego. Scott nie ruszał się nigdzie bez samochodu. Camaro było jego oczkiem w głowie.

Hamilton zadzwoniła ponownie i tym razem Dunn nagrał rozmowę.

Walter poprosił o odtworzenie taśmy.

— Cóż za beznamiętny głos, prawda? — powiedział Dunn, kiedy atonalny dźwięk wypełnił pokój. — Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem.

Walter uniósł brew, ale się nie odezwał.

Policja uznała, że to zaginięcie, lecz kiedy Scott nie dał znaku życia przez kolejne dwa tygodnie, Dunn poleciał do Lubbock, aby rozruszać śledztwo. Kiedy uświadomił sobie, że jego syn został zamordowany, przeczł wstrząs.

Policja spryskała pustą sypialnię Scotta i Leishy luminolem, aby odnaleźć ewentualne resztki krwi zmytej z pobielonych ścian. Luminol pozwala na wykrycie krwi nawet w minimalnej ilości i stężeniu. Przy kontakcie z tą substancją drobinki krwi zaczynają świecić na niebiesko; poświata utrzymuje się przez trzydzieści sekund.

261

Sypialnia wprost rozbłysła. Olbrzymie plamy i pasy krwi sięgały do połowy ścian i pokrywały sporą część drzwi. Pokój przypominał komnatę tortur, w której doszło do masakry. Testy DNA potwierdziły, że krew należała do Scotta.

Głos Jima zaczął się łamać, gdy podał Walterowi zdjęcia spryskanych luminolem ścian. Był przekonany, że Scott zginął w tym pokoju.

Policja zgodziła się, że musiało dojść do morderstwa. Dlaczego jednak nie znaleziono ciała? Policjanci ze specjalnie wyszkolonymi psami przeczesali okoliczne prerie. Ciała wypatrywano z krążących w powietrzu helikopterów. Przerzucono połowę miejskiego wysypiska. Sprowadzono nawet parapsychologów, ale i oni nic nie wskórali. „Zgodnie z prawem obowiązującym w Teksasie, stan nie może wnieść oskarżenia o morderstwo, jeżeli nie znaleziono broni, ciała lub przynajmniej jego fragmentu. Mamy związane ręce”, poinformował Dunna prokurator okręgowy.

Pozbawiona jakichkolwiek poszlak policja nie potrafiła wskazać podejrzanych. Przesłuchano wszystkich znajomych Scotta, w tym również jego kolegów z pracy, ale na niewiele się to zdało. Leisha zeznawała bez oporu. Nie wiedziała, dlaczego Scott miałby w ten sposób zniknąć, niemniej wyraziła przypuszczenie, że mógł uciec z inną kobietą — miał niezwykle powódzenie. Nie potrafiła wytłumaczyć, w jaki sposób doszło do zachłapania jej sypialni krwią chłopaka.

Nie sprawiała wrażenia całkowicie szczerzej, ale policjanci uznali, że się boi, i starali się zdobyć jej zaufanie, aby się nie spłoszyła i nie przestała współpracować. Nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że ta drobna dwudziestoosmioletnia kobieta mogłaby popełnić morderstwo.

Przepełniony żalem Dunn próbował zainteresować sprawą wszystkich: od biura FBI w Waszyngtonie do gubernatora Teksasu, Georgea Busha. Na próżno. Samotnie przemierzał prerie zachodniego Teksasu, szukając ciała. Godzinami rozmawiał z wróżbitami w Baltimore i Filadelfii.

Dunn pojechał do Teksasu i zaprosił Hamilton na obiad, aby zaproponować wspólne poszukiwania Scotta. Po tej rozmowie Leisha nadal do niego dzwoniła, ale jej wypowiedzi stawały się coraz bardziej podejrzane. Jednego dnia twierdziła, że kocha Scotta i zrobi wszystko, aby go odnaleźć; w ciepłych słowach wyrażała też najgłębsze współczucie dla Jima.

262

Kiedy indziej wydawała się nieprzystępna, odpowiadała zdawkowo i sugerowała, że ciało Scotta spoczywa w znanym jej miejscu, którego Jim nigdy nie odnajdzie. Dunn, coraz bardziej nieufny wobec Hamilton i sfrustrowany postawą policji, postanowił przeprowadzić śledztwo na własną rękę. Pojechał do Nowego Meksyku, aby zweryfikować pogłoskę, że Leisha odsiedziała kiedyś wyrok za fałszowanie czeków. Mimo to nadal wyczekiwał jej telefonów, jako że z kręgu teksańskich znajomych Scotta wydawała się najlepiej znać jego syna. Hamilton stwierdziła kiedyś, że jako najbliższa przyjaciółka Scotta to ona powinna dostać jego samochód. Naciskała na Dunna, aby dał jej kluczyki.

Szczupły mężczyzna słuchał tej opowieści w milczeniu przez niemal trzy godziny.

— A zatem, panie Walter, co według pana powinienem zrobić? — spytał w końcu łamiącym się głosem Dunn. — Czy rzeczywiście doszło do morderstwa?

Walter zgasił papierosa i spojrzał na Dunna.

— Jim, nie masz już dość roli pogrążonego w żalu ojca?

Dunn otworzył szeroko usta.

— Ja... wydawało mi się, że to zupełnie naturalna postawa.

Walter potrząsnął głową, mocno zaciskając usta.

— Nie, do jasnej cholery! Powinieneś być wściekły! Ta dziwka zamordowała twojego syna! Może byśmy ją tak w końcu wsadzili do pierdła, co?!

Dunn siedział oniemiały. Profiler wpatrywał się w niego, czekając na odpowiedź.

W końcu mężczyzna rozchylił powoli usta w uśmiechu.

— Zaczynamy — oświadczył.

Waltera nadal niepokoiły emocje targające Dunnem, dlatego postanowił od razu poruszyć ten temat.

— Najpierw musimy wyraźnie rozgraniczyć twój stan emocjonalny i czynności niezbędne do rozwiązania sprawy. Jeżeli chodzi o miłość, gniew, nienawiść czy jakiegokolwiek inne uczucie w związku ze Scottem, możesz je żywić i wyrażać, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci ich przelewać na śledztwo. Mógłbyś zaburzyć jego przebieg, a tobie z kolei uczucia

263

zaczęłyby się mieszać z problemami strukturalnymi dochodzenia. Jeżeli będziesz miał ochotę, możemy oczywiście omawiać twój stan emocjonalny, niemniej w całkowitym odseparowaniu od sprawy, która wymaga chłodnego, rzeczowego podejścia.

Dunn przytaknął w milczeniu.

Walter zakazał mu również jakichkolwiek rozmów telefonicznych z Hamilton.

— Nie rozumiesz, o co jej chodzi? — w głosie Waltera pobrzmiwała niecierpliwość. — Próbuje cię zniszczyć emocjonalnie! Chce uczynić cię kolejną ofiarą. Zamordowała twojego syna i się tym przechwała, a teraz stopniowo zabija również ciebie.

Dunn otworzył szeroko oczy.

— Bawi się tobą, jakbyś był marionetką — ciągnął Walter. — Najpierw zapewnia, że kochała Scotta, za chwilę próbuje od ciebie wyciągnąć jego samochód. Ty, jako zaangażowany emocjonalnie ojciec, nie potrafisz spokojnie przeanalizować jej zachowania i dostrzec powtarzającego się motywu. Nie potrafisz jej powstrzymać, ponieważ nie wiesz, kim ona tak naprawdę jest. A jest psychopatką i to naprawdę niezlą. Właśnie realizuje największy przekręt swojego życia. Próbuje owinąć sobie ciebie wokół

palca. Doskonale wie, że chcesz znaleźć ciało syna, więc podsyca w tobie tę nadzieję, odsuwając jednocześnie podejrzenia od siebie.

Dunn siedział pogrążony w myślach.

— Nie potrafisz wzbudzić w sobie nienawiści do tej kobiety... choćby trochę?

Twarz Dunna zapłonęła gniewem. Tłumiona emocja wreszcie wydo-
stała się na powierzchnię

— Do diabła, oczywiście, że tak! Nienawidzę jej z całego serca! Myślę jednak, że jeżeli będę z nią nadal rozmawiał, dowiem się czegoś na temat Scotta. Może się w końcu wygada?

Walter zdjął okulary i utkwiał w Dunnie twarde spojrzenie. Mężczyzna opuścił wzrok.

— Zamordowała twojego syna — powiedział Walter. Na jego twarzy malowało się lekceważenie, jakby Hamilton nie zasługiwała nawet na pogardę. — Nie musisz jej na nic pozwalać. To nie jest słodka, niewinna

264

istota. Postawimy ją przed sądem. Masz wszelkie prawo jej nienawidzić. Ta kobieta jest bezwzględna morderczynią i nic tego nie zmieni, nieważne ile kitu ci wcisnęła.

Dunn sięgnął po leżące na stole wycinki z gazet, jakby chciał zabrać się do pracy.

— Nie — powstrzymał go zdecydowanie Walter machnięciem ręki, w której trzymał papierosa. — Nie ma potrzeby, abym zapoznawał się w tej chwili ze wszystkimi detalami. Wiemy dokładnie, co się zdarzyło. Leisha Hamilton jest psychopatką. Twój syn wpadł w sieć seksualnej dominacji i manipulacji zastawioną przez niezwykle wyrachowaną i silną kobietę. To ona go wykończyła.

Walter wstał, podszedł do okna balkonowego i odchylił zasłonę.

W przymglonych, żółtawych promieniach słońca po Broad Street sunęła powoli kolumna samochodów.

— Wydzwania do ciebie, ponieważ chce cię podporządkować. Tymczasem my pozbawimy ją tej władzy. Ona tobą manipuluje, wyciągając kolejne informacje, ponieważ dają jej poczucie władzy, a władza dla psychopaty jest najważniejsza. Jaki z tego morał? Przestań jej współczuć i ogranicz pogawędkę z Leishą Hamilton, ponieważ ona czyta w tobie jak w otwartej księdze. Gdyby się czegoś domyśliła, miałyby to niekorzystne konsekwencje dla ciebie i dla samego śledztwa.

Dunn przetknął ślinę.

— Nie wiedziałem, co robić...

— Nie przejmuj się tym, Jim — przerwał mu Walter. — Jesteś pogrążonym w żałobie ojcem. Nie mam zamiaru o nic cię winić, chcę tylko uwolnić cię od destrukcyjnego wpływu tej kobiety. Musimy odzyskać kontrolę nad sytuacją, a nie pozwalać, by sprawowała ją Hamilton. To spotkanie jest pierwszym świadectwem, że przejmujemy inicjatywę.

Dunn pokiwał głową. Walter dostrzegł na jego twarzy lekki rumieniec, a w głosie prawdziwe emocje. „Nadal sprawia wrażenie stłamszonego. Musi nabrać wiary w siebie”, pomyślał Walter. Podejrzewał, że policja mogła robić Dunnowi nieprzyjemności z powodu stylu życia Scotta — chłopak rzucił szkołę i był raz aresztowany za posiadanie niewielkiej ilości narkotyków. Dunn zdawał się trochę wstydzić za syna.

265

— Jim, wspominałeś, że Scott miał jakieś problemy i nie ułożył sobie życia tak, jak byś sobie tego życzył — powiedział Walter.

Dunn pokiwał ze smutkiem głową. Walter machnął niecierpliwie ręką, jakby Dunn go nie rozumiał.

— Posłuchaj, Jim. Scott miał dwadzieścia kilka lat, a dzieciaki czasami zachowują się nieodpowiedzialnie i wplątują się w ryzykowne sytuacje. Niekiedy tego rodzaju błędne decyzje prowadzą do tragicznych w skutkach występków. Wydaje mi się, że najgorszą zbrodnią — jeżeli to odpowiednie słowo — jaką popełnił Scott, było obdarzenie zaufaniem nieodpowiedniej osoby, sypanie z nieodpowiednią osobą i stworzenie związku z nieodpowiednią osobą.

— Wiem, że mój syn nie był ideałem, ale byłem dumny z postępów, jakie robił — stwierdził Dunn.

— Do tego właśnie zmierzam. Często się zdarza, że młodzi ludzie niepotrafiący spełnić oczekiwań własnej klasy społecznej lub mający poczucie, że naruszyli jej standardy, nie wytrzymują presji otoczenia i zaczynają orientować się na niższą klasę społeczną lub mniej wymagający krąg towarzyski — kontynuował profiler. — Ci choćby trochę ambitniejsi postanawiają po jakimś czasie przeorientować się na wcześniejsze standardy i wrócić do własnej grupy. Wiem, że to elitarystyczna wizja świata, ale tak to właśnie działa.

— Naprawdę się cieszyłem, kiedy zaczął sobie porządkować życie — wtrącił Dunn.

— Przystaje brać narkotyki, dostaje porządną pracę — przytaknął Walter. — Mimo że tkwi w toksycznym związku z Leishą Hamilton, jak to się zdarza dwudziestolatkom, znajduje bardziej wartościowe, prawdziwe uczucie, Jessicę. Próbuje wrócić do klasy społecznej, z której się wywodzi. Leisha odkrywa, że Scott ją za chwilę rzuci, a ponieważ nikt nie rzuca Leishy Hamilton, to ona się go pozbywa. Chłopak miał pecha związać się z niebezpieczną psychopatką. Nie on pierwszy i nie ostatni. Nieprzypadkowo mówi się o uroku psychopatów.

Dunn westchnął.

— Pamiętaj, Jim, że nie będziemy zajmowali się wyłącznie sprawą morderstwa. Scott został pozbawiony możliwości naprawienia błędów 266

młodości i rozpoczęcia porządnego, produktywnego życia. Naszym zadaniem, a przede wszystkim twoim jako ojca, będzie podjęcie tego wyzwania i oczyszczenie jego dobrego imienia.

— Od czego zaczynamy? — spytał Dunn, nie odrywając wzroku od profilera.

— Wydział policji w Lubbock musi się do mnie zwrócić o pomoc. Towarzystwo Vidocq'a nie angażuje się w śledztwa, jeśli nie zostanie oficjalnie zaproszone i nie otrzyma zapewnienia o pełnej współpracy policji. Do tego czasu możemy jedynie dyskutować o sprawie we dwójkę.

— Zadzwoń, żeby ich do tego przekonać — oświadczył z zapalem Dunn. — Muszą mnie zrozumieć.

— Wszystko w rękach policji — powiedział Walter. — Jeżeli odmówią, marnujemy tylko czas. I jeszcze jedno.

Dunn sprawiał wrażenie oszołomionego. Czuł ulgę i jednocześnie był przytłoczony, ale niewątpliwie dostał zastrzyk odwagi i optymizmu.

Rysy twarzy szczupłego mężczyzny wyostrzyły się w mroku panującym w pokoju.

— Towarzystwo Vidocq'a pomoże ci w miarę możliwości, ale ja osobiście daję ci gwarancję, że nie pozwolę, aby morderstwo uszło tej dziewczynie na sucho.

Rozdział 33

Morderstwo w katedrze

Tydzień przed Bożym Narodzeniem na ekranie w Karczmie Miejskiej zmaterializowała się mała dziewczynka o jasnych włosach, martwa od trzydziestu lat. Drobne, posiniaczone i poranione ciało z pozbawioną ży-

cia, ziemistą twarzą połyskiwało w promieniach południowego słońca. Fleisher dostał drgawek. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Tego samego dnia rano w domu towarowym Strawbridge & Clothier widział Ebenezera Scroogea trzęsącego się na widok Ducha minionych świąt Bożego Narodzenia w wystawianym tradycyjnie co rok przedstawieniu na podstawie Opowieści wigilijnej Charlesa Dickensa. Zamordowana dziewczynka z fotografii, dziewięcioletnia Carol Ann Dougherty, nie była wytworem niczyjej wyobraźni. Fleisher nie dygotał ze strachu. Dygotał z wściekłości.

Zabójstwo Dougherty było jednym z jego najsmutniejszych i najbardziej traumatycznych wspomnień z dzieciństwa. Zwłoki Carol Ann znaleziono w październiku 1962 roku w kościele św. Marka w Bristolu, jednym z przedmieść Filadelfii, niedaleko od domu Fleishera. Została zgwałcona i zamordowana. Uczennica piątej klasy szkółki parafialnej zginęła w czasach, gdy policja i opinia publiczna nie zdawały sobie w pełni sprawy z perwersyjnych potrzeb seksualnych wielu księży oraz trwającej od dawna w Kościele katolickim praktyki przenoszenia księży pedofilów — tych wilków w owczej skórze — od jednej bezbronnej trzódki do drugiej, co

268
umożliwiało im dalsze wykorzystywanie dzieci. Morderca Carol nigdy nie odpowiedział za swoje czyny.

Kiedy rankiem 17 grudnia 1992 roku Towarzystwo Vidocq'a zaczynało analizować sprawę „Morderstwa na chórze”, Fleisher przekuł kipiący w swoim wnętrzu gniew w pragnienie odrobienia zaniedbań z przeszłości. Trzydzieści lat, jeden miesiąc i dwadzieścia pięć dni po morderstwie komisarz policji z Bristolu Frank Peranteau oraz oficer śledczy Randy Moore weszli na mównicę, aby przedstawić sprawę członkom klubu. „Przyda nam się każda pomoc”, powiedział wcześniej Peranteau. Seria artykułów w dzienniku „Courier Times” autorstwa J.D. Mullanea obudziła na nowo zainteresowanie najstarszą nierozwiązaną sprawą hrabstwa Bucks. Tamtejszy prokurator okręgowy postanowił zbadać zasadność wznowienia śledztwa i powołał w tym celu ławę przysięgłych. Komisarz Peranteau otrzymał sprawę w spadku po poprzedniku, Vincencie Faragallim, który odszedł na emeryturę trzynastu lat wcześniej. Faragalli miał obsesję na punkcie tego przypadku, nosił nawet w portfelu zdjęcie Carol. Policjanci przyznali, że nigdy „nie zdołali zbliżyć się” do rozwiązania.

Leżące na plecach ciało Dougherty znaleziono na chórze w dniu,

w którym została zgwałcona i zamordowana. Była to jedna z tych spraw, przy których kelnerzy i kelnerki obsługujący gości w Sali Morderstw odwracali głowy. Światło sączące się przez witraż pozwalało dostrzec, że jasne włosy dziewczynki były potargane. Czerwona spinka, która normalnie zbierała je w koński ogon, leżała na podeście. Jedna ze stóp była bosa; but odrzucono na bok, skarpetką zakneblowano usta. Prawa rączka Carol została wykręcona na plecy. W lewej, wyprostowanej, trzymała trzy ciemne męskie włosy łonowe, które wyrwała w tragicznie zakończonej samotności. Została zgwałcona; na miejscu zbrodni znaleziono nasienie mężczyzny. Podłużne zaczerwienienie na szyi — ślad po sznurze, którą ją uduszono — wydawało się odpowiadać fakturze cingulum, którym kapłani przewiązują w pasie szaty liturgiczne. W Kościele katolickim cingulum symbolizuje czystość duchownego.

Jeden z kilku żyjących policjantów, którzy trzydzieści lat wcześniej prowadzili dochodzenie, wyznał dziennikarzowi „Courier Times”, że 269

sprawa zupełnie go rozbiła. „Do śledztwa podszedłem z pełnym zaangażowaniem, ponieważ sam miałem wtedy dziewięcioletnią córkę. Człowiek patrzył na tę dziewczyneczkę leżącą na chórze i nie mógł powstrzymać łez”.

Fleisher czuł, jak przedświąteczny pogodny nastrój ustępuje miejsca zgrozie. Kiedy tego poranka szedł przez obwieszone kolorowymi lampkami miasto, pozwolił sobie na chwilę zadowolenia z dzieła, jakim było Towarzystwo Vidocqa. Detektywi wprost palili się do walki o sprawiedliwość. Richard Walter przebywał akurat w zachodnim Teksasie, doradzając miejscowej policji w sprawie Dunna. Fleisher uśmiechnął się na myśl o zgryźliwym mrocznym rycerzu, wymachującym rapierem przed nosem podejrzanych albo policji — generalnie każdego, kto wszedł mu w drogę. Agent specjalny Urzędu Celnego Joe O’Kane, odpowiedzialny w Towarzystwie za nadzorowanie spraw, odpisywał na stopy listów przysyłanych przez pogrążonych w żałobie, skrzywdzonych ludzi z całego kraju. Rozeszła się wieść, że grupa pracujących pro publico bono detektywów z Miasta Braterskiej Miłości walczy o sprawiedliwość w sprawach związanych z morderstwami, których nie udało się rozwiązać policji.

Teraz jednak, zauważył Fleisher, wśród jego kolegów zapadło milczenie. „Wszyscy byliśmy poruszeni do żywego”, wspominał. Fleisher wiedział, że tego dnia będą zajmowali się jednym z najgłośniejszych morderstw z cza-

sów jego dzieciństwa, nie przypuszczał jednak, że już fotografia ofiary zrobi na nim takie wrażenie. Spoglądając na twarze doświadczonych detektywów, miał pewność, że zdołają rozwiązać zagadkę i tego morderstwa. W poniedziałek 22 października 1962 roku prezydent John F. Kennedy wystąpił w telewizji publicznej, aby poinformować obywateli, że Związek Radziecki zainstalował wyrzutnie pocisków nuklearnych na Kubie, sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Florydy. Tego popołudnia Carol pojechała po szkole rowerem do biblioteki, aby odebrać książkę i spotkać się z dwiema koleżankami. Policji nie udało się ustalić, dlaczego po drodze zatrzymała się w starym kamiennym kościele nad brzegiem rzeki. Tamtejsze zakonnice często zachęcały wiernych, aby wstępowali do świątyni na krótką modlitwę, kiedy tylko przechodzą obok. Świadkowie widzieli, jak Carol wchodzi do kościoła o czwartej.

270

Rodzice zaczęli jej szukać godzinę później, kiedy nie wróciła do domu na obiad. Frank Dougherty, z zawodu drukarz, znalazł jej rower na schodach kościoła św. Marka i wszedł do środka. Po chwili wybiegł na zewnątrz i zaczął wołać o pomoc. Wieść o morderstwie szybko rozeszła się po okolicy i setki ludzi zgromadziło się za taśmami ogradzającymi teren kościoła, jednego z miejsc, w których od XIX wieku ogniskowało się życie lokalnej wspólnoty. Zapadła noc. Na miejsce przybyli policjanci i lekarz sądowy. Niektórzy ludzie w tłumie wznosili okrzyki i płakali. Szeptano: „W kościele zamordowano dziewczynkę!”. Ludzie nie chcieli odejść, jakby zamierzali wytrwać tam do czasu, gdy świat ponownie powróci do stanu normalności. Po siedmiu godzinach komendant Vincent Faragalli poprosił, aby rozeszli się do domów. „Na razie nic jeszcze nie wiemy”. Faragalli ustalił, że na kilka minut zanim do kościoła weszła Carol, gospodyni parafii widziała osobę klęczącą w kościelnej ławce. Komisarz chciał za wszelką cenę ustalić tożsamość „tajemniczego świadka”, ale wszelkie próby o możliwość przesłuchania pracowników parafii były odrzucane przez księdza Paula Bairda. Duchowny kierujący kościołem św. Marka nie pozwolił również na przesłuchanie księży Josepha Sabadisha i Michaela Carrola.

Niemniej policja zdążyła przesłuchać Sabadisha już wcześniej i to właśnie na nim skupiła uwagę. Podczas rozmowy z oficerami śledczymi Sabadish plątał się w zeznaniach i sprawiał wrażenie niezwykle zdenerwowanego. Podał alibi, które policja z łatwością podważyła. Ksiądz twierdził,

że w czasie gdy doszło do morderstwa, on znajdował się kilka przecznic od kościoła, na West Circle. Miał składać parafianom wizytę duszpasterską, co księża ze św. Marka czynili raz do roku. Oficer śledczy, z którym po latach rozmawiał reporter Mullane, stwierdził, że Sabadish kłamał. „W drzwiach jednego z domów zostawił liścik, z którego wynikało, że na West Circle przebywał kilka godzin przed morderstwem”, powiedział. W 1962 roku sprzedawca ze sklepu obuwniczego w Bristolu opowiedział policji, że tamtego popołudnia Sabadish zjawił się u niego przed 16.30, czyli, jak sądziła policja, tuż po śmierci Carol. Ksiądz miał się dziwnie zachowywać. Nerwowo zapytał sprzedawcę o godzinę, następnie zadał osobliwe, biorąc pod uwagę widoczny asortyment, pytanie: „Czy macie 271

bieliznę?”. Sprzedawca pamiętał, że Sabadish miał na ręku zegarek, więc musiał wiedzieć, która jest godzina. Policjanci podejrzewali, że ksiądz próbował zapewnić sobie alibi. Czyżby Sabadish był seksualnym dewiantem? Potwierdzeniem tej hipotezy mogły być zdobyte przez policję rachunki za zakupy, które Sabadish zrobił w ekskluzywnym sklepie z damską bielizną. Policja równolegle badała inne wątki, jednak dzień przed Halloween, czyli tydzień po rozpoczęciu śledztwa, do komisarza Faragallogo dotarła niepokojąca informacja, która ponownie zwróciła uwagę policji na Sabadisha. Zamężna kobieta z pobliskich Fairless Hills zeznała policji, że trzy tygodnie przed morderstwem Dougherty Sabadish groził jej gwałtem. Księżdz poznała przed laty, kiedy mieszkała w domu dla niezamężnych matek, gdzie on pełnił funkcję kapelana. Teraz w rozmowie telefonicznej składał jej seksualne propozycje, oświadczając między innymi, że chce ją zgwałcić. Powiedział, że nie musi się obawiać zajścia w ciążę, ponieważ jest bezpłodny.

Mąż kobiety wpadł we wściekłość i zadzwonił do Sabadisha. Rozmowę nagrał na magnetofon. Sabadish przyznał się do składania nieprzyzwoitych propozycji i wypowiedania gróźb o charakterze seksualnym. Przepraszył i obiecał, że taka sytuacja nigdy więcej się nie powtórzy. Komisarz Faragalli odsłuchał nagranie.

Zgarnął Sabadisha z ulicy, wepchnął do nieoznakowanego samochodu i zawiózł do sądu hrabstwa Bucks w Doylestown, gdzie oficer śledczy poddał księdza testowi wykrywaczem kłamstw. Sabadish przeszedł badanie pomyślnie.

Policja zaczęła badać innych podejrzanych. Do zamordowania Carol

przyznał się znany w okolicy pijak. Dopiero po jakimś czasie stwierdzono, że mężczyzna jest chory psychicznie, a zeznanie wymusił na nim policjant z Bristolu. Na pierwsze miejsce listy podejrzanych wysunął się mężczyzna, który był już kiedyś karany za molestowanie dzieci, ale zdołał dowieść, że w czasie popełnienia morderstwa przebywał w innym stanie.

Policjanci prezentujący sprawę na lunchu Towarzystwa Vidocq'a wspomnieli, że Frank Dougherty nie potrafił pogodzić się z tym, że po śmierci Carol Kościół odwrócił się od jego rodziny. Ojciec Sabadish unikał kontaktu wzrokowego. Ani on, ani księża Carroll i Baird nie zadzwonili do

272

Doughertych choćby z kilkoma słowami pocieszenia. Kiedy Frank zapytał Sabadisha podczas spowiedzi: „Ojcze, czy mam prawo sądzić, że jakiś ksiądz mógł zabić moją córkę?”, kapłan wstał i opuścił konfesjonał.

Policja nie przesłuchiwała już więcej Sabadisha.

— Nie dysponowaliśmy żadnymi konkretnymi dowodami łączącymi go z morderstwem, pomijając wykrętne odpowiedzi, których udzielał w trakcie przesłuchania — tłumaczył jeden z oficerów śledczych.

Niedługo po badaniu wykrywaczem kłamstw Kościół po cichu przeniósł Sabadisha do innej parafii; wiernym ze św. Marka nie podano przyczyn tej decyzji. Wrócił kilka miesięcy później — ponownie nie wyjaśniono dlaczego. Pięć lat później trafił do parafii św. Wilhelma w Filadelfii. W ciągu kolejnych osiemnastu lat przenosił się jeszcze dwunastokrotnie w obrębie archidiecezji wschodniej Filadelfii. Kilka tygodni przed lunchem w Towarzystwie Vidocq'a reporter Mullane ustalił, że siedemdziesięciokilkuletni ojciec Sabadish pracuje jako kapelan w katolickim szpitalu w hrabstwie Montgomery. Mullane zapytał starego księdza, czy to on zabił Carol Ann Dougherty. Sabadish gwałtownie zaprotestował, nazywając tego rodzaju oskarżenia „całkowicie bezpodstawnymi”. Zaprzeczył, jakoby przed laty składał przez telefon nieprzyzwoite propozycje kobiecie z Fairless Hills. „Pierwsze słyszę”, oświadczył. Policjantów wyzwał od wariatów. Po ukazaniu się artykułów zadzwonił do Mullanea i wściekły, nazwał go antykatolikiem.

Policja z Bristolu wznowiła śledztwo; na liście podejrzanych znajdowało się kilka osób. Towarzystwo Vidocq'a poradziło oficerom, by zbadali nasienie, włosy łonowe i rozmazany odcisk palca pozostawiony na spince do włosów Carol. Najprawdopodobniej wszystkie należały do mordercy.

Po lunchu Fleisher opuścił Karczmę Miejską z mocnym postanowie-

niem wykrzyca sprawcy. „Zamordował ją ten ksiądz”, powiedział. „Wszyscy wiemy, że winny jest ksiądz”.

Kilka dni później Towarzystwo Vidocqa utworzyło grupę roboczą, której zadaniem było postawienie mordercy Carol Ann Dougherty przed sądem.

Rozdział 34

Chcę usłyszeć szczęk kajdanek

W pokoju panował grafitowy półmrok; na chodnikach pod budynkiem połyskiwał lód. Przenikliwy północny wiatr smagał okna wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy policji w Lubbock. Przybysz z Filadelfii nie miał miłych wspomnień z ostatniego tygodnia, który spędził na równinach zachodniego Teksasu. Przesiadywał w radiowozie, wpatrując się ponurym wzrokiem w pola bawełny falujące pod ciemnym, przywodzącym na myśl Dzień Sądu niebem. Dobre miejsce do polowania na gęsi, mówili. „Akurat... Raczej pierdolona pustynia, gdzie psy dupami szczekają”, odpowiedział w myślach. Nienawidził takiego przejmującego zimna. Humor poprawiła mu dopiero lektura gazety „Lubbock Avalanche-Journal”, w której znalazł następujący nagłówek: „superdetektyw wezwany, by rzucić światło na tajemnicze zaginięcie”. Na pierwszej stronie umieszczono entuzjastyczną relację z jego przyjazdu, ale dopiero dokończenie z drugiej strony sprawiło, że znalazł się na ustach całego miasta. „detektyw zamierza rozwiązać sprawę dunna”.

Walter stwierdzał śmiało, że policja w Lubbock w nieodległym czasie wskaże mordercę. Po całym dniu studiowania akt sprawy, przesłuchiwania świadków i rozmów z policjantami Walter obiecał, że osiemnastomiesięczny okres triumfu odrażających i przebiegłych morderców wkrótce dobiegnie końca. Z jego dotychczasowej analizy wynikało, że za zniknięcie Dunna odpowiadali ludzie inteligentni, którzy popełnili wszakże szereg błędów. Nieświadomie zdradzili mu swoje metody postępowania,

274

zostawiając za sobą ślady i strzępki informacji, które ostatecznie miały doprowadzić do ich zguby.

— Złapiemy ich, bo, po pierwsze, ta sprawa na to zasługuje, a po drugie, nie lubię ponosić porażek w śledztwach. Mam mentalność buldoga, interesuje mnie tylko jedno: chcę usłyszeć szczęk kajdanek. Chcę wreszcie doprowadzić tę sprawę do końca. Na miejscu mordercy nie czułbym się bezpiecznie i nie kupowałbym zielonych bananów.

O ósmej rano grudniowego dnia 1992 roku Walter spotkał się z kapralem, sierżantem i oficerem śledczym. Ubrany w niebieski garnitur psycholog wyglądał na wypoczętego i rześkiego, a jego niebieskie oczy lśniły nad wpiętą w klapę szpiłką w kolorach francuskiej flagi. Oficer śledczy Tal English był wysokim dwudziestosiedmioletnim mężczyzną o skromnym obejściu, pasującym jakoś do jego płowych włosów i kowbojskich butów. W ciągu kilku miesięcy telefonicznych kontaktów między nim i Walterem wytworzyła się koleżeńska więź. Psycholog wychrypiał kiedyś do słuchawki: „Młody człowieku, przejdziemy przez bramę piekła i wyciągniemy to śledztwo z powrotem do świata żywych”. Dystyngowany, szpakowaty kapral George White oraz duży i tysi sierżant Randy McGuire siedzieli w milczeniu, przyglądając się z ciekawością psychologowi. Oparta na wzajemnym szacunku współpraca układała się dobrze, ale dwaj doświadczeni policjanci nie mieli jeszcze okazji spotkać się oko w oko z „superdetektywem” z Towarzystwa Vidocq’a.

Po wymianie tradycyjnych teksańskich uprzejmości, które Walter zawsze doceniał, psycholog przeszedł od razu do rzeczy: powinni natychmiast udać się do prokuratora okręgowego Trávisa Warea. Walter chciał, aby prokurator wniósł oskarżenie przeciwko Leishy Hamilton oraz jej sąsiadowi i kochankowi Timowi Smithowi. Zdaniem Waltera byli współnikami.

Kapral White i sierżant McGuire obrzucili przybysza z Filadelfii przeciąglymi spojrzeniami. Toczące się od roku śledztwo traktowano priorytetowo. Jim Dunn, ojciec Scotta, pochodził z tamtych stron i należał do najbardziej znanych absolwentów Politechniki Teksańskiej. Jego najlepszym przyjacielem był kolega ze studiów, W.R. Collier, dyrektor największego lokalnego banku w Lubbock. W niezwykle ważne dla lokalnej

275
społeczności dochodzenie w sprawie zniknięcia syna marnotrawnego — który rozplynął się w oparach seksu i krwi policja zainwestowała tysiące roboczogodzin. Morderstwa w osiemdziesięciosześcioletnim Lubbock były zjawiskiem relatywnie rzadkim, niemniej doniesienia o przebiegu akurat tego śledztwa czytali przy kawie mieszkańcy Plainview, Dallas, a nawet Jacksonville na Florydzie. Policja robiła wszystko, aby znaleźć sprawców. Lubili Waltera, a on ich („miejscowi gliniarze to równi goście”), ale nie potrafili zrozumieć, jak czarująca dwudziestoosmioletnia kobiątka mogła stworzyć tak rozległą sieć kłamstw i popełnić z zimną

krwią morderstwo.

Walter próbował ich przekonać do swoich argumentów.

— To śledztwo przypomina próby schwycenia w dłonie dymu — powiedział. — Możecie go zobaczyć, możecie go poczuć, ale trudno go złapać.

Walter zaproponował, by raz jeszcze przeanalizowali miejsce zbrodni — sypialnię, której ściany i sufit zostały zbryzgane krwią. Wszyscy zgodzili się, że Scott Dunn bez wątplenia zginął w tym pokoju, ale policjanci twierdzili, że na tym kończą się ich możliwości, ponieważ nie znaleziono ani ciała, ani broni. Tekszańskie prawo nie pozwalało oskarżyć nikogo o morderstwo bez fizycznych dowodów zbrodni, o czym nieustannie przypominał im prokurator okręgowy.

Walter miał inny pogląd na tę sprawę.

— No dobrze, rzeczywiście nie mamy ciała, ale potraktujemy jego brak jako wskazówkę. Wykorzystajmy ten fakt do posunięcia śledztwa naprzód.

Szkopuł w tym, opowiadał w prywatnych rozmowach Walter, że „gliniarze potrzebują konkretów. Myślą w kategoriach struktury. Całe dochodzenie jest ze swej natury ustrukturyzowane. Tradycyjna metoda polega na prowadzeniu śledztwa od wewnątrz, a punktem wyjścia stają się zgromadzone dowody. Jeżeli nie ma ciała, brakuje podstawowego dowodu i to zamyka sprawę. W takiej sytuacji należy poprowadzić śledztwo od zewnątrz, czyli skupić się na badaniach laboratoryjnych, przeanalizować miejsce zbrodni”. Walter uśmiechnął się pod nosem na myśl, że to właśnie ekscentryczny Eugène François Vidocq w dziewiętnastowiecznym Paryżu

276

jako pierwszy miał czelność zapoznać prostolinijnie myślących żandarmerów z szerszym i głębszym spojrzeniem na śledztwo.

„Policjanci mają rację, gdy twierdzą, że kluczową rolę odgrywają dowody znalezione na miejscu zbrodni”, przyznał w myślach. „Analizę należy zawsze opierać na faktach, ale trzeba myśleć wielotorowo, a nie linearnie. Niestety, niewiele osób to potrafi”.

Upił łyk chłodnej kawy.

— Panowie, czasami ważniejsze jest to, czego nie ma na miejscu zbrodni, niż to, co jest — oświadczył. Podniósł fotografię przedstawiającą efekt spryskania ścian pokoju luminolem. — Co widzicie, a czego nie widzicie? Nie widzicie zbrodni w jej najbardziej rudymenciej formie, niemniej jej

istota przetrwała.

— W tym pokoju rozegrała się jakaś makabryczna scena — kontynuował. — Zmasakrowano człowieka, a starannie oczyszczone ściany świadczą o tym, że morderca drobiazgowo zaplanował całą operację. Doskonale wiedział, co robi, i miał określony cel. Nie było to morderstwo rekreacyjne. Przy słowie „rekreacyjne” policjanci zrobili zdumione miny.

— Morderca rekreacyjny — pośpieszył z wyjaśnieniem Walter — w rodzaju Bundy’ego wybiera przypadkową ofiarę i zabija ją dla sadystycznej przyjemności. Zostawiłby po sobie większy nieład i miejsce zbrodni nalaadowane symboliką. Ponieważ nie widzimy tego rodzaju śladów, możemy wyciągnąć wniosek, że zabójca znał Scotta.

Przerwał na chwilę, aby policjanci mogli ten wniosek przetrawić.

— Staranie zaplanowane morderstwo, uprzątnięcie miejsca zbrodni oraz brutalne zniszczenie i pozbycie się ciała wskazują na mordercę o tak zwanym profilu stanowczej siły — kontynuował. — To łatwy do rozpoznania typ, z którym w przeszłości wielokrotnie miałem do czynienia. Zabija, bo dąży do całkowitej kontroli i dominacji. Nie chodzi tu jednak o zaspokojenie potrzeby władzy za pośrednictwem jakiejś fantazji, ale o siłę w stylu Johna Waynea: atak prawdziwego macho. Brutalny i nieskomplikowany: obezwładnić, skrępować, poddać torturom, zabić, pozbyć się ciała. Władza z gatunku: „Ja wygrywam, ty przegrywasz”.

Zimny uśmiech przebiegł przez twarz Waltera.

— Tak, na kilometr śmierdzi to mordercą o profilu stanowczej siły.

277

Zachęcił ich do przeanalizowania związku Scotta i Leishy. Dwudziesto-czteroletni Scott był przystojnym, bystrym, pewnym siebie kobieciarzem. Zdobyć Leishy musiał potraktować jako ekscytujące wyzwanie. Była od niego starsza, równie jak on inteligentna, seksowna, nonszalancka i dobra w łóżku. Nie zaprzętał sobie głowy jej charakterem, tymczasem kobieta była najzwyczajszą w świecie manipulatką, swego rodzaju Matą Hari.

— Leisha miała na koncie wielu przygodnych kochanków, mężów, przelotnych partnerów, chcianych i niechcianych dzieci. Urodziła sześćoro dzieci i nie wiedziała, kto jest ojcem części z nich. Policji wyznała, że kocha jedynie te, które poczęły się z miłości — zauważył ironicznie Walter. Przerwał, aby słuchacze mieli chwilę na przemyślenie kolejnej porcji informacji.

— Również Leisha mogła uważać usidlenie Scotta za wyzwanie. Zwią-

zek dawałby jej dostęp do majątku jego ojca. Tymczasem, jak to typowy dwudziestoczołatek, Scott widział w niej partnerkę seksualną, a nie dziewczynę, którą chciałby przedstawić mamie i tacie. Chłopak wychodził akurat wtedy na prostą, więc kiedy spotkał „porządną” dziewczynę, prawdziwą miłość, postanowił zostawić Hamilton.

Los Scotta został przesądzony w dniu, w którym Leisha odebrała telefon od niedoszłej narzeczonej. „Nikt nie rzuca Leishy Hamilton. Wykluczone!”

Na twarz Waltera wystąpił szary odcień.

— Kiedy prześledzimy życie Leishy, widzimy wyraźnie, że ta kobieta nie potrafi znieść najmniejszego odrzucenia, utraty kontroli. Stworzyła kilka krótkotrwałych związków. Nie były monogamiczne, ponieważ mniej zależało jej na zdobywaniu mężczyzn, a bardziej na odbieraniu im męskości. Ale Scott to również dość silna osobowość. Z tego rodzaju jędzowatą kobietą może mieć romans, ale nie zamierza jej przedstawiać rodzicom. Na scenę wkracza Jessica i chłopak nabiera wiary w siebie. Nie potrzebuje już Leishy. Ale odrzucenie względów psychopaty, powiedzenie mu: „Jestem od ciebie lepszy”, to prosta droga do załatwienia sobie wyroku śmierci.

— Wszystkie poczynania Hamilton świadczą o tym, że jest psychopatką — stwierdził ponuro. — Spragniona władzy wiedźma wybiera sobie

278
młodszych mężczyzn, uwodzi ich i próbuje kontrolować za pomocą seksu i gróźb. W końcu trafiła na takiego, który nie podjął gry, albo podjął, tylko że sam zaczął ustalać reguły — i nie umiała znieść upokorzenia i zakwestionowania jej dominującej pozycji.

Walter podejrzewał, że przygotowując się do zamordowania Scotta, Leisha owinęła sobie wokół palca kilku jego kolegów z pracy, którzy dali się wplątać w zastawioną przez nią sieć gróźb. Wielu żywiło do Scotta silną urazę, gdyż „w firmie panowała atmosfera współzawodnictwa i rywalizacji; wszyscy sobie nawzajem wszystkiego zazdrościli”. Scott był nie tylko gwiazdą, „stereokowbojem” i przystojniakiem z reklam telewizyjnych sklepu, ale uchodził za człowieka pewnego siebie i aroganckiego. „Na każdym kroku przypominał wszystkim o swoim gwiazdorskim statusie, nie zdając sobie nawet sprawy z możliwych konsekwencji swojego zachowania”, wyjaśniał Walter. Psycholog podejrzewał, że sklep stosował popularny przekręt polegający na zlecaniu kradzieży i odsprzedawaniu własnego

sprzętu nagłaśniającego. „Scott o tym wiedział i w razie czego miałby na nich haka. Zwróćcie uwagę, że na tydzień przed zniknięciem Scott i jego szef pobili się na tyłach sklepu”.

Policja próbowała odszukać licznych byłych kochanków Leishy, jednak w ocenie Waltera tylko kilka osób miało dostęp do Scotta. Sekwencja wydarzeń, która doprowadziła do zamordowania Scotta, miała początek na imprezie w domu jego szefa. Leisha na nią przyszła, ale nie ze Scottem. Jemu towarzyszyła wysoka, piękna blondynka, która zdaniem Waltera uprawiała następnie seks oralny z innymi mężczyznami. „Kiedy ich o to zapytałem, wszyscy zaprzeczyli, ale wielu spuściło wzrok”, wyjaśnił. Na zakończenie wieczoru Scott ogłosił triumfalnie: „Tak wam się podobało, a to był transwestyta!” Nie trzeba dodawać, że ujawnienie tego rodzaju grzeszku zrujnowałoby życie wielu mężczyzn pracujących w sklepie. W ten sposób zamiast do zbrodni zaplanowanej, doszło do zbrodni improwowanej w konsekwencji nadarzającej się sposobności.

Leisha zeznała, że jeszcze na przyjęciu Scott rozchorował się na grypę. Osłabł tak bardzo, że nie mógł ustać na nogach. Walter inaczej interpretował zdarzenia tamtego wieczoru: mordercy już wtedy zaczęli wciągać w życie nowy plan. „Moim zdaniem został otruty organofosforanem,

279
jakimś środkiem czyszczącym. Świadczy o tym niska tolerancja na światło i dźwięk”. Scott spędził noc na sofie w domu szefa. Następnego popołudnia zjawiła się Leisha i zabrała go do siebie. Sąsiadka widziała, jak Hamilton prowadzi schodami ślaniającego się młodego mężczyznę i wchodzi z nim do mieszkania. Od tego czasu nikt poza Leishą i kolegą z pracy nie widział Scotta. Leisha zeznała, że tego dnia wyszła do sklepu po żupę i termometr, a potem czuwała przy Scotcie przez całą noc i następny dzień. Rano przyszedł po niego kolega z pracy, ale Scott nadal był chory. Później już nikt nie widział go żywego.

Leisha poprosiła mieszkającego obok Tima Smitha, młodego ewangelika, o pomoc w zamordowaniu Scotta. Smith zasypywał ją wcześniej listami miłosnymi, w których znalazł się między innymi następujący fragment: „Gdyby Scott zniknął, moglibyśmy być razem”. Taśmą klejącą przyniesioną z mieszkania Smitha szczelnie owinęli przesiąknięty krwią dywan z sypialni i zastąpili go nowym.

— To typowa metoda postępowania mordercy o profilu stanowczej siły — powiedział Walter. — Klasyka. Jeżeli takim mordercą jest kobie-

ta, do osiągnięcia swoich celów posługuje się flirtem i seksem; do przemocy ucieka się dopiero, gdy zostanie podważona jej dominująca pozycja. Najczęściej obezwładnia silniejszego od niej mężczyzny podstępem lub pozyskuje życzliwie do niej nastawionego, słabego współnika. Leisha zrobiła obie te rzeczy. Typowy morderca o profilu stanowczej siły odczuwa ponadto potrzebę przechwalania się morderstwem. Włącza się aktywnie w śledztwo i próbuje przejąć nad nim kontrolę, aby w ten sposób podsyć fantazje związane ze zbrodnią.

Zwracając na siebie uwagę, Leisha popełniła gruby błąd.

— W jaki sposób dowiedzieliśmy się o morderstwie? Ano w taki, że Leisha zadzwoniła do Jima Dunna. W ten sposób doprowadziła do wszczęcia śledztwa, nie tylko kierując je na określony tor — zdawała sobie przecież sprawę, że Jim będzie szukał Scotta — ale również ujawniając swoje nienasycone pragnienie władzy. Ukatrupiła już syna, a teraz postanawia wykończyć ojca. Następnie kokietuje policjantów, przedstawiając się w roli skrzywdzonej kobiety, wydzwanając do nich nieustannie z nowymi informacjami, udając strach przed Timem Smithem. Po 280

morderstwie wprowadziła się do niego, aby go sobie do końca podporządkować, ostatecznie bowiem to na niego ma spaść odpowiedzialność za zbrodnię. Potrzeba stymulacji, zaspokajania próżności jest u psychopaty praktycznie nienasycona. Tacy ludzie uważają się za przebieglejszych od innych; odczuwają przyjemność, mogąc zagrać nam na nosie.

W opublikowanym w „Avalanche-Journal” artykule na temat przybycia Waltera zacytowano wypowiedź Leishy, w której stwierdziła, że Smith miał status podejrzanego w śledztwie i był niesłychanie zazdrosny o jej związek ze Scottem.

Smith nie przyszedł do pracy w dniu, w którym Scott został zamordowany. Hamilton nie umiała wytłumaczyć, co robiła tego dnia, choć wydarzenia poprzednich i kolejnych dni potrafiła odtworzyć niezwykle szczegółowo.

Walter uważał, że samo morderstwo miało makabryczny przebieg.

Podtruty Scott przeżył dwa dni w sypialni, skrępowany i torturowany.

„Mordercy tego rodzaju zazwyczaj używają broni palnej do poskromienia lub zastraszenia ofiary. Z kolei bronią białą uderzają, tną i w inny sposób znęcają się nad ofiarą, czerpiąc z zadawania tortur satysfakcję emocjonalną. Świadectwem użycia takiej broni są w tym wypadku obryzgane

krwią ściany. Znęcanie się nad ofiarą pozwala mordercy przezwyciężyć strach i niepewność oraz przywrócić poczucie dominacji. Musiało paść wiele zdań w rodzaju: „I co, nadal chcesz mnie zostawić, gnojku? Co powiesz na to?!”. Scott przekroczył granicę, podważając władzę tej kobiety i zapłacił za to życiem.

Zdaniem Waltera w noc po morderstwie Leisha i Tim uprawiali seks w jej mieszkaniu.

— Taki drobny wyraz wdzięczności z jej strony — powiedział Walter. — Ale dopiero po usunięciu ciała i uprzątnięciu pokoju. Nawet psychopaci mają jakieś standardy — dodał z paskudnym uśmiechem. Oficer śledczy English kręcił ze smutkiem głową, przerażony skalą wyrządzonego zła. Opał na krzesło z głośnym westchnieniem. Sporządzony przez Waltera profil psychologiczny Leishy jako psychopatki wydawał mu się trafny. Teraz rozumiał, dlaczego Jim Dunn określił ustalenia Waltera mianem „niesłychanych”. Nie przekonała go wszakże teoria

281

o spisku, a i dwaj pozostali funkcjonariusze wydawali się w nią powątpiewać. Policjanci wiedzieli, że Hamilton zataiła przed nimi jakieś informacje, i zaliczali Smitha do grona podejrzanych. „Na moją analizę zareagowali z teksańską uprzejmością, ale najwyraźniej uznali, że wszystko to jest palcem na wodzie pisane”, wspominał później Walter. Policjanci wyrazili od razu pewność, że do teorii Waltera w żadnym wypadku nie zdołają przekonać prokuratora okręgowego Trvisa Ware'a. Jak powiedział Dunnowi sierżant McGuire, „wielokrotnie byłem świadkiem, jak Ware spuszczał ludzi po brzytwie, kiedy tylko uznał, że mają słabe dowody. Proszę mi wierzyć, nie chce pan rozmawiać z Travisem Ware'em”.

Walter nie chciał tego słuchać. Był gotów na spotkanie z prokuratorem. — Odwiedzimy go wreszcie — zakomenderował. — Nie lubię się opieprzać.

Policjanci niechętnie zaprowadzili go do biura głównego stróża prawa w teksańskim hrabstwie Lubbock.

Biuro prokuratora okręgowego było przestronne i emanowało męską władczością. Travis Ware, ciemnowłosy, wysoki, nienagannie ubrany mężczyzna podniósł się ze skórzanego fotela stojącego za wielkim, wypolerowanym na błysk drewnianym biurkiem. W zdumiewającym geście hegemonii postawił jeden z czarnych, skórzanych butów na blacie. Walterowi skojarzył się z matadorem. „Leisha nie jest tu jedyną postacią

o profilu stanowczej siły. Zobaczymy, kto wykaże się większym uporem", pomyślał z rozbawieniem.

Walter, English, McGuire, Dean Summerlin i Frank Wiley, szef wydziału kryminalnego, usiedli na małych krzesłach ustawionych wokół biurka prokuratora; wyglądali jak pionki otaczające króla. Walter błyskawicznie ocenił w myślach Ware'a: czterdzieści kilka lat, w miarę przystojny, spod mankietu wystaje drogi złoty zegarek. „Och, i jeszcze ten narcyzm. Słabość, którą można wykorzystać", skonstatował.

Przez pierwsze dwadzieścia minut prokurator okręgowy opowiadał o sobie. „Zupełnie jakby chciał dorównać moim doświadczeniom ze Scotland Yardu", pomyślał Walter. Wspomniął o edukacji, którą odebrał w Anglii, oraz o wielu genialnie przygotowanych oskarżeniach w sprawach

282
o morderstwo, które świadczyły o jego wspaniałości. W końcu psycholog postanowił wykorzystać próżność prokuratora i powiedział: „Niejedna osoba w tym pokoju jest w jakiś sposób związana z Anglią", po czym niby przypadkiem wspomniął o „błyskotliwym przyjacielu", doktorze Richardzie Shepherdzie z Londynu, który pomaga mu przy tej sprawie.

— No dobrze. Prosiliście o spotkanie. Czego chcecie? — spytał szorstko Ware, spoglądając na nich z góry.

— Chcemy, aby Leishę Hamilton i Tima Smitha oskarżono o morderstwo Scotta Dunna — odparł natychmiast Walter.

Prokurator uśmiechnął się szyderczo.

— Nie macie dowodów uprawniających do wniesienia sprawy o morderstwo — stwierdził protekcjonalnym tonem, jakby zwracał się do dzieci w szkole. — Człowiek zaginął i tyle. Nie znaleźliście nawet ciała. A bez ciała nie ma morderstwa. Jeżeli znajdziecie ciało, możecie do mnie wrócić. Profiler zdjął okulary w rogowej oprawie i spiorunował prokuratora wzrokiem.

— Jeżeli chce pan zobaczyć cholerne zwłoki, to proszę bardzo. Są tu, w raporcie doktora Shepherdza.

Z poczerwieniałą z gniewu twarzą Walter wstał i rzucił na biurko cienki raport w niebieskiej oprawie zatytułowany Analiza próbek pobranych w miejscu zamordowania Rogera Scotta Dunna.

— O czym pan, do diaska, opowiada?

— Zwłoki znajdzie pan w środku — powiedział Walter. — Doktor Shepherd dowodzi w swoim raporcie, że Dunn zmarł w swoim pokoju

i że został zamordowany.

Walter jakiś czas wcześniej poprosił detektywa Englisha, aby zlecił miejscowemu patologowi przeprowadzenie analizy miejsca zbrodni w celu ustalenia, czy ze znalezionych tam śladów krwi można wyciągnąć wniosek, że w pokoju wykrwawił się na śmierć mężczyzna o wzroście sto osiemdziesiąt osiem centymetrów i wadze siedemdziesiąt pięć kilogramów. Doktor Sparks Veasey, lekarz sądowy hrabstwa Lubbock, odmówił, twierdząc, że nie dysponuje wystarczającą ilością danych. Idąc za radą Waltera, English wysłał paczkę z kopiami całych akt sprawy, fotografiami i próbkami zakrwawionego dywanu do doktora Richarda Shepherd, lekarza sądowego

283

z Guy's Hospital w Londynie, współpracownika Scotland Yardu. „Dick jest najlepszy w swoim fachu. Poza tym jest mi winien przysługę”, zapewnił go Walter.

Po przebadaniu plam krwi na południowej i wschodniej ścianie, suficie oraz kłamce doktor Shepherd napisał, że „zdecydowanie najbardziej prawdopodobną przyczyną” obryzganania ich krwią była „seria urazów zadanych tępym narzędziem”. Ponadto „układ plam krwi idealnie pasuje do sytuacji, w której ofiara leży na podłodze i zadawane są jej ciosy skutkujące wspomnianymi rozprysnięciami”. Choć niemożliwe było obliczenie ilości utraconej krwi, rozprysnięcia wskazywały, że Scott Dunn został wielokrotnie uderzony z dużą siłą w okolice głowy, a obrażenia głowy są „w takich przypadkach główną przyczyną śmierci”.

Ponieważ z testów DNA wynikało, że jest 958 680 razy bardziej prawdopodobne, iż wykryta krew pochodzi od potomka Jamesa Dunna niż od jakiegokolwiek innego człowieka na kuli ziemskiej, doktor Shepherd napisał w podsumowaniu, że plamy krwi w pokoju: „1) nie powstały w wyniku naturalnej śmierci; 2) idealnie odpowiadają wielokrotnemu zadawaniu ciosów tępym narzędziem lub tępymi narzędziami; 3) idealnie odpowiadają ciosom zadawanym z siłą wystarczającą do zadania śmierci; 4) potomek Jamesa Dunna doznał szeregu urazów spowodowanych ciosami tępym narzędziem lub narzędziami, przebywając w południowo-wschodnim kącie pokoju, i urazy te spowodowały jego zgon”.

Pod raportem znajdował się następujący podpis: „Richard Thorley Shepherd, starszy wykładowca i honorowy konsultant w sprawach medycyny sądowej. United Medical Schools of Guy's and St. Thomas's, Guy's Hospital, Londyn”. Po nazwisku znajdowała się dodatkowo pokaźna lista me-

dycznych tytułów naukowych.

Prokurator podniósł wzrok znad raportu i wysunął do przodu podbródek w geście sprzeciwu. Tak czy inaczej, ciała nie znaleziono, stwierdził.

„Nie jestem pewien, jak by to wyglądało w świetle prawa Teksasu”.

— Tak się składa, że mam przy sobie kodeks z odpowiednim paragrafem — oświadczył radośnie Walter.

Ware zareagował nikłym uśmiechem.

— Specjalnie mnie to nie dziwi.

284

Walter otworzył zbiór ustaw i odczytał przepis, przedstawiając jednocześnie jego interpretację.

— Teksaskie prawo zasadniczo wymaga przedstawienia: a) ciała, b) części ciała lub c) zeznania potwierdzonego dowodami. Dysponujemy „b”. Mamy krew — krew to tkanka łączna, a więc część ciała.

Ware rozparł się w fotelu i złączył dłonie. Wpatrywał się w profilera.

— No dobrze — powiedział w końcu. — Macie sprawę o morderstwo. Przez twarz szczupłego mężczyzny przebiegł triumfalny uśmiech.

— W pełni się z panem zgadzam — stwierdził już spokojnym głosem.

Rozdział 35

Detektywi-doradcy

Trzej mężczyźni siedzieli w zadymionym wnętrzu pubu. Rozmawiali o nierozwiązanych przypadkach.

Bender opowiedział o zleceniu rekonstrukcji twarzy Johna Wilkesa Bootha. Miała pomóc w rozwiązaniu zagadek wokół zabójstwa prezydenta Lincolna z 1865 roku.

Walter został wybrany na stanowisko profilera w ośmioosobowym zespole najwyższej klasy specjalistów, w skład którego wchodził między innymi doktor Thomas Noguchi, lekarz sądowy z Los Angeles. Ich zadaniem było z kolei rozwiązanie zagadki Kuby Rozpruwacza. „To w sumie dość proste. Po kolejnych morderstwach widać, że sprawca ewoluuje, czego nie rozumiano w 1888 roku. Tylko Montague Druitt był zdolny do popełnienia tych zbrodni”.

— Brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych błagało, abym specjalnie tego nie nagłaśniał — dodał z uśmiechem Walter. — Wystarczy rozproszyć mgiełkę tajemnicy, a zaraz padnie cała turystyka.

— Moje gratulacje, panowie. Może uda wam się ustalić, kto zabił faraona Tutanchamona — zaśmiał się Fleisher, unosząc egzemplarz „Philadel-

phia Daily News". — W wolnej chwili rzućcie okiem na XX wiek, dobrze? Nagłówek na pierwszej stronie bulwarówki z 9 czerwca 1993 roku głosił: „maniak stóp? morderstwo studentki drexela z 1984”.

Walter zaczął czytać na głos artykuł.

286

— Dwudziestoletnia studentka Uniwersytetu Drexela, uduszona ponad osiem lat temu, została zamordowana dlatego, że włożyła tego dnia na nogi białe tenisówki.

— Żartujesz... — stwierdził z kamienną twarzą Bender. — Sprawa wygląda na interesującą.

— Chłopaki się spisały — stwierdził Walter. — Sprawiedliwości stało się zadość.

Poprzedniego dnia policjanci z filadelfijskiego wydziału zabójstw aresztowali Davida Dicksona juniora, trzydziestotrzyletniego sierżanta Armii Stanów Zjednoczonych, byłego strażnika na Uniwersytecie Drexela. Zatrzymania dokonano w biurze, gdzie pełnił służbę jako oficer wydziału poboru. Policja oskarżyła go o „zamordowanie w listopadzie 1984 roku Deborah Lynn Wilson, studentki Uniwersytetu Drexela. Motywem była obsesja na punkcie białych damskich tenisówek”.

Walter uniósł brew i kontynuował lekturę. Do morderstwa mogło dojść, kiedy Wilson usnęła przed komputerem w Rendell Hall i ocknęła się, zastając strażnika, który próbował zdjąć jej z nóg białe reeboki. „Nasze źródło w organach ścigania twierdzi, że Dickson był najprawdopodobniej podofilem i czerpał przyjemność z wążania damskich tenisówek i skarpetek”.

— Widzę, że porządnie przygotowali profil psychologiczny — zauważył Fleisher. Walter tylko się uśmiechnął.

Z artykułów w „Daily News” i „Philadelphia Inquirer” wynikało, że policja podejrzewała Dicksona od dawna, ale nie dysponowała dowodami pozwalającymi na aresztowanie. Jakiś czas temu postanowili od nowa przyrzeć się sprawie, ale przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy dowiedzieli się o jego fetyszyzmie i powiązali ten fakt ze zniknięciem tenisówek i skarpetek Wilson. Przez osiem lat oficerowie śledczy zdawali sobie sprawę ze znaczenia ukradzionego obuwia, ale nie potrafili tego wyjaśnić. Dopiero w 1993 roku policja odkryła wskazówkę w aktach wojskowych.

W 1979 roku Dickson został aresztowany i postawiony przez sąd wojskowym za kradzież damskich tenisówek, której dopuścił się podczas

służby w bazie Armii Stanów Zjednoczonych w Korei. Sierżant Gwendolyn Garrett-Jackson, obecnie zamieszkała w Birmingham w stanie 287

Alabama, zeznała, że Dickson włamał się wtedy do jej kwatery i ukraść białe tenisówki, kamerę wideo oraz kilka innych przedmiotów. W oparciu o akta sądu wojskowego policja uzyskała nakaz przeszukania mieszkania Dicksona przy City Avenue oraz jego szafki w filadelfijskiej bazie marynarki wojennej.

W obu miejscach znaleziono łącznie ponad sto par białych damskich tenisówek (używanych) oraz skonfiskowano siedemdziesiąt siedem kaset wideo z kobietami noszącymi białe tenisówki. Nagrania miały charakter pornograficzny; zawierały sceny erotyczne z udziałem kobiet w białym obuwiu sportowym oraz kobiet pieszczących stopy innych kobiet. Wśród nagrań znajdował się również amatorski film nakręcony podczas pobytu w parku rozrywki Disney World na Florydzie. Kolejne ujęcia pokazywały stopy partnerki Dicksona oraz scenę z restauracji fast food, gdzie Dickson sfilmował kobiety w białych tenisówkach. Jedna z kaset zawierała reklamę orbitreka z kobietą ćwiczącą na tym urządzeniu w białych sportowych butach oraz ujęcia nagiego manekina na wystawie sklepu w białych tenisówkach marki Keds.

Prokurator stwierdził, że fetyszizm Dicksona przekroczył poziom nieszkodliwego zaburzenia i stał się dewiacją seksualną popychającą podejrzanego do zachowań o charakterze psychopatycznym. Trzy lata po zamordowaniu Wilson Dickson stracił posadę pracownika technicznego w firmie farmaceutycznej SmithKline Beecham. Przyznał się do napisania do jednej z chemiczek listu miłosnego, w którym prosił, by podarowała mu swoje tenisówki. Trzy inne kobiety były gotowe zeznać, że Dickson prawdopodobnie włamał się do ich mieszkań i ukraść im białe buty.

Była żona Dicksona potwierdziła w swoim zeznaniu, że miał obsesję na punkcie kobiecych stóp, tenisówek i skarpetek. Dostarczały mu podniety seksualnej. Pewnego razu, kiedy wróciła zmęczona do domu z pracy, mąż zdjął jej z nóg przepecone tenisówki, po czym zaczął masować, całować i pieścić jej stopy oraz palce. Kiedy indziej była świadkiem, jak masturbował się w domu, oglądając filmy instruktażowe do aerobiku przedstawiające atrakcyjne kobiety ćwiczące w białych skarpetkach i tenisówkach. Kilkakrotnie znajdowała w szafie tenisówki obcych kobiet, ale mąż wyjaśniał, że zamierza oddać je na cele charytatywne.

Policja skutecznie obaliła alibi Dicksona. Twierdził, że w czasie, gdy doszło do morderstwa, rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną. Później rzekomo zapomniał zajrzeć do pracowni komputerowej i odprowadzić Wilson do samochodu. Tymczasem zdaniem wspomnianej kobiety, obecnie jego byłej żony, tamtego wieczoru rozmawiali przez kwadrans gdzieś między dwunastą a pierwszą w nocy, kiedy Wilson jeszcze żyła. Później Dickson zadzwonił raz jeszcze. Był cały rozgorączkowany i powtarzał: „Felicio, musisz mi pomóc. Jesteś moim alibi. Musisz mi pomóc”.

Dziennikarze dodzwonili się do Dorothy Wilson, matki Deborah, która mieszkała w Woodbury w stanie New Jersey. Kobieta powiedziała, że rodzina „jest ogromnie wdzięczna; minęło przecież już osiem i pół roku... Chcemy wyrazić uznanie dla filadelfijskiej policji i prokuratora okręgowego”.

Rzecznik Drexela oświadczył, że „uniwersytet jest uradowany przełomem w ciągnącym się od wielu lat śledztwie w sprawie morderstwa Deborah Wilson”. Policja podziękowała ławie przysięgłych, która po osiemnastomiesięcznym dochodzeniu uznała zasadność aresztowania Dicksona. Specjalna jednostka wydziału zabójstw oraz biuro prokuratora okręgowego przeprowadziły drobiazgową analizę sprawy. Szef oficerów śledczych Richard Zappile powiedział, że „współczuje rodzinie ofiary i cieszy się, że w końcu wskazano winnego”.

„Daily News” pisał: „nie wiadomo, dlaczego wznowiono śledztwo, niemniej w wydziale zabójstw działa specjalna jednostka, która okresowo wraca do niewyjaśnionych spraw i próbuje na nie spojrzeć świeżym okiem”. Policja przyznała, że rodzina Wilsonów wynajęła prywatnego detektywa, który również zajmował się tym przypadkiem.

Żaden z artykułów nie wspominał o Towarzystwie Vidocq’a, lunchu w Downtown Club ani którymkolwiek z członków klubu.

— Nie zapominajmy, że odgrywamy jedynie rolę konsultantów — powiedział Walter — i nie zajmujemy się bezpośrednio rozwiązywaniem spraw. To już należy do policji. Zrobiliśmy, co do nas należało.

— Zupełnie jak w Traktacie morskim — zauważył Fleisher.

Walter spojrział na niego z rezygnacją, ale Fleisher to zignorował i wyjaśnił, że Sherlock Holmes został oskarżony przez policję o przypisanie

sobie zasług za wykrycie sprawców kradzieży ważnego traktatu morskie-

go z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Wspaniale im się odciął. „Przeciwnie (...). Z ostatnich pięćdziesięciu trzech spraw, które prowadziłem, o mnie była mowa tylko w czterech przypadkach. W pozostałych czterdziestu dziewięciu cały zaszczyt przypadł policji”^{*}.

— To o nas — stwierdził Bender.

— Mnie to w ogóle nie przeszkadza — powiedział Fleisher. — Ludzie są istotami terytorialnymi i plemiennymi. To całkowicie naturalne zjawisko. Obserwuję je nieustannie w administracji rządowej. Brygady rywalizują o sprawy z zaciekłością rozwydrzonego rodzeństwa. Konkuruje ze sobą poszczególni agenci. Każdy chce zasłużyć na pochwałę.

— Nam po prostu nie wolno pracować dla poklasku — stwierdził Walter.

— Można to wyrazić zgrabniej — oświadczył Bender, unosząc kieliszek wódki.

— Cnota sama w sobie jest nagrodą — uśmiechnął się krzywo Fleisher.

— Stolichnaya sama w sobie jest nagrodą — poprawił go rzeźbiarz.

Wlał wódkę do gardła i grzmotnął pustym kieliszkiem o blat.

Dwa lata później, w grudniu 2005 roku, trzydziestopięcioletni David Dickson junior został uznany za winnego morderstwa drugiego stopnia na Deborah Lynn Wilson, dwudziestoletniej studentce Uniwersytetu Drexela. Motywem była chęć kradzieży i wążania jej białych reeboków i skarpetek.

W więzieniu Dickson dostał ksywkę Doktor Scholl. Więzienny donosiciel zeznał przed sądem, że Dickson opowiedział mu „całą historię” morderstwa. Z relacji Jaya Wolchanskyego, odsiadującego wyrok trzydziestu sześciu lat pozbawienia wolności za serię włamań, wynikało, że Dickson zaprosił wcześniej Wilson na randkę, ale dziewczyna odmówiła. 30 listopada 1984 roku podczas obchodu budynku uniwersyteckiego

* A. Conan Doyle, Traktat morski, w: Zagadki Sherlocka Holmesa, tłum. T. Evert, Warszawa 2007, s. 67.

290

Dickson, korzystając ze znajomości sztuk walki, zaatakował ją w mieszczącej się w podziemiach pracowni komputerowej. Złapał ją za włosy i uderzył w głowę.

Kiedy upadła na podłogę, Dickson, który w przeszłości chwalił się znajomością techniki duszenia człowieka, zacisnął dłoń na jej gardle. Debo-

rah straciła przytomność, wtedy on zdjął z jej nóg tenisówki i skarpetki, zaciągnął się zapachem butów i masował przez chwilę stopy dziewczyny. Kiedy zaczęła odzyskiwać przytomność i pojękiwać, Dickson ponownie zaczął ją dusić — tym razem skutecznie. Później zrobił „to, co lubił” z jej stopami, czyli pocierał nimi swoją twarz.

Dickson tłumaczył, że zabił Wilson, ponieważ na to zasługiwała, a on miał obsesję na punkcie białych tenisówek. Wyznał Wolchansky emu, że zachował jej buty mniej więcej przez rok i od czasu do czasu się nimi masturbował. Wezwany przed sąd psychiatra zeznał, że Dickson trzymał tenisówki w torebkach foliowych, aby zachować zapach potrzebny mu do fantazji seksualnych.

Trzydziestotrzyletni Wolchansky zaprzeczył, jakoby miał uzyskać złagodzenie wyroku w zamian za zeznania. „Wkurza mnie, że są ludzie, którzy robią takie rzeczy. Nie lubię przemocy. To przerażające, w jaki sposób panna Wilson zginęła. Modłę się za nią każdego wieczoru”.

Zeznania Wolchansky ego idealnie odpowiadały stworzonemu przez Waltera profilowi mordercy o profilu kompensacyjnym, Gwałciciela Dżentelmena zagubionego w mrocznym świecie fantazji; iluzjonisty, który wybucha gniewem, gdy bajkowa rzeczywistość, którą wykreował, zaczyna się rozpadać: wyobrażał sobie, że ofiara się w nim zakocha, ale „wie aż za dobrze, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo, by doszło między nimi choćby do realnego fizycznego zbliżenia”. W Wilson widział jedynie buty i skarpetki. Kiedy dziewczyna mu się sprzeciwiła, poczuł, że stracił nad nią kontrolę. Wziął to, czego pragnął, i odzyskał poczucie władzy. W swoim mniemaniu zatriumfował.

Dickson nie przyznał się do winy. Przed sądem zeznał, że lubi wąchać kobiece stopy, ale zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek uciekł się do przemocy, aby zrealizować swoją obsesję. Sędzia Juanita Kidd Stout skazała Dicksona na dożywotnie więzienie bez możliwości warunkowego zwolnienia.

291

Rodzice Deborah, Dorothy i Joseph Wilson, poszli na grób córki, aby opowiedzieć jej o skazaniu mordercy. „Rana się zabił. Sprawa jest zakończona. Być może teraz odpocznie w spokoju”, powiedziała Dorothy Wilson.

Część czwarta

Walka z bestiami

Rozdział 36

Zawieź mnie do tej psychopatki

W wietrzny wiosenny poranek oficer śledczy Tal English prowadził nieoznakowany samochód. Obok niego palił papierosa Richard Walter. Zatrzymali się na parkingu popularnego baru Copper Kettle. Zamierzali wziąć coś na wynos. Jedną Leishę Hamilton.

Wysoka, ciemnowłosa kelnerka dostrzegła ich z drugiego końca sali i skrzywiła się z niezadowoleniem.

— Wyjdźmy na zewnątrz, Leisha, żeby uniknąć zamieszania — powiedział English.

Skinęła głową i poszła za nimi do samochodu. Kazali jej usiąść na tylnym siedzeniu. Wsiedli do środka. Walter odwrócił się i spojrzął na dziewczynę.

— Musimy pogadać — oświadczył z poważną miną.

Od spotkania z prokuratorem okręgowym minęły już cztery miesiące, tymczasem, ku frustracji Waltera, śledztwo toczyło się w żółwym tempie. W kwietniu 1993 roku profiler wrócił do Lubbock, żeby „położyć kres opierdalanii się policji i wytłumaczyć im, o co chodzi w sprawie”. Usiłował przekonać oficerów śledczych, że Leisha Hamilton jest psychopatką i powinna zostać uznana za główną podejrzaną, ale ponieważ próbował już to zrobić poprzednio, nikt nie zwracał na niego uwagi. Wymruczał wtedy pod nosem: „Panowie, nie rozumiecie, z kim macie do czynienia”, po czym zwrócił się do oficera śledczego Englisha: „Młody czło-

294

wieku, zawieź mnie do tej psychopatki”. Przyszedł czas, aby zmierzyć się bezpośrednio z Hamilton.

Prowadząc Leishę do samochodu, wdali się pogawędkę o pogodzie.

Mordercze spojrzenie, którym obrzuciła ich w barze, zniknęło — teraz Leisha była uśmiechnięta, rozmowna i odrzucała ciemne włosy z czoła. Błyskawicznie odzyskała panowanie nad sobą.

Walter dostrzegał emanujący z dziewczyny erotyzm, zalotne gesty i uśmiechy, którymi na co dzień posługiwała się, by usidlać młodych mężczyzn; iluzję przyjazności maskującą chłodny, wyrachowany umysł. Spoglądał na nią surowym wzrokiem. „Z psychopatką nie wolno się patyczkować. Przejdź od razu do sedna sprawy”, pomyślał.

— To nie jest wizyta towarzyska, Leisho. Chciałbym, abyś mi coś wyjaśniła. Nie słyszałem dotąd o sytuacji, by morderca „sprzątał” po sobie w dosłownym rozumieniu tego słowa. Miałoby to sens tylko wtedy, gdy-

by zabił we własnym domu. Jesteś jedyną osobą, która posiada klucze do tego mieszkania. I nie masz alibi.

— Nieprawda, właśnie że mam alibi — zaprotestowała.

— Czyli wiesz, kiedy zginął? Tylko morderca wie, kiedy to się stało.

— Wiem, kiedy zginął...

— Scott Dunn nie zginął — przerwał jej ostro Walter. — Nie mam najmniejszego zamiaru uczestniczyć dłużej w farsie o zaginionym Scotcie. To obraża moje poczucie przyzwoitości. Scott Dunn został zamordowany. Ustaliliśmy to już ponad wszelką wątpliwość. Jesteś główną podejrzaną.

— W takim razie zapewne nie mam alibi — odpowiedziała beznamietnym głosem. Coś zmieniło się także w jej spojrzeniu; od tej chwili wpatrywała się w Waltera nieobecny wzrokiem.

Profilier siedział nieruchomo zupełnie pogrążony w myślach, po chwili posłał jej złowrogie spojrzenie znad okularów.

— Leisho, zauważyłem, że potrafisz skutecznie owijać sobie wokół palca mężczyzn, zwłaszcza młodszych. Jestem stary, brzydki i zmęczony, ale nijak nie potrafię pojąć, co oni w tobie widzą. Potrafisz mi to wyjaśnić? W samochodzie zapadło milczenie. Leisha uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

295

— Sama nie wiem.

— Czy chodzi o te wszystkie seksualne sztuczki, którymi się posługujesz? Czy dlatego ci ulegają, ponieważ w najśmielszych marzeniach nie przypuszczali, że kiedykolwiek spotkają taką dziewczynę?

— Zapewne — zachnęła się i wykonała gwałtowny gest głową. — Muszę wracać do pracy.

Otworzyła drzwi i wyszła.

English siedział w niemym podziwieniu.

— Richard... — odezwał się wreszcie — czy dobrze mi się wydaje, że właśnie nazwałeś ją brzydulą?

Walter uśmiechnął się konspiracyjnie.

— Tak mi się zdaje.

— Ale dlaczego?

— Chciałem sprawdzić, jak zareaguje na nieoczekiwane zdarzenie, jak szybko analizuje sytuację i jakie są jej zamiary. I mój plan się powiódł. Jest klasyczną psychopatką, więc informacja ma kluczowe znaczenie dla jej poczucia władzy. Udało mi się zasiać ziarno wątpliwości, a także przekazać

jej informację, że ma status podejrzanej o morderstwo. Chciałem wprowadzić ją w stan lekkiej niepewności i to się udało.

Walter zapalił papierosa.

— Leisha sądzi, że jest sprytna, że może się bezkarnie bawić w kotka i myszkę z policją. Musimy zatem pozbawić ją tego poczucia wyższości. Wpadnie w szal i, miejmy nadzieję, popełni jakiś błąd.

Oficer śledczy kiwał ze zrozumieniem głową.

— Ale to trudne zadanie, wymagające czasu i cierpliwości. Hamilton to bardzo silna kobieta. Przyglądałem jej się uważnie i zauważyłem, że nasza rozmowa ją bawi. Traktowała mnie jak zwierzynę, którą może przechytzyć. Teraz już wiem na pewno, że ta dziwka zabiła Scotta.

Zaraz po powrocie do Michigan Walter otrzymał przesyłkę od Englisha. Z koperty wypadła pojedyncza biała kartka papieru, na której znajdował się dość intrygujący rysunek. Był to wykonany przez Hamilton szkic miejsca zbrodni — prymitywny, jakby dziecinny rysunek przedstawiający scenę tortur Scotta Dunna.

296

Na kartce widniała pusta sypialnia. W jednym z narożników stała drewniana prycza, do której przywiązano patykowatą postać opisaną jako „S”. Obok naszkicowano coś w rodzaju legendy: kajdanki, igłę, nóż, pistolet oraz penisa i mosznę. W centrum rysunku „S” biegł w stronę otwartych drzwi, przez które widać było obłoczki na niebie — obietnicę wolności. Ale „S” upadał na ziemię i umierał. Jego duch opuszczał ciało. „Scott wycierpiał więcej, niż przypuszczałem”, pomyślał Walter. Pistoletem bez wątpienia posłużyła się Leisha. Trzymając na muszce większego i silniejszego od niej Scotta, zakuła go zapewne w kajdanki i przywiązała do pryczy. Za pomocą igły szprycowano go środkami odurzającymi przez całe czterdzieści osiem godzin tortur. Był bity, zadawano mu rany nożem i tępyim narzędziem; ciosy wymierzone tym ostatnim w głowę okazały się śmiertelne. „«Duch» towarzyszący leżącemu «S» świadczył o tym, że Scott podjął próbę ucieczki, z kolei widoczna za drzwiami przyszłość jest czysta i nieskażona”, stwierdził Walter.

„Widoczny z boku szkic genitaliów wskazuje, że Scott był gwałcony sztucznym penisem lub, co bardziej prawdopodobne, został wykastrowany”, napisał w końcowym raporcie profiler. Walter uważał, że ciało Scotta zostało pocięte na kawałki i trwale zniszczone.

— Skąd to masz? — spytał oficera śledczego Englisha.

— Od jej byłego chłopaka, Karla Younga, z którym związała się po zamordowaniu Scotta. Przekazał mi go w barze. Cały czas nerwowo zerkał za siebie. Musiała go nieźle nastraszyć. Według niego Leisha zabiła Scotta i zmusiła Tima Smitha, by posprzątał po morderstwie.

— Nic dziwnego, że się jej boi — stwierdził Walter. — To niezwykle potężna kobieta. Dostaje wszystko, czego chce. Biada temu, kto próbuje jej przeszkodzić.

Z rysunku wynikało, że Hamilton przykuła Scotta do pryczy stojącej dokładnie w miejscu, w którym wcześniej znajdowało się ich łóżko. Lekkarz sądowy i specjalista od śladów krwi ustalili — na podstawie kąta t rzech rozprysków na ścianie — że Scott zginął od trzech ciosów w głowę.

„Rysunek był dla Hamilton ilustracją miejsca zbrodni, pamiątką”, wyjaśnił Walter.

297

— Typowe zachowanie. Stworzyła osobisty dziennik morderstwa.

Pierwsza zasada mówi, że morderstwo się nie zakończyło, dopóki nie zdecyduje o tym zabójca, dopóki nie przestanie z niego czerpać przyjemności.

Scott Dunn co prawda nie żyje, ale dla Hamilton sprawa się jeszcze nie skończyła. Stworzyła tę ilustrację, by upamiętnić swoje dzieło. Odczuwa przyjemność za każdym razem, gdy patrzy na rysunek.

Rysunek potwierdził trafność profilu przedstawiającego Hamilton jako morderczynię o profilu stanowczej siły, kobietę „wykorzystującą męczyzn i spragnioną władzy. Ona zawsze musi być górą, jest samicą — czy raczej suką — alfa. Nikt nie rzuca Leishy Hamilton ani jej nie odprawia z kwitkiem. To ona pozbywa się innych. Dostrzegam w niej ogromne pokłady gniewu, wściekłości i pragnienia dominacji”, stwierdził profiler.

Tortury są ulubioną bronią tego typu morderców. Jak wynika z rysunku, w tym wypadku wszystkie narzędzia tortur były symbolami męskości, których morderca używa do fizycznego zdominowania ofiary. Zastrzelenie Scotta nie sprawiłoby jej wystarczającej przyjemności. Prawdziwą rozkosz sprawiało jej zadawanie z bliskiej odległości ciosów pięściami, nożem, a może jeszcze innymi narzędziami umożliwiającymi znęcanie się nad ofiarą. Chciała zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić człowieka, który ją zdradził.

W kolejnych miesiącach w życiu Hamilton zaszły zasadnicze zmiany, które także idealnie wpisywały się w klasyczny profil zachowania mor-

dercy. Niewielu policjantów rozumiało, że zbrodnia staje się dla mordercy inspiracją do osobistego rozwoju, mrocznym mechanizmem samopomocowym: „Ja mam się dobrze, a ty nie żyjesz”.

„Zbrodnia pomaga mordercy zmienić się lub przynajmniej żyć złudzeniem rozwoju. Dochodzi do spiętrzenia problemów emocjonalnych lub przeciwnie — do ich rozwiązania, co morderca wykorzystuje jako bodziec do zmiany, często o zasadniczym charakterze. Taki człowiek odnajduje wiarę w Boga albo ponownie się zakochuje, przeprowadza się gdzieś daleko, zaczyna dbać o formę fizyczną i tak dalej”, tłumaczył Walter.

Po zamordowaniu Scotta Hamilton zakończyła związek z Timem Smithem (zdaniem Waltera uwiodła go tylko po to, by pomógł jej w zbrodni) i związała się z Youngiem, kucharzem w pobliskiej restauracji, z którym

298
miała dziecko. Zapisła się do szkoły pielęgniarstwa i choć nadal pracowała jako kelnerka, ukończyła kurs z najlepszym wynikiem w grupie. Wcieła w życie amerykański sen. Leisha Hamilton zaczęła wieść normalne, aktywne życie.

— Jej sukcesy wcale mnie nie dziwią — stwierdził Walter w rozmowie z Englishem. — Zawsze twierdziłem, że jest bardzo inteligentna, wręcz patologicznie bystra i ujmująca. Muszę jednak przyznać, że szkoła pielęgniarstwa to świadectwo niezwykłego sprytu. W jaki sposób osoba oskarżona o morderstwo, nosząca czarne szaty kata zadającego tortury, może oczyścić się z wszelkich podejrzeń? Przyoblekając się w biel i stając uzdrowicielem.

Walter uważał Hamilton za błyskotliwą i przebiegłą przeciwniczkę, niezwykle zręczną psychopatkę. Przez lata unikała odpowiedzialności za morderstwo. Zuchwale zabiła Scotta Dunna, pogrywała z jego ojcem, manipulowała prawnikami, policjantami oraz systemem sprawiedliwości z równą łatwością, z jaką przychodziło jej zdobywanie kolejnych kochanków. Korzystając z szantażu i wrodzonego erotyzmu, uwiodła i sterroryzowała sporą grupę mężczyzn, których uczyniła współnikami zbrodni. Unicestwiła chłopaka, który ją zdradził, w tej samej sypialni, w której go uwiodła. Kelnerka stała się mściwą królową, Klitajmestrą dla ubogich. Klitajmestra zamordowała męża, króla Agamemnona, za romans z wieszczką Kasandrą, zadając mu w królewskim łożu potrójny cios. Walter zdjął z półki stare, pochodzące jeszcze z czasów studenckich wydanie Agamemnona Ajschylosa, „ojca tragedii”, i odszukał scenę mor-

derstwa. Ze zdumieniem przeczytał następujący fragment:

Padł i ducha przez usta szeroko otwarte
wyrzynał z krwi strumieniem. Bryznięła krew świeża
z taką mocą, że czarnym zrosiła mię deszczem.

A jam poczuła rozkosz, niby rola orna,
gdy jej ziarno kiełkuje, a z nieba Zeusowe
poleją się potoki*.

* Ajschylos, Tragedie, tłum. S. Srebrny, Warszawa 1952, s. 378.

299

A zatem już dwadzieścia siedem wieków temu morderstwo mogło służyć samodoskonaleniu. Klitajmestra, podobnie jak Leisha, poszła zarazem w ślady Afrodyty: „wilgotne zespolenie dopełnia się w porze plonów z drzew, a wszystkiego ja jestem przyczyną”.

Profiler postanowił włączyć rysunek Hamilton do swojej kolekcji artefaktów stworzonych przez morderców, które wykorzystywał jako pomoc dydaktyczną. Należała do nich akwarela namalowana przez australijskiego pielęgniarza, który stał się seryjnym mordercą, oraz klasyczny portret klauna ręki Johna Waynea Gacyego, chicagowskiego przedsiębiorcy, agitatora Partii Demokratycznej, zabawiającego dzieci na przyjęciach jako klaun właśnie, skazanego w 1980 roku za zamordowanie trzydziestu trzech mężczyzn i chłopców (większość z ciał ukrył pod podłogą swojego domu).

Jim Dunn był zdruzgotany wizją tortur, jakim poddano jego syna — i myślą, że sprawczyni nie tylko uniknęła odpowiedzialności za morderstwo, ale uczyniła z niego bodziec osobistego rozwoju. Miał poczucie, że w ostatecznym rozrachunku Leisha wygrała.

— Wcale nie — odparł Walter. — Próbując rozpocząć nowe życie i uciec od przeszłości, Hamilton tylko potwierdza nasze podejrzenia. Leisha jest świetną aktorką i niezwykłą kobietą — niezwykłą jako wcielenie zła. Gdyby była lepiej wykształcona, zdawałaby sobie jednak sprawę, że tego rodzaju przedstawienia kończą się tragicznie.

Walter czuł się osobiście dotknięty faktem, że „tylu psychopatów unika odpowiedzialności za morderstwa. Ci, z którymi teraz mamy do czynienia, próbowali wmówić wszystkim, że Scott Dunn zaginął. Potraktowali chłopaka, jakby nigdy nie istniał. Cywilizacja musi się opierać na pewnych standardach. A na takie rzeczy po prostu nie można przyzwalać”. Policjanci nie wierzyli w teorię dotyczącą istnienia spisku, lecz Walter doszedł do

wniosku, że mógłby się sporo dowiedzieć o morderstwie od Mikea Roberta, niegdyś kolegi Scotta.

* Ajschylos, fragm. 44, za: Atenajos, Uczta mędrców, przeł. K. Bartoł, J. Danielewicz, Poznań 2010, s. 1096.

300

Roberts rzucił pracę w sklepie niedługo po zniknięciu Scotta i wypro-
wadził się do Tacomy w stanie Washington — typowe zachowanie czło-
wieka, który ma coś na sumieniu. Podczas podróży służbowej do Seattle
Walter postanowił zrobić małą wycieczkę do Tacomy. Poprosił policjan-
ta, aby wyprowadził Roberta z pracy na ulicę, po czym wysłał funkcjo-
nariusza po kawę.

— Czas, abyśmy pogadali jak mężczyzna z podrostkiem — oświadczył
Walter, nachylając się w stronę dobrze zbudowanego, wysokiego chłop-
ka. Koszula Roberta była nisko rozpięta i Walter widział, jak jego pierś
wznosi się i opada w niespokojnym oddechu.

— Pamiętam cię. Jesteś tym Anglikiem. Boję się ciebie. Mam sobie
znaleźć prawnika?

Walter zauważył, że Roberts jest dobrym kłamcą, który nigdy nie tra-
ci kontaktu wzrokowego z rozmówcą. Zdradziło go dopiero podskakują-
ce jabłko Adama.

— Młody człowieku — zaczął, spoglądając na niego z pogardą. — Je-
żeli nie byłeś zamieszany w morderstwo, prawnik ci niepotrzebny. Jeżeli
wszakże miałeś coś wspólnego z tą zbrodnią, prawnik na niewiele ci się
przyda. Skrócę ci chuja tak, żebyś nie mógł nawet wyruchać wiewiórki.

Rozdział 37

Nieznajomy w Biddle House

Posiadłość w pensylwańskich Appalachach pogrążała się w zapadających
powoli ciemnościach. Jedyne źródłem światła była lampa w salonie.
Tam właśnie na osiemnastowiecznej włoskiej sofie rozsiadł się wygodnie
szczupły mężczyzna, unosząc wyniosłe trzymanego między dwoma pal-
cami mentolowego papierosa.

— Doprawdy wspaniała sprawa — przyznał Richard Walter, zerka-
jąc na fotografię lekarza postrzelonego prosto w serce przez najlepszego
przyjaciela, prawnika. Do morderstwa doszło mniej więcej dwadzieścia
lat wcześniej. — Mężczyzna pożąda żony innego mężczyzny i najwyczaj-
niej w świecie mu ją odbiera. Jakże często się to zdarza. Motyw ten mamy
na przykład w powieści Utalentowany pan Ripley, albo, pozwolę sobie za-

uważyć, w Hamlecie.

— Jak widzę, przejście na emeryturę nie odebrało panu pewności siebie — zachichotał policjant stanowy Steve Stoud, ciemnowłosy, barczysty mężczyzna po trzydziestce siedzący w fotelu naprzeciwko Waltera. Błyskotliwe śledztwo przeprowadzone przez Stouda pozwoliło wsadzić za kratki doktora mordercę, a kapralowi przyniosło członkostwo w Towarzystwie Vidocqa. Miał zostać jednym z młodych wilczków w starzejącym się klubie.

Walter wybuchnął śmiechem, który przerodził się od razu w atak suchego kaszlu. Nachylił się do przodu z czerwoną twarzą. Charakterystyczny kaszel nałogowego palacza stawał się coraz bardziej uciążliwy.

302

Zapadły kompletne ciemności, jakie występują jedynie na pustkowia. Położony w dolinie dom, otoczony pasmami gór, pogrążył się w całkowitej ciszy. Salon był największym pomieszczeniem w dwudziestodwupokojowej, neoklasycystycznej rezydencji. Miała ona siedem sypialni i tyle samo kominków, a zdaniem niektórych była nawiedzana przez duchy. W przeszłości mieścił się w niej jeden z węzłów Kolei Podziemnej, tajnej organizacji pomagającej w ucieczce czarnym niewolnikom z Południa. Główna klatka schodowa służyła oficjalnym mieszkańcom; niewolnicy wchodzili i wychodzili niezauważenie tylnymi schodami. Posiadłość nosiła nazwę Biddle House, została zbudowana w latach trzydziestych XIX wieku przez znamienitą rodzinę Biddle'ów z Filadelfii. Należał do niej Nicholas Biddle, okryty niesławą prezes Second Bank of the United States, którego karierę zniszczył prezydent Andrew Jackson. Walter był jedynym mieszkańcem domu.

— Lekarz nie wspominał panu o szkodliwości palenia? — próbował mu dokuczyć Stoud.

— Owszem, wspominał — odparł z marsową miną Walter. — Odpowiedziałem mu: Drogi chłopcze, doskonale zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw i przyjemności związanych z paleniem. Dokonałem wyboru, z którego jestem w miarę zadowolony. Dzięki niemu zachowałem szczupłą sylwetkę i korzystam z życia. W przeciwnym razie przytyłbym tak bardzo, że nie wcisnęliby mnie do trumny. Zostawmy zatem moją przyszłość w rękach natury. Zresztą ostatnie słowo i tak będzie należało do mnie; dzięki tiopentalowi można wprowadzić się w zupełnie przyjemny sen...

— Na litość boską... — Stoud pokręcił głową.

— Wyjaśniłem mu, że jestem spod znaku Skorpiona i wolałbym dokończyć samozniszczenia, niż utracić kontrolę nad swoim życiem. Poza tym uwielbiam przejmować inicjatywę.

Walter zamilkł i upił łyk wina. Stoud, siedzący z puszką piwa w wielkiej dłoni, odezwał się kpiarskim głosem.

— A skoro już jesteśmy przy samobójstwie, znalazłem list...

— Naprawdę?!

Profiler nachylił się gwałtownie z wyczekującą miną. Obaj kolekcjonowali listy samobójców i rywalizowali ze sobą, kto znajdzie ciekawszy.

303

— Gość z Georgii palnął sobie w łeb. Zostawił list o następującej treści: „Niektórzy powiadają, że śmierć jest końcem życia. Inni, że życie wiedzie ku śmierci. Proponuję nowe hasło: Zróbmy coś, żeby znów można się było pośmiać na pogrzebie!”.

Twarz Waltera pojaśniała z uciechy.

— Cudowne — stwierdził z zachwytem. — Jak dotąd najlepszy. Bardzo mi się podoba.

Oto znakomity przykład zjawiska, którego policja nie potrafiła przyjąć do wiadomości: w tak ponurych czasach ludzie okrutni i udręczeni nie myślą i nie odczuwają w ten sam sposób, co większość społeczeństwa. Morderstwo może być zabawą! Samobójstwo może być dowcipem!

— Dbalność o konsekwencję jest straszakiem dusz małych — zacytował Walter.

Psycholog szkolił Stouda w sztuce analizy umysłu mordercy. Szczególną wagę przywiązywał do najbardziej zdemoralizowanych seryjnych morderców oraz sprawców przestępstw na tle seksualnym. Stoud był oficerem śledczym z elitarnej Jednostki Kryminalnej wchodzącej w skład pensylwańskiej policji stanowej. Jednostka szczyła się, że pracuje w niej większa liczba profilerów niż w jakiegokolwiek innej agencji na świecie, w tym w FBI i nowojorskiej policji. Stoudowi podlegał obszar 2500 mil kwadratowych w północnowschodnim narożniku stanu. Tropił seryjnych morderców i sprawców innych przestępstw „behawioralnych”. Młody, ambitny oficer osiągnął w swoim zawodzie niemal wszystko, co mógł, a jedynym sposobem na poszerzenie wiedzy na temat umysłu przestępcy była praktyka u największego mistrza. „Richard to jeden z nielicznych profilerów, których analizy rzeczywiście nadają się do wykorzystania w codziennej pracy detektywa”, stwierdził.

Walter przez wiele lat marzył o znalezieniu podopiecznego, któremu mógłby przekazać swoją wiedzę. Zdawał sobie sprawę, że ma coraz mniej czasu. „Należę do osób, które uważają śmierć za ostateczny koniec. Jeżeli mam w jakiejś formie przetrwać, to tylko dzięki moim pomysłom. Uważam, że człowiek ma obowiązek przekazywać wiedzę następnym pokoleniom”, mawiał.

304

Niewiele wcześniej odszedł z Wydziału Resocjalizacji stanu Michigan i sprzedał dom w Lansing. Ponieważ jego jedyną rodziną były dwie siostry mieszkające na Zachodnim Wybrzeżu, przeprowadził się na wschód do Montrose w Pensylwanii, małej, założonej w XIX wieku miejscowości położonej w odludnym paśmie gór Endless siedemdziesiąt cztery kilometry na północ od Scranton.

Życie w Montrose miało wiele zalet. Walter cieszył się szczególnie z przeprowadzki na Wschodnie Wybrzeże, „gdzie ludzie lepiej rozumieją moje cierpkie poczucie humoru”. Miejscowość leżała zaledwie dwieście siedemdziesiąt kilometrów, czyli dwie godziny jazdy samochodem, na południe od Filadelfii. Dzięki temu na comiesięczne spotkania Towarzystwa Vidocq'a nie musiał latać samolotem.

Biddle House był „dość okazały”. Zmieścił się w nim wielki fortepian oraz antyki, które nareszcie nie musiały tłoczyć się na niewielkiej przestrzeni. Po wielu latach spędzonych w mieście i wypełnionych ściganiem morderców Walter zamierzał wieść spokojne życie wiejskiego dżentelmena. W planach miał strzelanie do rzutków, poszerzanie kolekcji antyków, popijanie wina i wpatrywanie się w górskie panoramy oraz urządzenie „wieczorków” dla miejscowych koneserów i przyjaciół z miasta.

Steven i Susan Stoud, oraz ich dzieci i psy, mieszkali na farmie za wzgórzem, jedenaście kilometrów na wschód od miasta. Stoudowie skalkali wokół Waltera, traktując go jak odnalezionego po latach rozłąki wujka. Naprawiali mu samochód i komputer, uszyli zasłony do okien, jako że Richard należał do tych wybitnych intelektualistów, którzy nie potrafią zasznuować sobie buta. W ten sposób Walter mógł prowadzić kurs wiedzy o mordercach podczas lunchów, obiadów, podwieczorków, w salonie wypełnionym obłokami dymu papierosowego, dźwiękami muzyki operowej, dyskusjami i śmiechem ze sprośnych żartów.

Walter założył firmę Omega Crime Assessment Group, oferując unikalną wiedzę na temat „zespołu Miinchhausena, sadyzmu i seryjnych morder-

ców". Pomocy udzielał jedynie w wybranych, fascynujących go sprawach. A jednak nie zamieszkał w odludnych górach ani ze względu na styl życia, ani na przyjaźnie. Przeprowadził się niemal tysiąc kilometrów na 305

wschód od starego domu, kiedy, niczym starzejący się pies myśliwski, wyczuł woń starego morderstwa, historię żądz i zdrady godną greckiej tragedii.

2 czerwca 1976 roku Stephen Scher, szanowany lekarz z Montrose, oraz jego bliski przyjaciel, prawnik Martin Dillon, strzelali do rzutków na terenie łowieckim należącym do rodziny tego ostatniego. Dillon zginął od postrzału z samopowtarzalnej strzelby na naboje śrutowe kaliber 16 gauge. Doktor Scher ze łzami w oczach wyjaśnił policji, że broń wypaliła, gdy jego przyjaciel potknął się o rozwiązana sznurówkę, ścigając jeżozwierza. Doktor nie zdołał go uratować — Dillon postrzelił się w serce i zmarł natychmiast. Prawnik miał trzydzieści sześć lat i zostawił żonę, pielęgniarkę Patricię, oraz dwoje małych dzieci. Wkrótce po mieście rozeszła się plotka, że śmiertelny strzał padł z broni doktora Schera i był to normalny pocisk myśliwski, a nie śrut używany przy strzelaniu do rzutków. Wywołało to równie wielką konsternację, jak pogłoski o namiętym romansie doktora z żoną przyjaciela. Sam doktor zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczał i rzewnie opłakiwał Dillona, pocieszając jednocześnie wdowę i dzieci. Wszystkie strony przeżyły tragedię. Lekarz sądowy uznał, że postrzał nastąpił przypadkowo.

Dwa lata później doktor Scher ożenił się z Patricią Dillon. Szczęśliwa para przeprowadziła się do Nowego Meksyku, później do Karoliny Północnej i tam właśnie wychowywali dzieci Martina Dillona oraz te, które sami adoptowali. Ojciec Martina, Larry, coraz śmielej twierdził, że jego syn został zamordowany. Dopiero dwadzieścia lat później prokurator stanowy oskarżył doktora Schera o morderstwo, opierając się między innymi na nowych faktach odkrytych przez kaprała Stouda. Prokurator generalny poprosił Waltera, aby złożył zeznania jako ekspert od typów osobowości morderców.

„Sprawa nie była specjalnie zagmatwana”, wspominał Walter, zapalając kolejnego papierosa. „Nasz doktorek cieszył się ogromnym prestiżem i powszechną sympatią, niemniej tak naprawdę był popierdolonym psychopatą. W bezczelny sposób przywłaszczył sobie obiekt własnych pragnień — Patricię Dillon”.

Niewielki budynek sądu hrabstwa Susquehanna wypełniły tłumy reporterów największych stacji telewizyjnych. Dziennikarze relacjonowali przebieg procesu w sprawie lokalnej „zbrodni stulecia”. Obrona powołała na świadków znanych lekarzy sądowych, doktora Cyrila Wechta i doktora Michaela Badena, którzy zeznawali również na procesie O.J. Simpsona. Ponieważ kruczki prawne uniemożliwiły Walterowi wystąpienie w roli świadka oskarżenia, sfrustrowany i znudzony przebiegiem procesu profiler opuścił gmach sądu i przez dwa dni krążył po uroczym starym centrum miasteczka. W końcu nie wytrzymał, wszedł do sklepu z dywanami i zapytał: „Gdzie, do diaska, można się w tym mieście napić przed południem?”. Ubawiony sprzedawca wyjął spod lady butelkę bourbona i dwie szklanki. Świeżo upieczeni znajomi nalewali kolejne kieliszki, aż — jak to później ujął Walter — „przeszło mi przez myśl: kto by się spodziewał, to miasto wcale nie jest takie złe”. Tego popołudnia Walter natknął się na imponujący dom, przed którym na trawniku stała tabliczka z napisem „Biddle House. Na sprzedaż”. Uznał, że dwieście tysięcy dolarów to cena niezwykle okazjna za dom, w którym mógłby zamieszkać na emeryturze. Z miejsca złożył sprzedawcy ofertę.

22 października 1997 roku, po trwającym cztery dni procesie, doktor Scher został skazany za morderstwo pierwszego stopnia. Śledztwo przeprowadzone przez Stouda pomogło w obaleniu alibi doktora. Scher twierdził, że znajdował się około stu metrów od Dillona, gdy tamten się postrzelił, tymczasem ekspertyza przygotowana przez FBI wykazała, że odległość wynosiła dwa, najwyżej dwa i pół metra — na tyle blisko, że jego buty zostały obryzgane krwią zabitego, a na spodniach znaleziono maleńki fragment tkanki. Dokonano ekshumacji ciała, aby zmierzyć długość ramion, co pozwoliło udowodnić, że były zbyt krótkie, aby Dillon mógł trzymać strzelbę Schera w taki sposób, aby postrzelić się w serce. Po przedstawieniu nowych dowodów Scher przyznał przed sądem, że zmyślił historijkę o pościgu za jeżozwierzem. Owszem, miał romans z Patricią Dillon. On i Dillon próbowali sobie wyrwać strzelbę podczas rozmowy, która przerodziła się w kłótnię. Poszło o Patricję. W pewnej chwili broń przypadkowo wystrzeliła. Oskarżenie wskazało jednak, że Dillon w chwili śmierci miał w uszach zatyczki, a zatem nie mógł prowadzić rozmowy z Scherem.

Kiedy doktor Scher został odwieziony do stanowego więzienia pod

Pittsburghiem, gdzie miał odsiedzieć wyrok dożywocia, Richard Walter wprowadził się pod numer 78 przy Church Street. Właśnie w tym okazałym domu, stojącym naprzeciwko starego kościoła episkopalnego, miał w przyszłości oprowadzać Stouda po najniższych kręgach piekła.

Poprzednie próby znalezienia godnego ucznia skończyły się porażką. Walter zgodził się wyszkolić trzech młodych mężczyzn, w tym psychologa sądowego, który w ramach obowiązków zawodowych nieustannie rozmawiał z mordercami, oraz oficera wydziału zabójstw, który miał na koncie dwadzieścia pięć dochodzeń. Każdego z nich ostrzegał: „Przyjdzie dzień, kiedy będziesz musiał odbyć rozmowę z sześćdziesięcioletnim mężczyzną, któremu przyjemność sprawia zabijanie i krojenie na małe kawałeczki dzieci. Możesz wzruszać ramionami, słysząc o tym ode mnie, ale spotkanie z takim człowiekiem sam na sam, zmierzenie się z jego światem, może okazać się niezwykle trudne, jeżeli nie będziesz miał uporządkowanej osobowości, jeżeli nie osiągniesz odpowiedniego wieku lub dojrzałości, aby sobie z tym poradzić. Idee mogą być niezwykle niebezpieczne, jeżeli człowiek nie jest przygotowany na ich przyjęcie”.

Wszyscy trzej podopieczni zrezygnowali. Nie wytrzymali szkolenia.

Doświadczony oficer śledczy powiedział: „Mam żonę i dziecko. Chcę mieć jakieś poczucie normalności, zachować przekonanie o niewinności świata. Pan mi je odbiera. Nie zniosę tego”. Walter był ogromnie zawiedziony. Z czasem pogodził się z myślą, że w odróżnieniu od agenta FBI Roberta Resslera i innych znajomych profilerów, nigdy nie znajdzie ucznia, a jego dzieło umrze wraz z nim. „Zdrowy, normalny człowiek nie poradzi sobie z materią, którą się zajmuję”, uznał.

Odprawiał młodzików, którzy od czasu gigantycznego sukcesu serialu CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas podchodzili do niego na przyjęciach i konferencjach, pytając, co trzeba zrobić, aby zostać profilerem. „Młody człowieku”, mówił w takich sytuacjach, „rozumiem twój zapał, niemniej wydajesz mi się zbyt normalny. Wyglądasz na sympatycznego gościa, który chciałby się kiedyś ożenić, mieć dzieci, wieść szczęśliwe życie, a nie poświęcić czas na naukę czegoś, co może zniszczyć zarówno

308

twoje małżeństwo, jak i — w ostatecznym rozrachunku — duszę. Podejście spod znaku «Do odważnych świat należy» nie ma w tym wypadku sensu. Tylko nieliczni nadają się do tej roboty”.

Niewielu policjantów miało ochotę na zgłębianie piekielnych otchłani

umysłu przestępcy, zresztą mało kto potrafił podolać temu zadaniu, mimo znajomości podstaw psychologii. Z kolei niewielu psychologów było obeznanym z widokiem scen zbrodni albo miało ochotę na wchodzenie w świat makabry. Od czasów Freuda główny nurt psychologii zajmował się przede wszystkim życiem codziennym i związanymi z nim zaburzeniami, a jednocześnie z całych sił starał się unikać wydawania staroświeckich osądów moralnych. Problematykę morderstw i zła psychologowie zostawiali mięśniakom z policji, którym często brakowało wiedzy teoretycznej. Walter nie mógł się nadziwić, że żaden z czołowych europejskich psychologów, przed którymi wygłosił wykład na temat typów osobowościowych morderców, „nie miał zielonego pojęcia, o czym mówię. U Johna Waynea Gacyego dostrzegliby schizofrenię, ale nie potrafili rozpoznać oznak sadyzmu. Nikt nie zajmuje się psychologią zła”. Walter był w tej dziedzinie samotnym wojownikiem.

W 1995 roku poszedł na wykład Ann Rule, bestsellerowej pisarki z nurtu true-crime, na zorganizowanym w Seattle kongresie Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych. Walter był jednym z najbardziej szanowanych członków Akademii i często wygłaszał na zjazdach wykłady wraz z Bobem Resslerem oraz innymi kolegami. Słuchał odczytu, krzywiąc się z niesmakiem. Podobnie jak inni twórcy literatury popularnej, Ann Rule nie nauczyła go niczego nowego na temat psychopatów, nawet gdyby przyjaźniła się z Tedem Bundym — seryjnym mordercą, głównym bohaterem jej książki *The Stranger Beside Me* („Obcy tuż obok”).

— Wierysz w te pierdoły? — spytał siedzącego obok rosłego mężczyznę.

— Jestem bliskim przyjacielem Ann Rule — warknął mężczyzna i zmierzył wzrokiem chuderławego sąsiada w okularach. — A ty kim, do cholery, jesteś?

W ten właśnie sposób narodziła się jedna z najważniejszych przyjaźni we współczesnej historii kryminologii.

309

Wielkim mężczyzną był Robert Keppel, szanowany oficer śledczy pracujący dla prokuratury stanu Washington, znany w całych Stanach Zjednoczonych z kilkudziesięcioletniego pościgu za Tedem Bundym i Zabójcą znad Zielonej Rzeki. Keppel, doktor kryminologii, były policjant z Seattle o przytłaczającej sylwetce, słynął z błyskotliwego analitycznego umysłu, zawziętości psa gończego i pionierskiego wykorzystania kompu-

terów w śledztwach.

Keppel szybko zrozumiał, jak wiele łączy go z Walterem. Do tej pory żaden z nich nie wiedział o istnieniu drugiego. Keppel jako funkcjonariusz wydziału zabójstw przez dwie dekady zajmował się tropieniem zabójców i miał na koncie pięćdziesiąt śledztw w sprawach seryjnych morderców (więcej niż którykolwiek z żyjących policjantów). Z kolei Walter przeprowadził rozmowy z tysiącami skazanych, wnikając w umysł przestępcy głębiej niż jakikolwiek inny naukowiec. Obaj chadzali własnymi drogami i głośno krytykowali Jednostkę Nauk Behawioralnych FBI, powszechnie uznawaną za przodującą w profilowaniu psychologicznym. Niezależnie od siebie stworzyli niemal identyczne teorie — rewolucyjne idee, które miały odmienić metody stosowane w tego typu śledztwach.

„ Metody stosowane przez FBI mają w sumie tylko jedną wadę. Są po prostu wysrane z palca”, twierdził Keppel, który podobnie jak Walter miał przyjaciół i wrogów wśród najlepszych agentów FBI.

W 1980 roku agenci specjalni John Douglas i Robert Ressler przemierzili Stany Zjednoczone i przeprowadzili wywiady z trzydziestoma sześcioma skazanymi seryjnymi zabójcami. Próbowali ustalić motywy skłaniające ich do popełnienia zbrodni. Na liście rozmówców znaleźli się Bundy, Charles Manson, David „Syn Sama” Berkowitz, John Wayne Gacy, Richard Speck, Edward Kemper oraz trójka James Earl Ray, Sirhan Sirhan i Lynette Frome — odpowiednio zabójcy Martina Luthera Kinga, Roberta F. Kennedy’ego oraz niedoszła zabójczyni prezydenta Geralda Forda. Douglas i Ressler napisali następnie wraz z pewnym psychologiem książkę *Sexual Homicide: Patterns and Motives* („Zabójstwa na tle seksualnym. Wzory i motywy”), która stała się biblią dla profilerów. Mordercy powodowani motywami seksualnymi zostali w niej podzieleni na dwie ogólne

310
kategorie w oparciu o wygląd miejsca zbrodni: na zorganizowanych i niezorganizowanych.

Niestety, skonstatował Keppel, Douglas i Ressler „wzięli to wszystko z powietrza. Nie dysponowali żadnymi dowodami. Ich teoria nie opierała się na jakimkolwiek zestawie danych empirycznych czy na znanych badaniach. W rezultacie agenci FBI wyruszyli w teren, po to by gadać z lokalnymi policjantami i oceniać potencjalnych sprawców w oparciu o fałszywe założenia. «Wiemy, że jest młody, szczupły i modnie się ubiera, więc zapewne podoba się kobietom» i tym podobne. Agenci prowadzą dyskusje

w biurach, zamiast pofatygować się na miejsce zbrodni. Widać, że nigdy nie powąchaliby krwi, jak mawia mój znajomy detektyw Frank Salerno". Walter podzielał ten pogląd, choć był ostrożniejszy w ocenach. Uważał FBI za instytucję pełną wad i skostniałą od nadmiaru biurokracji, niemniej doceniał jej rolę jako inicjatora pierwszych systematycznych badań psychologicznych nad mordercami. „Mogę się nie zgadzać z metodami działania FBI, ale wszyscy płyniemy na tej samej łódce, próbując dla dobra ludzkości zrozumieć mechanizmy morderstwa czy, ogólnie rzecz ujmując, zła”.

Walter przestudiował historię morderstwa, cofając się aż do czasów starożytnej Grecji. Można było uznać, że pierwszym nowoczesnym działaniem mającym znamiona profilowania psychologicznego była próba scharakteryzowania mordercy podjęta w listopadzie 1888 roku przez chirurga Scotland Yardu, Thomasa Bonda. Tuż po przeprowadzeniu sekcji zwłok Mary Kelly, piątej ofiary Kuby Rozpruwacza, Bond zanotował: „Jest to człowiek silny fizycznie, spokojny i pozornie nieszkodliwy, zapewne w średnim wieku, schludnie ubrany. Prawdopodobnie nosi pelerynę, aby ukryć ubranie zakrwawione podczas ataków”.

Walter i Keppel rozumieli doskonale, że choć od stulecia próbowano przeniknąć umysł mordercy, poczyniono w tej dziedzinie wyjątkowo mizerne postępy. Jeżeli nie liczyć kilku wyjątków. W sporządzonym w 1943 roku na zamówienie amerykańskiego wywiadu profilu psychologicznym Adolfa Hitlera nowojorski psychiatra Walter Langer trafnie przewidział, że w razie upadku Trzeciej Rzeszy Fiihrer prawdopodobnie

311

popęlni samobójstwo. W 1957 roku psychiatra James Brüssel, Sherlock Holmes kozetki, stworzył wierny profil Szalonego Zamachowca, który w latach czterdziestych i pięćdziesiątych terroryzował Nowy Jork. Piętnaście osób zostało rannych w wyniku eksplozji trzydziestu trzech bomb, które umieszczał w najróżniejszych miejscach: od budek telefonicznych do bibliotek, w tym na Penn Station, w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej oraz na słynnej sali koncertowej Radio City Music Hall. Szalony Zamachowiec wymykał się policji przez szesnaście lat, aż w końcu Brüssel, po przeanalizowaniu zamachów i listów terrorysty, przewidział dokładnie, że przestępca będzie katolikiem w średnim wieku, byłym pracownikiem elektrowni Commonwealth Edison, osobą pochodzenia słowiańskiego, zamieszkałą w Connecticut i noszącą dwurzędowy, zapięty na ostatni gu-

zik garnitur. Profil idealnie pasował do sprawcy, George'a P. Meteskyego, który w chwili aresztowania w domu siostry miał na sobie dokładnie taki strój, jak przewidział Brüssel. W latach siedemdziesiątych Brüssel pomógł FBI w stworzeniu Jednostki Nauk Behawioralnych, która jako pierwsza zaczęła opracowywać profile podejrzanych.

Kiedy Stoud w 1995 roku przybył na swój pierwszy lunch Towarzystwa Vidocqa (na zaproszenie starszego policjanta stanowego, członka klubu), miał już na koncie ponad dziesięć śledztw w sprawie morderstw i przeczytał wszystkie dostępne publikacje na temat morderców i sztuki prowadzenia dochodzeń, w tym prace Douglasa i Resslera, Z zimną krwią Trumana Capote'a oraz biblijną opowieść o Kainie i Abla. Wciąż czuł niedosyt — miał trzydzieści kilka lat i chciał nadal się rozwijać.

Na tym samym lunchu Walter wygłosił wykład o stworzonych przez siebie typach osobowości morderców. Opowiedział, w jaki sposób rozwiązał najgłośniejszą w historii Australii sprawę brutalnego mordu miss piękności, pielęgniarki Anity Cobby. Stoud słuchał urzeczony. Od dawna pragnął zostać profilerem, ale odkąd zapoznał się z całą literaturą poświęconą temu tematowi, nie wiedział, skąd dalej czerpać wiedzę.

Przeczuwając, że „musi znaleźć specjalistę, by tylko wskazał mu drogę, którą dalej pokona samodzielnie”, podszedł po lunchu do Waltera i zapytał, czy mógłby liczyć na indywidualne lekcje. Walter szybko go spławił, 312

ale tego samego wieczoru Stoud zadzwonił na domowy numer Waltera w Michigan i ponownie oświadczył, że chciałby zostać jego uczniem. Walter warknął do słuchawki: „Odmówiłem przecież, nie słyszałeś? Nie mam ochoty udzielać lekcji. Jesteś zbyt normalny, masz rodzinę i tak dalej. Próbowałem już w przeszłości i nigdy się nie udawało. Szkoda mojego i twojego czasu”. Pół godziny później Stoud zadzwonił ponownie i oświadczył: „Rozłączył się pan, ale nie zamierzam się poddawać”. Zadzwonił następnego dnia, i jeszcze kolejnego.

Stopniowo rozmowy między młodym policjantem i starszym psychologiem stawały się coraz dłuższe. Dyskutowali o morderstwach relacjonowanych przez media, o śledztwach, w których sami uczestniczyli, o naturze zła. Walter dopuścił do siebie myśl, że Stoud może jednak mieć odpowiedni intelekt, odwagę, charakter i kręgosłup moralny, aby zostać jego podopiecznym. „Musisz nauczyć się myśleć jednocześnie horyzontalnie i wertykalnie. Tylko kilka osób na świecie to potrafi”, stwierdził pod-

czas jednej z rozmów. Potem zaczął żyć nadzieją, że młody mężczyzna pójdzie kiedyś w jego ślady — będzie nazywać i zwalczać największe zło, jakie ludzie wyrządzali sobie nawzajem.

Walter jechał przez oblodzone wzgórza wysłużonym fordem crown victoria, zmierzając w stronę gospody Zielone Szczyty. Samochód miał dwieście tysięcy kilometrów na liczniku i co chwila się psuł. A Walter nieustannie gubił drogę. Stoud zauważył, że w pojeździe wypadałoby wymienić elektrykę i hamulce, ale Walter tylko prychnął w odpowiedzi: „Wiesz przecież, że zupełnie nie mam głowy do tych spraw”. Policjant stanowy nie mógł się nadziwić, jak niewiele geniusz pokroju Waltera wie o przyziemnych aspektach życia — samochodach, komputerach, rozgrywkach bejsbolu. „Pewnie poświęca wszystkie siły na sadyzm, nekrofilii i zespół Münchhausena”, pomyślał Stoud.

Walter zwierzył mu się wcześniej, że po kilkudziesięciu latach studiowania brutalnych morderstw postanowił przeistoczyć się w wiodącego spokojny, małomiasteczkowy żywot emeryta. A w każdym razie przeistoczyć w niego ten wrak człowieka, który pozostał po latach wypraw w otchłanie człowieczeństwa — wysokie czoło, suchotniczy kaszel, ciało

313
uodpornione i wyniszczone przez niezliczone zmagania z ciemnościami. Pragnął wieść przyjemne życie.

Stoud uśmiechnął się znacząco.

— Ile pan miał samochodów?

— Siedem.

— Każdy z nich to był czarny crown wie? Jak radiowozy?

— Tak.

— I wszystkie zajechał pan do szczętu.

— Tak.

— Ile pan ma garniturów?

— Jeden.

— W kolorze?

— Niebieskim.

— I nosi go pan, aż zacznie się rozpadać.

— Tak. Wtedy kupuję nowy. A można jakoś inaczej?

Stoud uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Jeżeli pan jest emerytem, to ja jestem lordem. Pozostał pan gliniarzem.

Walter wybuchnął śmiechem.

— Masz rację.

Rozdział 38

Miasto braterskiego chaosu

Pod numerem 1704 na Locust Street w Filadelfii stała posępna, dziewiętnastowieczna kamienica wciśnięta między potężny, pokryty białym marmurem gmach szkoły muzycznej a tanie hoteliki i sklepy przy Rittenhouse Square. Niewygodne żelazne schody prowadziły ku wysokim, złowrogo wyglądającym tylnym drzwiom z zaśniedziałą kołatką. Okno na pierwszym piętrze umiejscowione było asymetrycznie względem reszty budynku, przez co fasada przypominała jednooką twarz jakiegoś zagubionego, staroświeckiego, trochę zaniedbanego jegomościa w palcie i kapeluszu. Na ceglanej ścianie na lewo od drzwi znajdował się pionowy rząd małych, mosiężnych tabliczek o nieco zagadkowym wyglądzie, uszeregowanych od największej na górze do najmniejszej na dole. Najniższa, mniejsza od dłoni, zawierała następującą informację:

akademia naukowych szkoleń detektywistycznych

sieć wywiadowcza keystone

towarzystwo vidocqa

Kto wszedł na pierwsze piętro dziewiętnastowieczną klatką schodową wyłożoną białym marmurem, trafił do nowego biura agencji detektywistycznej Keystone. Jej szefem był William L. Fleisher, który odszedł ze służby 31 grudnia 1995 roku i jak na pracoholika przystało, po dwóch dniach przerwy rozpoczął nową karierę. 2 stycznia 1996 roku wraz

315

z Natem Gordonem, również członkiem Towarzystwa Vidocqa, założył agencję detektywistyczną świadczącą pełny zakres usług i reklamującą się hasłem: „FBI dla każdego”. Na tym samym piętrze znajdowała się stworzona przez nich Akademia Naukowych Szkoleń Detektywistycznych, w której prowadzili kursy posługiwania się wykrywaczem kłamstw. Zajęcia odbywały się w najróżniejszych miejscach: od siedziby szkoły na Locust Street po Dubaj. Tych kilka niewielkich pomieszczeń w kamienicy stało się pierwszą centralą Towarzystwa Vidocqa, które dotychczas mieściło się w domowych biurach, bagażnikach i teczkach.

Osoba odwiedzająca agencję wchodziła najpierw do dużego pomieszczenia z czerwonym perskim dywanem i orientalnymi grafikami na ścianach. Po wejściu napotykała wzrok sekretarki, Glorii Alvarado,

której biurko stało obok wiktoriańskiego kominka ozdobionego popiersiem Vidocqą i zszarzałą czaszką, której ojciec Fleishera używał w szkole stomatologicznej w latach trzydziestych XX wieku. Korytarzem można było dojść do biur Gordona, byłego filadelfijskiego oficera śledczego Eda Gaughana oraz kilku emerytowanych agentów FBI — wszyscy byli członkami Towarzystwa Vidocqą. Fleisher urzędował w małym, trójkątnym pokoju; przez szyby z ołowianymi szprosami było widać biegnącą z tyłu budynku ulicę. Półki i ściany były zagracone niezliczonymi nagrodami i bibelotami, między innymi obrazem szkunera płynącego po wzburzonym morzu autorstwa Michelle, psychometrycznym wykrywaczem kłamstw z lat czterdziestych XX wieku oraz zdjęciem ojca Fleishera w granatowym mundurze.

Zabrzączał dzwonek — Gloria dawała sygnał, że Ron Avery, komentator „Philadelphia Naily News”, siedzi w poczekalni.

— Wpuść go.

Prasa uwielbiała prezesa Towarzystwa Vidocqą, a Avery był jego dobrym znajomym. Fleisher rozparł się w obrotowym skórzanym fotelu. Dziennikarz opowiedział o zamiarze napisania książki o historii przestępczości w Filadelfii. Na razie zbierał pomysły. Chciał postawić tezę, że Miasto Braterskiej Miłości przez trzysta piętnaście lat swego istnienia nie miało sobie równych pod względem poziomu korupcji i liczby morderstw. Książka miała nosić tytuł Miasto Braterskiego Chaosu.

316

— Coś dla mnie — mruknął Fleisher. — Żeby wyczerpać temat, musiałbyś napisać pięć tomów. Co do tej pory zebrałeś?

Avery dotarł do kompromitujących szczegółów życia Williama Penna juniora — syna Williama Penna, założyciela miasta — oskarżonego w pierwszym dziesięcioleciu XVIII wieku o napaść podczas pijackiej burdy. Pastor kościoła Chrystusa, do którego chodzili George i Martha Washingtonowie, chełpił się intymnymi relacjami z najpiękniejszymi damami swojej kongregacji; doszło do bójek i pojedynków. W historii miasta zapisał się również dziewiętnastowieczny potwór, H.H. Holmes, pierwszy amerykański seryjny zabójca. Avery zamierzał pominąć Gary'ego Heidnika, pastora kanibala z lat osiemdziesiątych XX wieku i jego Pałac Grozy oraz początki „kariery” Teda Bundy'ego. Miał problem z nadmiarem wątków i materiałów — wiedział, że nie zdoła opisać wszystkiego w jednej książce. Planował za to wspomnieć o innej sprawie.

— Chcę napisać o Chłopcu w Pudełku.

Na te słowa Fleishera opadły wspomnienia z dzieciństwa. Zobaczył siebie jako trzynastolatka stojącego przed plakatem na targowisku Penn Fruit Company, czekającego na powrót matki z zakupów. Właśnie wtedy po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią — z nieruchomymi oczami na smutnej, bladej masce śmierci.

Sprawa Chłopca w Pudełku, opowiadał Avery, nigdy nie została rozwiązana. Wydział zabójstw urządził zbiórkę i ufundował kamień nagrobny — jedyny na tamtejszym cmentarzu dla ludzi o nieustalonej tożsamości lub zbyt ubogich, by wykupić miejsce na zwykłym cmentarzu. Takie miejsca zwyczajowo nazywano w Ameryce Polem Garncarza — na pamiątkę tego, które według Biblii kupili faryzeusze za trzydzieści srebrników zwróconych przez skruszonego Judasza. Bezimienny chłopiec leżał tam w towarzystwie gwałcicieli, morderców, niezidentyfikowanych szczątków oraz ludzi biednych i zapomnianych. Policjanci kazali wyryć na płycie napis: „Boże, pobłogosław tego bezimiennego chłopca”. Przydzielony do sprawy w 1957 roku Remington Bristow, śledczy pracujący w biurze lekarza sądowego, szukał sprawcy nawet po przejściu na emeryturę. Co roku chodził na grób chłopca, o czym pisały nawet gazety. Bristow zmarł przed trzema laty. Był ostatnią osobą, która próbowała rozwikłać zagadkę tego morderstwa.

317

Po wyjściu Avery'ego Fleisher ponownie przypomniał sobie plakat widziany w dzieciństwie. Jako chłopiec fantazjował, że rozwiązuje tajemnicę morderstwa i zostaje bohaterem całego miasta. Po latach poznał wielu policjantów, którzy nie potrafili zapomnieć o sprawie Chłopca w Pudełku. Wrócił do domu, zjadł obiad z Michelle i dziećmi, ale sprawa morderstwa sprzed lat nie dawała o sobie zapomnieć. To straszne, że mimo upływu czterech dziesięcioleci nikt nie poniósł odpowiedzialności za jedno z najbrutalniejszych morderstw, z którymi Fleisher miał do czynienia. Dlaczego nikt się wtedy nie zgłosił i nie powiedział: „To mój syn”? Było mu przykro, że chłopiec leży na Polu Garncarza. Siedział przy słabo oświetlonym biurku i bezskutecznie próbował skupić się na detalach jakiegoś przestępstwa korporacyjnego. „Tak się nie godzi”, mruknął pod nosem. Tych kilka prostych słów przez całe życie motywowało go do działania. Teraz natchnęły go pewną myślą. Natychmiast ją jednak odpędził, potrząsając wielką, brodatą głową. To wszystko stare dzieje, fantazja z dzieciństwa. Teraz był zbyt zajęty współczesnymi przestępstwami.

W nocy niespokojnie przewracał się na łóżku. Śnił mu się bezimienny chłopiec leżący samotnie pod zamarznąłą ziemią Pola Garncarza.

Rozdział 39

Gniew słodszy od miodu

John Martini był właścicielem ekstrawaganckiej restauracji w Phoenix, hazardzistą i czarusiem realizującym mroczne amerykańskie marzenia. Kariere zaczynał jako płatny zabójca na usługach mafii, później został informatorem FBI i jednym z najbezpieczniejszych seryjnych morderców naszych czasów. Kiedy w końcu trafił do celi śmierci, budził przerażenie samym wyglądem — zupełnie jakby jego cielesna powłoka była mglistym zwierciadłem duszy. Był grubym, tysiącletnim kolosem o wielkich łapach i szerokiej, ospowatej twarzy, obwisłych wargach, dużym haczykowatym nosie i złowrogich ciemnych oczach. Jako zawodowy morderca pracował podobno dla Raymonda Patriarki, gangstera z Nowej Anglii, ale za odpowiednią sumkę był gotów zabić przyjaciela lub krewnego. Zdaniem policji zamordował między innymi swoją ciotkę i wuja.

Z tego powodu o prawdziwym pechu mogła mówić Anna Mary Duvall, która poznała Martiniego przez jedną z przyjaciółek. Anna była emerytowaną urzędniczką z New Jersey, która po odejściu z pracy przeprowadziła się do Arizony. Martini namówił ją do zainwestowania dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w rzekomo niezwykle dochodową nieruchomość. Kiedy jesienią 1977 roku kobieta przyjechała do Filadelfii, aby sfinalizować transakcję, Martini wziął pieniądze, a następnie ją zamordował — tak właśnie wyobrażał sobie transakcję sprzedaży nieruchomości.

319

Dwadzieścia lat później, w 1997 roku, Martini w końcu przyznał się do morderstwa i został skazany na śmierć. Przed sąd trafił dzięki artystycznej wizji Franka Bendera.

— Ten Martini był najgorszy ze wszystkich, no może poza Vorhaue-rem — wspominał Bender. — Zbyt pokręcony, żeby dało się o nim nakręcić film. Musiałoby powstać coś w rodzaju połączenia Chłopców z ferajny z Człowiekiem z blizną.

Bender, Walter i Fleisher spotkali się na lunchu w restauracji Center City.

— Richard, co byś z nim zrobił jako psycholog? — spytał Fleisher.

— Poczęstowałbym go kawałkiem ołowiu wartym siedem centów —

odparł Walter, uśmiechając się szyderczo.

Czterdziestoczteroletni, pochodzący z Bronksu Martini zrobił dobre wrażenie na Duval, kiedy przedstawił ich sobie brat jednej z jej przyjaciółek. Najwyraźniej nie wiedziała, że odsiedział wyrok za kradzież ciężarówki z damską bielizną w New Jersey ani że zdaniem FBI był jednym z najohydniejszych przestępców w Stanach Zjednoczonych. Nie mogła również wiedzieć — o tym bowiem nie słyszała nawet policja — że od ponad dekady Martini był opłacany przez FBI za przekazywanie agencji informacji o ciężarówkach ukradzionych w Nowym Jorku i New Jersey. W październiku 1977 roku Duval poleciała przez Chicago do Filadelfii. Martini odebrał ją z lotniska. Przedstawił jej współnika, policjanta, który siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu samochodu. Kilka minut później mężczyzna wyciągnął pistolet i na chłodno wpakował jej trzy kule w tył głowy. Mordercy porzucili ciało nieopodal lotniska. Martini zeznał później, że policjant był jego podopiecznym, którego „przyuczał do zawodu. No rozumiecie... na przykład jak likwidować ludzi”.

Po tamtym wydarzeniu Martini zaczął mordować kolejne ofiary. Był głównym podejrzanym w co najmniej czterech sprawach (ostatecznie nie postawiono mu zarzutów), w tym o zastrzelenie kuzyna i byłego zięcia, a także zastrzelenie i zadżganie nożem ciotki i wuja, Catherine i Raymonda Gebertów, w ich domu w Atlantic City (Martini otrzymał w spadku 175 tysięcy dolarów).

320

Jesienią 1988 roku ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości i był zupełnie splukany. Wydawał dziennie pięćset dolarów na kokainę, miał sprawę rozwodową i stracił posadę współpracownika FBI; oficjalnie z powodu nieszczerości w relacjach z agencją. W październiku w Arizonie zastrzelił handlarza narkotyków i jego towarzyszkę. Trzy miesiące później razem z Theresą Afdahl, dziewczyną i jednocześnie współniczką, porwał Irvinga Flaksa, kierownika hurtowni z Secaucus w stanie New Jersey. Sprytnie wywinął się z pułapki zastawionej przez FBI i odebrał 25 tysięcy dolarów okupu od żony Flaksa, ale zamiast puścić go wolno, strzelił mu trzykrotnie w głowę. W końcu został zatrzymany w pobliskim hotelu, a w 1990 roku skazany za porwanie i morderstwo. Trafił do celi śmierci, po czym został jeszcze skazany za zamordowanie Duval, za co otrzymał dodatkowy wyrok dożywotniego więzienia.

— Dzieci Duval powiedziały w sądzie, że cieszą się z wyroku — o-

wiadał Bender. — Dał im poczucie, że życie ich matki przedstawiało mimo wszystko jakąś wartość.

— Frank, jesteś po prostu niesamowity — powiedział Fleisher. — Co byśmy bez ciebie zrobili?

Wiosna 1997 roku była czasem triumfów Towarzystwa Vidocq'a. Na lunchu 18 kwietnia w Klubie Oficerów Marynarki Wojennej wyświetlono makabryczne zdjęcie: nadgniłe zwłoki dwudziestosiedmioletniej kobiety, znalezione między żywopłotami w słabo zaludnionej części hrabstwa Delaware. Śmierć nastąpiła najprawdopodobniej przez uduszenie. Śledztwo prowadzone przez pensylwańską policję stanową ciągnęło się przez sześć lat. Walter i pozostali członkowie Towarzystwa wytypowali podejrzanego jeszcze przed podaniem deseru. „Sprawa nie była szczególnie skomplikowana”, przyznał Walter.

Dwudziestoczteroletnia ofiara mieszkała z chłopakiem, dostarczycielem pizzy, który nie miał co prawda wcześniej konfliktów z prawem, ale znęcał się nad dziewczyną i groził jej, nie mówiąc o tym, że używał nietypowego przezwiska Ted Bundy. Sprawa należała do kategorii mordów tak ekstremalnych, że wydają się nieodpowiednie nawet dla Hollywoodu. Jak na ironię akurat tego dnia w lunchu uczestniczyła liczna delegacja ludzi związanych z Fabryką Snów. Później zaprowadzono ich do 321

pracowni Bendera, gdzie łakomym wzrokiem podziwiali unikatową kolekcję rekonstrukcji twarzy osób żywych i zmarłych. Producenci zaprosili z kolei członków Towarzystwa Vidocq'a do Le Bec-Fin, słynnej francuskiej restauracji (obiad dla dwóch osób kosztował tam siedemset dolarów), aby namówić ich na sprzedaż praw do ekranizacji historii i działalności Towarzystwa. Walter nie znosił ludzi, którzy próbują mu coś wcisnąć, dlatego uważał spotkanie za żenujące.

— Zagrałby pana Kevin Spacey. On będzie umiał stworzyć wielką postać amerykańskiego detektywa — kadził mu jeden z producentów, kiedy mknęli limuzyną przez pogrążone w mroku nocy miasto.

Zaskoczony Walter zamrugał gwałtownie powiekami.

— To wspaniale! Znakomicie! A kto to jest Kevin Spacey?

— Pan nie... chodzi do kina?

— Oczywiście, że nie, mój drogi. Nie znoszę odgłosu chrupania popcornu.

Cztery dni później Fleisher, Bender i Walter świętowali ofertę Jer-

sey Films, studia należące do Danny'ego DeVito, które zaproponowało 1,3 miliona dolarów za prawa do filmu o Towarzystwie Vidocq. Nie minęło wiele czasu, a DeVito zaprosił Bendera na przyjęcie w Los Angeles. Wielkim admiratorem jego dokonań był podobno Robert De Niro. Przyjaciele rzeźbiarza zadrżeli na myśl o możliwościach, jakie otwierało przed Banderem życie towarzyskie w Hollywood.

W maju emerytowany agent FBI Robert Ressler wyruszył w trasę promocyjną z nową książką *I Have Lived in the Monster* („Zamieszkałem w potworze”), zawierającą jedyny wywiad z Potworem z Milwaukee — Jeffreyem Dahmerem, najstraszliwszym seryjnym mordercą, z jakim Ressler kiedykolwiek miał do czynienia.

Ressler przez dwa dni rozmawiał z Dahmerem, kanibalem homoseksualistą, skazanym za zamordowanie siedemnastu mężczyzn i chłopców oraz zjedzenie ich szczątków. Na samo wspomnienie mieszkania potwora Resslerowi robiło się niedobrze. Trzy głowy leżały w zamrażalniku, jedna w lodówce, a odcięte dłonie — w garnku. W mieszkaniu nie znaleziono normalnego jedzenia, a jedynie piłę łańcuchową do rozkrwania ciał i fiolki na krew. Dahmer odurzał ofiary narkotykami i torturował je. „Schrupię 322

sobie twoje serduszko”, mówił. Wywiercał im otwory w czaszkach i wlewał do środka kwas akumulatorowy, aby przerobić ich na półżywych niewolników seksualnych.

Ressler, ku własnemu zdumieniu, po wyjściu ze spotkania z mordercą odczuwał jedynie współczucie dla degenerata, który oświadczył, że zabijał i zjadał mężczyzn, aby przezwyciężyć poczucie samotności. Według Resslera Dahmer był chory psychicznie i powinien był spędzić resztę życia w szpitalu psychiatrycznym, a nie odsiadywać niemal tysiącletni wyrok więzienia. Dlatego właśnie zeznawał w jego obronie.

Walter nie potrafił zrozumieć postawy przyjaciela. Jego zdaniem Dahmer był w pełni świadomym swoich czynów, wyrachowanym psychopatą, który powinien odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie. Walter żywił przekonanie, że niemal we wszystkich przypadkach „ludzie mają możliwość wyboru. Jeżeli odbierzemy im tę zdolność, pozbawiamy człowieczeństwa zarówno ich, jak i pozostałych ludzi z ich otoczenia, w tym ofiary”.

Ressler wychowywał się w tej samej dzielnicy Chicago co John Wayne Gacy. Na wieść o tym, że agent nie wybiera się na jego egzekucję, Gacy przeklął Resslera, grożąc, że będzie prześladował agenta FBI z za grobu.

Relacja Resslera z tego, co stało się później, na większości ludzi zrobiła duże wrażenie; Walter oczywiście zachował sceptycyzm. Ressler miał spać w pokoju hotelowym w Houston, kiedy niespodziewanie obudziła go potężna siła, która przytrzymała go z taką mocą, że nie mógł się poruszyć ani zaczerpnąć oddechu. Kiedy rozpaczliwym wysiłkiem wyrwał się z uścisku, usłyszał grający w tle telewizor — telewizja CNN podawała właśnie wiadomość o egzekucji Johna Wayne'a Gacy'ego.

„Co robić, by nie paść ofiarą seryjnego zabójcy? Z lektury książki Resslera wynika, że nie należy rozmawiać z nieznanymi ani wsiadać do ich samochodów, unikać «gejowskich» barów sado-maso oraz wszelkiego rodzaju sekt. Kto będzie przestrzegał tych zasad, niemal do zera zmniejsza ryzyko, że padnie ofiarą jakiegoś potwora. Nadmiernie upraszczam? Być może, ale przestrzeganie powyższych reguł w niczym nie szkodzi, a w moim przypadku jak na razie się sprawdza”, pisał Fleisher w entuzjastycznej recenzji książki Resslera opublikowanej w „Vidocq Society Journal”, wówczas kwartalniku.

323

Największą dumą napawała Fleishera pomoc, której członkowie Towarzystwa Vidocq udzielali policjantom prowadzącym najgłośniejsze śledztwa. Szanowany specjalista w zakresie dentystryki sądowej Haskell Askin trafił na czołówki gazet, kiedy jego zeznania doprowadziły do skazania Jesse Timmendequasa, który 29 lipca 1994 roku dopuścił się brutalnego morderstwa na tle seksualnym na siedmioletniej Megan Kanki w Hamilton w stanie New Jersey. Śmierć Kanki doprowadziła do przyjęcia Prawa Megan — uchwalonych przez wiele wspólnot lokalnych przepisów zobowiązujących policję do informowania mieszkańców, że w okolicy mieszka osoba skazana za pedofilię. W zeznaniach złożonych 17 maja 1997 roku Askin wykazał identyczność śladów po ugryzieniu na dłoni oskarżonego z rozkładem zębów dziewczynki. Dowód tak bardzo ucieszył jednego z ławników, że „wyrzucił zaciśniętą pięść w powietrze i głośno mlasnął językiem”, pisał jeden z reporterów. Ławnika zastąpiono innym, ale Timmendequas został uznany za winnego i skazany na śmierć.

Barbara Cohan-Saavedra, zastępczyni prokuratora generalnego i członkini Towarzystwa Vidocq, doprowadziła do skazania radzieckiego szpiega Roberta Lipki, który w latach sześćdziesiątych XX wieku pracował w amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ostatecznie przyznał się do mikrofilmowania ściśle tajnych dokumentów i wynosze-

nia w spodniach oraz pod kapeluszem innych dokumentów, które sprzedał następnie agentom KGB za łączną sumę dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów. Lipkę skazano na osiemnaście lat więzienia.

Wszechstronnie utalentowana Cohan-Saavedra — była również jubilerką i cukierniczką — przekonała Fleishera, aby do kalendarza spotkań Towarzystwa Vidocqą dopisał jeszcze jeden uroczysty obiad: 14 lutego, Dzień Bastylii. Fleisher uznał to za znakomity pomysł. „Wiara Vidocqą w odkupienie win przetrwała w naszym Towarzystwie. Czy można wyrazić ją lepiej, niż świętując rocznicę owego dnia z 1789 roku, kiedy lud zdobył Bastylię i wrota więzienia stanęły otworem?”, pytał.

Z kolei sam Fleisher pomógł oczyścić z zarzutów mężczyznę niesłusznie oskarżonego o morderstwo w Little Rock w stanie Arkansas. Po występie w programie 48godzin Fleisher odbył niezwykle rozmowę telefoniczną z nauczycielką Teresą Cox Baus, której brat, kierownik restauracji, został

324
zamordowany w marcu 1991 roku. Baus zwróciła się do Towarzystwa Vidocqą z prośbą o pomoc w oczyszczeniu z zarzutów czarnego pomywacza, jej zdaniem niesłusznie posądzonego o morderstwo. Nauczycielka zerwała współpracę z prokuratorem prowadzącym sprawę i od pewnego czasu pomagała przydzielonemu z urzędu obrońcy pomywacza. „Nie potrafię znieść myśli, że niewinna osoba zostanie skazana. Dorastałam w Little Rock i mam wrażenie, że oskarżyli czarnego o zamordowanie białego, ponieważ wydaje im się to oczywiste. To przykre, ale prawdziwe”, powiedziała.

O przeanalizowanie akt sprawy Fleisher poprosił dwóch znakomych profilerów należących do klubu — Waltera i agenta specjalnego FBI Gregga McCraryego, który pracował wcześniej przy wielu głośnych śledztwach, między innymi przy sprawie masakry trzydziestu trzech budzyskich mnichów na Sri Lance w 1987 roku. Kiedy obaj potwierdzili, że pomywacz najprawdopodobniej nie popełnił morderstwa, prawnicy oskarżonego uzyskali uniewinnienie w ciągu czterdziestu pięciu minut. „Teresa Baus jest amerykańską bohaterką. Właśnie tak powinna działać sprawiedliwość”, oświadczył Fleisher.

Niemniej jednak o największym zwycięstwie, jakie Towarzystwo Vidocqą odniosło tamtej wiosny, media informowały najmniej.

W piątek 16 maja, kiedy Haskell Askin przygotowywał się w New Jersey do złożenia zeznań w procesie mordercy Megan Kanki, Richard Walter

przebywał w budynku sądu okręgowego w Lubbock w Teksasie, niecierpliwie oczekując w towarzystwie Jima i Barbary Dunnów na ogłoszenie wyroku w procesie, w którym oskarżano Alicję „Leishę” Hamilton o torturowanie i zamordowanie Scotta Dunna. Kilka minut wcześniej przez uchylone drzwi sali, w której obradowała ława przysięgłych, na sąsiadujący z nią korytarz i salę sądową wydostały się radosne okrzyki. Trwający od kilku godzin impas został przełamany; ławnicy podjęli decyzję.

Hamilton stała wyprostowana w dumnej pozie pośrodku sali sądowej. Miała na sobie skromną niebieską sukienkę, która dobrze pasowała do jej długich ciemnych włosów. Chwilę wcześniej sędzia William R. Shaver — czarna szata uwydatniała jego kwadratową szczękę i srebrzyste

325
włosy — kazał jej powstać i przygotować się do wysłuchania wyroku. Sędzia zmarszczył z dezaprobatą brwi, kiedy na wypełnionej po brzegi sali rozległy się głośnie szepty.

Hamilton sprawiała wrażenie pewnej siebie i spokojnej — zachowywała się tak w trakcie całego czterodniowego procesu. Jeszcze rano żartowała z rodzicami i obrońcą oraz obdarzyła szerokim uśmiechem ławę przysięgłych, a zwłaszcza przystojnego młodego mężczyznę, którego przez poprzednie cztery dni uwodziła swoimi wielkimi zielonymi oczami. Jeden z jej byłych kochanków zeznał, że powiedziała mu: „Nigdy nie zostanę skazana, ponieważ nie znaleziono ciała ani narzędzia zbrodni”.

Sędzia Shaver uciszył salę kilkoma uderzeniami młotka.

— Proszę nie zapominać, że znajdują się państwo w budynku sądu — zwrócił się surowym tonem do zebranych. — Na sali ma panować absolutna cisza.

Widzowie umilkli. Przez wysokie zasłony do sali wlewało się przyćmione południowe światło.

Richard Walter, ubrany w starannie wyprasowany niebieski garnitur, nachylił się niecierpliwie do przodu. Jim Dunn miał na sobie najlepszy czarny garnitur i krawat. Z kieszonki marynarki wystawała chusteczka pełniąca więcej niż tylko dekoracyjną funkcję. Barbara, także w starannie dobranej sukience, trzymała Jima za rękę. Niemal dokładnie sześć lat wcześniej ostatni raz widziano Rogera „Scotta” Dunna żywego, kiedy Hamilton wprowadzała go do swojego mieszkania. Walter wierzył w ideę sprawiedliwej zemsty — dziś już może niemodną, ale na przykład przez starożytnych Greków uważaną za niezbędną element cywilizowanego

współzycia ludzi. Coś takiego mogło się zdarzyć właśnie teraz. Ta chwila była ukoronowaniem długich zmagañ z aniołami i demonami.

Siedzący na prawo od oskarżonej Rusty Ladd, tyczkowaty zastępca prokuratora okręgowego w kowbojskich butach, nachylił się nerwowo do przodu. Sprawa okazała się prawdziwym utrapieniem dla urzędu prokuratora, ponieważ w ciągu kilku lat, które minęły od morderstwa, zatęrzyły się wspomnienia świadków, a wiele dowodów straciło ważność. Podczas wstępnego procesu ława przysięgłych uznała przedstawione dowody za niewystarczające do postawienia komukolwiek zarzutów. Prokurator

326

okręgowy, który prowadził wówczas sprawę, stracił stanowisko w kolejnych wyborach, na nowym zaś ciążył konflikt interesów — jego były współpracownik reprezentował w przeszłości Tima Smitha, domniemanego współlnika Hamilton. Z tego powodu prokurator przekazał sprawę Laddowi, prokuratorowi z innego hrabstwa. Powołano nową ławę przysięgłych, a zanim proces w ogóle się rozpoczął, Ladd przez osiem miesięcy zmagał się z monstualną przeszkodą: był to jeden z pierwszych przypadków w historii Teksasu — a może w ogóle pierwszy — kiedy próbowano doprowadzić do skazania podejrzanego za morderstwo mimo braku ciała albo narzędzia zbrodni. Ladd musiał podołać niezwykle trudnemu zadaniu i udowodnić istnienie tak zwanego corpus delicti (przedmiotu przestępstwa). Prawo mówiło, że jeśli sprawa dotyczy podpalenia, należało przedstawić spalony budynek; a jeśli morderstwa — zwłoki. W tym wypadku musiał liczyć, że ława przysięgłych uwzględni psychologiczne niuansy makiawelicznej zemsty Hamilton. Ku rozpaczy Ladda, nie pozwolono zeznawać Walterowi, twórcy profilu psychologicznego Hamilton, który najlepiej potrafiłby wyjaśnić psychopatyczny wdzięk i morderczy gniew oskarżonej. Sędzia Shaver uznał, że profil oskarżonej o morderstwo Hamilton powstał w oparciu o domysły i nie stanowi wartościowego dowodu w sprawie.

Siedzący w trzecim rzędzie Walter nadal nie potrafił pogodzić się z tą zniewagą. Jego analizy ceniono i wykorzystywano jako materiał dowodowy na całym świecie. Kimże był ten postukujący młotkiem teksański prawniczyna, aby oceniać trafność analiz eksperta o międzynarodowej sławie?

Sędzia rozwinął kartkę, którą wręczył mu przewodniczący ławy przysięgłych. Uniósł świstek papieru przed oczy, odchrząknął i odczytał wyrok.

Jego głos odbił się echem od ścian sali. „My, ława przysięgłych, uznajemy w oparciu o przedstawione dowody, że oskarżona jest ponad wszelką wątpliwość winna zarzutu morderstwa zawartego w oskarżeniu”.

Przez salę przeszedł szmer. Jim i Barbara Dunnowie odwrócili głowy i trzymając się za ręce, spojrzeli sobie w oczy. Chwilę później Jim objął Barbarę; z oczu popłynęły mu łzy. Walter cieszył się, widząc, jak ludzie, którzy stali się jego dobrymi przyjaciółmi, za pośrednictwem tego jednego

327
uścisku wydobywają się z mroku tragedii. Ale tak naprawdę nie mógł ode-
rwać wzroku od Hamilton.

Otworzyła szeroko usta, uniosła wyzywająco podbródek i zamknęła oczy, wreszcie pochyliła głowę i zaczęła płakać. „Nigdy, przenigdy nie zapomnę tego widoku”, opowiadał później Walter. „Jak na prawdziwą psychopatkę przystało, była absolutnie przekonana, że zapadnie wyrok uniewinniający. Przyjęła dumną postawę, kiedy kazano jej powstać, a kiedy odczytano wyrok, nie skuliła się, tylko odrzuciła głowę w geście niedowierzania i pogardy. Jak oni śmieli jej to uczynić? Oto kolejny przejaw patologicznego zachowania — odmowa stosowania się do norm prawnych, respektowania granic zachowania. Pogarda dla każdego, kto próbuje ją w jakikolwiek sposób ograniczać”.

Sędzia Shaver poprosił ławę przysięgłych o ustalenie wyroku. Choć oskarżoną uznano za winną morderstwa, ławnicy mieli dużą swobodę w doborze kary: mogli skazać Hamilton na dożywocie albo skromne pięć lat więzienia. Dwie godziny później ława przysięgłych powróciła z uzgodnionym wyrokiem. Hamilton ponownie wstała z dumnie uniesioną głową. Sędzia odczytał wyrok: dwadzieścia lat więzienia. Walter zauważył, że i tym razem twarz Hamilton stężała. Dziewczyna jakby nie dowierzała, że trafi za kratki.

Już poza salą sądową do Dunna podeszło dziewięć kobiet z ławy przysięgłych, aby zapewnić, że próbowały ze wszystkich sił skazać Hamilton na dożywocie. „Mój Boże, ależ one jej nienawidziły. Nie znały znaczenia słowa «psychopata», ale przejrzały ją na wylot i dostrzegły kryjące się w niej zło. Musiały jednak pójść na kompromis z Billym Bobem, Panem Macho, który nie mógł uwierzyć, że kobieta jest zdolna do popełnienia morderstwa”, wspominał Walter. Mimo to miał satysfakcję, że jego ocena Hamilton znalazła potwierdzenie w opinii wspólnoty.

Przystojny młody mężczyzna, którego Leisha próbowała omotać swo-

imi zielonymi oczami, również podszedł po rozprawie do Dunna. Z pełnym przekonaniem głosował za skazaniem, a Dunnowi wyznał, że jej urok budził w nim grozę. Podejrzewał, że z łatwością mógłby podzielić los Scotta. „Nigdy nie wiadomo, co nam się może przydarzyć”, stwierdził Walter, nie wyjmując papierosa z ust. „Do tej pory zdobywała wszystko,

328
rozkładając nogi. Ale nie tym razem. Wreszcie została sprowadzona na ziemię”.

Walter wyczuwał u Dunna stan olbrzymiego napięcia. Ojciec zamordowanego Scotta czerwieniał na twarzy od samego przebywania w jednej sali z Hamilton. Na widok jej krewnych lub sympatyków natychmiast się oddalał. Najwyższy czas, aby ochłonął, pomyślał Walter. Pragnienie zemsty to normalne, zdrowe i przyjemne uczucie, tłumaczył mężczyźnie. „Tak naprawdę powinno cię przepęlniać pragnienie słodkiej zemsty”.

Spółczesność funkcjonująca w oparciu o zasady sprawiedliwości wcale go nie tłumii, a nawet uznaje, że wściekłość z powodu doznanej krzywdy i rozkosz towarzysząca wyobrażeniu sobie zemsty ma dla człowieka duże znaczenie. Gniew — zauważa Arystoteles w Retoryce — „jest (...) słodszy od miodu, który się sączy kroplami, gdy w sercach mężów narasta”.

— Teraz jednak przyszedł czas, aby zostawić to za sobą — tłumaczył Walter. — Człowiek prawy odczuwa właściwy rodzaj gniewu z właściwych powodów we właściwym czasie. Powinien kontrolować to uczucie, miarkować je, okazywać posłuszeństwo prawu, słuchać przyjaciół, rodziny i kierować się standardami przyzwoitości.

Dla Jima Dunna ten czas właśnie nadszedł.

A jednak ojciec Scotta nie był w pełni usatysfakcjonowany. Przed wyjazdem z Lubbock postawił na rodzinnym grobowcu nową granitową płytę z wygrawerowanym rysunkiem żółtego camaro syna. Pochyliwszy głowę nad pustym grobem, poprzysiął, że nie spocznie, póki nie znajdzie ciała syna i nie wyprawi mu prawdziwego pochówku. Walter był pewien, że Hamilton całkowicie unicestwiła ciało Scotta, aby uniknąć odpowiedzialności za morderstwo. Nie potrafił przekonać Dunna, że nigdy nie odnajdzie szczątków syna, niemniej poradził mu, rozumiejąc uczucia targające mężczyznę, aby pochował w grobie kawałek dywanu nasiąkniętego krwią Scotta.

— Przypomnij sobie, Jim, co orzekł sąd. Krew jest ciałem. Ta krew to szczątki twojego syna.

Dunn przyznał mu rację.

* Arystoteles, Retoryka. Poetyka, tłum. H. Podbielski, Warszawa 1988, s. 146.

329

Tego wieczoru Dunnowie i Walter świętowali w restauracji pomyslnie zakończenie procesu. Przy stole królowało wino i promienne uśmiechy. Walter zachęcał Dunnów, aby dopuścili do siebie poczucie triumfu. Należał im się tyk słodkiej sprawiedliwości doprawionej radością z zemsty. Zwycięstwo należało opić.

Profiler był zadowolony z roli, jaką odegrał w sprawie.

— Największą satysfakcję sprawia mi pokonanie osobnika o profilu stanowczej siły — wyznał. — Mordercy przekonanego, że przemocą zdoła pokonać wszystkie przeciwności.

— Dlaczego? — spytał Dunn.

— Tak się składa, że sam mam podobną osobowość — psycholog uśmiechnął się porozumiewawczo.

Obaj roześmiali się serdecznie.

Pod koniec wieczoru alkohol i euforia wyparowały częściowo z głów biesiadników. Walter przypomniał, że na mocy teksańskiego prawa Hamilton będzie mogła ubiegać się o zwolnienie warunkowe i skrócić odsiadkę. Profiler zdawał sobie sprawę, że Dunn wciąż zмага się z demonami, próbuje znaleźć odpowiednie proporcje między karą a przebaczeniem, wejść na drogę człowieka prawego. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela i zapewnił go, że nie jest sam. Razem zrobią wszystko, co konieczne, sprawiedliwe i słuszne.

Spojrzał na zmęczoną twarz przyjaciela. Miał nadzieję, że na tym sprawa się zakończy.

Rozdział 40

Najgorsza matka w historii

Pewnego październikowego wieczoru 1997 roku William Fleisher oglądał wystawę osobliwości w wytwornym wnętrzu filadelfijskiego Muzeum Müttera. W znakomicie oświetlonych gablotach spoczywały połączone wątroby słynnych bliźniaków syjamskich Changa i Enga, rakowaty guz usunięty z przełyku prezydenta Groverna Clevelanda, wysuszone ciało niemowląt oraz Mydlarka — kobieta pochowana w latach trzydziestych XIX wieku, u której zawarty w ciele tłuszcz w tajemniczy sposób przemienił się w mydło. Doktor Thomas Dent Mütter w 1858 roku stworzył słynne na cały świat muzeum osobliwości medycznych (miało pomagać

w edukacji lekarzy). Jego własnym wkładem w ekspozycję była zgangrenowana dłoń oraz kobieca klatka piersiowa w okrutny sposób zdeformowana przez ciasny gorset. Nieopodal kamieni żółciowych sędziego Sądu Najwyższego Johna Marshalla leżała czaszka mordercy — przodka aktora Jacka Nicholsona — który w 1863 roku na pensylwańskiej wsi zarabiał siekierą ekspedientkę lokalnego sklepu Ellen Jones.

Fleisher czekał na prelekcję antropologa sądowego Billa Bassa na temat Pola Śmierci zwanego również Farmą Zwłok, czyli zlokalizowanego w Tennessee laboratorium służącego do naukowych badań nad rozkładem ciała. Były agent Urzędu Celnego zawsze szczyił się umiejętnością rozpoznania reportera w tłumie policjantów — mieli dłuższe włosy, przychodzili w miękkich spodniach i butach, z rozpiętym kołnierzykiem i bez krawata. Teraz Fleisher dostrzegał dziennikarza czasopisma „Philadelphia”

331
Stephena Frieda, który dostał zaproszenie na wykład Bassa dzięki uprzejmości znajomego lekarza sądowego z New Jersey, Jima Lewisa. Tak naprawdę chciał jedynie pomówić z Fleisherem, na co ten chętnie się zgodził. — Chciałbym z panem porozmawiać o Marie Noe — zaczął Fried.

Laureat ogólnokrajowych nagród w kategorii dziennikarstwa śledczego wyjaśnił, że pracuje nad historią tragicznych losów kobiety, która w latach 1949—1968 straciła ośmioro z dziesięciorga dzieci. Wszystkie zmarły na tak zwany zespół nagłego zgonu niemowląt, inaczej: nagłej śmierci łóżeczkowej. W 1963 roku tygodnik „Life” opisał rozdzierającą serce historię zgonów Richarda, Elizabeth, Jacqueline, Arthura juniora, Constance, Mary Lee, Cathy i Małego Artiego. Ich rodzice próbowali ze wszystkich sił dochować się żywego potomstwa. Nigdy wcześniej żadnej amerykańskiej matce nie przydarzyła się tak wielka tragedia. Fleisher znał doskonale sprawę Marie Noe i był ciekaw, do czego zmierza Fried.

Reporter sądził, że wszystkie dzieci zostały zamordowane przez matkę. Do takiego wniosku doprowadziła go lektura książki *The Death of Innocents* („Śmierć niewinątek”) Richarda Firstmana i Jamieego Talana, opisującej historię pewnej kobiety z Nowego Jorku, którą skazano w 1994 roku za zamordowanie kilkadziesiąt lat wcześniej pięciorga swoich dzieci. Autorzy przytaczali wyniki nowych badań naukowych, według których wiele przypadków śmierci łóżeczkowej było w istocie morderstwami. Fried przez wiele godzin rozmawiał z Marie i jej mężem, Artiem, przeglądając albumy z rodzinnymi zdjęciami. Starsi państwo mieszkali

w szeregowym domu w Kensington.

Fried spotkał się również z Joe McGillenem, członkiem Towarzystwa Vidocqa, emerytowanym pracownikiem kostnicy. Ten nieustępliwy, drobny Irlandczyk pracował dorywczo jako „skaut” — czyli łowca talentów — dla drużyn bejsbolowych, ale większość czasu poświęcał na zastanawianie się, jak wymierzyć sprawiedliwość mordercom dziewięciorga dzieci zmarłych w latach pięćdziesiątych: Chłopca w Pudełku i ośmiorga dzieci Marie Noe. Od dziesięcioleci czekał, aż ktoś w końcu zainteresuje się jego śledztwem w tej ostatniej sprawie.

Fried rozmawiał z doktor Marie Valdes-Dapena, siedemdziesięcioletnią „prababcią badań nad nagłymi zgonami niemowląt”, która w 1958 roku 332

przeprowadziła sekcję zwłok Constance, dziecka numer pięć. Po kilku godzinach przeglądania materiałów zgromadzonych przez Frieda, doktor Valdes-Dapena stwierdziła: „Nie mogę uwierzyć, że ta kobieta nadal chodzi po świecie wolna jak ptak. Jestem przekonana na 99%, że jej dzieci nie zmarły śmiercią naturalną”.

Fried zebrał na temat tej sprawy dwa kartony materiałów, ale prywatne śledztwo nie mogło się posunąć dalej bez dostępu do starych kartotek policyjnych. Potrzebował pomocy.

Fleisher pokręcił ze smutkiem głową.

— Nie mogę panu załatwić dostępu do tych dokumentów, ale chętnie pomogę.

Przedstawił Frieda sierżantowi Laurenceowi Nodiffowi, szefowi komórki filadelfijskiej policji zajmującej się nierozwiązanymi przypadkami. „Zrobiłem sziduch, wyswatałem Steve'a i Larry ego”.

Sierżant Nodiff był pod ogromnym wrażeniem materiałów zgromadzonych przez Frieda. Reporter przeprowadził śledztwo godne oficera śledczego najwyższej klasy. Nodiff wznowił policyjne dochodzenie. Na początek pokazał Fleisherowi i Gordonowi wyniki badania wykrywcem kłamstw, któremu poddano Marie i Artiego. W latach sześćdziesiątych policja uwierzyła w ich zapewnienia, że nie znają przyczyny śmierci swoich dzieci. Gdyby Fleisher i Gordon potwierdzili wiarygodność badania, Nodiff raczej zrezygnowałby z ponownego przesłuchania małżonków. Fleisher i Gordon przejrżeli wyniki badania wariografem w siedzibie Towarzystwa Vidocqa. Nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. „Wyniki Marie wyraźnie wskazują na to, że nie mówiła prawdy. Wyniki Artiego są

w najlepszym razie niejednoznaczne", stwierdzili zgodnie.

Fleisher zainteresował również sprawą Hala Fillingera, szanowanego filadelfijskiego lekarza sądowego i członka Towarzystwa. W ten sposób śledztwem w sprawie śmierci dzieci Marie Noe zajęli się trzej siwiejący funkcjonariusze; w latach sześćdziesiątych wszyscy byli wybitnymi postaciami filadelfijskich nauk sądowych. Doktor Fillinger miał za sobą walkę z rakiem, oficerowi śledczemu McGillenowi niewiele wcześniej wszczęto cztery by-passy, a doktor Valdes-Dapena zmagala się z coraz bardziej szwankującą pamięcią. Śledztwo w sprawie śmierci dzieci Marie Noe

333
było przed laty jednym z pierwszych w ich karierze; teraz miało stać się jednym z ostatnich.

Sprawa Marie Noe od lat nie dawała spokoju doktorowi Fillingerowi. "Pamiętam, jak tłumaczyłem jakiejś zakonnicy, że równie uprawnione są dwa punkty widzenia: widząc Marie Noe z dzieckiem na rękach, można uznać, że albo rychło je zabije, albo — jeżeli rzeczywiście jest niewinna — zasługuje na nie bardziej niż ktokolwiek inny na świecie". Sprawę od dawna uważał za „tak zwany wilczy dół. Wilczy dół to przypadek, który wygląda na łatwiznę, ale kończy się niczym. To tak jakbyś kupił książkę, przyniósł ją do domu i zorientował się, że ktoś wyrwał ostatni rozdział. Nigdy nie poznasz zakończenia. Chciałbym wiedzieć, co naprawdę przydarzyło się tym dzieciaczkom, ale natrafiłem na mnóstwo ślepych uliczek. Ledwie człowiek uwierzy, że znalazł jakiś obiecujący wątek, zaraz się okazuje, że to wydmuszka. Mogłoby się wydawać, że ktoś przecież musi coś wiedzieć, ale tak nie jest, ponieważ ta sprawa to wilczy dół".

Po przeczytaniu materiałów zgromadzonych przez reportera Fillinger oświadczył: „Całkowicie odmieniły moją ocenę. W tych dokumentach kryje się poważne oskarżenie o morderstwo. Będę musiał udać się z nimi do prokuratora okręgowego z wnioskiem o wszczęcie śledztwa przeciwko tym ludziom".

W ciągu dekad, które upłynęły od pierwszego dochodzenia, wiele oficjalnych dokumentów dotyczących sprawy rodziny Noe zostało zniszczonych, ale McGillen przechowywał pełne akta w nieużywanej sypialni w swoim domu. Ich zawartość wprawiła w zdumienie Frieda, Nodiffa, członków Towarzystwa Vidocqa oraz prokuratora okręgowego. Mieli powód do wznowienia sprawy.

W Towarzystwie Vidocqa została zarejestrowana pod numerem 55

jako Sprawa Dzieci Marie Noe. Wyglądało na to, że kobieta pochodząca z rodzinnego miasta Fleishera była rekordzistką pod względem liczby zamordowanych własnych dzieci — i że uszło jej to na sucho.

Rozdział 41

Chłopiec, który nigdy nie umarł

Dziecko nie żyło, zostało brutalnie zamordowane. Policjanci z całego regionu zjeżdżali się na miejsce, gdzie znaleziono ciało, tyle tylko, że tym razem — czterdzieści jeden lat po tamtych wydarzeniach — jechali wolniej. Posterunkowy Sam Weinstein, który przeniósł wtedy chłopca do ambulansu, miał co prawda siedemdziesiąt jeden lat, ale nie stracił wysportowanej sylwetki i błysku w oku. Bill Kelly, odpowiedzialny niegdyś za pobieranie odcisków palców, dobiegał siedemdziesiątki i miał bzika na punkcie sześciu córek — zwanych Aniołkami Kelly'ego — oraz wnucząt. Nad jego jasnoniebieskimi oczami wznosiła się aureola siwych włosów. Prezydent Eisenhower, młody pilot John Glenn ustanawiający rekord prędkości na trasie Kalifornia - Nowy Jork, elektryczny „zegarek przyszłości” marki Hamilton — świat, który istniał 25 lutego 1957 roku odszedł do przeszłości, ale nie w zapomnienie. Ludzie ci wciąż pracowali nad sprawą chłopca. Po Eisenhowerze urząd obejmowali kolejni prezydenci — do Clintona było ich ośmiu — trwała zimna wojna, przyszły Korea, Wietnam i pierwszy zamach na World Trade Center — a oni ani na chwilę nie zrezygnowali.

Kelly przeszedł na emeryturę, mimo to nadal zaglądał do każdego napotkanego szpitala, aby sprawdzić odciski palców w kartotekach noworodków z początku lat pięćdziesiątych. W sumie przejrzał jedenaście tysięcy kompletów odcisków, ale nie tracił nadziei, że w końcu uda mu się zidentyfikować chłopca. Weinstein przeglądał regularnie akta sprawy — kartony

335

pełne dokumentów, zdjęć, setek notatek — szukając detali, które mogli przeoczyć inni. Remington Bristow, oficer śledczy z biura lekarza sądowego, poświęcił sprawie trzydzieści siedem lat. Nie ruszał się z domu bez maski pośmiertnej chłopca. Kiedy jej dotykał, miał poczucie, jakby nawiązywał kontakt z duchem. Zachęcał innych policjantów, aby robili tak samo. Niektórzy koledzy uważali, że próby rozwiązania zagadki śmierci chłopca doprowadziły go na skraj szaleństwa. Kiedy Bristow postanowił przeprowadzić się z Filadelfii do Arizony, gdzie ostatecznie zmarł w 1993 roku, wnuczka przewiozła schorowanego i niedowidzącego dziad-

ka samochodem przez pół kraju, aby mógł po drodze sprawdzić nowe tropy. „Rem był wspaniałym facetem”, powiedział Kelly, który przez lata pracował wspólnie z nim przy tej sprawie. Dzieło Rema kontynuowali inni.

Chłopiec, który miałby teraz niemal pięćdziesiąt lat, nadal spoczywał na Polu Garncarza pod skromną płytą nagrobną ufundowaną przez policjantów z wydziału zabójstw. Przez cztery dekady policjanci regularnie odwiedzali grób. Na wiosnę przynosili kwiaty, latem kubełek piasku znad morza, na Boże Narodzenie rękawicę bejsbolową, zupełnie jakby chłopiec wyrósł na zuch młodzieńca. Bristow twierdził zawsze, że smukła sylwetka predestynowała chłopca raczej do koszykówki niż futbolu amerykańskiego. Policjanci z biura spraw przedawnionych, podtrzymując pamięć o nim oraz nie tracąc nadziei na rozwikłanie zagadki jego śmierci, nie pozwalali dziecku odejść w zapomnienie. Był chłopcem, który miał nigdy nie dorosnąć i nigdy nie umrzeć. Odmawiali modlitwę: „Boże, pobłogosław tego bezimiennego chłopca”.

Jeśli zaangażowanie w śledztwo uznać za miarę uczuć, dwa pokolenia policjantów obdarzyły tego malca — który za życia nie zaznał zapewne wiele czułości — większą miłością, niż otaczała jakiegokolwiek inne dziecko w historii Filadelfii. Kochano go, mimo że niemal wszyscy stracili nadzieję na wyjaśnienie zagadki jego śmierci. Teraz owa nadzieja na nowo odżyła, jako że sprawą zajęło się Towarzystwo Vidocq'a.

W czwartek 19 marca 1998 roku Weinstein i Kelly weszli do holu Public Ledger Building — stojącego naprzeciwko bliźniaczego budynku, w którym mieściła się Curtis Publishing Company, wydająca w przeszłości 336

„Saturday Evening Post” — wjechali windą na dziewiąte piętro i stanęli na wykonanym z orzechowca parkiecie Downtown Club. Dawny klub towarzyski dla mężczyzn stał się nową siedzibą Towarzystwa Vidocq'a. Z okien rozciągał się widok na Independence Hall. W każdy trzeci czwartek miesiąca członkowie Towarzystwa zasiadali w nowej Sali Morderstw przy okrągłych, przykrytych białymi obrusami stołach.

Fleisher powitał serdecznie emerytowanych policjantów. Weinstein i Kelly, jego dawni koledzy, byli obecnie członkami Towarzystwa. Po modlitwie odmówionej na prośbę Kelly ego oraz lunchu Fleisher ogłosił, że Towarzystwo zajmie się „jedną z najniezwyklejszych spraw w historii Filadelfii”. Fleisher postanowił rzucić wszystkie siły do rozwiązania zagadki

Chłopca w Pudełku.

W sali zgromadził się tłum ponad osiemdziesięciu detektywów oraz zaproszonych przez nich osób. Panował taki ścisk, że niektórzy musieli usiąść na stołkach przy barze. W menu na ten dzień przewidziano kurczaka, warzywa gotowane na parze, a na deser łąmigłówkę kryminalną dotyczącą śmierci chłopca o drobnej, zapadającej w pamięć twarzyczce. Na górującym nad salą ekranie rozbłysła fotografia posiniaczonego i poranionego dziecka; cienie skrywały dno zapadniętych oczodołów. Kelly zdusił napływające do oczu łzy, zupełnie jakby widział to zdjęcie po raz pierwszy. Prezentację miał wygłosić Fillinger, który wykonał autopsję chłopca czterdzieści jeden lat wcześniej.

Fleisher mógł się poszczycić jeszcze jednym sziduch-. Tom Augustine, oficer śledczy wydziału zabójstw filadelfijskiej policji, zgodził się wznowić sprawę i współpracować przy niej z członkami Towarzystwa. Augustine przyniósł na Locust Street gromadzone przez czterdzieści jeden lat akta sprawy. Była to pełna dokumentacja, nad którą „pracowaliśmy dniami i nocami, rok za rokiem. Karton po kartonie; tysiące stron”. Akta umieszczono w specjalnie wydzielonym pomieszczeniu, gdzie z materiałami zapoznawali się stopniowo Weinstein, Kelly i McGillen. W trójkę stworzyli zespół śledczy sprawy Chłopca w Pudełku. Na jego czele stanął Weinstein. Kiedy na lunchu Towarzystwa Vidocqa starzy, posiwiali, przygarbieni i tysięcący policjanci usiedli przy jednym stoliku, wyraźnie rozpierała ich energia. Widać było, że tylko atak serca lub nowotwór mógłby ich

337

powstrzymać przed kontynuowaniem śledztwa. Katolik i dwaj Żydzi wcale nie uważali zamordowania niewinnej istoty za koniec jej istnienia, ale za początek drogi, którą dusza przebywa ku zbawieniu. Wszyscy mieli dobrą rękę do spraw związanych ze śmiercią.

Fleisher przedstawił Rona Avery'ego, doświadczonego komentatora "Philadelphia Daily News", autora Miasta Braterskiego Chaosu. To właśnie on podsunął Fleisherowi pomysł zajęcia się sprawą. Avery wspomniał o niej w swojej książce, pisząc, że „wryła się na trwałe w pamięć mieszkańców”. Pobudził wyobraźnię detektywów stwierdzeniem, że wcześniejsze śledztwo doprowadziło do zgromadzenia „mnóstwa poszlak i dowodów; kilkudziesięciu, kilkuset obiecujących tropów”.

Richard Walter przygotowywał profil psychologiczny mordercy. Frank Bender, zajmujący teraz miejsce obok Waltera, uważnie przejrzał wszyst-

kie zachowane fotografie chłopca. Obecnie pracował nad popiersiem jeszcze trudniejszym niż rekonstrukcja twarzy Johna Lista — chciał odtworzyć wygląd ojca ofiary. Śledczy liczyli, że ktoś go rozpozna i przekaże policji informacje pomocne w dalszym śledztwie. Ponieważ nie dysponował ani skrawkiem informacji o rodzicach chłopca, opierał się wyłącznie na intuicji. Zważywszy na niezwykle trafność jego wizerunku Lista, była nadzieja, że i tym razem dokona cudu. Producenci Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki obiecali poświęcić Chłopcu w Pudełku cały odcinek programu.

Weinstein był przysadzistym, tysięcącym mężczyzną o twarzy naznaczonej skutkami ubocznymi fotograficznej pamięci. Zmierzając w stronę mównicy, miał poczucie, jakby ponownie stał się trzydziestolatkiem i wszedł między drzewami rosnącymi na skraju pola przylegającego do Suesquehanna Road, jakby przedzierał się w gumiakach przez błoto i mokre trawy. „Zobaczyłem jakieś odpadki i białego chłopca z podstrzyżonymi włosami. Cóż za smutny, rozdzierający serce widok! Leżał w tak uwłaczających warunkach. Zamordowany”, wspominał.

Weinstein opowiadał, że jako zwykły policjant patrolujący na co dzień ulice musiał rzecz jasna oddać sprawę oficerom śledczym, mimo to uparcie prowadził śledztwo na własną rękę. Przez zaufanego informatora dotarł do człowieka, który dysponował fotografiami jakiegoś blondwłosego

338
chłopca siedzącego mu na kolanach na „indiańskim pledzie”. Weinstein kupił zdjęcia, spotkał się także z mężczyzną w restauracji. Ten był skłonny do współpracy, ale wyglądał na niezwykle zdenerwowanego. Po jakimś czasie zaczął się łamać i kiedy właśnie zgodził się pójść na przesłuchanie do biura wydziału zabójstw, do restauracji wszedł przełożony Weinsteina i kazał mu opuścić lokal. Weinstein nie przypuszczał, że kiedykolwiek otrzyma kolejną szansę na rozwiązanie tej zagadki.

Kelly wiedział, że rozwiązanie tajemnicy śmierci chłopca byłoby pięknym ukoronowaniem jego kariery, a w pewnym sensie i całego życia. Żona McGillena była dumna z męża, który od dawna próbował postawić przed sądem Marie Noe, a teraz dodatkowo zaangażował się w sprawę Chłopca w Pudełku. Umierała na raka i prosiła Boga, aby jego starania zakończyły się sukcesem.

Podczas lunchu Bender oświadczył, że w jednej z jego wizji chłopiec był przebrany za dziewczynkę. Jego opiekunowie najpierw zapuścili mu

długie włosy, a później obcięli je przed śmiercią, aby ukryć jego tożsamość. Walter prychnął lekceważąco, a pozostali uczestnicy lunchu roześmiali się.

— Skoncentruj się na tym, co ci dobrze wychodzi, Frank — zwrócił mu uwagę Walter. Był to jego ulubiony komentarz, którym zbywał nie-szablonowe pomysły kolegi.

Fleisher marzył o tym, aby wyprawić chłopcu pogrzeb z prawdziwego zdarzenia.

— Tę sprawę można rozwiązać — powiedział. Nawet jeśli zabójca już nie żył, celem śledztwa będzie przywrócenie chłopcu godności, czyli poznanie jego nazwiska i pomszczenie wyrządzonej mu krzywdy za pomocą jedynej broni, jaka w tym wypadku pozostała — prawdy. Kto wie, może zdołają postawić mordercę pod pręgierzem opinii publicznej, a może nawet przed sądem.

— Ileż można... — skrzywił się Walter, obrzucając Fleishera spojrzeniem zarezerwowanym normalnie dla obnośnych sprzedawców Biblii.

Profilera męczył rozlewający się po sali sentymentalizm. Otwarcie obśmiał popularną teorię autorstwa Bristowa, jakoby chłopca przypadkowo zabili kochający opiekunowie, którzy następnie uciekli, pogrążeni w żalu, nie mając pieniędzy na przyzwoity pogrzeb. W 1957 roku policja uznała

339
chłopca za ofiarę morderstwa, ale z biegiem lat, właśnie pod wpływem Bristowa, zaczęto oficjalnie twierdzić, że zmarł w wypadku.

Zdaniem Waltera dziecko padło ofiarą mordercy o najbardziej wynaturzonej osobowości, jaką można sobie tylko wyobrazić, a policjanci zbzikowali na punkcie utraconego dzieciństwa chłopca i uczynili z niego symbol wiecznej młodości, mimo że od czterdziestu jeden lat gnił w grobie. Za postacią mordercy kryła się tak potworna tajemnica, że policjanci nie potrafili się z nią zmierzyć. Ale skoro nie przyjęli do wiadomości prawdy, jak mogli znaleźć mordercę?

Przez ostatnie cztery dekady sprawiali wręcz wrażenie zakochanych w męczeństwie własnych niepowodzeń. Śledztwo w sprawie tajemniczego morderstwa nadawało sens ich życiu, tymczasem prawda nie miała w sobie nic z romantycznej wizji zabaw na plaży i rozgrywek bejsbolowych. „Trudno cokolwiek znaleźć, jeżeli się nie wie, czego szukać”, kręcił później nosem Walter. Opisywane przez niego z takim spokojem potworności zdawały się nie robić na innych żadnego wrażenia.

Po czterdziestu jeden latach nieprzerwanego śledztwa, przesłuchaniu

tysięcy osób w trzydziestu stanach, wyprodukowaniu tysięcy stron opisujących domniemane dowody, policja wciąż nie dysponowała żadną poszlaką, która pozwoliłoby posunąć sprawę do przodu. Jeszcze nigdy w historii amerykańskich śledztw — pomijając sprawę Lindbergha — tak olbrzymi wysiłek włożony w rozwiązanie zagadki morderstwa dziecka nie przyniósł tak opłakanych skutków.

— Owszem, dysponujemy jedynie szczątkowymi informacjami, ale mnie to w zupełności wystarczy — przekonywał Walter.

Ślady na ciele ofiary stanowiły wyraźne i jednoznaczne świadectwo wydarzeń, o których nikt nie miał ochoty słyszeć.

Rozdział 42

Ośmioro dzieci nazywanych „ono”

Pewnego wieczoru pod koniec marca 1998 roku nieoznakowany czarny ford explorer z sierżantem filadelfijskiej policji Larrym Nodiffem i dwoma innymi funkcjonariuszami Specjalnej Jednostki Śledczej zaparkował na wąskiej przyrzecznej uliczce w starej robotniczej części Kensington. W powietrzu unosiła się mgła, zapadały powoli ciemności. Sierp księżycy wisiał nad szeregiem niewielkich domów z cegły.

Sierżant Nodiff zapukał do drzwi. Zadał głowę i spojrzał na pograżone w mroku okna. Jego partner Steve Vivarina przygryzał mieszadło do kawy. Poprzedniego dnia czasopismo „Philadelphia” opublikowało artykuł zatytułowany Przez kołyskę do grobu autorstwa Stephena Frieda, przedstawiający wyniki dziennikarskiego śledztwa poświęconego zapomnianej tragedii Marie Noe. Tekst wzbudził w mieście wielkie poruszenie. Sierżant Nodiff, który zapoznał się z artykułem jeszcze przed publikacją, uznał, że powinien w końcu porozmawiać z Marie i Arthurem Noe na temat śmierci ośmiorga ich dzieci. Sprawa mogłaby w równym stopniu stać się przedmiotem zainteresowania historyków, jak policjantów. Między śmiercią pierwszego i ostatniego dziecka minęło dziewiętnaście lat — w tym czasie w Stanach Zjednoczonych rządziło czterech prezydentów: Harry Truman, Dwight D. Eisenhower, John F. Kennedy i Lyndon Johnson. Policja po raz ostatni przesłuchiwała rodziców zmarłych dzieci trzydziści lat wcześniej.

341

Dopiero po kilku minutach w uchylonych drzwiach pojawiła się szczupła, surowa twarz siedemdziesięciosześcioletniego Arthura Noe. Za jego plecami majaczyła większa sylwetka sześćdziesięciodziewięcioletniej Ma-

rie. Sierżant Nodiff pokazał odznakę i spytał, czy zgodzą się pójść z nim na komendę. Marie i Arthur mieli prawo odmówić, ale tego nie uczynili. Poprosili tylko o kilka minut zwłoki. Skończyli właśnie jeść obiad i musieli jeszcze nakarmić koty i psy.

— Sprowadzisz Bucusia na dół? — zawołał Arthur do żony. Policjantom wyjaśnił, że Bucus to imię jednego z kotów. Marie zniosła zwierzaka na parter, następnie oboje włożyli lekkie kurtki i zeszli powoli do policyjnej furgonetki. Marie i Arthur spędzili ze sobą większą część życia. Ona chorowała na cukrzycę i nie czuła się najlepiej. On cały się trząsał. Jak w przypadku wielu par, łączyła ich nierozzerwalna więź; we wszystkim rozumieli się bez słów.

Zostali zaprowadzeni do oddzielnych pokoi przesłuchań w tak zwanym Okrągłaku, betonowym budynku komendy głównej w centrum miasta. W pokoju przesłuchań C siedział przybity i podenerwowany Arthur, nałogowy palacz. Ten bystry mężczyzna przez wiele lat pracował w fabrykach włókienniczych w Kensington, a w przeszłości pełnił funkcję przewodniczącego lokalnego komitetu Partii Demokratycznej i zastępcy radnego miejskiego. Śmierć dzieci w latach 1949—1968 była dla jego żony ogromnym ciosem; „zupełnie jakby ktoś odebrał jej połowę życia”. Jak mówił przed laty reporterowi: „Dla pana to jest news, ale dla nas ogromne cierpienie”. Oficer śledczy Jack McDermott szybko doszedł do wniosku, że od Arthura nie dowie się nic nowego, i zaproponował, że jakiś policjant odwiezie go do domu. Arthur oświadczył, że chciałby zacheć na żonę.

Kiedy nadszedł wieczór, Arthur zapalił papierosa i usiadł przed telewizorem postawionym na zdezelowanych regałach na dokumenty odgradzających wydział zabójstw od reszty budynku. Marie nadal przebywała w pokoju przesłuchań D z sierżantem Nodiffem i oficerem śledczym Vivariną. Arthur martwił się o stan zdrowia żony, co chwila spoglądał na zegarek. Przez całą noc palił papierosa za papierosem. Nie ruszył się z miejsca aż do świtu.

342

O piątej rano Marie wykuśtykała z pokoju przesłuchań. Znękana twarz drżała od zmęczenia i ulgi. Przesłuchanie trwało jedenaście godzin. Artur podszedł i ostrożnie dotknął jej ramienia. Wpatrywał się w żonę zaniepokojonym wzrokiem. Ich spojrzenia się spotkały, ale nie potrafił nic wyczytać z jej oczu. Kiedy w przeszłości próbowała wyznać prawdę, on

zawsze przerywał rozmowę. Wśród wielu nawyków, w które obrosto ich małżeństwo przez minionych czterdzieści lat, ten był najważniejszy. Zupełnie jakby Arthur nie chciał poznać prawdy.

Sierżant Nodiff, szef wydziału spraw nierozwiązanych i członek Towarzystwa Vidocq'a, był jednym z najbardziej wnikliwych i niemiłosiernych specjalistów od przesłuchań w Filadelfii, z kolei oficer śledczy Vivarina potrafił w nieskończoność prowadzić niezobowiązującą przyjacielską pogawędkę. Rozmowa z Marie trwała całą noc. Dopiero tuż przed świtem — jak przyznał kilka lat później sierżant Nodiff na policyjnej konferencji — doszło do jednego z najdziwniejszych zdarzeń w całej jego karierze. „Wiem, że nikt mi nie uwierzy, ale to się naprawdę zdarzyło”, zapewnił słuchaczy Nodiff, czerwieniąc się jak burak. Podczas przesłuchania Marie siedziała tuż obok niego. W pewnej chwili wyciągnęła rękę i położyła pomarszczoną dłoń na nogawce jego spodni. Głaszcząc delikatnie wewnętrzną stronę uda sierżanta, zaczęła wylewać z siebie wspomnienia tłumione przez kilkadziesiąt lat.

Przyznała się.

Uduśiła je wszystkie poduszką. Z Arthurem miała dziesięcioro dzieci. Jedno przyszło na świat martwe. Drugie zmarło w szpitalu sześć godzin po porodzie. Pozostałych ośmioro cieszyło się znakomitym zdrowiem, ale żadne nie przeżyło dłużej niż piętnaście miesięcy. Marie zabiła każde z nich. Za każdym razem czekała, aż Arthur wyjdzie z domu. Do morderstw nie przyznała się ani mężowi, ani krewnym.

Zapamiętała szczegółowe okoliczności śmierci jedynie czworga dzieci: pierwszej trójki i piątego. Morderstwa Richarda Allena Noe z 1949 roku, Elizabeth Mary Noe z 1951 roku, Jacqueline Noe z 1952 roku i Constance Noe z 1958 roku wryły się jej głęboko w pamięć.

Pierworodny syn, Richard, urodził się 7 marca 1949 roku. Ważył trzy i pół kilograma, był zdrowusieńki. „Ciągle płakał. Nie umiał mi

343

powiedzieć, co mu doskwiera. Tylko płakał i płakał... Tamtego dnia wykąpałam go, ubrałam w śpioszki i zamierzałam położyć do spania. Zamiast na plecach położyłam go na brzuszku. Jego twarz spoczywała na poduszce. W pewnej chwili chwyciłam go za głowę i wdusiłam ją w poduszkę. Trzymałam, dopóki nie przestał się ruszać”, opowiadała Marie. Richard Noe miał trzydzieści jeden dni. Jako przyczynę śmierci podano niewydolność serca, ale nie przeprowadzono sekcji zwłok. W latach pięć-

dziesiątych XX wieku nikomu nie przyszłoby do głowy, że matka mogłaby zabić dziecko.

Dwa lata później, w 1951 roku, Marie została sama w domu z Elizabeth Mary. Uniosła na rękach różową, wrzeszczącą, wymachującą rączkami i nóżkami dziewczynkę, pięciomiesięczny okaz zdrowia. Położyła ją do łóżeczka „na plecach, potem wzięłam poduszkę z naszego łóżka, przycisnęłam jej do twarzy i udusiłam”. Zapamiętała śmierć Elizabeth, ponieważ „się rzuciła. Elizabeth była znacznie silniejsza od Richarda i walczyła, kiedy przyłożyłam jej poduszkę do twarzy. Przyciskałam ją, aż w końcu przestała się ruszać”.

Rok później, w 1952, zmarła Jacqueline Noe. Marie powiedziała, że drugą córkę zabiła w ten sam sposób, jak poprzednią dwójkę, ale nie potrafiła sobie przypomnieć szczegółów.

Opowiadając o wydarzeniach sprzed lat, mówiła o dzieciach „ono”.

Przesłuchujący ją policjanci nalegali, aby nazywała dzieci ich imionami.

Sześć lat później, w 1958 roku, w szpitalu św. Łukasza przyszła na świat Constance Noe. Dziecko po porodzie badał pediatra Abraham Perlman. Wydawało mu się podejrzane, że czworo poprzednich dzieci Marie zmarło. Po latach powiedział policji, że do wszystkich zgonów doszło w podobnych okolicznościach: Marie przebywała sama w domu, po czym przynosiła niemowlę do szpitala lub do sąsiada i mówiła: „Coś się stało mojemu dziecku”. Kobieta tłumaczyła za każdym razem, że dziecko w pewnej chwili „zaczęło mieć problem z oddychaniem i posiniało na twarzy”. W owym czasie medycyna uznawała, że dziecko może po prostu nagle przestać oddychać, a ten tragiczny w skutkach syndrom może być przypadłością dziedziczną. Doktor Perlman zbadał Constance starannie, szukając jakichkolwiek oznak osłabienia. Wyniki wskazywały jasno, że

344
dziewczynka jest zupełnie zdrowa. Kiedy matka i dziecko opuszczali szpital, doktor Perlman powiedział do Marie, że ma piękną córeczkę. Kobieta odpowiedziała: „Nie pożyje długo... podobnie jak poprzednie”. Parę tygodni później okazało się, że kilkumiesięczna Constance, zdrowa i prawidłowo rozwijająca się dziewczynka, nie potrafi usiąść na krześle. „Próbowałam ją nauczyć, jak się siedzi i nagle z niewiadomych powodów wzięłam poduszkę, położyłam ją na krześle i udusiłam”, tłumaczyła Marie.

Sekcję zwłok przeprowadziła patolog Marie Valdes-Dapena z biura filadelfijskiego lekarza sądowego. Doktor Valdes-Dapena, która w przy-

szłości miała zostać uznanym autorytetem od zespołu nagłego zgonu niemowląt (ZNZN), nie potrafiła wyjaśnić śmierci dziecka. Śmierć łó-zeczkowa wprawiała wtedy patologów w wielkie zakłopotanie. Naukowe badania nad tym zjawiskiem dopiero się rozpoczynały; nie miało jeszcze nawet swojej nazwy. Lekarze wiedzieli tylko, że każdego roku około siedmiu tysięcy dzieci nagle przestaje oddychać i umiera. Nawet kiedy w późniejszych latach lekarze zaczęli podejrzewać, że wiele z tych zgonów może być wynikiem dzieciobójstwa, mieli ogromny kłopot z odróżnieniem dziecka zmarłego na ZNZN od ofiary uduszenia. Marie Noe odkryła sposób na morderstwo doskonałe.

Nie płakała podczas składania zeznań. Spokojnie przyznała się do zabójstwa kolejnego dziecka, Arthura juniora, w 1955 roku; nie pamiętała okoliczności. Dokładnie dziewięć miesięcy przed narodzinami Arthura juniora Marie zgłosiła się na policję, twierdząc, że została zgwałcona przez obcego mężczyznę, który następnie związał ją krawatami męża i zostawił w szafie wnękowej w sypialni. Tygodnik „Life” zamieścił wzruszającą historię matki, która utraciła wszystkie dzieci. Artykuł wspominał o trojgu ostatnich potomkach Marie: Mary Lee urodzonej w 1962 roku, Catherine Ellen urodzonej w 1964 roku i Arthurze Josephie. Dziewiąte dziecko, Catherine Ellen, przeżyło najdłużej — rok, dwa miesiące i dwadzieścia dwa dni. Zmarło 25 lutego 1966 roku; przyczyny zgonu nie ustalono. Arthur Joseph, ostatnie dziecko Marie, zmarł 2 stycznia 1968 roku, miał pięć miesięcy. Marie zeznała wtedy policji, że chłopiec posiniał na twarzy i przestał oddychać. Przeprowadzono sekcję zwłok, ale przyczyny śmierci i w tym wypadku nie ustalono. Marie przyznała się teraz do

345

zabicia także tych trojga dzieci urodzonych w latach sześćdziesiątych, ale nie pamiętała żadnych szczegółów.

O świcie zeznanie Marie zostało przepisane na maszynie. Kobieta przeczytała je i podpisała. Z wyrazem ulgi na twarzy opadła na krzesło. Jak wyznała oficerom śledczym, po każdym morderstwie miała nadzieję, że policja domyśli się prawdy. „Wiedziałam, że robię coś bardzo złego”, przyznała. Powoli podniosła się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi. Tuż przed opuszczeniem pokoju przesłuchań odwróciła się w stronę Nodiffa i Vivariny. Na jej twarzy malował się niepokój. „Tylko nie mówcie mojemu mężowi”, wyszeptwała.

Sierżant Nodiff i oficer śledczy Vivarina wymienili spojrzenia. Star-

sza pani, która z trudem poruszała się o własnych siłach, miała na sumieniu więcej istot ludzkich niż David „Syn Sama” Berkowitz czy Dusiciel z Bostonu. Policjanci dysponowali szczegółowym zeznaniem, w którym Marie Noe przyznała się do popełnienia ośmiu morderstw — dzieciobójstwa, chyba najbardziej odrażającej ze wszystkich zbrodni. Dlaczego, na Boga, to zrobiła? I co oni mieli z tym zeznaniem począć?

Marie ledwo trzymała się na nogach. Arthur wyprowadził ją z komendy. Wsiadli do policyjnej furgonetki i wrócili spokojnie do domu.

Pięć miesięcy później Marie Noe została aresztowana i oskarżona o uduszenie ośmiorga swoich dzieci. Jej obrońca zaprzeczył zarzutom. Oskarżyciele zapowiedzieli, że będą żądali dożywocia.

Arthur, który nie został o nic oskarżony, bronił dobrego imienia żony. Jesteśmy razem od pięćdziesięciu lat. Była całym moim życiem. Ta kobieta nie jest zdolna do takich czynów. Nie potrafiłaby skrzywdzić muchy”, powiedział.

Rozdział 43

Potrójne morderstwo

Została zamordowana trzykrotnie. Oto najistotniejszy szczegół makabrycznego zabójstwa Terri Lee Brooks, uznał z ponurą satysfakcją Richard Walter. W zamyśleniu odgryzł kęs szarlotki, upił łyk kolumbijskiej kawy — za słabej jak na jego gust — i ponownie skierował wzrok na zwłoki młodej brunetki, której śmierci policja nie potrafiła wyjaśnić od wielu lat.

Pokryte sińcami i ranami ciało leżało w wielkiej kałuży krwi, z ramionami rozciągniętymi w krzyż. Z gardła wystawał rzeźniczy nóż o długości 17,5 centymetra, przygważdżając jej szyję do podłogi w kuchni restauracji Roy Rogers przy autostradzie międzystanowej numer 1 w hrabstwie Bucks. Nóż przeciął gardło i naruszył rdzeń kręgowy. Głowa kobiety była owinięta plastikowym workiem na śmieci. Niewielka mgiełka pary wystarczyła lekarzowi sądowemu do zrozumienia, że rozegrał się tam prawdziwy horror: przygwożdżona do podłogi, sparaliżowana od szyi w dół, niezdolna do poruszenia się i wydania głosu, Brooks wciąż oddychała, gdy morderca zbliżał się do niej po raz ostatni.

W ścianie w kuchni znajdował się otwarty sejf. Zniknęło z niego 2579 dolarów w gotówce. Morderca wyskoczył przez okno, którym podawano jedzenie klientom składającym zamówienia z samochodu. Do zbrodni doszło przed świtem 3 lutego 1984 roku. Przestępca postąpił nieostrożnie: na ścianie i na podłodze zostawił odciski palców, niemniej

wszystkie okazały się bezużyteczne z powodu gęstego tłuszczu, który
347

osiadał na wszystkim, co znajdowało się w kuchni. Minęło czternaście lat, a policja nikogo w tej sprawie nie aresztowała.

Pożółkły wycinek z opublikowanego sześć miesięcy po morderstwie numeru „Philadelphia Inquirer” zawierał tytuł, który mówił wszystko: „niewyjaśnione morderstwo: policja w kropce, rodzina w żałobie”.

W maju 1998 roku do Downtown Club przybyło ponad osiemdziesięciu detektywów, zwabionych szansą ponownego rozpatrzenia jednego z najgłośniejszych, wciąż niewyjaśnionych morderstw ostatnich lat. Na sali panował taki ścisk, że Lynn Abraham, wpływowa prokurator okręgowa z Filadelfii, po raz kolejny musiała szukać dla siebie miejsca na stołku przy barze. Po czternastu latach bezowocnego śledztwa policja z powiatu Falls w stanie Pensylwania, nieco ponad czterdzieści kilometrów na północ od Filadelfii, poprosiła Towarzystwo o pomoc. Sierżant Wynne Cloud wyraził wdzięczność za szansę zaprezentowania sprawy przed tak szacownym gronem. Wcześniej przestrzegł pogrążonych od lat w żałobie rodziców Brooks, Eda i Cindy, aby nie robili sobie większych nadziei. W jego ocenie szanse na przełom były niewielkie.

— W ciągu pierwszych dwóch lat od morderstwa przeprowadziliśmy naprawdę staranne śledztwo — opowiadał zebranym sierżant Cloud. Policja przesłuchiwała ponad dwieście osób, w tym dwunastu podejrzanych, i zgromadziła dziewięćdziesiąt przedmiotów o wartości dowodowej. — Mimo to nie przybliżyliśmy się do rozwiązania.

Sprawca zrabował zawartość sejfów, przez co policja prowadziła dochodzenie w sprawie „rabunku z komplikacjami”, a nie rozmyślnego morderstwa. Ani przez chwilę nie rozważano innych możliwości.

Walter przewrócił oczami. Usłyszał już dostatecznie wiele, aby wyrobić sobie zdanie na temat sprawy, ale na razie zachował je dla siebie i popijając kawę, analizował brutalny mord. „Do jasnej cholery, to nie był żaden rabunek. Nawet idiota by to zauważył. Doszło do całkowicie zamierzonego, potrójnego morderstwa. Tylko dlaczego? Kto chciałby zabić Terri Lee Brooks trzy razy z rzędu?”, myślał.

348

Policja przyjęła tezę o napadzie rabunkowym, ponieważ młoda kobieta nie miała wrogów, a przynajmniej takich, którzy mogliby jej życzyć

śmierci. Urodziła się w hrabstwie Bucks, skończyła Uniwersytet Maryland i planowała karierę specjalistki od zarządzania zasobami ludzkimi. Na studiach w każde wakacje pracowała jako kelnerka. Po studiach ostatecznie podążyła za głosem serca: wróciła do rodzinnego miasta i znalazła pracę w restauracji Bucks County. Niedługo przed śmiercią dostała awans na zastępcę kierownika, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że postąpiła słusznie, wiążąc się z siecią restauracji należącą do Marriott Corporation. Możliwości rozwoju miała wiele.

3 lutego 1984 roku Brooks siedziała wieczorem w biurze i zajmowała się papierkową robotą. Po wypuszczeniu „szorowaczy” — dwóch nastolatków, którzy pomagali w sprzątnięciu lokalu i przygotowaniu go na następną dzień — zamknęła zewnętrzne szklane drzwi. Wewnętrzne zatrzasnęły się za nią automatycznie, tworząc podwójną przeszkodę dla ewentualnych intruzów. Została sama. Minęła północ. Była wyjątkowo ciepła i mglista noc. Przycichł szum samochodów dochodzący z pobliskiej autostrady. Stojący samotnie budynek przypominał świetlistą kostkę otoczoną mglistym mrokiem. Brooks często zostawała do późna. Zależało jej, aby możliwie najlepiej przygotować restaurację dla pracującego na dziennej zmianie kierownika Joe Hamptona. Niedługo po północy usłyszała pukanie do drzwi. Kwadrans po szóstej rano, kiedy na dworze było wciąż ciemno, pod restaurację zajechał Hampton. Zaskoczony zobaczył, że zewnętrzne drzwi są otwarte. Przekręcił klucz w zamku wewnętrznych drzwi i wszedł do środka. Przy drzwiach zauważył parę damskich mokasynów, w których rozpoznał własność Terri Brooks. Obok nich spoczywały klucze. Wszedł do kuchni. Podłogę i ściany pokrywały szerokie smugi krwi, groteskowo zmieszane z osadzonym na powierzchniach tłuszczem. Terri leżała martwa na plecach, za blatem. Policjanci byli zszokowani brutalnością mordu. „Nic dziwnego”, pomyślał Walter, „skoro nie rozumieli jego znaczenia”. Hal Fillinger przeprowadził w 1984 roku sekcję zwłok ofiary i doskonale pamiętał wszystkie makabryczne szczegóły. Z układu ran wynikało, że w chwili ataku Brooks szykowała się do wyjścia. Zdążyła włożyć

349
płaszcz, gdy gwałtownie zadany cios wyrzucił w powietrze jej torebkę, klucze i papierosy. Zabójca z niezwykłą siłą kilkakrotnie uderzył jej głowę o kamienną posadzkę, skutecznie unieruchamiając kobietę, następnie przygniótł ją własnym ciężarem i zaczął dusić. Wtedy właśnie uszkodzeniu uległa kość gnykowa — niewielka kość w kształcie litery U, która znajduje

się nad jabłkiem Adama i pomaga w przełykaniu oraz mówieniu. Podczas duszenia często ulega zgnieceniu. Terri Brooks nadal żyła. Nie zamierzała się poddać, co skłoniło mordercę do sięgnięcia po nóż rzeźnicki. Rany cięte na dłoniach wskazywały, że próbowała się zasłonić. Nóż przeciął gardło i uszkodził częściowo rdzeń kręgowy. Kolejny cios przerwał go, a nóż wbił się w podłogę, przygważdżając do niej szyję Terri.

Sparaliżowana, lecz wciąż żywa, musiała słyszeć, jak morderca przeszukuje zawartość restauracyjnego magazynu. Po chwili wrócił z przezroczystym plastikowym workiem na śmieci i owinął go wokół jej głowy. To właśnie Fillinger zwrócił uwagę na skroplone powietrze po wewnętrznej stronie worka, świadczące, że Brooks jeszcze oddychała — i patrzyła na duszącego ją mordercę.

Widok zmasakrowanego ciała Brooks wywołał rumieniec na zapadniętych policzkach Eda Gaughana — wysoki, barczysty emerytowany major wydziału zabójstw miał wielką ochotę skrócić komuś kark. Gaughan przyjaźnił się z sierżantem Cloudem, który opowiedział mu o tkwiącym w martwym punkcie śledztwie podczas meczu futbolowego z udziałem ich synów, rozgrywanego na boisku szkoły średniej w Pennsbury. To właśnie Gaughan namówił sierżanta Clouda do zaprezentowania sprawy na forum Towarzystwa Vidocq'a.

Cloud zapewniał, że policja z powiatu Falls zaangażowała w śledztwo wszystkie siły. O morderstwie napisały lokalne gazety, a Marriott Corporation wyznaczyła nagrodę wysokości pięciu tysięcy dolarów dla osoby, która doprowadzi do aresztowania i skazania zabójcy lub zabójców. Policja przyjęła założenie, że był to „rabunek z komplikacjami” — i to strasznymi komplikacjami. Brooks przyłapała złodzieja na gorącym uczynku i przypłaciła to życiem.

Policja przesłuchała pięćdziesięciu byłych i obecnych pracowników restauracji. Za głównego podejrzanego uznano człowieka, którego Brooks

350
przyłapała na kradzieży pieniędzy z kasy, a także pracownika restauracji Roy Rogers w Filadelfii, który jej w przeszłości groził. Obaj podejrzani zostali ostatecznie oczyszczeni z podejrzeń. Policjanci rozmawiali również z byłym chłopakiem Brooks, mieszkającym w Kalifornii, ale i on został usunięty z grona podejrzanych.

Śledczy próbowali połączyć morderstwo Brooks z serią równie brutalnych napadów na fast foody, których część zdarzyła się w okolicy. W kwiet-

niu 1985 roku, czyli czternaście miesięcy po śmierci Brooks, w oddalonej o zaledwie trzydzieści dwa kilometry restauracji Roy Rogers w Filadelfii menadżer dziennej zmiany znalazł rano ciało szefa zmiany nocnej. Mężczyzna zginął od ciosów nożem; morderca opróżnił sejf. Policjanci nawiązali kontakt z kolegami ze stanów Massachusetts, Maryland i Kalifornia, gdzie popełniono podobne przestępstwa; przesłuchali również podejrzanych we wszystkich podobnych sprawach. W dziesiątą rocznicę lokalna stacja telewizyjna wyemitowała audycję poświęconą morderstwu Brooks. Policja odebrała wiele telefonów, a śledczy sprawdzili mnóstwo nowych tropów — bez skutku.

Sierżant Cloud zakończył prezentację tuż po wpół do drugiej.

— Dziękuję za uwagę — powiedział. — Będę wdzięczny za wszystkie komentarze.

Wydawało się, jakby wszyscy jednocześnie zrobili wydech, szykując się do zadawania pytań. Pierwsze dotyczyły możliwości przeprowadzenia testów DNA, metody niedostępnej w 1984 roku. Czy istnieje możliwość pobrania DNA zabójcy z ciała ofiary oraz przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni, między innymi noża? Cloud obiecał, że to sprawdzi. Fleisher, Bender, Walter, Gaughan i Fred Bornhofen wymieniali się szeptem uwagami — wszyscy doszli do podobnych wniosków. Ich zdaniem policja sknociła śledztwo na samym początku, przed czternastu laty. „Zaczęli szukać sprawców wśród złodziei. Przesłuchiwali wszystkie osoby aresztowane za podobne włamania. Problem w tym, że szukali nie tam, gdzie trzeba. Złodziej kieruje się motywem finansowym. W razie konieczności posunie się do morderstwa, ale ten przypadek był znacznie bardziej skomplikowany”, tłumaczył Gaughan. Bornhofen napisał później: „Było to tak zwane przesadne morderstwo, jakiego nie popełniłby 351

żaden włamywacz. Nawet kompletny laik widzi, że w tej sprawie chodziło o coś innego”.

Gaughan spojrział ze współczuciem na swojego przyjaciela sierżanta Clouda i oświadczył, że policja musi rozpocząć śledztwo od początku. Należy jeszcze raz przesłuchać wszystkich świadków i podejrzanych. Tym razem w dochodzeniu pomoże mu Towarzystwo Vidocq’a.

— Moi koledzy mają rację — odezwał się Walter, wstając z miejsca. — Włamywacze nie owijają głów ofiar plastikowymi workami. Takie zachowanie jest charakterystyczne dla niezwykle skomplikowanego i mrocznego

typu osobowościowego. To nie było włamanie, ale morderstwo. Sprawca upozorował kradzież, aby zmylić policję. I mu się to udało — przynajmniej do dziś. Niemniej już teraz możemy naszkicować jego sylwetkę.

Walter zawiesił głos.

— W grze informacyjnej najważniejsze nie są wcale odpowiedzi. Należy zadawać odpowiednie pytania. W tym wypadku interesuje nas, komu mogło zależeć na zabiciu dziewczyny — aż trzykrotnie?

Zawadiacki uśmiech rozjaśnił panujący na sali mrok.

— Kogo Terri Brooks wpuściłaby do środka?

Rozdział 44

Z nieba do piekła

Waltera obudził hymn. Drzemał właśnie w salonie w swojej neoklasycystycznej rezydencji, kiedy wiosenne powietrze wypełniły podniosłe tony pieśni Unieś wysoko krzyż. Włożył okulary, wyszedł na werandę i spojrzął ze złością na gotycką wieżę kościoła episkopalnego pod wezwaniem św. Pawła. Czas dać tym anglikanom nauczkę!

Wyciągnął z garażu kosiarkę do trawy marki Briggs & Stratton, wlał benzynę do zbiornika i ubrany w dżinsy i czerwoną sportową koszulkę, zaczął kosić trawnik przed domem. Robił to co niedziela, kiedy tylko chór się rozkręcił, niezależnie od tego, czy trawnik wymagał koszenia. Walter był uradowany, kiedy udawało mu się zagłuszyć śpiew terkotem starej kosiarki, niosącym się aż do otwartych okien kamiennego kościoła. „Anglikanie to fatalni sąsiedzi. Kiedy w niedzielę zaczynają wyć, rewanżuję im się możliwie największymi hałasami”, pisał do przyjaciela.

— Widzę, że nadal zмага się pan z psychopatycznymi skłonnościami — stwierdził z uśmiechem Stoud, wchodząc na werandę. Profiler siedział ze łśniącą od potu twarzą, popijając mrożoną herbatę. Był późnowiosenny poranek i akurat, wyjątkowo, panowała cisza. — Że też ludziom przychodzi do głowy śpiewać w kościele w niedzielny poranek, nieprawdaż?

— W rzeczy samej — zaśmiał się Walter. — Jak wiesz, nie sprawdzam się w roli ofiary, zresztą ostatnio jakoś nie mam specjalnej sympatii do chrześcijan.

353

Walter właśnie wrócił z Lubbock w Teksasie, gdzie — rok po skazaniu Leishy Hamilton na dwadzieścia lat więzienia — odbył się proces Tima Smitha, pobożnego anglikanina, oskarżonego o współudział w morder-

stwie Scotta Dunna. obrońca przedstawił Tima, bezwzględnego mordercę, jako miłego w obyciu, przykładowego męża i ojca trzyletniego chłopca, młodego chrześcijanina, który dopiero pod wpływem Hamilton zszedł na złą drogę. Członkowie kościoła, do którego należał Smith, przychodzili tłumnie na salę sądową i prosili wszystkich chrześcijan w mieście o modlitwę za jego uniewinnienie. „Ci idioci złązili się do sądu i biadolili, że zabójca jest wzorowym członkiem ich kościoła. Niestety wpływali w ten sposób na decyzję ławy przysięgłych”, opowiadał Walter.

Zdaniem prokuratury trzydziestopięcioletni Smith był romantykiem łatwo ulegającym wpływom innych. Dał się uwieść Hamilton, która bez skrupułów wykorzystywała takich mężczyzn. Niczym zakochany po uszy licealista nie odstępował jej na krok. Zachodził do Copper Kettle, gdzie pracowała jako kelnerka. Zasypywał ją listami miłosnymi przepelnionymi żalem z powodu jej związku ze Scottem. Smith uważał, że gdyby Scott Dunn zniknął, on mógłby zaznać szczęścia z kobietą, którą kochał.

Prokurator twierdził, że Smith współuczestniczył bezpośrednio w morderstwie przez około czterdzieści osiem godzin. Odciął kawałki przesiąkniętego krwią dywanu, aby ukryć dowody zbrodni; razem z Hamilton zwinął ciało Scotta w dywan; pomógł w pozbyciu się zwłok i wysprzątaniu miejsca zbrodni. Włókna z zakrwawionego dywanu znaleziono w mieszkaniu Smitha na rolce taśmy klejącej.

Walter uważał, że Hamilton pozyskała względy Smitha, aby zrzucić na niego winę. Po zamordowaniu Scotta Leisha zaczęła bawić się w kotka i myszkę z policją, odgrywając rolę kobiety skrzywdzonej, choć zawsze gotowej do współpracy. Zamieszkała z Timem, aby dokończyć plan wrobienia biedaka w zbrodnię.

Smith wierzył, że spełniły się jego marzenia, tymczasem jego życie zamieniło się w koszmar. Co rusz przyłapywał swoją dziewczynę na uprawianiu seksu z innymi mężczyznami, a kiedy przeciwko temu protestował — był przez nią bity. Hamilton — nieustannie rzekomo chętna do pomocy w poszukiwaniach mordercy Scotta — wyznała policjantom, że

354
boi się swojego nowego chłopaka. Pokazała im listy miłosne Tima, które rozpoczynał od słów „Droga Zielonooka”, a podpisywał „Superman” i „Flash”. W niektórych listach nazywał Scotta „wężem” i „dupkiem” oraz żądał, aby wybrała w końcu jednego z nich. „Gdyby tylko Scott gdzieś zniknął, byłibyśmy ze sobą szczęśliwi”, pisał Smith. Hamilton potwier-

dziła w rozmowie z „Lubbock Avalanche-Journal”, że jej chłopak jest podejrzanym w sprawie zaginięcia Scotta. W przeszłości miał być potwornie zazdrosny o jej związek ze Scottem. Nie minęło wiele czasu, a policja rzeczywiście uznała Smitha za głównego podejrzanego.

Osaczanie ofiary sprawiało Hamilton satysfakcję. „Potrzeba stymulacji jest w przypadku psychopaty w zasadzie nienasycona. Człowiek taki musi nieustannie potwierdzać własną wartość, aby mieć poczucie, że jest sprytniejszy od wszystkich. Powtarza sobie nieustannie w myślach: Mam cię!”, wyjaśniał Walter Dunnowi.

Walter przeprowadził ostrą rozmowę ze Smithem, próbując go zmusić do wyjawienia, co stało się z ciałem Scotta. Smith odmawiał odpowiedzi. Powiedział, że „nie potrafiłby zwrócić się przeciwko bliźniemu; to nie po chrześcijańsku”. „A morderstwo jest według ciebie chrześcijańskim uczynkiem? Czy po chrześcijańsku jest je tuszować?”, naciskał Walter. Tim Smith nie odpowiedział.

Walter śledził proces w sądzie hrabstwa Lubbock wraz z Jimem i Barbarą Dunnami. Wszyscy troje nie posiadali się z radości, kiedy Smitha uznano winnym popełnienia morderstwa pierwszego stopnia. Musiało minąć sześć lat, ale sprawiedliwości stało się zadość. Wszystkie tezy Waltera uzyskały wreszcie oficjalny stempel prawdziwości. Mimo że sąd ponownie nie dopuścił do składania przez niego zeznań, prokurator Rusty Ladd podziękował Walterowi za pomoc udzieloną stanowi Teksas, przede wszystkim za zwrócenie uwagi na postać Smitha, głównego współnika Hamilton. Gdyby nie pomoc Waltera, Leisha nie trafiłaby do więzienia, a Tim Smith nie czekałby teraz na wyrok.

Wysokość kary sąd ustalił następnego dnia. Smithowi groziło dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia za współudział w torturowaniu Dunna, morderstwo oraz zbezczeszczenie i pozbycie się zwłok. Rok wcześniej Hamilton skazano na dwadzieścia lat — ku irytacji Waltera, z możliwością

355
przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie po odsiedzeniu niecałych dziesięciu lat.

Ława przysięgłych obradowała przez godzinę. Chociaż uznano go winnym popełnienia morderstwa pierwszego stopnia, Timothy James Smith nie został skazany na karę więzienia. Dostał dziesięć lat nadzoru sądowego i musiał zapłacić grzywnę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Dunn nie wierzył własnym uszom. Nie mógł zrozumieć, jak „Tim

Smith, uznany przecież za winnego, będzie mógł swobodnie przechadzać się po ulicach Lubbock". Nie zmuszono go nawet do zdradzenia, co zrobił z ciałem Scotta. Ława przysięgłych wybrała dozór sądowy, ponieważ Smith nie był wcześniej karany.

Walter był wściekły. „Zupełnie jakby postanowili się zabawić w Boga i udzielić oskarżonemu przebaczenia. W takich sprawach ława przysięgłych powinna zostawić Bogu, co boskie, a zająć się pracą na rzecz stanu Teksas. Niestety, puściła Timothy ego Jamesa Smitha wolno, mimo że dopuścił się morderstwa uwłaczającego godności wszystkich żywych istot", pisał później.

Walter niepokoił się o Jima Dunna. W trakcie procesu udręczony ojciec błagał Smitha o zdradzenie — osobiście lub anonimowo — lokalizacji szczątków Scotta. „Błagam, niech pan pozwoli, żeby otrzymał godny pochówek. Proszę spojrzeć na swojego syna, a później odpisać na ten list. Przyjmę odpowiedź w jakiegokolwiek formie, nawet przez pośrednika. List proszę wysłać na skrzynkę pocztową numer 986 w Morrisville, 19-067 Pensylwania", napisał.

Dunn zaczął znów odbierać telefony od Leishy Hamilton. Miał nadzieję, że może ona w końcu wyjawi, gdzie znajduje się ciało Scotta. Hamilton dzwoniła do pogrążonego w żalu ojca z więzienia, żerując na jego rozedrganiu emocjonalnym. Dunn był wrakiem człowieka. Leisha zamordowała mu syna, a teraz niszczyła i jego.

— Skończ z tymi rozmowami — zrugął go Walter. — Masz do czynienia z klasyczną psychopatką. Morderstwo nie zakończyło się w momencie śmierci twojego syna. Powtarzam to wiecznie: morderstwo się nie kończy, dopóki nie zdecyduje o tym morderca. A dla niej się jeszcze nie skończyło,

356
ponieważ wciąż czerpie z niego satysfakcję. Nie możesz sobie pozwolić na nienawiść, bo to cię tylko osłabia. Przeciwnieństwem miłości wcale nie jest nienawiść. Przeciwnieństwem miłości jest neutralność, postawa „Nic mnie to nie obchodzi". Jeżeli zaczniesz ją ignorować, straci nad tobą władzę. Do cholery, Jim, zamordowała twojego syna. Nie chcesz chyba, żeby zabójca miał na koncie kolejną ofiarę.

Pragnienie odszukania szczątków syna i pochowania ich w prawdziwym grobie niszczyło Jima.

Stoud siedział w milczeniu, tymczasem Walter zapalił papierosa i zawiesił wzrok na smudze dymu, która rozpląwała się nad werandą.

— Sprawa była doprawdy fascynująca — odezwał się w końcu. — Leisha Hamilton, dominująca morderczyni opętana żądzą władzy, podporządkowuje sobie uległego Tima Smitha, okręca go sobie wokół palca i namawia do współudziału w morderstwie, zamierzając rzucić na niego całą winę. Ława przysięgłych poznaje się na Hamilton, czuje do niej odrazę i posyła do więzienia. Następnie przed sądem staje Tim Smith, który za sprawą wrodzonej uległości padł ofiarą zakusów Hamilton. Tą właśnie kartą próbuje grać, stojąc przed ławą przysięgłych. Jest równie wielkim psychopatą jak Hamilton, ale wygląda na marzyciela, romantyka. Przysięgli dają się nabrać na przedstawienie pod tytułem: „Jestem uroczym, miłym, młodym chrześcijaninem”.

Wstał i spojrział na otoczony drzewami kościół św. Pawła.

— Jestem co prawda bardziej agnostykiem niż ateistą, ale w naszym zawodzie nawet osoba niewierząca musi kierować się wartościami, mieć odpowiednio ukształtowaną osobowość, silne poczucie misji i charakter.

Dopalił papierosa.

— Dawniej to ludzie mieli charakter, a teraz charakter mają domy, a ludzie osobowość. To nie wystarczy. Dobro, prawda, piękno muszą pozostać niezmiennie.

— Człowiek musi kierować się pewnymi standardami — powiedział wesóło Stoud.

— Musi.

357

Rozdział 45

Zejdźcie do jądra ciemności

Szczupły mężczyzna siedział w fotelu. Na zabytkowym stoliku z orzechowca pochodzącym z dziewiętnastowiecznego Lyonu spoczywała paczka mentolowych papierosów, wysłużona metalowa popielniczka i ceramiczny kubek do kawy — prezent od policjantów z wydziału zabójstw pewnego miasta ze Środkowego Zachodu. Kubek ozdabiał napis: „Gdy twoje życie się kończy, my wkraczamy”. Pograżony w półmroku salon był wypełniony antykami. Przy drzwiach stało popiersie francuskiego rycerza, chevaliera z ubiegłego wieku, oświetlone czerwonym światłem wydobywającym się z wielkiego chińskiego lampionu.

Ciszę popołudnia zakłócało jedynie tykanie zegara szafkowego i klikanie obracającego się pod palcami Waltera kółka zamka walizki. Był to wyprodukowany przez firmę Zero Halliburton klasyczny model z alumi-

nium lotniczego rozpiętego na stalowym ożebrowaniu, niemal niezniszczalny, utrzymany w stylistyce lat czterdziestych XX wieku. Właśnie w takich walizkach przechowywane są kody do głowic nuklearnych i słynny „czerwony guzik”.

— To, co usłyszysz, musi pozostać tajemnicą — ostrzegł Walter, gdy dwie zasuwki wyskoczyły z otworów i rozległ się syk otwieranej walizki. — Nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

— Widziałem taką samą walizkę w Mission Impossible — stwierdził z przekąsem Stoud. — Niespecjalnie pasuje do wizerunku emeryta.

359

Stoud wiedział, że ten model Zero Halliburtona cieszy się popularnością wśród szpiegów, agentów federalnych i pretensjonalnych reżyserów filmów noir. Skoro Walter przechowywał w niej jakieś informacje, z pewnością nie chciał, aby wpadły w niepowołane ręce.

— Wiedza może zaszkodzić temu, kto nie jest gotowy na jej przyjęcie — zwrócił uwagę Walter. — Dostojewski powiedział, że człowiek potrafi przyswoić sobie niektóre idee, ale w innych może się zupełnie zatracić. W głębokim skórzanym wnętrzu spoczywał — chroniony przed kurzem i wilgocią przez uszczelkę walizki — plik fotografii przedstawiających zwłoki Terri Lee Brooks z nożem wystającym z gardła. Pod spodem znajdowały się zwykłe teczki.

Typy morderców wyróżnione przez Waltera.

Razem z Bobem Keppelem, słynnym oficerem śledczym ze stanu Waszyngton, przez lata dopracowywali swoją teorię prowadzenia śledztwa w sprawach o morderstwo. Wkrótce mieli opublikować w „International Journal of Offender Therapy and Comparative Criminology” artykuł zatytułowany Tworzenie profili psychologicznych morderców: zrewidowany model klasyfikacyjny umożliwiający zrozumienie morderstwa o podłożu seksualnym. Tekst spotkał się z pozytywnym przyjęciem. Doceniono jego przełomowy charakter i możliwość praktycznego zastosowania modelu w śledztwie. Od lat osiemdziesiątych Walter jeździł po całym świecie — od Hongkongu przez Londyn do Harrisburga w Pensylwanii — z wykładami o typach osobowościowych morderców. Jego widownią byli oficerowie śledczy, prokuratorzy i specjaliści nauk sądowych.

Ludzkość od zarania dziejów pragnęła zgłębić istotę mroku. Dostrzec ogólniejsze zależności. Walter miał pełną świadomość, że jego metoda została wcześniej precyzyjnie opisana w londyńskim czasopiśmie „Beetons

Christmas Annual" z 1887 roku, w którym po raz pierwszy pojawiła się postać Sherlocka Holmesa. Detektyw wyjaśniał tam swojemu przyjacielowi doktorowi Watsonowi, na czym polega jego praca. „Jestem detektywem-doradcą. (...) mamy bardzo wielu detektywów rządowych i nie mniejszą ilość — prywatnych. Gdy gubią się w jakiś sprawie, przychodzą do mnie (...) Wtajemniczają mi we wszystkie fakty i zwykle udaje mi się (...) wskazać im prawidłową drogę. Wszystkie przestępstwa mają

360
jakieś «rodzinne» podobieństwo i gdy się zna jak własne pięć palców szczególnie tysiąca zbrodni, dziwnym by było nie rozwikłać tysiąc pierwszej**.

Po przeanalizowaniu tysięcy przypadków Walter i Keppel odkryli, że sprawców najbardziej brutalnych morderstw, czyli tych popełnianych na tle seksualnym, można przyporządkować do jednego z czterech typów osobowościowych. Ludzie ci w sposób nieunikniony i nieświadomy zdradzają przy okazji każdego morderstwa swoje cechy, pragnienia i poziom biegłości w mordowaniu. Scena zbrodni przypomina zamalowane płótno — detektyw musi jedynie odczytać podpis autora. Jak napisał w 1910 roku G.K. Chesterton: „Przestępca jest artystą, a detektyw jedynie krytykiem”.

Walter wrócił z kuchni z dzbankiem świeżej kawy. Obaj zapalili papierosy. Minęło południe. Walter i Stoud rozpoczęli wędrówkę w stronę jądra ciemności.

Pierwszy typ osobowościowy wyróżniony przez Waltera i Keppela — morderca o profilu stanowczej siły (power-assertive killer)** — był najpowszechniejszy. Walter nazywał go mordercą w stylu Johna Wayne'a. Człowiek taki emanuje męskością, szczyci się muskulaturą i tatuażami, lubi broń palną, czasopisma z roznegliżowanymi panienkami i jeździ furgonetką. Samochód to dla niego powód do dumy. Mordercę o profilu stanowczej siły wyróżnia powalenie ofiary potężnym ciosem w głowę; czyn analogiczny do pierwszego ugryzienia rekina, którym drapieżnik pozbawia ofiarę możliwości obrony. Zwłok pozbawia się, jakby był odpadem, zaspokajając tym samym pragnienie władzy. Człowiek taki kieruje się w życiu kilkoma żelaznymi zasadami (w odróżnieniu od wsłuchiwanie się we wskazówki płynące z cech charakteru). Na przykład jeśli podczas gwałtu duszona przez niego kobieta umrze, natychmiast przerywa stosu-

* A. Conan Doyle, Studium w szkarłacie, tłum. T. Evert, Warszawa 1956, s. 24.

†* Polskie nazwy kategorii morderców, które omawia w tym rozdziale Walter, za-

czepnięto z artykułu Pawła Marcinkiewicza Psychologiczne aspekty wykrywania przestępstw

seksualnych, opublikowanego w biuletynie Sekcji Psychologii Sądowej Koła Naukowego Studentów Psychologii UJ: <http://psychologiasadowa.pl/wp-content/uploads/2011/02/Psychologiczne-aspekty-wykrywania-przest%C4%99pstw-seksualnych-Pawe%C5%82-Marcinkiewiczi.pdf>, dostęp z dnia 6 czerwca 2011.

361

nek, ponieważ „nie chce, aby policjanci uznali go za dewianta. Tylko zbroceniec potrafiłby zerznąć trupa”, tłumaczył Walter.

— Typowym mordercą o profilu stanowczej siły była Leisha Hamilton. Scott Dunn nieświadomie popełnił niewybaczalny błąd: podważył jej władzę. W konsekwencji najpierw go unicestwiła, a następnie pozbyła się ciała, zaspokajając swoje pragnienie kontroli. Jej współnik Tim Smith jako przedstawiciel pozornie łagodniejszego, drugiego typu, był mordercą o profilu kompensacyjnym (power-reassurance killer). To morderca niepozorny i nadwrażliwy, wyjaśniał Walter, zagubiony w świecie własnej wyobraźni. Zamiast brutalnego „skoku” na władzę, zdobywa ją za pośrednictwem fantazji. W szkole ubierał się na czarno, biegał po ulicy i odgrywał sceny z horrorów. To Gwałciciel Dżentelmen karmiący się urojeniem, że jakaś kobieta się w nim zadurzyła. Podchodzi do niej i mówi: „Nareszcie przybyłem, najdroższa. Pójdź w me ramiona”. Taki człowiek wpada w morderczą wściekłość, gdy kobieta go splawia, przekuwając tym samym balon jego samozadowolenia. W odróżnieniu od typu Johna Wayne'a, który starannie zaciera ślady morderstwa, ten zostawia na miejscu zbrodni bałagan. Wystarcza mu zaspokojenie fantazji i rozładowanie wściekłości. Do tego typu należą niektórzy bohaterowie thrillerów Jamesa Pattersona, na przykład Casanova albo Dżentelmen w Kolekcjonerze. Osobowość mordercy o profilu kompensacyjnym miał również David Dickinson, morderca z obsesją na punkcie butów, żyjący fantazją o powodzeniu, jakim miał się cieszyć u kobiet. Kiedy z błędu wyprowadziła go studentka Deborah Wilson, popełnił morderstwo.

Był wczesny wieczór. Walter popijał wino z kieliszka, Stoud trzymał w dłoni szklanekę piwa.

Od pół godziny przerzucali się błyskotliwymi uwagami, a gromki śmiech przenikał siwe kłęby dymu unoszące się powoli w stronę sufitu. W tle rozbrzmiewał Rigoletto. W pewnej chwili zapadła cisza. Zmasakrowane zwłoki Terri Brooks — pobitej, uduszonej, zadżganej i ponownie

uduszonej — spoglądały na nich z blatu dziewiętnastowiecznego stolika.

— To morderstwo popełnione w gniewie — przerwał milczenie Stoud. — Wskazuje na to brutalność i wielokrotność.

362

— W rzeczy samej. Dzieło jeszcze mroczniejszego umysłu.

Był to morderca trzeciego typu, o profilu gniewnej zemsty (anger-re-taliatory killer) — jeden z dwóch typów osobowościowych czerpiących przyjemność nie tylko z dominacji nad ofiarą, ale z samego aktu zabijania. Dwie podstawowe jego cechy to poprzedzenie morderstwa obserwacją ofiary z ukrycia (jak drapieżnik szykujący się do ataku) oraz zakrycie jej twarzy. Walter nazywał ten typ osobowości mordercą w stylu O.J. Simpsona.

— Choć oczywiście wiemy, że wcale O.J. nie zamordował bylej żony i jej przyjaciela — dodał Walter. Stoud zachichotał.

— To była sprawka klasycznego mordercy odwetowego w gniewie — kontynuował Walter — upozorowana niezdarnie na robotę włamywaczy. Podstawową oznaką gniewu i gwałtownych uczuć była przesadność mordu, mówił Walter. Zupełnie jakby dziewczyna miała dziewięć żyć, a morderca po kolei je odbierał. Drugą wskazówką był dobór narzędzi zbrodni pozwalających na zadanie śmierci z bliskiej odległości — noża, ołowianej rury oraz własnych dłoni.

— Gdybyśmy pokłócili się teraz o moje wynagrodzenie i postanowiłbym cię zabić, pobiegłbym po pistolet. Nasz spór dotyczyłby bowiem władzy, a morderstwo związane z walką o władzę będzie eleganckie i popełnione na chłodno — tłumaczył Walter. — Gdy wszakże sprawa dotyczy uczuć, na przykład związanych ze zdradą, mordercę będzie satysfakcjonować zabijanie ofiary poprzez wielokrotne zadawanie zabójczych ciosów — dźganie nożem, cięcie, bicie.

Na końcu sprawca zakrywa ofierze oczy. Człowiek, który zabił Terri Brooks posłużył się w tym celu foliowym workiem.

— W setkach przeanalizowanych przeze mnie przypadków ani jeden morderca o profilu gniewnej zemsty nie pozwolił ofierze zobaczyć, jak opuszcza miejsce zbrodni — powiedział Walter. — To dla niego ostatni sposób wyrażenia gniewu. Zdecydowanie najczęstszym motywem jest tu zawód miłośny. To najbardziej logiczne wyjaśnienie, ponieważ podstawową charakterystyką zbrodni jest jasno określona — innymi słowy łatwo rozpoznawalna — namiętność, a kiedy człowiek ulega jakiejś namiętno-

ści, dzieje się to z jakiegoś powodu. Najczęściej chodzi o seks.

363

Walter pokrótce scharakteryzował mordercę.

— To człowiek życiowo niespełniony, ale obdarzony pewnym urokiem osobistym, na który ona nie pozostaje obojętna. Terri to sympatyczna, silna kobieta — takie lubi najbardziej. Nieokreśloność łączącej ich relacji odpowiada mu, bo dzięki niej może pozostać wiecznie niedojrzałym chłopcem. Kiedy te wady zaczynają przeszkadzać Terri — bo w istocie ma do czynienia z nieudacznikiem, który ją wykorzystuje — zrywa znajomość. „Nie zwracaj mi więcej gitary”, mówi. Sądzi, że się go pozbyła, tymczasem właśnie podpisała na siebie wyrok śmierci.

Walter upił łyk wina.

— Pamiętaj, że związek z mordercą odwetowym w gniewie kończy się dopiero wtedy, gdy on o tym zdecyduje. Jej decyzja nie ma żadnego znaczenia, bo relacja ma charakter pasożytniczy. Od początku taki miała, tyle że teraz staje się dodatkowo mroczniejsza i naznaczona nienasyceniem. Terri zadała mu ostateczny cios, mówiąc: „Nie chcę cię więcej widzieć”. On nie potrafi się pogodzić z zerwaniem i znajduje uzasadnienie dla zbrodni. Ma poczucie, że został niesłusznie skrzywdzony, a zatem ma prawo ją zabić. To sprawia, że nie ma potem wyrzutów sumienia.

Zdaniem Waltera zabójcą będzie mężczyzna zbliżający się do czterdziestki, który niewiele w życiu osiągnął, mieszka od urodzenia w tym samym miejscu, z matką, wykonuje jakąś niewdzięczną pracę i jest zaniedbany. Sporządzony przez Waltera profil pozwalał wyjaśnić, dlaczego Terri wpuściła zabójcę do restauracji o wpół do drugiej w nocy.

— Znała go i mu ufała — powiedział Walter. — To był jej chłopak. Profiler nie był jeszcze gotowy, aby opowiedzieć Stoudowi o mordercach należących do czwartego typu.

— To najbardziej złożony i diaboliczny typ, najtrudniejszy do schwytania. Jeden z największych koszmarów, jaki spotkał ludzkość. Czarna dziura na końcu kontinuum.

Rozdział 46

W świecie, który powstanie na nowo

Przejeżdżając czarnym sedanem przez kamienną bramę cmentarza Ivy Hill w Filadelfii, Fleisher miał poczucie satysfakcji. Chłopiec miał zostać w końcu przeniesiony w lepsze miejsce. Samochód mijał ogromne grobowce i obeliski znanych ludzi: Charlesa Duryei, wynalazcy silnika

benzynowego, piosenkarki gospel Marion Williams, gwiazdy tenisa szalonych lat dwudziestych Billa Tildena. Mauzolea wielkich postaci górowały nad prostymi kamieniami nagrobnymi i krzyżami oznaczającymi miejsca spoczynku zwykłych ludzi. Dzięki przychylności przedsiębiorcy pogrzebowego Craiga Manna, którego ojciec przed laty pochował chłopca, Towarzystwo Vidocqa otrzymało od zarządu cmentarza znakomite miejsce nieopodal bramy; chłopiec miał spocząć między najszlachetniejszymi zmarłymi. „Powinien leżeć tu, w poświęconej ziemi. Obok innych dzieci”, myślał Fleisher.

Był szary, ponury poranek 11 listopada 1998 roku, Dzień Kombatanta. Przez całą noc nad wzgórzami dziewiętnastowiecznego cmentarza padał deszcz, a grobowce i pomniki pociemniały od wilgoci. Starzy detektywi w ciemnych płaszczach i kapeluszach zebrali się wokół świeżo wykopanego w ziemi dołu. Byli wśród nich Weinstein, Kelly i McGillen — zimą 1957 roku młodzi policjanci, tego dnia przebrani w ciała starych ludzi. Nad otworem w ziemi stał duży, czarny kamień nagrobny, na którym wyrzeźbiono baranka, symbol niewinności. Miejsce na cmentarzu i nagrobek ufundowali dobroczyńcy; za pogrzeb zapłaciło Towarzystwo Vidocqa.

365

Weinstein, który przed laty wyjął chłopca z pudełka, teraz razem z Fleisherem przeniósł śnieżnobiłą trumienkę z fazowanym wiekiem z karawanu do grobu. Dudziarz zagrał przepelniony żalnością, stary Negro spiritual: Do domu, do domu, idę do domu...

To niedaleko, tuż za rogiem,

Wejdę przez otwarte drzwi...

Matka mnie wypatruje,

Ojciec też na mnie czeka;

Wiele osób tam przybędzie,

Wszyscy moi przyjaciele.

Fleisher umieścił trumnę na hydraulicznym podnośniku. Ostatni raz tak blisko słońca chłopiec spoczywał w 1957 roku. Jego jedyną rodzinę stanowiły dwa pokolenia policjantów.

Stary kamień nagrobny z napisem „Boże, pobłogosław tego bezimennego chłopca” położono pod nowym. Fleisher rozplakał się.

Starając się opanować emocje, prezes Towarzystwa Vidocqa wszedł na prowizoryczne podium. Wokół grobu stało ponad sto osób, w tym prokurator okręgowa Abraham oraz przybyły z Waszyngtonu wysokiego

szczebla pracownik Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wyzyskiwanych. Przedstawiciele mediów zajęli miejsca nieco dalej, po drugiej stronie alejki. Znajdowała się między nimi kobieta po pięćdziesiątce, której nikt z obecnych nie rozpoznawał. Trzymała w rękach wiązkę niebieskich goździków — od dzieci, które dowoziła do szkoły autobusem. „Miałam dziesięć lat, kiedy go znaleźli. Nigdy tego nie zapomnę. Biedaczysko. Ktoś musi wiedzieć, jak się nazywał”, powiedziała później Rita O'Vary.

Starsi wiekiem policjanci usiedli na rozkładanych krzesłach naprzeciwko trumny. Słońce wyrzało zza chmur i oświetliło kępę rododendronów i dąb. Policjanci uznali to za dobry omen.

Fleisher przywołał w myślach wszystkie zdarzenia, które dawały nadzieję na wyjaśnienie sprawy. Ponowny pochówek był zaledwie jednym z elementów szeroko zakrojonej akcji, początkiem drogi. Po emisji

366
specjalnego wydania Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki poświęconego Chłopcu w Pudełku policja otrzymała setki nowych tropów. Prowadzący John Walsh zaprezentował wyrzeźbione przez Bendera popiersie przedstawiające hipotetyczny wygląd ojca zamordowanego.

Osiem dni wcześniej prawnicy Towarzystwa Vidocqa uzyskali w sądzie pozwolenie na ekshumację ciała chłopca z grobu na Polu Garncarza, położonego nieopodal dróg prowadzących do Mechanicsville i Dunks Ferry w północnej części Filadelfii, i przeniesienie go na oddalony o piętnaście kilometrów cmentarz Ivy Hill. Koparka dotoczyła się do grobu, a kiedy usunięto kamień nagrobny, wydrążyła niewielki otwór. Kopacze z łopatami wybrali resztę ziemi i umieścili pod trumną szerokie pasy. Koparka wyciągnęła ją na powierzchnię — znalazła się na niej po raz pierwszy od czterdziestu jeden lat. Kopacze oczyścili trumnę z resztek ziemi i zanieśli ją do czekającego w pobliżu ambulansu. Ekipa specjalistów z FBI pobrała próbki do analizy.

Pięćdziesięcioletnia kobieta, która obserwowała całą operację, oddaliła się ze smutną miną. Przyszła, aby chłopiec wiedział, że „o nim nie zapomnieliśmy”. Kiedy go znaleziono, miała dziesięć lat; przez całe życie modliła się za jego duszę. Podobnie jak wielu sąsiadów, przynosiła na jego grób kwiaty i zabawki. Traktowała chłopca jak młodszego brata.

Ambulans pojechał do kostnicy. Trumnę położono na stole w pracowni lekarza sądowego. Obserwując podważanie wieka, Kelly pomyślał:

„Szkoda, że nie ma tu Rema Bristowa”. Chwilę później przeżegnał się, gdy zobaczył, że mimo upływu czterdziestu lat ciało chłopca w tajemniczy sposób nie obróciło się w proch. Pierwsi chrześcijanie uważali takie zjawisko za znak od Boga. Z ciała chłopca pozostały kości obleczone rozpadającym się garniturkiem należącym wcześniej do syna jednego z policjantów pracujących nad sprawą w 1957 roku. Laborant przeszukał pył oraz kości i znalazł ząb — potencjalne źródło DNA. Dysponując DNA chłopca, policja mogłaby zweryfikować jego ewentualne pokrewieństwo z podejrzanym lub domniemanymi krewnymi. Pozwoliłoby to poznać nazwisko chłopca — a przy okazji również nazwisko jego mordercy.

Na nowym kamieniu nagrobnym napisano: „Nieznane dziecko Ameryki”.

367

Fleisher stwierdził, że chłopiec jest „symbolem dzieci wykorzystywanych, zaginionych i zamordowanych. Pogrzebem poświęcamy, że jego życie miało wartość. Następnym celem jest umieszczenie na grobie jego nazwiska”. Ksiądz, pastor i rabin polecili duszę chłopca Bogu. Siedemdziesięciodwuletni Weinstein wstał i opisał okoliczności znalezienia ciała chłopca 25 lutego 1957 roku.

— W jego oczach widziałem cierpienie — wspominał. — Zupełnie jakby mnie pytał: „Co się stało? Dlaczego?”. I jedyne, co mogłem mu odpowiedzieć, to... — łamiącym się głosem odmówił kadisz, żydowską modlitwę żalobną: „W świecie, który powstanie na nowo... Wskrzesi umarłych... i tchnie w nich życie wieczne”.

Kiedy podnośnik zaskrzypiał i trumienka zniknęła w grobie, Weinstein stanął na baczność i zasalutował. Następnie uścisnął jednego z kolegów i chwycił ramię Fleishera, jakby się bał, że upadnie.

Modlitwa Kelly ego była prosta: „Drogi Boże, co jeszcze powinienem zrobić? Powiedz, a to uczynię”.

Promienie słońca padły na świeży grób. Weinstein usiadł na rozkładanym krześle i ukrył twarz w dłoniach, nie mogąc opanować płaczu.

— Głowa do góry, Sam — wyszeptał Fleisher, podtrzymując kolegę. — Rozwiążemy tę sprawę.

Fleisher polecił wcześniej kamieniarzowi, aby zostawił na czarnym granicie nagrobka miejsce na nazwisko.

Rozdział 47

Moje gratulacje, znalazł pan mordercę”

Sierżant Cloud rozpoczął dochodzenie w sprawie śmierci Terri Brooks od początku, zupełnie jakby została zamordowana poprzedniego dnia. Odwiedził jej ojca i macochę mieszkających w Warminster. George i Betty Brooks nie mieli nic przeciwko wznowieniu dochodzenia — dla nich sprawa nigdy nie została zamknięta. Choć oboje zostali przesłuchani przez policję czternaście lat wcześniej, natychmiast zgodzili się na rozmowę z sierżantem Cloudem.

Wyjaśnił, że niedawno przejął dochodzenie i zamierza przeprowadzić wszystkie czynności od początku. Dysponował setkami starych dowodów, opasłym tomem akt sprawy, profilem przygotowanym przez Waltera — resztę musiał odkryć sam.

George i Betty chcieli poznać tożsamość mordercy córki.

— Mam nadzieję, że skurczybyk wciąż chodzi po świecie i uda się go jakoś wywabić z ukrycia — powiedziała niewiele wcześniej Betty gazecie Trentonian". Dziennikarz zadzwonił, aby zapytać, co sądzi o zaangażowaniu się w sprawę Towarzystwa Vidocq'a. Artykuł został zatytułowany: „MORDERSTWO W RESTAURACJI: NOWE SIŁY ROZWIĄŻĄ STARĄ SPRAWĘ?”.

Zdaniem Betty Terri została zamordowana przez swojego chłopaka.

— Od początku tak uważałam — powiedziała.

George, jej mąż, miał odmienne zdanie.

369

— Byli przecież zaręczeni — powiedział natychmiast, kręcąc głową. Nie potrafił sobie wyobrazić scenariusza, w którym to narzeczony morduje ich córkę. Tymczasem Betty zauważyła, że pierwszy raz coś ją tknęło, kiedy chłopak przyniósł im tragiczną wiadomość o morderstwie Terri. Wyrażał żal, ale coś było nie tak. Przez następne czternaście lat widzieli go jeszcze tylko raz, i jego zachowanie również nieprzyjemnie ją uderzyło. Kiedy dwa tygodnie po pogrzebie spotkali go na ulicy, „manifestacyjnie poinformował ich, że właśnie umówił się na randkę”, wspominała Betty. Sierżant Cloud przerwał rozmowę, unosząc dłoń. Znał na pamięć całe akta sprawy, w tym treść dwustu przesłuchań. Relacja Brooksów zupełnie do nich nie pasowała. Czternaście lat wcześniej policja niemal natychmiast skreśliła chłopaka Terri z listy podejrzanych, a kiedy nie zdołała powiązać ze sprawą również pracowników restauracji, szybko uznała morderstwo za rezultat włamania.

— Chłopak Terri miał przecież niepodważalne alibi — zauważył

Cloud. — W chwili popełnienia morderstwa przebywał w Kalifornii.

Betty uniosła ze zdumieniem brwi.

— Ależ nie! — wykrzyknęła. — Nie ten chłopak! Miała drugiego.

Z tym, który wyjechał do Kalifornii, zdążyła zerwać. Od tego czasu spotykała się z kimś innym.

— Jak się nazywał? — spytał Cloud.

Pokręciła bezradnie głową — nie potrafiła sobie przypomnieć. Choć

Terri była z nim zaręczona przez osiem miesięcy, Betty w zasadzie nie miała okazji, aby go lepiej poznać.

— Chyba nie przepadał za wizytami rodzinnymi — stwierdziła.

Chwilę później przypomniała sobie nazwisko.

— Nazywał się chyba O'Keefe.

Imienia nie pamiętała.

Sierżant Cloud podziękował rodzicom Terri i wrócił na komendę, aby dowiedzieć się czegoś o narzeczonym Terri. Na dźwięk nazwiska O'Keefe koledzy otwierali szeroko oczy. Wpisał je do policyjnej bazy danych — również nic. Sfrustrowany zadzwonił do przyjaciela Eda Gaughana, prywatnego detektywa, który pracował w siedzibie Towarzystwa Vidocq'a. Zapytał o O'Keefe'a.

370

Gaughan pierwszy raz słyszał to nazwisko, ale obiecał, że z Fleisherem przeszukają, w miarę możliwości, bazy danych używane przez prawników, prywatnych detektywów i poręczycieli osób wypuszczanych z aresztu za kaucją. I tam nie znaleźli żadnych informacji.

Gaughan oddzwonił do sierżanta Clouda.

— Jesteś pewien, że tak się pisze jego nazwisko?

Nie, Cloud nie był pewien.

— A może uczestniczył w pogrzebie? Sprawdź księgę kondolencyjną — zasugerował Gaughan.

Duża, oprawiona w skórę księga leżała akurat na biurku sierżanta Clouda. Odszukał strony z wpisami żałobników uczestniczących w pogrzebie Terri. Nie znalazł żadnego O'Keefe'a, ale natknął się na inne nazwisko: Keefe. Alfred Scott Keefe.

— A niech go diabli! — mruknął pod nosem Cloud.

Gdy i tym razem nie znalazł nic w zasobach policyjnych, zadzwonił ponownie do Gaughana, który przeszukał z Fleisherem bazę danych mieszkańców Warminster w stanie Pensylwania; Terri Brooks mieszkała

tam pod koniec życia. Przeczucie okazało się trafne: detektywi natknęli się w Warminster na Alfreda Scotta Keefe'a. Miał trzydzieści kilka lat. Nie był wcześniej karany, jeżeli nie liczyć jazdy samochodem pod wpływem alkoholu.

Sierżant Cloud przejrzał ponownie akta sprawy sprzed czternastu lat i natknął się na nazwisko Keefe'a. Policja nabrała wobec niego podejrzeń po przesłuchaniu znajomych ofiary. Terri Brooks i Alfred Scott Keefe zaręczyli się tamtego lata. Dwa dni przed tragedią wpłacili zaliczkę na podróż na Hawaje, w którą mieli się udać podczas miesiąca miodowego. Terri zamierzała w ciągu kilku następných dni kupić suknię ślubną. Jej znajomi twierdzili, że mimo idących pełną parą przygotowań do ślubu między narzeczonymi dochodziło do spięć. Brooks nabierała wątpliwości. Keefe miał do niej pretensje, że rzuciła lepiej płatną pracę i postawiła na karierę w Marriott Corporation. Był chorobliwie zazdrosny i podejrzewał, że Terri spotyka się z kimś innym. Groził zerwaniem zaręczyn. Choć policja uznała, że jako odrzucony kochanek miałby motyw, nie znaleziono żadnych dowodów wskazujących na jego winę.

371

Sierżant Cloud ustalił, że Keefe nadal mieszka w okolicy. Ożenił się, został ojcem, ale obecnie żył z żoną w separacji. Pracował w lokalnej pizzerii. Wprowadził się z powrotem do domu, w którym mieszkał w czasie związku z Brooks. Keefe mieszkał z matką.

Sierżant Cloud skontaktował się z Walterem, aby omówić profil psychologiczny mordercy. W starych aktach sprawy Walter dostrzegł intrygujący szczegół. Na godzinę przed morderstwem widziano furgonetkę Alfreda Scotta Keefe'a na parkingu przed restauracją Roy Rogers. Tylko morderca o profilu gniewnej zemsty śledzi z ukrycia ofiarę.

— Obserwując przyszłą ofiarę, podsyca gniew i utwierdza się w nim — tłumaczył Walter. — Kiedy wyrusza na spotkanie z ofiarą, decyzja o morderstwie już zapadła w jego umyśle.

— Moje gratulacje — dodał na zakończenie. — Znalazł pan mordercę. We wrześniu 1998 roku sierżant Cloud natrafił na ciekawą informację w raporcie sporządzonym po zatrzymaniu Keefe'a prowadzącego po alkoholu. Na przednim siedzeniu samochodu policjant zauważył wtedy paczkę papierosów. Keefe palił mentolowe newporty z filtrem.

Dzięki przytomności umysłu Hala Fillingera, który piętnaście lat wcześniej przeprowadził sekcję zwłok Brooks, policja dysponowała prób-

kami DNA mordercy. Fillinger zabezpieczył włosy znalezione na ubraniu Brooks oraz kawałki naskórka, które dostały się pod jej paznokcie podczas desperackiej walki o życie. A przecież nie mógł się nawet domyślać, jak pomocne okażą się w przyszłości jako źródła DNA. Zachowane próbki zawierały materiał genetyczny osoby płci męskiej, ale czy na pewno Alfreda Scotta Keefea?

Wczesnym rankiem pewnego październikowego dnia Keefe wyszedł przed dom matki przy Horseshoe Lane w Warminster, postawił przy krawężniku worek ze śmieciami i wrócił do środka. Nie wiedział, że służby komunalne z Warminster zostały pouczone, aby tego dnia nie odbierać śmieci sprzed domów. Miało się tym zająć przedsiębiorstwo wywozu odpadów z oddalonego o trzydzieści kilometrów powiatu Falls.

Oficer Nelson Whitney, który z pewnej odległości obserwował dom Keefea, podjechał nieoznakowanym samochodem do krawężnika, zgarnął

worek i zawiózł go na komendę. Ku radości sierżanta Clouda, w śmieciach znaleziono prawdziwy skarb. Niedopałek papierosa.

Mentolowy newport z filtrem został wysłany do laboratorium, które miało wykonać test na obecność DNA w wyschniętych resztkach śliny. Walter zachichotał, kiedy o tym usłyszał.

— No proszę, kto by pomyślał, że palenie faktycznie szkodzi.

Rozdział 48

Przesłuchanie

Alfred Scott Keefe, szczupły mężczyzna o rozbieganych ciemnych oczach, siedział w ciasnym, pozbawionym okien pokoju przesłuchań. Policjanci przyprowadzili go wprost z pizzerii, przez co teraz roztaczał wokół siebie delikatny zapach mozzarelli, papierosów i potu. Siedział na twardym, drewnianym krześle, którego oparcie przylegało do ściany. Na jego pierśi krzyżowały się dwa przewody pneumografu, na ramieniu zaciśnięto rękaw kardiografu, a do koniuszków palców przypięto przewody galwaniczne. Na ścianie za plecami Keefea kładły się wielkie cienie Billa Fleishera i Natea Gordona, zapaśników sumo w garniturach.

Keefe oświadczył, że chętnie przyjdzie na komendę i odpowie na pytania policji, jeśli tylko pomoże mu to w oczyszczeniu się z zarzutów. Zgodził się poddać badaniu wykrywaczem kłamstw, niemniej teraz dygotał, jakby oprzyrządowanie wariografu było średniowiecznym narzędziem tortur, a powtarzane mechanicznie pytania smagającym go raz za razem

biczem.

Gordon zapytał, czy zamordował narzeczoną, Terri Lee Brooks.

Jeżeli tylko przesłuchiwany miał coś do ukrycia, Gordon potrafił wyprować go z równowagi. Był wielkim, łysym mężczyzną o twarzy otoczonej siwą brodą, rozbrajająco wysokim głosem i badawczych niebieskich oczach. Miał gabaryty napastnika futbolu amerykańskiego, czarny pas karate, tytuł magistra kryminalistyki, spory wkład w unowocześnienie wykrywacza kłamstw, a do tego publikował artykuły w czasopismach

374 naukowych typu „Radiology” zatytułowane: Mapowanie obszarów mózgu odpowiedzialnych za fałsz i prawdę w warunkach odpowiadających naturalnym: obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego i badanie wykrywaczem kłamstw. Wykłady rozpoczynał od obalania popularnych mitów argumentami opartymi na żelaznej logice; kończył je, roztrzaskując głową cegłą. Jeżeli zachodziła taka potrzeba, Fleisher — autor podręcznika poświęconego rozpoznawaniu kłamstwa w oparciu o mimikę — odgrywał rolę „dobrego”, a Gordon „złego policjanta”; mieli zresztą przeciwicznych kilka wariantów tej gry. Prezes Towarzystwa Vidocq’a, ubrany w elegancki brązowy garnitur, z równo przyciętą, starotestamentową brodą, siedział na prawo od Keefe’a, pochylony nad zielonym ekranem monitora pokazującym wyniki wykrywacza kłamstw.

„Czy byłeś narzeczoną Terri Lee Brooks? Czy przyczyniłeś się do śmierci Terri Brooks? Czy wiesz, kto zabił Terri Brooks? Czy posłużyłeś się nożem do zamordowania Terri Lee Brooks? Gdzie byłeś, kiedy zabito Terri Brooks?” Gordon zadawał każde pytanie na dziesięć różnych sposobów. Keefe lapidarnie i spokojnie zaprzeczał, ale język ciała wysyłał zupełnie inny komunikat.

Jak na człowieka zapewniającego, że jedynym wykroczeniem, którego dopuścił się w życiu, było dodawanie zbyt małej ilości pepperoni do pizzy, jego współczulny układ nerwowy znajdował się w stanie nieprawdopodobnego rozedrgania. Dłonie pociły mu się jak na pierwszej randce. Głowa trzęsła się jak osika. Brwi podskakiwały, korzystając ze swobody, której nie miały przypięte do wariografu dłonie i palce.

Fleisher wpatrywał się w monitor i w milczeniu kręcił głową. Wszystkie reakcje fizjologiczne Keefe’a przekładały się natychmiast na kilka krzywych, wznoszących się i opadających niczym miniaturowe szmaragdowe morze. „W jego słowach nie ma ani krztyny prawdy”, pomyślał Fleisher.

Mimo że od kilkadziesiąt lat prowadził badania wykrywaczem kłamstw w Nowym Jorku, Londynie, Rzymie czy Dubaju, nie spotkał jeszcze takiego przypadku. Ciśnienie gwałtownie opadało. Oddech zwalniał. Pod względem aktywności gruczołów potowych Keefe nie przypominał pogrążonego w smutku narzeczonego. Morderstwo wytwarza silniejsze emocje niż jakiegokolwiek inne przestępstwo, dlatego Gordon i Fleisher spodziewali

375
się silnych reakcji. Ale nie aż tak. Zetknęli się z najsilniejszymi reakcjami fizjologicznymi, jakie kiedykolwiek zaobserwowali.

Układ nerwowy Keefe'a rozpętał na monitorze sztorm stulecia. Ktośkolwiek śledził przesłuchanie z za weneckiego lustra, był świadkiem niezłego przedstawienia.

Był 4 lutego 1999 roku, piętnasta rocznica morderstwa Terri Brooks. Na podstawie wyglądu miejsca zbrodni Richard Walter przewidział, że zabójca będzie mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki, o niechlujnym wyglądzie, wykonującym podrzędną pracę i mieszkającym z matką. Alfred Scott Keefe pracował w pizzerii, miał trzydzieści osiem lat i mieszkał z matką.

Na korytarzu przed salą przesłuchań zgromadzili się przedstawiciele sił porządkowych hrabstwa Bucks. Czekali z niecierpliwością na chwilę, gdy będzie można otworzyć szampana i świętować zamknięcie najśłynniejszej nierozwiązanej sprawy w historii regionu. W skład grupy wchodził prokurator okręgowy Alan Rubenstein, człowiek marzący o karierze sędziego; gotów na wszystko, aby rozwiązać sprawę, jak się wyraził, „najbrutalniejszego, najohydniejszego i najnikczemniejszego morderstwa”, z jakim się kiedykolwiek spotkał. Obok niego stał komendant policji Arnold Conoline, którego hrabstwo wynajęło do zreformowania pogrążonego w kłopotach wydziału. Jednym z pierwszych rozkazów zarządził wznowienie śledztwa i powierzył je sierżantowi Wynneowi Cloudowi. Kolejną osobą był młody, ambitny podwładny Clouda, Nelson Whitney II, dla którego było to pierwsze dochodzenie w sprawie morderstwa. To jemu udało się po cichu namówić Keefe'a do opuszczenia pizzerii w Horsham i przejechania trzydziestu kilometrów dzielących ją od komendy policji. Wśród zebranych znajdowała się również zastępczyni prokuratora okręgowego, która przy tej sprawie ściśle współpracowała z sierżantem Cloudem i funkcjonariuszem Whitneyem. Członek Towarzystwa Vidocq'a, Ed Gaughan, prywatny detektyw i były oficer śledczy filadelfijskiego wydziału zabójstw,

przybył na miejsce, nie mogąc się doczekać końca śledztwa, którym sam zainteresował Towarzystwo Vidocq'a. Lokalna policja poprosiła również Fleishera i Gordona, aby przywieźli wariograf i w razie potrzeby pomogli w przesłuchaniu. Choć wiele osób kwestionowało użyteczność wyników

376
uzyskiwanych za pomocą wykrywacza kłamstw, w rękach doświadczonych specjalistów urządzenie to pozwalało na określenie prawdziwości odpowiedzi w ponad 95% przypadków. Mało kto wątpił w przydatność wariografu jako narzędzia pomagającego w nakłanianiu podejrzanych do przyznania się do winy; wszyscy wiedzieli również, że Fleisher i Gordon operują nim najlepiej na świecie. Ludzie przyglądający się przesłuchaniu przez lustro weneckie byli przekonani, że Keefe zamordował Terri Brooks — przynajmniej na to wskazywały wyniki analizy próbek DNA. Badania laboratoryjne zdecydowanie obciążały Keefe'a. Badanie śliny na niedopałku mentolowego newporta wyjętego z przechwyconych śmieci wykazało, że palił go ten sam biały mężczyzna, którego DNA wykryto we włosie znalezionym na ubraniu Terri Brooks, we krwi na nożu wystającym z jej gardła i w drobinkach naskórka pod paznokciami ofiary, które dostały się tam podczas szamotaniny z napastnikiem.

A jeżeli DNA należało do innego białego mężczyzny, który mieszkał pod jednym dachem z Alfredem, a mianowicie jego brata Charlesa Keefe'a? Whitney pojechał za Charlesem do restauracji, a po jego wyjściu zabrał z popielniczki niedopałek papierosa, którego mężczyzna chwilę wcześniej wypalił. Badanie wykazało, że DNA Charlesa Keefe'a różni się od DNA znalezionej na ciele Terri Brooks.

Teoretycznie było możliwe, że istnieje inny biały mężczyzna o identycznym DNA jak Alfred Keefe, a człowiek siedzący teraz w pokoju przesłuchań jest niewinny. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji było jednak minimalne — wynosiło jeden na pięć miliardów. Jeżeli Keefe chciałby wskazać policji innego podejrzanego, musiałby liczyć na odkrycie w najbliższym czasie tysiąca nowych planet o populacji pięć miliardów każda. Alfred Keefe zamordował Terri Brooks. Od tego czasu minęło piętnaście lat i policji brakowało tylko jednego — przyznania się do winy. Whitney i inny funkcjonariusz rozpoczęli przesłuchanie tuż po godzinie osiemnastej. Mijały kolejne kwadransy, a Keefe wciąż nie chciał się przyznać. Gordon i Fleisher krążyli po korytarzu niczym dzikie zwierzęta w klatce. Gordon namawiał komendanta, aby pozwolił im wykonać bada-

nie wariografem. Keefe miał piętnaście lat, aby wymyślić wiarygodne alibi. Od kilku godzin skutecznie igrał z przesłuchującymi. Palił papierosa za 377

papierosem i szyderczo się uśmiechał. Gordon i Fleisher uważali, że przesłuchujący Keefe policjanci z braku doświadczenia tracili czas, kierując przesłuchanie na niewłaściwe tory.

Według Gordona młodzi funkcjonariusze pozwolili Keefeowi poczuć się zbyt komfortowo, wypyując go szczegółowo o miejsce urodzenia, nazwisko matki itp. Ani razu nie próbowali go mocniej przycisnąć. Nie pomagały również przerwy w przesłuchaniu. Do pokoju wszedł na przykład pracownik techniczny i pobrał wymaz z ust Keefe'a, potrzebny do dalszych badań DNA. W rezultacie podejrzany nabrał przekonania o własnym znaczeniu, o tym, że znajduje się w centrum uwagi, że panuje nad rozwojem sytuacji — tymczasem aby się załamał, powinien był czuć się jak zbieg, któremu pościg depcze po piętach.

Policjanci musieli się śpieszyć. Wiedzieli, że jeśli w ciągu sześciu godzin nie doprowadzą Keefe'a przed sędziego i nie przedstawią mu odpowiednich zarzutów, będą musieli go wypuścić. Byłoby to bardzo niekorzystne, ponieważ odkryli już przed podejrzanym karty. Miałby czas, aby wymyślić jeszcze lepsze alibi albo uciec do Patagonii i tam nadal podkręcać w powietrzu ciasto pizzy.

Krążący po korytarzu Gordon znajdował się na skraju wytrzymałości.

Ci goście nie są nawet oficerami śledczymi, myślał. Na co dzień wlepiają mandaty za nieprzepisowe parkowanie, a nie zajmują się przesłuchiowaniem podejrzanych. „Po co wyruszać na wojnę z kawalerią, skoro na pasie stoją w pogotowiu dwa myśliwce i tylko czekają na pozwolenie na start?“, zastanawiał się. W końcu komendant dał im znak głową. Whitney opuścił pokój przesłuchań. Do środka weszli Gordon i Fleisher.

Zasypywali Keefe'a pytaniami od ponad pół godziny i obserwowali sztorm, który rozszalał się na zielonym morzu cyfrowych pikseli. Keefe słabł. Fleisher zerknął na Gordona. Wiedział, że myślą to samo: „Gość to stuprocentowy kłamca”.

Fleisher spojrział surowo na Keefe'a. Przyszedł czas na zadanie ostatecznego ciosu.

— Oblałeś test — powiedział. — Trudno o bardziej jednoznaczne wykresy. Poza tym mamy twoje DNA. Jesteś skończony.

378

W obliczu przytłaczających dowodów Keefe wydawał się tracić resztki pewności siebie. Fleisher trafił w słaby punkt. „Kto wie, może za dwie minuty będziemy mieli w kieszeni przyznanie się do winy”, pomyślał. Zerknął na Gordona, który skinął z aprobatą głową. Choć obaj chcieli przygwoździć Keefe'a, pamiętali o zasadzie obowiązującej członków Towarzystwa Vidocqa: ich zadaniem było jedynie doradzanie i wspieranie, a nie odbieranie innym zasług. Podnieśli się, każąc Keefeowi pozostać na miejscu, i wyszli z pokoju.

Komendant Conoline zgodził się, aby to jego ludzie dokończyli przesłuchanie. Zanim weszli do środka, Fleisher zapytał ich, co sądzą o wyraźnie widocznych drgawkach, które wstrząsały Keefeem. Policjanci wzruszyli ramionami — nie wiedzieli, co powiedzieć. Nikt nie obserwował przesłuchania prowadzonego przez Fleishera i Gordona.

Po kilku minutach Whitney i drugi funkcjonariusz obrali nową taktykę. Dołączył do nich policjant w mundurze, który podobno znał podejznanego osobiście. We trójkę przeprowadzili Keefe'a z małego pokoju przesłuchań do dużej, wygodnej sali konferencyjnej. Ledwie zatrzasnęły się za nimi drzwi, Fleisher i Gordon wymienili zdziwione spojrzenia. Kiedy dwadzieścia minut później do oczekujących na korytarzu nie dotarły żadne wieści z sali, Gordon nie wytrzymał. Podeszedł do komendanta i oświadczył: „Wchodzę do środka”. Komendant skinął przyzwalająco głową.

Ledwie Gordon otworzył drzwi, zrozumiał, co się stało. Wszyscy czterej mężczyźni siedzieli przy długim stole konferencyjnym. „Ta sala zupełnie nie nadaje się do prowadzenia przesłuchań”, pomyślał.

Keefe siedział w nonszalanckiej pozie na jednym końcu stołu. Pochylony nad blatem palił spokojnie papierosa; przed nim stała popielniczka. „Czuje się zbyt wygodnie. Wygląda, jakby szykował się do zjedzenia obiadu”, pomyślał Gordon. Keefe wykorzystał stół jako tarczę. „Przesłuchującego i podejrzanego nie może rozdzielać żadna bariera”, zauważył później Gordon. „Do podejrzanego trzeba się maksymalnie zbliżyć”.

Whitney siedział po lewej stronie Keefe'a i pokazywał mu makabryczne zdjęcia zwłok Brooks, zupełnie jakby ich widok miał wpłynąć na

379
podejrzanego. Powtarzał, że ich zdaniem Keefe jest zamieszany w morderstwo. Ten spokojnie potrząsał głową i zaprzeczał. Policjant w mundurze siedział na stole i nie patrząc na Keefe'a, powtarzał: „Wiemy, że jesteś

w to zamieszany". Potakiwał mu trzeci funkcjonariusz, zajmujący miejsce daleko po drugiej stronie stołu.

Keefe zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół do popielniczki.

— Przesłuchujecie nie tę osobę, co trzeba — stwierdził spokojnie, wzdychając wzrokiem po przesłuchujących go policjantach.

Gordon wiedział, że Keefe nie można zmusić do przyznania się do winy przez odwoływanie się do jego sumienia. Walter przestrzegał agentów z Towarzystwa Vidocq'a oraz policjantów, aby nie próbowali tej taktyki. W przypadku mordercy o profilu gniewnej zemsty „wszelkie próby obudzenia wyrzutów sumienia zakończą się całkowitą klęską i jedynie podbudują podejrzanego, który nie jest zdolny do tego rodzaju wyższych odczuć. To ludzie całkowicie odmienni ode mnie czy ciebie”, powiedział Walter.

Walter podał klasyczny przykład z północnej części stanu Nowy Jork.

Zbrodniarz brutalnie zaatakował w odludnym miejscu parę zakochanych: dziewczynę zgwałcił na oczach chłopaka, a następnie wpakował w nich w sumie dwadzieścia pięć kul. Aresztowany w godzinę po morderstwie, umazany krwią ofiar, w drodze na posterunek zasnął na tylnym siedzeniu radiowozu.. Był zmęczony. „Nic dziwnego”, stwierdził z przekąsem Walter. „Miał za sobą długi, pracowity dzień. Typowy morderca o profilu gniewnej zemsty. Zero wyrzutów sumienia”.

„Takiemu człowiekowi nie można pokazać zdjęć zamordowanej ofiary i oczekiwać, że pod ich wpływem okaże skruchę. Przez trzydzieści do sześćdziesięciu minut po morderstwie przeżywa euforię! Odczuwa ulgę, która zamienia się następnie w przekonanie, że «suka sobie na to zasłużyła!». Działania mające wzbudzić w nim poczucie winy lub wstyd są przeciwnie skuteczne. Pozbawiony tych uczuć morderca robi się jeszcze spokojniejszy i silniejszy, z większym przekonaniem buduje sieć kłamstw”, ciągnął Walter.

Walter uważał, że policja „przecenia wartość aktu przyznania się do winy. Wolałbym odkryć piętnaście nieścisłości w alibi podejrzanego,

380

przyłapać go na piętnastu kłamstwach, niż zdobyć jedno przyznanie się do winy, z którego może się później wycofać”. Niemniej w przypadku mordercy o profilu gniewnej zemsty „cała sztuka polega na uderzeniu w czułe miejsce, wytrąceniu go z równowagi, a następnie doprowadzeniu do wściekłości. Należy ponownie wzbudzić agresję, która popchnę-

ła go do morderstwa".

Gordon poprosił policjantów o opuszczenie pokoju, po czym zabrał się do pracy. Obszedł szybko stół, chwycił krzesło i postawił je po prawej stronie podejrzanego, naruszając jego przestrzeń osobistą. Keefe odwrócił się i spojrzał na Gordona. W odległości kilku centymetrów od siebie zobaczył wielką, łysą głowę; pośrodku twarzy błyszczały zacięte niebieskie oczy.

— Zbadaliśmy cię przed chwilą wykrywaczem kłamstw — Gordon mówił bardzo szybko — więc możesz opowiadać glinom niestworzone bajki, ale obaj doskonale wiemy, że to zrobiłeś.

Przerwał na chwilę, dając Keefe'owi czas na przemyślenie tych słów.

— Mam tylko jedno pytanie. Zabiłeś ją, ponieważ potrzebowałeś pieniędzy na narkotyki, czy się posprzeczaście, ona ruszyła na ciebie z nożem i zadźgałeś ją w samoobronie? Czas upływa, a ty masz go coraz mniej.

— Ani to, ani to — odparł Keefe.

Gordonowi rozbłyły oczy.

— Nie obrażaj mojej inteligencji!

— Ani to, ani to.

Gordon zmarszczył brwi.

— No dobrze, ponieważ wiem, że kłamiesz, muszę przyjąć najmniej korzystną dla ciebie wersję: zabiłeś ją, bo potrzebowałeś pieniędzy na narkotyki. Nie mamy o czym dalej rozmawiać.

Gordon podniósł swoje zwaliste ciało z krzesła i wyszedł z sali, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Komisarz kazał wejść do środka Whitneyowi i jego partnerowi. Młodzi policjanci chcieli jak najszybciej zakończyć sprawę, nad którą pracowali od wielu miesięcy. W tym czasie Gordon naradzał się z Fleisherem. Obaj uznali, że przyszedł czas na wykorzystanie techniki zwanej przez Fleishera „Wszystko na sprzedaż”. Nie ma trudniejszego towaru do opchnięcia niż przyznanie się do winy, twierdził Fleisher.

381

„Musisz przekonać gościa, że będzie dla niego korzystniej przyznać się i pójść na dwadzieścia lat do więzienia, niż zachować milczenie i pozostać wolnym człowiekiem”, tłumaczył. „To jest przekręt wszech czasów. Przekonujesz go, żeby kupił ostatni egzemplarz jakiegoś ustrojstwa, podczas gdy w magazynie w fabryce kurzy się kolejnych siedem milionów sztuk. Liczy się każda sekunda. Jeżeli nie podejmiesz od razu decyzji, może być za późno”.

Razem z Gordonem rozważali, jak podejść Keefea.

— Może tak: „Dysponujemy dowodami w postaci badań DNA, więc jeśli nie powiesz nam, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, będziemy musieli się nimi posłużyć. Załatwimy cię w sądzie”? — zasugerował Fleisher.

Gordon zerknął na zegarek. Zostało im niecałe pół godziny. Whitney i jego partner wciąż tkwili z Keefeem w pokoju przesłuchań, zmierzając donikąd. Gordon złapał za rękę największego człowieka w mundurze, jakiego wypatrzył na korytarzu i odciągnął go na bok.

— Wejdiesz do środka i powiesz: „Pan Gordon twierdzi, że popełniłeś to morderstwo. Nie mamy ochoty z tobą więcej rozmawiać”. Zaraz potem wyjdź na korytarz.

Sierżant wszedł do sali i po chwili wyszedł. Po minucie ze środka wyłonił się uśmiechnięty od ucha do ucha Whitney.

— Przyznał się. Powiedział, że się posprzeczał i zabił ją w samoobronie. Ludzie w garniturach i mundurach zaczęli składać policjantowi gratulacje. Korytarz wypełniły radosne okrzyki.

Gordon ukradkiem odciągnął młodego funkcjonariusza na bok.

— Wróć do środka, zabierz mu papierosy, ustaw swoje krzesło równoległe do stołu, dokładnie naprzeciwko niego, i powiedz: „Nie wciskaj nam kitu! Kobieta otrzymała dwadzieścia ciosów nożem, była bita i duszona. Nikt nie uwierzy, że działałeś w samoobronie”.

Whitney wrócił do sali. Wyszedł trzy lub cztery minuty później.

— Wystarczyło, że odwróciłem krzesło i usiadłem naprzeciwko niego, a zwiesił głowę. Wyraźnie dał za wygraną. Przyznał, że zabił, ponieważ potrzebował pieniędzy na narkotyki.

Gordon skinął głową.

382

— Dobra robota. Teraz wróć tam jeszcze raz i sporządź oświadczenie: nazwisko, data urodzenia, wykształcenie i tym podobne. Każ mu opowiedzieć o wszystkim, co robił tamtej nocy. Niech napisze, że przyznaje się do morderstwa dobrowolnie, że nie został zastraszony ani niczego mu nie obiecano. Zapytaj, dlaczego się przyznaje. obrońca na pewno będzie próbował podważyć prawdziwość tego oświadczenia: dlaczego ktoś miałby dobrowolnie udzielać informacji, które mogą mu zaszkodzić? Dlatego właśnie musi napisać w zeznaniu, dlaczego przyznaje się do winy. Whitney wrócił do sali przesłuchań. Mijały minuty, a drzwi pozosta-

wały zamknięte. Na korytarzu ponownie zapanowała nerwowa atmosfera. Pół godziny później Whitney wyszedł z sali, wymachując spisanim odręcznie przyznaniem się do winy. Na korytarzu rozległy się pełne radości okrzyki — jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Prokurator okręgowy i jego zastępczyni, komendant, sierżant Cloud i jego podwładni oraz Gordon, Fleisher i Gaughan ściskali sobie ręce, poklepywali się po plecach i przybijali piątki. Członkowie Towarzystwa Vidocqa byli niezwykle podnieceni udziałem w śledztwie. Sukces odsunął na dalszy plan wcześniejsze spory; ostatecznie byli wszyscy ludźmi, a różnice zdań stanowiły naturalny element dochodzenia. Członkowie Towarzystwa przyznali, że policjanci wykonali kawał dobrej roboty.

„Keefe zostanie oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia”, oświadczył z triumfalną miną prokurator okręgowy. Jego zastępczyni uśmiechała się szeroko, czytając zeznanie podejrzanego.

— Policjanci naprawdę spisali się na medal — powiedziała.

Jeszcze tego samego dnia prokurator okręgowy zwołał konferencję prasową, na której ogłosił, że aresztowano podejrzanego w najdłużej nierozwiązanej sprawie w historii hrabstwa. Otoczony rozpromienionymi policjantami Rubenstein pochwalił komendanta i jego podwładnych za zawziętość i skorzystanie z najnowszych zdobyczy techniki. „Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem. Za wszystkim stoi ciężka praca policjantów. Trudno sobie nawet wyobrazić, ile godzin poświęcili tej sprawie funkcjonariusze z naszej komendy”, mówił. Nagłówki we wszystkich lokalnych gazetach chwaliły sukces policji. Betty Brooks powiedziała reporterowi, że jest zaszokowana, ale jednocześnie czuje ulgę. Pogratulowała policjantom.

383

„New York Times” uznał aresztowanie za istotne w wymiarze ogólnokrajowym ze względu na śmiałe wykorzystanie nowej technologii. Jak napisał „Philadelphia Inquirer”: „w istocie rzeczy o sukcesie przesądziły testy DNA”. Komendant Conoline wyraził przekonanie, że lekarz sądowy Halbert E. Fillinger junior, który tak skrzętnie pobrał i zabezpieczył próbki skóry i włosy, pozwalające na wykonanie po latach testów DNA, jest znakomitym patologiem. Tydzień później lokalna grupa wsparcia o nazwie Rodziny Ofiar Nieschwytanych Morderców uhonorowała sierżanta Clouda, funkcjonariusza Whitneya i zastępczynię prokuratora okręgowego Lori Markle. Rubenstein oświadczył, że będzie wnioskował o karę śmierci.

Nigdzie nie wspomniano o udziale Towarzystwa Vidocq'a. Szesnaście miesięcy później, 5 lipca 2000 roku, sędzia hrabstwa Bucks, John J. Rufe, skazał Keefea na dożywotnie więzienie bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Obrońca doradził Keefe'owi, aby przyznał się do winy, ponieważ dowody zgromadzone przez prokuraturę były tak przytłaczające, że mogli liczyć jedynie na uniknięcie kary śmierci. Keefe nie miał niczego do powiedzenia rodzicom Terri Brooks, oni z kolei oświadczyli, że się temu nie dziwią, ale wynik procesu ich w pełni satysfakcjonuje. W powiązanej z morderstwem sprawie cywilnej Marriott Corporation, właściciele restauracji Roy Rogers wypłacili siostrze Brooks (spadkobierczyni Terri) 675 tysięcy dolarów zadośćuczynienia; 276322 dolary z tej sumy zapłacono prawnikom.

Żadna relacja nie wspominała o udziale Towarzystwa Vidocq'a.

Fleisher wyraził rozczarowanie z tego powodu w komentarzu zamieszczonym w „Vidocq Society Journal”, zatytułowanym: „wiemy, co robimy... i czego dokonaliśmy”. W artykule pochwalił wydział policji powiatu Falls, a zwłaszcza sierżanta Clouda, obecnie członka Towarzystwa, za dobrą robotę. Mimo to „z przykrością konstatuje, że członkowie naszego klubu, bezinteresownie użyczający czas i wiedzę, nie zawsze mogą liczyć na publiczne wyrazy wdzięczności. Miał rację ten, kto powiedział, że sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą”, napisał.

Fleisher stwierdził, że sprawa morderstwa Terri Brooks przypominała im, „po co tak naprawdę należą do Towarzystwa i co jest ich prawdziwym

384

celem. Była, jest i będzie nim zawsze prawda. A z nią nie sposób dyskutować”. Komentarz podpisał w następujący sposób:

Bill Fleisher, członek i prezes Towarzystwa Vidocq'a

Veritas Veritatum (Prawda rodzi prawdę)

Rozdział 49

Demony Mary

Mary leżała w pogrążonym w ciemnościach domu w Ohio. Śniły jej się koszmary. Kiedy otworzyła oczy, była cała spocona. Wstała i poszła do kuchni — koszmary podążyły za nią. Nie chciały odejść nawet o świcie. Próbowwała się uspokoić, zmusić do logicznej analizy sytuacji. Miała pięćdziesiąt kilka lat, była doktorem chemii o analitycznym, uporządkowanym umyśle, któremu zawdzięczała imponującą karierę w jednym z największych amerykańskich koncernów farmaceutycznych. „Zawsze byłam

dobra z nauk ścisłych. Nauce można zaufać. Kto wytrwale szuka, może rozwiązać niejedną zagadkę. Nauka potrafi płatać figle, ale nigdy nie kłamie", opowiadała później. Tymczasem problem, z którym się zmagala, był odporny na wyjaśnienia naukowe; trudno byłoby znaleźć coś, co w większym stopniu wymykałoby się pojmowaniu rozumowemu. Mary mieszkała sama. Przerażało ją to. Przez całe życie towarzyszyła jej zgroza, którą do tej pory skutecznie zagłuszała. Teraz demon zamieszkujący jej pamięć domagał się uwagi. Upiorne, puste oczy wpatrywały się w nią, gdziekolwiek kierowała wzrok.

Jeszcze przed wschodem słońca podniosła słuchawkę i wykręciła numer swojego psychiatry.

Rankiem tego samego dnia, 25 lutego 2000 roku, psychiatra zadzwonił z gabinetu w Cincinnati na policję w Filadelfii i poprosił o połączenie z wydziałem zabójstw. Chciał zgłosić morderstwo. A dokładnie chciała je zgłosić jego pacjentka, która od czterdziestu trzech lat zmagala się z tym

386
wspomnieniem. Jej brat został zabity 25 lutego 1957 roku przez ich matkę. Mary była świadkiem. Została uczyniona współsprawcą. Musiała w końcu zrzucić z serca ciężar.

Funkcjonariusz przyjął zgłoszenie. W tej sprawie policja otrzymała ich setki, zwłaszcza po specjalnym odcinku Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki.

Kelly i McGillen natychmiast zwrócili uwagę na bez wątpienia nieprzypadkową zbieżność dat. Mary zadzwoniła w rocznicę morderstwa Chłopca w Pudełku. Od tamtego dnia minęły dokładnie czterdzieści trzy lata. Tłumaczyła, że wspomnienie o braciszku nie dawało jej spokoju. Chciała złożyć zeznania. Sierżant Augustine oraz członkowie Towarzystwa Vidocq Kelly i McGillen zadzwonili do psychologa, który zgłosił sprawę, aby zapytać, czy kobieta byłaby gotowa przyjechać do Filadelfii. Nie. Może w takim razie oni przyjadą do Cincinnati? Nie. Kobieta najwyraźniej wpadła w panikę. Nie była gotowa, aby rozmawiać o sprawie. Jeszcze nie.

Kelly i McGillen pozostali w kontakcie z psychiatrą. Pisali do niego listy na papierze firmowym Towarzystwa Vidocq. Dzwonili. Jeszcze nie jest gotowa, mówił psychiatra. Nie zamierzał wywierać nacisku na pacjentkę. Musi sama podjąć decyzję, tłumaczył. Na razie przechodzi terapię. Publiczne wyznanie winy wymagało od niej olbrzymich pokładów zaufa-

nia. Po jakimś czasie psychiatra niespodziewanie zerwał kontakt z Towarzystwem. Stan psychiczny pacjentki się pogorszył. Kelly i McGillen wykazywali uprzejme zrozumienie. Fleisher był pod wrażeniem ich wytrwałości, „klasycznej roboty szeregowych oficerów śledczych. Oto przykład tradycyjnego śledztwa pierwszej klasy”. Tymczasem, jak to się działo przez całe minione półwiecze, wszystkie wysiłki zmierzające do rozwiązania tej zagadki spelały na niczym.

Mary potrzebowała więcej czasu — kilku lat więcej — aby uporać się z demonami przeszłości.

Rozdział 50

Sprawa brakującej twarzy

Frank Bender był przemęczony. Kiedy usłyszał w słuchawce głos młodego nowojorskiego oficera śledczego opowiadającego podekscytowanym głosem o sprawie jakiegoś niewyjaśnionego morderstwa, miał ochotę krzyknąć do słuchawki: „Czarodzieja nie ma w domu! Dziś nie przewidujemy nowych cudów”. Zanim to się stało, Keith Hall, dwudziestopięcioletni oficer śledczy z Manlius, małej miejscowości pod Syracuse, zdążył powiedzieć, że po dwóch latach łamania sobie głowy nad śledztwem doznał nagle olśnienia. Jediną osobą na świecie, która mogła rozwiązać zagadkę morderstwa, był Frank Bender z Filadelfii.

— Doszliśmy do takiego wniosku z żoną po obejrzeniu powtórki odcinka Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki o Johnie Liście, w którym pokazano wykonane przez pana popiersie — tłumaczył Hall. — Powiedziałem do Kathy: „Ten facet to prawdziwy geniusz. Zadzwoń do niego. Jest naszą ostatnią nadzieją”. Frank, potrzebujemy cię.

Takie postawienie sprawy zaintrygowało Bendera. Jak każdy, lubił, kiedy określano go mianem niezastąpionego geniusza, poza tym usłyszał w głosie Halla niezwykłą determinację oraz szczerą znamionującą porządnego człowieka. Hall wyjaśnił od razu, że małego wydziału policji w Manlius nie stać na zapłacenie choćby jednego centa z półtora tysiąca dolarów, których Bender życzył sobie zazwyczaj za wykonanie popiersia. Mimo to rzeźbiarz wiedział już, że podejmie decyzję, która zapewne nie spodoba się jego żonie. Mieli kłopoty finansowe, ale idea pracy pro publico

388

bono wpisywała się w żywione przez niego przekonanie o prymacie sztuki i sprawiedliwości nad pieniędzmi.

— Opowiedz mi o sprawie, a ja zobaczę, co da się zrobić.

W lesie ciągnącym się wzdłuż pewnej farmy w Manlius znaleziono w płytkim grobie resztki szkieletu. Początkowo sądzono, że są to szczątki farmera pochowanego w XIX wieku albo nawet żołnierza z czasów wojny o niepodległość, dopiero dokładniejsze badanie wykazało, że ciało pochowano znacznie później, mniej więcej przed dwudziestu laty. Roztrzaskana czaszka wskazywała niezbicie, że doszło do morderstwa. Zwłoki należały do młodej kobiety. Podejrzewano, że mogła paść ofiarą osławionego seryjnego mordercy Arthura Shawcrossa z Rochester, który w latach 1988—1990 zabił i okaleczył dwadzieścia prostytutek. Rządy terroru Mordercy znad Rzeki Genesee sprawiły, że wszystkie dziwki z miasta uciekły w panice do oddalonego o sto pięćdziesiąt kilometrów Syracuse.

Policja nie dysponowała żadnymi dodatkowymi informacjami. Gdyby Bender zdołał zrekonstruować czaszkę, policja mogłaby ustalić tożsamość ofiary i dzięki temu rozpocząć poszukiwania mordercy, wyjaśnił Hall.

— A mógłbyś mi przesłać tę czaszkę? — spytał Bender.

— Właśnie w tym cały problem — wyznał Hall.

Z czaszki niewiele zostało, jedynie kilka kości otaczających twarz, układających się w kształt litery U. Brakowało części twarzowej. Czaszka przypominała pączek z dziurką — i to taki, który składa się głównie z dziurki.

— Przyślij mi to, co masz — powiedział Bender.

Kiedy zobaczył zdjęcie czerepu, pomyślał: „To niewykonalne”. W jaki sposób miał odtworzyć wygląd twarzy bez szczęki, kości nosowych i jarzmowych? Ponieważ nie chciał się od razu poddawać, zasięgnął rady antropologa z Instytutu Smithsona w Waszyngtonie, a później jeszcze innego eksperta z Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych. Wszyscy powiedzieli to samo: nie ma szans, nikt temu nie podoła. „Nawet nie próbuj”, mówili, „bo wyjdiesz na głupca albo człowieka, którego zaślepiła pycha, a przy okazji narazisz na pośmiewisko całą profesję specjalistów od rekonstrukcji twarzy”.

— Nie da rady — poinformował Halla Bender.

389

Młody śledczy nie zamierzał przyjąć do wiadomości takiej odpowiedzi.

— Wiem, że potrafisz to zrobić, Frank.

— No dobra — zgodził się w końcu Bender. — Podejmuję się zadania, ale o honorarium poproszę tylko wtedy, gdy uda ci się zidentyfikować ciało.

Hall z radością przystał na tę propozycję.

9 listopada 2000 roku Keith Hall, przysadzisty, jasnowłosy dwudziestopięcioletni oficer śledczy przybył na spotkanie Towarzystwa Vidocqa. Gdy wszedł na mównicę, nad jego głową rozbłysło rzucone na ekran zdjęcie „Czaszki bez twarzy”. Bender uśmiechał się promiennie do Halla. Bystry, otwarty, rzeczowy policjant w kontakcie osobistym zrobił na nim jeszcze lepsze wrażenie niż przez telefon.

Walter westchnął.

— Do licha, Frank, co ty sobie wyobrażasz? — syknął do siedzącego obok rzeźbiarza. — Znów ci się wydaje, że szósty zmysł jest ważniejszy od rozumu?

Bender zignorował pytanie i siedział w milczeniu z lekko nieobecny uśmiechem na twarzy. Uwielbiał wyzwania, a to wyglądało na największe ze wszystkich. Przyglądając się fotografii, miał poczucie, jakby po jego ciele krążył swobodny ładunek elektryczny szukający uziemienia — bezimienna kobieta go przyzywała. Bender żył dla takich chwil.

— Moim zdaniem nawet najbardziej szalona próba jest lepsza od siedzenia z założonymi rękami — powiedział w końcu.

— Bądź szczery, Frank. Znowu bawisz się w Boga?

Bender wyszczerzył zęby.

— Zapomniałem ci o czymś powiedzieć, Rich. Manlius zwróciło się o pomoc do FBI, ale agencja odmówiła. Powiedzieli, że nie mają wystarczających danych, aby sporządzić profil psychologiczny sprawcy. Uznali, że to niewykonalne.

— Hmm... — mruknął Walter, unosząc lewą brew. W jego oczach pojawił się błysk. Spojrzał ponownie na zdjęcie, następnie wrócił do lektury policyjnego raportu. Poza twarzoczaszką brakowało praktycznie całej lewej strony szkieletu: ręki i dłoni, kości miednicowej, nogi i stopy. Walter

390
musiał przyznać, że nawet on rzadko miał do czynienia z równie tajemniczymi sprawami. Kto wie, pomyślał, być może stworzenie profilu psychologicznego mordercy na podstawie kilku kości znalezionych wiele lat po popełnieniu morderstwa byłoby ciekawym wyzwaniem. Być może sprawiłoby mu to przyjemność.

— Ten las znakomicie nadawał się do ukrycia ciała — opowiadał Hall. Zwłoki zostały pogrzebane płytko między drzewami porastającymi skraj niezamieszkaną farmy pod Manlius, najbogatszym miasteczkiem hrab-

stwa Onondaga, „sypialnią” Syracuse. Malowniczą okolicę pokrytą pagórkami, pastwiskami, lasami i jeziorami zamieszkiwało trzydzieści jeden tysięcy ludzi. Miasto — nazwane na cześć Marcusa Manliusu Capitolinusa, konsula Rzymu w 390 roku p.n.e. — składało się z trzech mniejszych wiosek. Jedną z nich, Fayetteville, szczyciła się tym, że za młodu mieszkał w niej prezydent Grover Cleveland oraz znana sufrażystka Mathilda Joselyn Gage, w której czasopiśmie ukazywała się po raz pierwszy Chata wuja Toma (jej zięć, L. Frank Baum, autor Czarnoksiężnika z Krainy Oz, podobno właśnie na teściowej wzorował postać Złej Czarownicy z Zachodu). Pierwsze od ćwierćwiecza morderstwo było dla mieszkańców Manlius szokiem. Czyż w okolicy nie mieszkali sami porządni ludzie? Przy każdej okazji podkreślali, że ofiarą była osoba z zewnątrz, a do zbrodni doszło poza obszarem miasta. Kobieta zginęła z ręki obcego, gdzieś tam, „pod miastem”.

Ciało ukryto w lesie sześć kilometrów na wschód od Fayetteville i tyle samo od dwóch pozostałych miejscowości tworzących Manlius, na nieużytku zwanym przez mieszkańców „ziemią niczyją”. Najbliższa droga stawała się nieprzejezdna w zimie z powodu śniegu i lodu. Aby dojść do lasu, należało pokonać pole kukurydzy. Właśnie w tamtej okolicy były więźni Robert Updegrave — przybysz z zewnątrz, nie omieszkali dodać mieszkańcy, który zatrzymał się tam przejazdem — polował bez pozwolenia na jelenie sobotniego ranka 29 listopada 1997 roku.

W południe przysiadł na zwalonym drzewie i zapalił papierosa. Strzelbę położył na kolanach. W pewnej chwili zauważył między liśćmi niewielką plamkę bieli. Jak zeznał później policjantom, w pierwszej chwili

391
pomyślał, że to papieros. Kiedy jednak się nachylił i próbował go podnieść, wyczuł między palcami coś twardego — natrafił na kość, fragment ludzkiej czaszki. Updegrave odkrył grób.

Hall postawił przy grobie straż. Kiedy następnego ranka, 30 listopada, ustalono, że grób nie ma charakteru historycznego, rozpoczęto ekshumację zwłok i wszczęto śledztwo w sprawie morderstwa. Hall w pierwszej chwili uznał Updegrave'a za głównego podejrzanego. Mężczyzna nie chciał przyznać się do nielegalnego polowania i próbował wcisnąć policji bajeczkę, że do lasu trafił, szukając swojego psa. Zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z morderstwem, ale nie przekonał Halla. Były więzień pomieszkiwał w chacie na jednej z opuszczonych farm — na tyle bli-

sko, że Hall mógł ją niemal zobaczyć z lasu, w którym znaleziono grób. Czy Updegrave rzeczywiście przypadkowo natknął się na wystającą z ziemi kość? A może sam pochował tam kiedyś ofiarę, a teraz powrócił, aby raz jeszcze nacieszyć się sukcesem i zadrwić z policji?

Hall i jego ludzie przez pięć dni własnoręcznie rozkopywali grób, aż stracili czucie w przemarzniętych palcach. Znaleźli jedynie fragmenty szkieletu. Wynikało z tego, że zwłoki zostały zniszczone przez zwierzęta lub jakiegoś degenerata.

Niekompletność szczątków utrudniała identyfikację. Antropolog sądowy z Uniwersytetu Cornelia dopatrywał się wśród nich kości szopa pracza. Inny znany antropolog twierdził, że znaleziono szczątki dziecka. Dopiero doktor Anthony Falcetti z Pracowni Identyfikacji Osób im. C.A. Pounda w Gainesville na Florydzie orzekł, że szkielet należy do niewysokiej, drobnej, mniej więcej dwudziestopięcioletniej kobiety, prawdopodobnie rasy mieszanej, o wzroście około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów i wadze czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu kilogramów. Stan kości wskazywał na nieprawidłowe odżywianie w dzieciństwie. Wszystko to potwierdzało wcześniejsze przeczucie Halla, że młoda kobieta była prostytutką, a zatem być może faktycznie padła ofiarą Shawcrossa. Hall rozesłał jej opis do wszystkich baz danych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, w tym do Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wyzyskiwanych. Nie znaleziono nikogo odpowiadającego rysopisowi ofiary. Dwudziestu

392 policjantów przeczesало okolicę z wykrywaczami metalu i grabiami, obejrzalo dokładnie pobliskie drzewa w poszukiwaniu otworów po kulach oraz zebrało ptasie gniazda w nadziei, że natrafią w nich na włosy ofiary. Nie znaleziono żadnych śladów.

Hall próbował odczytać historię zamordowanej dziewczyny ze znalezionych w grobie resztek ubrania, zamka błyskawicznego i paczki mentolowych papierosów marki Virginia Slims. Ku jego rozczarowaniu niebieska pieczętka na celofanowej paczce papierosów wyblakła tak bardzo, że nawet w laboratorium nie udało się odczytać daty z banderoli. Jednak z dat produkcji ubrań — dżinsów marki Gitano w rozmiarze 28, majtek Sergio Valente w rozmiarze XS i koszulki marki Cappacino — wynikało, że kobieta żyła jeszcze 15 lipca 1986 roku, a zmarła prawdopodobnie przed kwietniem 1988 roku. Czas ten pokrywał się z okresem krwawej działalności Shawcrossa, który wypuszczony warunkowo z więzienia po odsiedze-

niu piętnastu lat za zgwałcenie i zamordowanie dziesięcioletniego chłopca oraz ośmioletniej dziewczynki, przeprowadził się do Rochester i na początku 1988 roku zaczął mordować prostytutki. Aresztowano go w styczniu 1990 roku. Profil psychologiczny mordercy wskazywał, że powinien powrócić na miejsce zbrodni, dlatego policja pozostawiła ciało jedenastej ofiary w strumieniu, w którym je znaleziono. Shawcrossa aresztowano, kiedy masturbował się w samochodzie zaparkowanym na pobliskim moście. W areszcie przyznał się do winy i pomógł w zidentyfikowaniu wszystkich jedenastu ofiar. Być może nie wspomniał o dwunastej?

Sprawa doprowadziła Halla do stanu głębokiej frustracji. Choć Updegrove wciąż figurował na liście podejrzanych, Hall nie potrafił znaleźć mocnych dowodów ani przeciwko niemu, ani komukolwiek innemu. Przesłuchał trzydzieści dziewięć osób, które mieszkały przed laty w pobliżu miejsca zbrodni. Niemal dziewięć miesięcy po odkryciu ciała poprowadził oddział złożony z policjantów z Manlius i funkcjonariuszy policji stanowej. W towarzystwie przyrodnika oraz psów wyszkolonych do znajdowania zwłok wyruszyli na poszukiwanie innych zwłok oraz legowisk zwierząt, do których mogłyby zostać zawleczone kości i przedmioty pochodzące z pierwszego grobu. Nie znaleźli nic wartościowego. Hall zwrócił się o pomoc do Jednostki Nauk Behawioralnych FBI w Quantico 393

w stanie Wirginia, ale biuro FBI uznało, że zgromadzone dane nie wystarczą do sporządzenia profilu psychologicznego. Towarzystwo Vidocq'a było dla Halla ostatnią deską ratunku.

Po zakończeniu prezentacji Fleisher podarował policjantom z Manlius ozdobne szkło powiększające symbolizujące pierwsze naukowe narzędzie detektywistyczne. Chwilę później do Halla podszedł Walter.

— Wbrew temu, co twierdzą nasi przyjaciele w FBI — powiedział — istnieje pewna szansa na stworzenie profilu psychologicznego mordercy. Ze znalezionych kości można wyciągnąć więcej wniosków, niżby to się mogło w pierwszej chwili wydawać.

Zabicie prostytutki i porzucenie jej ciała w lesie było „klasyczną, przeprowadzoną na chłodno, praktyczną zbrodnią noszącą znamiona mordercy o profilu stanowczej siły”, wyjaśnił. Walter sporządził już fragmentaryczny profil sprawcy.

Jego zdaniem spośród dziesięciu podejrzanych, których brała pod uwagę policja w Manlius, tylko Updegrove pasował do profilu. Walter zapro-

sił policjantów z Manlius do Biddle House, swojego domu w Montrose w Pensylwanii.

— Moim zdaniem mamy tu do czynienia z robotą seryjnego mordercy — oświadczył.

— Nie sądzę, aby to Updegrove był mordercą — wypalił Bender i natychmiast oblał się rumieńcem. Stał w wianuszkach policjantów otaczających Waltera i Halla. Od dłuższego czasu badał różne wątki sprawy, przygotowując się do wykonania rekonstrukcji twarzy ofiary z resztek kości. Niemniej przekonanie o niewinności Updegrove'a wynikało raczej z przecucia aniżeli z analizy dostępnych informacji.

Walter wzniósł oczy do nieba.

— Frank, cenię twoje przemyślenia, ale zajmij się raczej tym, co potrafisz najlepiej. Jak zwykle dajesz się ponieść emocjom.

Walter podziwiał niezwykle talent i intuicję kolegi, ale nie lubił, gdy Bender wkraczał ze swoimi przecuciami na obszar specjalistycznej wiedzy, dzięki której on konstruował profile psychologiczne morderców.

— Richard, jesteś znakomitym specjalistą, ale to nie znaczy, że zawsze masz rację — odparł Bender.

394

— Drogi chłopcze, twoje myślenie jest chaotyczne i całkowicie pozbawione umocowania w faktach — tłumaczył protekcyjnym głosem Walter. — Pomysły czerpiesz z seriali telewizyjnych. Nie są funta kłaków warte.

Ludzie przysłuchujący się rozmowie zachichotali. Od najsłynniejszej sprawy z udziałem Bendera i Waltera — schwytania Johna Lista — obaj zdobyli jeszcze wyższą pozycję w swoich dziedzinach. Skutecznie współpracowali ze sobą przy śledztwach, w które angażowało się Towarzystwo Vidocq'a. Choć ich prywatna i zawodowa przyjaźń zapewne nigdy nie miała się lepiej, współpraca przypominała spotkanie młota z kowadłem — im lepsze rezultaty osiągnęli, tym bardziej między nimi iskrzyło.

Bender przekonywał wszystkich dokoła, że to on, a nie Walter, wpadł na pomysł, aby uzupełnić popiersie Johna Lista o okulary w szylkretych oprawkach. Ten właśnie element wyglądu doprowadził do identyfikacji i aresztowania mordercy. Bender twierdził, że Walter przypisuje sobie cudze zasługi.

Rozdrażniony Walter uparcie przypominał przyjacielowi, że to on jako pierwszy zasugerował, że List nosi okulary w grubej oprawie, „podobne do

moich"; wyraz pragnienia władzy i dominacji. Był wszakże gotów przyznać, że to Bender postawił kropkę nad i, kiedy umieścił na nosie wyrzeźbionej twarzy parę okularów, którą znalazł w sklepie ze starociami.

„W porządku, więc pomysł był mój, a wykonanie twoje. Zapewne niektórzy uznaliby twój wkład za bardziej znaczący i godny uznania. Wiem, że myślenie w tych kategoriach sprawia ci trudność, ale mamy tu do czynienia z czymś, co się nazywa pracą zespołową, a w takich przypadkach zasługi z konieczności się dzieli”.

Fleisher promieniał niczym kapitan drużyny futbolowej obserwujący starcie swoich największych gwiazd podczas rozgrzewki przed ważnym meczem. Uważał, że sprawa Dziewczyny bez Twarzy była jedną z najtrudniejszych, jakie przedstawiono na forum Towarzystwa. Jeżeli chcieli ją rozwiązać, potrzebowali takiego właśnie zaangażowania.

Bender powrócił do swojej pracowni na South Street w Filadelfii, a Walter do rezydencji w pensylwańskich górach. Było jasne, że obaj natychmiast zabiorą się do pracy i zaczną wymieniać się spostrzeżeniami.

395

Żadna inna para nie potrafiła współpracować z równą intensywnością i produktywnością.

— Myślę, że Richard wpadł na dobry trop, z kolei nikt nie widzi lepiej twarzy zmarłych niż Frank — oświadczył Fleisher. — Nie dysponujemy wieloma informacjami na temat tego morderstwa, ale jeżeli ktokolwiek potrafi rozwikłać jego zagadkę, to właśnie nasi przyjaciele.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Pytanie brzmi: do kogo tym razem przemówią kości?

Rozebrany do pasa Bender ożywał w swojej pracowni umarłych, korzystając z tajemnych mocy, które budziły grozę w ludziach uważających go za aroganckiego doktora Fausta. Ludzie ci nie zdawali sobie sprawy z ogromnej pokory, z którą Bender podchodził do swoich obowiązków. Z chwilą rozpoczęcia pracy nad glinianą głową wyzbywał się wszelkiej małostkowości, zapominał o ramach czasoprzestrzennych i pogrążał się całkowicie „w nurcie natury. Zaczynasz od oka, nosa i ust; pozwalasz, by wszystkie unosiły się na powierzchni. Czy piękne, czy szkaradne, nasze rysy stworzono w taki sposób, by ze sobą harmonizowały”.

Taka metoda pracy nie mogła przynieść efektu w przypadku Dziewczyny bez Twarzy — pozbawionej nosa, ust, oczu, policzków i podbródka. Bender zadzwonił do Halla i ponownie podzielił się obawami: „To niewy-

konalne". Po trzech dniach rozmyślań wciąż nie wiedział, czym wypełnić pustkę ziejącą pośrodku twarzy dziewczyny.

Sfrustrowany wrócił do pracy nad wykonywaną na specjalne zamówienie rzeźbą zatytułowaną Odgrzebani. Przedstawiała osiemnastowiecznych niewolników — mężczyznę i dwie kobiety — których czaszki ekshumowano z odnalezionego przypadkowo w Nowym Jorku cmentarzyska Afrykanów. Pracując z jedną z czaszek, zauważył, że kość klinowa w części tworzącej oczodół miała niemal identyczną szerokość jak kości nosowe. U Dziewczyny bez Twarzy kość klinowa się zachowała, a ponieważ miała być w jakiejś części Afroamerykanką... Czyżby znalazł sposób określenia wielkości jamy nosowej? Zadzwoił do antropologa z Uniwersytetu Harvarda, który uczestniczył w projekcie Odgrzebani. Profesor wykonał szereg pomiarów innych czaszek i powiedział: „Wydaje mi się, że masz rację”.

396

Bender rozpoczął zatem pracę nad Dziewczyną bez Twarzy od nosa.

Uzyskał szeroką twarz o jasnobrązowym kolorze, z łagodnymi, brązowymi oczami. Kości zdawały się podpowiadać, że ofiara nie była typową, zobojętniałą prostytutką, ale osobą serdeczną, przytłoczoną problemami tego świata. Zgadywał, ale coś mu mówiło, że się nie myli. „Czuję, że tak właśnie było”.

Nieoznakowany policyjny sedan wyjechał z Manlius w stanie Nowy Jork i udał się na południe autostradą 1-81 w stronę wzgórz i dolin Pensylwanii. Musiał pokonać ponure kłębowisko krętych dróg, biegnących przez lasy i wspinających się na strome wapienne wzgórza, między którymi płynęły kamieniste potoki. Po przejechaniu stu pięćdziesięciu kilometrów zjechał w południe przed Biddle House. Drzwi otworzył sam Richard Walter. Wprowadził gości do salonu i usadził w dziewiętnastowiecznych fotelach. Rozłożyli akta sprawy na zabytkowym stoliku z drewna czereśniowego. Zaproponował kawę lub herbatę.

— A może ktoś ma ochotę na ciasteczka? Własnej roboty, pieguski i imbirowe na prawdziwym maśle wyrabianym w tradycyjny sposób. Bez chemicznych ulepszcaczy. Piekę według znakomitych przepisów.

Pułkownik Kevin Barry i dwaj funkcjonariusze oświadczyli, że chętnie się poczęstują. Walter przyniósł dzbanek dymiącej kawy i zapalił papierosa.

— Tak się składa, że na świecie jest tylko pięciu profilerów, którzy naprawdę mają pojęcie, jak się je robi. Cała reszta to banda pieprzonych szar-

łatanów i oszustów.

Policjanci wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Profilerzy rzeczywiście nie cieszyli się najlepszą reputacją w niektórych kręgach.

— Prawdę mówiąc, wolę określenie analiza zbrodni niż profil psychologiczny — ciągnął Walter. — Z powodu tych wszystkich seriali telewizyjnych i amatorskich analiz w wieczornych serwisach informacyjnych ludzie nabrali przekonania, że profilerzy są czarodziejami, którzy raz na jakiś czas wyłażą ze swoich samotni i snują fantastyczne wizje lub wydają z siebie dzikie pomruki. W tym domu nie możecie na to liczyć. Ci oszuści czytają nasze opracowania i wypowiadają później wyjęte z kontekstu

397
przewidywania w rodzaju: „Morderca jeździ niebieskim samochodem i nienawidzi kobiet”. A przecież o coś innego w tym wszystkim chodzi. Podobnie jak w przypadku każdej dziedziny specjalistycznej wiedzy, opracowywanie profili psychologicznych wymaga ciężkiej pracy. Ekspert musi dysponować materiałem porównawczym zdobywanym przez lata, doświadczeniem w podobnych sprawach oraz umiejętnością organizowania dostępnych informacji zarówno w perspektywie psychologicznej, jak i kryminalistycznej.

Walter odchylił głowę i wydmuchnął dym papierosowy w stronę sufitu.

— Panowie, pozwólcie, że opiszę wam tę sprawę w kategoriach analizy zbrodni.

Wiele, jego zdaniem, wskazywało na to, że ofiara była prostytutką, między innymi fakt ukrycia jej zwłok w odludnym miejscu. Mordercy powodowani pragnieniem dominacji uwielbiają zabijać prostytutki, a kiedy pozbywają się ciała, czynią to w taki sposób, jakby wyrzucali śmieci. Ten typ mordercy zazwyczaj zadaje ofierze cios w głowę, decyduje się na bezpośredni atak. W tym wypadku czaszka ofiary została roztrzaskana, co prawdopodobnie doprowadziło do zgonu. Istotną wskazówką była również połowa zamka błyskawicznego znaleziona w górnej części grobu. „W morderstwach popełnianych przez ten typ osobowościowy”, mówił Walter, „sprawca często w gwałtowny sposób zdziera z ofiary ubranie”. Z policyjnego raportu wynikało, że cztery ząbki eklera były wyłamane. Keith Hall zadał sobie trud, aby przesłuchać producenta takich zamków i dowiedział się, że uszkodzenie zostało zapewne spowodowane przez suwak, który ześliznął się z ząbków podczas siłowego rozsuwania zamka.

— Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, morderca miał prawdopo-

dobnie około dwudziestu pięciu lat, był wcześniej karany. Typ muskularny, lubiący podnoszenie ciężarów, macho, ubogi emocjonalnie, arogantki. Jeździ furgonetką i kupuje świerszczyki.

— Tak się składa — ciągnął — że do tego profilu pasuje Updegrove. Nie mówię, że on jest mordercą, ale był to ktoś w jego typie: lubiący wymachiwać bronią palną były kryminalista.

Rozdział 51

Aniołowie od morderców

Kobiety z otoczenia zamożnego, siedemdziesięcioletniego biznesmena z Alabamy miały dziwny zwyczaj przepadania bez wieści, dlatego kiedy zadzwonił na policję z informacją o zaginięciu drugiej żony, od razu uznano go za podejrzanego. Trzydzieści lat wcześniej zamordował teściową — najpierw ją udusił, a następnie zadał trzydzieści siedem ciosów szpikulcem do lodu — po czym wrócił do domu i oświadczył pierwszej żonie: „Nasze życie całkowicie się zmieni. Zabiłem twoją matkę”. Odsiedział za ledwie trzynaście miesięcy, po czym został ułaskawiony przez gubernatora Kentucky.

— To się nadaje do Księgi perwersyjnych cytatów — stwierdził Walter. Z zainteresowaniem słuchał prezentacji przygotowanej dla Towarzystwa Vidocqą przez policjantów z Alabamy. Sprawa miała numer 112 i została przedstawiona na lunchu w sierpniu 2002 roku. Walter przeczuwał, że podejrzanym jest, niestety, bogatym, błyskotliwym psychopata, zbyt doświadczonym i przebiegłym, aby się dać złapać policji. Niemniej jednak tego popołudnia bardziej zaniepokoiła go posępna mina przyjaciela. W czerwcu 2002 roku Bender pochował osiemdziesięciodziewięcioletnią matkę, Sarah. Kiedy przed laty zmarł jego ojciec, Francis A. Bender, Frank wziął udział w sekcji jego zwłok. Ujął wtedy w dłonie serce Francisca, aby po raz ostatni spróbować go zrozumieć i ostatecznie się z nim pogodzić. Walter miał wrażenie, jakby Frank trzymał teraz w dłoniach serce matki.

399

Tamtego lata Bender zaczął dostrzegać w swoim życiu cień rzucany przez jakiś inny wymiar rzeczywistości. Razem z Walterem poleciał do Chicago, gdzie w hotelu Hilton ogłosili wspólnie wykład zatytułowany Analiza spraw karnych w ramach programu szkoleniowego Narodowego Urzędu Więziennictwa. Po wykładzie podeszły do nich dwie zakonnice, które pełniły posługę w więzieniach.

— Jesteście aniołami dobroci — chwaliły ich, uśmiechając się od ucha

do ucha.

— Raczej aniołami od morderców — stwierdził Bender.

Walter był zaskoczony. Uważał, że gdyby Bóg rzeczywiście stworzył świat, nie przewidziałby w nim miejsca dla seryjnego mordercy Theodore'a Bundy'ego, ale trzymał język za zębami i wymamrotał uprzejme podziękowanie. Ta myśl napawała go niepokojem, ale musiał przyznać, że aniołowie rzeczywiście wydawali się nad nim czuwać.

Na Boże Narodzenie dostał nietypowy prezent — anioła wygrawanego w kryształach — od młodych małżonków z Pensylwanii. Od dłuższego czasu w ich życiu dominowały żal, gniew i niepewność wynikające z niewyjaśnionego morderstwa brata kobiety. Poznał ich na zjeździe Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci. Współczuł im z całego serca, podobnie jak wszyscy uczestnicy zjazdu. Ludzie ci nazywali go — aż wstyd się przyznać — aniołem zemsty.

Pogrążonym w żałobie uczestnikom sympozjum oferował nie tylko zemstę, ale również szansę powrotu do zdrowia psychicznego i fizycznego. Jako przedstawiciel Towarzystwa Vidocq'a zaproponował, że porozmawia z nimi o sprawach, o których nikt nie miał odwagi z nimi rozmawiać, a następnie za pomocą miecza lub kojących słów — cokolwiek okaże się skuteczniejsze — pomoże im pokonać demony. „Ich udręka ma źródło wyłącznie w umyśle. Albo w ich własnym, albo w umyśle człowieka, który zamordował im dziecko. Aby pokonać ból, trzeba otwarcie porozmawiać o tych mrocznych sprawach”, twierdził. Czy można było sobie wyobrazić lepszego kandydata do tego zadania?

Tylko na zjazdach Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci można wejść do sali konferencyjnej i zastać w środku pięćdziesiąt matek, którym zamordowano potomstwo. Tego dnia zebrały się 400

w hotelu Cincinnati Westin, aby wysłuchać odczytu o typach morderców. Poważne twarze zwróciły się w stronę szczupłego, łysiejącego mężczyzny w okularach i niebieskim garniturze, który chwilę wcześniej przemknął korytarzem niczym błyskawica

Wykład rozpoczął od zadanego wesołym tonem pytania.

— Która z was nigdy wcześniej nie słyszała mojej pogadanki?

Kilka kobiet podniosło ręce.

— Kłamczuchy! — zawołał. Sala zatrzęsa się od śmiechu.

Podszedł do kobiety siedzącej w pierwszym rzędzie i podsunął jej pod

nos mały kosz na śmieci.

— Moja droga, jeżeli zamierza pani zjeść tego karmelka, proszę go wyjąć z folii i od razu włożyć do ust — powiedział. — Szelest plastiku umożliwia mi zebranie myśli.

Słuchaczki ponownie się zaśmiały. Uwielbiały go. Bluźnierczego, uprzejmego, śmierdzącego papierosami i miotającego przekleństwami. Po wykładzie matki zachodziły kolejno do małej hotelowej palarni na prywatne spotkania z Walterem i chmurą mentolowego dymu. Podczas dziesięciminutowych spowiedzi opisywały w skrócie okoliczności śmierci swoich dzieci i odpowiadały na pytania detektywa. Czy ciało spoczywało twarzą do ziemi, czy na plecach? Czy znaleziono przy nim nóż? Każda z kobiet odchodziła wyraźnie uspokojona; na znękanych twarzach gościło poczucie ulgi. „Wyłumaczył mi, dlaczego mój Brian zginął. Teraz mogę się z nim wreszcie pożegnać”, powiedziała pewna Azjatka, opuszczając ten nietypowy konfesjonał.

Walter miał analityczny umysł i współczujące serce, dzięki czemu potrafił wyjaśnić rodzicom — na ile to oczywiście było możliwe — w jaki sposób i dlaczego jądro ciemności pochłonęło ich dzieci. Pomagał im w bolesnym procesie godzenia się z istnieniem zła. Dostrzegał wzory i siły przyczynowe, które uchodziły uwagi innych. Jeden z dziennikarzy nazwał Waltera Stephenem Hawkingiem wszechświata potępionych.

Bob Meyer, emerytowany lekarz z Tamy, oraz jego żona Sherry — ludzie doprowadzeni na kraniec wytrzymałości psychicznej — opowiedzieli Walterowi o bezsensownym, potwornym morderstwie, którego ofiarą padła ich córka, Sherry-Ann Brannon, uroczą trzydziestopięcioletnią

401

blondynka, oraz jej dzieci, siedmioletnia Shelby i czteroletnia Cassidy. Do tragedii doszło w nowym, okazałym domu z basenem w hrabstwie Manatee na Florydzie. Policja nie znalazła śladów włamania. Meyer uważał, że mordercą jest Dewey Brannon, który niewiele wcześniej zostawił ich córkę dla innej kobiety (cały czas toczyło się nieprzyjemne postępowanie rozwodowe).

Policja także uznała Brannona za głównego podejrzanego. Najbardziej intensywne śledztwo w historii hrabstwa trwało sześć tygodni i wykazało, że to Brannon — któremu Sherry-Ann nie pozwoliła odwiedzić córek w Dniu Ojca — zadzwonił na numer alarmowy rankiem 16 września 1999 roku. Dyspozytorce powiedział, że znalazł ciało żony i starszej córki.

W pierwszej chwili sądził, że matka zabiła starszą córkę, po czym sama popełniła samobójstwo, ale chwilę później zauważył, że Cassidy również jest ciężko ranna. Dzwonił, tuląc w ramionach czterolatkę konającą od licznych ran zadanych nożem.

— Wszystko będzie OK, proszę pana — próbowała go uspokoić dyspozytorka.

— Co niby ma być OK? — krzyknął. — Dwie osoby zginęły przeze mnie, rozumiesz? Przyślij tu kogoś jak najszybciej.

Gazety napisały, że właśnie te dwa słowa — krótkie „przeze mnie” — utwierdziły całe hrabstwo w przekonaniu o winie Brannona.

Kiedy policja otrzymała wyniki badań laboratoryjnych, okazało się, że wszystkie materialne ślady zebrane na miejscu zbrodni wskazują na Larryego Parksa, czterdziestosiemioletniego robotnika, który budował właśnie w ogrodzie basen. Kawałek naskórka znaleziony pod paznokciem Sherry-Ann zawierał jego DNA. Mężczyzna zeznał, że tamtego ranka zapukał do drzwi Sherry-Ann, „potwornie najarany” kokainą i metamfetaminą. Przez całą noc polował na dziki, które zamierzał sprzedać, a za uzyskane pieniądze kupić więcej narkotyków. Ponieważ nie udało mu się żadnego ustrzelić, wpadł na pomysł obrabowania domu Sherry-Ann. Zmyślił historijkę, że zepsuła mu się furgonetka, i w ten sposób zdołał wejść do środka. Kobieta stawiała opór, więc zadał jej dziesięć albo i więcej ciosów nożem kuchennym, wszedł na piętro do pokoju Shelby, zabił ją, po czym zaciągnął Cassidy schodami na parter i ją również zadźgał na 402

oczach konającej matki. Parks przyznał się do winy, dzięki czemu miał zostać skazany na trzykrotne dożywocie, a nie karę śmierci.

Bob Meyer powiedział Walterowi, że postępowanie przeciwko Parksovi doprowadziło całą rodzinę na skraj załamania nerwowego. Chciał, aby mężczyzna zapłacił za morderstwo własnym życiem. Sherry próbowała nawet wejść na salę sądową z pistoletem w torebce (rodzice zamordowanych dzieci często podejmują próby samodzielnego wymierzania sprawiedliwości). Oczyszczony z zarzutów zięć rzucił się przez drewnianą balustradę, chcąc zabić Parksa. Kiedy szeryfowie federalni skuli go i wyprowadzili z sali, Sherry krzyknęła w stronę sędziego i Parksa: „Ten człowiek zamordował nasze dzieci!”.

Mimo kipiącego w nim gniewu Bob Meyer nie wiedział, co myśleć

o całej sprawie. Nadal podejrzewał zięcia. Twierdził, że zależy mu już tyl-

ko na prawdzie. Dlaczego człowiek potrafi dopuścić się tak strasznego czynu? Jeśli rzeczywiście sprawcą był Parks, co nim powodowało? A jeśli jego zięć, to dlaczego? Meyer liczył na pomoc Waltera. Profiler przestudiował akta sprawy, następnie na prośbę Boba poleciał do Tamy i wysłuchał trwającego sześćdziesiąt siedem minut zeznania, w którym Parks przyznał się do winy w obecności sześciu prawników i funkcjonariuszy policji. Walter powiedział później Meyerowi, że morderstwo w najdrobniejszych szczegółach pasowało do przeszłości, osobowości i charakteru Larryego Parksa. To on „bez żadnych wątpliwości był mordercą; jedynym mordercą. To najczystszy przypadek mordercy o profilu stanowczej siły, z jakim się spotkałem”.

Meyerowie próbowali powoli poukładać sobie od nowa życie, niemniej Walter wciąż się o nich niepokoił. Sherry straciła zamiłowanie do muzyki i gotowania, które niegdyś uwielbiała. Chudła i sprawiała wrażenie coraz słabszej. Bob twierdził, że żał po śmierci córki i wnuczek dosłownie ją zabija. Walter ponownie udał się na Florydę, wszedł do domu Meyerów i zażyczył sobie słynnego ciasta mandarynkowego Sherry. Kobieta powiedziała, że nie ma ochoty na pieczenie. „Chcę dostać to ciasto, i to już!”, zażądał. Nie miała w domu mandarynek, a wszystkie sklepy były zamknięte. Wsiadli do samochodu i jeździli po okolicznych miasteczkach, aż wreszcie Walter wypatrzył drzewo mandarynkowe za jakimś barem. Owoce wisały

403
zbyt wysoko. Niczym szkolne urwisy, zdobyli skądś drabinę i narzynali mandarynek. Ciasto udało się znakomicie. Kiedy później tamtego wieczoru raczyli się szkołką, Bob wyznał, że nawiedzają go sny, w których mści się na Parksie; jego opowieść budziła skojarzenia z obyczajami panującymi w starożytnych Atenach.

— Nigdy się do tego publicznie nie przyznam, ale życzę mu, żeby oślepl — oświadczył Meyer. — Chciałbym, żeby Parks do końca życia, które spędzi w więzieniu, nie wiedział, co go za chwilę spotka.

— Tego rodzaju pragnienia to częste zjawisko — odparł Walter. — Ale od czasów starożytnych Greków przyjęto zasadę, że można je wyrażać tylko w specjalnych okolicznościach: w sądach, wobec krewnych lub przyjaciół, przed bogiem. Później trzeba na nowo odnaleźć się w świecie. Od Meyerów wyjechał ze świadomością, że czeka ich jeszcze długa droga.

Morderstwo zrujnowało również życie Joy i Briana Kosiskich. Brat Joy

został zamordowany w Greenville w Pensylwanii. To właśnie oni, w podzięk za pomoc w zrozumieniu zbrodni, wysłali Walterowi na Boże Narodzenie kryształowy obelisk, wewnątrz którego w promieniach słońca widać było eteryczne, wytrawione kwasem kontury anioła.

— Kwasowy anioł — zadumał się. — To nawet ładne.

Kwasowy anioł, spowity kłębam dymu papierosowego, spoczywał w pokoju hotelowym w Chicago. Poprzedniego dnia Walter i Bender wygłosili razem wykład, a teraz przed profilerem siedziało dwóch policjantów z Urbany, miasta położonego na południu stanu Illinois. Poprzedniej wiosny, 15 marca 2001 roku, zaprezentowali przed Towarzystwem Vido-cą jedną z najgłośniejszych i najbardziej zagadkowych nierozwiązanych spraw w historii stanu. W 1988 roku zamordowano Marię Caleel, zamożną i lubianą studentkę weterynarii Uniwersytetu w Illinois. Trwające od czternastu lat śledztwo było dla policji z Urbany wyłącznie źródłem frustracji i wstydu.

Podczas lunchu policjanci wysłuchali interpretacji Waltera, następnie wysłali mu akta sprawy, w końcu przejechali 225 kilometrów z Champaign-Urbana do Chicago, aby spotkać się z profilerem i poznać jego dalsze przemyślenia.

404

— Panowie, pozwólcie, że wyjaśnię wam okoliczności morderstwa — powiedział Walter z niewesołym uśmiechem.

W ciągu czternastu lat akta śledztwa rozrosły się do tysiąca sześćdziesięciu stron. Na listę podejrzanych trafiło czterdzieści osób, ale nikogo nie aresztowano.

— Przeczytałem całość na komputerze, więc nie mogłem notować uwag przy stosownych fragmentach — powiedział Walter. — Mimo to wyeliminowałem trzydziestu dziewięciu z czterdziestu podejrzanych. Nie ma wątpliwości, kto jest mordercą. Człowiek ów przez te wszystkie lata skutecznie trzymał się w cieniu.

— Wiemy, że zbrodnię popełnił jakiś znajomy Marii — ciągnął. — W nocy 6 marca 1988 roku Caleel spała w swoim mieszkaniu w Urbanie. Mniej więcej o trzeciej napastnik zapukał do drzwi albo po prostu wszedł do środka, otwierając je kluczem. Zaatakował w ciemności. Złapał ją od tyłu, wbił piętnastocentymetrowe ostrze noża prosto w serce, po czym uciekł. Caleel, wykrwawiając się na śmierć, doczołgała się do mieszkania po drugiej stronie korytarza. Mieszkająca tam studentka zadzwoniła na-

tychmiast na policję. „Kto ci to zrobił?”, spytała. „Nie mogę uwierzyć. Po prostu nie mogę uwierzyć”, odparła Caleel. Były to jej ostatnie słowa. Nie zdążyła powiedzieć, kto ją zamordował.

Śmierć atrakcyjnej, inteligentnej, utalentowanej dwudziestoletniej studentki weterynarii odbiła się szerokim echem w ogólnokrajowych mediach. Jej przyjaciele opowiadali, że co prawda rodzina Marii obracała się w wyższych sferach, ale nikt z nich nie wiedział, że dziewczyna jest bogata. Maria rozpoczęła studia na Uniwersytecie Browna w wieku szesnastu lat, ukończyła tam biologię, po czym została wyróżniającą się studentką na niezwykle trudnym kierunku, którym była weterynaria na Uniwersytecie w Illinois. Kochała zwierzęta. W przeddzień morderstwa rano jeździła na swoim koniu Tristianie, a później próbowała uratować życie przedwcześnie urodzonego źrebaka.

Walter opowiadał później, że morderstwo wprawiło policję w stan całkowitego osłupienia. Wydawało się zupełnie pozbawione sensu. Nie znaleziono śladów włamania, z mieszkania nic nie ukradziono, napastnik nie próbował wykorzystać seksualnie ofiary. Dziewczyna cieszyła się

405 powszechną sympatią i nie miała wrogów. O pomoc poproszono FBI. Bez rezultatu. Rodzice Marii, znany chicagowski lekarz Richard Caleel oraz była modelka Annette, wynajęli prywatnych detektywów i wyznaczyli pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody za ujęcie sprawcy.

Mijały lata, sprawa tkwiła w martwym punkcie, tymczasem Caleelowie robili wszystko, aby ich córka nie została zapomniana. Przeznaczyli sporą sumę pieniędzy na stworzenie funduszu jej imienia oraz stypendia i wyróżnienia dla młodzieży z całego kraju — nagrodę imienia Marii Caleel za osiągnięcia w dziennikarstwie na Uniwersytecie Missouri czy dla najlepszego studenta biologii na Uniwersytecie Browna; przyznawali granty na badania nad końmi, urządzali konferencje imienia Marii Caleel na temat przemocy wobec kobiet i zawody jeździeckie imienia Marii Caleel, fundowali puchar polo imienia Marii Caleel w Oak Brook Polo Club.

W końcu zwrócili się o pomoc do przyjaciółki domu Lynn Abraham, szanowanej prokurator okręgowej z Filadelfii i członkini Towarzystwa Vidocq. Lynn poradziła, aby zaprezentowali sprawę przed Towarzystwem. Walterowi zdarzało się wcześniej pokpiwać ze śledczych z Illinois (wtrącał zdania typu: „W pełni szanuję wasze konstytucyjne prawo do błędu, ale...”), teraz jednak przemawiał spokojnym głosem, charakteryzu-

jąc rzeczowo mordercę. Był nim dobry znajomy Marii ze studiów, w którym za sprawą dość niewinnego flirtu wzbudziła psychopatyczny gniew. Miejsce zbrodni wskazywało wyraźnie, że morderstwo — mające na celu naprawienie rzekomego zła — zostało przeprowadzone metodycznie, jakby ktoś wyrzucał śmieci. Precyzja, z jaką morderca zadał cios, nie powinna dziwić, biorąc pod uwagę jego obeznanie z anatomią zwierząt. Walter tłumaczył, że człowiek ów pałał do ofiary mizoginiczną nienawiścią i „rozumował w następujący sposób: nie zdawałem sobie sprawy, co to za wstrętna, odrażająca dziwka, ale ponieważ jestem za nią odpowiedzialny, muszę naprawić jej błędy. Dlatego właśnie zabił. Skoro wykluczyliśmy z grona podejrzanych wszystkich poza jedną osobą, czy możliwe będzie wpisanie zbrodni w szerszy kontekst zachowania mordercy? Oczywiście, ponieważ człowiek ten postępuje w sposób podręcznikowy". Początkowo sceptyczni policjanci z coraz większym entuzjazmem słuchali Waltera i w końcu nie mogli wyjść z podziwu dla analizy wpływającej

406

zza kłębow mentolowego dymu. Zgodzili się, że śledztwo powinno zostać zawężone do wskazanego przez Waltera mężczyzny, obecnie szanowanego obywatela, męża i ojca. Udowodnienie mu winy nie będzie łatwe, ale Towarzystwo Vidocqa obiecało pomoc na każdym etapie dochodzenia.

— Policjanci byli zadowoleni z twojej analizy? — spytał później Fleisher, kiedy Walter zadzwonił, aby zdać relację ze spotkania.

Szczupły mężczyzna wybuchnął śmiechem.

— O, tak. Są zadowoleni jak zboczeniec, któremu wyrósł drugi kutas. Podczas gdy Walter zajmował się sprawą morderstwa z Illinois, dwóch najstarszych członków Towarzystwa Vidocqa zajechało w niedzielny wieczór pod hotel w Cincinnati w stanie Ohio. Zdążyli w sam raz na kolację. Bill Kelly i Joe McGillen wyjechali z Filadelfii zaraz po porannej mszy. Podczas dziewięciogodzinnej podróży prowadzili dużego amerykańskiego sedana na zmianę z Tomem Augustineem, oficerem śledczym z wydziału zabójstw. Czas nie obszedł się najlepiej z weteranami Towarzystwa Vidocqa. Sam Weinstein, który wraz z Kellym i McGillenem pracował nad sprawą Chłopca w Pudełku, przebywał akurat w Izraelu, gdzie wykonywał jakieś zlecenie dla Sił Obronnych. McGillen został wdowcem. On, który przez całą karierę zawodową ścigał groźnych morderców, bał się latać samolotem, dlatego właśnie niemal tysiąckilometrową trasę musiał pokonać samochodem. Kelly przez całą podróż modlił się w myślach o prze-

łom w trwającym od pół wieku śledztwie. Podejrzewał, że jego czas na ziemi również dobiega końca. Weekend spędzony na rekolekcjach w seminarium św. Józefa pozwolił mu odzyskać równowagę wewnętrzną. Od roku błagał Boga o pomoc, ale bez rezultatu. Poprosił jedną z zakonnice, by wraz z nim modliła się w tej sprawie. Odparła, że czyni to już od jakiegoś czasu, po czym wypowiedziała słowa, które nie dawały mu odtąd spokoju: „A może Bóg po prostu ci odmówił”.

Następnego ranka siedzieli nienaturalnie wyprostowani w gabinecie psychiatry, wysokiego mężczyzny o falujących, siwych włosach. Dla każdego była to pierwsza wizyta w takim miejscu. Wcześniej w samochodzie Kelly naśmiewał się z McGillena: „Powinieneś mu opowiedzieć o strachu przed lataniem”. Uzgodnili z lekarzem reguły, według których miała

407
przebiegać dalsza część wizyty, po czym zostali wprowadzeni do innego pokoju i przedstawieni kobiecie w średnim wieku, do której mieli zwracać się per „Mary”. Mary była wysoką, elegancką damą o nietypowo szerokich ramionach i inteligentnym spojrzeniu. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, a jednocześnie jakby nieobecnej. Zażądała, aby jej tożsamość pozostała tajemnicą. Pełniła funkcję kierowniczą w jednej z największych firm farmaceutycznych na świecie. Pracownicy „nie mogą się o niczym dowiedzieć”, zastrzegła. Starzy policjanci skinęli głowami, przystając na jej warunki. Kobieta wzięła głęboki oddech.

— Mój Boże, ależ to jest trudne — powiedziała.

Dwa lata po tym, kiedy jej psychiatra po raz pierwszy skontaktował się z policją, oraz pół wieku po traumatycznych wydarzeniach z dzieciństwa, Mary w końcu postanowiła opowiedzieć o morderstwie swojego brata Jonathana, Chłopca w Pudełku.

— Nikt obcy nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, co działo się w naszym domu... Rodzice nie mieli normalnych potrzeb seksualnych. Ojciec mnie molestował... Matka nie tylko po cichu na to przyzwalała, jak to się często dzieje, ale reagowała na te jego zachowania entuzjastycznie, a czasami nawet sama się przyłączała. W zamian za to pozwalała jej realizować potrzebę obcowania z małymi chłopcami. Wolą ich od dorosłych partnerów, ponieważ wydawali jej się niewinniejsi... Pewnej nocy w naszym życiu zjawił się mały chłopiec...

Mary zapamiętała, że była to gorący sierpniowy wieczór.

— Miałam trzynaście lat, kiedy pojechałam po niego z matką samo-

chodem.

Wstrząśnięty Kelly schylił głowę i zaczął coś pisać w notatniku.

Kelly i McGillen dysponowali w sumie niemal stuletnim doświadczeniem w prowadzeniu policyjnych śledztw. Słuchając opowieści Mary, obaj czuli przez skórę, że mówi prawdę. Kobieta nie miała powodu, aby ich okłamywać. W końcu poznali wyjaśnienie zdarzeń sprzed lat. Cóż za przerażająca historia, pomyślał Augustine. Nawet Hitchcock nie miałby odwagi jej sfilmować.

Mary stwierdziła, że jej dzieciństwo przypadające na lata pięćdziesiąte XX wieku upływało z pozoru pod znakiem wygody i dobrobytu.

408

Wychowywała się w domu w Lower Merion, uroczym, zamożnym miasteczku pod Filadelfią, jako jedyne dziecko dobrze wykształconych, szanowanych ludzi. Ojciec uczył w jednej z najlepszych prywatnych szkół średnich na Wschodnim Wybrzeżu. Matka była bibliotekarką. Uczniowie ich uwielbiali. „Podejrzewam, że z tysiąc osób poprosiło ich o wpis do księgi pamiątkowej otrzymywanej na zakończenie szkoły”, powiedziała. W domowym zaciszu życie Mary zamieniało się w koszmar, z którego nie mogła się przebudzić. Jako trzynastolatka wyczuwała zło, które opanowało jej rodzinę, jednak nie potrafiła go w pełni zrozumieć ani się z nim zmierzyć.

Tamtej nocy matka zaparkowała przed jakimś domem w Filadelfii.

Mary zadzwoniła do drzwi i podała obcej kobiecie kopertę wypełnioną, jak się domyślała, pieniędzmi. Chwilę później wręczono jej dziecko w mokrej pielusze. W samochodzie Mary trzymała chłopca na rękach. Była podniekształcona, zdezorientowana i przestraszona. Nie zwracała uwagi na nieprzyjemny zapach; bezbronne dziecko od pierwszej chwili budziło jej sympatię. Czuła, że „ta mała istota ludzka mnie potrzebowała. Mnie albo kogoś innego”. „Może zostać moim braciszkiem?”, spytała. „Oczywiście. Tyle że nie będzie mógł zamieszkać na piętrze”, odparła matka.

Rodzice umieścili chłopca w komórce w piwnicy, gdzie wcześniej znajdował się pojemnik na węgiel. Spał w pudełku okryty koczkami. Jadł z masywnych misek, z jakich normalnie karmiłyby się psa. Potrzeby fizjologiczne załatwiał wprost do odpływu w podłodze. „Zupełnie jakbyśmy mieli szczeniaczka”, myślała Mary. Matka nadała chłopcu imię Jonathan. Mary odwiedzała go w piwnicy i się z nim bawiła. Zanosila mu jedzenie i wodę. Włosy chłopca były zawsze ubrudzone pyłem węglowym. Tylko

raz udało jej się sprowokować go do śmiechu. Jonathan nigdy nie odezwał się do niej ani słowem. W końcu zrozumiała, że jest upośledzony.

„Nie schodź do niego”, rugała ją matka.

Jonathan miał coraz dłuższe włosy, przypominał dziewczynkę. Rodzice Mary ani razu mu ich nie obcięli. Nigdy też nie wyprowadzili go na dwór. Kiedy Mary miała piętnaście lat — rodzinny sekret był już wtedy poważnym obciążeniem dla jej psychiki — matka wyciągnęła Jonathana z piwnicy, żeby go wykąpać.

409

Przeklinała, ciągnąc go za sobą; stopki odbijały się — bum, bum, bum — od kolejnych stopni. Wsadziła go do wanny z prawie wrzącą wodą. Zaczął się wydierać, Wyciągnęła go, ale nadal krzyczał i tupał nóżkami. Włożyła z powrotem. Zwymiotował gotowaną fasolę, którą zjadł na obiad.

— Matka wrzasnęła, jak jeszcze nigdy wcześniej. Gwałtownym ruchem wyciągnęła go z wody i uderzyła w twarz. Z całej siły.

Płakał, a ona biła go, aż się przewrócił i uderzył głową o posadzkę. Nawet wtedy nie przestała.

— Tak szybko wymierzała kolejne ciosy, że głowa odskakiwała jej na boki.

Jonathan przestał się ruszać.

— Wiedziałam, że nie żyje. Miał otwarte oczy, ale były zupełnie nieruchome. Z jego twarzyczki bił jakiś taki smutek. Nigdy wcześniej ani później nikomu nie współczułam tak bardzo, jak wtedy Jonathanowi.

Rodzice Mary przycięli chłopcu włosy. Córce kazali obciąć mu paznokcie.

— Staralam się robić to możliwie delikatnie.

Następnego dnia rano matka wyjęła ciało Jonathana z wanny, gdzie przeleżało całą noc. Razem owinęły go w koc i wyniosły na zewnątrz przez boczne, skryte za żywoplotem drzwi prowadzące z piwnicy na podjazd. Włożyły zawiniątko do bagażnika samochodu. Matka siadła za kierownicą. Minęła kościół, zjechała na boczną drogę i w końcu zatrzymała się przy kępie drzew. Kiedy otwierała bagażnik, minęło ich jakieś auto.

„Ani słowa”, ostrzegła. Zaniósł Jonathana na zarośnięte chwastami pole. Obok drogi leżało puste pudło. „Będzie w sam raz. Unieś wieko”, poleciła matka. Włożyła Jonathana do środka i upewniła się, że jest dobrze chroniony przed deszczem. „Jakie to ma znaczenie?”, zastanawiała się wtedy Mary. W drodze do domu zatrzymały się w barze. Mary zjadła pączka.

Zwymiotowała go jeszcze w samochodzie, czym bardzo rozzłościła matkę.

— Potem wróciliśmy do domu i próbowaliśmy się zachowywać, jakby nic się nie stało.

Ojciec Mary zmarł przed laty na atak serca. Matka odeszła po nim; ostatnie lata życia spędziła w domu spokojnej starości na Florydzie. Psychiatra był pierwszą osobą, której Mary opowiedziała swoją historię.

410

W drodze powrotnej do Filadelfii Kelly nie potrafił ukryć ekscytacji.

Przypomniał sobie, że jeden ze świadków przesłuchiwanym przed pięćdziesięciu laty widział na drodze w okolicy Fox Chase chłopca w płaszczu przeciwdeszczowym stojącego obok kobiety. Wysoka, szeroka w ramionach Mary w płaszczu przeciwdeszczowym — który zgodnie z opowieścią miała na sobie tamtego dnia — mogła wyglądać na chłopca. Kelly i McGillen uznali zgodnie, że trasa, którą Mary miała przejechać z matką, wydaje się prawdziwa. Intrygująca była też informacja o zwymiotowaniu fasoli — wyniki sekcji zwłok Chłopca w Pudełku, których raczej nie podano do publicznej wiadomości, mówiły o brązowym osadzie w przełyku.

Kiedy Mary podała im adres swojego domu rodzinnego, Kelly i McGillen unieśli brwi. Odpowiadał on jednemu z dawnych tropów, który Towarzystwo uznało za obiecujący — i który nigdy nie był upubliczniony. Zbieżność adresów w aglomeracji liczącej pięć milionów mieszkańców nie mogła być przypadkowa. Kelly i McGillen potwierdzili istnienie domu oraz tożsamość nieżyjących rodziców Mary: nauczyciela i bibliotekarki. Nie potrafili uwierzyć, świadkiem, jakich koszmarów kobieta musiała być w dzieciństwie i co sama wycierpiała. Zdumiewające, że jej życie ułożyło się później tak pomyślnie.

Augustinea dręczyło przez cały czas pytanie: „Skąd w niej tak wielka nienawiść do rodziców, że nam o tym wszystkim opowiada?”. Nie wierzył Mary; sceptycznie do jej historii podszedł również Fleisher. Augustine zapytał psychiatrę, dlaczego nie dysponuje notatkami potwierdzającymi prawdziwość opowieści Mary. „Nie potrzebuję notatek”, odparł urażony terapeuta. „Pomagam Mary dotrzeć do wypartych wspomnień, do serii wspomnień, aby mogła się od nich następnie uwolnić. Mogę pana zapewnić, że jej opowieść nie zmieniła się od początku ani na jotę. Po raz pierwszy usłyszałem to wszystko trzynaście lat temu, na długo zanim powstała strona internetowa poświęcona dochodzeniu. Jestem przekonany,

że Mary mówi prawdę".

Tego lata w programie informacyjnym Naoczny świadek, emitowanym na najpopularniejszym lokalnym kanale telewizyjnym w Filadelfii, podano informację, że zdaniem anonimowego źródła z Towarzystwa Vidocqa 411

nastąpił przełom w sprawie, która spędzała sen z powiek filadelfijskiej policji od ponad czterech dekad.

Augustine nadal miał wątpliwości. „Jej historia może być prawdziwa. Równie dobrze może być nieprawdziwa. Do licha, przecież nie mamy możliwości weryfikacji żadnego elementu jej historii”, mówił. Bruce Castor, prokurator okręgowy z hrabstwa Montgomery, uznał opisaną przez Mary wersję wydarzeń za mglistą i niewiarygodną. Jego zdaniem przypomina historyjki o Marsjanach, którzy porywają ludzi.

Po kilku dniach siwowłosi policjanci zlokalizowali rodzinny dom Mary. Najpierw przepytali sąsiadów. Kilka osób pamiętało parę, która mieszkała tam przed laty: bardzo konserwatywni ludzie, typowy nauczyciel i bibliotekarka. Makabryczną opowieść uznali za absurdalną. Nikt nigdy nie widział tam chłopca.

W końcu Kelly i McGillen zapukali do drzwi domu, w którym Mary spędziła dzieciństwo. Kelly przedstawił pokrótce obecnej właścicielce sytuację i grzecznie zapytał, czy mogliby obejrzeć piwnicę. Kobieta zdecydowanie odmówiła.

Kelly i McGillen uznali to za dobry początek. Mieli za sobą jedynie pierwszą rozmowę — i zamierzali wrócić. I sprawdzić, czy w piwnicy znajduje się komórka na węgiel.

Rozdział 53

Dziewiąty krąg piekła

Korony wielkich drzew rzucały cienie na skąpany w księżycowej poświacie pagórek. Ostatnie piętro neoklasycystycznej rezydencji było pogrążone w ciemności. Żywopłot zakrywał okna parteru. Jedyne źródło światła znajdowało się w dalekim narożniku domu — pomarańczowy blask papierosa rozchodził się spod łuku proscenium w sali balowej. Szczupły mężczyzna siedział przy swoim ukochanym chickeringu z 1928 roku, klasycznym amerykańskim fortepianie, „wydartym głupcowi, który nie zdawał sobie sprawy z jego prawdziwej wartości”. Mężczyzna odłożył papierosa na popielniczkę postawioną na nakrywie i oparł palce na klawiszach. Oczyszczył umysł z wszelkich myśli, doprowadzając go do stanu nieskrępowanej

swobody, jaką cieszył się dym papierosowy wędrujący leniwie w słabym świetle księżycy obok stojącego na fortepianie wazonu ze strusimi piórami. Profiler — normalnie ceniący chłodne piękno i reguły porządku — świadomie oddawał się w objęcia chaosu.

Wiedziony impulsem palec nacisnął środkowe C. O zmierzchu rozpoczęła od wariacji na temat pierwszego koncertu Czajkowskiego, wypełniając wspaniałą muzyką pogrążający się w mroku dom. Teraz z pojedynczego dźwięku zrodziła się jego własna melodia, spontaniczna i olśniewająca. „Gram własny nastrój”, pomyślał. Dał się ponieść chwili, miał świadomość, że właśnie tworzy coś zupełnie nowego, czego do tej pory nikt nie słyszał — i nikt nigdy nie usłyszy.

413

Już za młodu zdradzał wyjątkowy talent muzyczny, później jego uwagę całkowicie zaprzętnęły arie ulic. Gra na instrumencie była dla niego źródłem radości, a jednocześnie techniką pozwalającą na zagłębienie się w umyśle mordercy. „Nie znam dobrego detektywa, który byłby pozbawiony słuchu muzycznego”, powiedział kiedyś. „Problem policji polega na tym, że ludzkich zachowań nie można analizować wyłącznie przez pryzmat logiki. Takie podejście fałszuje rzeczywistość. Człowiek jest istotą myślącą skojarzeniowo”.

Unosząc się na fali swobodnej kreacji, przestawał dostrzegać otaczające fortepian ciemności, księżycową poświatę na parapecie okna, dym papierosowy zdmuchiwany na bok przez delikatny powiew ciągnący od ogrodu. Walter był naukowcem z krwi i kości. Gardził duchowością, uznawał wyłącznie materialne dowody oraz logiczną analizę miejsca zbrodni opartą na bezlitosnym rygorze dedukcji. Wielu detektywów wyrażało przekonanie, że jego analityczny umysł nie ma sobie równych. Walter wierzył w boga rozumu, mimo to jego klasyczny umysł — znakomicie pasujący do doryckich kolumn i idealnych proporcji domu, w którym mieszkał — pozostawał całkowicie niewrażliwy na iluzje współczesności. Walter sądził, że w dzisiejszych czasach zapominamy często „o bliźniaczej naturze rozumu, który składa się z racjonalnego myślenia i emocji. Możemy zaprzeczyć istnieniu emocji, ale ich w ten sposób nie unicestwimy — jesteśmy ostatecznie zwierzętami. Co jakiś czas przypominą o sobie, wylewając się z nas w postaci strumienia gniewu lub agresji. Nikt nie potrafił równie dobrze uchwycić tej równowagi jak starożytni Grecy”.

Dwóm bogom o przeciwstawnych atrybutach — Apollinowi, bogu

słońca, porządku, form i racjonalizmu; oraz Dionizosowi, bogu wina, zabawy, chaosu i rozkoszy — oddawano cześć w tych samych świątyniach. W sercach ludzi zajmowali to samo miejsce, spleceni w wiecznym konflikcie. „Apollo był bogiem detektywów, a Dionizos morderstwa”, tłumaczył Walter. Człowiek nie dostrzeże pełni rzeczywistości, jeżeli nie uzna obu stron swojej natury i nie zdoła połączyć ich w sztukach plastycznych i muzyce.

Zamknął oczy. W jego umyśle pojawiła się postać chłopca. Małego chłopca w ciemnym lesie. Była zimowa noc, chłopiec był bardzo

414

przemarznięty. Został skrępowany, zapewne przywiązany do drzewa — nagi, rozdygotany. Przestał płakać. W oddali majaczyła sylwetka starego kościoła; być może do jego uszu dobiegało bicie dzwonów. Na bezchmurnym niebie błyszcząły gwiazdy. Chłopiec odczuwał straszliwy ból, ale jeszcze silniejsze były doznania, których nie potrafił nazwać: strach, konsternacja, ślepa miłość, gniew, poniżenie, przerażenie. Być może próbował coś powiedzieć, choć najprawdopodobniej nie był już wtedy zdolny wymówić choćby słowa. Obok niego stał człowiek, który kochał chłopca najbardziej ze wszystkich ludzi, który zawsze się nim opiekował, który go kąpał i ubierał. Chłopiec wyczuwał jego zapach, widział w ciemności uśmiechającą się twarz — była tak blisko, że niemal przesłaniała gwiazdy. Być może chłopiec krzyknął, ale raczej nie.

Walter nie miał wątpliwości, co się tam naprawdę wydarzyło. Tajemnicę zdradziły obrażenia, a i samo miejsce zbrodni zawierało jednoznaczne poszlaki. Dziesiątki porządnych ludzi odeszło z tego świata, nie potrafiąc stawić temu czoła. Trudno za to kogokolwiek winić. To całkowicie naturalna reakcja. Najmroczniejszym cieniem kładącym się na ludzkiej egzystencji jest śmierć, a człowiek tylko wtedy może przejść przez życie, jeśli się od niej odwróci. „Rzecz w tym, że policjanci po prostu nie chcieli poznać prawdy”.

Przeniósł się do chwili obecnej. Zobaczył zabójcę mieszkającego samotnie na skraju miasta — skorodowaną skorupę wyuzdania i zwietrzałej rozkoszy. Zobaczył starego mężczyznę, który popełnił przestępstwo najpotworniejsze ze wszystkich: w wyjątkowo zdegenerowany i bezlitosny sposób zgwałcił i zamordował dziecko. Nic dziwnego, że sąsiedzi uważali go za odludka i lekkiego dziwaka, takiego „zabawnego staruszka”. Budził pożałowanie, ponieważ w święta nie odwiedzali go krewni; był jednym

z tych starych kawalerów, którzy śmierzdzą alkoholem i papierosami, biorą prysznic raz w tygodniu, nie są specjalnie sympatyczni, ale też nie wydają się groźni. Gdyby tylko sąsiedzi domyślali się prawdy! Od tamtej nocy minęło wiele lat i staremu mężczyźnie pozostały jedynie wspomnienia. Walter wyobraził go sobie, jak siedzi w mroku, przewracając poóółkę, kruszące się strony gazet, aby z przerażającą arogancją raz jeszcze przeczytać o samym sobie, przywołując budzące sentyment wspomnienie

415
popelnionego za młodu morderstwa. Największego osiągnięcia, ukoronowania życia! Jakież społeczeństwo pozwala, aby taki potwór cieszył się wolnością od pięćdziesięciu lat, podczas gdy bezimienny niewinny chłopiec — który teraz byłby ojcem, a może nawet dziadkiem — gnił w ziemi pozbawiony nawet porządnego pochówku? Dla Waltera była to obraza fundamentalnego poczucia przyzwoitości. Podstarzały morderca zbyt długo napawał się zwycięstwem. Przyszedł czas, aby go wytropić.

Fortepian grzmiał. Nowe dzieło zdawało się przemawiać w imieniu wszystkich cieni zalegających w kątach wielkiego domu. Gra sprawiała Walterowi radość, ale jednocześnie cieszył się, że nigdy więcej nie usłyszy tej melodii. Spod jego palców wypływała pieśń bestii.

Pogrążony w muzyce, nie usłyszał cichego dysonansowego dźwięku, który dobiegł z ciemnego wnętrza domostwa — stuknięcia drzwi o framugę. Z mroku wyłonił się barczysty mężczyzna o lśniących, czarnych oczach. U jego pasa błysnął pistolet. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Potężna muzyka ucichła i tylko echo niosło się jeszcze przez chwilę po pomieszczeniach parteru. Wielka dłoń opadła na ramię Waltera.

— No pięknie! — wychrypiał szczupły mężczyzna, zanosząc się śmiechem. — Mogłem dostać zawału! Już sądziłem, że ten upojny wieczór spędzę samotnie. Mogłeś przynajmniej zadzwonić.

— Ależ dzwoniłem! Najwyraźniej tak pana wciągnęła zabawa w Beethovena, że nie usłyszał pan telefonu.

— Akurat — odparł Walter.

Stoud. Walter przeszedł do salonu, włączając światła. Z szyderczym uśmiechem rzucił w stronę mężczyzny kopertę. Znajdowało się w niej zaproszenie na piątą rocznicę ponownego pochówku Chłopca w Pudełku (zwanego również Bezimiennym Dzieckiem Ameryki) w nowym, eleganckim grobie na cmentarzu Ivy Hill. Stoud nie mógł w nim uczestniczyć, Walter z kolei bezceremonialnie odrzucił zaproszenie.

Kartka zawierała rysunek dziecka unoszącego się na dźwiękach pieśni do nieba oraz podnoszący na duchu wierszyk. Stoud prychnął.

— Twój sarkazm jest zupełnie na miejscu — stwierdził Walter. Posłuchaj: — „Odtąd będzie symbolem każdego molestowanego dziecka w Ameryce, które zapłaciło najwyższą cenę”.

416

Szczupły mężczyzna zaciągnął się głęboko papierosem.

— Fleisher doszedł pewnie do wniosku, że moje serce nieodwracalnie zamieniło się w kamień. Kto wie, może ma rację — stwierdził, uśmiechając się szelmowsko. — Denerwuje mnie tylko, że najpierw kupowali dziecku zabawki, fetyszyzując szczęśliwe czasy dzieciństwa, które chłopak spędził na wążaniu kwiatków od spodu, a teraz nie chcą wiedzieć, co się z nim naprawdę stało. Chłopiec nie jest żadnym symbolem — stwierdził z błyskiem w oku. — Nie był ofiarą modnego „molestowania dzieci”. Został zamordowany. Poddany torturom i zamordowany. Padł ofiarą mordercy o najmroczniejszej, najbardziej skomplikowanej osobowości, jaką wydała z siebie ludzkość. A skoro nie możemy małemu przywrócić życia, nie powinniśmy sobie wyobrażać, jak by wyglądał, grając w bejsbol. Naszym zadaniem jest złapanie skurwysyna, który mu to zrobił.

Stoud ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Widok dobywającego miecza Richarda Waltera był po prostu bezcenny.

— Morderca sadystyczny — stwierdził policjant stanowy. Chłopiec został bez wątplenia zamordowany przez czwarty, najbardziej diaboliczny typ mordercy.

— Oczywiście — odparł Walter, ustawiając trzycyfrową kombinację w zamku srebrnej walizki leżącej przed nim na stoliku. Stoud obserwował, jak szczupłe palce ostrożnie unoszą kartkę papieru formatu A4.

— Podwójna Spirala — powiedział Walter. — Mapa prowadząca na samo dno mroku, do czarnej dziury na końcu kontinuum.

Walter niespecjalnie palił się do rozmowy o Podwójnej Spirali, poza tym wręcz paranoicznie obawiał się zaprezentować stworzony przez siebie schemat komukolwiek — nawet zaufanemu uczniowi. W części poświęconej morderstwom popełnianym przez czwarty typ osobowości schemat Waltera opisywał ludzi, którzy zabijają nie dla wymiernego zysku, władzy lub zemsty, ale dla samej, nieosiągalnej w inny sposób przyjemności. Morderca sadystyczny (sadistic/anger-excitation killer) zabija i torturuje obcych ludzi, pozbawia kogoś życia wyłącznie dla wtórnej rozkoszy seksualnej.

I nie może przestać. Pogmatwane rozkosze sadyzmu popychają go do kolejnych morderstw. Popelnia je, dopóki nie zostanie złapany i zamknięty w więzieniu, nie zginie z ręki kogoś innego albo nie umrze ze starości.

417

Mordercy z tej kategorii byli praźródłem mrocznych legend obecnych we wszystkich kulturach, opowiadających o bestiach w ludzkiej skórze w rodzaju Drakuli czy wilkołaków, a współcześnie ludzi pokroju Pedra Alonsa Lopeza, Potwora z Andów, aresztowanego w 1980 roku. Zamordował ponad trzysta kobiet. Niemniej tego rodzaju zwyrodnialcy byli zjawiskiem względnie nieznanym w Stanach Zjednoczonych aż do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. To wtedy zyskali twarz Bundy'ego, Gacyego, Dusiciela z Bostonu, Nocnego Prześladowcy, Zabójcy znad Zielonej Rzeki i dziesiątków innych. Zdaniem FBI w każdym stanie działał co najmniej jeden seryjny morderca o sadystycznych skłonnościach.

Na kartce znajdował się wykonany odręcznie szkic stożkowej spirali. Na całej długości była usiana adnotacjami naniesionymi czarnym atramentem, drobnym, starannym pismem.

— Richard, a próbowałeś kiedyś włączyć komputer? — spytał złośliwie Stoud. — Niewiele przełomowych artykułów z dziedziny medycyny sądowej napisano odręcznie.

Walter wybuchał śmiechem na myśl o publikacji wykresu.

— Nie zamierzam udostępniać go hakerom ani nawet zostawiać śladów na taśmie maszyny do pisania.

Walter miał powody, aby paranoicznie obawiać się konsekwencji dostania się Podwójnej Spirali w niepowołane ręce. „Właśnie dlatego trzymam ją zamkniętą w znakomicie zabezpieczonej walizce”, pomyślał Stoud. Nawet jeśli profiler nieco na wyrost nazywał ją najniebezpieczniejszą porcją wiedzy na świecie, w jakimś stopniu na pewno miał rację. Umieszczone na kartce informacje nie zawierały co prawda instrukcji budowy bomby atomowej, ale odkrywały jeszcze bardziej śmiertelniejszą wiedzę — jak uwolnić najstraszliwsze zło.

— Muszę zachowywać ostrożność — tłumaczył Walter — bo inaczej pierwszymi słuchaczami moich wykładów i nabywcami książek byliby sadyści. Podobnie jak każdy człowiek, sadysta odczuwa potrzebę zrozumienia samego siebie, znalezienia nowych sposobów realizacji pragnień. W nieodpowiednich rękach Podwójna Spirala byłaby poradnikiem dla seryjnego mordercy.

Kiedyś podczas wygłaszanego odczytu zatytułowanego Sadystyczna ekspresja: model teoretyczny na konferencji poświęconej medycynie sądowej w Marquette w stanie Michigan Walter dostrzegł na sali człowieka podejrzanego o gwałt.

Sadyści traktują swoją działalność niezwykle poważnie, mawiał. Ci działający z pobudek seksualnych, jak Ted Bundy, należą do przestępców o najwyższym ilorazie inteligencji; średnia w tej kategorii wynosi 119. Często są niezwykle bystrzy i ujmujący. Wydają się całkowicie normalni i godni zaufania do czasu, gdy — dzięki niezwykle rozbudowanej zdolności manipulowania innymi — zostają sam na sam z ofiarą. Wtedy następuje przebudzenie potwora. Morderca taki przechodzi złożoną ewolucję, która obejmuje wszystkie zmysły — dotyk, wzrok, węch, smak, słuch. Zabicie człowieka wymaga skomplikowanych i czasochłonnych przygotowań. Walter spędził kiedyś cały dzień w Wichita w stanie Kansas, pomagając w znalezieniu wspólnego mianownika serii morderstw, które zdaniem policji popełnił ten sam człowiek. Po południu miał wygłosić wykład na temat sadyzmu na Pierwszym Światowym Zjeździe Chirurgów i Lekarzy Policyjnych. „Podszedł do mnie jeden z oficerów śledczych i powiedział: «Właśnie wyrzuciłem z sali naszego podejrzanego». Człowiek ów przyszedł na wykład i zamierzał robić notatki”.

Walter uchodził za jednego z pionierów nowoczesnych metod tworzenia profili psychologicznych przestępców, a zasłynął jako współtwórca, z Keppelem, czterech typów osobowościowych morderców. Jako pierwszy przeprowadził gruntowną analizę psychologiczną śladów po ugryzieniach pozostawianych przez morderców-gwałtcieli. Opracował system analizy zachowań poprzedzających morderstwo, towarzyszących morderstwu i po nim następujących. Największym wkładem Waltera w kryminalistykę była właśnie Podwójna Spirala przedstawiająca jego autorską teorię sadyzmu. W połowie lat osiemdziesiątych XX wieku agent FBI Robert Ressler po raz pierwszy wziął udział w wykładzie Waltera, po czym natychmiast zaprosił go do Quantico, aby swoją wiedzę podzielił się również z psychologami z Jednostki Nauk Behawioralnych. W ten sposób narodziła się między nimi dożygonna przyjaźń. Walter podpuszczał Resslera,

mówiąc, że „FBI nadal nie rozumie sadyzmu. Bob, nie wymyśliście nic nowego od 1978 roku”.

W odróżnieniu od pierwszych trzech typów osobowościowych, dla których celem jest samo zabójstwo, pozbawienie życia innego człowieka nie jest czynnikiem motywującym mordercę sadystycznego. Celem i źródłem rozkoszy jest tu czynność zabijania. Zadawanie długotrwałych tortur stymuluje sprawcę. O ile morderców należących do pozostałych typów można uznać za ludzi skażonych lub przesiąkniętych złem — ale jednak ludzi — o tyle sadysta przechodzi tak gruntowną transformację, że przestaje przypominać człowieka. Kiedy osiągnie specyficzny stan furii pozwalający mu na czerpanie satysfakcji seksualnej z gniewu, otwierają się przed nim wrota prowadzące przez osiem kręgów na samo dno mroku, zaludnione przez najokrutniejszych morderców, jakich wydała ludzkość. Opierając się na tysiącach rozmów z sadystami i innymi mordercami, a także na zeznaniach policjantów biorących udział w dochodzeniach, Walter opracował Podwójną Spirale będącą precyzyjnym opisem psychologicznych i behawioralnych charakterystyk ośmiu piekielnych kręgów.

Jest to uniwersalna ścieżka samopoznania prowadząca ku nicości, rozślawiona przez markiza de Sadea, osiemnastowiecznego ojca sadyzmu, oraz jego następców. Podróż tę można zarazem interpretować jako odwrotność uniwersalnej drogi bohatera ku odkupieniu, drogi duszy ku Bogu lub oświeceniu. W minionych wiekach mówiono, że człowiek zatracca się i zmierza na spotkanie z Ojcem Ciemności. Średniowiecze trafnie ujmowało w obrazie ten proces wyjaławiania duszy. Mimo że Podwójna Spirala przypominała wizualnie model DNA — cząsteczki życia — autorstwa Francisca Cricka i Jamesa Watsona, w praktyce pełniła raczej funkcję podobną do czternastowiecznej mapy zaświatów Dantego, który przeprowadził czytelnika przez coraz cięższe grzechy; zdrady i potworności na samo dno — do Dziewiątego Kręgu Piekła.

„Sadyzm to zbrodnia luksusowa. Nie wszystkich na nią stać. Wymaga czasu, inwestycji, możliwości prowadzenia sekretnego życia, opanowania szeregu umiejętności. Podobnie jak napisanie doktoratu. W obu przypadkach mamy do czynienia z sekwencją etapów nabywania nowych kompetencji. Człowiek nie budzi się pewnego dnia jako w pełni

420

ukształtowany sadysta seksualny. Musi się w nim dokonać ewolucja zła”, tłumaczył Walter.

Podobnie jak inne umiejętności zarezerwowane niegdyś wyłącznie dla arystokracji, sadyzm stał się współcześnie dostępny dla mas. Dawniej

morderca musiał dysponować majątkiem, władzą i pozycją pozwalającymi mu poświęcać czas na przygotowywanie i popełnianie zbrodni; musiał też mieć dostęp do potencjalnych ofiar. „Obecnie wystarczy mu byle jaka stała praca, kawalerka, tania furgonetka, telewizja kablowa, z której może czerpać inspirację, oraz pakiet praw obywatelskich”, twierdził Walter. Sadyści występują rzadziej w państwach autorytarnych — są mroczną stroną demokracji.

Na Podwójnej Spirali Walter przedstawił uniwersalny, ośmioetapowy model narodzin mordercy sadysty; pogłębiania się deprawacji i staczania się w najgłębsze otchłanie ludzkiego zła. „Jeżeli zdołam umiejscowić konkretnego sadystę na Podwójnej Spirali, wiem, skąd przyszedł i dokąd zmierza”.

Na samym początku sadysta, znęcony pokusami zrodzonymi przez obsesje, oddaje się autodestrukcyjnemu fetysyzmowi w rodzaju „porno grafii, pożądania nakierowanego na kobiece buty, bieliznę noszoną przez nastolatki albo coś podobnego. Wszyscy seksualni sadyści są fetyszystami. Zazwyczaj mają obsesję na punkcie trzech lub czterech rzeczy. Nie każdy fetyszysta zamienia się w sadystę”.

Kiedy potencjalny sadysta wpadnie w sidła fetyszu, wkracza na drogę opisaną przez Podwójną Spiralę. Wtedy już nie ma odwrotu, zupełnie jakby wszedł do pałacu sadyzmu w wesołym miasteczku. „Wchodzi do pierwszego pokoju i zamykają się za nim drzwi. Może zdecydować, w którą stronę pójdzie, ale za chwilę zatrzasną się za nim kolejne drzwi. Nie może zawrócić”. Nawet jeśli nie zejdzie na niższy poziom, nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię, a jedyny kierunek ewolucji prowadzi w dół, ku coraz bardziej patologicznym zachowaniom.

A tych pragnień nigdy nie da się zaspokoić. Kiedy fetysz przestaje wystarczać, przychodzi etap voyeuryzmu. Taki człowiek może mieć precyzyjnie zdefiniowane upodobania. „Badałem kiedyś przypadek podglądacza, który interesował się wyłącznie żonami poruczników”, wspominał Walter.

421

Człowiek, który nie może zaspokoić swoich potrzeb przez voyeuryzm, staje się froterystą. „Każdy z nas padł kiedyś ofiarą froterysty”, twierdzi Walter. „To człowiek osiągający satysfakcję seksualną przez ocieranie się o obcych”. W trakcie krótkotrwałej współpracy ze Stanowym Uniwersytetem w Michigan Walter prowadził śledztwo w sprawie bliźniaków (obaj byli homoseksualistami), którzy co sobota wkładali obcisłe dżinsy i cze-

kali, aż siedemdziesięciodwutysięczny tłum kibiców wyleje się ze stadionu po zakończeniu meczu futbolu amerykańskiego. Ruszali „pod prąd”, dotykając i obmacując nieświadomych niczego ludzi.

Jeszcze trochę i sadysta uczy się, jak osiągać intymność i zaspokojenie seksualne bez konieczności otwierania się przed innym człowiekiem. Pełnia czyn piętnowany w literaturze od samych jej początków: eksploatuje, samemu nie obdarzając innych uczuciem. Jako osoba niezdolna do stworzenia prawdziwego związku staje się „mistrzem manipulacji. Sadyści zawierają nawet małżeństwa, ale jeśli partnerka nie może zaspokoić ich potrzeb, związek ma charakter fikcyjny”. Wielu z nich utrzymuje normalne relacje seksualne z żonami lub kochankami, ale po jakimś czasie zaczyna im ciążyć konieczność tak wyczerpującego emocjonalnie otwarcia na innych. „Znacznie większą przyjemność sprawia im wyszukiwanie potencjalnych ofiar i wyobrażanie sobie związku, w którym sprawowałyby całkowitą kontrolę. Kolejny etap polega na wcieleniu tych fantazji w życie”. Fetyszyści, voyeuuryści i frotteryści wybierają i podporządkowują sobie ofiary, zachowując ze swojej strony emocjonalny dystans. Na kolejnym etapie sadysta przekracza tę niebezpieczną granicę. Fantazje lub ukradkowy dotyk przestają wystarczać. W sadyście rodzi się pragnienie bardziej intymnych relacji. Zaczyna szukać ofiary, którą mógłby poddać karzącej kontroli poprzez dominację, podporządkowanie, fizycznego krępowanie i „dyscyplinowanie”.

„Nie potrafi stworzyć więzi, nie potrafi osiągnąć seksualnego zaspokojenia jako szczerzy i prawowity partner, nie potrafi zaangażować się emocjonalnie w związek z drugim człowiekiem. Umie jedynie wykorzystywać innych. Dlatego właśnie znajduje wtórne zaspokojenie seksualne w całkowitym podporządkowaniu sobie ofiary. Odkrywa sposób na systematyczne czerpanie satysfakcji z tych fantazji przez wprowadzanie ofiary

422

w stan przerażenia i podległości. Radość sprawia mu poczucie: «Należysz do mnie. Jesz, kiedy ci na to pozwolę. Żyjesz i oddychasz na mój rozkaz. Twoje życie należy do mnie». Taki człowiek nabiera przekonania o mesjańskim znaczeniu własnej osoby”.

Kiedy ograniczanie swobody ruchów ofiary przestaje mu wystarczać, ewoluujący sadysta nieuchronnie staje się piquerystą. Termin ten wywodzi się z języka francuskiego i oznacza przebijanie, nacinanie. „Piquerysta czerpie rozkosz seksualną z przebijania, cięcia, odcinania i przypalania

ludzkiego ciała. Tacy ludzie dla wprawy nacinają skórzane kurtki w sklepach. To oni strzelają do przypadkowych ofiar, jak Zabójca z Wieży, lub mordują pary uprawiające seks w odludnych miejscach, jak Syn Sama. Najniższym poziomem jest w pełni rozwinięty sadyzm. Sadystyczny morderca czerpie rozkosz seksualną ze skomplikowanych rytuałów torturowania i mordowania. Na ten poziom zszedł na przykład Ted Bundy, który wędrówkę po Podwójnej Spirali rozpoczął od pornografii.

Morderca pokroju Bundy'ego starannie przygotowuje się do tego etapu. Uczestniczy w kursach medycznych, aby wiedzieć, jak nie zarazić się AIDS lub inną chorobą. Opanowuje techniki ratownicze, aby jak najdłużej podtrzymywać życie ofiary i przedłużać rozkosz płynącą z zadawania tortur. Ofiarę poddusza, doprowadzając na skraj śmierci, po czym stosuje fachowo sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Dusi ją ponownie, tym razem za pomocą sznura — rozkoszując się nieco odmiennym doznaniem — i tuż przed śmiercią ponownie ratuje.

Przenosi ofiarę do łazienki, zanurza jej głowę w wannie pełnej chłodnej wody i podtapia tak długo, aby i tym razem niemal wyzionęła ducha. Towarzyszące temu doznania mają zupełnie inny charakter. Podczas wygłaszanych na całym świecie wykładów na temat różnorodnych form rozkoszy u sadystów Walter prosi słuchaczy-policjantów o napełnienie wiaderka chłodną wodą, chwycenie w obie dłonie dużej gąbki i zanurzenie jej w wodzie. Można wtedy poczuć delikatne mrowienie rozchodzące się od włosków pokrywających ręce — dochodzi do pobudzenia sfery erogennej. Ten eksperyment pozwala zrozumieć, dlaczego tak wiele ciał ofiar dusicieli zostaje znalezionych nad akwenami lub w wannach. Wbrew temu, co sądzi większość policjantów, morderca wcale nie zamierzał w ten

423
sposób zatrzeć śladów. Woda zwiększała po prostu jego wrażliwość i potęgowała odczuwaną przyjemność.

Potworność tortur, którym może zostać poddana ofiara, zależy wyłącznie od inwencji sadysty. Celem jest zawsze seksualne zaspokojenie osiągnięte przez długotrwałe dominowanie i upokarzanie ofiary oraz wzbudzanie w niej strachu. Walter rozmawiał z kilkoma kobietami, które miały nieprawdopodobne szczęście i zdołały uciec po dwunastu godzinach niewoli u sadysty. „Błagały go o śmierć”, opowiadał.

Sadysta nie potrafi obnażyć się emocjonalnie przed ofiarą nawet w trakcie tortur i zadawania śmiertelnego ciosu. Dopiero po przeniesie-

niu szczątków do kryjówki może poczuć się na tyle pewny siebie, aby uwolnić seksualność. Właśnie to popchnęło Teda Bundy'ego do popełnienia czterdziestu morderstw — z miejsca zbrodni zabierał na pamiątkę głowy ofiar, młodych kobiet. W zaciszu swojego domu masturbował się nad nimi, a następnie palił je w kominku.

Kiedy pamiątki zabierane z miejsca zbrodni przestają zaspokajać potrzeby sadysty, ma on jeszcze trzy dodatkowe, najbardziej makabryczne możliwości: nekrofilie, czyli uprawianie seksu z ciałem zabitej ofiary; wampiryzm w jego historycznej odmianie, czyli praktykę odsączania krwi z ciał ofiar; oraz, na samym końcu, kanibalizm. Spożywanie ludzkiego ciała to najwyższy poziom zjednoczenia sadysty z ofiarą, najintymniejsza forma obcowania niewymagająca emocjonalnego otwarcia się na partnera. „Należysz cała do mnie”.

Na ten najniższy poziom podziemi pałacu sadyzmu zszedł Jeffrey Dahmer. Opowiadana przez stulecia baśń o przepelnionym gniewem mężczyźnie, który musi otworzyć serce na miłość, pogodzić się z kruchością życia, bo w przeciwnym razie skaze się na psychologiczną śmierć — opowieść o pięknej i bestii — ma ukryte znaczenie. Dahmer czerpał z praktyk kanibalistycznych satysfakcję, a jednocześnie rozumiał całkowitą daremność i zło dosłowności karmienia się śmiercią. Dla niego kanibalizm był zaledwie początkiem. Choć zapewnił sobie możliwość spożywania wszystkiego, nigdy nie zdołał się nasycić. „Tego głodu nie można zaspokoić”.

Ośmiostopniowa droga wiedzie ku otchłani groteskowych form zabijania, które Walter nazywał „największym koszmarem”. Stamtąd właśnie

424
wywodził się mit o Drakuli i na tym polegała istota rzeczywistości stworzonej przez Hitlera. Walter był ateistą, uważał jednak, że mimo chrześcijańskiej metaforyki Dante trafnie opisał istotę zła.

Szczupły mężczyzna podszedł do półki i ściągnął z niej podniszczony egzemplarz Piekła Dantego, którego nie czytał od czasów studenckich. Zaintrygował go fakt, że poeta przełomu XIII i XIV wieku stworzył podobny model, dzieląc piekło na dziewięć koncentrycznych kręgów, z których ostatni zawierał dodatkowo cztery koła.

— Dziewiąty Krąg piekła jest niezmiernie ciekawy — powiedział.

W jeziorze lodu zwanym Kocyt przebywali zamrożeni na wieczność zdrajcy ludzkości; każdy zanurzony na inną głębokość: niektórzy od pasa w dół, inni całkowicie. Walter z niekłamanym podziwem czytał opisy wymyślo-

nych przez Dantego form zemsty. Hrabia Ugolino uderza w głowę arcybiskupa Ruggieriego, który za życia uwięził i głodził hrabiego oraz jego dzieci. Pośrodku jeziora spoczywa Szatan, do pasa w lodzie — wielka, przerażająca, trójgłowa bestia ze skrzydłami. W każdej paszczy przeżuwa zdrajców pokroju Brutusa i Judasza Iskarioty. Z sześciorga oczu płyną łzy, które mieszają się z krwią zdrajców. Trzy pary skrzydeł biją wściekle, próbując uwolnić diabła z potrzasku, ale wzbudzone przez nie podmuchy wiatru jedynie skuwają lodem całą okolicę, przytrzymując wszystkich na wieczność. Najbardziej cierpi Judasz, którego głowę miażdży paszcza Lucyfera, a diabelskie pazury zdzierają mu skórę z pleców.

— Podoba mi się ta wizja — stwierdził Walter. — Jest może nadmier- nie udratyzowana, ale kryminaliści niewiele się od tych czasów zmie- nili, podobnie jak sprawiedliwe kary, na które ich skazywano.

Stoud zobaczył fotografie chłopca pokrywające stół. Zdjęcia zostały wykonane przez policję w 1957 roku. Walter wskazał na rany cięte i si- niaki pokrywające całą powierzchnię ciała, a także na ślady przypalania, rozcinania, bicia i duszenia sznurem. Ślady wygłodzenia i odwodnienia. Chłopiec był gwałcony; w odbytu wkładano mu różnego rodzaju przyrzą- dy. Skóra na jednej ręce i stopie pomarszczyła się od długotrwałego kon- taktu z wodą.

Ślady poparzeń na klatce piersiowej pochodziły najprawdopodobniej od gaszenia papierosów. Z oględzin wynikało, że w różne miejsca na ciele

425
wbijano igły. Główka chłopca została ściśnięta po bokach — prawdopo- dobnie w imadle.

Walterowi wystarczył jeden rzut oka na fotografie. Natychmiast zrozu- miał, że policyjne śledztwo — nadzorowane przez nieżyjącego Remingto- na Bristowa — od czterech dekad opierało się na fałszywych założeniach. Jak to możliwe, aby Bristow uwierzył, że chłopiec zginął przypadkowo z rąk kochających rodziców?

— Wszystko, co widzimy na tych zdjęciach, to oznaki sadyzmu — mó- wił Walter. — W tym kontekście całkowicie zrozumiała staje się opowieść, którą Kelly i McGillen usłyszeli w Cincinnati od Mary.

Jego zdaniem matka Mary dysponowała znakomitą przykrywką. Mu- siała czerpać satysfakcję z paradoksalnej sytuacji, która pozwalała jej wy- korzystać seksualnie chłopca, a jednocześnie pełnić funkcję szanowanej bibliotekarki szkolnej w Main Line, zamożnej dzielnicy Filadelfii. Wszyst-

ko to działo się w latach pięćdziesiątych XX wieku, kiedy symbolem matki mieszkającej na przedmieściach była June Cleaver z serialu komediowego *Leave It to Beaver*, stojąca z zaniepokojoną miną pośrodku kuchni i mówiąca: „Martwię się, czy Beaverowi nie stało się coś złego”.

Więzienie w piwnicy było idealnym rozwiązaniem. Wyczerpana emocjonalnie po znęcaniu się nad chłopcem mogła zmyć z siebie krew, zamknąć go z powrotem w pudełku i powrócić do pełnienia oficjalnych ról społecznych. Sąsiadki. Przyjaciółki. Bibliotekarki. Żony. Matki. Z upływem czasu jej charakter stawał się coraz bardziej surowy — osobowość zmieniała się pod wpływem sadyzmu — ale potrafiła to skutecznie ukrywać. Wypijała kilka Krwawych Mary więcej i chodziła częściej do kościoła. Drżała z podniecenia na myśl, że potrafi utrzymywać swoje skłonności w tajemnicy i funkcjonować w całkowicie odmiennym świecie.

— Nie musiała ich ukrywać przed mężem i córką, ponieważ panicznie się jej bali. Całkowicie ich sobie podporządkowała — tłumaczył Walter. — Nie odczuwała wyrzutów sumienia, nie wstydziła się swoich pragnień. Wszyscy dokoła szukali swojego prawdziwego ja, tymczasem ona już wiedziała, kim jest.

Skłonność do tortur rozwijała się powoli, a ich poziom ulegał eskalacji z upływem miesięcy i lat.

426

— Skłonności do okaleczania ciała, którego skutki widać na tych fotografiach, są charakterystyczne dla czegoś, co fachowo nazywa się perwersyjnością polimorficzną. Obrażenia występują na całej powierzchni ciała, żaden obszar nie jest jakoś szczególnie wyróżniony. Miej na uwadze, że chłopiący penis nie może w żaden sposób zaspokoić kobiety. Tym, co sprawia rozkosz osobnikom należącym do tego najpoważniejszego i najbardziej skomplikowanego typu, jest sam proces zabijania. Stąd bierze się potrzeba systematycznego zadawania tortur. Za każdym razem, kiedy go w jakiś sposób okaleczała, fantazjowała o ostatecznej śmierci, próbując jednocześnie doprowadzać go coraz bliżej granic wytrzymałości.

Prawdopodobnie mu czytała. Przyjemność musiała sprawiać jej baśń o Jasiu i Małgosi, ponieważ ta oklepana historyjka, przynależąca normalnie do literatury dziecięcej, znalazła urzeczywistnienie w jej własnym domu.

— Wstawaj, leniwa dziewucho, idź po wodę i ugotuj coś dobrego dla twojego brata! Siedzi w komórcie i ma tam utyc, a jak już będzie tłusty, to go zjem.

Małgosia zaczęła gorzko płakać, ale na darmo, musiała robić to, czego żądała wiedźma*.

Poddając Jonathana torturom, miała możliwość zadawania powolnej śmierci mężczyźnie, który nie był jeszcze w pełni dojrzały. Unicestwienie go byłoby szczytem seksualnej rozkoszy, niemniej odsuwała ten moment na później, coraz bardziej uprzedmiotawiając chłopca.

— W jej głowie zrodziło się wyobrażenie o istocie całkowicie podporządkowanej, wystraszonej, uprzedmiotowionej, po czym zaczęła to wyobrażenie niszczyć, zamieniając go w zabawkę. Na tym śliczniutkim chłopczyku mogła wyładowywać wszystkie frustracje związane z niepowodzeniami, których doświadczała w prawdziwym życiu.

Zdeformowanie głowy wskazywało, że musiała ją mocno ścisnąć rękami, narzędziami lub w imadle, pozbawiając go całkowicie możliwości

* W. i J. Grimm, *Baśnie dla dzieci i dla domu*, t. i, tłum. E. Pieciul-Karmińska, Poznań 2010, s. 93.

427

ruchu. Prawdopodobnie często na różne sposoby go unieruchamiała, wiązała, chłostała. Z pudełka wyjmowała go tam, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Wykorzystywała go do zaspokajania się, doprowadzała się do orgazmu.

Gardziła nim z powodu jego niewinności, młodego wieku i wad rozwojowych.

— Prawdopodobnie był upośledzony umysłowo, miał blizny po zabiegach chirurgicznych wykonywanych w pierwszym roku życia, więc i tak był już spisany na straty. Jego biologiczni rodzice musieli mu powtarzać, że w każdej chwili mogą się go pozbyć. Tymczasem ona wiedziała, czego pragnie. Zamiast wibratora lub plastikowej lalki, których wtedy jeszcze nie produkowano, sprawiła sobie żywą zabawkę erotyczną. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Teraz rozumiesz, w jaki sposób mordercy z tej kategorii postrzegają innych. Inni ludzie dla nich po prostu nie istnieją. Kiedy w gazetach ukazały się mrożące krew w żyłach artykuły o Chłopcu w Pudełku, czytała je uważnie, rozkoszując się ich treścią. W bibliotece i kościele mówiła do innych: „Czy to nie okropne, co się przydarzyło temu biedactwu?”. Coraz bardziej rozpierało ją poczucie własnej wszechmocy — podniosła rękę nie tylko na chłopca, ale też na wydział policji oraz całą Filadelfię, a zwłaszcza swoją dzielnicę Main Line.

Kiedy chłopiec zginął, matka Mary zdążyła już zejść na jeden z niż-

szych poziomów Podwójnej Spirali — fizycznego krępowania i dyscyplinowania. Chłopiec leżał związany, przykuty łańcuchem, unieruchomiony w pudełku. Nie sposób przewidzieć, kiedy zeszlaby jeszcze niżej. Być może za kilka tygodni, lat, ale równie dobrze za kilka godzin. Nakłucia na ciele Jonathana wskazywały, że kolejny etap — piqueryzm — już się rozpoczął. Pewnego popołudnia 1957 roku matka Mary z sadystki przeistoczyła się w morderczynię. Po latach stopniowania przyjemności musiała niespodziewanie odkryć rozkosz płynącą z mordu, a Walter nie miał wątpliwości, że w niedługim czasie znalazłaby sobie nową ofiarę i pozbyła jej się znacznie szybciej. Jego zdaniem bibliotekarka z Main Line stawała się serijną morderczynią.

Przepełniająca ją nienawiść do niewinności nie wygasła, na co Walter miał bardzo mocny dowód. Niedługo przed śmiercią starzejąca się matka

428
poprosiła Marię, wtedy młodą kobietę, aby raz jeszcze pozwoliła jej zażyć z nią rozkoszy seksualnej. Córka odmówiła, co doprowadziło matkę do wściekłości.

— Wynikałoby z tego, że matka Marii popełniła morderstwo doskonałe — stwierdził Walter. — Ta hipoteza ma tylko jedną wadę.

Zaciągnął się głęboko papierosem.

— Ona tego nie zrobiła.

W panującym w salonie półmroku Stoud dostrzegł chłodny uśmiech na twarzy Waltera.

— Ale ja wiem kto.

Rozdział 54

Czasomierz z bananów

Późnym wieczorem w niedzielę poprzedzającą Boże Narodzenie 2004 roku Walter siedział w swoim domu, popijając wino i oglądając w telewizji zawody mieszanych sztuk walki. W pewnej chwili zadzwonił telefon.

W słuchawce rozległ się głos funkcjonariusza policji z Hudson w stanie Wisconsin, małego miasta nad rzeką St. Croix na zachód od metropolii Minneapolis-Saint Paul. Policjant zapytał, czy nie dzwoni za późno. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

— Nic się nie stało — powiedział Walter.

— Erickson nie żyje.

— Proszę ?

— Jego ciało znaleziono w kościele.

Walter słuchał w milczeniu. Dwa tygodnie wcześniej pojechał do Hudson, aby pomóc lokalnej policji w rozwiązaniu najśłynniejszej niewyjaśnionej sprawy w historii miasteczka — podwójnego morderstwa w domu pogrzebowym O'Connell, do którego doszło niemal dziesięć lat wcześniej. 5 lutego 2002 roku trzydziestodwuletni przedsiębiorca pogrzebowy Dan O'Connell, jeden z prominentnych obywateli Hudson, oraz dwudziestodwuletni student James Ellison, odbywający praktykę u O'Connella, zostali zastrzeleni w biały dzień w domu pogrzebowym. Morderstwo wprawiło w osłupienie policję — równie dobrze na rzece mógłby wylądować statek kosmiczny pełen zielonych ludków. Mieszkań-

cy Hudson stykali się z takimi historiami jedynie w telewizji albo czytali o nich w gazetach.

Zamordowani mężczyźni byli porządnymi ludźmi. Nie mieli wrogów, nie wdawali się w ciemne interesy w rodzaju handlu narkotykami. O'Connell był jednym z najpoważniejszych biznesmenów w Hudson, liderem lokalnej wspólnoty katolików, ratownikiem medycznym; udzielał się w Klubie Rotariańskim, harcerstwie i zbierał pieniądze na YMCA. Otrzymał tytuł Króla Święta Papryki Północnego Hudson. Z kolei Ellison był uczciwym młodzieńcem, słabo związanym z lokalną wspólnotą. Z domu pogrzebowego nic nie zniknęło. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dwóch zacnych mieszkańców sennego miasteczka miałyby paść ofiarą morderstwa.

Kiedy policja borykała się ze sprawą, siostra O'Connella dowiedziała się od przyjaciółki o istnieniu Towarzystwa Vidocq'a. W artykule opublikowanym przez wydawany w Minneapolis dziennik „Star Tribune” napisano, że jest to grupa „superdetektywów ochotników” i „pogromców nierozwiązanych spraw”. Podejmowali się ponoć wyjaśniania morderstw, z którymi nie potrafili sobie poradzić lokalne organy ścigania, i rozwiązywali zagadki osiemdziesięciu procent z nich. Kathleen wysłała do Towarzystwa e-mail z prośbą o pomoc. Otrzymała napisaną oficjalnym tonem odpowiedź, że Towarzystwo zajmuje się tylko tymi przypadkami, w których śledztwo toczy się od co najmniej dwóch lat. Kiedy w drugą rocznicę morderstwa policja w Hudson wciąż nie miała pojęcia, kto dokonał zbrodni, Kathleen ponownie napisała do Towarzystwa. Tym razem jej prośbę rozpatrzono pozytywnie. „Morderstwo Daniela OConnella i Jamesa Ellisona” wpisano do kartoteki Towarzystwa jako sprawę nr 133. Poruczni-

kowi policji w Hudson opłacono podróż do Filadelfii, gdzie spotkał się z członkami Towarzystwa podczas lunchu 15 kwietnia 2004 roku. Fleisher stwierdził, że sprawa wygląda na typowe zadanie dla Richarda. Walter rzeczywiście od razu się nią zainteresował i poleciał do Hudson.

Zdaniem Fleishera z ogromnego zaangażowania osób, które już wcześniej pracowały nad sprawą, zrodził się zapal „absolutnie niezbędny” do jej rozwiązania. „Mamy rodzinę zainteresowaną rozwiązaniem zagadki 431

morderstwa bliskiej osoby, wydział policji gotowy na poświęcenie dodatkowego czasu, chętnego do współpracy prokuratora oraz media zainteresowane postępowaniem w śledztwie. Do rozwiązania sprawy potrzeba wszystkich tych czynników”, tłumaczył.

Informacja o wizycie słynnego profilerów z Filadelfii trafiła na pierwszą stronę „Hudson Gazette”. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego od ucha do ucha Waltera oraz młodych policjantów, których szybko wziął pod swoje skrzydła. Profiler wykorzystał reportaż do zasiania ziarna wątpliwości w umyśle podejrzanego. „Wiemy więcej, niż morderca przypuszcza. Na jego miejscu nie kupowałbym zielonych bananów”, oświadczył, kończąc wypowiedź jednym ze swoich ulubionych powiedzonek.

Przez pierwsze dwa dni Walter zapoznawał się z aktami sprawy i rozmawiał z policjantami. Na liście podejrzanych, mimo trwającego od dwóch lat dochodzenia, wciąż figurowało siedmiu równie prawdopodobnych kandydatów. Dwaj młodzi policjanci, którzy nie odstępowali Waltera na krok, również zaczęli palić mentolowe koolisy.

— Panowie, sprawa jest jasna — oświadczył w końcu profiler. — Mordercą jest ksiądz.

Katolicki ksiądz, trzydziestojednoletni Ryan Erickson, miał oczywisty motyw, aby zamordować O'Connella. Przedsiębiorca pogrzebowy, lider wspólnoty katolików, na dzień przed śmiercią oskarżył go o molestowanie chłopców. O'Connell zasadniczo nie przepadał za Ericksonem; jego zdaniem ksiądz słabo radził sobie z kierowaniem parafią w Hudson. Groził, że jeśli zarzuty okażą się prawdziwe, doprowadzi do usunięcia kapłana ze stanowiska. Walter poprosił policjantów, aby wezwali księdza Ericksona na komendę, po czym wziął udział w przesłuchaniu. W trakcie rozmowy kapłan stracił nad sobą panowanie i wybuchnął płaczem. „To on. Podwójne morderstwo popełnia się właśnie w ten sposób: ma zaspokoić potrzebę

kontroli, usunąć zagrożenia", stwierdził później Walter.

Teraz młody policjant sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Erickson przyznał publicznie, że policja podejrzewa go o zamordowanie O'Connella i Ellisona, po czym popełnił samobójstwo. Wcześniej został przeniesiony 432

do Hurley w stanie Wisconsin, małego miasteczka nad Jeziorem Górnym, gdzie został proboszczem lokalnej parafii. Wierni, przybyli na poranną mszę w kościele Matki Boskiej Bolesnej, znaleźli jego ciało w niedzielę 19 grudnia. Przebrał się w szaty liturgiczne i powiesił w przedsionku kościoła.

Walter zagwizdał cicho.

Opiekun Sprawy nr 133, Fred Bornhofen, w ten sposób opisał ją później w kartotece Towarzystwa Vidocq'a: „Śledztwo pozwoliło na ustalenie, że głównym podejrzanym jest katolicki ksiądz. Richard Walter osobiście uczestniczył w przesłuchaniu i konfrontacji. Ojca Ericksona znaleziono powieszzonego u wejścia do kościoła. Istnieje podejrzenie, że Erickson był chorobliwym kłamcą, malwersantem, miłośnikiem broni palnej i zboczeńcem". Sprawę zamknięto.

Ale czy słusznie? Erickson zostawił list, w którym wyparł się morderstw. „Śledczy nic mi nie udowodnili. Badania wykazały, że ofiary nie zostały zastrzelone z żadnego z moich pistoletów. Na miejscu zbrodni nie znaleziono mojego DNA. Nie przedstawiono żadnych świadków, którzy widzieliby mnie opuszczającego dom pogrzebowy", napisał.

— Hmm... — mruknął Walter. — Brzmi to raczej jak argumenty obrony oskarżonego niż głos rozpaczliwego niewinnego człowieka. Ksiądz nieświadomie przyznaje się tym listem do winy. Wygląda na to, że ten rzekomo pobożny człowiek wiódł podwójne życie, skrywając przed wiernymi żałosne tajemnice. Kiedy zagrożono mu ujawnieniem maskarady, popełnił morderstwo, próbując uniknąć odpowiedzialności, a kiedy i to nie rozwiązało sprawy, popełnił samobójstwo.

— Uważa pan, że powinniśmy coś zrobić? — spytał policjant. Erickson był wcześniej głównym podejrzanym w sprawie; jakie konsekwencje mogło mieć jego samobójstwo? Policja chciała rozwiązać wszelkie wątpliwości i zamknąć dochodzenie. Walter wpadł na oryginalny pomysł: należy pośmiertnie osądzić podejrzanego.

— Zacznijmy jednak od najważniejszego: księdzu należy się krzyżyk na drogę.

Młody funkcjonariusz uśmiechnął się pod nosem. Żaden mundurowy z Hudson nie zetknął się wcześniej z kimś takim jak Walter.

433

— A tak na marginesie, w mieszkaniu księdza znaleźliśmy kiść dojrzałych bananów. Wiemy jednak, że nie przepadał za tymi owocami.

Walter zachichotał.

— Przeczytał artykuł i przyjął wyzwanie. Ale wygląda na to, że miałem rację. Czas mierzony bananami nie okazał się dla niego łaskawy.

Rozdział 55

Cud na South Street

Bender szedł brzegiem jeziora. Był słoneczny dzień. W pobliskim lesie dostrzegł białego cadillaca obrośniętego powojami. Klapa bagażnika sterczała do góry. Podeszedł bliżej. Samochód miał stare tablice rejestracyjne z New Jersey w kolorze żółtkniętych zębów. Czarnymi drukowanymi literami w stylistyce lat trzydziestych XX wieku napisano na nich przydomek stanu: garden state. Numer rejestracyjny niemal zupełnie się zatarł; nie sposób go było odczytać. Bagażnik był pusty, Bender dostrzegł za to wyraźne ślady krwi na obciążonej materiałem kierownicy. Wrócił nad jezioro i wszedł na wąski drewniany pomost. Tuż pod powierzchnią płytkiej, niebieskozielonej wody unosił się na plecach mężczyzna. Nagie ciało było opuchnięte, czarne włosy falowały unoszone prądem. Na czole widniał czerwony otwór po kuli. Szeroko otwarte jasnoniebieskie oczy wpatrywały się w Bendera.

— Pomóż mi — wołały bezgłośnie usta mężczyzny. — Pomóż mi.

Bender wybudził się ze snu. Godzinę później zadzwonił do niego znajomy lekarz sądowy z New Jersey. Potrzebował pomocy przy identyfikacji ciała.

— Topielca?

— Skąd wiesz?

— Przyśniło mi się. Mężczyzna w wodzie. Dam ci znać, jak coś ustalę. „A ustalę, jak z nim ponownie porozmawiam”.

435

Bender spotykał się ze zmarłymi w snach. Czuł się swobodnie w ich towarzystwie, jakby przebywał w gronie najbliższych. Nawoływali go, chronili, witali z otwartymi ramionami — a najczęściej błagali o pomoc. Bender nie zastanawiał się nad źródłem tego daru, tylko po prostu z niego korzystał. Człowiek musi robić to, do czego został stworzony; dlate-

go właśnie w młodości gardził formalną sztuką, obrazami wieszanymi na ścianach. Był rzecznikiem zmarłych, głosem niemych istot stojącym na granicy światów.

Opowiedział Walterowi o mężczyźnie w wodzie. Profiler skrzywił się z niesmakiem.

— Frank, wiesz przecież, że zabójstwa zlecane przez mafię zwykle mnie nie interesują. Lubię wyzwania. Porachunki mafijne wyglądają zawsze tak samo. Ludzie rywalizują o wpływy, a tyle w tym subtelności, co w przywaleniu komuś łomem w łeb.

Benderowi przestał się śnić mężczyzna w jeziorze, ale zastąpili go inni zmarli: dziewczyna w zabytkowym kufrze, mężczyzna wiszący na drzewie, chłopiec postrzelony w skroń. Nie dawali mu spokoju w nocy i próbowali zagarnąć dla siebie również dni. Zbliżający się do siedemdziesiątki Bender coraz wyraźniej przenikał wzrokiem mroczną rzeczywistość snów, zupełnie jakby był instrumentem, który z upływem czasu wydawał z siebie coraz czystszy dźwięk. Z wiekiem przyszła również pokora i nieufność wobec niezwykłego daru. Niewytłumaczalne źródło jego wiedzy budziło w nim czasem grozę. Kiedyś podczas pracy nad statuą policjanta, która miała stanąć w parku w New Jersey — jako pomnik ku czci funkcjonariuszy poległych na służbie — niechętnie zgodził się umieścić na niej numer odznaki chłopaka pełniącego rolę modelu. „Ostrzegałem go, że to niebezpieczne. Chodziło o pomnik ku czci zmarłych. Miałem poczucie, że nic dobrego z tego nie wyniknie”. Niedługo potem młody policjant zginął. Bender nigdy nie używał pojęcia „medium” — natychmiast straciłby wszystkie zlecenia. Policjanci i racjoniści pokroju Waltera byli potwornymi hipokrytami: szydzili z jasnowidzów, chyba że ich przewidywania mogły im akurat pomóc w doprowadzeniu sprawy do spektakularnego zakończenia. Nikt nie był mocniej zanurzony w cielesności od Bendera, ale nie ona była dla niego najważniejsza.

436

Tamtego lata po raz pierwszy w życiu zaczął się modlić. U Jan zdiagnozowano nieuleczalny nowotwór. Bender był gotów na wszystko, byle tylko ją-ocalić.

Jan zachorowała na raka płuc, choć nigdy nie paliła papierosów. Szybko wystąpiły przerzuty. Odeszła z pracy, chemioterapię przerwała już po przyjęciu pierwszej dawki. Szkoda zachodu, stwierdziła. Po przeprowadzeniu szczegółowych badań lekarze z dwóch szpitali orzekli, że zostało

jej kilka tygodni, być może miesięcy. Bender tulił ją przez wiele bezsen-nych nocy wypełnionych potwornym bólem. Morfina nie przynosiła ulgi. Jan zamierzała przeprowadzić się do hospicjum.

Współpracownicy Bendera bardzo to przeżyli. Fleisher się rozplakał. Wszyscy otrzymali nagle namacalny dowód swojej śmiertelności. Liczą-
ce sobie siedemnaście lat Towarzystwo Vidocqa zaczynało tracić wetera-
nów. Szanowany patolog Halbert E. Fillinger junior, przez wielu uważany
za uosobienie najszlachetniejszych wartości Towarzystwa, zmarł w lipcu
2006 roku w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat na chorobę Parkinso-
na. Fillinger wykonywał swój zawód przez ponad czterdzieści lat; w tym
czasie przeprowadził ponad pięćdziesiąt tysięcy sekcji zwłok i pomógł
w schwytaniu setek morderców. Jego odejście oplakiwali koledzy z całe-
go kraju. Tydzień przed śmiercią nadal wykonywał obowiązki lekarza są-
dowego hrabstwa Montgomery.

Wyjaśnienia tajemnicy Chłopca w Pudełku nie doczekał również ofi-
cer śledczy Samuel Weinstein. W 1957 roku jako pierwszy przyjechał na
łąkę, gdzie znaleziono zwłoki niezidentyfikowanego dziecka, a w Towa-
rzystwie przewodniczył specjalnemu zespołowi prowadzącemu śledztwo
w tej sprawie. Zmarł w maju 2004 roku. W mowie pogrzebowej Fleisher
nazwał go „prawdziwym człowiekiem pośród ludzi”. Ten weteran drugiej
wojny światowej przez trzydzieści pięć lat służył w filadelfijskiej policji
oraz siedmiokrotnie zgłaszał się na ochotnika do Sił Obronnych Izraela,
w tym do dywizji pancерnej. Jeszcze jako siedemdziesięciolatek skakał ze
spadochronem. „Spoczywaj w pokoju, przyjacielu. Jesteś już w lepszym
świecie”, powiedział Fleisher.

Ressler, jeden z pionierów nowoczesnych metod tworzenia profili psy-
chologicznych przestępców, zapadł na gwałtownie postępującą postać
437

choroby Parkinsona. Walter był w najwyższym stopniu strapiony. Ressler
poruszał się na wózku inwalidzkim i nie mógł nawet podejść do telefo-
nu; Keppel, z którym Walter napisał swoją najsłynniejszą pracę, przeszedł
poważną operację serca i również musiał zwolnić obroty. Jego koledzy
z pierwszego pokolenia wielkich amerykańskich psychologów sądowych
byli ciężko chorzy lub umierali. „Jeszcze chwila i nie będę miał z kim roz-
mawiać”, martwił się Walter.

Fleisher stracił przytomność za kierownicą, jadąc z prędkością stu kilo-
metrów na godzinę autostradą w północnej części stanu Nowy Jork. W sa-

mochodzie znajdowały się jego żona i dwie córki. Świadomość odzyskał w ostatniej chwili, ale coraz bardziej niepokoił się zarówno swoim zdrowiem, jak i nadwagą.

Każdej zimy Walter tracił całe dni z powodu problemów z płucami. Lekcje udzielane Stoudowi nabrały nowego sensu. Szczupły profiler przeczuwał, że przyjdzie mu wkrótce zapłacić za kilkadziesiąt lat nałogu. Walter szczególnie mocno przeżywał walkę z chorobą, którą toczyli Jan i Frank.

— Frank, nie będę się za ciebie modlił, bo to nie w moim stylu — powiedział — ale upiekę ciastka i przyjadę do Filadelfii. Zapalimy sobie, wypijemy i będziemy się we trójkę cieszyć życiem. Będzie wspaniale, zobaczysz.

W lipcu 2007 roku Bender ukończył jedyne zlecenie, jakie wziął podczas choroby Jan. Jak na ironię maska pośmiertna okazała się jednym z największych osiągnięć w jego karierze.

Kościół rzymskokatolicki zamówił u niego maskę pośmiertną świętego Jana Nepomucena Neumanna, biskupa Filadelfii z XIX wieku, pierwszego amerykańskiego świętego płci męskiej. Neumann zmarł w 1860 roku i został pochowany w krypcie kościoła św. Piotra na rogu Piątej i Girard Avenue. Teraz, dla upamiętnienia dwustulecia archidiecezji filadelfijskiej, ciało ubrano w nowe szaty liturgiczne, na palec założono pierścień biskupi, na piersiach położono pektorał, a twarz przykryto maską.

Ciało świętego, od którego śmierci minęło sto czterdzieści siedem lat, ubrane w biskupią mitrę i białą szatę spoczywa w jasno oświetlonej,

438

szklanej gablocie w krypcie pod ołtarzem starego neobarokowego kościoła św. Pawła. Tysiące przybywających do sanktuarium pielgrzymów przyciskają dłonie do szyby i proszą o wstawiennictwo, łaski i cuda. Ze szczątków świętego pobrano przed laty kilka kostek, które pocięto na mikroskopijne kawałki i umieszczono w szklanych pojemniczkach. Wielu księży nosi te relikwie przy sobie, niekiedy wprawione w krzyż.

Bender, który czuł się, jakby został Michałem Aniołem wykonującym zlecenia dla papieża, musiał otrzymać specjalne pozwolenie od Watykanu na dotknięcie szczątków świętego. Kardynał Justin Rigali, arcybiskup Filadelfii, nadzorował otwarcie trumny oraz wymianę szat liturgicznych. Bender miał odtworzyć twarz Neumanna na podstawie jednej jedynej dziewiętnastowiecznej fotografii.

Tego ranka raz jeszcze musnął palcami zarys gipsowej twarzy. Ogarnęło go znajome, trudne do opisanie poczucie obcowania z najgłębszą tajemnicą. Owszem, nie była to twarz Boga, ale miliony pielgrzymów z całego świata nie mogły liczyć na nic lepszego.

Bender był zadowolony ze swojego dzieła. Redemptorysta Kevin Moley, pastor kościoła św. Piotra, miał przyjść tego dnia do pracowni, aby obejrzeć postępy w pracach nad maską. Bender uwielbiał rozmawiać z ojcem Moleym o cudach przypisywanych świętemu Janowi Nepomucenowi. Już kilka dni po śmierci biskupa w 1860 roku katolicy zaczęli modlić się przy jego grobie. Rozeszła się wieść, że u zmarłego można wyprosić łaski, a nawet cuda. Chociaż epidemie tyfusu i cholery z 1891 i 1900 roku zabiły tysiące filadelfijczyków, ich ofiarą nie padł ani jeden parafianin kościoła biskupa Neumanna.

Według ojca Moleya pierwszy z trzech udokumentowanych cudów, które doprowadziły do kanonizacji biskupa, zdarzył się w 1923 roku we włoskiej miejscowości Sassuolo. Jedenastoletnia Eva Benassi, cierpiąca na nieoperowalne zapalenie otrzewnej, otrzymała ostatnie namaszczenie. Lekarze podejrzewali, że nie dotrwa do rana. Zakonnica modląca się przy łóżku Benassi dotknęła jej brzucha obrazkiem przedstawiającym Neumanna — jeszcze tej nocy zapalenie otrzewnej ustąpiło.

Drugi cud zdarzył się w Villanova, jednej z miejscowości należących do Main Line, zamożnych przedmieść Filadelfii. 8 lipca 1949 roku 439

dziewiętnastoletni Kent Lenahan jechał na stopniu samochodu. W pewnej chwili pojazd uderzył w słup telefoniczny. Chłopiec wyszedł z wypadku z pękniętą czaszką, złamanym obojczykiem i przebitym płucem. Przyjęto go do szpitala Bryn Mawr w stanie śpiączki, a lekarze orzekli, że nie potrafią mu pomóc. Stan Kenta zaczął się poprawiać od chwili, gdy jego rodzice odmówili modlitwę w krypcie Neumanna, a następnie dotknęli syna relikwią — skrawkiem materiału z sutanny biskupa. Miesiąc później chłopiec opuścił szpital na własnych nogach.

W 1963 roku u sześciolatniego Michaela Flanigana z Filadelfii wykryto mięsaka Ewinga, praktycznie nieuleczalną odmianę nowotworu. Zdaniem lekarzy niewielkie były szanse, by wyzdrowiał. Rodzice zaprowadzili go do grobu Neumanna, gdzie ksiądz z parafii św. Piotra pobłogosławił dziecko i przyłożył do jego ciała krzyż z relikwią — kawałeczkiem kości pobranym ze szczątków świętego. Drugi oprawiony w szkło kawałek

przypięto do ubrania chorego. Sześć tygodni później nowotwór zniknął bez śladu.

Ojciec Moley przyjechał tego popołudnia na South Street w towarzystwie młodego księdza. Bender zaprezentował im niemal ukończoną maskę pośmiertną. Plany związane z uczczeniem Neumanna zajęły kościołowi prawie rok, ale teraz ojciec Moley był wniebowzięty.

— Wygląda wspaniale — oświadczył.

Do pracowni weszła Jan. Frank przedstawił ją gościom.

— Moja żona choruje na raka — powiedział.

— Mogę się za nią pomodlić? — spytał ojciec Moley.

Spojrzał na Jan, która skinęła głową.

— Będziemy wdzięczni — dodał Bender.

Pomocnik księdza przyłożył do niej relikwię świętego, malarzki odprysk kości Neumanna. Ojciec Moley położył dłoń na głowie Jan i odmówił modlitwę do świętego Jana Neumanna, prosząc go o wstawiennictwo u Jezusa Chrystusa. Modlitwa kończyła się słowami: „Niech śmierć nas spotyka, gdy kroczymy pewnie do Domu naszego Ojca przepelnieni światłem żywej Wiary”.

Jan poczuła rozplywające się po jej ciele ciepło. „Nie przypominało błyskawicy, ale raczej coś miękkiego”, opowiadała.

440

Po kilku dniach bóle zaczęły ustępować. Jan wstała z łóżka i wróciła do pracy. Sześć tygodni później kolejne testy potwierdziły to, co wydawało się niemożliwe: nowotwór całkowicie zniknął. Lekarze nie potrafili tego wytłumaczyć. Lokalny oddział telewizji NBC nazwał przypadek Jan „medycznym cudem”. Benderowie płakali z radości. Jan uważała, że uratowało ją oddanie męża oraz wysiłek, jaki włożył w przygotowanie wizerunku świętego Jana Neumanna. Zdaniem ojca Moleya święty Jan Neumann być może wstawił się za nią w podziękę za wspaniałą maskę wyrzeźbioną przez Bendera.

Uradowany Fleisher podzielił się dobrymi wieściami z Towarzystwem Vidocqa. Jak zawsze sceptyczny Walter nie wierzył w interwencję świętego. Za niestosowne i niezrozumiałe uznał to, że Bender opowiadał o chorobie żony w mediach.

Rozdział 56

Rycerze okrągłych stołów

Richardowi Walterowi powoli kończyło się wino. Z narastającą irytacją

słuchał kobiety paplającej o głupotach. Licząca sobie dwieście pięćdziesiąt lat rezydencja Pen Ryan — wzniesiona na zachodnim brzegu rzeki Delaware, w pierwszej dzielnicy ekskluzywnych domów w Stanach Zjednoczonych — emanowała żółtym blaskiem. Muzyka i śmiech wylewały się na dwór i ginęły w ciemnościach opasujących szeroki, schodzący w stronę rzeki trawnik. Przybyłe na bal damy zostały powitane recitalem kwartetu smyczkowego, wysokim kieliszkiem szampana oraz różą, którą wręczał im uśmiechnięty agent federalny, prowadzący na co dzień śledztwa przeciwko bossom narkotykowym. Mężczyźni powtykali beretty i glocki pod poły marynarek i smokingów. Kobiety zostawiły przyborniki do pobierania próbek DNA i krwi w domach, a na przyjęcie przyszły w wieczorowych kreacjach i perłach.

Walter bez słowa wykręcił się na pięcie i odszedł. Kobieta, z którą jeszcze przed momentem rozmawiał, z otwartymi ustami wpatrywała się w sztywną postać błyskawicznie znikającą w tłumie.

— Mój Boże! Poszedł sobie w połowie zdania!

— Nie przejmuj się — odparła jej towarzyszka. — To u niego normalne.

Żadne przyjęcie nie mogło się równać z dorocznym balem Towarzystwa Vidocqa, ukoronowaniem sezonu towarzyskiego dla kilkudziesięciu osób, które na co dzień zajmowały się ściganiem przestępców. Kobiety

442
przychodziły w eleganckich sukniach, mężczyźni obowiązkowo w smokingach.

— To jedyna okazja, aby zobaczyć Franka Bendera w smokingu — stwierdził Bill Fleisher. Prezes Towarzystwa wyglądał niezwykle reprezentacyjnie, paradując po sali z orderem z podobizną Vidocqa zawieszonym na szyi na trójkolorowej wstędze. Kieliszkiem szampana wzniosł toast za sukces przyjaciela, który doprowadził do identyfikacji młodej kobiety z Kolorado. Jej ciało zostało znalezione w 1954 roku przez turystów przemierzających jeden z kanionów nieopodal miasta Boulder. Dzięki wysiłkom członków Towarzystwa Vidocqa zidentyfikowano być może kolejną ofiarę Harveya Glatmana, zwanego Mordercą Samotnych Serc z Los Angeles.

Fleisher spontanicznie wyściskał Bendera. Walter stał na uboczu, z niesmakiem obserwując tego rodzaju publiczną wylewność. Ubrany w klasyczny smoking, wyglądał jak wymizerowany sobowtór Holmesa

z rysunków Sidneya Pageta, ilustratora opowiadań Arthura Conan Doylea publikowanych w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku w czasopiśmie „The Strand”. Nikt nie miał odwagi mu tego powiedzieć. W październikową niedzielę 2009 roku przy okrągłych stołach zgromadzili się detektywi ze Stanów Zjednoczonych, Europy i Bliskiego Wschodu. Nie mieli tego dnia oglądać makabrycznych fotografii ofiar morderstw ani przeglądać raportów z sekcji zwłok. Zamiast nich na stołach ustawiono butelki wina i bukiety alstremerii. W ten jeden wieczór w roku Salę Morderstw zamieniano w salę balową, a goście przybywali na spotkanie w celach wyłącznie towarzyskich.

Fleisher przygotowywał się do balu z taką powagą, jakby miał wygłosić orędzie o stanie państwa. Kiedy goście posilili się żeberkami i łososiem, zjedli ciasto, wypili kawę oraz kilka kolejek wina i whisky, Fleisher rozpoczął ceremonię wręczenia prestiżowego Medalu Honoru Towarzystwa Vidocq'a. Organizowany corocznie bal był okazją do podsumowań, spojrzenia w przeszłość i przyszłość. Przez niemal dwadzieścia lat Fleisher wypełniał swoje obowiązki z dumą, radością i optymizmem. Na jego oczach przekształcili się z klubu towarzyskiego dla detektywów w walczącą z przestępczością organizację o zasięgu międzynarodowym.

443

Towarzystwo Vidocq'a zostało wymyślone przez trzech panów, którzy wybrali się kiedyś razem na lunch. Dziś liczyło osiemdziesięciu dwóch członków tytularnych oraz niemal drugie tyle współpracowników. Wspólnie zbadali ponad trzysta morderstw; wykryli sprawców dziewięćdziesięciu procent z nich. Służyli radą policji albo od razu wskazywali nazwisko mordercy. Fleisher potrafił wymienić znacznie bardziej konkretne rezultaty działalności Towarzystwa: aresztowania i wyroki sądowe, a także psychologiczne wsparcie dla rodzin ofiar — uchronili wiele osób przed depresją, a niektórych może nawet przed samobójstwem. Działali na rzecz prawdy. Ajschylos twierdził, że prawdę można zawsze wyrazić prostymi słowami. Podobnie dokonania Towarzystwa Vidocq'a zamykały się w kilku fundamentalnych kategoriach: odnajdywania zaginionych, identyfikowania bezimiennych, karania sprawców, zdejmowania win z niesłusznie oskarżonych. Członkowie Towarzystwa byli pomocnikami żywych i rzecznikami umarłych.

Fleisher, Bender i Walter usiedli przy oddzielnych stołach, chcąc w ten sposób uhonorować demokratyczną naturę stowarzyszenia, ale kto choć

raz zobaczył ich stojących razem pośrodku wielkiej sali, udekorowanych wykonanymi przez Bendera medalami z brązu ozdobionymi wizerunkiem ich patrona (przyznawanymi przez samo Towarzystwo za szczególne zasługi), dostrzegając natychmiast wyjątkowy charakter ich znajomości, będącej w istocie sercem całej rodziny Vidocq'a.

Rodziny, która się nieustannie powiększała. Jim Dunn, obecnie tytularny członek Towarzystwa, podzielił się ze wszystkimi wiadomością, która sprawiła mu największą radość — morderczyni jego syna miała pozostać w więzieniu do 2013 roku. Walter napisał w liście do Teksaskiej Komisji Zwolnień Warunkowych, że Leisha Hamilton, odmawiając ujawnienia informacji o losach szczątków Scotta, dowiodła, że dla niej morderstwo jeszcze się nie zakończyło! Jest pozbawioną wyrzutów sumienia psychopatką; jej potrzeba stymulacji i podboju pozostaje nienasycona. Po wyjściu z więzienia zaczęłaby szukać nowych ofiar. „Jeżeli Hamilton w przyszłości zawnioskuje o zwolnienie warunkowe, sugeruję ponowne zapoznanie się z treścią tego listu”.

444

Dunn i Walter zamierzali nadal zabiegać o to, aby Hamilton mogła wyjść z więzienia dopiero w 2017 roku, czyli po odsiedzeniu całych dwudziestu lat. Dunn, pod wpływem żony i Waltera, próbował stopniowo wygaszać w sobie gniew i żądzę sprawiedliwej zemsty.

Walter świetnie wiedział, co doradzać innym, tymczasem sam nie potrafił stłumić w sobie pragnienia posłania za kratki trzeciego mordercy Scotta Dunna, który przez wszystkie lata pozostawał w cieniu. „Przypomniałem Jimowi, że skończyłem z wyróżnieniem szkołę imienia Pana Zemsty. W takich sprawach jestem długodystansowcem”.

Na balu brylowali specjaliści od opowiadania ciekawych historii. Walter dysponował niewyczerpanym zasobem dykteryjek. Wiele lat wcześniej otrzymał dziwną przesyłkę od Mike'a Rodellego. Prywatny detektyw z New Jersey rzekomo odkrył tożsamość najbardziej tajemniczego seryjnego mordercy w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych — Zodiaka, który w 1968 i 1969 roku zabił pięcioro Kalifornijczyków. Morderca drwił z policji, wysyłając do gazet zaszyfrowane wiadomości. Walter początkowo sceptycznie podszedł do rewelacji prywatnego detektywa, ale że od lat z nim współpracował, a nawet udzielał mu rad, przeczytał uważnie cały list i doszedł do wniosku, że mężczyzna rzeczywiście rozwiązał zagadkę. Wbrew powszechnemu sądowi Zodiak żył. Był starszym panem, dość

zamożnym, mieszkał w Kalifornii i wciąż mógł rozkoszować się wspomnieniami słynnych morderstw. Mało kto podważał osądy Waltera. Przez wiele lat współpracował również z innym detektywem amatorem, kierowcą ciężarówki z Ohio Robertem Mancinim. Zdaniem Waltera znalazł on rozwiązanie sprawy, z którą nie poradził sobie sam Eliot Ness. Mancini ustalił tożsamość Rzeźnika z Cleveland (kilka lat wcześniej sprawą zajmowało się Towarzystwo Vidocqa). Mordercą był nieżyjący od dawna pracownik kolei, sadysta seksualny. W każdej z tych spraw sprawiedliwość przybrała inną postać.

— A opowiadałem wam, jak zabiłem prokuratora? — spytał Walter.

Przed laty na zlecenie Towarzystwa Vidocqa pojechał do Oklahomy, aby spotkać się z prokuratorem stanowym, który z pobudek politycznych nie chciał przeprowadzić śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa. Walter

445
zażądał, aby wniósł oskarżenie przeciw podejrzanemu. Prokurator odparł: „Odwal się pan i wypieprzaj z mojego stanu”. Walter na to: „Mógłbym równie dobrze załatwić tę sprawę z pominięciem pańskiej osoby, wolę jednak dać panu szansę na opamiętanie się. Zadzwońię trzy dni po Święcie Dziękczynienia, a jeśli do tego czasu nie zmieni pan zdania, porozmawiamy sobie jak mężczyzna z małym chłopcem”. Prokurator zmarł na zawał serca jeszcze przed Świętem Dziękczynienia. „Wspaniała wiadomość!”, ucieszył się Walter, kiedy pracownik biura prokuratora stanowego przekazał mu tę informację. „Z kim tym razem będę miał do czynienia?”. Fleisher zadzwonił do gubernatora Oklahomy, dobrego znajomego. Efektem rozmowy był „niezwykle chętny do współpracy prokurator. Sprawę rozwiązaliśmy”, wspominał Walter.

Walter dobiegał siedemdziesiątki. Co roku w zimie coraz mocniej podpadał na zdrowiu. Nie zamierzał jednak zwalniać tempa.

— A opowiadałem wam, jak zabiłem księdza? — spytał.

Sprawa podwójnego morderstwa z Hudson w stanie Wisconsin należała do jego ulubionych. Po samobójstwie katolickiego księdza Ryana Ericksona, którego Walter wskazał jako głównego podejrzanego, policja postanowiła pójść za radą profilerów i rozstrzygnąć o winie zmarłego duchownego przed sądem. Podczas niecodziennej rozprawy w październiku 2005 roku Erie Lundell, sędzia sądu hrabstwa St. Croix, orzekł, że ksiądz rzeczywiście popełnił podwójne morderstwo. Jedna z ofiar zamierzała ujawnić jego pedofilskie skłonności. Prawnik księdza odmówił uczestnic-

stwa w rozprawie, zapewniając o niewinności zmarłego klienta. O winie rozstrzygał sam sędzia — nie powołano ławy przysięgłych.

Prokuratura przedstawiła piętnastu świadków. Młody mężczyzna zeznał, że w latach 2000 i 2001, kiedy był jeszcze nastolatkiem, ojciec Ryan wielokrotnie podawał mu alkohol i go molestował. Inny świadek widział samochód podobny do tego, którym jeździł Erickson, zaparkowany przed domem pogrzebowym w czasie, gdy doszło do morderstwa. Oficerowie śledczy z policji opowiedzieli, że Erickson podał im szczegóły miejsca zbrodni, które mógł znać jedynie zabójca, na przykład liczbę wystrzelonych pocisków (trzy) i umiejscowienie otworów po kulach w ciałach ofiar (głowa). Diakon miejscowego kościoła zeznał, że Erickson w jego

446
obecności przyznał się do winy: stał zamyślony przy oknie i w pewnym momencie wyrzucił z siebie: „To ja zrobiłem. Złapią mnie... Wiesz, jaki los spotyka w więzieniu młodych mężczyzn, zwłaszcza księży?”.

Sędzia Lundell napisał w uzasadnieniu: „Wynika z tego, że Ryan Erickson prawdopodobnie dopuścił się zarzucanej mu zbrodni. W skali od jednego do dziesięciu jestem o tym przekonany na dziesięć”. Za rozwiązanie sprawy podwójnego morderstwa w domu pogrzebowym O'Connela kilku funkcjonariuszom policji z Hudson przyznano Medal Honoru.

Fleisher był szczególnie dumny z wkładu członków Towarzystwa w rozwiązanie sprawy Marie Noe oskarżonej o zamordowanie ośmiorga własnych dzieci. Trzy miesiące po aresztowaniu, w czerwcu 1999 roku, siedemdziesięcioletnia, poruszająca się o lasce Marie Noe przyznała się do dzieciobójstwa. Sprawę relacjonowały ogólnokrajowe media, a policjanci i lekarze sądowi zaczęli ponownie przyglądać się przypadkom, które wcześniej uznano za skutek zespołu nagłego zgonu niemowląt, czyli śmierci łóżeczkowej.

Arthur, mąż Marie, siedział w milczeniu na sali sądowej, kręcąc z niedowierzaniem głową, gdy wyczytywano imiona ich ośmiorga dzieci.

Prokurator scharakteryzował jego żonę jako wielokrotną morderczynię pokroju Teda Bundy ego. obrońca, David Rudenstein, twierdził, że Marie „nie ma natury mordercy. To jeden z tych przypadków, które uzmysławiają nam, że jesteśmy tylko ludźmi. Czasami popełniamy czyny, których nie sposób wytłumaczyć”.

Sąd potraktował Marie jak godną pożałowania staruszkę, a nie psychopatyczną morderczynię. Nie skazano jej na karę więzienia: na mocy umo-

wy z prokuratorem, który wziął pod uwagę kłopoty zdrowotne Arthura, otrzymała dwadzieścia lat nadzoru sądowego i pięcioletni zakaz opuszczania domu (w tym co najmniej rok z monitoringiem elektronicznym). Nakazano jej również poddanie się psychoterapii. Umysł Marie uznano za interesujący przypadek wart naukowego zbadania pod kątem motywacji prowadzących do dzieciobójstwa. „Wiem tylko, że jestem bardzo chora”, powiedziała Marie reporterom.

Towarzystwo Vidocq'a przyznało Medale Honoru dziennikarzo-
wi czasopisma „Philadelphia” Stephenowi Friedowi oraz sierżantowi
447

filadelfijskiego wydziału zabójstw Larryemu Nodiffowi za pracę przy
sprawie Noe.

Mimo radosnej atmosfery balu Fleisher doskonale pamiętał o spra-
wach, które nie miały pozytywnego finału. „Jestem Żydem. Zawsze czegoś
żałuję”, tłumaczył.

Na jednym z pierwszych miejsc listy takich spraw znajdował się przy-
padek Carol Ann Dougherty, dziewięcioletki zgwałconej i zamordowa-
nej w kościele w 1962 roku. Śledztwo prowadzone przez policję z Bristol
utknęło w martwym punkcie. Zasugerowane przez Towarzystwo bada-
nia DNA dały „niejednoznaczne” wyniki. W 1997 roku komendant Frank
Peranteau poinformował, że uznaje sprawę za zamkniętą. Podczas wstęp-
nego procesu ława przysięgłych za prawdopodobnego sprawcę uznała czło-
wieka, który został już wcześniej skazany za morderstwo w innym stanie.
O’Kane napisał w wewnętrznych aktach sprawy: „Dochodzenie zdaje się
oczyszczać z zarzutów księdza, nie zdołało jednak wyjaśnić śladów dusze-
nia”, które pasowały do jego cingulum. Nikogo w tej sprawie nie aresz-
towano.

W 2005 roku — czyli trzynaście lat po tym, jak Towarzystwo Vidocq'a
uznało księdza Sabadisha za głównego podejrzanego — ława przysięgłych
w Filadelfii umieściła go na liście sześćdziesięciu trzech księży pedofilów,
którym w minionym półwieczu tamtejsza archidiecezja pozwalała mole-
stować wiernych. W przypadku wykrycia przestępczych skłonności księ-
dza przenoszono go po prostu do innej parafii, tuszując w ten sposób setki
przypadków molestowania.

Joan McCrane zeznała w sądzie, że Sabadish molestował ją w 1960 roku
(dwa lata przed zamordowaniem Carol), kiedy miała siedem lat. Działo się
to w kościele Św. Michała Archanioła w Levittown. Zaczęło się od „łasko-

tania. Kładł mi ręce na ramionach. Następnie na klatce piersiowej. Później zaczął je wsuwać w majtki. Powiedział, że będzie to nasza tajemnica i że jeśli komuś o tym opowiem, pójdę do piekła. Milczałam, ponieważ jako mała dziewczynka byłam śmiertelnie przerażona", opowiadała.

Zanim Sabadish został w 1962 roku przeniesiony do parafii św. Marka, molestował przez dwa kolejne lata Joan oraz jej dziesięcioletniego brata, Billa Henisa. Zmuszał rodzeństwo do kontaktów seksualnych — w pewnym

okresie cotygodniowo — na plebanii kościoła św. Marka i św. Michała, u siebie w domu, w samochodzie i w domu swojej matki.

— Nienawidziłem go i się go bałem — mówił Henis. — On nie przepadał za dziećmi. Bił po twarzy, wymyślał od najgłupszych. Potrafił się wkurzyć z byle powodu. Tłumaczył, że właśnie w ten sposób okazuje mi miłość. Za każdym razem dostawałem cukierki. Miał ich zawsze pełno w schowku w samochodzie. Mówił, że umieściły je tam cukierkowe wróżki".

Sabadish nie dożył dnia, w którym ujawniono jego tajemnicę. Po okresie posługi w kościele w Norristown, w 1994 roku został po raz piętnasty mianowany proboszczem — tym razem parafii św. Stanisława w Lansdale w Pensylwanii. Później przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1999 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Wygłaszający mowę na jego pogrzebie ksiądz nazwał go człowiekiem, który „odcisnął piętno na niezliczonych duszach, zwłaszcza duszach dzieci".

Fleisher nadal uważał, że Towarzystwo Vidocq'a miało rację, a prowadząca przed laty śledztwo policja nie potrafiła powiązać ze sobą faktów. „Był winien na sto procent. Facet był potworem", twierdził. Mimo upływu czterdziestu siedmiu lat oficjalnie wciąż nie było wiadomo, kto zamordował Carol Ann Dougherty.

Wokół Bendera gromadził się coraz większy tłum. Jak zwykle wszyscy rozmawiali o najnowszych dokonaniach rzeźbiarza. Ustalenie tożsamości kobiety z Kolorado trafiło na łamy ogólnokrajowych gazet i pomogło w rozwiązaniu najstarszej sprawy, z jaką Towarzystwo Vidocq'a kiedykolwiek miało do czynienia.

Tuż przed rozpoczęciem balu Fleisher dowiedział się, że biuro szeryfa hrabstwa Boulder zidentyfikowało zwłoki znalezione przez turystów wędrujących wzdłuż brzegów strumienia Boulder 8 kwietnia 1954 roku. Należały do Dorothy Gay Howard, osiemnastoletniej blondynki, której

zaginięcie zgłoszono w Phoenix w stanie Arizona.

Członkowie Towarzystwa Vidocq pracowali nad tą sprawą od 2004 roku, kiedy biuro szeryfa wznowiło śledztwo. Do przeprowadzenia ekshumacji szczątków kobiety wysłano na miejsce dwóch szanowanych lekarzy sądowych: doktora Waltera Birkbyego, członka Towarzystwa 449

Vidocqą, antropologa sądowego zatrudnionego w Laboratorium Identyfikacji Zwłok w Tuscon w stanie Arizona, oraz patologa doktora Richarda Froede, byłego głównego lekarza sądowego Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych.

Doktor Birkby wystąpił w filmie dokumentalnym telewizji Discovery Channel *Mumie: zamrożeni w czasie*-, należał także do zespołu naukowców, który odkrył szczątki Alfreda Packera, kanibala z Kolorado, oraz pięciu zamordowanych i skonsumowanych przez niego poszukiwaczy złota. Do makabrycznych wydarzeń doszło w 1874 roku, a analiza kości ofiar wskazywała, że mężczyzna pożarł ich „w dzikim szale”.

Grób niezidentyfikowanej kobiety zapadał się stopniowo przez pięćdziesiąt lat, miażdżąc szkielet. Birkby i Froede przez dwa dni w pocie czoła wydobywali z ziemi drobne odłamki kości. Następnie przez trzy lub cztery tygodnie doktor Birkby składał z nich czaszkę kobiety, co z kolei pozwoliło Benderowi zrekonstruować twarz. Popiersie pokazano w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki-, o sprawie informowała również prasa. Po jakimś czasie z biurem szeryfa skontaktowała się Michelle Marie Fowler, twierdząc, że niezidentyfikowana kobieta mogła być jej cioteczną babką. Próbkę DNA pobrana od Roberty Marlene Howard-Ashman — żyjącej młodszej siostry zaginionej Dorothy Gay Howard, której los nie dawał krewnym spokoju, pasowała do DNA ekshumowanych szczątków. Teraz rodzina mogła ostatecznie rozliczyć się z przeszłością, co nie udawało się od pięćdziesięciu sześciu lat.

Trzy dni po balu Towarzystwa Vidocq biuro szeryfa przekazało prasie informację o ustaleniu tożsamości Howard. W komunikacie nie wymieniono nazwy Towarzystwa, ale Steve Ainsworth, oficer śledczy z biura szeryfa, powiedział: „Frank dał jej twarz i osobowość. Popiersie i prawdziwa Howard były do siebie podobne jak dwie krople wody”.

Z roku na rok osiągnięcia Bendera były coraz bardziej zdumiewające i doceniane, ale na tryumfach święconych tego wieczoru położyła się cieniem nieobecność jego żony. Choroba nie pozwalała jej na opuszczanie

domu. Nastąpił nawrót nowotworu. Jan wierzyła, że miłość męża i boska interwencja przedłużyły jej życie o rok. Niewiele wcześniej, wyczerpana bólem, musiała zrezygnować z pracy na stanowisku recepcjonistki 450

w kancelarii prawnej i znów zamierzała przenieść się do hospicjum. Lekarze nie dawali jej nawet roku życia. Bender starał się zachować optymizm. „Jan pokonała raka poprzednio, a lekarze nie potrafili tego wyjaśnić. Jeżeli cud zdarzył się raz, to dlaczego nie miałby się zdarzyć ponownie”.

Na bal przyszedł z Joan. Wysoka blondynka w czarnej sukience z efektowną fryzurą spoglądała z czułością i dumą na Franka, kiedy kolejne osoby podchodziły, aby podnieść go na duchu i pogratulować sukcesów.

Bender wciąż przeżywał odejście legendarnego lekarza sądowego Hala Fillingera, weterana Towarzystwa Vidocq'a. To właśnie od spotkania z Halem w 1977 roku rozpoczęła się przygoda Bendera z plastyką sądową. Przez kolejne trzydzieści dwa lata rzeźby Bendera zmieniały oblicze amerykańskiej kryminologii. FBI długo lekceważyło talent Bendera, eksperymentując z komputerowym odtwarzaniem wizerunków poszukiwanych osób, ale w końcu wróciło do tradycyjnej metody modelowania ręcznego — tej samej, którą stosował Frank.

Bender przyczynił się znacząco do schwytania w 1987 roku człowieka zajmującego pierwsze miejsce na liście Najbardziej Poszukiwanych Przystępców w Stanach Zjednoczonych, bossa Cosa Nostry Alphonsea „Małego Alliego” Pésico. Aresztowanie wstrząsnęło nowojorską rodziną mafijną Josepha Colombo. Pésico był starszym bratem i prawą ręką Carminea „Węża” Pésico, ojca chrzestnego rodziny Colombo.

12 września 1989 roku Mały Allie zmarł na raka krtani w wieku trzydziestu sześciu lat. Dwudziestopięcioletni wyrok odsiadywał w więzieniu federalnym w Lompoc w Kalifornii.

John E. List, którego popiersie przyniosło Benderowi międzynarodową sławę dwie dekady wcześniej, zmarł 21 marca 2008 roku na skutek powikłań po zapaleniu płuc. Odsiadywał wyrok w więzieniu stanowym New Jersey w Trenton. Przeżył osiemdziesiąt dwa lata, w tym osiemnaście utrzymywany za pieniądze podatników stanu New Jersey — niemal równie długo ukrywał się przed policją. Zmarł trzydzieści siedem lat po tym, jak zamordował żonę, matkę i dzieci. W wywiadzie udzielonym w 2002 roku Connie Chung z telewizji ABC powiedział, że zabił swoich bliskich ze strachu, że swoimi długami zniszczy im życie oraz że odejdą od wia-

ry chrześcijańskiej. Układając ciała żony i dzieci pod szklaną kopułą sali
451

balowej w swoim domu, modlił się głośno za ich dusze. Walter zauważył, że gdyby List sprzedał ową kopułę, zbudowaną z witraży w stylu Tiffanego, mógłby pozbyć się długu — a nie rodziny.

Do ostatnich dni List wysyłał co miesiąc list do dziewięćdziesięcioletniego luterańskiego pastora, którego znał z czasów młodości. Pastor wierzył, że Bóg wybaczył Listowi. W gazecie „Star-Ledger” z Newark pojawiła się jednak inna opinia: „Jeżeli piekło, w które tak mocno wierzył John List, rzeczywiście istnieje, bez wątpienia do niego trafił”.

„New York Times” przypomniał czytelnikom, że producent Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki poprosił „Franka Bendera, rzeźbiera wykonującego rekonstrukcje twarzy, oraz Richarda Waltera, profilera i kryminologa” o pomoc w schwytaniu Lista. Przez poprzednich osiemnaście lat kilkudziesięciu agentów FBI i oficerów śledczych z hrabstwa Union w stanie New Jersey nie zdołało wpaść na jego trop. Jedenaście dni po upublicznieniu popiersia Bendera morderca został aresztowany.

Szerokim echem odbiła się wypowiedź Johna Walsh, prowadzącego Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki, który właśnie przygotowanemu przez Bendera popiersiu Lista przypisał niezwykłą popularność programu. „Dzwonię do Franka, kiedy mamy jakąś trudną sprawę”, zwierzał się Walsh. Bender bez wątpienia nie musiał się martwić o miejsce w historii kryminalistyki.

„Times” z godną podziwu pieczołowitością opisał jego metody pracy.

„Po przeanalizowaniu fotografii Lista jako czterdziestolatka, Frank Bender próbował wyobrazić sobie, jak przeorana przez upływ czasu twarz mordercy może wyglądać w 1989 roku”.

Sam rzeźbiarz niemal dostał apopleksji po przeczytaniu kolejnego zdania artykułu: „Richard Walter doszedł do wniosku, że List będzie nadal nosił okulary w rogowej oprawie, aby nadać sobie wygląd człowieka sukcesu”. Mimo że gazeta raczej wiernie trzymała się faktów, Bender z jeszcze większą mocą zaczął zwalczać wszelkie wzmianki o drobnej, choć istotnej roli, jaką Walter miał odegrać w stworzeniu popiersia Lista. Odgrażał się, że poda do sądu wszystkie koncerty medialne, których pracownicy popelnili ten sam błąd. „Frank, kompletnie ci odbiło?”, nie wytrzymał Walter. Ale nie zamierzał dolewać oliwy do ognia. „Nawet jeśli jest wariatem,

452

to przynajmniej oswojonym. Frank to mój partner, więc muszę go przyjmować z całym dobrodziejstwem inwentarza".

Na miesiąc przed dorocznym balem Towarzystwa Vidocqą doszło do symbolicznego podsumowania trzydziestolecia współpracy rzeźbiarza z policją. John Martini, płatny zabójca pracujący dla mafii, który w 1977 roku zamordował Annę Duval przy lotnisku w Filadelfii, zmarł w więzieniu stanowym New Jersey w Trenton. Rekonstrukcja twarzy Anny Duval była pierwszym zleceniem, które Frank wykonał dla policji. Siedemdziesięciodziewięcioletni Martini, najstarszy więzień stanu New Jersey przebywający w celi śmierci, poruszał się pod koniec życia na wózku inwalidzkim. Był schorowany, otyły i cierpiał na depresję. W 1991 roku poinformował swojego adwokata, że woli zrezygnować ze składania kolejnych odwołań i umrzeć, niż żywić się paskudnym więziennym jedzeniem i wegetować w tych potwornych warunkach. Na tydzień przed planowaną egzekucją zakonnica pełniąca funkcję więziennego kapelana zdołała przekonać go do zmiany zdania. Wyroku nie wykonano.

Przypadek Marilyn Flax, wdowy po Irvingu Flaksie, porwanym i zamordowanym przez Martiniego w 1989 roku, uzmysławiał Fleisherowi, skąd czerpie energię do dalszej pracy. Wiele ofiar spotykała dodatkowa krzywda ze strony wymiaru sprawiedliwości.

Przez wiele lat Marilyn nie miała odwagi pójść do oddziału banku, w którym wybrała z rachunku oszczędnościowego dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na okup za męża (Martini i tak go zastrzelił). Sama prowadziła negocjacje z porywaczem i musiała spojrzeć w jego pozbawione jakichkolwiek uczuć oczy podczas przekazywania pieniędzy. Sypiała po trzy godziny na dobę, przerażona, że Martini spełni groźbę i naśle na nią mordercę. Nadal nosiła diamentowy naszyjnik, który dostała od męża. W komodzie w sypialni trzymała jego pidżamy, skarpetki i krawaty. Nie rozstawała się z pierwszym listem, który do niej wysłał: „Już za tobą tęsknię”. „Byliśmy w sobie zakochani po uszy. Wieczorem nie mogłam się doczekać, kiedy ponownie zobaczę go rano. On kochał mnie równie mocno”, opowiadała. Kiedy zrozumiała, że nigdy nie będzie jej dane obejrzeć egzekucji Martiniego, napisała do niego list. „Odebrał mi pan miłość życia. Mówią, że Bóg jest miłosierny, ale ja wiem, że bramy Raju nigdy się przed panem

453

nie otworzą. Myśl, że pańska dusza będzie po wieczność cierpieć katusze, przynosi mi pocieszenie. Miłej zabawy w piekle".

Walter i Bender nadal byli nierozłączni. Pojechali razem do Manlius w stanie Nowy Jork, gdzie Policyjne Stowarzyszenie na rzecz Dobroczynności wydało na ich cześć bankiet, chcąc podziękować za współpracę w rozwiązaniu sprawy morderstwa Lorean Weaver, Dziewczyny bez Twarzy. Po przyjęciu przenieśli się do załoczonego hotelowego baru, gdzie rozgrywano zawody w picie wódki. O czwartej nad ranem jako jedyni potrafili ustać na nogach. Następnego dnia wygłosili wykład w szkole średniej dla uczniów uczęszczających na zajęcia z sądownictwa. Nauczycielką przedmiotu była Kathy Hall, żona oficera śledczego Keitha Halla, który jako pierwszy skontaktował się z Benderem i Towarzystwem Vidocqa w sprawie Dziewczyny bez Twarzy; później i on otrzymał Medal Honoru. Podczas wykładu Walter zrozumiał, że mimo wszystkich różnic łączy go z Benderem nietypowa więź — umiejętność zaglądania pod powierzchnię tajemnicy. Bender tłumaczył słuchaczom, że wyrzeźbienie twarzy na bezmiennej czaszce wymaga dostrzeżenia niewidzialnej harmonii wszechświata. Gdy przysła kolej na Waltera, powiedział: „Kto zagłębi się w duszę przestępcy i usłyszy o rzeczach, do których zdolni są tylko ludzie naprawdę źli, coś się w nim zmienia. Człowiek traci niewinność. O wielu rzeczach wolałbym nie wiedzieć”. Szczupły mężczyzna dodał, że kiedy człowiek pozna prawdziwe zło, zaczyna rozumieć, jak cenne jest życie. „Pamiętajcie zatem: życie jest piękne. Życie jest wspaniałe!”. Nie minęło wiele czasu, a Bender zaczął opowiadać na prawo i lewo, że Walter wskazał niewłaściwego podejrzanego w sprawie morderstwa z Manlius.

Fleisher wszedł na podium i poprosił o ciszę.

W poprzednich latach Towarzystwo Vidocqa uhonorowało słynnego antropologa sądowego Williama Bassa za stworzenie przy Uniwersytecie w Tennessee Farmy Zwłok, która zrewolucjonizowała badanie rozkładu ludzkiego ciała; agenta specjalnego FBI Johna S. Martina, który schwytał głównego radzieckiego szpiega w Stanach Zjednoczonych oraz prowadził śledztwo w sprawie zamordowania w 1964 roku w Meridian w stanie

Missisipi trzech aktywistów działających na rzecz praw człowieka; oraz doktora Henry'ego Lee, który nadzorował dochodzenie w sprawie śmierci JonBenet Ramsey i Laci Peterson oraz morderstwa, którego miał się dopuścić O.J. Simpson na Nicole Brown Simpson i Ronaldzie Goldmanie.

Tego roku dwaj pierwsi laureaci byli wielkimi sympatykami Towa-

rzystwa Vidocqą. Prokurator okręgowa Filadelfii Lynn Abraham słynęła z nieustępliwości i prawości. Od wielu lat niestrudzenie próbowała schwytać zbiegłego mordercę Irę Einhorna. Haskell Askin, jeden z najwybitniejszych dentystów sądowych w Stanach Zjednoczonych, przygotowywał ekspertyzy w wielu głośnych sprawach, od procesu Megan Kanki do śledztwa prowadzonego po atakach terrorystycznych z 11 września 2001 roku. Abraham wygłosiła poruszającą mowę o determinacji, jaką przepełniała ją, gdy postanowiła zostać prawniczką po tym, jak nie pozwolono jej na studiowanie medycyny — o której marzyła — ponieważ była kobietą i Żydówką. Askin, ku zaskoczeniu tych, którzy nie widzieli go od dłuższego czasu, z rubasznego mężczyzny u szczytu możliwości zawodowych zmienił się w wymizerowanego, smutnego staruszka o bladym uśmiechu — on również padł ofiarą nowotworu. Otoczony rodziną i przyjaciółmi podziękował kolegom w odważnym, pełnym humoru przemówieniu, które sprawiło wrażenie eleganckiego pożegnania.

Tamtego wieczora doszło do kilku innych zaskakujących wydarzeń. Kolejnym punktem programu było wręczenie najwyższego odznaczenia Towarzystwa Vidocqą, nagrody za całokształt pracy imienia Halbertha Fillingera. Powędrowała w ręce Franka Bendera.

Frank Bender podziękował nieżyjącemu mentorowi Halowi Fillingerowi za to, że trzydzieści lat wcześniej zlecił mu zrekonstruowanie twarzy zwłok numer 5233. Opowiedział o szoku, który przeżył, dotykając palcami zimnego, zsiniałego ciała. „Wiecie dobrze, że wolę ciała gorące”. Wyszczerył zęby, błyskając srebrnym siekaczem. Na sali rozległy się śmiechy. Smoking nie był w stanie ukryć wysportowanego ciała ani typowego dla niego wigoru. Miał sześćdziesiąt osiem lat na karku, łysinę i siwą bródkę, ale wyglądał na co najmniej dziesięć lat mniej. Wciąż budził zazdrość młodszych mężczyzn i wyglądał na faceta, który poradziłby sobie

z każdym napastnikiem. Wydawało się, że czeka go jeszcze wiele lat wspólpracy z wymiarem sprawiedliwości. Jego oczy wciąż emanowały charakterystycznym, nienaturalnie mocnym blaskiem. Tacy jak on, niezależnie od wieku, mają powodzenie u kobiet.

Bender miał poczucie, że wielki patolog nad nim czuwa. Fillinger powiedział mu kiedyś: „Kiedy już połkniesz bakcyła nauk sądowych, staną się twoją pasją na całe życie”. Miał rację. Przynależność do Towarzystwa Vidocqą była dla Bendera źródłem nieustającej radości. Tylko podczas

służby w marynarce wojennej miał poczucie podobnego braterstwa. Zawsze pragnął w większym stopniu uczestniczyć w działalności Towarzystwa, niestety jego zdolności mogły się przydać tylko w nielicznych sprawach. Zawsze miał poczucie, że mógłby zrobić więcej.

Uśmiechnął się i podziękował wszystkim zebranym. Sala rozbrzmiała burzą oklasków, które trwały jeszcze długo po tym, jak usiadł z powrotem na swoim miejscu. Był „ich Frankiem”, łobuzem pośród szlachetnych, herosem pośród śmiertelników, wcieleniem szalonego Vidocq'a. Ludzie go uwielbiali. Pozwalali mu na wszystko.

Walter siedział z nachmurzoną miną. Czegóż takiego dokonał Bender — jego równolatek — aby zasłużyć na ten zaszczyt? Richard czuł się dziwnie, słuchając, jak Frank wspomina z rozrzewnieniem różne momenty kariery, która przecież trwała w najlepsze. Do świeżych osiągnięć należała chociażby identyfikacja kobiety z Kolorado. Waltera zdziwił również ton, którym Fleisher przedstawił „swojego wspaniałego przyjaciela Franka Bendera” w emocjonalnym wystąpieniu podsumowującym kilka dekad znajomości, a następnie niezdarne wyściskał Franka. Nikt nie wykazywał większego zapału do pracy niż Bender — człowiek o końskim zdrowiu i niespożytej energii. Nikt w większym stopniu nie żył terażniejszością, a w mniejszym wspomnieniami.

Po ceremonii Bender, Fleisher i Walter wyszli razem na taras, z którego rozciągał się widok na rzekę. Do założycieli Towarzystwa dołączyli inni mężczyźni w smokingach, z cygarami i kieliszczkami porto (Cockburn's Special Reserve) oraz kobiety w sukniach i szpilkach, z lekkimi szalami zarzuconymi na ramiona. Jesienny wieczór był wyjątkowo ciepły. Członkowie Towarzystwa Vidocq'a wpatrywali się w płynącą w ciemnościach

456

rzekę. Przeciskający się między brzegami nurt tworzył niemal jednorodną powierzchnię z równinnym terenem; niczym ścieg łączący dwa amerykańskie stany.

— Ależ tu jest cudownie — westchnął Frank. — Liczy się tylko tu i teraz, co nie, chłopaki?

Uśmiech, ton głosu i błyszczące oczy zdradzały rozpierającą go radość. Koledzy pokiwali głowami.

— Pewnie, że jest cudownie, Frank.

Oni wiedzieli. Kilka innych osób też wiedziało. Frank nie chciał zdradzać swojego sekretu zbyt wielu osobom.

Frank Bender był śmiertelnie chory.

Walter spojrzał na Fleishera, który zaśmiał się nerwowo. „Owszem, decyzja zapadła w ostatnim momencie. Nie zamierzaliśmy dać Frankowi tej nagrody, ale kiedy się dowiedzieliśmy, że jest umierający, doszliśmy do wniosku, że nie mamy wyboru”. Walter spiorunował go wzrokiem. Bender ryknął ze śmiechu.

Kilka dni wcześniej dowiedział się, że cierpi na międzybłoniaka opłucnej, niezwykle rzadki nowotwór wywołwany przez kontakt z azbestem, występujący tysiąc razy rzadziej niż rak płuc, na którego zapadają nałogowi palacze — u jednej osoby na milion. Niestety był śmiertelny.

Międzybłoniak rozwija się od dwudziestu do pięćdziesięciu lat. Bender miał kontakt z azbestem podczas służby w marynarce wojennej, do której się zaciągnął, aby uniknąć studiów na akademii sztuk pięknych. Marynarka chciała zrobić z niego fotografa, ale odmówił. Wolał pracować w maszynowni, jak jego ojciec. Nie zdołał zagłuszyć artystycznej duszy i nieustannie szkicował portrety innych mechaników. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spędził trzy lata w maszynowni eskortowca niszczyciela U.S.S. Calcaterra. „Nie tylko pracowałem w pomieszczeniach pełnych azbestu, praktycznie żyłem i spałem z azbestem”, wspominał.

Nowotwór rozrastał się w klatce piersiowej. „Jest większy od główki niemowlęcia”, powiedział mu lekarz. To porównanie sprowokowało go do rozważań pełnych patosu i goryczy. Zupełnie jakbym miał urodzić własną śmierć, rozmyślał. Naświetlania pozwoliłyby zmniejszyć ból, ale nie

457

mogły go uratować. Chemioterapia mogła spowodować obumarcie nerek. „Operacja nic by nie dała, ponieważ rak oplótł mi serce i płuca niczym jakaś pajęczyna. Nic mnie już nie uratuje”, tłumaczył.

Przejęty zwierzył się swoim partnerom. Poprosił Fleishera, aby przeczytał jego wyniki badań i powiedział, co o nich sądzi. „Rzeczywiście, nieciekawie to wygląda, Frank”, przyznał ze smutkiem Fleisher, zaraz jednak delikatnie się uśmiechnął. „To się mogło zdarzyć tylko tobie. Lada chwila zaczną o nas kręcić film, a ty zamierzasz kopnąć w kalendarz. Wielka kasa jest na wyciągnięcie ręki, ale już tego nie doczekasz”.

Bender wybuchnął śmiechem. Przyjaźnili się od wieków. Słowa Fleishera nie mogły go urazić. Bender kochał życie i nie zamierzał tego zmieniać. Nie bał się przyszłości — był Frankiem.

W nocy przychodziły silne bóle. Lekarze przepisali morfinę, ale nie zamierzał jej brać.

„Wódka z sokiem pomarańczowym jest znacznie skuteczniejsza”, twierdził. Popularny screwdriver łagodził ból w bardziej naturalny sposób, poza tym miał w sobie seksapil. Trudno poderwać kobietę, kiedy człowiek jest nafaszerowany morfiną.

— Najbardziej przejmuję się tym, że nie będzie mógł uprawiać seksu — powiedział Fleisher Walterowi.

Walter wznosił oczy do nieba.

— Cały Frank.

— Mam wrażenie, że nie uprawia go tak często, jak by to wynikało z jego opowieści — dodał Fleisher. — Zdaje się, że po prostu lubi się tym przechwalać.

Walter przytaknął. Nie do końca wierzył nawet w to, że Bender rzeczywiście ma raka. Nie wierzył Frankowi, kiedy ten trąbił w mediach o „cudownym” zniknięciu nowotworu u Jan. Później doszło przecież do nawrotu choroby. Czy rzeczywiście rak całkowicie zniknął? A może Frank był uzależniony od medialnej sławy, dzięki której dostawał kolejne zlecenia? Owszem, było to poważne oskarżenie, ale Walter nie z takimi oszustwami miał na co dzień do czynienia. Niemniej w głębi serca wiedział, że dystans do problemów przyjaciela wynika w przeważającej mierze z lęku przed utratą bliskiej osoby.

458

Nie chciał słyszeć, że Frank jest chory. Nie chciał słyszeć, że może umrzeć.

— Richard, jak chcesz, pokażę ci wyniki badań — powiedział Bender podczas następnego lunchu Towarzystwa Vidocq'a.

— To nie będzie konieczne — odparł Walter, biorąc przyjaciela pod rękę. — Chodź ze mną.

Zaciągnął go do doktor Maryanne Costello, członkini Towarzystwa i byłej głównej lekarz sądowej stanu Wirginia. Doktor Costello była jednym z najbardziej szanowanych patologów sądowych w kraju. Walter, inkarnacja Sherlocka Holmesa, rozpoczął właśnie śledztwo.

— Powtórz doktor Costello to, co powiedzieli ci lekarze.

Bender zdał szczegółową relację. Nie minęła chwila, a między Frankiem a panią doktor wywiązała się ożywiona dyskusja, w której padło, jak wspominał później Walter, „wiele całkowicie niezrozumiałych słów”.

— Ile czasu dają panu lekarze? — spytała doktor Costello.

Walter opuścił głowę. „Wtedy rozumiałem, że to się dzieje naprawdę”.

— Od ośmiu do osiemnastu miesięcy. Rak pochłoniął już całkowicie jedno żebro.

Walter uniósł brwi.

— Ja mam jedno nadmiarowe — powiedział.

Bender spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Nie żartuję. Jak chcesz, jest twoje.

— Dzięki. Dbam o linię.

Roześmiali się.

— Musi pani zrozumieć, że w ostatecznym rozrachunku u Franka zawsze zwycięża próżność.

Bender pragnął jak najpełniej wykorzystać ostatnie wspólne chwile z Jan. Wiedział, że zawsze byli sobie przeznaczeni, niemniej dopiero teraz czuł to każdym zakamarkiem duszy. Przypominał sobie, jak w wieku ośmiu lat stał na ganku przy Lithgow Street 2520. Dwoje młodych ludzi z dzieckiem zapukało do drzwi sąsiedniego domu. Pod numerem 2518 mieszkali Schwartzowie. Drzwi się otworzyły i gospodarze powitali gości. Frank widział, jak wchodzi z dzieckiem do środka. Po latach dowiedział się, że Schwartzowie byli wujostwem Jan, a ona była dzieckiem, 459

z którym przyszła wtedy młoda para — dziewczynka miała zostać tego dnia ochrzczona. „Moją żonę zobaczyłem po raz pierwszy tuż po jej urodzeniu. To się dopiero nazywa związek z historią”, zachwycał się Frank. Teraz razem umierali. Lekarze dawali im niemal tyle samo czasu.

Frank miał poczucie, jakby na podstawie historii ich związku można było napisać libretto opery. „To w sumie bardzo romantyczne”.

Resztki sił poświęcał na opiekę nad żoną. „Przypominam Iont, który niemal całkowicie się wypalił”, mówiła sześćdziesięcioletnia Jan. Była wyczerpana; chemioterapia uszkodziła układ nerwowy. Frank nadal wykonywał popiersia dla policji. Był gotów wziąć każde zlecenie, było tylko współpracować z Towarzystwem Vidocqa. Ale nastaly czasy recesji i o pracę było coraz trudniej.

Ponownie chwycił za pędzel, od którego przecież rozpoczynał przygodę ze sztuką. Wrócił do malowania. Akwarela przedstawiająca Jan jako zjawę unoszącą się nad zielonym polem. Surowy, gotycki, utrzymany w czerniach i szarościach szkic pustkowia, nad którym triumfalnie góru-

je strzelista świątynia (kościół św. Piotra, sanktuarium słynącego z cudów św. Jana Neumanna). Mężczyzna uprawiający seks w pociągu z młodą kobietą.

Kiedy Jan po raz pierwszy zachorowała, namalował siedem obrazów inspirowanych jej osobą. Potem umieścił je w Internecie z krótkim podpisem: „Przeżyła!”.

W Halloween 2009 roku Frank i Jan, którzy przed laty zorganizowali przyjęcie weselne na cmentarzu, uczcili trzydziestodzieciolatec małżeństwa z pasją godną młodych kochanków. Pili alkohol i tańczyli do Nobody Does It Better. „Mieli za sobą bogate życie. Szkoda, że nie mogli spędzić ze sobą więcej czasu”, powiedziała ich córka, trzydziestoośmioletnia Vanessa Bender reporterowi „Philadelphia Inquirer”.

Frank twierdził, że nie boi się śmierci. „Nie przeszłyby mi przez usta słowa w rodzaju: Cholera, żałuję, że tego czy tamtego nie zdążyłem zrobić. Wiem doskonale, czego w życiu dokonałem. Nawet gdybym umarł za osiem miesięcy, miałbym poczucie spełnienia”. Śmierć nie była dla niego czymś obcym — od wielu lat utrzymywał bliskie kontakty z Kostuchą. Poza tym miał poczucie, że po śmierci czeka go wiele dobrego.

460

„Ojciec woli zidentyfikować kolejną ofiarę morderstwa, niż przyjąć komercyjne zlecenie. Doprowadza tym matkę do szału, ale wiem, że kiedy pójdzie do nieba, będzie tam na niego czekała kolejka wdzięcznych dusz”, opowiadała „Inquirerowi” druga córka Franka i Jan, czterdziestoczwolletnia Lisa Brawner.

„We wszystkich snach zmarli nade mną czuwają”, mówił Bender.

Tamtego wieczoru, otoczony blaskiem świateł i sphywającą ku rzece muzyką, miał poczucie, jakby śnił. Barb Cohan-Saavedra, przyjaciółka i była zastępczyni prokuratora generalnego, pogratulowała mu serdecznie nagrody. Powiedziała, że dla niej zawsze był czarodziejem.

— Od początku wiedzieliśmy, że jesteś Merlinem — zażartował Fleisher. — Cieszę się, że wreszcie ktoś to ogłosił oficjalnie, na forum publicznym.

— Mężczyźni — a obecnie również kobiety — od tysięcy lat zbierają się przy okrągłych stołach, aby walczyć ze złem. Istnieją świadectwa potwierdzające historyczność króla Artura. Dlaczego wszystkie legendy arturiańskie mają trzech bohaterów? Dlaczego te archetypowe postacie przetrwały dziesięć stuleci? Spójrzcie tylko na Fleishera, Bendera i Waltera — ciągnę-

ła Cohan-Saavedra. — W starych opowieściach zawsze występuje ranny król próbujący uratować chylące się ku upadkowi państwo, stojący u jego boku rycerz, który ma pokonać zło, oraz czarodziej, Merlin, jasnowidz potrafiący wkroczyć w świat umarłych, odrzucić prosty podział na dobro i zło, który zostaje ostatecznie zauroczony przez kobietę.

Bender wyszczerzył zęby; słuchacze zatrzęśli się od śmiechu.

— Dlaczego miejsce obok króla zawsze pozostaje puste? Ponieważ jest to Miejsce Przekłète, które przyniesie zgubę każdemu z wyjątkiem rycerza gotowego wyruszyć na poszukiwanie Świętego Graala.

Kolejne salwy śmiechu. Wszyscy wiedzieli, że wolne miejsce obok Fleishera miało upamiętniać jego nieżyjącego szwagra Sala. „To było jego miejsce. Kochałem go. Sal był człowiekiem jedynym w swoim rodzaju”.

— Wszystko się zgadza! — oświadczyła Cohan-Saavedra. — Frank to Merlin, Richard to Lancelot, a Bill to Król Rybak. Frank, w przyszłym roku powinienes przyjść w powłóczyściej szacie i wysokim kapeluszu czarodzieja.

461

— Jeżeli dożyję.

Dopiero teraz się dowiedziała.

— Dożyjesz, Frank — stwierdziła bez wahania.

Rozmowie przysłuchiwali się dyskretnie dwaj stojący nieopodal mężczyźni. Jeden niski, drugi wysoki — obaj siwiuteńcy. Kelly i McGillen byli tego wieczoru cisi i poważni. Ich okrągły stół pustoszał. Weinstein zmarł we śnie w siedemdziesiąte ósme urodziny. Odszedł również Earl Palmer. Z ekipy prowadzącej dochodzenie w sprawie Chłopca w Pudełku zostali tylko oni dwaj. W ich życiu dominowały teraz lekarstwa, modlitwa, wnuki i prawnuki. Pracowali na coraz mniejszych obrotach, choć jeszcze się zupełnie nie zatrzymali.

Dwaj starzy Irlandczycy pogrążali się w melancholii, ale jednocześnie byli uparci jak osły. Nie podzielali sceptycyzmu policji wobec zeznań Mary. W końcu udało im się namówić właścicielkę jej domu rodzinnego, aby wpuściła ich do piwnicy. Kobieta była przerażona tym, co mogą sobie pomyśleć jej dzieci lub sąsiedzi.

Pewnego jesiennego dnia, kiedy dzieci były w szkole, Kelly, McGillen, oficer śledczy Augustine oraz dwaj technicy policyjni podjechali pod dom nieoznakowanymi samochodami. Ściany, podłoga i kanał ściekowy w piwnicy odpowiadały dokładnie zeznaniom Mary. Podobnie boczne

drzwi prowadzące na dwór, których teraz nie dało się otworzyć, ponieważ od zewnątrz zarosły krzewami. Kelly zrobił zdjęcia, a technik dokładnie wymierzył piwnicę. „Te belki wskazują, w którym miejscu znajdował się pojemnik na węgiel. Widzicie?“, tłumaczył Kelly, który w dzieciństwie doglądał węglowego pieca. Dodatkowe belki nośne na suficie tworzyły prostokąt; rzeczywiście wydawało się, że w przeszłości mogły przytrzymywać ściany kontenera na węgiel. Augustine stwierdził, że gdyby przekopali się przez archiwa dostawcy węgla lub biura nieruchomości, mogliby ustalić, czy w domu był kiedyś zamontowany piec węglowy. Nie miałyby to jednak większego znaczenia, jako że nie dysponowali dowodami wystarczającymi do potwierdzenia zeznań Marie i policja zamknęła sprawę. Weterani Towarzystwa Vidocqa tylko się wtedy uśmiechnęli i pokiwali ze smutkiem głowami. W głębi serca wiedzieli, że Marie mówiła prawdę.

462

— Za trzy tygodnie idziemy do małego z wizytą — przypomniał Kelly Billowi Fleisherowi. — Pięćdziesiąta druga rocznica.

W Dniu Kombatanta, rocznicę ponownego pogrzebu, przyszli na grób tylko we trzech. Była jesień, cmentarz tonął w szarościach, jednak oni przynieśli naręczka kolorowych kwiatów. Postali chwilę nad grobem. Odmówili modlitwę. Na koniec zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie za kamieniem nagrobnym. Z tych fotografii, robionych na przestrzeni lat, mógłby powstać album rodzinny: dawniej było ich pięciu, teraz trzech. Stali przy grobie w kapeluszach i wojskowych czapkach, z jesiennymi uśmiechami na ustach — strażnicy bezimiennej tajemnicy. Ceremonia miała charakter prywatny; nie zapraszali mediów ani osób postronnych. Próbowali dopisać kolejny rozdział do trzydziestu siedmiu lat wysiłków Rema Bristowa; domalować kolejny odcinek nieprzerwanej niebieskiej linii. Czasami Kelly przychodził na grób sam. Nachylał się i całował kamień. „Do zobaczenia wkrótce, Jonathanie“.

Fleisher nie był przekonany o prawdziwości relacji Mary. Wierzył jednak, że „w końcu rozwiążemy tę sprawę. To się może udać“.

Walter zmarszczył nos, jakby wyczuł swąd sentymentalizmu.

— Ja wiem, kto zabił Chłopca w Pudełku — oświadczył. — I wcale nie była to matka Mary.

Zdaniem Waltera morderstwa dokonał młody student, który niby to znalazł chłopca i dopiero po kilku dniach zgłosił ten fakt policji, bojąc się kłopotów. W tamtych czasach policjanci nie potrafili prawidłowo inter-

pretować perwersji seksualnych i nie dostrzegli oznak patologii u człowieka, który odkrył ciało chłopca.

Student przyznał się do podglądania „wykolejonych dziewcząt” z Przysłiska Dobrego Pasterza, tłumaczył Walter, a ponieważ rzecz działa się w latach pięćdziesiątych, gazety nie napisały o wszystkim: młody mężczyzna masturbował się schowany za drzewami, podglądając kobiety po drugiej stronie drogi.

— Po pierwsze, facet był wierutnym kłamcą i zбочeńcem. Policja maglowała go porządnie w sprawie tego podglądania, ale nic z tego nie wyniknęło.

463

Perwersja seksualna wskazywała, że student wkroczył już na drogę opisaną przez Podwójną Spirale, do pałacu sadyzmu. Ewoluuwał już ku kolejnym stadiom sadystycznej osobowości.

— I taki ktoś znajduje ciało chłopca? — mówił Walter. — Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Tak się składa, że gość jeszcze żyje. Jest po osiemdziesiątce, miał zatem mnóstwo czasu, aby bez końca rozkoszować się wspomnieniami zgwałcenia i zamordowania dziecka. Wciąż czerpie z nich przyjemność. Morderstwo nie jest zakończone, dopóki nie zdecyduje o tym morderca.

Fleisher dyskretnie się rozejrzał. Sprawdzał, czy w pobliżu nie stoi żadna kobieta ani osoba spoza Towarzystwa. Hol rezydencji Pen Ryn nieoczekiwanie zmienił się w Salę Morderstw, a sadyzmu o podłożu seksualnym nie przewidziano w menu na ten wieczór.

— Joe, mam dla ciebie robotę — Walter zwrócił się do przyjaciela, Joe O’Kane’a, krzepkiego, brodatego barda i agenta federalnego. — Znam adres mordercy. Wchodzisz w to?

Tego wieczoru O’Kane śpiewał do ucha pewnej uroczej blondynce smutne irlandzkie pieśni własnego autorstwa. Śpiewał z taką mocą, że kobieta chwyciła go za rękę, zamknęła oczy i drżała na dźwięk prastarych strof O’Kane’ów. Jego oczy lśniły blaskiem irlandzkiej whisky Tullamore Dew, „mleka mego ludu”.

— Jasne — oświadczył mocnym tenorem O’Kane.

Plan Waltera był prosty. Zaparkują jego forda crown victoria na zatłoczonej ulicy małego miasteczka we wschodniej Pensylwanii. Walter dokładnie wyobraził sobie przebieg całej operacji. On i zwalisty O’Kane zapukają. Stary, mieszkający samotnie mężczyzna wyjrzy przez uchy-

lone, zamknięte na łańcuch drzwi. Siwy, prawdopodobnie zniedołężniały, śmierzący alkoholem, z napiętą twarzą.

Morderca z pewnością nie wpuści ich do środka. Mając za plecami O'Kane'a, Walter zapomni na chwilę o swoich wiktoriańskich manierach. Chodzi przecież o dziecko, które miałyby teraz pięćdziesiąt pięć lat i zapewne byłoby mężem i ojcem. Nie ma znaczenia, ile czasu minęło, kto zapomniał o istnieniu chłopca, a kto o nim wciąż pamiętał, co mówiono w filmach i w telewizji, kogo ta sprawa obchodziła, a kogo nie. Stawką

464
było najzwyczajniejsze na świecie poczucie przyzwoitości. „Nigdy nie jest za późno, aby postąpić we właściwy sposób”. Walter wepchnie się do środka. Jeżeli mężczyzna zaproponuje, aby usiadł, odmówi. Zachowa kamienną twarz — więzienną maskę, którą nauczył się przywdziewać przed laty w Michigan. Bez cienia uśmiechu na twarzy, z uniesioną groźnie brwią przemówi: „Mój drogi, najwyższy czas, abyśmy porozmawiali jak mężczyzna z małym chłopcem”.

— Rich, mogę pojechać z wami? — spytał Bender.

Pytanie zaskoczyło Waltera. Bender miał już swoje pięć minut na wcześniejszym etapie śledztwa. Wykonane przez niego popiersie hipotetycznego ojca chłopca zaprezentowano w Najbardziej poszukiwanych ludziach Ameryki oraz niezliczonej liczbie innych mediów. Okazało się przysłowiowym listem w butelce — od tamtego czasu minęło dziesięć lat i odpowiedź wciąż nie nadeszła.

— Co też ci przyszło do głowy, Frank? Lada chwila będziesz mnie straszyl po nocach. I to częściej niż teraz.

Bender wpatrywał się w Waltera, szczerząc zęby w kocim uśmiechu, który zdawał się skrywać jakiś sekret. Nie odezwał się ani słowem. Walter się zarumienił.

— No i widzisz? — zwrócił się do Fleishera, sędziego zdolnego odróżnić prawdę i fałszu — A nie mówiłem? Nie uwierzę w chorobę tego szachraja, dopóki nie kopnie w kalendarz. Tacy jak on potrafiliby wyprowadzić w pole samego diabła.

— Ej, chłopaki, chłopaki... — powiedział Fleisher. — Trudno o bardziej rozrywkową parę niż wy.

Stali we trzech na parkingu. Noc była pochmurna, na niebie nie świeciły gwiazdy. Z wielkiego domu dobiegał gwar rozmów. W oknach powoli gasły światła. Atramentowa toń rzeki ginęła w mroku, zlewając się z zie-

nią i niebem. Tylko kiedy odbijała się w niej księżycowa poświata, można było dostrzec, jak nurt sunie powoli przez czerní nocy.

Bender powiedział, że ze względu na chorobę przyznano mu pełny zasilek kombatantski za służbę w marynarce wojennej.

Fleisher uśmiechnął się do niego.

465

— Z twoim popieprzonym szczęściem powołają cię ponownie i wyślą do Afganistanu.

Wszyscy trzej się zaśmiali.

Fleisher uniósł głowę. W powietrzu wyczuwało się nadciągającą zimę.

— Piękna noc.

— To najbardziej podstawowa forma natury — powiedział z powagą Bender. — Dostrzegacie jej harmonię?

— E, tam — mruknął Walter, wydmuchując dym papierosowy z płuc.

— Frank, będę się za ciebie modlił — powiedział Fleisher, wsiadając do samochodu z Michelle. — Wszyscy będziemy. Kochamy cię.

— Dzięki, Bill.

Pomachał im na pożegnanie.

Zostali we dwóch.

Szczupły mężczyzna zakaszłał. W świetle księżyca Bender wydawał się blady.

— Ja co prawda nie planuję się za ciebie modlić — stwierdził Walter — ale będę trzymał kciuki.

Podziękowania

Klub koneserów zbrodni to opowieść o detektywach działających społecznie w Towarzystwie Vidocq; przede wszystkim o jego twórcach — agencie federalnym, profilerze i rzeźbiarzu zajmującym się artystyczną rekonstrukcją twarzy — oraz ponad dziesięciu śledztwach, którymi Towarzystwo Vidocq zajmowało się w latach 1990—2009. Książka powstała na podstawie setek rozmów z oficerami śledczymi, agentami federalnymi, patologami, antropologami, dentystami i przedstawicielami innych profesji związanych z medycyną sądową; akt policyjnych i sądowych; gazet, czasopism, programów telewizyjnych i radiowych, pamiętników, stron internetowych, e-maili, książek i prac naukowych (publikowanych i niepublikowanych). Niemniej jednak tak rozbudowana praca nie mogłaby powstać bez pomocy innych osób.

Najgorętsze podziękowania należą się byłemu agentowi federalnemu,

a obecnie prywatnemu detektywowi Williamowi Fleisherowi, rzeźbiarzowi Frankowi Benderowi oraz profilerowi Richardowi Walterowi. Choć Klub koneserów zbrodni opowiada historię Towarzystwa Vidocq'a, jest również swego rodzaju biografią jego założycieli. Wszyscy trzej, a zwłaszcza pełniący funkcję prezesa Fleisher, niezwykle otwarcie dzielili się ze mną informacjami i wspomnieniami. Przysłuchiwałem się analizom spraw podczas lunchów w Sali Morderstw, uczestniczyłem w spotkaniach zarządu, otrzymałem dostęp do archiwów oraz mogłem śledzić przebieg zamkniętych dyskusji. Z trzema założycielami Towarzystwa przeprowadziłem w ciągu pięciu lat niemal tysiąc godzin rozmów.

U boku Fleishera i Waltera wzięłem udział w kursie wykorzystania nauk sądowych w prowadzeniu śledztwa na Albright College w Reading w stanie Pensylwania, gdzie przez dwa dni słuchałem wykładów członków Towarzystwa Vidocq'a, między innymi Haskella Askina na temat dentystryki sądowej, Fleishera o wykrywaniu kłamstwa oraz Waltera o typach osobowościowych morderców (prezentacji Waltera miałem okazję wysłuchać wielokrotnie: na uniwersytetach, konferencjach naukowych oraz skierowanej do ponad stu filadelfijskich prokuratorów). Miałem również

467
okazję poznać założycieli Towarzystwa od strony prywatnej. Zapraszali mnie do swoich domów w Boże Narodzenie i na zabawy sylwestrowe, przedstawili swoimi najbliższymi. Szczególne podziękowania za poświęcony czas należą się Michelle i Elizabeth Fleisher, Glorii Alvarado (sekretarce Towarzystwa Vidocq'a), Jan Bender, Joan Crescenz, utalentowanej redaktorce Vanessie Bender, Nan i Morrisowi Bakerom, Beverly Fraser i dalszym krewnym Richarda Waltera.

Jestem wdzięczny zarządowi Towarzystwa Vidocq'a, zwłaszcza byłemu agentowi specjalnemu Urzędu Celnego Josephowi M. O'Kane'owi, byłej zastępczyni prokuratora generalnego Barbarze Cohan-Saavedrze, specjalście od prowadzenia badań wariografem Nathanowi J. Gordonowi oraz byłemu oficerowi śledczemu z wydziału zabójstw filadelfijskiej policji Edowi Gaughanowi. W rekonstrukcji starszych śledztw pomagali mi zwłaszcza Gordon i Gaughan, wspólnicy Fleishera z agencji detektywistycznej Sieć Wywiadowcza Keystone. Przewodniczący zarządu Frederick A. Bornhofen, były agent wywiadu marynarki wojennej, oraz O'Kane wspólnie poświęcili czas na zaprezentowanie mi historii Towarzystwa. Czasu i wspomnień nie szczędzili również William Gill III —

były agent Departamentu Skarbu, Benjamin Redmond — były agent Urzędu Podatkowego, John Maxwell — były nadzorca filadelfijskiego wydziału dochodzeniowego oraz Donald Weinberg — profesor anglistyki i były negocjator w sprawach o porwanie.

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się zmarłemu doktorowi Halbertowi „Zabójczemu Halowi” Fillingerowi z Filadelfii, jednemu z najlepszych patologów sądowych w Stanach Zjednoczonych. Należał do weteranów Towarzystwa Vidocqa, a jego duch unosi się nad całą książką. Chciałbym również podziękować wszystkim członkom Towarzystwa za wyrozumiałość i pomoc udzieloną człowiekowi, który przysłuchiwał się ich spotkaniom i naciągał ich na zwierzenia podczas lunchów. Spędzenie w Sali Morderstw popołudnia na jedzeniu i analizie zbrodni przypomina wyjście do filharmonii na koncert symfoniczny.

Moja książka jest poświęcona wszystkim członkom Towarzystwa Vidocqa. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się „kapelanowi” klubu Bilłowi Kelly'emu, emerytowanemu funkcjonariuszowi filadelfijskiej policji, 468

oraz Joemu McGillenowi — emerytowanemu oficerowi biura lekarza sądowego za wspomnienia dotyczące sprawy Chłopca w Pudełku; Frankowi Frielowi, kapitanowi filadelfijskiego wydziału zabójstw i komendantowi policji w Bensalem w Pensylwanii za informacje dotyczące najróżniejszych spraw oraz sztuki prowadzenia śledztw policyjnych w ogóle; kapitanowi filadelfijskich oficerów śledczych Laurence'owi Nodiffowi za pomoc w sprawie Marie Noe; Richardowi Waltonowi — oficerowi śledczemu z Kalifornii zajmującemu się nierozwiązanymi sprawami za informacje na temat przygotowanej przez niego rekonstrukcji morderstwa z lat dwudziestych XX wieku; byłemu agentowi Urzędu Celnego Frankowi Dufnerowi za cenne detale związane z kilkoma śledztwami federalnymi; ekspertowi w dziedzinie analizy dokumentów Robertowi J. Philipsowi za szczerą omówienie charakteru pisma Johna F. Kennedy ego; patologowi sądowemu z Arizony doktorowi Richardowi Froede za opis sekcji zwłok szefa placówki CIA w Bejrucie Williama Buckleya, porwanego, torturowanego i zamordowanego przez Hamas i islamskich dżihadystów.

Jestem dłużnikiem agenta FBI i członka Towarzystwa Vidocqa Roberta Resslera oraz oficera śledczego i profesora medycyny sądowej Roberta Keppela. Ci dwaj wybitni przedstawiciele pierwszego pokolenia amerykańskich profilerów, koledzy Richarda Waltera, poświęcili mi wie-

le cennego czasu i podzielili się wiedzą z dziedziny analizy zbrodni i konstruowania profili psychologicznych. Steve Stoud, członek Towarzystwa Vidocqa i podobnie jak oni profiler, pracujący dla pensylwańskiej policji stanowej, pomógł mi zrozumieć znaczenie osiągnięć teoretycznych Waltera oraz samego ich twórcę jako człowieka.

Historia działalności Towarzystwa Vidocqa istniała przede wszystkim we wspomnieniach poszczególnych osób, ale dzięki byłemu kierownikowi działu reklamy Richardowi Lavinthalowi, profesorowi anglistyki Weinbergowi, doktor Jolie Bookspan oraz jej mężowi Paulowi Plevakowskiemu Towarzystwo wydaje znakomity kwartalnik „Vidocq Society Journal” (obecnie, dzięki Plevakowskiemu, w formie elektronicznej). Było to jedno z istotnych źródeł, z których korzystałem podczas pisania książki.

Podczas wielogodzinnych rozmów Jim Dunn podzielił się ze mną wspomnieniami z prywatnego śledztwa, które przeprowadził, aby znaleźć

469
mordercę swojego syna Scotta. Jego zwińczeniem okazała się znajomość z Richardem Walterem, która ostatecznie doprowadziła do skazania winnych. Oficer śledczy wydziału zabójstw Keith Hall (obecnie zatrudniony w biurze szeryfa hrabstwa Onondaga w stanie Nowy Jork) oraz funkcjonariusz Thaddeus Maine podzielił się ze mną cennymi informacjami na temat śledztwa w sprawie Dziewczyny bez Twarzy prowadzonego przez policję w Manlius. Oficer śledczy Tal English z wydziału zabójstw policji w Lubbock w Teksasie okazał się nieocenionym źródłem wiadomości na temat sprawy Scotta Dunna. Prywatni detektywi Robert Mancini z Ohio i Mike Rodelli z New Jersey (obaj regularnie korzystający z rad Waltera) udostępnił mi wyniki swoich śledztw dotyczących dwóch najśłynniejszych amerykańskich seryjnych morderców, którzy nigdy nie zostali schwytani — Rzeźnika z Cleveland i Zodiaka.

Dziękuję Nancy Rue, dyrektor wykonawczej Narodowego Stowarzyszenia Rodziców Zamordowanych Dzieci (PoMC), która pomogła mi w zrozumieniu problemów, z jakimi borykają się rodziny, a zwłaszcza rodzice ofiar morderstw. Miałem okazję spotkać ich osobiście, kiedy wraz z Richardem Walterem, byłem członkiem zarządu PoMC, wziąłem udział w konferencji w Cincinnati. Niewiele osób zdaje sobie sprawę z cierpień, które są ich udziałem, a mało kto potrafi je sobie wyobrazić. Emerytowany lekarz Bob Meyer i jego żona Sherry opowiedzieli mi o bólu i determinacji towarzyszącym poszukiwaniom mordercy ich trzydziestopięcioletniej

córki Sherry-Ann Brannon oraz wnuczek: siedmioletniej Shelby i czteroletniej Cassidy. W zrozumieniu niezwyklej społeczności rodziców zamordowanych dzieci pomógł mi również Harry Bonnell, patolog sądowy z Kalifornii oraz przewodniczący PoMC.

Na konferencji Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych poznałem doktora Richarda Shepherd, czołowego patologa sądowego Londynu i Liverpoolu, autora książki Simpson's Forensic Medicine. Miałem wtedy również okazję porozmawiać z Johnem DeHaanem z Vallejo w Kalifornii, znakomitym oficerem śledczym specjalizującym się w podpaleniach i materiałach wybuchowych, autorem książki Kirk's Fire Investigation, oraz z Vernonem J. Geberthem, emerytowanym komandorem porucznikiem komendy miejskiej policji Nowego Jorku, autorem biblii wszystkich

470
detektywów Practical Homicide Investigation: Tactics, Procedures, and Forensic Techniques. Wszyscy trzej znacząco poszerzyli moją wiedzę na temat nierozwiązanych spraw.

Dziękuję Betty Smith z Montrose w Pensylwanii za zapoznanie mnie z historią stolicy hrabstwa Susquehanna, zwłaszcza z dziejami filadelfijskiej rodziny Biddle'ów. Tom DeTitto, kierownik projektów w firmie Cushman & Wakefield oraz kronikarz rewitalizacji filadelfijskiej stoczni podzielił się ze mną cennymi informacjami na temat Klubu Oficerów Marynarki Wojennej, w którym odbyło się pierwsze spotkanie Towarzystwa Vidocqa, oraz pomógł mi w interpretacji fotografii i elewacji budynku numer 46. Pomagał mi w tym również Douglas C. McVarish.

Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję do Larryego Biddisona, emerytowanego profesora anglistyki na Uniwersytecie w Mansfield w Pensylwanii, za pomoc w uporządkowaniu archetypów arturiańskich, których istnienie niespodziewanie odkryłem w Towarzystwie Vidocqa. Profesor zapoznał mnie z klasyczną pracą Legenda o Graalu: od starożytnego obrzędu do romansu średniowiecznego Jessie L. Weston, Idylls of the King Tennysona i Ziemiająłową T.S. Eliota, będącymi rozwinięciem problematyki, z którą zetknąłem się w The Grail Legend Emmy Jung i Marie-Louise von Franz. Dziękuję również za wskazówki profesorom anglistyki Tomowi Murphyemu z Uniwersytetu w Mansfield i Nelljean Rice z Coastal Carolina University.

Sue Cummings z baru Native Bagel w Wellsboro w Pensylwanii zapewniła mi wyżywienie oraz czyste i dobrze oświetlone miejsce, w któ-

rym mogłem czytać, pisać i umawiać się z rozmówcami.

Miałem to szczęście, że Tom French, laureat nagrody Pulitzera, reporter „St. Petersburg Times” i profesor na Indiana University, zechciał pewnego wieczora zapoznać się przy kilku piwach z niemal ukończoną wersją książki i zgłosić kilka cennych uwag. Tom był moim nauczycielem na inspirującym podyplomowym kursie w Goucher College w Towson w stanie Maryland. Za wsparcie i zachętę do dalszej pracy chciałbym również podziękować związanej z tym miejscem Patsy Sims. Pobyt w Maryland zawsze pozwala mi zregenerować siły — wszystko za sprawą mojego

471
przyjaciela Jeffa Leena z „Washington Post” oraz wspaniałej kadry i studentów Szkoły Dziennikarstwa Philipa Merrilla przy Maryland University: Eugene’a Roberta, Jona Franklina, Iry Chinoya, a szczególnie Deana Toma Kunkela, pisarza, dziennikarza, a obecnie rektora St. Norbert College w De Pere w Wisconsin.

Dziękuję również mojemu prawnikowi i wspólnikowi George’owi Bochetto, Dave’owi Tepsowi, Tuckerowi Worthingtonowi, Denise i Pete’owi Boalom, Steve’owi Sonsky’emu, Peggy Landers, Christopherowi Boydowi, Bruce’owi Boynickowi, Mattowi Walshowi, Richardowi Strauchowi, Barb Madden, Gusowi Ciardullo, Theresie i Stanleyowi Banikom, Markowi i Jessice Banikom, Ronowi i Jackie Pattom, Johnowi i Ruthann Gasienkim, Stephenowi i Lisie Banikom, Christopherowi Banikowi, Gregowi Banikowi, Kim Achilly, Michaelowi i Mary Ann Banikom oraz Mohammadowi i Kathleen Sanati.

Mój wydawca, niezrównany William Shinker, założyciel i prezes Gotham Books, z niesłabnącym entuzjazmem i wizjonerstwem wspierał mnie w trakcie pracy nad książką.

Klub koneserów zbrodni dedykuję mojej żonie, Teresie Banik-Capuzzo, niestrudzonej i utalentowanej redaktorce; prawdziwej mistrzyni języka. O jej kompetencjach mógł się również przekonać Bill Shinker, jako że współpracował z Teresą podczas prac nad tą książką. Nie mogłaby ona powstać bez tych dwóch osób oraz profesjonalnego wsparcia redaktor naczelnej Gotham Books Lauren Marino, a także jej najwyższej klasy współpracowników: Erin Moore, Bretta Valleya, Brendana Cahilla, którzy jako pierwsi zwrócili uwagę na potencjał opowieści o Towarzystwie Vidocq, oraz Cary Bedick, Sophii Muthuraj i Beth Parker, które opowiedziały o niej światu. Chciałbym również wyrazić wdzięczność Ericowi Rayma-

nowi za wnikliwe przeanalizowanie książki od strony prawnej. Dziękuję moim niezastąpionym agentom literackim z Nowego Jorku, Robertowi Gottliebowi i Davidowi McCormickowi, za sprzedaż praw do książki oraz opiekę nad autorem. Na koniec chciałbym szczególnie gorąco podziękować Douglasowi C. Cliftonowi, wspaniałemu redaktorowi z „Miami Herald” i „Cleveland Plain Dealer”, który przed laty wprowadził dwudziestoletniego stażystę z Northwestern University we wspaniały świat słowa pisanego.

472

Bibliografia

Oto wykaz niektórych źródeł, z których korzystałem podczas pisania Klubu koneserów zbrodni. Poza aktami policyjnymi i sądowymi, wywiadami z oficerami śledczymi, prokuratorami i członkami Towarzystwa Vidocqa oraz setkami artykułów w czasopiśmie i gazetach, przeczytałem kilkadziesiąt książek poświęconych przestępczości i morderstwom. Te wymienione poniżej zostały napisane przez członków Towarzystwa Vidocqa lub o nich opowiadają.

Botha Ted, *The Girl with the Crooked Nose: A Tale of Murder, Obsession, and Forensic Artistry*, New York 2008. Historia niezwyklej kariery Franka Bendera.

Dunn James, Ewans Wanda, *Trail of Blood: A Father, a Son, and a Telltale Crime Scene Investigation*, Far Hills 2007. Ojciec poszukujący mordercy syna sprzymierza siły z Towarzystwem Vidocqa.

Gordon Nathan J., Fleisher William L., *Effective Interviewing & Interrogation Techniques*, San Diego 2002. Klasyczny podręcznik autorstwa dwóch prominentnych członków Towarzystwa Vidocqa.

Pettem Silvia, *Someone's Daughter: In Search of Justice for Jane Doe*, Lanham 2009. Książka autorstwa dziennikarki z Kolorado, której artykuły skłoniły policję i Towarzystwo Vidocqa do ponownego zainteresowania się zapomnianą sprawą niezidentyfikowanej kobiety, której szczątki znaleziono w Kolorado.

Ressler Robert K., Shachtman Tom, *I Have Lived in the Monster: Inside the Minds of the World's Most Notorious Serial Killers*, New York 1997. Historia śledztw prowadzonych przez Roberta Resslera.

Ressler Robert K., Shachtman Tom, *Whoever Fights Monsters: My Twenty Years Tracking Serial Killers for the FBI*, New York 1992. Kolejny zbiór śledztw prowadzonych przez Resslera.

Stout David, *The Boy in the Box: The Unsolved Case of America's Un-*

known Child, Guilford 2008. Członkowie Towarzystwa Vidocqą Bill
473

Kelly, Joe McGillen, Fleisher i inni prowadzą dochodzenie w sprawie
Chłopca w Pudełku.

Sprawy opisane w Klubie koneserów zbrodni zdarzyły się naprawdę, a je-
dyne zmiany dotyczyły nazwisk i innych detali mogących naruszać pry-
watność bohaterów. Aby ułatwić zadanie czytelnikom zainteresowanym
innymi książkami na temat Towarzystwa Vidocqą, moi bohaterowie no-
szą te same pseudonimy, jakie nadali im autorzy The Girlwith the Crooked
Nose (Laura Shaughnessy), The Boy in the Box (John Stachowiak i Frank
Guthrum) i Trail of Blood („Jessica”).

Niezwykle pomocne okazały się również dwie inne książki. Polecam
je czytelnikom zainteresowanym historią filadelfijskiej przestępczości oraz
sprawą Johna Lista:

Avery Ron, City of Brotherly Mayhem: Philadelphia Crimes & Criminals,
Philadelphia 1997.

Sharkey Joe, Death Scene: The Inside Story ofthe John List Murders, New
York 1990.

Polecam również artykuły poświęcone sprawom kryminalnym opubli-
kowane w czasopiśmie „Philadelphia” przez laureata National Magazine
Award Stephena Frieda. To właśnie on doprowadził do wszczęcia docho-
dzenia przeciwko Marie Noe (zob. www.stephenfried.com). Jego reporta-
że i wspomnienia wpłynęły na kształt rozdziałów poświęconych sprawie
Marie Noe oraz na moją wizję historii Towarzystwa Vidocqą. Pomocne
okazały się również artykuły napisane przez psycholog sądową Kathe-
rine Ramsland, zwłaszcza te opublikowane w „Vidocq Society Journal”
i truTV Crime Library.

Przeczytałem setki artykułów prasowych na temat Towarzystwa Vi-
docqą i spraw, którymi się ono zajmowało. Większość z nich miała cha-
rakter ogólny i zdradzała jedynie powierzchowną wiedzę na temat śledztw
i osób w nie zaangażowanych. Ich autorzy byli często zapraszani na spo-
tkania Towarzystwa, ale proszono ich o opuszczenie sali w chwili, gdy roz-
poczynała się rzeczywista praca dochodzeniowa. Wspomniane artykuły
474

pochodzą z następujących czasopism: „New York Times”, „Los Angeles
Times”, „USA Today”, biuletynów Associated Press, „Harper’s Magazine”,
„Reader’s Digest”, „London Telegraph”, „Montreal Gazette”, „Philadelphia

Inquirer", „Miami Herald", „St. Petersburg Times", miesięcznika „Philadelphia", „The Pocono Record" i „The Philadelphia Lawyer".

Do ważnych źródeł informacji o najważniejszych omówionych w książce śledztwach należały: artykuły opisujące śledztwo w sprawie śmierci Scotta Dunna oraz zawierające relację z obu procesów, opublikowane w „Lubbock Avalanche-Journal" i „Plainview Daily Herald" (a także pamiętnik Jamesa Dunna, zapiski z jego podróży, notatki, nagrania, fotografie, dokumenty osobiste oraz maszynopis jego nieopublikowanej jeszcze książki); artykuły poświęcone śledztwu prowadzonemu przez policję w Manlius w sprawie morderstwa Dziewczyny bez Twarzy z „Syracuse Post Standard"; artykuły dotyczące śledztwa w sprawie morderstwa Terri Lee Brooks z „Trentonian", „United Press International", „Philadelphia Inquirer", „Philadelphia Daily News" i „Bucks County Courier Times"; artykuły dotyczące śledztwa w sprawie morderstwa niezidentyfikowanej kobiety z Kolorado z „Rocky Mountain News", „Denver Post", „Boulder Daily Camera", „North Platte Telegraph", „USA Today" oraz akta z biura szeryfa hrabstwa Boulder; artykuły poświęcone sprawie Zoi Assur z „Atlantic City Press" oraz odcinek nadawanego przez stację CBS programu 48 godzin z Danem Ratherem zatytułowany Morderstwo na lunch; artykuły poświęcone śledztwu w sprawie morderstwa Deborah Lynn Wilson z „Associated Press", „United Press International", „Philadelphia Inquirer", „Philadelphia Daily News" oraz archiwa Drexel University; różnorodne materiały poświęcone mordercy Johnowi Listowi z „New York Times", „Star-Ledger" z Newark, truTV Crime Library i odcinek programu Najbardziej poszukiwani ludzie Ameryki. Dziękuję J.D. Mulane'owi z „Bucks County Courier Times" za znakomite sprawozdania ze śledztwa w sprawie Morderstwa na Chórze, oparte na przygotowanym przez niego sześcioodcinkowym serialu telewizyjnym.

O sprawie Chłopca w Pudełku napisano wiele w ciągu minionego półwiecza. Do źródeł ogólnokrajowych należą: artykuł z lipca 1958 roku z „Saturday Evening Post" (Pudełko, kocyk i zwłoki małego chłopca), 475

artykuł z 1957 roku z miesięcznika „Front Page Detective" (Kim jest Chłopiec w Pudełku?), artykuły z czasopisma „American Way", odcinek Najbardziej poszukiwanych ludzi Ameryki z października 1998 roku oraz odcinek programu 48 godzin. Choć niezwykle pomocne okazały się rozmowy z członkami Towarzystwa Vidocq'a, przeczytałem również ponad

sto artykułów poświęconych sprawie publikowanych od 1957 roku do czasów dzisiejszych: wszystkie z „Philadelphia Press”, większość z „Philadelphia Inquirer” i „Philadelphia Daily News” oraz wybrane z „Philadelphia City Paper”, „Northeast Times” i „Frankford News Gleaner”. Innymi źródłami były informacje z Associated Press, trzeciego kanału filadelfijskiej KYW-TV, a także mowa wygłoszona przez Fleishera na pogrzebie Samuela Weinsteina opublikowana w maju 2004 roku przez lokalny oddział Shomrim, narodowego stowarzyszenia amerykańskich stróżów prawa pochodzenia żydowskiego.

Frank Bender jest zapewne, obok agenta FBI Roberta Resslera, najbardziej znanym członkiem Towarzystwa Vidocq’a. Poza zapoznaniem się ze stertami artykułów z gazet i czasopism z całego świata, kilkoma książkami, sylwetką w miesięczniku „Esquire” i w programie 60 Minutes, przeczytałem także ogromne ilości dokumentów zgromadzonych przez samego Franka, w tym jego niepublikowaną autobiografię. Dodatkowe informacje czerpałem z tak różnorodnych źródeł, jak: „Harper's Magazine”, miesięcznik „ArtForum”, wydawany w Londynie „Frieze” (wiodące czasopismo poświęcone współczesnej sztuce i kulturze), zapis wywiadu z rzeźbiarzem wyemitowanego w publicznym radiu, biuletyn „Inside Corrections: The Quarterly Newsletter of the New Jersey Department of Corrections”, w której znajdowała się informacja o śmierci jednego ze zbiegów ujętych dzięki Frankowi (nie napisałem o tym w książce) oraz „Rockhound News”, biuletyn Towarzystwa Archeologicznego i Geologicznego z Memphis poświęcony „Człowiekowi Lodu”. Richard Walter udostępnił mi opasłe teczki z wycinkami z gazet i osobistymi dokumentami, a także kopie własnych artykułów opublikowanych w „International Journal of Offender Therapy and Comparative Criminology”. Bill Fleisher opisał swoje największe osiągnięcia z czasów służby w Urzędzie Celnym w książce poświęconej technice prowadzenia przesłuchań, niemniej doniesienia o wielu z nich

476

można również znaleźć w filadelfijskiej prasie oraz biuletynach agencji prasowych. W lutym 2009 roku Fleisher i Bender wystąpili wspólnie w programie „Talk of the Nation” w publicznym radiu.

Statystyki dotyczące przestępczości zaczerpnąłem z wydawanych przez FBI od 1950 roku Raportów Służb Mundurowych. Informacje na temat warunków pogodowych towarzyszących wydarzeniom z przeszłości czerpałem z relacji prasowych, tabel meteorologicznych dla Lubbock

i Filadelfii, które zakupiłem od Amerykańskiej Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej oraz informacji znalezionych na stronach internetowych Instytutu Franklina w Filadelfii oraz Weather Underground. Internet okazał się zresztą pomocny w najróżniejszych sytuacjach: poczynając od strony poświęconej Chłopcu w Pudełku (americasunknownchild.net) — prawdziwej skarbnicy wiedzy — do Camelot Project na Uniwersytecie w Rochester.

Inne źródła

Ajschylos, Tragedie, tłum. S. Srebrny, Kraków 2005.

Alighieri Dante, Boska komedia, tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1990.

Badal James Jessen, In the Wake of the Butcher: Cleveland's Torso Murders, Kent 2001.

Black Joel, The Aesthetics of Murder: A Study in Romantic Literature and Contemporary Culture, Baltimore 1991.

Campbell Joseph, Bohater o tysiącu twarzy, tłum. A. Jankowski, Poznań 1997.

Campbell Joseph, The Mythic Image, Princeton 1974.

Campbell Joseph, Moyers Bill, Potęga mitu: rozmowy Billa Moyersa z Josephem Campbellem, tłum. I. Kania, Kraków 2007.

Capote Truman, Z zimną krwią, tłum. K.F. Rudolf, Poznań 2007.

Collins Philip, Dickens and Crime, Bloomington 1968.

Dostojewski Fiodor, Bracia Karamazaw, tłum. A. Pomorski, Kraków 2009.

Douglas John Mark, Motywy zbrodni: metody działania agenta specjalnego FBI, tłum. G. Gasparska, Warszawa 2002.

Doyle Arthur Conan, powieści i opowiadania o Sherlocku Holmesie.

477

Edwards Samuel, The Vidocq Dossier: The Story of the World's First Detective, Boston 1977.

French Thomas, Unanswered Cries: A True Story of Friends, Neighbors, and Murder in a Small Town, New York 1992.

Friel Francis, Guinther John, Breaking the Mob: The Gripping True Story of a Dedicated Cop Who Led the Fight That Put an Entire Mafia Family out of Business, Lincoln 2000.

Gardiner Eileen (red.), Visions of Heaven & Hell Before Dante, New York 1989.

Hare Robert, Psychopaci są wśród nas, tłum. A. Skucińska, Kraków 2006.

Hugo Victor, Nędznicy, t. 1, tłum. K. Byczewska, Warszawa 1976.

Jeffers Paul H., *Who Killed Precious: How FBI Special Agents Combine Psychology and High Technology to Identify Violent Criminals*, New York 1991.

Johnson Paul, *A History of the American People*, New York 1999.

Jung Emma, Franz Marie-Louise von, *The Grail Legend*, Princeton 1998.

Keppel Robert D., Birnes William J., *Signature Killers: Interpreting the Calling Cards of the Serial Murderer*, New York 1997.

Kessler Ronald, *The Bureau: The Secret History of the FBI*, New York 2003.

Leeming David Adams, *The World of Myth*, New York 1990.

McVarish Douglas C., *Warships and Yardbirds: An Illustrated History of the Philadelphia Naval Shipyard*, Philadelphia 2000.

Michaud Stephen G., Hazelwood Roy, *The Evil That Men Do: FBI Profiler Roy Hazelwood's Journey into the Minds of Sexual Predators*, New York 1998.

Nickel Stephen, *The Story of Eliot Ness and the Search for a Psychopathic Killer*, Winston-Salem 1989.

Ruehlmann William, *Saint with a Gun: The Unlawful American Private Eye*, New York 1974.

Sade Donatien Alphonse François de, *Filozofia w buduarze*, t. 1-2, tłum. M. Fabjanowski, Łódź 1989.

Sade Donatien Alphonse François de, *Niedole cnoty. Zbrodnie miłości*, tłum. J. Trznadel, J. Łojek, Łódź 1985.

478

Scott Gini Graham, *Homicide: 100 Years of Murder in America*, Lincolnwood 1998.

Tennyson Alfred, *Idylls of the King*, New York 1989.

Vidocq Eugène François, *Memoirs of Vidocq: Master of Crime*, Oakland 2003.

Weston Jessie L., *Legenda o Graalu: od starożytnego obrzędu do romansu średniowiecznego*, tłum. A.H. Bogucka, Warszawa 1974.

Spis treści

Prolog Profiler i książka 7

Głos krwi 11

Część pierwsza Sala morderstw 13

Rozdział 1 Koneserzy zbrodni 14

Rozdział 2 Człowiek, któremu morderstwo uszło na sucho 24

Rozdział 3 Rycerze barowego stolika 32

Część druga	Czterej chłopcy	37	
Rozdział 4	A małe chłopię prowadzić ich będzie		38
Rozdział 5	Policjanci i złodzieje	45	
Rozdział 6	Człowiek, który widział umarłych	58	
Rozdział 7	Cienie mrocznego rycerza	67	
Rozdział 8	Strażnicy miasta	73	
Rozdział 9	Chłód przeszłości	79	
Rozdział 10	Na procesie zabójcy	82	
Rozdział 11	Śmierć tancerki	86	
Rozdział 12	Detektyw Fizjonomista	100	
Rozdział 13	Człowiek z Problemami Żołądkowymi		110
Rozdział 14	Na tropie Czarownika	119	
Rozdział 15	Błądny rycerz z przypadku	130	
Rozdział 16	Morderstwo doskonałe	135	
Rozdział 17	Maska niewidzialnego człowieka	144	
Rozdział 18	Powrót Vidocq'a	152	
Część trzecia	Towarzystwo Vidocq'a	161	
Rozdział 19	Stowarzyszenie detektywów	162	
Rozdział 20	Zapuszczkowy	169	
Rozdział 21	Detektyw od dusz	180	
Rozdział 22	Artysta śmierci	184	
Rozdział 23	Sny Morfeusza	188	
Rozdział 24	Sprawy, których nie potrafią odpuścić		190
Rozdział 25	Rzeźnik z Cleveland	204	
Rozdział 26	Błagania wznoszone do Boga	216	
Rozdział 27	Koniec pewnego romansu	220	
Rozdział 28	Złap mnie, jeśli potrafisz	226	
Rozdział 29	Sprawa bosonogiej dziewczyny	234	
Rozdział 30	Sprawa syna marnotrawnego	245	
Rozdział 31	Mędrzec ze Scotland Yardu	250	
Rozdział 32	Pomyśl o zemście	258	
Rozdział 33	Morderstwo w katedrze	268	
Rozdział 34	Chcę usłyszeć szczęk kajdanek	274	
Rozdział 35	Detektywi-doradcy	286	
Część czwarta	Walka z bestiami	293	
Rozdział 36	Zawieź mnie do tej psychopatki	294	
Rozdział 37	Nieznajomy w Biddle House	302	

Rozdział 38	Miasto braterskiego chaosu	315
Rozdział 39	Gniew słodszy od miodu	319
Rozdział 40	Najgorsza matka w historii	331
Rozdział 41	Chłopiec, który nigdy nie umarł	335
Rozdział 42	Ośmioro dzieci nazywanych „ono”	341
Rozdział 43	Potrójne morderstwo	347
Rozdział 44	Z nieba do piekła	353
Rozdział 45	Zejście do jądra ciemności	359
Rozdział 46	W świecie, który powstanie na nowo	365
Rozdział 47	„Moje gratulacje, znalazł pan mordercę”	369
Rozdział 48	Przesłuchanie	374
Rozdział 49	Demony Mary	386
Rozdział 50	Sprawa brakującej twarzy	388
Rozdział 51	Aniołowie od morderców	399
Rozdział 53	Dziewiąty krąg piekła	413
Rozdział 54	Czasomierz z bananów	430
Rozdział 55	Cud na South Street	435
Rozdział 56	Rycerze okrągłych stołów	442

Podziękowania 467

Bibliografia 473

Opieka redakcyjna

Paweł Ciemniowski

Redakcja

Marianna Cielecka, Karolina Rostkowska / libellicosa.pl

Korekta

Teresa Kapanik, Małgorzata Wójcik

Adaptacja okładki na podstawie oryginału, projekt stron tytułowych
i projekt typograficzny

Filip Kuźniarz

Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2011

ul. Długa i, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: libellicosa.pl

Druk i oprawa: Drukarnia pozkał

Michael Capuzzo po raz kolejny udowadnia, że jest jednym z najlepszych twórców gatunku. Klub koneserów zbrodni to świetnie napisana, wciągająca, mroczna opowieść...

Michael Connelly

Dzięki mocnej narracji i imponującej wiedzy Capuzzo tworzy wspaniałą galerię najlepszych detektywów naszych czasów. Klub koneserów zbrodni jest tak wciągający jak najbardziej wymyślny z thrillerów, ale nie zapomnijmy, że to nie fikcja; potwory opisane w tej książce są prawdziwe, tak jak dzielni detektywi podążający ich tropem.

Jason Kersten

Fascynująca książka.

„Booklist”

Przekonuje i równocześnie przeraża.

„The Philadelphia Inquirer”